Richard Powell

Kariera w Filadelfii

przełożył Jerzy Krzysztoń

Dla Marian,
która nie rozumiała Fila

MAŁGORZATA 1857—1860

1.

Zszedł wolno po schodach z sypialni czując, jak krew szaleńczo tętni mu pod czaszką. Wdrożył się jednak do tego, aby nigdy nie zdradzać się z tym, co go boli.

Zachowywał wiec uśmiech na twarzy wchodząc do swojego gabinetu. Z westchnieniem ulgi zagłębił się w fotelu za biurkiem. Własne biurko zawsze pomaga człowiekowi. Jest jak twierdza chroniąca przed obcym i wrogim nieraz światem. W walce z przeciwnikiem zawsze popełnia się błąd podejmując atak w jego gabinecie. Należy go zwabić na swój własny teren, przed własne biurko, gdzie nie będzie się czuł tak pewny siebie.

Lecz tym razem nie miał do czynienia z mężczyzną. Przeciwnikiem jego była kobieta, a dla kobiety w walce z mężczyzną ani biurko, ani łóżko nie stanowi przeszkody.

Łomotanie w głowie oszołomiło go, przez chwilę myśli wirowały jak jesienne liście na wietrze. Ciężko się napracował, żeby zmieść je z powrotem na schludne kupki. Zaczął powoli, liść za liściem. Nazywa się Antoni Judson Lawrence, ma lat czterdzieści dwa. Znalazł się w gabinecie, aby powziąć decyzję. Podjął już wiele ważnych postanowień w życiu i sądząc po skutkach robił to rozważnie i dobrze. Ale teraz właśnie ma podjąć krok najistotniejszy ze wszystkich.

Adwokat, a on nim jest, nie pozwala sobie na pochopne decyzje. Sięga wpierw po kodeks, bada precedensy, które poprzedziły sprawę. Zrobi to teraz, zanim osądzi swoją sprawę i poweźmie postanowienie. Przez dziewięćdziesiąt dziewięć lat, od roku 1857 do roku 1956, gromadziły się owe precedensy, które należy zbadać. Na nich zbudował całe swoje życie i sam wzbogacił ich rejestr. Odemknął szufladę biurka i wyjął fotografię w starej srebrnej ramce.

Otóż i one — trzy cudowne, choć budzące strach kobiety, które stworzyły niejeden z owych precedensów. Prababka i babka stoją za krzesłem wyprężone jak żołnierze na warcie. Matka siedzi trzymając małe dziecko na kolanach. Dość niezwykłe zdjęcie rodzinne, gdyż nikt nie patrzy w obiektyw. Spojrzenia kobiet skupiły się na dziecku, które spogląda wielkimi oczami, jak gdyby pytając, czego one od niego chcą. Dziecku na imię Antoni Judson Lawrence.

Oglądając teraz fotografię czuł, że krew tych kobiet tętni w jego żyłach, a ich przekonania żyją w jego umyśle. Dziwne — tak żywo to odczuwał, a tak mało wiedział o nich. Rozumiał, za czym tęskniły i w co wierzyły, ale nie wiedział, co kształtowało ich nadzieję i wiarę. Zupełnie, jakby czytał orzeczenie sądu, wiedząc, że musi się go trzymać, a zarazem nie mając możliwości przejrzenia dowodów, które poprzedziły wyrok. Żałował, że nie może się zapoznać ze świadectwem ich życia, ponieważ to by mu teraz pomogło...

2.

Małgorzata O'Donnell przyjechała do Filadelfii z Irlandii wiosną 1857 roku. Miała spokojne usposobienie, oczy pełne marzeń i wargi łagodnie rozchylone na powitanie życia. Kiedy podniosły się poranne mgły, a żaglowiec „Evelyn" nadstawił reje pod południowy wiatr i mknął z falą przypływu w górę rzeki Delaware, dziewczyna, zamiast zatrzymać się tak jak inni na pokładzie, znalazła puste wiadro i podeszła z nim do jednego z marynarzy. Uśmiechając się poprosiła:

— Mógłby pan mi nabrać trochę wody?

— A cóż się stało z zapasem w beczce? — spytał.

— To nie do picia potrzebna mi woda, tylko do mycia.

— No, ja się tam za wiele nie myję — powiedział marynarz. — Widzi mi się, że mycie chłopa rozkleja. Z kobietami może jest inaczej.

Przywiązał linę do wiadra, spuścił je za burtę i zaczerpnął wody. Chwilę taksował ją uważnie.

— Myjesz się cała? — zagadnął miękko.

Ze złością wyrwała mu wiadro z ręki i szybko zeszła w dół po schodkach. Przestrzeń pod pokładem na rufie została podzielona na dwa duże pomieszczenia: jedno dla mężczyzn, drugie dla kobiet i małych dzieci. Wchodząc do pomieszczenia dla kobiet, między długie rzędy prycz, zachłysnęła się zaduchem.

Statek odbył niezłą podróż z Liverpoolu, w ciągu dwudziestu dni, bez żadnych burz i chorób. Mimo to, jeśli się wepchnie pół setki kobiet i dzieci na dwadzieścia dni na międzypokład z iluminatorami zamkniętymi na głucho, uzyska się woń, wobec której błota irlandzkie pachną jak najlepsze perfumy.

Z ulgą stwierdziła, że w pomieszczeniu nie ma nikogo. Dwukrotnie podczas podróży próbowała umyć się porządnie wiadrem morskiej wody, musiała jednak dać za wygraną. Dziewczęta chichotały zerkając na nią, tak jakby same nie miały ciała, kobiety zaś dogadywały głośno, jak to od razu poznać dziewkę. Rozpięła pod szyją wełnianą suknię, zrzuciła ją, wysupłała się ze zwojów bawełnianej bielizny, halek i pantalonów, i stała nago, jak ją stworzył Pan Bóg. Smugi światła wpadające przez otwarte iluminatory głaskały jej ciało: silne, proste ramiona, prężny kształt młodych piersi, wąską talię i krzepkie biodra, nogi o dobrych, mocnych łydkach. Z troską dotykała brzucha żałując, że nic na to nie może poradzić: zapadł się tak, aż widać było ostre kości bioder sterczące pod napiętą skórą. Byłoby o wiele lepiej mieć ładny, pulchny brzuch, ale niestety, mało kto w Irlandii mógł się pochwalić tłustym brzuchem, odkąd zaraza zaczęła niszczyć ziemniaki w latach czterdziestych.

Wyjęła bawełnianą halkę, zniszczoną, lecz czystą, którą zachowała na tę okazję, podarła ją na szmatki i umoczywszy jedną z nich w wiadrze, zaczęła się szorować. Przynajmniej raz ług jej nie szczypał. Woda z wielkiej rzeki działała łagodnie jak pieszczota. Usiadła wreszcie na skraju pryczy, żeby umyć porządnie nogi. Po tylu latach dreptania po brudnym klepisku w chałupie chyba nie miała co marzyć o tym, aby swoje stopy od spodu wyszorować do białości, ale i tak wyglądały całkiem znośnie.

Kiedy się wytarła, rozwiązała starą chustę, która zawierała cały jej dobytek. Kilka dziewcząt w kajucie posiadało ładne sakwy z samodziału, a nawet powiadano, że niektóre kobiety mają prawdziwe kufry w luku bagażowym, ale i chusta służyła

nieźle, kiedy nie było wyboru. Wyjęła jedyną parę czystych lnianych majtek i wśliznęła się w nie rozkoszując się ich gładkim dotykiem. Starsza siostra, w dalekiej Irlandii, ciągle gderała, że to wstyd marnować przyzwoite pieniądze na lniane szmatki po to, żeby je nosić pod sukienką, gdzie nikt ich nie zobaczy... „Mam nadzieję, że nikt" — dodawała ponuro. Ale Małgorzata postawiła na swoim, kupiła materiał i uszyła pantalony najstaranniejszym i najdrobniejszym ściegiem, jakiego próżno szukać w całym hrabstwie. Z kolei włożyła czystą bawełnianą sukienkę w ciemno-błękitnym kolorze, który świetnie pasował do jej niebieskich oczu. Zarzuciła wełniany szal na ramiona i spięła go na piersiach mosiężną sprzączką. Potem zawinęła wszystko w starą chustę, związała ją i wspięła się z powrotem na pokład. Choćby szmat drogi dzielił ją jeszcze od Filadelfii, nie zejdzie więcej na dół.

Wpłynęli na te wody poprzedniego dnia i posunęli się już daleko w głąb zatoki. Niskie, zielone brzegi po obu stronach burty były jednak wciąż dalekie. Nie wątpiła, że można wszystkie irlandzkie rzeki zlać do Delaware i jeszcze by została swobodna przestrzeń. Zadarła głowę i śledziła czworokątne żagle wysoko na masztach, jak zanurzają się w niebo niby wielkie, białe pługi.

— Proszę, co za zuchowata mina! — ozwał się jakiś głos. Spojrzała na mówiącego i uśmiechnęła się. Była to bardzo ważna osobistość, zwana przez załogę „supercargo"* *[Supercargo — oficer, któremu podlega ładunek statku.]* , choć licho wie, co to znaczy.

— Raźno mi, bom młoda i płynę sobie do Filadelfii — powiedziała. — Kiedy tam zajedziemy?

Zerknął na najwyższe żagle.

— W godzinę, jeśli się wiatr utrzyma. Ten, kto wyszedł po ciebie, niedługo będzie czekać.

— Och, nikt na mnie nie czeka.

— Ale masz się gdzie zatrzymać?
— No, jakże... — roześmiała się. — Jadę przecież do Filadelfii.
— To ogromne miasto, dziewczyno. Ponad pół miliona ludzi.
— Będzie większe od Dublina?
— Cały Dublin można wpakować do Filadelfii i całkiem by się w niej utopił.
— O nie, tylko nie Dublin. W Dublinie ludzie są tacy hałaśliwi i skorzy do kłótni, że nigdzie ich pan nie utopi.
Zachichotał.
— Może to i racja. Ale jak nie masz tu przyjaciół i nikt na ciebie nie czeka, to gdzież twoja rodzina?
— Z O'Donnellow mało kto został — odparła. — Ostatniej jesieni, kiedy zbiory znów przepadły, ojciec zwyczajnie położył się i umarł. Widział pan kiedy, jak ziemniaki marnieją na polu? Zamiast cudnych bulw w brunatnej łupinie kopie się żużel, istne węgle z diabelskiego pieca. Matce się zmarło trzy lata temu. Została się siostra Sheila i ja. To straszne paskudztwo, głód. Starczyło dwanaście lat, a jaka bieda spadła na całą Irlandię.
— To twoja siostra nie wyjechała?
— Starsza jest ode mnie. Po sąsiedzku znalazł się chłop, co wymiarkował, że sobie poradzi z naszą ziemią, niechby ją Sheila wniosła w posagu, i wyszła za niego. Tośmy sprzedały chałupę za chudy grosz, wzięłam z tego na podróż i oto jadę.
— Ty i sto tysięcy innych — dorzucił. — W głowie mi się nie mieści, jak wy możecie tak ryzykować? Każda świeża jak stokrotka i prawie tak samo niemądra. Cóż ty będziesz robić, dziewczyno? Pracować w fabryce włókienniczej?
— To nie dla mnie — odparła z dumą. — Najmę się na służbę w szykownym domu u najlepszej rodziny.
— Wejdziesz prosto do takiego domu i powiesz: chętnie służę, co? Na ulicach pełno takich dziewcząt jak ty, szukających podobnej pracy. One... — Urwał i

przyjrzał się jej uważnie, jej kruczoczarnym włosom, połyskującym jak węgle, ciemnobłękitnym oczom i cerze tak czystej jak świeża śmietanka. — No, może nie całkiem takich jak ty — powiedział w końcu. — Nie takich ładnych. Ale niekoniecznie ci to pomoże. Dlaczego akurat wybrałaś Filadelfię, a nie Nowy Jork?

— Szczęśliwy traf. Siedziałam w Liverpoolu i ani rusz nie mogłam nic wybrać, a ten urzędnik w biurze pokazał mi zdjęcie Filadelfii. Takie prościusieńkie ulice i szykowne domy, i wszędzie wieże kościołów...

— Te wieże — uciął — są w większości protestanckie.

— U nas też są protestanci w starym kraju.

— A o nagonce na Irlandczyków nic ci nie powiedział ten urzędnik, co? A o amerykańskiej partii nacjonalistycznej? A o ogłoszeniach w prasie, które mówią... właśnie, niechże ci przeczytam. — Wyciągnął z kieszeni złożoną gazetę i otworzył ją. — Proszę — powiedział. — „Zatrudnię przyzwoitą dziewczynę w charakterze pokojówki. Warunek: protestantka... Potrzebna dziewczyna do posługi. Obowiązkowe — referencje, wyznanie protestanckie..." Jak ci się to podoba? Wyciągnęła rękę i dotknęła gazety.

— To naprawdę miejska gazeta? — spytała.

— Puściliśmy wszystko mimo uszu, prawda? Tak, to jest „Dzwon Powszechny". Pilot przyniósł ją na pokład, kiedy nas spotkał w zatoce Delaware. Świeża, tylko sprzed czterech dni. Chcesz przeczytać?

Odparła ostrożnie:

— Pewno za dużo w niej trudnych słów, jak dla mnie.

— Jasne, zapomniałem. Żadna z was nie umie czytać. Jak się zabierzesz do szukania pracy po zejściu na ląd?

— Rozpytam się, dokąd pójść.

— Ładne dziewczyny, co chodzą po porcie zadając pytania, nie zawsze dostają właściwe odpowiedzi. Proszę, tu jest wykaz kilku biur pośrednictwa pracy. Jedno nawet znajduje się niedaleko naszego doku. Poproszę pilota, żeby cię tam zaprowadził. Ma dwie córki w twoim wieku. Pamiętaj: nie wolno ci iść samej. Obiecała, że posłucha, i podziękowała mu. Ta rozmowa napełniła ją ciepłem, pokrzepiła jak mocna herbata w zimowy poranek. Mówcie, co chcecie, wiedziała od dawien dawna, że w tym mieście spotkają ją rzeczy cudowne. Na sam początek pan pilot, bardzo dostojny jegomość w meloniku, ze złotą dewizką na kamizelce, ma wprowadzić ją do miasta obejmując nad nią pieczę jak nad statkiem, który teraz wiedzie wraz z jego cennym ładunkiem w głąb zatoki.

Powiew wiatru był tak łagodny, aż zdawało się, że żaglowiec stoi na kotwicy, a ląd przepływa mimo nich. Z zapartym tchem śledziła zbliżające się ku nim miasto: najpierw tu i ówdzie rozrzucone farmy, potem drobne wysepki domów, wreszcie skupisko łupkowych dachów, kominów z cegieł, wież kościelnych sunących brzegiem jak armia w pochodzie pod proporcami białego dymu. Miarkujcie sobie: białego dymu! W Irlandii i nad Liverpoolem dym z kominów był prawie zawsze czarny. Nie opodal ktoś wyjaśniał to zjawisko swoim przyjaciołom, mówiąc, że taki dym daje kamienny węgiel z Pensylwanii. Małgorzata wolałaby tego nie słyszeć. Nie wiadomo dlaczego ludzie upierali się, by odzierać z uroku rzeczy cudowne jak biały dym z kominów. Teraz, kiedy to sobie uświadomiła, dym stał się bladoniebieski. Wolałaby myśleć, że jest biały, i nie wiedzieć, z jakiego powodu.

W górze rzeki napuszony, mały stateczek z hałasem wysunął się z przesmyku między lądem a wyspą: dysząc parą, jak tłuścioch spieszący gdzieś w zimny poranek, zbliżył się do nich i wyprawiał wielkie ceregiele z wzięciem na hol. Pociągnął ich w stronę doków, gdzie wysokie maszty niemal płotem zagradzały miasto. Ale słyszała je: hałas kół na bruku, nawoływania ludzi u wybrzeża,

łagodny płynny dźwięk dzwonów znaczących godzinę. Grube liny zawirowały spadając ze statku na molo, dokerzy uwiązali je wokół słupów do cumowania i naciągnęli mocno, a Małgorzata czuła, że każda z tych lin do niej jest przytwierdzona i wiąże ją na zawsze z tym migotliwym, nieznanym miastem.

3.

Tyle było do zobaczenia, że wciąż zostawała w tyle za panem pilotem i musiała podbiegać troszkę, żeby mu dotrzymać kroku. Choćby takie konie. Nie przypuszczała, że może ich być aż tyle na świecie. Pojawiały się wszędzie, wlokąc wozy i furgony, ciągnąc kabriolety i omnibusy. Łajno leżało sobie rozrzutnie na ulicach, na dowód, jacy tu ludzie są bogaci. W Irlandii ludziska od razu by je pozbierali, żeby użyźnić pola.

— No, panienko — powiedział pan pilot — jesteśmy na miejscu. To właśnie Trzecia Ulica. A tam biuro. Zdaje się, że tutaj chciała panienka trafić. Powodzenia.

Odszedł szybko, jak gdyby chciał się uwolnić od wszelkiej odpowiedzialności, skoro tylko wprowadził powierzony mu statek do właściwego doku.

Zanim weszła do biura pośrednictwa pracy, zatrzymała się chwilę podziwiając konie i kabriolet, czekający przy krawężniku. Sierść dwóch doborowych kasztanów lśniła w majowym słońcu jak politura. Kabriolet miał siedzenia obite czarną skórą: żółte szprychy i miedziane latarnie tak błyszczały, aż się mrużyło oczy. Poważny młody stangret stał przy koniach, udając, że jej nie widzi, spostrzegła jednak, że zerka na nią kącikami oczu. Posłała mu uśmiech, aż poczerwieniał, i weszła do biura.

W ogromnym o nagich ścianach pokoju siedziało pełno dziewcząt ściśniętych na długiej ławce. Obejrzały ją od stóp do głów, polując na usterki, które bez trudu wyłowiły. W poprzek stało biurko, siedziała za nim kobieta z twarzą jak siekiera.

Małgorzata podeszła do niej i powiedziała:

— Rozglądam się za posługą, proszę pani.

— Jeszcze jedna — odparła tamta bezbarwnym głosem. — Nazwisko?

— Małgorzata O'Donnell.

— Wiek i adres?

— Lat szesnaście. Adresu jeszcze nie mam, bo właśnie dzisiaj przyjechałam statkiem i...

Z tyłu na ławce któraś z dziewcząt powiedziała: „Prosto z morza", i wszystkie naraz zaczęły chichotać.

— Proszę o ciszę — ucięła urzędniczka. — Mamy klientkę u dyrektora. No cóż, Magda...

— Małgorzata, nie Magda, proszę pani.

— Będziesz Magdą, bo tak mi się podoba.

— Tak, proszę pani — odpowiedziała, chociaż wcale jej się to nie podobało i nie życzyła sobie, by ją wołano takim brzydkim imieniem.

— Przypuszczam, że niczym się nie różnisz od tamtych. Nie umiesz ani gotować, ani szyć, ani sprzątać.

— Ależ umiem, proszę pani.

— Powiedzmy. No cóż, zobaczymy, o ile się różnisz od innych. Jest posada za miastem, niedaleko, zaledwie o dwadzieścia mil, w bardzo przyzwoitym domu. Odpowiada ci? Trzy dolary miesięcznie i utrzymanie.

— Wolałabym zostać w mieście.

— Nie weźmiemy od ciebie ani grosza za pośrednictwo. Cóż ty na to?

— Naprawdę wolałabym zostać w mieście, proszę pani. Urzędniczka prychnęła ze złością.

— To samo ziółko. Niech będzie. Możesz sobie czekać albo i nie czekać, jak ci się podoba. Znajdź sobie miejsce na ławce, jeśli cię tam puszczą.

Małgorzata odwróciła się i spostrzegła, że dziewczyny jej nie puszczą. Spódnice zaszeleściły i wolne miejsce na ławce znikło w mgnieniu oka. Napotkała rząd zimnych, wrogich twarzy.

W tejże chwili otworzyły się drzwi gabinetu i jakiś łagodny, czysty głos powiedział:

— Przykro mi, ale żadna z nich się nie nadaje. Będę musiała poszukać gdzie indziej.

Małgorzata spojrzała na damę, która wypowiedziała te słowa, i skojarzyła ją od razu z kabrioletem na ulicy. Podobnie jak powóz i konie, tak też i dama była wspaniała i bez zarzutu od czubka czarnego czepka aż po skraj czarnej jedwabnej sukni, którą unosiła wytwornie nad podłogą. Musiała być po czterdziestce i albo świetnie dbała o swoją figurę, albo miała na sobie jakiś gorset czy coś takiego.

Nie namyślając się Małgorzata upuściła swój węzełek, podbiegła i powiedziała bez tchu:

— Proszę jaśnie pani, umiem gotować i szyć, i sprzątać, i...

— Hola, dziewczyno — przerwał jej ostro dyrektor — jakim prawem zwracasz się nie pytana do pani Clayton.

— Pan pozwoli... — powiedziała dama przechylając głowę i przypatrując się Małgorzacie. — Tej mi pan nie pokazywał, prawda?

— Przed chwileczką weszła — rzuciła urzędniczka zza biurka.— I, łaskawa pani... prosto z morza!

— A cóż w tym złego, że prosto z morza? — odparła Małgorzata. — Pewno że z morza, a bo można inaczej się dostać?

— Szukasz posady, nieprawdaż? — spytała pani Clayton.

— Nie wiem, co to... posada, proszę jaśnie pani. Zwyczajnie chcę u pani pracować.

Pani Clayton uśmiechnęła się.

— W naszych czasach tak się wszystkim przewróciło w głowie, że nikt już nie mówi o pracy. Mówią o posadach licząc na to, że znajdą taką, gdzie nie trzeba pracować.
— Pracy się nie boję — powiedziała Małgorzata. Pani Clayton zwróciła się do dyrektora:
— Jeśli pan pozwoli, chciałabym porozmawiać z nią sama w pańskim gabinecie.
Świat był na usługach pani Clayton, więc Małgorzata znalazła się z nią sam na sam w gabinecie, gdzie odpowiadała na pytania. Ktoś inny mógł ją skonfundować najrozmaitszymi pytaniami, skąd się tu wzięła i po co, ale pani Clayton miała przyjemny, uprzejmy sposób bycia, który ją ośmielił. Kazała pokazać sobie ręce i zęby, przejść się tam i z powrotem po pokoju, i powiedziała uprzejmie, że miło popatrzyć na dziewczynę, która nie ma koślawych nóg.
— A co do szycia — rzekła — czy to prawda, że umiesz szyć?
— Ależ tak, jaśnie pani — odparła Małgorzata. — Proszę zobaczyć...
I bez namysłu podniosła spódnicę, żeby pokazać, jakim to ładnym ściegiem uszyła swoją lnianą halkę. Pani Clayton zaśmiała się łagodnie. Małgorzacie krew uderzyła do twarzy, wybąkała:
— Niełądnie, że to zrobiłam... Najmocniej jaśnie panią przepraszam.
— Nic nie szkodzi. Ale pamiętaj, że w Filadelfii spódnicami się nie szasta. Chyba się nadajesz, Małgosiu.
Choćby nawet straciła wszystko, musiała to powiedzieć.
— Najmocniej przepraszam, czy mogłaby jaśnie pani wołać na mnie Małgorzata?
Przez jedno uderzenie serca zdawało się, że pani Clayton się waha, spoglądając badawczym wzrokiem.
— Zgoda, Małgorzato — powiedziała szczerze. — Otrzymasz normalną zapłatę, trzy dolary miesięcznie oraz ubiór. Od czasu do czasu może się trafią jakieś sukienki po mnie. Chociaż — dodała z lekkim westchnieniem — będziesz musiała

je zwęzić. A teraz trzeba zapłacić im mimo wszystko półtora dolara. Masz pieniądze?
— Funta, jedenaście szylingów i dwa pensy. Czy to wystarczy?
— Aż nadto. Zapłać im sześć szylingów. Spotkamy się w moim powozie.
Małgorzata uiściła opłatę i dumnym krokiem przeszła wzdłuż ławki, pełnej skwaszonych dziewcząt. Pani Clayton siedziała w powozie, a młody stangret czekał już na koźle.
— Małgorzato — powiedziała pani Clayton — to jest nasz stangret, Jerzy Symes. Jerzy, nasza nowa pokojówka, Małgorzata O'Donnell.
Poważny młody człowiek dotknął palcem cylindra i spojrzał na nią tak, jakby nie miał nic przeciwko temu, żeby znów posłała mu uśmiech. Małgorzata zimno skinęła mu głową. Skoro mają poznać się bliżej, to niech lepiej sobie zasłuży na uśmiechy.
Tak właśnie Małgorzata trafiła do domu państwa Logan Claytonów w Filadelfii, jadąc powozem jak księżniczka, czując, że jej przyszłość nabiera kształtów. I gdyby nawet wiedziała, co ją czeka, chyba nie wyskoczyłaby z powozu, aby uciec przed takim losem.
Claytonowie zajmowali dwupiętrowy murowany budynek przy Czwartej Ulicy nie opodal Alei Akacjowej. Nigdy ani na chwilę Małgorzata nie zwątpiła, że był to najwspanialszy dom w całym mieście. Naturalnie, trafiali się zawistni ludzie, usiłujący podważyć to przekonanie, ale Małgorzata szybko znalazła na nich sposób. Podchwyciła go pewnego popołudnia, kiedy pani Clayton wydała proszoną herbatkę dla swoich przyjaciółek i Małgorzata ostrożnie roznosiła delikatne filiżanki i spodeczki. Jedna z dam zwróciła się do pani Clayton:
— Nie tęsknisz, moja droga, za nowym domem? Choćby za taką cudną rezydencją z ciemnego kamienia i z gazowym oświetleniem?
— Claytonowie — odparła pani domu — mieszkają tu od trzech pokoleń.

— Nie wydaje mi się, że odpowiedziałaś na moje pytanie — zauważyła dama.
— Logan powiada — odparła spokojnie pani Clayton — że jak ta nowa moda zda egzamin, to się zastanowimy.
— Ależ sąsiedztwo, moja droga. Na Czwartej i Akacjowej mieszkało się przed półwiekiem. Musisz przyznać, że teraz wszyscy przenoszą się na Orzechową, a nawet aż na Osiemnastą. Nie wydaje ci się, że tutejsza dzielnica trochę podupadła?
— Jak mogła podupaść — powiedziała pani Clayton — skoro my tu mieszkamy?
Małgorzacie szalenie się spodobały odpowiedzi pani Clayton. Którejś niedzieli po mszy rozmawiała z koleżankami. Jedna z nich zaczęła jej dokuczać, że pracuje w takim domu, gdzie trzeba wynosić nocniki każdego ranka.
— A moi państwo — pyszniła się — mają łazienkę, gdzie się można załatwiać.
Małgorzata wzgardliwie potrząsnęła głową.
— Niech te łazienki zdadzą najpierw egzamin — odparła — to się zastanowimy.
W całym domu mieszkało sześć osób wliczając Małgorzatę i panią Clayton. Pan Logan Clayton, postawny i zażywny, nosił obfite krzaczaste bokobrody, okalające mu twarz. Prostacy zazwyczaj mieli w nich pełno okruchów i tytoniu, natomiast baki pana Claytona świeciły srebrem i czystością. Był dyrektorem jednego z banków na Kasztanowej, nie opodal Czwartej Ulicy. Dawnymi laty, przed rewolucją, jego dziad pełnił urząd burmistrza Filadelfii; goście od czasu do czasu napomykali, że pan Clayton sam powinien kandydować na burmistrza, ale on nie chciał się zgodzić.
— Nie sądzę — powiadał — aby w naszych czasach zdrowo myślący człowiek poszedł na coś takiego. Dawnymi laty dżentelmen mógł się zajmować polityką i zachować ręce czyste, bo w grę nie wchodziły pieniądze i nie było nadużyć. Ale czasy się zmieniły. Weźcie gazownię miejską. Weźcie licencje na budowę tramwajów konnych, które sobie dziś wszyscy z gardła wydzierają. Z polityki

zrobił się brudny interes i ani myślę do niego się mieszać. Wolę raczej zostać za kulisami i pilnować, żeby te typki od polityki za bardzo się nie rozzuchwaliły.
Trzecim członkiem rodziny był syn Glendenning Clayton. Wysoki młodzieniec, bystry, rzutki i śmiały jak pełnokrwisty koń wyścigowy; kędzierzawe ciemne włosy wciąż opadały mu na wysokie czoło, niecierpliwie odgarniał je do tyłu. Przeważnie przebywał poza domem, gdyż studiował prawo w miejscowości zwanej Harvard. Naturalnie, mógł to robić na miejscu w Uniwersytecie Pensylwańskim, zaledwie o parę ulic dalej, na rogu Dziewiątej i Targowej. Ale uniwersytet wznowił wykłady prawa dopiero przed sześcioma laty po długim okresie ich zawieszenia.
— Pojęcia nie mam, co z takiej młodej uczelni wyrośnie — mawiał. — Na Harvardzie można polegać. Syna dopiero może wyślę na prawo w Pensylwańskim, jeśli nasz uniwerek zdobędzie sobie markę.
Nie wynika z tego, że młody Clayton miał syna czy choćby żonę, tylko ród Claytonów umiał patrzyć w przyszłość. A może w przeszłość — Małgorzata nie była całkiem pewna, w którą stronę.
Służba składała się jeszcze z dwojga osób. Niemka, pani Muller, której mąż zmarł na żółtą febrę, była kucharką. Z Małgorzatą nie zgadzała się od samego początku, łatwo dociec dlaczego. Miała siostrzenicę, dziewuchę z gębą jak drożdżowe ciasto, i dla niej marzyła o posadzie pokojówki. Wreszcie był stangret, Jerzy Symes, który w dzieciństwie przyjechał z rodzicami z Anglii. Poważny ten młodzieniec tak się troszczył o pieniądze, jak kotka o swoje małe. Miał zamiar otworzyć własną zajezdnie, kiedy mu oszczędności na to pozwolą. Małgorzata lubiła go, choć niewesoły był z niego kompan, i jak się z nim droczyła, od razu się naburmuszał. Mieszkał nad stajnią za domem. Ona zaś i pani Muller miały pokoiki na drugim piętrze w bocznym skrzydle, dość obszerne, żeby pomieścić w nich nie tylko łóżko, ale nawet taboret.

Małgorzata wiedziała, że ma cudowną posadę i powinna być całkiem szczęśliwa, coś jej jednak dokuczało. Początkowo myślała, iż cała bieda bierze się stąd, że jest niewychowana. O tylu rzeczach nie wiedziała. Na przykład, że nie wolno trzymać kciuka na talerzu, kiedy się podaje do stołu, albo co to jest „drawing room", „pokój do rysowania", czyli inaczej salon. Naprawdę nikt tam nic nie rysował. A właściwie był to pokój, jak pani Clayton jej wytłumaczyła, do odpoczywania. Panie odpoczywały w nim po obiedzie, kiedy panowie raczyli się cygarem i koniakiem albo portweinem przy stole w jadalni.

Małgorzata pragnęła nauczyć się tego wszystkiego, a pani Clayton bardzo chętnie i cierpliwie jej w tym pomagała. Z końcem pierwszego roku służby usłyszała nawet, jak pani Clayton mówiła przyjaciółkom, co za świetna pokojówka rośnie z Małgorzaty. Z kolei trzeba było nauczyć się czytać i pisać, ale nad tym też pracowała. Kupiła sobie „Pierwszą czytankę" McGuffeya i ślęczała nad nią po nocach przy kuchennym stole. Kupiła też łupkową tabliczkę i ćwiczyła się w stawianiu liter. Czasami Jerzy Symes siadał przy niej, żeby prowadzić jej rękę, a pani Muller gderała nad swoją robótką mamrocząc coś o dziewczynach, które patrzą wyżej swojego nosa.

Nauka jednak nie uciszyła jej niepokoju; stopniowo spostrzegła, na czym cała bieda polega. Pragnęła najbardziej ze wszystkiego w świecie poczuć się związana z tym wspaniałym domem, z wytwornymi ludźmi, tymczasem dalej jej było do tego niż zwyczajnym meblom. Choćby taka statuetka z orzecha w północnym salonie. Przecież to było drzewo, piękne bo piękne, ale pani Clayton nieraz dotykała statuetki mówiąc przyjaciołom, że jest już w rodzinie niemal od stu lat. Małgorzata zastanawiała się, czy musiałaby dożyć aż tak sędziwych dni, zanim jakiś Clayton powie o niej, że jest w rodzinie niemal cały wiek.

Tymczasem tak samo trudno było wejść w ich życie, jak zanurzyć się w zwierciadle stojącym w hallu i uczestniczyć w świetnych widowiskach, które się w

nim często odbijały. Znalazła sobie takie miejsce w głębi hallu, gdzie zwierciadło pokazywało niemal wszystko, co się dzieje w salonie. Ilekroć Claytonowie podejmowali gości, Małgorzata nieraz, ukryta w cieniu, przyglądała się stamtąd. Gdy opuszczała swoją kryjówkę, obraz wnętrza znikał w zwierciadle, i wchodząc do salonu stawała się zwykłą pokojówką, która przyszła zobaczyć, czy państwo czegoś nie potrzebują. Choćby nie wiadomo jak się starała, dzielił ją zawsze od Claytonów chłodny, gładki dystans, jak od obrazu odbitego w zwierciadle.
Jakiś czas Małgorzata myślała, że może ów dystans stwarza właśnie religia, gdyż Claytonowie, naturalnie, byli protestantami, a ona katoliczką. Więc którejś niedzieli, kiedy państwo wybrali się na nabożeństwo, poszła ukradkiem za nimi. Był to kościół anglikański; Małgorzata wchodząc wstrzymała oddech z obawy, że uderzy ją w nozdrza zapach siarki. Ale nic złego się nie stało. Jakiś uprzejmy człowiek wskazał jej miejsce w bocznej nawie; wyjaśnił, że należało ono do kogoś, kto miał nie przyjść na dzisiejsze nabożeństwo. Małgorzata usiadła i obserwowała Claytonów w pierwszej ławce głównej nawy. Niewiele jej z tego przyszło. Pan Clayton uczestniczył w nabożeństwie z solenną uwagą, ale odnosiło się wrażenie, że w jego oczach Bóg nie był zbyt groźny ani majestatyczny, lecz przypominał raczej, powiedzmy, poważniejszego udziałowca w banku pana Claytona.
Na najbliższej spowiedzi Małgorzata wyznała swój postępek. Ksiądz przestrzegł ją, że znalazła się nad samą krawędzią piekła, i zadał jej pokutę. Nie poszła więcej do kościoła Claytonów. Nie ze względu na to, co ksiądz jej powiedział, ale dlatego, że zauważyła w tylnych ławkach anglikańskiego kościoła kilka dziewcząt, które również wyglądały na pokojówki. I dzieliła je ogromna przestrzeń od dostojnych państwa u ołtarza.
Pewnej nocy w początkach sierpnia, był to rok 1859, jej niejasne pragnienia i dziwne tęsknoty znalazły ujście. Chadzała w owym czasie z Jerzym Symesem i spacerowali właśnie ulicą Orzechową. Deszcz oczyścił powietrze, w mieście

panował miły chłód i spokój. Zerkała na twarz Jerzego wynurzającą się w świetle gazowych latarni. Po minie jego, jeszcze poważniejszej niż zwykle, widać było, że myśli o pieniądzach.

— Dobra z ciebie dziewczyna, Małgorzato — odezwał się wreszcie. — W ciągu ostatnich miesięcy chyba z tuzin razy przechodziliśmy przed teatrem na Orzechowej, a nigdy nie napraszałaś się, żeby cię wziąć na przedstawienie.

— Pewno, bo ceny są wariackie — powiedziała. — Dwadzieścia pięć centów za najtańszy bilet.

— Mało której dziewczynie przyszłoby to do głowy. Myślą sobie, że mężczyzna powinien bez przerwy wydawać na nie pieniądze.

— Ani mi się śni tak myśleć. Może nie wziąłeś mnie przed dwoma tygodniami na piknik na Wyspę Wiatraków? Może nie przejechaliśmy się parowym stateczkiem za takie pieniądze i w ogóle? A ileż to razy brałeś mnie na przejażdżkę tramwajem konnym po mieście.

— Sprawiało mi to przyjemność, Małgorzato. Jak powiadam, dobra z ciebie dziewczyna. Komu by się chciało tak solidnie zabrać się do nauki. Nauczyć się czytać i pisać. Rachować też nieźle już potrafisz...

— Jerzy — powiedziała — tak tęsknię za lepszym życiem...

— Ja też, Małgorzato. Jeszcze trochę, a otworzę własną zajezdnię. Mam na oku świetny interes: konie. Tu leży forsa — w koniach. Nasze miasto rośnie z każdą chwilą i ludziom będzie coraz bardziej zależeć na koniach. Wkrótce będę miał sześć ekwipaży do wynajęcia. To nie bagatela, co?

— Rzeczywiście, to nie bagatela — powiedziała, chociaż co innego miała na myśli mówiąc, że tęskni za lepszym życiem. Tylko że sama dokładnie nie wiedziała co. Skierowali się w stronę domu, a kiedy znaleźli się przed kuchennym wejściem, Jerzy powiedział:

— Wpadnę później coś przekąsić, ale najpierw wstąpię do moich ślicznotek zobaczyć, jak się mają. Nie masz ochoty dać im po kostce cukru?
Małgorzata zgodziła się z chęcią i poszła za nim do stajni. Odemknął dużą kłódkę i pchnął drzwi. Wewnątrz było bardzo ciemno, ciepło, gęsto od ciężkich, słodkawych zapachów. Oba kohie z chrzęstem i tupotem zbliżyły się do przegrody. Ręka Jerzego dotknęła jej dłoni i wcisnęła w nią dwie kostki cukru. Niewiele widząc przed sobą, po omacku podeszła do przegrody. Z mroku wysunęły się ku niej dwa miękkie pyski węsząc za cukrem. Schowała po jednej kostce w zamkniętych dłoniach i pozwalała koniom skubać się delikatnie po rękach, myszkować wokół zaciśniętych palców. Przeszywały ją lekkie, przyjemne dreszcze. Rozchyliła dłonie pozwalając koniom wziąć cukier.
— Oba są cudne — westchnęła.
— To ty jesteś cudna — powiedział Jerzy jakimś dziwnym nabrzmiałym głosem, tuż za jej plecami. Jego ręce obmacywały ją w ciemnościach.
Zabrakło jej tchu, nie poruszyła się, przejęta dziwnym doznaniem. Przeniknął ją nie ów przyjemny dreszczyk, kiedy konie tuliły się do niej, ale głęboki dreszcz na wpół bolesny, na wpół rozkoszny. Obrócił ją do siebie i zaczął całować. Usta miał suche, aż gorące, od pocałunków traciła oddech. Czuła, że słabnie w jego ramionach. Jerzy porwał ją w górę, uniósł gdzieś, opuścił na stertę siana, a jego ręce jak ruchliwe zwierzątka wciskały się pod stanik i pod spódnicę. Wierciła się, żeby go powstrzymać, ale miał chyba z tuzin zwinnych rąk.
Raptem, jakby ją ktoś wyłuskał, wszelka słabość opadła z niej, Małgorzata wywinęła się gwałtownie i trzepnęła mocno w bladą plamę nad sobą.
— Ojej! — krzyknął Jerzy.
Trzepnęła jeszcze raz, aż się potoczył do tyłu.
— No — wybełkotał — drugi raz bez powodu dałaś mi po gębie.

— Rzemień by się na ciebie przydał, ty — rzekła oburzona. — Zwabia mnie na konie, a potem wykorzystuje!
— Jutro będę miał siniec pod okiem — powiedział Jerzy — ale opłaciło się.
— Opłaciło się, tak? To podbiję ci drugie, żebyś miał do pary! Kosztuję drożej niż jedno podbite oko.
— Nie rozumiesz mnie, Małgorzato. Opłaciło się nie za chwilkę zabawy. Po prostu warto było dostać po pysku na dowód, że nie pozwalasz mężczyznom ze sobą dokazywać.
— Mogłam ci to powiedzieć za darmo.
— Owszem, ale mężczyzna nie wierzy kobiecie na słowo. W każdym razie — dodał po uroczystej pauzie — nie ten, kto może mieć wobec niej poważne zamiary, jeśli jest tego warta.
To ją trochę oszołomiło, choć, naturalnie, wiedziała, że chłopak nie zacznie chadzać z dziewczyną, dopóki mu w głowie nie zaświta, że poprosi ją o rękę. Podniosła się i próbowała otrzepać sukienkę.
— Cóż to za gadanie, że mężczyzna to, a kobieta tamto? Po co owijasz w bawełnę? — powiedziała. — Jeśli mówisz o nas, to mówże wprost.
— Co mnie tak popędzasz, Małgorzato?
— A tyś mnie może odpędzał przed chwilą? Co?
— Rzeczywiście nosiłem się z myślą, żeby cię poprosić o rękę. Nie zaraz, ale może na przyszłe lato, kiedy będę gotów ze swoją zajezdnią, a ty nauczysz się porządnie czytać, pisać i rachować. Miałbym z ciebie pociechę w prowadzeniu rachunków i w ogóle. A tymczasem możemy być po słowie.
Miała paskudną chęć zaśmiać mu się w nos, ale powstrzymała się, to by go okropnie uraziło. Taksował ją przecież jak konia do swojej zajezdni, sprawdzał jej chód, siłę, badał, czy nie jest płochliwa. Doszedł wreszcie do wniosku, że da sobie radę w zaprzęgu.

— Nie chcę nic o tym słyszeć — powiedziała.
— Chyba — wybąkał, jakby mu to nie mogło przejść przez usta — powinienem powiedzieć, że jestem w tobie zakochany.
— Podobno czasem się to ludziom trafia.
— Doprawdy, Małgorzato, nie bardzo wiem, jak zakochany ma się czuć. Okropnie chciałbym, żebyśmy się pobrali na przyszłe lato. Czy... czy mówię jak zakochany?
— Jerzy, ja muszę nad tym pomyśleć. Wiesz, że ciebie lubię. Ale nie zżyłam się jeszcze z drugą możliwością.
— Jasne, jasne — podchwycił niemal z ulgą. — Naturalnie, że musisz się nad tym zastanowić. Tylko nie zapominaj, Małgorzato, że nie masz już osiemnastu lat. Czas, żebyś znalazła sobie męża, bo przekroczysz dwudziestkę i zostaniesz na lodzie.
— Nie bój się, nie będę cię zwodzić. Ale chodźmy już, trzeba coś przekąsić.
Starała oczyścić się dokładnie, zanim weszła do kuchni, ale musiała przeoczyć kilka źdźbeł siana. Kiedy tylko weszli, przebiegłe, złośliwe oczka zlustrowały ją i pani Muller zawołała triumfalnie „Ha!", tak jakby od wielu wieczorów czekała na tę chwilę. Wstała i ostentacyjnie zaczęła zwijać swoją robótkę.
— Nie wypada mi zostać tu ni chwili — posiedziała. —
Żadnej uczciwej kobiecie nie wypada. Jerzy popatrzył na nią wilkiem.
— Obejdziemy się bez pani.
— Wyobrażam sobie — odcięła się pani Muller siadając i powrotem. — Więc może lepiej zostanę. Przynajmniej nie dopuszczę do tego, żeby jakieś bezeceństwa działy się w mojej kuchni.
Przekąsili coś, potem Jerzy powiedział dobranoc i wyszedł, a pani Muller wspięła się ciężko po schodach do swojej sypialni. Małgorzata została przy stole usiłując uporządkować myśli. Wiedziała, że wiele dziewcząt skakałoby z radości, gdyby mogły wyjść za Jerzego. Dziwne, ale jakoś nie mogła się zdecydować. Wstała

niespokojnie i przeszła do północnego salonu. Paliły się w nim dwie świece pozostawione na noc, ich płomień migotał na mahoniowych meblach, lśnił w krysztale kandelabru. Pochwyciła zamglone, dalekie odbicie swojej sylwetki w zwierciadle stojącym w hallu. Nietrudno było sobie wyobrazić, że dziewczyna w zwierciadle ma czarne kędziory opadające na odkryte ramiona, że diamentowy naszyjnik, jeden z rodzinnych klejnotów, iskrzy się na jej piersi, że stoi tak dostojna i zrównoważona, czekając na powitanie gości. Podeszła bliżej, by zmusić tę zjawę, aby stała się zwykłą Małgorzatą O'Donnell. W owym czasie nabrała już trochę rozumu. Źle mieć głupie marzenia, ale jeszcze gorzej, kiedy wywołują one dokuczliwy głód, który pastwi się nad ciałem.

Odwróciła się, aby wejść na tylne schody, gdy zatrzymał ją jakiś odgłos z dworu. Ktoś w ciężkich butach zbliżał się ulicą stąpając tak, jakby się uczył chodzenia na szczudłach. Chybotliwe kroki zatrzymały się u frontowych drzwi, klucz tańczył dookoła dziurki.

Za drzwiami odezwał się wesoło głos młodego Claytona:

— Trafiłbym do dziurki, żeby ten cholerny dom przestał się wiercić.

Z trzepoczącym sercem Małgorzata uciekła w głąb korytarza. Nie może dać mu się złapać na tym, że węszy po mieszkaniu, kiedy jego rodzice już śpią. Tymczasem nie wygląda na to, że on sam potrafi wejść. Zacznie się dobijać i obudzi rodziców, a ci się przerażą widząc go w takim stanie. Podkradła się wolno do frontowych drzwi i ujęła zatrzask. Chciała zwolnić go po cichu, leciutko uchylić drzwi i czmychnąć, zanim panicz ją zobaczy. Pomyśli sobie, że drzwi były przez cały czas nie domknięte. Ale właśnie gdy je uchylała, tamten pchnął z całej siły i runął wprost na nią. Uchwycił się jej ramion, żeby się nie wywrócić, i spojrzał na nią zamglonymi oczami.

— „Duchu uroczy! — zawołał. — Duchu uroczy, co zawitałeś szukać rozkoszy w Filadelfii. Czyżby dla tej twarzy spłynęło na wodę tysiące okrętów i poszły z dymem płaskie wieże Troi? Słodka Heleno, daj mi nieśmiertelność swoim..."
— Paniczu, to ja, Małgorzata. Nie ma tu żywej duszy o takim imieniu, Helena.
— Boże święty... Całe szczęście, żeś się odezwała. Domyślam się, że nie znasz reszty tego wiersza.
— Jakiego wiersza?
— Mówiłem go przed chwilą. Śmieszna rzecz, Małgorzato. Poezja jakoś nigdy nie uderza mi do głowy, kiedy jestem trzeźwy.
— Bo też i rzadko jest pan pod dobrą datą. Pięknie brzmiał ten wiersz.
— To Marlowe. Krzysztof Marlowe. On to napisał w sztuce pod tytułem „Faust". Poniekąd — dodał ze słabym uśmiechem — żałuję, żeś się zmaterializowała. No, dzięki za otwarcie drzwi. Idę na górę.
Kiedy zmierzał ku schodom, buty jego zadudniły głuchym echem w hallu. Zatrzymał się i przysiadł na stopniach.
— Trzeba je ściągnąć — powiedział — bo obudzę ojca i matkę. Wątpię, czyby się ucieszyli widząc mnie pod gazem, nawet jeśli to był raut na cześć Pierwszej Gwardii Miejskiej. — Zaczął bez skutku targać cholewami.
— Ja pomogę — powiedziała Małgorzata.
— Nie da rady bez imadła. Zaprószyłem się i nie pamiętam, gdzie stoi.
— Ojcu nieraz zdejmowałam buty. Pokażę panu, jak. — Podniosła mu prawą nogę, odwracając się stanęła nad nią okrakiem, schwyciła rękami za obcas i powiedziała: — Niech pan oprze lewą nogę na tylku i pchnie.
Z chwilą gdy to powiedziała, uświadomiła sobie, że to co robi, jest wulgarne i niewłaściwe. Ale za późno było si cofać.
— To chyba wstyd — zastanowił się. — Chociaż...
Oparł nogę na jej siedzeniu i pchnął... Prawy but zszedł gładko.

— No, teraz drugi — powiedziała kryjąc przed nim rozpaloną twarz.
Schwyciła but i czuła, jak jego stopa w skarpetce zaczyna ją cisnąć w pośladek. Wiercił trochę palcami, aż jej dreszcze przechodziły po plecach. Na chwilę zapomniała o tym, co robi. Więc kiedy pchnął i but zeskoczył z nogi, poleciała potykając się, uderzyła głową w drzwi i zwaliła się na ziemię.
Obudziła się czując, że ją ktoś niesie, nad sobą ujrzała niespokojną twarz panicza.
— Co ci? Potłukłaś się?
Kołysał ją w ramionach. Dziwne. Dwakroć w ciągu jednego wieczoru znalazła się w męskich ramionach i znowu owładnęło nią rozkoszne uczucie słabości. Tym razem wiedziała, że nie odzyska sił. Blask świec migotał na ciemnych kędziorach panicza, nadawał jego oczom tajemniczą głębię.
— Chyba nic mi nie jest — szepnęła. Tak blisko nachylał twarz, że jej oddech muskał mu włosy. Przycisnął ją do siebie, pot jak kropelki wosku toczył mu się po czole. Z trudem przełknął ślinę.
— To dobrze — powiedział chrapliwym głosem. Ostrożnie postawił ją na ziemi.
— Na pewno nic ci nie jest?
— Nic — szepnęła jak we śnie.
— Dziękuję ci bardzo — powiedział. — W takim razie, pójdę sobie. — Schwycił buty i nieledwie pognał po schodach nie oglądając się ni razu.
Weszła do północnego salonu i siedziała na sofie, póki nie otrzeźwiała. Światło połyskiwało na rzędach ksiąg oprawionych w skórę, ze złoceniami tytułów na grzbietach. Wstała, wzięła świecę i zaczęła przeglądać półki. Znalazła. „Faust". Krzysztof Marlowe. Z książką wróciła na kanapę, pomaleńku przeglądała kartki. Szukała długo, litery zaczęły już migać jej w oczach jak stada ruchliwych mrówek, zanim wyłonił się przed nią ów wiersz.
„...I poszły z dymem płaskie wieże Troi? Słodka Heleno, daj mi nieśmiertelność swoim pocałunkiem..."

Zamknęła książkę, zdołała ją jakoś odstawić na miejsce i poszła wolno do swego pokoju. W głowie czuła większy zamęt niż wtedy, kiedy uderzyła nią o drzwi.

5.

Leżała w łóżku na drugim piętrze domu Claytonów, przyciskając do poduszki rozpaloną twarz, wsłuchując się w posępne bicie serca. Niemal miesiąc upłynął od owej nocy, kiedy panicz wrócił podchmielony do domu i chciał ją pocałować. Od tamtej chwili wciąż trawiła ją gorączka.

Był już wrzesień. Jutro panicz wyjeżdża z powrotem do Harvardu. Cieszyła się z tego. Ohydne były minione tygodnie. Ilekroć miał wrócić późno do domu, a wszyscy już spali, jakaś dziwna siła ciągnęła ją na dół do hallu; wsłuchiwała się w odległe kroki na ulicy i otwierała mu drzwi. Początkowo uśmiechał się przyjemnie, dziękował jej i szedł na górę bez dalszych ceregieli.

Aż raz powiedział niemal ostro:

— Nikt ci nie każe czekać na mnie, Małgorzato.

Odtąd nie śmiała otwierać mu drzwi, ale wyczekiwała w cieniu w głębi korytarza, tak aby mógł ją spostrzec. Za każdym razem zdawało się, że coraz bardziej go to niepokoi. Wracając przedwczoraj spojrzał w głąb korytarza i czmychnął po schodach, jakby go sam diabeł gonił. Wstydziła się okropnie swojego postępowania, ale była bezsilna. Potrzebowała tego jak lekarstwa, choć nie przynosiło jej ulgi. Niech przejdzie tylko dzisiejsza noc, a wyzdrowieje na pewno. Bo dzisiaj nie przemknie cichaczem przez uśpiony dom, kiedy z ulicy odezwą się jego kroki.

Serce łomotało jej w piersiach. Głośniej niż powinno. Uniosła głowę: łoskot się zróżnicował. Tu stukało jej serce. A na bruku sunął przez noc pijany stukot butów. Więc wraca do domu, znowu pod dobrą datą. W odgłosie jego kroków kryło się coś zuchwałego. Nie zejdzie na dół. Nie zejdzie. Ale powtarzając to sobie, już

wyskoczyła z łóżka, narzuciła szlafrok na nocną koszulę, wsunęła pantofle i zbiegła po schodach. Kiedy znalazła się w hallu na dole, z tamtej strony klucz dobijał się ze złością do zamka. Tym razem nie zatrzymała się w cieniu. Jakby ktoś inny nią kierował, pomknęła i otworzyła drzwi.

Wlepił w nią oczy, twarz miał nakrapianą plamkami światła i cienia.

— Liczyłem, że tego nie zrobisz — powiedział szorstko. Nie mogła zdobyć się na żadne słowo. Ostry dreszcz przebiegł jej po nogach, wstrząsnął całym ciałem, dziwnie ją pobudził.

Zamknął za sobą drzwi.

— Piłem — powiedział. — Tym razem nie ja, tylko ty lepiej zmykaj na górę.

Miała przed sobą jego twarz, z bliska doleciał ją zapach wódki, ostry i dojmujący. Nie potrafi uciec, choćby samo piekło miało ją pochłonąć.

Wyciągnął ręce, rozchylił jej kołnierz, szarpnął, aż szlafrok sam opadł na ziemię.

— Śliczna jesteś — powiedział ochryple. — Jak ci się wydaje, dokąd można noc w noc drażnić się z mężczyzną?

Ktoś posłużył się jej głosem i powiedział:

— Więc ty jesteś mężczyzną? Nigdy bym nie zgadła. Podziałało to jak iskra na proch. Twarz mu się skurczyła, palce zacisnęły się na nocnej koszuli, wczepiły się w tkaninę i zdarły ją z niej. Przycisnął ją do siebie. Ubranie jego przylgnęło do niej szorstko, duże guziki kurtki wpijały się w nią kawałkami lodu. Ostry zarost zostawiał po sobie rozkoszny, drażniący ślad na jej twarzy, szyi i ramionach. Zaniósł ją do północnego salonu, zrzucił poduszki na podłogę i rozpostarł ją na nich.

Nie władała już swoim ciałem. Czuła się w nim jak sublokator, który odnajmuje maleńki pokoik — odrobinę świadomości. Stamtąd śledziła, jak ciało jej w rękach mężczyzny zmienia się w giętkie tworzywo, które on układa w każdy kształt, jaki

mu odpowiada. Usiłowała odzyskać zmysły uświadamiając sobie, kim jest i co się z nią dzieje.
Nazywa się Małgorzata O'Donnell, pochodzi z hrabstwa Clare, znajduje się w znakomitym domu Claytonów w Filadelfii. To lśni statuetka, która od trzech pokoleń trwa w rodzinie. Dostojne tik-tak dobywa się ze stojącego zegara, co ma sto lat, a może więcej, i zrobiony został w Londynie. Wysoko na ścianie wisi olejny portret. To któryś Clayton; żył, kiedy jej jeszcze na świecie nie było. Wstrzymując się od sądu, śledzi ze spokojem, jak młody Clayton bierze na podłodze małą irlandzką dziewczynę. „Nie wiem jeszcze — mówi sobie w duchu — jakie to może mieć znaczenie dla naszej rodziny, bo może żadne? Więc na razie będę się tylko przyglądał". Po jego minie widać, że nie trapi się tym, czy to ma, czy nie ma znaczenia dla małej irlandzkiej dziewczyny.
Ciepła fala coraz silniej uderzała jej do głowy. Pluskała o ściany małego pokoiku, w którym się schroniła. Próbowała raz jeszcze opowiedzieć sobie o Małgorzacie O'Donnell i o tym, co się z nią dzieje, ale prąd stał się zbyt rwący. Westchnęła lekko i pozwoliła mu się ponieść.
— Małgorzato! — powtarzał. — Małgorzato!
Uniosła ociężałe powieki i zobaczyła, że pochyla się nad nią. Leżała wciąż na poduszkach na podłodze, ale zdążył już okryć ją szlafrokiem.
— Jestem tu — szepnęła głupio, ale naprawdę chyba nic innego nie miała mu do powiedzenia.
Wyglądał marnie i blado, rysy mu się wyostrzyły.
— Strasznie cię przepraszam — powiedział. — Nie wiem, co mną owładnęło.
Instynkt mówił jej dokładnie, co powinna zrobić. Okryć się szczelnie szlafrokiem, zapłakać cicho, powiedzieć mu, że kochała go bez pamięci, a on się z nią tak obszedł. Każda dziewczyna mogłaby to zagrać na poczekaniu. Z kolei on, jako normalny i wrażliwy młody mężczyzna, poczuje dumę i wstyd i zapragnie otoczyć

ją opieką. Cały kłopot w tym, że nie chciała grać. Płakać nie miała ochoty. Nie czuła się słaba i bezbronna. Była silna, wykorzystała siłę mężczyzny wbrew niemu, czuła się świeża, szczęśliwa i dumna.

— A za cóż to masz mnie przepraszać? — spytała.

— Wszak... — bąkał. — Wszak... Za to!

— Pragnęłam ciebie — powiedziała — i sama doprowadziłam do tego, żeś mnie wziął.

Zerwał się na równe nogi.

— Nieprawda! — krzyknął. — Nie wierzę ci! To moja wina i...

— Mam beczeć i zawodzić z żalu? To by się panu podobało, paniczu Glendenning?

— Jak możesz brać to w ten sposób?! To cię upodabnia do... do... nie, nie powiem tego! Małgorzato, nie jesteś w tej chwili sobą. Przeżyłaś straszną rzecz i wszystko ci się w głowie pomieszało.

— Przeżyłam — szepnęła — cudną, wspaniałą rzecz i jestem dumna z tego.

Zdławiony okrzyk wyrwał mu się z ust. Odwrócił się i ruszył w stronę hallu. Raptem okręcił się na pięcie.

— Małgorzato — powiedział niemal błagalnie.

Przeciągnęła się leniwie i uśmiechnęła do niego. Zawrócił gwałtownie, potykając się pobiegł na górę po schodach. Jutro wyjedzie, może bez słowa, ale gdyby miała to zrobić jeszcze raz, postąpiłaby zupełnie tak samo. Dzięki temu zostawało jej dumne wspomnienie. Inaczej to, co się stało, byłoby tylko czymś podłym i hańbiącym. Spojrzała na olejny portret Claytona, który żył na świecie dawno temu. Zdawało się, że ma powieki spuszczone, przestał się nią zajmować. Być może doszedł do wniosku, że — tak jak się rzeczy miały — sprawa będzie dla Claytonów bez znaczenia, choćby nie wiadomo co miała znaczyć dla Małgorzaty O'Donnell.

6.

Tego ranka cały dom przeczuwał, że coś się stanie. Małgorzata przed godziną skończyła sprzątać na górze, ale pani Clayton jeszcze nie zawołała na nią, żeby jej zlecić coś do cerowania. Nie powiedziała też kucharce, pani Muller, co ma dziś zrobić na obiad, i kucharkę diabli brali. Na ulicy przed domem Jerzy Symes czekał, aby zawieźć panią na rynek. Jemu też dogryzało czekanie. Zimno było tego styczniowego ranka 1860 roku, konie tupały na mrozie w pierzastych obłokach pary.

Małgorzata nie denerwowała się. W sypialni na pierwszym piętrze siedziała spokojnie na krześle, trzymając się prosto, aby maleństwu, które w niej rosło, dać dużo miejsca. Któż by przypuszczał, że dziecko może tak wyrość zaledwie w cztery miesiące. Powinna chyba martwić się o swoją przyszłość, ale nie potrafiła zupełnie skupić myśli. Niczego nie pragnęła więcej w owych dniach, tylko zamknąć oczy i płynąć spokojnie z prądem wielkiej łagodnej rzeki. Być może gdzieś tam czekał wodospad albo skalne progi, albo wirowisko wzburzonych nurtów u ujścia do morza, ale w żaden sposób nie mogła przywołać się do przytomności. Nawet sama pani Muller nie potrafiła wytrącić jej z tego snu, kiedy przed dwoma tygodniami jej wścibskie i złe oczy zauważyły wypukłość brzucha Małgorzaty.

— Tyjemy trochę w pasie — powiedziała pani Muller.

— Bo też i jem za dużo — odparła Małgorzata.

— Hm. A może jesz za dwoje, co? Lepiej ty namów tego Symesa, żeby zrobił z ciebie uczciwą niewiastę. Już ty mnie nie oszukałaś wtedy, jak wróciłaś ze stajni cała wytarzana w sianie.

— Z Symesem nic mnie nie łączy.

— No, chyba coś cię połączyło tamtej nocy. Czekaj, niech no pani spostrzeże.

— Tylko spróbuj coś jej powiedzieć — rzekła zimnym głosem Małgorzata zbliżając się do kucharki. Ta się cofnęła.
— Czego mi grozisz? — odparła. — Nie potrzebuję nic mówić. Ona ma oczy. Jeszcze z miesiąc, a ślepy zobaczy.
To było przed dwoma tygodniami. Jeśli przewidywania pani Muller były słuszne, Małgorzacie pozostawało jeszcze pół miesiąca spokoju.
Z dołu nadleciał głos: — Małgorzato. Och, Małgorzato. — To pani Clayton nareszcie zdecydowała się zająć domem.
— Słucham, jaśnie pani — zawołała Małgorzata i zeszła na dół.
W chwili, kiedy ją ujrzała, wiedziała już, że spokój przepadł. Pani Clayton obrzuciła ją tym szczególnym spojrzeniem, którym kobieta przygląda się kobiecie chcąc sprawdzić, czy tamta spodziewa się dziecka.
— Małgorzato — powiedziała — proszę dać znać Jerzemu, że dzisiaj nie będę potrzebowała powozu. Ale kiedy wyprzęgnie konie, chcę go mieć pod ręką.
Dziewczyna wyszła na ganek i przekazała polecenie.
— A teraz — powiedziała pani Clayton — chcę z tobą pomówić. — Zaprowadziła ją do północnego salonu, usiadła i wskazała Małgorzacie miejsce na kanapie. — Zajmowałam się tobą może nie najwłaściwiej, Małgorzato — powiedziała ostrożnie. — Jesteś bardzo młoda i niedoświadczona. Chyba powinnam była baczniej ciebie doglądać.
W jednej chwili znikło na wpół senne odrętwienie, w jakim Małgorzata żyła przez ostatnie cztery miesiące. Skupiła się w napięciu jak kot, którego pies przyparł do muru.
— W jakim sensie, proszę pani?
— Ty wiesz, w jakim — odparła pani Clayton nieco ostrzejszym tonem. — Mówię o mężczyznach.
Pies więc zaszczekał i robi drobne wypady, żeby zmyli kota.

— Niewiele o nich wiem — odpowiedziała.

— Nie rób tajemniczych min! O jednym przynajmniej wiesz więcej, niż potrzeba. Czy Symes prosił cię, żebyś wyszła za niego?

— Tak, proszę pani.

— Miło mi słyszeć. Ustaliliście termin?

— Chce, żeby latem.

— Latem! — zawołała pani Clayton. — Czy ten człowiek oszalał? Nie wie, że ty... że ty masz... no...

— Że ja mam mieć dziecko? Nie, proszę pani, nie wie.

— Spodziewasz się w czerwcu, prawda, Małgorzato... dziecka?

— Kto pani mówił? Kucharka?

— To nie ma nic do rzeczy. Więc nie przyznałaś się Jerzemu. Chyba ze strachu. No, dopilnuję, żeby to załatwić. Kiedy pan wróci na obiad, już ja się postaram, żeby porozmawiał z Jerzym. Nic się nie bój, Małgorzato. Weźmiecie ślub na przyszły tydzień i dostaniesz ładny prezent. Taki ładny, że Jerzy poślubi cię z ochotą. Znam tego młodziana. Jeśli ma jakieś wątpliwości, pieniądz je rozproszy.

Takim chłodnym tonem zostało to powiedziane, a jednak wylazło szydło z worka. Słówko „wątpliwości" pani Clayton wymówiła odrobinę za szybko. Zupełnie, jakby uważała, że kwestia powinna być podniesiona, ale nie należy się nad nią rozwodzić.

— Jakie to wątpliwości ma pani na myśli? — spytała Małgorzata.

— Cóż, mężczyźni lubią zwlekać ze ślubem. Ale Jerzy nie będzie, już my się o to postaramy.

— Nikt Jerzego do niczego nie zmusi.

— Nie znasz naszego pana, Małgorzato. Nic nie wiesz.

— Za przeproszeniem, jaśnie pani też czegoś nie wie. To dziecko mam nie od niego. Nigdy mu na nic nie pozwoliłam. Więc nikt nie może zastraszyć Jerzego, żeby się ze mną ożenił.

Otóż to. Wyszło na jaw. Słowa — choć ich nie widać — wiszą ostre i kolczaste między nią a panią Clayton, nie da się ich złapać w garść. Pani Clayton wstała, podeszła do frontowego okna. Twarz miała bladą jak kamea przypięta do jej śliwkowej sukni.

— Nie chodziłaś z nikim innym — powiedziała do okna.

— Nie, proszę pani.

— Mam zapytać, kto?

— Czy powinna pani wiedzieć? Muszę się zastanowić.

— Zastanowić! — krzyknęła pani Clayton, gwałtownie odwracając się do niej. — Nie potrzebujesz mi tego mówić. Gdybyś miała choć krztynę rozumu, dawno byś się postarała, żeby Jerzy nie mógł się wykręcić pod żadnym pozorem. — Z trudem zaczerpnęła oddech, podeszła do płaszcza i wyjęła coś z kieszeni. — Przyszedł do ciebie list dziś rano — powiedziała i upuściła kopertę na kolana Małgorzaty. Dziewczyna obracała ją w drżących palcach. Nigdy jeszcze nie dostała listu. Nazwisko jej i adres wypisane były druczkiem, a znaczek ostemplowany w Nowym Jorku.

— Ja... pójdę tylko do siebie i przeczytam — powiedziała.

— Ani mi się waż! — syknęła pani Clayton. — Znam pismo swojego syna, choćby nawet kaligrafował druczkiem. Od godziny już tu siedzę jak na rozżarzonych węglach.

— To nie może być od niego, proszę pani! Zatrzymał się na święta w Bostonie. A list jest z Nowego Jorku.

— Pieczątka nic nie znaczy. Ktoś mu go nadał. Otwórz! Na chwilę Małgorzatę ogarnęło przerażenie. Ale zaraz się uspokoiła. Mogli zrobić jej tylko jedno:

spróbować zabrać dziecko. Niech spróbują, to zobaczą, co znaczy walka. Spojrzała na odwrotną stronę koperty.

— Nie otwierała pani — powiedziała. — To bardzo ładnie o pani świadczy.

— Dużo mnie to kosztowało — przyznała ponuro pani Clayton.

Małgorzata otworzyła kopertę i zaczęła czytać list. Oto, co pisał:

„Droga Małgorzato! Ufam, że zastaję cię w świetnym zdrowiu. Od kilku tygodni nosiłem się z myślą napisania tego listu, który oddam przyjacielowi, aby go nadał z Nowego Jorku. Zapewne tłumaczyłaś sobie na swój sposób, dlaczego nie przyjechałem na święta do domu, i może domyśliłaś się, że będzie rozsądniej, abyśmy się więcej nie spotykali. Rzecz by się miała inaczej, gdybyśmy odkryli w sobie szczere i poważne uczucie. Tymczasem wygląda na to, że nic takiego nas nie łączy, co sama dałaś mi do zrozumienia w ową noc przed moim wyjazdem na uniwerek.

Żyłem nadzieją i wiarą, że nasz lekkomyślny uczynek nie pociągnie za sobą skutków, i obecnie ośmielam się wnioskować, iz tak się istotnie stało, skoro dotychczas nie zaprzeczyłaś temu ni słowem. Gdyby się stało inaczej, postarałbym zachować się tak, jak przystało na człowieka honoru.

***Skoro jednak problem nie powstał, ufam, że pomożesz mi rozwiązać pozostałą kwestię, ułożyć sprawę tak, abyśmy się więcej nie spotykali. Zrozumiałe, że nie mogę wiecznie pozostawać poza domem, byłoby więc wskazane, żebyś poszukała sobie innej posady. Moje osobiste środki są ograniczone, ale służę ci nimi całkowicie, abyś mogła się utrzymać, zanim wyszukasz sobie odpowiednią pracę u innej rodziny. Szczerze oddany sługa, Glendenning Clayto*n".**

Małgorzata skończyła czytać list i uśmiechnęła się słabiutko. Taki wydawał się daleki i obcy. Ale przecież prawie zawsze wyglądał obco, choć tak przystojnie, aż jej oddech w piersiach zatykało.

— Masz śmiałość dać mi do przeczytania? — powiedziała pani Clayton.

Małgorzata podała jej list. W miarę czytania ostre zmarszczki wokół ust pani Clayton złagodniały, głowa się uniosła, różowe plamki chmarą rozbłysły na policzkach.

— Nie udał ci się podstęp — powiedziała. — Zapomniałaś o miłości albo przynajmniej o jej pozorach. A tak on się nigdy z tobą nie ożeni.

— Wcale o tym wszystkim nie myślałam, proszę pani.

— Nie myślałaś. Niewiniątko. Irlandzka dzierlatka, a chwyta co najlepsze pod ręką. Powinnam była poznać się na tobie tego dnia, kiedy cię wynajmowałam. Choćby po tym, jak zadarłaś spódnicę, albo po tym, jak upierałaś się, żeby cię nazywać Małgorzatą, a nie Małgosią. Pomyślałam sobie wtedy: czy ta dziewczyna nie mierzy za wysoko? Czy będzie pamiętała, czym jest? I dałam sobie mylną odpowiedź.

— Przykro mi, że wyrządziłam pani krzywdę. Wcale tego nie chciałam.

Pani Clayton dwakroć przeszła się tam i z powrotem po salonie. Za każdym razem mijając kominek wahała się chwilę i nie bez trudu ruszała dalej.

— Chciałaby pani spalić ten list? — spytała Małgorzata. Pani Clayton drgnęła, przyjrzała się przez ramię dziewczynie.

Zaśmiała się krótko.

— Sprytna z ciebie sztuka, Małgosiu.

— Małgorzata, proszę jaśnie pani. Jeśli chce pani mojej zgody, to proszę, może go pani spalić.

— A fe, dziewczyno. Mogłam rzucić go w ogień, nim pisnęłabyś choć słowo.

— Ale wstyd by pani było.

— Doprawdy jesteś niezwykła. Nie posądzałam cię o taką wrażliwość. Mogę spalić list, Małgorzato?

— Tak, proszę pani.

Żółty płomyk wyskoczył z węgli, liznął papier i pomału pochłonął list.

— Nareszcie — powiedziała z ulgą pani Clayton. — Zastanówmy się teraz, co dalej robić. Cieszę się, że jesteś rozsądna. Oczywista, na nowej posadzie długo byś miejsca nie zagrzała. Namawiam cię na powrót do Irlandii. Zaopatrzymy cię w pieniądze na drogę. Ponadto sumę dwóch tysięcy dolarów wypłaci ci bank w Dublinie, w ratach po pięćset dolarów rocznie. Z takimi pieniędzmi przy duszy bez trudu znajdziesz sobie męża w Irlandii. Ostatecznie wszystko wyjdzie ci na dobre.
— Wdzięcznam pani wielce — powiedziała Małgorzata. — Ale proszę zatrzymać sobie te pieniądze. Nie wracam do Irlandii.
— Więc jakie masz zamiary? Zostaniesz tutaj i spróbujesz zmarnować mu życie? Spróbować możesz, i możliwe, że ci się to uda. Ale nie zyskasz na tym złamanego grosza. Dobrze sobie pomyśl, Małgorzato.
Dziewczyna zacisnęła ręce, jak gdyby liczyła, że da się wyżąć z nich trafną odpowiedź. Ciężko było myślom zamienić się w słowa, zwłaszcza że ją samą gnębiła niepewność. Jak mogła powiedzieć pani Clayton, że przecież dokonała wspaniałej rzeczy, której nie wolno zbrukać pieniędzmi ani wstydliwą ucieczką do Irlandii, kiedy pani Clayton uważała, że była to rzecz okropna?
— Pani mnie nie rozumie, proszę pani — powiedziała z przekonaniem. — Za nic nie chciałabym wyrządzić krzywdy Claytonom. Odejdę bez żadnych kłopotów.
— Ale co będziesz robić? Z czego będziesz żyć?
— Mam swoje plany — powiedziała. To było kłamstwo, ale dzielne, dumne kłamstwo, które pozwoliło tej z O'Donnellov spojrzeć prosto w oczy tamtej z Claytonów, bez bzdur o należnej pokorze. — Więc się pożegnam, proszę pani.
Poszła na górę do swojego pokoju i szybko się spakowała. Miała już torbę podróżną z samodziału, całkiem jeszcze nie używaną, miała też co do niej włożyć: piękne ubrania. Suknie te należały niegdyś do pani Clayton, przez chwilę myślała, czyby ich nie zostawić. Wybiła to sobie z głowy. Mogła dla dumy poświęcić dwa tysiące dolarów, ale nie daruje ubrań, które jej się słusznie należały. Zapracowała

na nie. W ciągu dwóch i pół lat służby u Claytonów odłożyła sobie pięćdziesiąt dolarów. Znajdzie jakieś zajęcie, zanim oszczędności się skończą.
Zeszła głównymi schodami niosąc torbę z samodziału. Służąca powinna korzystać z kuchennych schodów, ale nie była już służącą, a poza tym nie chciała się spotkać z panią Muller w kuchni. Widok torby podróżnej dałby jej bardzo dużo do myślenia. Mijając hall Małgorzata pochwyciła swoje odbicie w zwierciadle. Przypomniały jej się owe piękne sceny, którym się przyglądała nocą, gdy w salonie odbywały się przyjęcia, zaczajona w dogodnym punkcie, gdzie padał refleks lustra. Przypomniała sobie, jak marzyła o tym, aby móc zanurzyć się w zwierciadle i uczestniczyć w owych wspaniałych widowiskach. No cóż, spróbowała i lustro prysnęło jej w twarz, a cudne widoki zginęły w oczach. Nacisnęła klamkę. Od strony kuchni ktoś wołał ją po imieniu. To pani Clayton szukała jej na kuchennych schodach. Małgorzacie nie wydawało się, żeby coś więcej miały sobie do powiedzenia, wyszła więc i po raz ostatni zamknęła za sobą drzwi.
Szła ulicą czując, jak szczypie styczniowy mróz, a śnieg skrzypi pod nogami. Ogarniał ją chłód, podstępne zimno, nie mające nic wspólnego z pogodą. Teraz, kiedy tupet ją opuścił, czuła lęk. W mieście nie miała się do kogo zwrócić. Czekał ją ciężki los, a nie była pewna, czy ma dość odwagi, aby mu sprostać.
Ktoś ją gonił wołając głośno. Odwróciła się. Zostawiając za sobą smugę pary nadbiegał Jerzy Symes, bez płaszcza i kapelusza.
— To ci dopiero! — wysapał doganiając ją. — Boisz się zostać ze mną i nie dać się?
Nogi pod nią zadrżały. Jerzy był dobrym, solidnym człowiekiem. Jeśli okaże jej sympatię i zrozumienie, zdobędzie ją raz na zawsze, na całe życie, nigdy nie przestanie go uwielbiać.

— Nie byłam pewna, czy zechcesz mnie widzieć — powiedziała słabym głosem.
— Przypuszczam, że wiesz. Takie rzeczy szybko się rozchodzą, a cóż dopiero z pomocą pani Muller.
— Co to za jeden? — rzekł Jerzy. — Mnie to trzymałaś z daleka, a tamtemu pozwoliłaś? W czym to był lepszy ode mnie?
— Nie chcę o tym mówić.
— Ale ja chcę, ty irlandzka suczko. Za nos mnie wodziłaś, że się pobierzemy.
— Po to leciałeś taki kawał drogi, żeby mi powiedzieć, że nie chcesz się ze mną ożenić. Choćby po samym moim odejściu mogłeś się domyślić, że dawno wiem o tym.
— Nie mów za mnie! Sam nie wiem, co myśleć. Jak raz powezmę jakiś plan, nie porzucam go łatwo. Muszę się zastanowić. Jak zobaczę, że tego mocno żałujesz, to może jakoś się dogadamy. Ale niczego ci nie obiecuję, pamiętaj.
Chciał więc, żeby się popłakała, pobeczała trochę i żebrała o przebaczenie. W jego mniemaniu to jemu należało się współczucie i zrozumienie. I w pewnym sensie miał prawo tak odczuwać, ale będzie w owym odczuciu osamotniony.
— Przykro mi, Jerzy — powiedziała — ale więcej się nie zobaczymy.
Odwróciła się i poszła. Czekał ją ciężki los i być może nie potrafi mu sprostać, ale nareszcie wiedziała, że ma odwagę spróbować.

7

Szybki w oknie, stare i faliste, w czerwcowym słońcu wyglądały tak, jakby za chwilę miały się roztopić. Pokój Małgorzaty mieścił się na poddaszu domu przy Targowej, w pobliżu Trzeciej Ulicy. Sufit był niski i dach trzymał gorąco niczym pokrywka na kipiącym garnku. Małgorzata przewracała się na łóżku czując, jak ciało ją piecze i świerzbi od potu. Bóle dokuczały jej potężnie, ściskając ją niczym

przeogromne palce; niezadługo chyba ruchliwa istotka opuści ją, aby wejść w życie.

Raz po raz musiała zwalczać gwałtowną pokusę zawołania gospodyni, pani Cooperman. Nie ufała jednak tej kobiecie. W ciągu ostatnich kilku tygodni pani Cooperman nie kryła się z tym, że nie życzy sobie, aby bękart przychodził na świat pod jej zacnym dachem. Gospodyni nie wiedziała jednakże, że dziecko ma się urodzić w tym miesiącu; tylko to uratowało dziewczynę przed wyrzuceniem na bruk. Komorne miała zapłacone do przyszłego tygodnia, obiecała, że potem się wyprowadzi. Do tego czasu zabraknie jej zresztą pieniędzy, więc pani Cooperman będzie miała jeszcze jeden powód, aby się jej pozbyć.

Po odejściu od Claytonów Małgorzata pracowała dwa tygodnie w przędzalni i tydzień w sklepie. Skoro tylko wychodziło na jaw, że spodziewa się dziecka, bardzo grzecznie wymawiano jej pracę. Pieniędzy starczyłoby jej na dłużej, gdyby nie wydawała tyle na pożywienie. Ale postanowiła sobie, że da dziecku dobry start, bez względu na to, ile by to kosztowało.

Jeśli teraz zawoła panią Cooperman, gospodyni w najlepszym razie odeśle ją do przytułku albo do czegoś podobnego. I mogą odebrać jej tam dziecko.

Wiła się na łóżku nie mogąc rozróżnić kakofonii dźwięków; nie wiedziała, czy to w głowie jej tak huczy, czy też na ulicy pełnej zgiełku. Zgrzyt stali trącej o stal. Tak mogły zgrzytać jej zęby albo koła towarowych furgonów na szynach, skręcających w stronę przystani przy ulicy Portowej, kiedy konie ostatkiem sił pokonują zakręt. Albo też mocny, dźwięczny odgłos. Tak mogło bić jej serce albo wielki dzwon z wieży magistratu, dudniący echem na pożar. Nie wiedziała, czy krzyki, wołania i wrzaski pochodzą z ulicy, czy też z dźwięków zduszonych w jej krtani.

Kilka godzin temu nabazgrała karteczkę do pani Clayton prosząc o pomoc. Dowlokła się do okna i podrzuciła ją chłopakowi od sąsiada, z pięciocentówką

zawiniętą w środku; dał jej słowo, że piorunem poleci do Claytonów. Ale nie można ufać urwisom, nie miała też powodu, aby liczyć zbytnio na panią Clayton. Napisanie tej karteczki kosztowało ją trochę dumy, ale duma znaczyła teraz tyle co nic.

Słońce przechyliło się w stronę zachodu i strzeliło jej blaskiem w oczy. Usiłowała wstać, żeby zaciągnąć zasłonę, ale ciało odmówiło posłuszeństwa i opadła z powrotem na łóżko. Powiadają, że słońce dobrze robi. Chyba przekona się o tym na własnej skórze.

Skądś doleciał lekki zgrzyt, tym razem pisnęły tak zawiasy u drzwi. Z trudem obróciła głowę. Jakaś dama w czarnym jedwabnym czepku pomagała swojej krynolinie zmieścić się w przejściu. Zza jej pleców pani Cooperman zaglądała do pokoju jak kot do mysiej nory.

— Witaj, Małgorzato — powiedziała dama.

Dziewczyna starała się otrzeć oczy z potu, żeby twarz damy przestała się zamazywać i migotać. Była to pani Clayton.

— Och, proszę jaśnie pani — powiedziała — nie zamierzałam pani fatygować.

— Dobrze, że się pofatygowałam. Kiedy się spodziewasz?

— M... myślę, że lada chwila, proszę pani.

— A zaklinała się — krzyknęła pani Cooperman — że nie wcześniej niż w przyszłym miesiącu! Gdybym wiedziała, dawno bym ją stąd przepędziła. Taki zacny dom, a ta zakrada się tu, żeby mieć bachora.

— Cicho, na litość boską — powiedziała zimno pani Clayton. — Proszę mi dać parę czystych prześcieradeł. Potrzebuję trochę gotowanej wody, nożyczek i kawałka czystej, nawoskowanej nici. Wie pani, gdzie mieszka doktor Blakeslee na Jodłowej, niedaleko Czwartej Ulicy?

— Owszem, ale...

— Proszę nie dyskutować. Niech pani po niego pośle. Nie zdąży tu na czas. Zawsze się spóźniają, kiedy ich właśnie potrzeba. Ale cóż szkodzi spróbować.
— A kimże to pani jest — powiedziała gospodyni — żeby wydawać mi polecenia?
— Loganowa Clayton, mąż mój jest prezesem Banku Morskiego. Znajomość ze mną może się pani przydać, jeśli kiedyś będzie pani potrzebowała bankowej pożyczki.
— Och, najmocniej panią przepraszam, łaskawa pani Clayton. Nigdy nie przypuszczałam, że ta dziewczyna może mieć taką orędowniczkę.
— Służyła u mnie, nabawiła się kłopotu i zwolniłam ją. Zechce pani zająć się teraz tym wszystkim?
— Jak najchętniej, proszę pani. Tylko... Z łaski swojej, niech pani ode mnie nie wymaga, żebym pomagała przy porodzie. Nigdy nie mogłam tego znieść.
— Ani ja — powiedziała ponuro pani Clayton. — Ale właśnie mam okazję się nauczyć.
Odprowadziła wzrokiem panią Cooperman zbiegającą po schodach, potem podeszła do okna i zasłoną wygasiła słońce.
— Tak będzie lepiej, prawda? — powiedziała. — Otóż tyle tylko wiem o porodzie, co sama zapamiętałam, a to paskudnie mało. Kiedy poczujesz bóle jeden za drugim, podciągnij nogi i napinaj mięśnie brzucha. Zrobię wszystko, co tylko mogę-
— Czuję wstręt do siebie, że pani mnie tak zastała — powiedziała Małgorzata, ciężko dysząc. — Wstręt budziła we mnie ta karteczka. Ale nie wiedziałam, gdzie się zwrócić.
— Żeby nie ta twoja głupia duma, zaoszczędziłabyś sobie masę kłopotów. Szukałam ciebie po całym mieście, jak tylko odeszłaś od nas.
— Jest pani dla mnie za dobra, proszę pani.
— Nie robię tego dla ciebie. Spłacam dług, jaki mój syn zaciągnął wobec dziecka.

Małgorzatę skręcił ból, krzyknęła:
— To moje dziecko, rozumie pani! Syna mi pani nie zabierze!
— Okropnieś pewna, że będzie chłopiec, co? Bóle przychodziły teraz coraz szybciej.
— Pewno, bo i będzie chłopiec — powiedziała. — I wyrośnie, i zostanie zamożnym człowiekiem. Będzie miał piękny dom, Claytonowie dumni będą, gdy im poda rękę. — Wiedziała, że zaczyna bredzić i pleść trzy po trzy, ale nie mogła się powstrzymać. Od wielu miesięcy przemyśliwała nad tym, co się jej przydarzyło i dlaczego się przydarzyło, aż znalazła odpowiedź. Narosło to w niej, wrzało i szukało ujścia, ale nie miała przed kim z tego się wyspowiadać. — Chciała mnie pani przegnać z powrotem do Irlandii — mówiła dysząc. — No, ale ja tam nigdy nie wrócę. Tutaj wyrosną O'Donnellowie nie gorsi od Claytonów, i niech pani to sobie zapamięta.
Zamilkła, poderwała nogi i usiłowała pomóc dziecku przyjść. Pani Clayton zerwała z niej wilgotne prześcieradło i pomagała Małgorzacie ściskać nogi. Twarz jej całkiem pobladła.
— Dobrze się spisujesz — powiedziała. — No, teraz kończ z tym, prędko.
— Nie wzięła pani tego na serio, prawda, proszę pani?
— Wyszłaś prosto z irlandzkich bagien i pomyślałaś sobie, że tutaj będziesz królową. Tylko to nie tak łatwo.
Ciało miała teraz napięte jak bęben. Czarne fale wciąż zalewały jej oczy i cofały się, kiedy usiłowała wynurzyć głowę.
— Pewno, i wcale nie mam żalu o to, że pani mnie nienawidzi — wyjęczała. — Ale nigdy nie chciałam wyrządzić krzywdy Claytonom. Tylko byliście tacy wytworni i pyszni, i wyżsi nad wszystko, aż zapragnęłam mieć z tego choć odrobinę dla siebie i żeby to nigdy nie przepadło.

— Ech, wy Irlandki. Te wasze gorące ciała. Wam się zdaje, że wystarczy się nimi posłużyć, żeby dostać wszystko, czego dusza zapragnie.
— Dla mnie to jeszcze nie wszystko. Ale dopnę swego, bez żadnej pani łaski. Mój syn będzie coś znaczył w tym mieście. Ożeni się z bogatą panną, taką, co ma piękny dom i dobre nazwisko. Słyszy pani? Słyszy?
Widać było po pani Clayton, że jest prawie tak samo wykończona. Wyglądała kiepsko, bliska omdlenia, pomagając jej w zmaganiach o dziecko. Włosy miała w nieładzie, suknię poplamioną i dzikie spojrzenie. Popatrzyła na nią pogardliwie i powiedziała:
— Już raz mierzyłaś za wysoko i widzisz, co z tego wyszło. Szalona jesteś, żeby próbować jeszcze raz. Tobie się zdaje, że to łatwo. Tobie się zdaje, że wystarczy tylko mieć pieniądze. Tymczasem chodzi o coś więcej. O wychowanie, a o tym nie będziesz miała pojęcia.
— Mój syn będzie dobrego chowu. Z krwi O'Donnellow, dobrej i gorącej, i z waszej chłodnej krwi Claytonów.
— Koń od pługa i koń wyścigowy. Nie wiadomo, co się z tego wylęgnie. Nigdy nie słyszałaś o drzewie genealogicznym, co? Nigdy nie słyszałaś o świadomym doborze krwi, tak że można mieć pewność z pokolenia na pokolenie, co się w wyniku otrzyma. My, w naszym mieście, chcemy być pewni tego, co dostaniemy. A tej pewności nie ma, dopóki próba krwi nie przejdzie z ojca na syna i na wnuka. Jeśli twój ród dokona tego w ciągu trzech pokoleń, będzie to szczęśliwy przypadek. Szansa jest jedna na milion.
— To pycha Claytonów i pieniądze Claytonów mówią przez panią.
— A ty myślisz, że tylko Irlandczycy wiedzą, co to bieda? Pierwsi z Claytonów byli tacy ubodzy, że mogłabyś patrzyć na nich z góry. Przywiózł ich do Pensylwanii pierwszy statek. Na zimę wykopali sobie jamy nad rzeką, na skraju dzisiejszej Targowej, i mieszkali w nich. I nie było żadnych bogatych panien, z

którymi mogliby się ożenić. Kosztowało to Claytonów sto lat, nim czegokolwiek się dorobili, a moją rodzinę osiemdziesiąt, i teraz, kiedyśmy już coś osiągnęli, potrafimy nie wypuszczać tego z rąk, czy to będą pieniądze, czy pozycja, czy wychowanie. Jeśli myślisz, że mogłabyś wyjść za mojego syna i zdobyć to wszystko, jesteś szalona. Nikt z moich przyjaciół nie zechciałby nawet na was spojrzeć. Pozwoliliby wam obojgu stoczyć się z powrotem na dno, a ja nie mogłabym temu zapobiec. Cała więc gadanina o tym, że nie chciałaś Claytonom zaszkodzić, jest głupia. Claytonom byś nie zaszkodziła. Tylko mojemu synowi kazałabyś przestać być Claytonem.

— Niech pani uważa na mojego syna — wydyszała Małgorzata. — On pani pokaże.

Ciało jej wygięło się łukiem, ból nagle z niej opadł i zostawił ją silną i gotową, aby wydać go na świat. Siła ta wolno parła w dół, czuła, jak wyskoczył z niej długim, prostym susem. Wydała krótki, radosny okrzyk, zamknęła oczy i pozwoliła się unieść ciepłym ciemnościom.

Kiedy się obudziła, w pokoju panował rwetes. Jakiś człowiek, zapewne doktor, krzątał się koło niej, pani Cooperman unosiła zawiniątko, a pani Clayton, znów chłodna i zrównoważona, siedziała spokojnie na krześle, zupełnie jakby miała za chwilę częstować swych przyjaciół herbatą.

Doktor wyprostował się, wytarł ręce i powiedział do pani Clayton:

— Będzie zdrowa jak ryba. Te Irlandki to twarde sztuki. Będę tu zaglądał.

— Dziękuję panu — powiedziała pani Clayton. — Proszę mi przysłać rachunek.

Wyszedł z pokoju, Małgorzata i pani Clayton znowu zostały same.

— Omówiłam wszystko z panią Cooperman — powiedziała pani Clayton. — Zadba o to, żebyś miała jak najlepszą opiekę. Napisałam też karteczkę, którą masz pod poduszką. Udasz się z nią do pewnego pana w banku mojego męża. Otrzyma on polecenie, aby wypłacić ci jednorazowo albo w ciągu pewnego czasu sumę

dwóch tysięcy dolarów. Ponoszę tu pewne ryzyko, ale wierzę, że mogę ci ufać. I spodziewam się, że tym razem będziesz rozsądna i przyjmiesz te pieniądze. Faktycznie nie są dla ciebie, tylko dla dziecka.

— Gdzie on jest? — szepnęła Małgorzata. — Chcę zobaczyć swojego syna.

Pani Clayton podeszła do skrzynki w kącie, podniosła becik i podała jej go.

— Ładne dziecko — pochwaliła. Małgorzata zerknęła na różową twarzyczkę.

— On pani pokaże — szepnęła.

— Wątpię — powiedziała pani Clayton chłodno i obojętnie. — To dziewczynka.

Odwróciła się i wyszła z pokoju.

MARIA
1889—1894

8.

Do późnej młodości Maria O'Donnell nie mogła patrzyć na dziewczęta w swoim wieku bez uczucia pogardy. Były tak okropnie głupie. Zbierały się w hałaśliwe, rozszczebiotane gromadki, niczym angielskie wróble, których plaga spadła ostatnio na Filadelfię, i trajkotały wyłącznie o sukniach i kawalerach. Każda z nich utrzymywała, że czeka na właściwego konkurenta, ale jakoś stawał się nim zawsze pierwszy lepszy, który się nawinął.

Naturalnie, ona też miała swój ideał, ale ideał nieprzeciętny. Musi pochodzić z wyższych sfer Filadelfii, ze znakomitej rodziny. Z pewnością niełatwo będzie go zdobyć. Dorastając więc przygotowywała się bardzo starannie do tego. Co wieczór przeciągała szczotką sto razy po swoich długich, czarnych włosach. Cerę

utrzymywała czyściutką jak porcelana i nie rozstawała się z parasolką, kiedy tylko słońce mocno przygrzewało. Zanim położyła się spać, nakładała rękawiczki wysypane od środka mąką owsianą, aby dłonie mieć zawsze bielutkie i gładkie. Matka nauczyła ją, jak ma się poruszać z wdziękiem po salonie, jak siedzieć z nogami przy sobie i lekko skrzyżowanymi rękoma, na wzór dam w domu państwa Claytonów.

Nauczyła się śpiewać i grać na pianinie, gdyż był to dobry sposób przyciągania uwagi panów na herbatkach, nie stwarzając wrażenia, że się o to zabiega. Nieraz, kiedy śpiewała „Przedrzeźniasz, ptaszku" albo „Bena Bolta", młodzi ludzie spoglądali na nią w olśnieniu i przełykali ślinę, aż im grdyki czerwieniały ocierając się o sztywny kołnierzyk. Śmiesznie łatwo mogłaby za któregoś z nich wyjść. Gdyby tylko jednego wybrała i poczęstowała słodkim uśmiechem, niczym konia kostką cukru, zaraz Poczłapałby za nią z powagą. Ale oczywiście żaden z nich ani trochę się nie nadawał.

Od dawna wiedziała, jakie matka pokłada nadzieje w jej zamążpójściu. Pozostało jej wspomnienie, gdy jako mała dziewczynka siedziała na kolanach matki, słuchając opowieści o Małgorzacie O'Donnell, Filadelfii i Claytonach. W śpiewnym irlandzkim dialekcie matki opowieść zamieniała się w cudowną baśń. Przypominała po trosze bajkę o Kopciuszku, z tym, że królewicz nigdy już nie wrócił, a dobra wróżka ograniczyła swe dary do sumy dwóch tysięcy dolarów. Teraz ona miała doprowadzić tę opowieść do właściwego końca.

Uważała, że matka w młodych latach zachowała się głupio i romantycznie. Miała szansę zrobienia zawrotnej kariery, ale nie potrafiła tego wykorzystać. Cóż z tego, że Claytonowie przez pewien czas wściekaliby się, a ludzie patrzyli na młodą parę niechętnym okiem, kiedy po dwudziestu latach wszystko by poszło w zapomnienie, a dzieci by na tym tylko skorzystały. Lepiej było zostać panią

Clayton, chociaż ludzie patrzyliby na nią krzywym okiem, niż jakąś O'Donnell, której w ogóle nie dostrzegali. Ale ona nigdy podobnych błędów nie popełni.
Na szczęście matka wyzbyła się przynajmniej najgorszych romantycznych przywar, skoro jednak potrafiła wydębić dwa tysiące dolarów. Za te pieniądze wydzierżawiła mały magazyn krawiecki na Dziesiątej Ulicy. Pani Clayton zadbała o to, aby subtelnie rozwiązać drażliwą kwestię nieślubnego dziecka. W liście do banku, zlecającym wypłatę dwóch tysięcy dolarów, wymieniła nie pannę, lecz panią Małgorzatę O'Donnell. Bank pomógł pani Małgorzacie wydzierżawić magazyn krawiecki i od tego czasu wszyscy uważali, że jest ona wdową po jakimś panu O'Donnellu.
Maria wychowywała się więc w pokojach nad magazynem, pielęgnowała włosy, dbała o cerę i nabierała manier. W szkole była dobrą uczennicą, miała bowiem bystry umysł i nie zawracała sobie głowy faramuszkami w przeciwieństwie do większości koleżanek. Skończyła szkołę podstawową z wyróżnieniem, została przyjęta do żeńskiego gimnazjum i tam też przewodziła swojej klasie. Potem, aby tylko zapełnić czymś czas, póki nie nadarzy się świetna okazja do wyjścia za mąż, zaczęła sama uczyć. Okazało się, że czasu miała aż nadto.
Pewnej soboty w kwietniu 1889 roku siedziała w pokoju za magazynem przyglądając się, jak matka fastryguje sukienkę. Pomyślała sobie, że matka ostatnio bardzo się postarzała. Włosy miała zupełnie siwe, a twarz pociętą jak gula wosku, na której zwykła hartować nici. Matka nie starała się zresztą walczyć ze starością w przeciwieństwie do wielu innych kobiet; ubierała się stale na czarno nie zdobiąc wysokiego kołnierza u sukni ani opiętych mankietów.
Cóż, jeśli o wieku mowa... Maria spojrzała w wielkie lustro na ścianie i przyglądała się swojemu odbiciu. Można powiedzieć, że nigdy nie wyglądała lepiej, ale jak długo jeszcze mogła liczyć na swoją urodę?

— Mamo — powiedziała — czy zdajesz sobie sprawę, że w czerwcu kończę dwadzieścia dziewięć lat?

Igła śmigała w dół i w górę.

— Czemu nie — odparła matka.

— Stara już jestem, prawda, mamo?

Niebieskie oczy zerknęły na nią znad okularów w stalowej oprawce.

— Ładna jesteś, o to ci chodzi.

— Akurat ładna. Siedzę w sobotę w domu i zastanawiam się, co z sobą zrobić. A jak powiem, że się boję, to co mama na to?

— Ty się boisz? Nigdy w życiu się nie bałaś. A szkoda, bo wtedy może byś się lepiej postarała i znalazła sobie odpowiednią partię.

— Ciekawa jestem, jakim cudem? — powiedziała ze złością Maria. — Gdzie mam znaleźć męża, w magazynie krawieckim? W szkole? Ty miałaś szczęście. Co z tego, że byłaś służącą, ale przynajmniej stykałaś się z ludźmi z towarzystwa. A ja nie mam dostępu do ludzi, którzy coś znaczą.

— Z twoimi zaletami dawno bym dostęp znalazła.

— Tak, ale miałaś jedną zaletę, której mnie brak. Nie wiedziałaś, ile cię dzieli od szczytu, więc skoczyłaś na oślep i o mały włos nie wylądowałaś na nim. A ja wiem, jak okropna przestrzeń mnie dzieli i jak trudno tyle przeskoczyć. Tobie się wydaje, że wystarczy, jak wsiądę w powóz, zatnę konie tak, że się spłoszą i poniosą, a śliczny panicz zaraz mi skoczy na ratunek.

— Udawały się takie i temu podobne rzeczy — powiedziała matka sucho.

— Owszem, ale w książkach.

— Masz ci los. Wszystko przez to całe wykształcenie. Nauczyłaś się, czego zrobić się nie da, zamiast tego, co się da. Nie brak ci urody ni rozumu. Ale lepiej by ci się wiodło, jakbyś miała tego mniej, a więcej serca za to.

Maria zacisnęła pięść, aż paznokcie wbiły się w dłoń.

— Lepiej by mi się wiodło, jakbym miała męża — odparła.
— Nie zmuszałam cię nigdy do żadnych obietnic — powiedziała matka. — Przyjdzie ci ochota wybrać sobie męża spośród swoich znajomych? Proszę bardzo, nie będę miała nic przeciwko temu pod warunkiem, że cię to zadowoli.
— Kiedy nie! Nigdy nie zadowolę się byle czym. Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak mnie to prześladuje. Nie śpię po nocach, bo leżę i myślę, aż mi się robi gorąco, o tym, jak ci Claytonowie ciebie sponiewierali, i o tym, jak im pokażę, że O'Donnellowie też sroce spod ogona nie wypadli. Trawi mnie to jak gorączka. O, ja wyjdę dobrze za mąż i będę kimś, słyszysz?
— Słyszę tyle — powiedziała matka odkładając szycie — że i dzwonek zadzwonił u drzwi. I możesz być pewna, że to nie żaden piękny kawaler przychodzi ci się oświadczyć. Wybacz więc...
Matka wyszła do magazynu. Dłuższą chwilę Maria wędrowała po pokoju kocim chodem, a nie dystyngowanymi kroczkami, jakich się z taką troskliwością wyuczyła. Czasem matka doprowadzała ją do białej gorączki. Przed chwilą oskarżyła ją niemal o chęć poddania się.
— To ty się poddałaś, mamo — szepnęła do pustych ścian. — Mogłaś wyjść za Glendenninga Claytona, ale zabawiłaś się w księżniczkę. I od tej pory stale się w nią bawisz. Zaciekawiłaś się kiedy, co się dzieje z moim ojcem? Zastanowiłaś się kiedy, co się stało ze stangretem od Claytonów, który chciał się z tobą żenić? Nie. Ale ja mogę ci wymienić imiona wszystkich dzieci, jakie mój ojciec ma z piękną damą, którą poślubił, oraz szczegóły każdego przyjęcia u Claytonów, o jakim tylko pisały gazety. Mogę ci powiedzieć, że twój stangret ożenił się z siostrzenicą tej kucharki, która ciebie tak nie cierpiała, otworzył tę swoją zajezdnię i dobrze mu się powodzi. Gdyby któryś z nich pokazał ci się kiedy na oczy, uśmiechnęłabyś się dostojnie i może pozwoliłabyś się adorować. Tak, ty możesz grać księżniczkę. Ale

ja nie, ode mnie się wymaga, żebym wyszła na ulicę i ściągnęła sobie męża za włosy.

W tejże chwili doleciało skądś dudnienie męskiego głosu. Drzwi od magazynu były uchylone; Maria zajrzała przez szparę ciekawa, co to za mężczyzna odwiedza damską krawcową. Jaki: dryblas, garbił się nieco, żeby nie przerastać innych o głowę. Twarz miał raczej pociągłą i chudą, kasztanowe włosy przylizane po bokach i rozdzielone symetrycznym przedziałkiem. Poruszał się po magazynie jak wybujały młody wyżeł starający się zachowywać dystyngowanie. Jego nieśmiały uśmiech prowokował chyba dziewczęta, żeby mu burzyć włosy. Głos miał głęboki i wibrujący jak organy mruczące w basach. Z dudnieniem mieszał się jasny świergot panienki, którą zasłaniały drzwi.

— Nie uważasz, że to wprost cudowne, Heniu? — szczebiotała. — Och, jak ślicznie będzie mi w tym na zabawie. Nie uważasz?

Zdawało się, że co chwila wprost zatyka ją zachwyt. Maria skrzywiła się. Niepojęte, co też dziewczyna może wyprawiać z mężczyzną, kiedy już złapała go na haczyk. Potrafi nawet z samego rana zaciągnąć go do krawcowej, żeby się przed nim kręcić i krygować, pokazywać swoje wdzięki i udowodnić każdemu, jak bez reszty go zawojowała. Maria stanęła w drzwiach, aby zobaczyć, co to za dziewczyna. Ładna bestia, trzeba jej przyznać. Okręcała się przymierzając nowy kapelusz. Miała pulchną buzię i złote kędziory. W domu nazywano ją chyba „Kociątkiem", a ona starała się pilnie, żeby zasłużyć na to miano. Mówiła właśnie:

— Och, Heniu, uwielbiam wprost ten kapelusz! A ty? No, proszę cię, bądź grzeczny i powiedz Klarysie śliczny wierszyk, na dowód, jak jej cudnie w tym kapeluszu.

Mówiła z jakąś domieszką dziecięcej paplaninki. Mężczyzna poczerwieniał i zżymał się jak chłopczyk, któremu kazano recytować wierszyki w obecności nieznajomych.

— Na poczekaniu — wybąkał — nnnie mogę nic wymyślić.
— Możesz, możesz — gruchała panienka. — Henryk jest strasznie — zwróciła się do pani O'Donnell — ale to strasznie inteligentny. Jest wicedyrektorem w Akademii Franklina i kandydatem na samego dyrektora. I wprost cudownie mówi wiersze z pamięci. Chcę, żeby pani posłuchała. No już, Heniu, powiedz wiersz o tym, jak wyglądam w nowym kapeluszu.
Zostało to powiedziane tonem żartobliwym, ale całkiem stanowczo, jakby nie miała zamiaru pozwolić mu się wykręcić pod błahym pozorem.
— Jest taka strofa u Byrona... — wykrztusił rozpaczliwie. — Coś o pięknie i nocy, ale nie bardzo mogę sobie przypomnieć.
Nikt nie zauważył, że Maria stoi w drzwiach. Bez namysłu weszła do magazynu i powiedziała:
— A może o tę strofę chodzi! „Idzie w piękności swej ozdobie, jak noc gwiaździsta bez obłoku; czar, który blask i mrok ma w sobie, w jej twarzy zlewa się i oku".*
Zapadła cisza, zdawało się, że echo jej łagodnego, niskiego głosu pobrzmiewa wśród ścian. On miał oczy okrągłe ze zdumienia, a dziewczyna wlepiła w nią wzrok, jakby co najmniej przed chwilą spotkały się na balu w identycznych sukniach. Z głębi sklepu matka zerkała na nią ciekawie znad metalowych okularów.
— No... no! — powiedziała wreszcie dziewczyna. — Dziękuję pani, nie mam wątpliwości.
— Mój Boże! — westchnął mężczyzna. — Cóż pani ma za głos. A co za pamięć...
Matka odezwała się tonem, w którym czaił się chyba kpiący śmiech:
— Państwo poznają moją córkę, Marię. Mario, przedstawiam ci pannę Klarysę Gomery i pana Henryka Judsona.

— Bardzo mi miło — powiedziała panna Gomery. — Chyba pomaga pani matce prowadzić magazyn?

Maria uśmiechnęła się do niej starając się zmieścić w uśmiechu tyle niechęci, ile tylko się da.

— Uczę angielskiego w żeńskim gimnazjum — odparła.

— Ach, więc oboje jesteśmy nauczycielami! — wykrzyknął dryblas. — Nic dziwnego, że pani zna Byrona. Ależ pani musi mieć świetne kwalifikacje, żeby uczyć w żeńskim gimnazjum. Jest to — zwrócił się do Klarysy — najwyższy stopień w pracy pedagogicznej, jaki kobieta może osiągnąć w naszym mieście.

— Imponujące — powiedziała Klarysa. — No, ale my już musimy iść. Pani Małgorzato, biorę ten kapelusz i proszę mi przysłać rachunek. Za wiersze też dziękuję. Chodź, Heniu.

Wzięła go pod ramię i powiodła ku drzwiom. Nie udało jej się wyjść z szykiem. Judson cały czas odwracał głowę, chcąc powiedzieć coś stosownego na pożegnanie. Wpadł na futrynę drzwi Panna Gomery ze złością szarpnęła go za ramię i pociągnęła dc powozu czekającego przy krawężniku.

— Cóż to za idiotka — odezwała się Maria.

— Nie powiedziałabym — mruknęła stara. — Młoda jest i trochę jej do głowy uderzyła władza nad starszym od siebie mezczyzną. Musi się nią pochwalić.

— Jak ci się wydaje, ile on ma lat?

— Ze trzydzieści. A teraz mnie na pewno zapytasz, czy są po słowie.

— Nic mnie to nie obchodzi.

— W takim razie zatrzymam to przy sobie.

— Więc jak, są?

— Mają być, w czerwcu.

— Słyszałaś tę smarkulę? — wściekała się Maria. — „Biorę kapelusz i może mi pani przysłać rachunek. Za wiersze też dziękuję." Z rozkoszą powiedziałaby mi, żeby jej przysłać rachunek za wiersze.
— No, niezbyt grzecznie z nią się obeszłaś. Dziewczyna robi, co może, żeby ten biedak tańczył, jak mu zagrają, a ty jej włazisz w paradę. Stajesz w drzwiach i mówisz wiersze, wyglądasz jak anioł, a diabła masz za skórą.
— Jak myślisz, czy to prawda, że on ma zostać w przyszłości dyrektorem Akademii Franklina?
— Sama wiesz, co znaczą Gomerowie — odparła matka. — Pewno, że będzie dyrektorem, jeśli tylko zechcą. Mario, nie podobają mi się twoje zamysły.
— Ach, tak? A przed kwadransem kto się na mnie ciskał, że nie potrafię znaleźć sobie odpowiedniego męża?
Matka powiedziała ostro: — To nie dla ciebie, słyszysz? Z jednej strony mierzysz za wysoko, a z drugiej za nisko. Maria puściła to mimo uszu.
— Więc ta dziumdzia chciała mi powiedzieć, żeby jej przysłać rachunek za wiersze, tak? Dostanie kwitek, już ja się o to postaram.

9

Późnym popołudniem w następny poniedziałek Maria O'Donnell siedziała w krytej dorożce obserwując zabudowania Akademii Franklina przy ulicy Akacjowej. Wynajęcie fiakra po to tylko, żeby siedzieć w nim, wyglądało na maleńkie dziwactwo, ale ostatecznie nie mogła na oczach całego świata przechadzać się tam i z powrotem po ulicy. Kryta dorożka pozwalała jej dyskretnie czekać i przyglądać się z ukrycia. Od godziny wypływał ze szkoły strumyk chłopców w niebiesko-złotych czapkach i granatowych kurtkach. A co najmniej przed kwadransem ucichła wrzawa za murem szkolnego boiska, gdzie grano w hokeja. Lada chwila powinien zjawić się on.

Wygładziła płaszcz sprawdzając, czy go nie pogniotła; napuszyła koronki opinające pod szyją skromny szary żakiet. Były odrobinę za strojne, ale łagodziły kanciaste linie kostiumu i zwracały uwagę na jej gładką mleczną szyję. Te zabiegi dla przypodobania się mężczyźnie stanowiły dla niej nowość, krew żywiej zaczęła tętnić w żyłach. Naturalnie, nie była pewna, czy chce Henryka Judsona. Nie będzie to tak świetna partia, jaką sobie wymarzyła. Ale jeśli on pochodzi z dobrej rodziny i rzeczywiście ma zostać dyrektorem, będzie to dla niej duży awans społeczny. Dyrektor Akademii Franklina obraca się w najlepszych sferach, choćby nawet podejmowano go tam przez grzeczność.

Z bramy Akademii wychynęła wysoka postać z zieloną płócienną teczką pod pachą i posuwistym krokiem zbliżała się do fiakra. Maria nachyliła się i przez odsuniętą szybkę zawołała do dorożkarza.

— Niech pan zawróci, jedziemy na Ulicę Dwunastą. I proszę się pośpieszyć.

Dorożkarz schwycił lejce, fiakier zawrócił i poturkotał w dół ulicy Akacjowej. Maria zerkała przez tylne okienko. Obserwowany przez nią mężczyzna minął Trzynastą Ulicę i szedł prosto dalej, a więc nie będzie musiała objeżdżać dorożką całego bloku. Kazała skręcić w Dwunastą Ulicę i zatrzymać się zaraz za rogiem. Zapłaciła, wysiadła, podeszła do rogu i wyjrzała ukradkiem na Akacjową. Nadchodził w odległości jakichś stu metrów, z pochyloną głową i rozwianymi połami płaszcza. Czekała ostrożnie na odpowiednią chwilę i kiedy właśnie mijał róg, zastąpiła mu drogę. Wpadli na siebie; książka, którą trzymała w ręce, poleciała na chodnik.

— Najmocniej przepraszam... — wykrztusił. — Pędziłem tak nie patrząc i... i... — Spojrzał na nią zdumionym wzrokiem. —Czyż to nie panią spotkałem w ostatnią sobotę? Pani mnie chyba nie pamięta, ale... Roześmiała się.

— Pamiętam, pamiętam. Trudno pana nie poznać, kiedy pan ciągle na coś wpada. Ostatnim razem chyba na nasze drzwi?

— Co sobie pani o mnie pomyśli — powiedział żałośnie. — Naprawdę nie zawsze jestem taki ślepy. A niech to, wytrąciłem pani z ręki książkę. — Podniósł ją. — Byron! — wykrzyknął. — Egzemplarz „Childe Harolda"! Cóż za zbieg okoliczności!

Odparła odrobinę zmieszanym głosem: — Właśnie sobotnie zdarzenie przypomniało mi, że nie mam „Childe Harolda" na własność, więc przed chwilą kupiłam go sobie w księgarni.

Jeśli chciał, mógł sobie pomyśleć, że Henryk Judson i Byron od soboty na równi zaprzątali jej głowę.

— Pani ma wspaniałą dykcję. Cóż to za uczta słyszeć ów wiersz w pani wykonaniu. Chłopcy w moich klasach tak okropnie kaleczą poezję.

— Uczy pan angielskiego?

— Tylko w jednej klasie. W dwóch mam łacinę, a resztę czasu pochłania mi papierkowa robota.

— Łacinę — powiedziała. — Jak panu zazdroszczę. W szkole przepadałam za łaciną, ale nigdy nie poznałam jej dobrze. Moi nauczyciele nie mieli do niej serca. Każdy jakby się usprawiedliwiał, że musi uczyć martwego języka.

— Martwego, akurat! — obruszył się Judson. — To opoka, na której nasza mowa się wspiera. Powszechny język nauki i Kościoła katolickiego.

— Mój panie, w zamian za mojego Byrona należy mi się od pana choć kilka strof. Nigdy jeszcze nie słyszałam łacińskiej poezji z ust wielbiciela łaciny. Nie odmówi mi pan?

— Skądże, prawdziwy to dla mnie zaszczyt — odparł. Zadarł głowę, chwilę patrzył w niebo i powiedział: — Anna virumque cano, Troiae qui primus ab oris... Recytował do końca pierwszą strofę „Eneidy". Słowa wibrowały w głębokich tonach jego głosu; nie potrzebowała udawać, że ja wzruszył. Czuła, jak dreszcz przebiega jej po plecach, powtórzyła jak we śnie:

— „O orężu śpiewam i mężach, gnanych przez los w dal od rzegów Troi..." Och, cóż to za potężny wiersz!
— Niech mi pani daruje ten sztubacki wybór — powiedział. — Ale trudno, żeby nauczycielowi łaciny pierwsza księga „Eneidy" nie chodziła po głowie. Wolałaby pani zapewne coś mniej oklepanego. Może Katulla. Tylko że nie zawsze łatwo wybrać z niego odpowiedni fragment. To znaczy, odpowiedni dla niewieścich uszu.
— Kiedy z prawdziwą radością słuchałam. Ten wiersz ma cudowny rytm. Jak krok żołnierski albo jak łoskot morza. Ale nikt mi przedtem tego nie uświadomił.
— Strasznie się cieszę, że się pani podobał.
Zapadło milczenie. Stali patrząc na siebie, rozpaczliwie szukając tematu. Maria wiedziała, że nadszedł moment krytyczny. Nie miała do czynienia ze smarkaczem, którego można złapać na czuły uśmieszek, tylko z poważnym mężczyzną na stanowisku i niemalże zaręczonym z Klarysą Gomery. Nie będzie podtrzymywał znajomości, chyba że znajdzie godziwy powód do przestawania z inną dziewczyną niż narzeczona. Najlżejsza sugestia, że w grę wchodzi pożądanie, może go spłoszyć. Musiała podsunąć mu ów godziwy powód w ciągu kilku sekund, zanim milczenie nie stanie się nieznośne i nie zaczną bąkać konwencjonalnych słów pożegnania.
— Co za pech, że oboje jesteśmy nauczycielami — powiedziała. — Gdybym była studentką, poprosiłabym pana, żeby mi pan przeczytał kilka stronic „Eneidy". W ten sposób zapoznałabym się z Wergilim na całe życie.
— No cóż... — powiedział i urwał.
Miał podjąć decyzję. I chociaż nie wiedział o tym — może najważniejszą w życiu. Czuła, że nie będzie to przelotny flirt. Nie śmiała nagabywać go wprost, bo mógł się wystraszyć. Więc może nie jest pewny, czy dobrze zrozumiał. Albo odczytał

aluzję i uznał, że za daleko została posunięta. Musiała uwzględnić obie możliwości.

— O Boże — powiedziała z lekkim zaskoczeniem. — Teraz widzę, co ja zrobiłam. Doprawdy, niemal obcesowo poprosiłam pana o godzinkę wspólnej lektury. Proszę mi wierzyć, że nie miałam tego zamiaru. Pan jest zapracowany i ostatecznie — wtrąciła lekki uśmieszek — szkoła prywatna nie odpowiada za winy szkół państwowych.

Czy utrzymała rzecz na właściwej płaszczyźnie intelektualnej? Czy dał się złapać na tę pozorną ucieczkę? Czy aluzja do szkół prywatnych i państwowych przemówi do jego poczucia obowiązku? Odstąpiła krok do tyłu, jakby chciała się z nim pożegnać.

— Chwileczkę — powiedział spiesznie. — Nie wolno pani uciec z tak przykrym wyobrażeniem o szkołach prywatnych. Z rozkoszą poczytam pani Wergilego. „Eneidę" mam u siebie w domu, mieszkam niedaleko na tej ulicy, skoczę po egzemplarz, a potem będziemy mogli, hm, zastanówmy się...

— Narobiłam panu kłopotu. Na dodatek nie możemy siedzieć w parku, bo robi się chłodno i zaraz się ściemni. W ogóle kiepski ze mnie pedagog, daję za trudne zadania.

— Skądże znowu. A gdybyśmy zjedli razem kolację, będzie w tym coś złego? Niedaleko, w pobliżu Orzechowej, jest przyjemny lokal. Podają świetną rybę na gorąco. Pani chyba nie pomyśli, że za dużo sobie pozwalam?

Wyglądał w tej chwili rozkosznie, patrząc na nią błagalnie wielkimi zacnymi oczami. Miał w sobie urok szczenięcia, co chce skoczyć po laskę, którą pani rzuciła na głęboką wodę.

Przyniósł z domu „Eneidę" i poszli do restauracji. Wyszukali sobie stolik w zacisznym kącie, żeby nie przeszkadzać nikomu czytaniem. Zjedli razem bardzo miłą kolację. Maria postarała się, aby nie stracić zbyt wiele czasu przez Wergilego.

Po trochu dowiedziała się o Henryku sporo rzeczy. Rodzina jego mieszkała za rzeką w Moorestown, w stanie Jersey. Judsonowie siedzieli w tamtych stronach od dwustu lat, byli wśród nich farmerzy, kupcy, prawnicy. Żaden nie odznaczył się niczym szczególnym — ani w dobrym, ani w złym. Ojciec Henryka był sędzią sądu okręgowego. Henryk zrobił maturę w Princeton, a magisterium na Uniwersytecie Pensylwańskim. Potem dwa lata uczył w gimnazjach w New Jersey, a przed pięcioma laty zaczął wykładać w Akademii Franklina.

— I już pan został wicedyrektorem! — wykrzyknęła Maria. — To nie lada sukces w takim krótkim czasie.

— Stało się to przed pół rokiem — powiedział chichocząc. — Przyznam się pani, że się przeraziłem. Wie pani, przedtem miałem tylko dorywcze godziny, bez stałego zajęcia. Liczyłem na to, że dostanę wreszcie lekcje łaciny, bo to mój ulubiony przedmiot. Tymczasem pewnego dnia nasz stary, doktor Quimby, wzywa mnie do gabinetu. No, myślę sobie, albo chce mnie za coś zbesztać, albo wylać nawet, kto wie. Tymczasem on powiada: „Słuchaj, Henryku, przyglądałem ci się uważnie, dostawałem o tobie dobre opinie. Wiesz, że lata mi idą. Przydałaby mi się wyręka. Chciałbym, żebyś zrezygnował ze wszystkich swoich godzin prócz trzech, został moim zastępcą i pomagał mi w administrowaniu szkołą. Będziesz wicedyrektorem. Co ty na to" I cóż ja na to. Oczywiście, zaniemówiłem.

„Ciekawe — pomyślała Maria — skąd pochodziły owe dobre opinie?"

— Stanowczo jest pan za skromny — powiedziała. — Na pewno wszyscy wykładowcy wiedzieli od dawna, że na to się zanosi.

— Nie, w gruncie rzeczy chyba ich to zaskoczyło. Jeden nawet zrobił uwagę, która mnie zaniepokoiła. Nasz katecheta, trzeba przyznać, to dość krewki gość. No, i ma się rozumieć, nasza szkoła nie jest świecka, więc może liczył, że jako katecheta ma szczególne prawa zostać wicedyrektorem. Powiedział ni mniej, ni więcej: „Warto znać Gomerych, no nie, stary?" To mnie naprawdę rozzłościło.

— Gomerych? — powtórzyła Maria, jakby nie mogła pochwycić związku. — Chwileczkę, panienka, z którą pan był w sobotę, nazywała się chyba Klarysa Gomery. Ale...

— Widzi pani — zaczerwienił się — Klarcia i ja... no, doszło między nami do porozumienia. Wiedziała pani o tym?

— Owszem. Matka mi wspominała. I naturalnie wiem, kim są Gomerowie. Zdaje mi się, że mają dużo do powiedzenia w tutejszej diecezji anglikańskiej, ale co ich łączy z Akademią?

— Pan Gomery jest absolwentem Akademii, ale nie zasiada w Radzie Opiekuńczej. Więc pomyślałem sobie, że katecheta gadał bez najmniejszych podstaw.

— W jaki sposób pan ich poznał?

— Moja matka zna się z panią Gomery z ławy szkolnej. Przyjaźniły się nawet. Więc kiedy zacząłem tu pracować, matka napisała do niej parę słów, zostałem zaproszony na kolację, no i tak to się potoczyło. Przydałem się jako bawidamek na przyjęciach, potańcówkach i tak dalej.

Maria skinęła głową. Chyba każda pani domu skorzystałaby z takiego bawidamka, jak Henryk Judson, z dobrej rodziny, sympatyczny, łatwy do osiągnięcia. Naturalnie, w pojęciu Gomerych nie stanowił odpowiedniej partii, ale też nie miał wygórowanych ambicji, więc nic nie groziło z jego strony dziewczętom z towarzystwa. Chyba przeżyli mocny szok, kiedy Klarysa go sobie upatrzyła. I zapewne to tylko jej sprawka. Maria nie mogła sobie wyobrazić, żeby on potrafił zawrócić w głowie dziewczynie o dziesięć lat młodszej. Albo w ogóle — jakiejkolwiek dziewczynie.

Maria sondowała ostrożnie: — Panna Klarysa musiała być bardzo młoda, kiedy pan ją poznał.

— Och, naturalnie. Miała piętnaście lat. Traktowałem ją trochę jak młodszą siostrę. Uczyłem ją jeździć na łyżwach, w lecie odwiedzałem Gomerych nad morzem, brałem ją na przejażdżki jachtem, więc przebywaliśmy ze sobą od czasu do czasu. Nigdy nie podejrzewałem, że nasze uczucia przerodzą się w coś więcej niż przyjaźń. No, ale tak to już bywa na świecie. Jej rodzice z początku troszkę się zaniepokoili. Nie pozostawało mi nic innego, tylko zapewnić ich, że mam na względzie wyłącznie szczęście Klarysy i że nawet przestanę się z nią widywać, jeśli tak będzie lepiej. Może to niedelikatnie z mojej strony, że pani o tym opowiadam?

— Nie, skądże. Czuję, że jesteśmy już przyjaciółmi i mamy prawo zwierzać się sobie.

— Naprawdę? — podchwycił skwapliwie. — I ja tak myślałem. Aż dziwne, prawda?

— Owszem. Więc państwo Gomery zmienili zdanie na pańską korzyść?

— Nie przypominam sobie, żeby zdradzali ochotę. Ale wszystko jakoś samo się ułożyło.

Uśmiechnęła się. Taki sympatyczny człowiek, a taki chwilami ograniczony. Dla niej cała rzecz była jasna. Panienki pokroju Klarysy umieją zaspokajać swoje kaprysy. Początkowo podkochiwała się w nim chyba po pensjonarsku, ale rodzinka tak jej zaczęła dokuczać, aż panienka postanowiła dać im nauczkę, żeby nie lekceważyli jej zachcianek. Gomerowie ustąpili zapewne przed płaczem i dąsami, licząc, że nim dojdzie co do czego, Klarysa znajdzie sobie lepszego kawalera. Tymczasem nie znalazła, a wycofać się było już za późno.

Z konieczności musieli postarać się o poprawienie pozycji Judsona, nie tracąc nadziei, że romans sam się skończy. Zabiegi o stanowisko wicedyrektora nie musiały ich wiele kosztować. Pan Gomery znał z pewnością wszystkich członków Rady Opiekuńczej Akademii Franklina. Słówko tu, słówko tam — „Macie u siebie

wyjątkowo zdolnego chłopaka, Judsona. Nie uważacie, że się marnuje?" — i sprawa poszła w ruch. Ten czy ów radny napomknął panu dyrektorowi o Judsonie, a pan dyrektor spostrzegł raptem, że ma w gronie nauczycielskim człowieka, o którym najpoważniejsze osoby wyrażają się z uznaniem. Cóż więcej trzeba?
Jeśli wypadki potoczą się normalnym biegiem, Henryk i Klarysa zaręczą się w czerwcu i chyba pobiorą na następne lato. Za rok czy dwa doktor Quimby za namową radnych przejdzie na zasłużony odpoczynek, przyjmując godność dyrektora emeryta. Wówczas Henryk Judson zajmie jego miejsce, wciąż z lekka oszołomiony, do końca nie zdając sobie sprawy, w jaki sposób mu się to udało.
Problem polegał na tym: czy Judson da sobie radę bez poparcia Gomerych? Sam na pewno nie, ale z pomocą ambitnej żony, chyba tak. Naturalnie, ona musi tak tym pokierować, żeby zabierając go Klarysie nie zrobić sobie wrogów z Gomerych. Nietrudno będzie tego uniknąć. Jeśli przeprowadzi sprawę gładko, może nawet zaskarbić ich wdzięczność.
Henryk odprowadzał ją do domu w chłodną kwietniową noc. Wystarczyło parę napomknień i sam umówił się z nią na spacer w następną niedzielę dla dalszych studiów nad Wergilim. Pożegnał się przed drzwiami i dodał:
— Wie pani, chyba nigdy nie zapomnę tej strofy z Byrona.
— No, to posłuchajmy — powiedziała. — Sprawdźmy, czy uczeń dobrze odrobił zadanie domowe.
Powtórzył wolno: — „Idzie w piękności swej ozdobie, jak noc gwiaździsta bez obłoku; czar, który blask i mrok ma w sobie, w jej twarzy zlewa się i oku..." — Chrząknął i dorzucił: — Ten wiersz całkiem nie pasuje do Klarysy. Brzmi tak, jakby został napisany dla pani.
Chrząknął, dotknął kapelusza i uciekł, jakby go ktoś gonił. Maria uśmiechnęła się. Jeszcze się przekona, że na ucieczkę było już za późno.

10

W czerwcowe popołudnie, kiedy tramwaj konny mknął Aleją Girarda, Maria żywo i z przejęciem komentowała przeżycia, doznane w lunaparku. Zawody wioślarskie... cóż to za emocja, prawda? W fotoplastykonie zagłada Pompei po wybuchu Wezuwiusza... tyle wiedzy daje o przedmiocie, nie uważasz? A ten niedźwiadek w zoo... jaki on zabawny, co?

Henryk jednak siedział sztywny i milczący jak kukiełka, dopóki jej się nie pociągnie za sznurek. Tym razem Maria nie umiała znaleźć właściwego sznurka. Zachowywał się tak przez cały dzień. Wiedziała naturalnie, co go gnębi. Niedługo będzie musiał dokonać wyboru między nią a Klarysa. Nie miała wątpliwości, że pragnie jej, Marii, ale czuje się zobowiązany wobec tamtej. Cechowało go bardzo afektowane podejście do rzeczy, chociaż jako mężczyzna nazywał je zapewne poczuciem uczciwości.

W ciągu ubiegłych dwóch miesięcy starała się, jak mogła, aby jego romans z Klarysa wygasł. Starała się, żeby się spóźniał na randki albo odwoływał spotkania z tamtą. Ale Henryk nie należał do tych, co się spóźniają czy nie dotrzymują zobowiązań. Ilekroć usłyszał głos obowiązku, kłusował posłusznie do Klarysy. Był już czerwiec i za dwa tygodnie Henryk zaręczy się z Klarysa, a wtedy uczciwość nie pozwoli mu spotykać się z inną dziewczyną. Sytuacja stawała się rozpaczliwa. Odprowadził ją pod drzwi magazynu i powiedział z ciężkim westchnieniem: — No, dochodzi wpół do szóstej.

Tyle czasu kosztowało go wykoncypowanie tej uwagi. Jeśli potrafi go skusić, żeby został jeszcze dwie godziny, poinformuje ją zapewne, że dochodzi wpół do ósmej.

— Nie zostaniesz na kolacji? Tak byśmy się cieszyły — powiedziała.

— Dziękuję bardzo, ale ja... No, idę gdzieś dziś wieczorem.

To się cały czas rzucało w oczy. Naturalnie, wybiera się gdzieś z Klarysa. Miała ochotę powiedzieć mu, niech sobie robi, co chce, i obrócić się na pięcie, ale nie

mogła sobie na to pozwolić. Odczuwała zresztą satysfakcję przetrzymując go o kilka minut, gdy się spieszył. W ten sposób wymierzała mu karę, bo sumienie go dręczyło, że się spóźni na spotkanie z Klarysa.

— Cały tydzień nie widziałeś się z moją matką — powiedziała. — Wejdź chociaż i się przywitaj.

Wprowadziła go do magazynu. Pozdrowił matkę, wybąkał to i owo o pogodzie. Potem odchrząknął zabierając się do wyjścia.

— Och, przypomniałam sobie — powiedziała Maria. — Chcę ci oddać książkę, którą mi pożyczyłeś. Chwileczkę, zaraz ją przyniosę.

Poszła na górę, znalazła książkę i chciała zejść z powrotem. Ze zdumieniem spostrzegła, że matka czeka na nią na schodach. Czasem potrafiła przenosić się bezszelestnie z miejsca na miejsce jak czarownica.

— Przyjemnie żeście się bawili? — zagadnęła.

— Tak, aż rozpacz ogarnia.

— Moim zdaniem nie potrafisz nim pokierować.

— Oszaleć można — powiedziała Maria. — Zupełnie jak z gumową lalką. Naciśniesz go, to się ugina, a tylko wypuścisz z ręki, znów jest taki sam jak dawniej.

— Dzisiaj lepiej go nie kuś i nie zatrzymuj za długo. Panna Gomery była tu po obiedzie, przyniosła swoją suknię wizytową, żeby ją odrobinę wypuścić w szwach. Wybiera się w niej wieczorem na przyjęcie i lada chwila przyjdzie po nią.

— Tyje, co?

— Owszem, tu troszkę, tam troszkę. Zostawię was na chwilę samych, niech ci to wyjdzie na zdrowie. Ale pamiętaj, że jego panna będzie tu lada moment.

Maria powoli zeszła po schodach i wróciła do magazynu. Henryk siedział na brzeżku krzesła dzierżąc na kolanach słomkowy kapelusz. W takim napięciu, jakby pozował u fotografa przed kamerą.

Zerwał się i powiedział: — Ładnie, że zwracasz mi książkę. No, muszę się po...
— Heniu — przerwała mu łagodnie — co cię dziś napadło? Spojrzał na nią jak uczniak przychwycony ze ściągaczką.
— Napadło?
— Nie odzywałeś się do mnie całe popołudnie. Zrobiłam ci coś złego?
Przeszedł się kilkakroć po magazynie, jakby liczył, że uda mu się zaczerpnąć skądś odwagi.
— Złego? — powiedział wreszcie. — Za całe zło winę przypisuję tylko sobie.
— Ty byś nigdy nic złego nie zrobił. Nie znam lepszego człowieka od ciebie.
— Mylisz się. Zachowałem się nieuczciwie wobec ciebie, Mario. Nie miałem prawa, tak jak to zrobiłem, zabierać ci czasu przez dwa miesiące. Wiem też, że byłem nieuczciwy wobec Klarysy.
— Jak to, Heniu? Nadskakiwałeś jej na każde zawołanie.
— Nie w tym rzecz. Chodzi o to, że czasem wręcz zmuszałem się do tego. A mam się z nią zaręczyć! A powinienem tęsknić za nią bez ustanku! Nie powinno mnie ciągnąć gdzie indziej.
— Ciągnąć... dokąd?
— Musisz mnie o to pytać? Do ciebie, naturalnie. Tak nam świetnie było ze sobą, że nie zdawałem sobie sprawy, co z tego wyniknie, jakiego to dla mnie nabierze znaczenia. Mario, tak dalej być nie może.
Zaczerpnęła głęboki oddech. Czyżby chciał naprawdę podjąć decyzję tak z miejsca?
— Dla mnie też nabrało to sporo znaczenia — powiedziała. — Co chcesz postanowić, Heniu?
Tak, zdecydował się ostatecznie. Zdradzały to napięte mięśnie jego twarzy. Powiedział używając wyuczonej na pamięć formułki:
— Nie wolno nam więcej się spotykać.

Zapadła przewlekła cisza. Za oknem tylko odezwał się tętent kopyt, turkotały koła na bruku. Jakiś powóz zatrzymał się przed domem. Maria czekała tylko na tę chwilę, widziała, jak falują spódnice i halki wysiadającej z powozu Klarysy. Henryk stał odwrócony plecami do okien, z nieszczęśliwą miną wpatrując się w Marię.

— Zgodzę się na wszystko — szepnęła. — Polegam na twoim zdaniu. Heniu, czy wiesz, że nigdy mnie nie pocałowałeś?

— Tak — powiedział ochrypłym głosem. — Wiem.

— Chcę, żebyś mnie pocałował na pożegnanie.

Nie dając mu czasu do namysłu, co to znaczy w kategoriach uczciwości i honoru, zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała go. Przez chwilę miała wrażenie, że tuli się do słupa, nim porwał ją w objęcia. Na kilka sekund. Uwolnił się dysząc ciężko. Ale tych kilka sekund wystarczyło. Przez jego ramię Maria widziała, jak coś przylepiło się do szyby niczym buła błota ulepiona przez urwisa. Buła odskoczyła zamieniając się w pulchną i wściekłą twarz Klarysy.

— Zachowam to w pamięci — powiedział Henryk — na całe życie.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem.

— O ja głupia! — krzyknęła Klarysa. — Dawno powinnam była się domyślić. Niech się pan więcej nie fatyguje, panie Judson. Nie chcę pana widzieć na oczy.

Twarz jej skrzywiła się jak buzia dziecka przed wybuchem histerii, odwróciła się i uciekła do powozu.

— Klarysa! — zachłysnął się Henryk. — Błagam cię, poczekaj. Muszę ci...

Nim wyskoczył ze sklepu, powóz ruszył. Henryk biegł obok wołając, ale dziewczyna siedziała jak z kamienia wykuta; powóz mknął coraz szybciej, aż Henryk zrezygnował z pogoni, przystanął. Maria stojąc w drzwiach obserwowała go. Stał tak z minutę, potem przeciągnął ręką po twarzy i niepewnym krokiem odszedł ulicą.

— No — usłyszała głos za plecami — uwinęłaś się skutecznie, choć paskudnie.
Maria okręciła się na pięcie i zmierzyła matkę złym spojrzeniem.
— Ach tak? Paskudnie? A kto mi powiedział, że tamta się zjawi lada chwila?
— Wcale się tego nie wypieram.
— Wiedziałaś, co zrobię. Jak ci się nie podoba, to dlaczego mnie powiadamiałaś przedtem?
Niebieskie oczy w sieci zmarszczek zerkały na nią ciekawie.
— Nie byłam pewna, co zrobisz, Mario. Ale pomyślałam, że należy ci się okazja, żebyś wybrała sama, tak jak ja kiedyś. Pamiętaj, że ja też mogłam złapać męża.
— I nie złapałaś. Zgodziłaś się wypuścić go z ręki. Uważasz, że zrobiłaś dobrze?
Matka spojrzała w przestrzeń.
— Nigdy nie potrafiłam tego rozstrzygnąć. Ale wiem, że poszłam za głosem serca, a nie rozumu. Więc nigdy mi to nie dokuczało.
— O moje serce możesz się nie martwić. Nie będzie mi dokuczało. Rozumiesz, że ją pokonałam? Ona za żadne skarby nie przyjmie go z powrotem. Tydzień nie minie, jak go tutaj zobaczysz.
— Złapałaś go, nie przeczę.
— Mówiłam ci, że poślę jej taki rachunek, aż jej w pięty pójdzie.
— Zgoda, to ci się udało. Tylko uważaj teraz, czy wy z kolei nie zapłacicie rachunku. Dałby Bóg, żeby nie był bardziej słony, niż ci sie wydaje.

11

Maria O'Donnell Judson siedziała w salonie swego domu przy ulicy Jodłowej kładąc szybkie, zgrabne ściegi na bębenku do wyszywania. Wychodził jej śliczny wzór. Ale i inny wzór, nad którym się napracowała, powinien wyjść nie mniej świetnie. Tegoż kwietniowego dnia 1894 roku zbierała się Rada Opiekuńcza Akademii Franklina, aby wybrać nowego dyrektora. Naturalnie, zostanie nim

profesor doktor Henryk Judson. Z chwilą, gdy doktor Quimby przechodzi na emeryturę, w gronie nauczycielskim nikt nie ma równych Henrykowi kwalifikacji. Minęło pięć lat od chwili, kiedy go poznała. W ciągu dwóch miesięcy doprowadziła do jego zerwania z Klarysa i w takiż czas później wyszła za niego za mąż. Zatem od czterech lat i ośmiu miesięcy haftowała wzór jego kariery tak pieczołowicie, jakby ów deseń miała przed oczami na bębenku do wyszywania. W efekcie Henryk miał zostać dyrektorem. Musiała wykonać tyle zgrabnych ściegów. Choćby dom, w którym mieszkali, przy Jodłowej nie opodal Szesnastej Ulicy. Przyzwoity, dwupiętrowy, w zamożnej dzielnicy. W sam raz dla człowieka, który ma zostać dyrektorem. Dom był murowany, prowadziły doń białe marmurowe schody, które służąca co drugi dzień szorowała. Na razie miejsca mieli aż za wiele, ale w przyszłości matka się do nich sprowadzi, a wtedy przydadzą się wolne pokoje.

Salon został porządnie umeblowany, bez śladu frywolnej chińszczyzny, na którą zapanowała akurat szalona moda. Krzesła, stoliki i sofa były z ciemnego orzecha. Obrazy zdradzały najlepszy Smak: rzymskie i greckie zabytki, Galahad w pełnej zbroi. Aksamitne draperie u okien i drzwi zwisały w głębokich lśniących fałdach, bez żadnych ozdobnych spięć, żeby nie psuć klasycznego efektu. Pokój mówił sam za siebie: można ufać człowiekowi, który tu mieszka. Można mu powierzyć kierownictwo Akademii i wychowanie jej uczniów.

O Henryka zadbała tak samo porządnie jak o dom. Naturalnie, wiedziała od początku, że Gomerowie mogli zniszczyć karierę Henryka z zemsty za zerwanie z Klarysa. Liczyła jednak, że tylko go zignorują. Bądź co bądź nie uśmiechało im się małżeństwo Henryka z ich córką, a zerwanie nastąpiło nieoficjalnie i nie nadszarpnęło prestiżu rodziny. Przewidywania okazały się słuszne.

O ile wiedziała, Gomerowie poprzestali na cofnięciu swojego poparcia dla Henryka. Ale i to nie była bagatela. Od pierwszej chwili świetnie zdawała sobie sprawę, że trzeba w jakiś sposób odrobić stratę.

I odrobiła. Prośbą i groźbą skłoniła Henryka, żeby zrobił doktorat z zakresu klasyki. Niełatwo mu to przyszło, bo nie miał zbyt wiele wolnego czasu ani też nadzwyczajnych zdolności. Noc w noc błagał żałośnie, żeby dali temu spokój. Nie zgadzała się, bo w ten sposób mógł zaprzepaścić szansę zostania dyrektorem. Na szczęście umiała mu pomóc w kilku kłopotliwych kwestiach. Henryk może nie zdawał sobie z tego sprawy, ale napisała przynajmniej połowę jego pracy doktorskiej. Miała już tę walkę za sobą. Rozprawa została przyjęta i Henryk przeprowadził jej obronę. W szafie na górze wisiała teraz jego toga profesorska, podbita barwami szkoły, purpurowym i błękitnym jedwabiem, i ozdobiona niebieską aksamitną wypustką doktora filozofii. Kto ją posiadł, zdobywał niejako prawo do korony.

Jak tylko się pobrali, zrezygnowała ze swojej pracy w szkole. Pieniądze by się przydały, ale nie wypada, aby żona wicedyrektora trudniła się belferką. Wystarczy już, że teściowa jest krawcową. Pomagała Henrykowi w pracy nad doktoratem i poświęciła się arcytrudnemu zadaniu pozyskania sprzymierzeńców wśród wykładowców, członków Rady Opiekuńczej, celujących uczniów i — co najważniejsze — wśród wpływowych żon. W kilku wypadkach świetnie jej się udało, w innych — nie najlepiej. Nie wskórała nic u starego doktora Quimby. Nie potrafiła dociec przyczyn, ale była pewna, że on jej nie lubi.

Kiedy igła migotała nad robótką, Maria starała się nie myśleć o innym niepowodzeniu. Nie mieli dzieci. Kiedy sobie nad tym dłużej pomyślała, robiło jej się niedobrze. Bez dzieci wszystko zostanie pozbawione wartości. Matka, jako pierwsza z O'Donnellów w Filadelfii, wspięła się trochę na drabinie społecznej. Ona zaś pokonała więcej szczebli, niż miała prawo przypuszczać. Ale trzeba

nowego pokolenia, aby dopełnić dzieła. Dotychczas trzecie pokolenie nie istniało. Znajome zwalały winę na nią, że jest zimna i w istocie nie kocha męża. Nie dawała temu wiary. Ileż to żon ledwie tolerowało mężów, a jednak rok w rok chodziły z brzuchem.

Klucz zachrobotał w zamku u frontowych drzwi. Zadygotała z podniecenia. Henryk wracał. Kręcił się po terenie szkoły licząc, że dowie się wyników posiedzenia Rady Opiekuńczej. Słyszała, jak wiesza kapelusz i przebiera się w bonżurkę. Korciło ją, żeby nie czekać i zawołać go, ale się opanowała. Wszedł do salonu, pocałował ją w policzek i jak gdyby nigdy nic wziął gazetę i zasiadł w swoim ulubionym fotelu.

— Dowiedziałeś się czegoś, kochanie? — spytała. Otworzył dziennik i zagłębił się w fotelu, twarz jego znikła za gazetą.

— Och, nic oficjalnego — odparł.

Zza gazety widziała tylko jego kasztanowatą fryzurę z pedantycznym przedziałkiem. Włosy zaczynały mu się przerzedzać, nie powinien już przylizywać ich tak mocno. Nic oficjalnego, mówi. Niepodobna, żeby Henryk droczył się z nią ukrywając dobre wiadomości.

— Proszę cię, Heniu, powiedz mi, co tylko wiesz, choćby całkiem nieoficjalnie.

— Udało mi się pomówić z panną Eddington po posiedzeniu, kiedy wszyscy wyszli. Ale nie przysłuchiwała się obradom. Wezwano ją pod koniec, żeby zanotowała uchwały.

— Przecież musiała być w nich mowa o nowym dyrektorze.

— Och, naturalnie. Ale wersja oficjalna powinna wyjść z ust doktora Quimby. Sądzę, że jutro wezwie mnie do siebie.

— Henryk! Co ona ci powiedziała?

Zza gazety doszedł ją głos płaski i bezdźwięczny, jakby ktoś uderzał drewienkiem o drewienko.

— Mają zamiar ściągnąć na stanowisko dyrektora Luthera Hay Whitneya. Tytuł wicedyrektora zostaje zniesiony.

Ponieważ mówił to tak beznamiętnym tonem, dopiero po kilku chwilach uświadomiła sobie, co powiedział. Wstała chwiejnie i podeszła do niego. Gazeta się uniosła i zakrywała mu twarz.

— Heniu... ty na serio?

— Tak — odparł bezbarwny głos.

Wyszarpnęła mu gazetę z rąk. Na moment wydało się jej, że siedzi przed nią obcy człowiek. Twarz kurczyła mu się spazmatycznie, jakby każdy mięsień z osobna skręcał się z bólu. Pogodna, spokojna maska, którą nosił na co dzień, rozlazła się jak wilgotna tektura. Dopiero teraz zauważyła, jak odbiły się na nim ostatnie lata wytężonych studiów. Policzki i skronie wklęsły, napięta skóra miała niezdrowy połysk. Wpatrywał się w nią, prawie jak przerażone dziecko oczekujące kary, a potem ukrył twarz w dłoniach. Ramiona dygotały mu od ciężkiego tłumionego szlochu.

— O Boże — jęknął. — Tak się starałem. Wiedziałem, jak bardzo ci na tym zależy. Ale zwyczajnie nie nadawałem się na to stanowisko.

— Gomerowie nie maczali w tym palców?

— Nie, nie, Mario. To tylko moja wina. W radzie wiedzieli, że nie nadaję się na dyrektora. Zawiodłaś się na mnie.

Osuwał się, aż upadł na kolana i wtulił twarz w jej spódnicę. Spoglądała na dygocącą postać u swoich nóg uświadamiając sobie, że tak wygląda krach jej planów i nadziei. On nigdy się nie otrząśnie z tej porażki. Czekała ledwie oddychając, aż opuści ją odrętwienie i zacznie znowu czuć i myśleć. Może go znienawidzi, kiedy drętwota minie. Oby się tak nie stało. Wydawał się taki bezradny i osamotniony. Maleńka smutna łysina przeświecała mu na czubku głowy. Delikatnie dotknęła jej palcami.

— Mario — głos jego gubił się w fałdach spódnicy — chcesz mnie opuścić?
Budziła się z odrętwienia, tylko dziwny ból ściskał jej krtań.
— Nie mów tak, Heniu.
— Kiedy zależało ci tylko na tym stanowisku. Nic więcej ode mnie nie chciałaś. A ja ci tego dać nie mogę.
Pomaleńku usiadła w jego fotelu.
— Chodź do mnie na kolana — powiedziała. Podniósł zmieszaną twarz, mokrą od łez.
— Na kolana? Czy to wypada? Czy...
— Chodź. Bądź grzeczny, no już.
Okropnie zawstydzony podniósł się z klęczek, przysiadł na jej kolanach i siedział bardzo sztywno.
— Tak tu wysoko — wykrztusił.
Schyliła mu głowę na swoje ramię, raptem przytulił się do niej i zapłakał. Nie męczył go już ów ciężki tłumiony szloch. Zdawało się, że z każdą chwilą jego chude, kanciaste ciało zaznaje ulgi. Kiedy płacz się uspokoił, powiedziała łagodnie:
— Może masz rację, że zależało mi tylko na twoim stanowisku. Ale teraz zależy mi na czym innym. Jak myślisz, potrafisz mnie kochać?
— Zawsze cię kochałem — wymamrotał. — Od pierwszej chwili, kiedy ujrzałem cię w magazynie.
— No, to rób tak dalej. A wszystko będzie dobrze.
— Naturalnie, zrezygnuję z posady — powiedział spokojniejszym tonem. — Nie dopuszczę do tego, żeby żony kolegów naśmiewały się z ciebie.
— Heniu, zapomnij o mnie na chwilę. Sam chcesz zrezygnować?
— Pomyślisz, że jestem słaby i głupi, jak ci powiem prawdę.
— Nie, nie pomyślę. Chcę ją usłyszeć.

— Śmieszna historia, ale szkoła weszła mi w krew. Wzdragam się na samą myśl o przeniesieniu. Ale naprawdę sądzę, że w danych okolicznościach nie powinienem zostać. Nawet na lekcjach mogę mieć kłopoty, niech tylko chłopcy się zwiedzą, jak mało się liczę.
— Może pomówimy o tym później? Pójdź lepiej na górę odpocząć. Kolację przesuniemy na późniejszą godzinę.
— A wiesz, że drzemka by mi pomogła. — Wstał i uśmiechnął się do niej wstydliwie. — Aż mi się wierzyć nie chce, że siedziałem u ciebie na kolanach.
— Mnie też trudno uwierzyć w przemianę, jaka we mnie zaszła. No, zmykaj na górę, koło ósmej zawołam cię na kolację.
Kiedy wyszedł, spojrzała na zegar. Dochodziła szósta. Ustępujący dyrektor, doktor Quimby, mieszka niedaleko, na ulicy Delanceya. Przed siódmą chyba nie zasiądzie do kolacji. Całkiem dogodna pora na wizytę. Przejrzała się uważnie w lustrze w hallu, zanim nałożyła kapelusz i płaszcz. Wizyta w takich okolicznościach nie należała do najprzyjemniejszych, więc przynajmniej się postara, żeby nie wyglądać jak czupiradło. Oczy ma trochę podkrążone, ostre zmarszczki w kącikach ust, ale reszta ujdzie z powodzeniem. Inne wymarzyła sobie spotkanie z doktorem Quimby —jako nowa pani dyrektorowa. Miała potraktować go po przyjacielsku, ale trochę z góry, aby dobrze sobie uświadomił, że poszedł na zieloną trawkę i przestał się liczyć. W ten sposób chciała odegrać się na nim za to, że jej nie lubił.
Szybko znalazła się pod jego domem na Delanceya i pociągnęła za dzwonek u drzwi. Doktor Quimby był wdowcem. Drzwi otworzyła gospodyni, po minie jej widać było, że gardzi niewiastą, która bez przyzwoitej asysty śmie odwiedzać wdowca. Wprowadziła ją do biblioteki na parterze i niebawem zjawił się doktor Quimby. Pulchny i łysy zbliżał się na starość do swojej podobizny z okresu dzieciństwa. Jednak bystre spojrzenie jego oczu nie miało w sobie nic dziecięcego.

— Bardzo ładnie, że pani mnie odwiedziła — powiedział. — Myślałem właśnie któregoś dnia, że dawno nie widzieliśmy się.
— Miło mi, że pan tak mówi — odparła pozwalając sobie na lekki uśmieszek. — Żałuję tylko, że pan tak nie myśli.
— Jakże, droga pani, ja... — Urwał i zerknął na nią. — Widzę, że panią coś gnębi.
— Czy możemy rozmawiać otwarcie, panie dyrektorze? Mam bardzo poważną sprawę i muszę dowiedzieć się prawdy. Nic z tego nie wyjdzie, jeśli utniemy sobie towarzyską pogawędkę.
Usadowił się w głębokim skórzanym fotelu jak stary niedźwiedź wycofujący się ostrożnie do nory.
— Proszę się zupełnie nie krępować.
— Dziś po południu panowie radcy wybrali dyrektorem doktora Whitneya i znieśli stanowisko wicedyrektora.
Westchnął ciężko.
— Cóż, przypuszczałem, że dlatego pani przyszła. Ale doprawdy nie podejrzewałem, że pani tak szybko o tym się dowie. Ma pani dokładne informacje.
— Dlaczego Henryk nie został wybrany?
— Droga pani, panom radcom niełatwo w takich sprawach rozstrzygać, a Henryk jest trochę za młody na to stanowisko i... Chwileczkę, widzę, że pani nie chce słuchać tego rodzaju wyjaśnień.
— Chcę usłyszeć prawdę. Czy będzie nam łatwiej, jeśl powiem, iż wiem, że pan mnie nie lubi, i jeśli przyznam, że ja w zamian nie lubię pana? Mam dla pana szacunek, ale nie sympatię. Oczyściłam chyba pole dla szczerej rozmowy?
Grzmiący śmiech dobiegł z głębi fotela.
— W oczyszczaniu pola — powiedział — pani słowa są równie skuteczne jak szrapnel. Cóż z pani za niewiasta! Będę z panią szczery i liczę, że ujdę z życiem.

— Przed pięcioma laty Henryk nie był za młody, skoro został wicedyrektorem. Tym bardziej teraz jego wiek nie wchodził w rachubę. Mam rację, że żeniąc się ze mną stracił szansę zostania dyrektorem?
— To złożona kwestia. Rozbijmy ją lepiej na cząstki.
— Prawda, że nie bez poważnego wpływu Gomerych zrobiono go wicedyrektorem?
— Nieraz zachodziłem w głowę... Jeśli nie obyło się bez nacisków, to musiały być bardzo subtelne, i naprawdę sądziłem swego czasu, że był to wyłącznie mój pomysł. Ale może ma pani rację. Choć zarazem w swojej własnej obronie muszę powiedzieć, że widziałem w Henryku doskonały materiał i myślałem, że świetnie da sobie radę.
— Ach tak — powiedziała z goryczą — więc jakby się ożenił z zepsutą i próżną podfruwajką, Klarysa Gomery, to wówczas świetnie dałby sobie radę.
— Proszę pani, nie należy tak sprawy upraszczać. Gdyby się ożenił z Klarysa i pozwolił jej sobą kierować, przestałby być dobrym materiałem na dyrektora. Ale jeśliby z nią sobie jako tako radził, nic by mu nie brakowało. Czy potrzebuję podkreślać, że zbieranie pieniędzy to też jeden z obowiązków dyrektora? Koneksje z rodziną Gomerych pod tym względem byłyby nie do pogardzenia. W tych sprawach musimy zdradzać zmysł praktyczny.
— Wiedza też nie jest bez znaczenia. Dlatego zachęcałam Henryka do zrobienia doktoratu. Czy to nie równoważy kwestii pieniężnej?
— Luther Hay Whitney jest doktorem teologii i głośnym uczonym.
— Wcale nie ma lepszych kontaktów finansowych niż Henryk.
— Niech mi pani pozwoli wyjaśnić rzecz nieco skomplikowaną — powiedział doktor Quimby. — Akademia Franklina istnieje dzięki temu, że nieźle chyba służy wyższym sferom. Ale służąc im nie może popaść w serwilizm, jeśli pani wie, co mam

na myśli. Bierzemy młodych zuchów, krnąbrnych i pełnych życia, i uczymy ich chodzić w cuglach. Ćwiczymy ich tak, jak się ćwiczy rasowego konia. I mamy ich wytresować, ale nie łamiąc im charakteru. Wypuszczamy młodych ludzi, którzy mają przynajmniej jakie takie wykształcenie, ale za to świetną znajomość tego, czego się społeczeństwo po nich spodziewa. Ideał nasz to taki wychowanek, który zareaguje w sposób zamierzony i przewidziany, ilekroć w grę wejdzie honor, obowiązek i tak dalej. Rzadko ów ideał osiągamy, ale na ogół nasi wychowankowie sprawują się zadowalająco. Czy wie pani, do czego zmierzam?
— Nie widzę, co to ma wspólnego z Henrykiem.
— Wielu chłopców opiera się naszej tresurze. Czasem rodzice męczą nas, żeby się łagodniej z nimi obchodzić. Dyrektor musi potrafić przeciwstawić się tak chłopcom, jak i rodzicom. Jeśli mu się to nie uda, szkołę diabli biorą. Otóż, proszę pani, nie jest to zajęcie dla tych, co walczą o awans społeczny. I skoro mówimy sobie prawdę w oczy, muszę podkreślić, że pani do nich należy. Pod pani wpływem Henryk zmiękłby wobec rodziców wysoko postawionych.
— Co pana skłania do przypuszczeń, że miałabym na niego aż taki wpływ?
— Bo zawsze go pani miała — odparł łagodnie. — Nie znam szczegółów jego zerwania z panną Gomery, ale jestem pewien, że pani to zaaranżowała. Obserwuję was i widzę, że każdą poważniejszą decyzję pani za niego podejmuje. To nie ten sam człowiek, co przed pięcioma laty.
Spojrzała na swoje ręce w białych rękawiczkach, spostrzegła, że drżą. Nigdy nie uświadamiała sobie, że tak się rzeczy miały. Naturalnie, podejmowała decyzje, ale tylko dlatego, że były takie oczywiste, a Henryk jakoś się z nimi cackał. Przypominał jej miłe, ale nierozgarnięte dziecko które biedzi się w szkole nad prostym zadaniem, aż przykro na to patrzeć i trzeba mu pokazać, że to wcale nie trudne.
— I co on ma teraz zrobić? — spytała.

— Jestem całkiem pewny, że Akademia Anglikańska albo Fundacja Penna, albo Collegium Germanicum, albo Uczelnia Haverforda znajdą dla niego zajęcie. Uniwersytet może mu zaproponować asystenturę. Żadne z tych stanowisk nie będzie oczywiście zbyt wspaniałe, ale przynajmniej da mu dobre możliwości.
— I pan w to wierzy, doktorze? Że istotnie ma szansę wybicia się?
— Może oceniałem zbyt pochopnie. Ile Henryk ma lat, trzydzieści sześć? Trochę za późno, żeby zaczynać karierę. A zrobienie tego doktoratu dużo go kosztowało. Miała pani twardą rękę. Więc chyba nie ma nadzwyczajnych szans.
Zebrała się w sobie, powiedziała:
— Kocha łacinę. Odkąd profesor Case poszedł na emeryturę, nikt nie objął po nim katedry. Pan ją nadzorował, ale pana zabraknie, a doktor Luther Hay Whitney nie jest łacinnikiem. Nie weźmie pan pod uwagę Henryka na to stanowisko?
Zapadła długa cisza.
— Zaskoczyła mnie pani zupełnie — powiedział wreszcie doktor Quimby.
— Mówię na serio.
— I po to pani przyszła? Żeby to zaproponować?
— I tak, i nie. Najpierw musiałam wybadać, co pan myśli o Henryku i o mnie. Bo mogło się okazać, że nie warto występować z taką propozycją.
— A dlaczego teraz pani uważa, że warto?
— Bo widzę, że żal panu Henryka. Bo gdyby nie interes szkoły, zrobiłby pan dla niego wszystko, żeby mu pomóc. Nawet skłamałby pan grzecznie, aby mu wyrobić inną posadę. A ja proszę, żeby pan zrobił coś, co przyniesie szkole pożytek. I nie będzie pan miał żadnych przyjacielskich kłamstw na sumieniu.
Dźwignął się z fotela i zaczął stąpać tam i z powrotem po pokoju przystając od czasu do czasu, żeby postukać butem o meble.
— Jeśli mi wolno powiedzieć z całym szacunkiem — wyburczał — niech panią diabli wezmą!

— Sama wiem, jak się pan czuje — odparła.
— Sporo panią kosztowało przyjście z takim pomysłem.
— Wolałabym dać sobie wyrwać zęby.
— Proszę pani, jako kierownik katedry Henryk znajdzie się w ślepej uliczce. To kres jego kariery.
— W jego oczach nie będzie to ślepa uliczka, tylko niebo. Będzie w otoczeniu całej chmary świętych, zwanych Cyceronem, Wergilim, Tacytem i kto ich nazwie, tylu ich było.
— A w pani oczach, proszę pani?
— Wczoraj — odparła łagodnie — byłoby to piekło. Dziś mam inną odpowiedź, chcę nade wszystko, żeby on był szczęśliwy. Mam nadzieję, że nie za późno zdałam sobie z tego sprawę. Podszedł do drzwi i ryknął niespodziewanie:
— Emma! Emma! Gdzieżeś schowała mój płaszcz i kapelusz? — Zwrócił się do Marii i mruknął: — Nie lubi, jak wychodzę wieczorem, bo się boi, żebym się nie zaziębił. Chowa więc moją garderobę.
Maria wstała. Doktor Quimby potrafił ludziom napędzać stracha.
— Dokąd pan idzie? — spytała trwożnie.
— Dokąd? Dokąd? Rany boskie, a dokądże pani myśli? Do was, naturalnie. Porozmawiać z nowym kierownikiem katedry klasyki. Emma! Ach, oto jesteś. Jak widzę, z paltem zimowym. No, tym razem niech ci będzie. Ale od dziś pamiętaj, proszę, że mamy kwiecień, a w kwietniu chodzę w lekkim płaszczu.

Przy kolacji Henryk zachowywał się jak chłopczyk na pikniku. Kiedy Maria siedząc w salonie zaczęła nalewać na deser kawę, przemierzał pokój tam i z powrotem, perorując bez ustanku, jak to cudownie, że mu powierzono katedrę klasyki.

— A najwspanialsze — powiedział — że ty nie jesteś rozczarowana. To dziwne. Myślałem, że...

— Kawa na ciebie czeka, kochanie.

— Dzięki.

Podszedł do stołu wyciągając rękę po filiżankę i spodek.

— Cóż to? — zawołał. — Duża filiżanka? Czyżby pokojówka stłukła małą?

— Lepiej smakuje ci z dużej.

— Ale zawsze mówiłaś, że wypada pić tylko z małej.

— Wprowadziliśmy właśnie nowy zwyczaj, wypada i z dużej, jeśli tak wolisz.

— No, to bardzo pięknie. — Usiadł i pociągnął kilka radosnych łyków z filiżanki. — Aa... ach. Dopiero czuję smak. W tamtym naparstku zupełnie nie mogłem pić kawy. Powiedz, czy to nie pięknie świadczy o doktorze Quimby, że przyszedł tu z własnej woli, żeby wyjaśnić decyzję rady i zaproponować mi taką pracę? Na pewno musiałaś się przestraszyć, kiedy zjawił się w drzwiach.

Henryk nic nie wiedział o jej wizycie u doktora Quimby, gdyż odpoczywał u siebie na górze. Teraz już nigdy się nie dowie.

— Owszem, wystraszyłam się. Ale naturalnie cały czas myślałam, że musi mieć jakieś bardzo poważne wobec ciebie zamiary.

— Byłaś bystrzejsza ode mnie. Mnie nic innego nie przychodziło na myśl, tylko to, że chcą mnie usunąć. Nie zdawałem sobie sprawy, jakie to jasne, że doktor Luther Hay Whitney nie potrzebuje zastępcy, skoro sam jest w sile wieku. Z niego będzie dobry dyrektor, Mario. Ma dryg do kierowania ludźmi, podporządkowują mu się z

ochotą. Wiesz, jak sobie o tym pomyślę, to nigdy się nie paliłem do tego dyrektorstwa. Ale sądziłem, że ty tego pragniesz nade wszystko.
— Jakie to dziwne — powiedziała. — Ludzie nieraz latami przestają ze sobą, a nie rozumieją się nawzajem. Myślałam, że nigdy się nie zadowolisz, póki nie zostaniesz dyrektorem. Więc naturalnie pragnęłam tego dla ciebie.
Mówiąc przyglądała mu się uważnie, ale nawet cień zwątpienia czy podejrzliwości nie przemknął mu po twarzy. Zdawało się, że zapomniał o ich niedawnej rozmowie, kiedy sama przyznała, że zależało jej nie na nim, tylko na jego karierze. Wymazał to z pamięci. Przyjmował teraz wszystko, co powiedziała, z gorliwą radością chłopca słuchającego opowieści o Indianach. Pod wieloma względami zawsze pozostanie chłopcem i chyba dobra to cecha u mężczyzny, który ma resztę życia spędzić na uczeniu chłopców. Powinna zadbać o to, żeby nigdy cechy tej nie stracił.
— Wymodliłem sobie chyba tę katedrę. Mój Boże, kawa była świetna.
Odniósł filiżankę, postawił na tacy. Schylił się, żeby pocałować ją w policzek. Przechyliła się tak, że ich usta się spotkały, i objęła go za szyję.
— Mario! — wydyszał. — Nie poznaję ciebie.
Wstała z fotela. Czuła, jak krew pali ją całą, wzięła go pod rękę.
— Chodźmy na górę — powiedziała.
— Na górę? Przecież dopiero dziewiąta. Nie pora na sen. Czuła, że twarz jej płonie.
— Nie myślałam o śnie. Patrzył na nią niemal ze zgrozą.
— Chcesz powiedzieć... Och, Mario! Przecież nie można iść do łóżka właśnie po to. I co sobie służąca pomyśli...
— Heniu, mam cię ciągnąć na górę?
— No nie, ale...

W gruncie rzeczy musiała go ciągnąć. Trzymała go za rękę i prowadziła po schodach. Zazwyczaj rozbierali się w zwykły, należyty sposób: jedno z nich w łazience, drugie w sypialni. Henryk chciał wynieść się do łazienki. Kiedy mu powiedziała, że nie trzeba, nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Usiadł na krześle, odwrócił twarz i biedził się ze sznurówkami, co najmniej jakby miał buty zapięte na kłódki. Maria wśliznęła się za skrzydło szafy i zaczęła się rozbierać. Tego wieczoru przed wysmyknięciem się z bielizny nie nałożyła nocnej koszuli. Rozebrała się do naga i zerknęła zza szafy na Henryka. Uporał się zaledwie z jednym butem. Na palcach podeszła do gazowego kominka i zgasiła światło.

— Teraz nic nie widzę — powiedział Henryk rozdygotanym głosem.

— Nie chcę cię gorszyć — odparła i po omacku zbliżyła się do niego.

— Mario! Nic nie masz na sobie?

— Ale ty masz, mam cię rozebrać?

— Słuchaj, moja panienko, ja...

Wstał, nieporadnie szukał jej w ciemnościach. Zwykle, kiedy należeli do siebie, robili to ukradkiem pod ciężarem pościeli, w pętach nocnej bielizny. Henryk nie przywykł do czegoś innego, więc wyraźnie się wstydził. Czuła łagodny i nieśmiały dotyk jego rąk. Lekko ukąsiła go w ucho, wyrwała mu się i niespodzianie zachichotała.

— Ach, ty diable! — wykrztusił.

Z szelestem zrzucał z siebie ubranie. Puścił się za nią w pogoń w ciemnościach. Kilkakroć ze śmiechem wymykała mu się, aż nagle schwycił ją. Wstrząs płynący z zetknięcia ich nagich ciał wstrzymał jej oddech w piersiach. Pierwszy raz nie przeszkadzało im ubranie, gdy się przytulili. Był zadziwiająco silny, trochę straszny i taki wspaniały. Niezwykłe, żeby żyć z takim mężczyzną od pięciu lat i nic o tym nie wiedzieć.

Leżała potem na łóżku nie mając najmniejszej ochoty się poruszyć i wsłuchiwała się w silne, radosne tętno krwi. Każda pewność stawała się śmieszna, ale tym razem była przekonana, że wreszcie doczeka się dziecka.

KASIA 1913—1914

13

Czerwcowego dnia 1913 roku Katarzyna Judson wirowała po swoim sypialnym pokoju szykując się na randkę z pewnym młodzieńcem w Wierzbowym Gaju. Popołudnie zapowiadało się ciepłe, ale na razie lekki powiew chłodu rozkosznie muskał jej nogi, plecy i ramiona. Matka nie pochwaliłaby jej za to, że biega ledwie przyodziana.

„Skromność to najlepsza z zalet młodej dziewczyny — powiadała. — Powinnaś ją w sobie pielęgnować, nawet w zaciszu swej sypialni. Jeśli masz zrobić dobrą partię, Kasiu, musisz zawsze zachowywać się nienagannie".

„Jakie to nudne", myślała Kasia. Dla przyjemności trzeba czasem poswawolić. Chociażby dziś po południu miała zrobić rzecz bardzo niestosowną z punktu widzenia matki. Wybierała się do Wierzbowego Gaju z kawalerem, który nie stanowił dobrej partii. Matka myślała, że idzie w towarzystwie koleżanek-maturzystek z ekskluzywnej szkoły panny Rogers. Kawaler ów, syn pedla z Akademii, gdzie uczył jej ojciec, był od niej znacznie — och, chyba o osiem lat — starszy. Nazywał się Michaś Callahan, a czuprynę miał tak ognistą, iż zdawało się, że można na niej gotować. Znała go od dawna, kiedy jako mała dziewczynka wyczekiwała na ojca przed Akademią; mając osiem lat oświadczyła raz, że wyjdzie za

mąż za Michasia, jak dorośnie. Matka nigdy nie zapomniała tych słów. Od tej pory Michaś nie był mile widziany w domu państwa Judsonów, a Kasia, ilekroć chciała się z nim zobaczyć, musiała robić to po kryjomu.

Naturalnie, teraz jako całkiem dorosła, osiemnastoletnia osoba wcale nie była pewna, czy nadal chce wyjść za niego. Ale przed powzięciem ostatecznej decyzji potrzebowała odpowiedzi na bardzo istotne pytanie: czy Michaś chce się z nią ożenić? Nigdy nie napomknął o małżeństwie w ten czy inny sposób. Liczyła, że dzisiaj język mu się rozwiąże i będzie mogła coś postanowić.

Podeszła do toaletki i nachyliła się mocno, próbując przejrzeć się cała w lustrze. Lustro było niezbyt wygodne. Odbijało koronki i ramiączka jej halki, i lekką wypukłość piersi, ale lekceważyło jej talię i ledwie w przebłysku ujawniało czarne ażurowe pończochy u dołu majteczek. Co gorsza deformowało jej nogi, robiły się krótkie i grube, choć każde porządne lustro przyzna, że są długie, zgrabne i smukłe. Matka nie godziła się na toaletowe lustra dla panienek. Były nieskromne. Kasia odstąpiła o krok i objęła się w pasie, aż jej palce niemal się zetknęły. Śliczna talia, z lustrem, czy bez lustra, dziś się przekona, bo nie włoży gorsetu.

Zdecydowała się na batystową sukienkę, haftowaną i rozszywaną koronkami. Weźmie do niej narzutkę, która dłużej zachowa świeżość i czystość sukni niż przypinane mankiety i kołnierzyk. Przymierzyła dwa kapelusze do swojej ciemnej fryzury i stwierdziła, że okrągły słomkowy lepiej będzie pasował do jej regularnych rysów.

Skończyła się ubierać, w piruetach wybiegła ze swojego pokoju i zobaczyła w hallu babkę. Trochę się jej bała. Babka zawsze niczym dziki ptaszek furkotała po domu patrząc, kogo by dziobnąć.

Zerknęła na Kasię i powiedziała:

— Ślicznie ci w tym kolorze. Ale dlaczego tak unikasz czerwieni, rubinu?

— Sama wiesz, babciu, że w czerwonym mi nie do twarzy.

— Owszem, wiem. Dobrałaś sobie ładny, przyzwoity kolor. Ale nie próbuj mi wmówić, żeś się tak wystroiła na spotkanie z koleżankami. Cóż to za chłopiec tym razem, hę?
— Powiedzmy, że chłopiec. Pobiegniesz zaraz powiedzieć matce?
— Zawsze umiałam nie puszczać pary z gęby. To nie ten tam Michaś Callahan? Od lat wymykasz się z nim na randki.
— A bo co, brak mu czego?
— Ba — mruknęła babka. — Irlandzkie nasienie. Chcesz rzucić wszystko, na co twoja matka pracowała, żeby wyjść za jakiegoś tam Callahana?
— Nie wiem — odparła Kasia ze złością. — Ale nikt mi nie będzie dyktował, rozumiesz?
— Inaczej nie byłby z ciebie zakuty O'Donnell. O jedno tylko cię proszę... — Położyła jej dłoń na ramieniu. Palce miała jak suche patyki, ale uścisk ich czuło się mocno. — Daj syna naszej rodzinie. Po to tylko żyję. Syna, słyszysz?
— Tak — powiedziała Kasia słaniając się nieco. — Tak, słyszę-
Uścisk się rozluźnił.
— I pospiesz się — mówił starczy głos. — Nie mogę czekać wiecznie. Lepszy nawet bachor z nazwiskiem Callahan niż nic.
Odwróciła się i odeszła.
Kasia zaczerpnęła kilka głębokich oddechów, żeby się opanować. Pomyślała sobie, że babka O'Donnell współczuje jej i rozumie, co to znaczy chcieć schwycić trochę szczęścia, kiedy się nawinie. Matka tego nie rozumiała; w jej mniemaniu szczęście należało zawsze podejrzliwie obwąchać. A przyjąć dopiero wtedy, jeżeli się okaże, że nie zwodzi ono z drogi obowiązku.
Cichutko zeszła po schodach i zajrzała do salonu. Nic się w nim nie zmieniło od tak dawna, jak tylko pamiętała. Te same ciężkie orzechowe meble, wizerunki rzymskich i greckich zabytków i Galahad w pełnej zbroi. Aksamitne kotary u

okien i drzwi zwisały w tych samych fałdach, co zawsze, jak gdyby ani powiew wiatru, ani niedbały gość nie miał prawa ich naruszyć. Lata musiały wyrządzić niejedną szkodę meblom, ale matka potrafiła jakoś to ukryć.

Ojciec czytał w krześle w wykuszu okna, a matka haftowała. Nie zauważyli jej; przystanęła w drzwiach na chwilę, żeby im się przyjrzeć. Zwykle nie dostrzegała rodziców. Dzisiaj jednak miała dziwne uczucie, że niebawem zajdzie w jej życiu jakaś wielka zmiana i że nigdy już nie ujrzy salonu i rodziców wyglądających tak, jak w tej chwili.

Ojciec, wysoki, mizerny i łysy, z każdym rokiem coraz bardziej upodabniał się do popiersia Cezara, które stało przy nim na biurku. Jak daleko sięgała jej pamięć, ojciec zawsze żył w miłym baśniowym świecie zamieszkanym tylko przez uczniów i profesorów Akademii, przez starożytnych Rzymian i przez matkę. Kasia zawsze czuła się obco, ilekroć zabłądziła w te strony, jako gość witany serdecznie, ale nie proszony na popas.

Matka była wciąż jeszcze uroczą kobietą, wysoką i smukłą, o pięknych srebrzystych włosach. Kasia nigdy jej dobrze nie pojmowała. Czasem w matce siedziały dwie różne kobiety. Jedna z żelaznym uporem starała się wprowadzić swoją córkę w wielki świat. Drugą obchodził wyłącznie mąż i troska o to, żeby go osłonić od cięgów życia.

Raptem matka podniosła oczy i powiedziała:

— Nie słyszałam, jak zeszłaś po schodach, kochanie. Wyglądasz ślicznie. Kanapki na piknik są zapakowane i czekają w kuchni. Pamiętaj, żebyś się za długo nie zabawiała, bo się przemęczysz. Pani Lawrence może tu wpaść, aby podjąć decyzję, nie życzyłabym sobie, żeby cię zastała w złej formie.

— Pani Lawrence? — odezwał się ojciec. — Ma podjąć decyzję? Czy to coś ważnego? Któż to jest pani Lawrence?

Czuł się trochę zagubiony odnajdując się z powrotem w Filadelfii zamiast w starożytnym Rzymie.
— Spotykałeś się z nią kilka razy, Heniu. Bardzo bogata pani, ma śliczną kamienicę na placu Rittena. Kasia jej mocno przypadła do gustu.
— Ach tak. Ale o jakiej to decyzji wspominałaś?
— Ona nie ma córek, Heniu, a jej mąż zmarł przed kilkoma laty. Syn jej, chyba dwudziestosiedmioletni, jest prawie inwalidą. W każdym razie rzadko bywa w domu, bo podróżuje dla zdrowia. Co roku pani Lawrence wybiera panienkę, aby ją wprowadzić w świat, panienkę z dobrego domu, której finansowo nie stać na debiut. Łączą mnie z nią od lat przyjacielskie stosunki i liczę, że umożliwi debiut naszej Kasi.
Henryk Judson odrzucił głowę do tyłu i zmarszczył czoło w rozwadze.
— Debiut — powiedział. — Debiut. Zastanówmy się. Boję się, że temu słowu brak dobrego łacińskiego pierwiastka. Jakaś tam francuszczyzna. Niegdyś oznaczało ono moment rzucenia czegoś do celu.
— A teraz, kochanie, oznacza pierwszy bal. Taki, na którym panna zostaje wprowadzona do towarzystwa.
— Ach tak, naprawdę? — zdumiał się. — No cóż, słowa tracą na sile, zwłaszcza jeśli nie mają dobrego łacińskiego pierwiastka.
Kasia przychwyciła spojrzenie matki i uśmiechnęła się blado. Debiutować — wciąż oznaczało rzucać coś do celu. Na przykład — siebie.
Matka wobec ojca zbagatelizowała sprawę, chociaż traktowała ją jak najpoważniej. Od lat poświęcała sporo czasu i energii, aby pozyskać dla córki kuratelę pani Lawrence. Trwoniła czas wysłuchując dobrodziejki, pochlebiając dobrodziejce i wysługując się dobrodziejce w rozlicznych komitetach. Inne matki robiły to samo, choć może nie na taką skalę, w nadziei, że na ich córki padnie wybór. Jeśli padł, oznaczał, że kandydatka zadebiutuje w rezydencji pani Lawrence, w sukniach

zakupionych z funduszów pani Lawrence i w towarzystwie zaproszonym przez panią Lawrence. Do faworytki należało okazywanie wdzięczności w najrozmaitszych formach, takich jak występowanie w charakterze pomocnicy pani Lawrence na bazarach, wystawach kwiatów, w akcjach charytatywnych i innych ewenementach w okresie debiutanckim.

Na myśl o tym kręciło się w głowie, ale Kasia wiedziała, że szanse ma niewielkie. Wszystkie dotychczasowe faworytki wywodziły się z tych, których nie stać było na debiut, choć należał się im z racji urodzenia. Nie miała co się okłamywać; córce Henryka Judsona debiut się nie należał. Pani Lawrence zwykle podejmowała decyzję z końcem czerwca i zabierała kandydatkę na lato nad morze, żeby ją przygotować do październikowego debiutu. Jak dotąd pani Lawrence żadną wzmianką nie zdradziła swoich tegorocznych zamiarów.

— Wrócę wcześnie, mamo — powiedziała Kasia. Potem rzuciła mimochodem. — Gdyby coś zaszło, jak mnie nie będzie, wystaw w oknie popiersie Cezara. Na znak, że pani Lawrence przekroczyła Rubikon.

— Świetne klasyczne powiedzenie — zauważył ojciec. — Przekroczyć Rubikon znaczy podjąć brzemienną decyzję. Na Zeusa, ta dziewczyna czegoś się w szkole nauczyła.

Matka posłała jej kwaśny uśmieszek, jakby nie godziło się żartować z rzeczy tak poważnej.

Kasia zabrała koszyk z kanapkami i wyszła z domu. Na dworze lekki wiatr poruszał liśćmi kwitnących drzew, aż szeleściły jak suknie balowe. Próbowała wyobrazić sobie, jak wiruje w tańcu na swoim pierwszym balu, pomykając w ramionach przystojnych partnerów. Myśl ta wzbudziła w niej lekkie niezdrowe podniecenie. A jednak nie szło tylko o to, żeby się stać ośrodkiem powszechnego zainteresowania. Podniecająca stawała się myśl, że wreszcie jest się kimś, że weszło się do towarzystwa, że zostało sie przez nie zaakceptowanym. Szła wolno

ulicą Jodłową w kierunku Trzynastej, gdzie miała się spotkać z Michasiem Callahanem, marząc o tym dniu, kiedy stanie się potentatką w filadelfijskim świecie. Będzie wyszukanie uprzejma i łaskawa dla innych, bo skoro ktoś raz się dostał do wysokich sfer w Filadelfii, czuł się tak bezpiecznie, że mógł sobie na to pozwolić. Tylko ci, którzy się tam wspinali, wiedzieli, że muszą pomiatać niższymi od siebie. Da dobry przykład innym poprzez swoją działalność charytatywną. I w końcu, ma się rozumieć, syn jej ożeni się z panną ze starej filadelfijskiej rodziny i...

W pobliżu zabrzmiał jakiś głos:

— Mam ją obudzić, czy niech we śnie idzie dalej?

— Och, Michaś! — zawołała. — Przestraszyłeś mnie.

— Całe szczęście. Poszłabyś prościusieńko i wpadła do Delaware. Jak się masz, Kasiu?

Otrząsnęła się z marzeń i uśmiechnęła do niego. Pod wieloma względami wolała Michasia od najlepszego snu. Nie zmieściłby się zresztą w żadnym zwyczajnym śnie, bo był na to za wielki. Miał duże stopy i duże ręce, i takie bary, że chyba bokiem musiał się obracać w mniejszych drzwiach. Podbródek jak kawał cegły, zadarty nos i niebieskie oczy. Melonik nasadził prosto, zamiast zsunąć, tak jak lubił, do tyłu. Wystroił się w nowy brązowy garnitur o modnie zwężonych nogawkach i rękawach. Był tak atletycznie zbudowany, aż bała się, że lada chwila garnitur trzaśnie w szwach. Sztywny biały kołnierzyk zdążył już odcisnąć mu czerwoną pręgę na szyi.

— Och, Michaś — powiedziała chichocząc — jakiś ty nieszczęśliwy w tym stroju.

— Wcale nie — odparł. — Dawałem sobie radę w życiu z czym innym, dam sobie z kołnierzykiem i z garniturem. Ładnie wyglądasz. Coś niedobrego się szykuje?

— Babka odgadła, że wybieram się na spotkanie z tobą.

— Drobiazg. Nikt się przecież z nią nie liczy. Dobra, łapmy trolejbus i w drogę.

Michaś wykorzystał długą jazdę do wesołego miasteczka w Wierzbowym Gaju, żeby jej opowiedzieć o nowym przedsiębiorstwie, jakie miał właśnie założyć. Przez kilka lat prowadził mały interes transportowo-ciągnikowy w branży budowlanej.

Teraz przechodził na robotę rozbiórkową i dostał kontrakt na zburzenie dwóch starych kamienic przy Dwunastej Ulicy i Kasztanowej. Nie zamierzał robić pieniędzy na odpadkach, tak jak inni w tym zawodzie. Chciał zagrać o wyższą stawkę; kontrakt przewidywał premię za przyspieszenie o każdy dzień dotychczas praktykowanego terminu rozbiórki kamienic i oczyszczania placow — spróbuje pobić ten termin o miesiąc. Trafił się wynalazek, który można zastosować przy tej robocie — ogromna żelazna kula, spuszczana z dźwigu i burząca ściany — metoda wielekroć szybsza niż dawny sposób rozdłubywania ścian na kawałki zwykłym łomem. Jeżeli mu się uda zarobić grubą forsę na premiach, chce założyć przedsiębiorstwo budowlane.

Rozwodził się nad tym drobiazgowo i Kasia zastanawiała się, czy przypadkiem nie chce jej dać do zrozumienia, że skoro ten eksperyment się powiedzie, będzie miał środki na to, żeby się ożenić. Nie powiedział jednak nic konkretnego. Może potrzebował zachęty. Była przygotowana na rozważenie propozycji małżeństwa, chociaż nie wiedziała, co ma z tym fantem zrobić. Ale nie mogła rozważyć jej sumiennie, dopóki Michaś jej nie wysunął.

Kiedy przyjechali do wesołego miasteczka, próbowała różnych sztuczek, żeby ośmielić Michasia. Wzdychała z podziwu, kiedy wyciskał ciężary. Drżąc tuliła się do niego w ciemnościach labiryntu. Wypuścili się w Pogoń Nad Chmurami i za każdym razem, kiedy wózki trafiały na gwałtowny spadek, pilnowała się, żeby krzyknąć, choć wcale nie czuła strachu. Michaś nabierał śmiałości. Wreszcie zaproponował niby to przypadkiem, żeby się wybrali na przejażdżkę po Wenecji. Każda dziewczyna, która choć raz bawiła z kawalerem w Wierzbowym Gaju,

wiedziała, czego się spodziewać po Wenecji. Był to duży pawilon, kryjący kręte kanały, którymi wolno płynęła woda: jechało się w gondolach mijając oświetlone balkony i zapuszczając w rozkosznie ciemne tunele. Kasia skromnie spuściła oczy i skinęła na znak przyzwolenia.

Za pierwszym objazdem Michaś położył rękę na oparciu siedzenia i powoli ogarnął jej plecy. Wtuliła się w jego ramię. Zaproponował, żeby się przejechali raz jeszcze. Jak tylko gondola odbiła od przystani, Kasia zdjęła swój słomkowy kapelusz. Nie chciała, żeby Michaś po ciemku się na niego nadział, kiedy wreszcie zdobędzie się na odwagę, by ją pocałować. Nadszedł następny ciemny tunel, nim nabrał śmiałości. Całowali się naturalnie na innych randkach, ale tylko krótko, na pożegnanie. Tym razem pozwoliła mu na długi pocałunek.

Kiedy sunęli z kolei przez oświetloną przestrzeń, Michaś siedział jak na szpilkach i gdyby miał wiosło, znaleźliby się w następnym tunelu piorunem. Natychmiast ją pocałował, jak tylko zanurzyli się w mrok. Kasia przechyliła głowę na oparcie. Czuła, jak jego dłoń zsuwa się z jej karku i drżąc dotyka piersi. Nigdy by mu nie pozwoliła na takie pieszczoty, gdyby nie chciała wiedzieć, jak to na nią podziała. Przez batystową sukienkę i cieniutką halkę czuła ciepło jego ręki. Doprawdy było to całkiem podniecające, sutka jakby naelektryzowana wyprężyła się sama. Położyła dłoń na jego ręce, żeby go powstrzymać od dalszych pieszczot. Ich oddechy mieszały się ciepłymi falami. Nie miała wątpliwości: Michaś mógł oddziałać na nią bardzo głęboko, gdyby się kiedykolwiek zdecydowała na to mu pozwolić.

Światło u wylotu tunelu zbliżało się do nich i Michaś wyprostował się, dysząc jak parowóz na długim wzniesieniu.

— Kasiu — powiedział — wiesz, że szaleję za tobą. Zakochałem się jeszcze tego dnia, kiedy ścięłaś warkoczyki i ni stąd, ni zowąd przestałaś być małą dziewczynką. Wiesz, do czego zmierzałem w trolejbusie. Jeśli mi się powiedzie, za

cztery miesiące będę mógł ci ofiarować przyzwoity dom i wszystko, co trzeba. Kasiu, wyjdziesz wtedy za mnie?

Byłoby przyjemnie zamknąć oczy, powiedzieć: „tak", i zwyczajnie dać się ponieść z nim w życie, tak jak ponosiły ich teraz wody Wenecji. O nic nie musiałaby się martwić, o nic nie musiałaby walczyć. Dopasowałaby się do poziomu Michasia z taką swobodą, z jaką się wraca do wygodnych starych butów. Cała bieda w tym, że czasem ma się ochotę na nowe, nawet jeśli cisną.

Westchnęła i powiedziała:

— Nie wiem, Michaś.

— Nie należę do twojej warstwy, Kasiu. Ale mogę się wybić.

— Uroczy z ciebie chłopiec i niczego ci nie brak. Ale...

— Ktoś mi wszedł w paradę?

— Nie ktoś, tylko coś. Taka myśl, która od dawna prześladuje naszą rodzinę. Michaś, wiesz, co to jest debiut?

— Czy to się kupuje, Kasiu?

— To jest oficjalny występ, bal, na którym panna zostaje przedstawiona panom, aby ewentualnie spośród nich wybrać sobie męża.

— Daj mi trochę czasu, a będziesz urządzała bale, jakie tylko zechcesz. Ale skręcę kark każdemu, komu przyjdzie do głowy, że ewentualnie mógłby się z tobą ożenić.

— Michaś, prawie każdy może sobie wydawać bale, jakie zechce, tylko że żaden z nich nie umywa się do debiutu. Debiut zależy od tego, kto na taki bal przyjdzie. To zwyczaj wyższych sfer.

— Nie znam się na wyższych sferach — burknął. — Wiem tylko, że jedni się wynoszą i strugają lepszych od innych, ale mnie na to nie nabiorą.

— No, w każdym razie, Michaś, trafia się okazja na mój debiut. Nie stać nas na to, ani też nikt z towarzystwa nie przyszedłby na debiut przez nas wydany. Ale matki

przyjaciółka, która ma masę pieniędzy i należy do towarzystwa, może mi go wyprawić na jesieni.
— A co stanie się, jak odbędziesz ten cały debiut?
Z trudem zdobyła się na odpowiedź, ale uczciwość tego wymagała.
— Mogę spotkać kawalera z bardzo dobrej rodziny i mieć ochotę wyjść za niego.
— Nie potrafię się w tym połapać — poskarżył się. — W jaki sposób, u licha, mam sobie z czymś takim poradzić? Możesz spotkać faceta i możesz mieć ochotę wyjść za niego za mąż. Pewno, że możesz — nie dziś, to za tydzień albo za rok, albo po pięćdziesiątce. Czy to znaczy, że nikt nie powinien się żenić, dopóki nie spotka wszystkich, z którymi miałby ochotę się ożenić? Słuchaj, Kasiu, świat to nie piłka. Gdzieś trzeba tę granicę przeprowadzić.
Nigdy tego nie pojmie. Każdą próbą wytłumaczenia urazi go jeszcze więcej.
— Zostawmy to tak jak jest, dobrze? — powiedziała. — Dam ci odpowiedź, tak lub nie, przed październikiem.
— Wydaje mi się, że niczego więcej nie mam prawa wymagać — mruknął.
Jakoś po tej rozmowie przejażdżka straciła urok. Wenecja zmieniła się w dość głupawy przybytek, gdzie widać, że woda nie jest zbyt czysta, a farba łuszczy się z balkonów, gdzie pełno zabawnych chichotów i pisków innych par w gondolach. Wysiedli u przystani i bez słowa porozumienia spostrzegli, że wracają na przystanek trolejbusu. W drodze powrotnej do miasta usiłowali z jałowych tematów „wydusić" rozmowę, co się udawało tak samo, jak świeży napój z dobrze już wyciśniętych cytryn.
Była zaledwie siódma i całkiem jeszcze jasno, kiedy znaleźli się na Akacjowej w pobliżu domu Kasi.
— Lepiej się tu z tobą pożegnam — powiedział Michaś. — Twoja matka może wyglądać oknem.
— Świetnie się bawiłam, Michasiu.

— Chyba popełniłem błąd — mruknął. — Choć zupełnie nie wiem jaki. Żebym zrobił albo powiedział właśnie to, co trzeba, może wyraziłabyś zgodę. A tak ciężko mi na sercu. Boję się, że nigdy się nie zgodzisz.
— Mylisz się chyba.
— Ja też na to liczę, Kasiu. Ale nie dam za to głowy.
Odwrócił się. Patrzyła chwilę, jak posuwistym krokiem odchodzi ulicą, potężny, solidny, godny zaufania. Potem wolno poszła ku domowi. Stał jak zwykle wymuskany w schludnym szeregu z innymi domami, świecił każdym białym marmurowym schodkiem po porannym szorowaniu, miał taki wygląd, jakby dzień dzisiejszy w niczym nie odbiegał od innych. Coś jednak się zmieniło. W jednym z okien rozsunięto aksamitne zasłony i na parapecie, nie do wiary, stał gipsowy Cezar, spoglądając na nią spod nawisłych powiek.
Dziwny dreszcz strachu i radości przeszył ją na wylot. Cokolwiek przyszłość przyniesie, chwałę czy zgubę, ona nie cofnie się przed nią. I jakoś Michaś zdołał wyczuć, na co się zanosi. Okazja przepadła, jeśli rzeczywiście istniała, kiedy mógł powiedzieć albo zrobić właśnie to, co trzeba.

14

Kończąc pakować swoje manatki Kasia nie mogła się powstrzymać i zerkała co chwilę przez okno, żeby jeszcze raz popatrzeć na czekającą przed domem limuzynę. Był to duży czarny Stearns-Knight, który musiał kosztować ponad sześć tysięcy dolarów. Choć wóz lśnił nieskazitelną czystością, szofer nadal polerował metal reflektorów. Naturalnie, Kasia widywała już auto pani DeWitt Lawrence, ale dziś właśnie po raz pierwszy po nią zostało przysłane.
Aż trudno uwierzyć, że minęły zaledwie dwadzieścia cztery godziny od chwili, kiedy wróciła z Wierzbowego Gaju. Przywitał ją niecodzienny widok: cała rodzina biegała w kółko jak mrówki w zburzonym mrowisku. Wczoraj po południu pani

Lawrence weszła dostojnie w ich progi oznajmiając, że wybór jej padł na Kasię i że bierze ją pod swoje skrzydła do chwili debiutu i życzy sobie w poniedziałek rano zabrać ją ze sobą na lato nad morze. Wyjadą wczesnym rankiem, przeto Kasia raczy się stawić w domu pani Lawrence w niedzielę wieczorem.
Kiedy Kasia zamknęła ostatnie pudło na kapelusze, spostrzegła w drzwiach babkę przyglądającą się jej jasnymi oczyma.
— Jakbym siebie samą zobaczyła pięćdziesiąt lat temu — odezwała się babka łagodnie. — Żebym to miała choć torbę podróżną, ale gdzie tam! Ledwie tobołek, alem się czuła jak sama księżna idąc na służbę do najlepszej rodziny.
To było do babki podobne, żeby wybrać taki moment na pogaduszki o swojej przeszłości. Zwykle nic się nie dawało od niej wyciągnąć na ten temat. Ale teraz, kiedy Kasia nie miała czasu słuchać, babka stawała się skora do zwierzeń.
— Inaczej nam się teraz powodzi, może nie? — odpowiedziała gniewnie Kasia.
— Nie bądź taka pewna, że inaczej, panienko. Zaproszono cię czy nie zaproszono, będziesz musiała zapracować na swoje, tak jak i ja musiałam. Jak masz głowę na karku, dobrze to sobie zapamiętasz. I nie wyobrażaj sobie, że ta twoja pani Lawrence to wielkie coś. Nie umywa się do Claytonów.
Choć czas naglił, Kasia musiała tę rzecz wybadać.
— Któż to byli Claytonowie, babciu?
— Służyłam u nich, kiedym tu przyjechała. Może i kogoś z tej rodziny wkrótce spotkasz, choć mam swoje powody, żeby wątpić, czy się pokażą u tej pani Lawrence. Pięćdziesiąt lat temu Lawrence'owie nie mieli żadnego majątku. Dorobili się na tramwajach konnych i ich pieniądz jeszcze się nie uleżał. Choć gra wielką damę, pani Lawrence wie dobrze, że to nie jej, ale dzieciom jej syna, jeśli kiedy wydobrzeje na tyle, żeby się ożenić, może dopiero się uda wejść do najwyższych sfer.
— Z chęcią bym dalej rozmawiała, babciu, ale muszę się pospieszyć.

— Rzeczywiście. Lepiej, żeby twoja dostojna pani w dostojnym domu nie czekała przez nas. Ale chcę, żebyś sobie zapamiętała jedną rzecz, dziewczyno. Miej swój honor. Będą cię lepiej za to szanować. — Skierowała się do wyjścia, potem przystanęła i powiedziała: — Wyświadczysz mi pewną przysługę? Zapytaj tego stangreta, co czeka na ciebie, czy przypadkiem nie nazywa się Symes?

— Myślisz, babciu, o szoferze?

— Tak to ich dzisiaj nazywają, co?

— Owszem. Kogoś ci przypomina?

— Nie jego wygląd, ale obecność coś mi przypomina. Dasz mi znać, jak będziesz pisała do matki.

Odeszła powoli przez hall, po omacku szukając drogi, jak gdyby przypominała sobie drzwi, schody i zakamarki dawnego domu i przekonywała się, że ten jest obcy i nowy.

W kwadrans później Kasia siedziała w aucie, a szofer troskliwie otulał ją pledem. Można by pomyśleć, że wybierają się w ogromną podróż, sto mil z okładem, a nie o parę bloków dalej, do rezydencji Lawrence'ow na placu Rittena.

Matka nachyliła się do samochodu i powiedziała ściszonym głosem:

— Teraz, kiedy wszystko poszło w ruch, powiedz, czy dobrze postąpiłam, Kasiu?

Poczuła się w tej chwili bliższa matce niż przez całe lata.

— Naturalnie, że tak — odparła. — Przecież obieśmy tego chciały. Nie zrobię ci wstydu. Do widzenia. Uważaj na tatusia. Zobaczymy się po wakacjach.

Szofer nacisnął starter i motor zakaszlał. Kasia pomachała ręką rodzicom, samochód pomknął ulicą.

Kierowca lekko odwrócił głowę i powiedział:

— Zapomniałem panienkę spytać, czy panienka nie życzy sobie, żeby podnieść budę. Ale że wieczór taki ładny, pomyślałem, może panienka woli nie podnosić.

— Tak jest bardzo przyjemnie — odparła Kasia. Potem przypomniawszy sobie prośbę babki, spytała: — Czy pan przypadkiem nie nazywa się Symes? Komuś z mojej rodziny tak się wydawało.

— Nie, proszę panienki. Nazywam się Bledsoe. To trochę dziwne nazwisko: Symes, jeśli mi tak wolno powiedzieć. Znam mały garaż nie opodal Dwudziestej Ulicy pod tą firmą. Jerzy Symes i Syn. Zdaje się, że sam Jerzy Symes nie żyje od paru lat, syn i wnuk prowadzą interes. Kiedyś to była zajezdnia. Żadnego innego Symesa sobie nie przypominam.

— Dziękuję panu, panie Bledsoe.

— Wystarczy samo Bledsoe, bez pana. Jaśnie pani tak woli. Nie zanudzam panienki?

— Skądże. Miło jest mieć z kim porozmawiać.

— Dziękuję panience. Ale panienka zauważy, że gadam mało, kiedy jaśnie pani siedzi w wozie. Ona sama woli gadać. No, to jesteśmy na miejscu, panienko, cali i zdrowi.

Zatrzymał samochód u krawężnika i wyskoczył otworzyć drzwiczki. Kasia wolno weszła po schodkach do rezydencji z ciemnego kamienia. Pan DeWitt Lawrence zbudował ją na przełomie wieku i w dwa lata później zmarł w niej na atak serca. Jak głosiła fama, dostał tego ataku, kiedy jego kandydaci przepadli w wyborach do władz municypalnych i w rezultacie odmówiono mu kredytu na budowę dworca kolejki nadziemnej na ulicy Targowej.

Pokojówka otworzyła drzwi i wprowadziła Kasię do salonu na prawo od wejścia. Był to ogromny pokój o jasnodębowej boazerii, zastawiony blokami ciemnych dębowych mebli. W jednej ścianie mieścił się kominek z gładkiego kamienia, wyginający się w gotycki łuk. Taki duży, że z powodzeniem można by tam wejść. Nad kominkiem połyskiwały dwie skrzyżowane szable i poszczerbiona tarcza. Pani Lawrence, po której można się było spodziewać, że poszczerbiła tę tarczę,

wstała z krzesła, aby ją powitać. Potężnie zbudowana, miała figurę jak ciasno zwinięty materac. Krążyły pogłoski, że nawet jej pokojowa nigdy nie widziała swojej pani inaczej niż w pełnym i starannym stroju. Dziś wieczorem miała na sobie jasnobłękitną woalową suknię przyozdobioną z przodu i z tyłu koronkami i haftem. Suknię wieńczył okrągły kołnierz z irlandzkiej koronki i trzyćwierciowe rękawy z samych koronek i haftu.

— Zjawiasz się w sam czas, moja droga — powiedziała pani Lawrence. — Tuż przed ósmą. Dobrze wiedzieć, że jesteś punktualna.

— Brak mi słów, żeby pani dziękować — powiedziała Kasia nie wiedząc, jak zacząć.

— Proszę cię, nie wspominaj o tym. Ufam, że będzie to dla nas obu cudowna przygoda. Niewątpliwie jesteś najładniejszą z panienek, jakim matkowałam. Niech no się zastanowię, siedem ich było. Nie, osiem. Nie, uznam, że siedem, ponieważ nie wliczę tej dziewczyny, którą musiałam odesłać do domu. Wyobraź sobie, że nigdy mi nie okazała odrobiny wdzięczności. Przyjmowała wszystko, jakby się jej to należało. Jestem pewna, że ty jesteś bardziej rozsądna.

— Zyskuję wspaniałą szansę, proszę pani. Spodziewam się, że potrafię dać wyraz temu, jak bardzo ją doceniam.

— To ładnie, moja droga — powiedziała pani Lawrence, tym razem nie nalegając, żeby nie wspominać o tym. — Naturalnie, zdajesz sobie sprawę, że w twoim wypadku decyduję się na śmiałe przedsięwzięcie. Byłoby mi stokroć łatwiej zająć się panienką z takiej rodziny, która już należy do wyższych sfer. Jednakże, jeśli moja pozycja się liczy, a chciałabym wiedzieć, kto by temu zaprzeczył, pokażę całemu światu, jaka jest naprawdę mocna. Domyślam się, że zabrałaś ze sobą sporo garderoby.

— Moc, proszę pani. Mam nadzieję, że pani się nie przestraszy ilości.

— Wszystko chyba okaże się całkiem nieodpowiednie. Jak się zadomowimy nad morzem, sprowadzę krawca, żeby cię wystroił. W tej standardowej sukience, którą masz na sobie, z białym kołnierzykiem i mankietami, zupełnie ci nie do twarzy. Sama musisz poznać efekt, jaki daje cerze zwiewny koronkowy szal w białym albo lekko kremowym tonie. Koronki mechlińskie i brukselska siateczka akurat byłyby dobre dla ciebie.

— Widzę, że będzie pani miała ze mną okropny kłopot.

— Skądże znowu. Sprawi mi to przyjemność, moja droga. Nic mnie bardziej nie cieszy niż wyprawianie z dobrym skutkiem miłych panienek w świat. Z ośmiu moich faworytek, przepraszam, z siedmiu, jak się zgodziłyśmy, cztery zrobiły świetne partie, a trzy całkiem znośne. Tym by się też lepiej powiodło, gdyby się trzymały moich rad. Pokażę ci teraz twój pokój, Kasiu, a potem przeproszę cię, bo chciałabym się wcześnie położyć. O dziewiątej rano wyjeżdżamy nad morze.

Zaprowadziła ją po szerokich schodach z jasnego dębu do pokoju na pierwszym piętrze. Atłasowa kapa na łóżku miała kolor różowy, u okien zwisały różowe draperie, tapeta i nawet abażury też były różowe.

— To pokój różowy, tak go nazywamy — powiedziała pani Lawrence. — Otóż jutro, moja droga, będziesz mogła wziąć do samochodu tylko jedną walizkę i jedno pudło na kapelusze. Resztę nadamy na bagaż, który wierzę, że nadejdzie w dzień później. Więc może zechcesz się pakować. Nie będę ci przeszkadzała. Naturalnie nie krępuj się zejść na dół, jeśli przyjdzie ci ochota poczytać. — Ruszyła w stronę drzwi i zawahała się. — Jeszcze coś, moja droga...

— Tak, proszę pani?

— Nie wspomniałyśmy chyba o moim synu. Mam nadzieję, że ewentualnie dołączy się do nas nad morzem, choć nie mogę na to liczyć. Ma nadszarpnięte zdrowie, ale upiera się, żeby jeździć konno i uprawiać wiele innych ćwiczeń, które go jeszcze bardziej wyczerpują. Sama czuję, że morskie powietrze świetnie by mu

posłużyło, ale lekarze jak na złość zawsze uważają, że w jego wypadku wskazany jest inny klimat. Okropnie trudno dyskutować z lekarzami. Chowają się za rozwlekłe medyczne terminy, które sami, jak podejrzewam, nie całkiem rozumieją. Doktor zalecił właśnie Billowi na lato wyjazd do stanu Maine, i przypuszczam, że od razu się tam wybierze, jak tylko zejdę mu z drogi i nie będę mogła się sprzeciwić. Ledwie miesiąc temu wrócił, wyobraź sobie, z Afryki. Prawie rok nie było go w domu, napolował się tam za wszystkie czasy i twierdzi, że wyszło mu to na dobre, choć muszę powiedzieć, że po powrocie nie zauważyłam żadnej poprawy. Głowę daję, siedziałby tam bez końca i do reszty zniszczył sobie zdrowie, gdybym nie nalegała, żeby wrócił. Cóż, nie wygląda na to, żebyś zobaczyła go wcześniej, nim zadomowimy się nad morzem, o ile nawet wtedy ci się to uda, ale pomyślałam sobie, że lepiej będzie, jak ci o nim wspomnę. Dobranoc, moja droga. Pokojówka obudzi cię o siódmej rano.

Kasia przepakowała do podręcznej walizki i pudła na kapelusze najpotrzebniejsze rzeczy, które się przydadzą na pierwszy dzień nad morzem. Ponieważ za wcześnie było na sen, zeszła na dół po schodach, nurzając stopy w puszystych dywanach. Salon, wielki i opuszczony, przypominał pawilon w sklepie z meblami na chwilę przed pokazem; przecięła hall kierując się do biblioteki. Między dywanem w bibliotece a wysłaniem hallu znajdował się kawałek nie zakrytej podłogi; obcasy jej ostro zastukały. W bibliotece ktoś poruszył się szybko i zaszeleścił. Skamieniała stając oko w oko z młodym mężczyzną w przeciwległym kącie pokoju. Twarz miał pulchną jak dziecko, nadąsał się, jakby mu chciano odebrać zabawkę. Jego kręcone włosy przypominały jasne wióry. Trzymał się półki ręką wciśniętą za rząd książek i zdawało się, że patrzy na nią bojaźliwie swoimi niebieskimi oczami.

Potem lęk, jeśli to w ogóle był lęk, znikł z jego spojrzenia. Nachmurzył się i rzekł grubiańsko:

— Kim pani jest, u diabła?
— Przepraszam — powiedziała. — Nie chciałam pana wystraszyć. Musi pan być synem pani Lawrence.
— Dzięki za pouczenie mnie, kim jestem. Tak się składa, że sam o tym wiem. Chciałem wiedzieć, kim pani jest?
— Jestem Katarzyna Judson — odparła. — Właśnie przyjechałam wieczorem i jutro wybieram się z pańską matką nad morze. Przepraszam, że panu zakłóciłam spokój.
— Aha. Więc pani jest gwiazdą następnego sezonu? — Ruszył w jej stronę kołysząc się nieco. Spostrzegła, że trzyma szklankę z brunatnym płynem. — Niech pani jeszcze nie ucieka — powiedział. — Trafiła się świetna okazja, żeby sobie parę rzeczy wyjaśnić. Jeśli pani myśli, że będziemy się często spotykali, niech pani to sobie wybije z głowy.
Podszedł tak blisko, że czuła jego oddech, gęsty od wyziewów alkoholu.
— Nic sobie o panu nie myślę — odparła. — Wolę porozmawiać z panem innym razem, kiedy pan sobie nie wypije.
Spojrzał na nią złowrogo i uniósł szklankę.
— Lekarstwo — powiedział głośno. — Mam je zażywać dla zdrowia.
— Wódka. Widziałam nawet, jak pan chował butelkę. Posłał jej lisi uśmieszek i rzekł:
— Mieliśmy przed dwoma laty pokojówkę, która doniosła matce, że po kryjomu pociągam sobie co nieco. Matka zwymyślała ją, że szpieguje i kłamie, i wylała ją ze służby.
— Nie jestem pokojówką, szpiegiem i kłamczuchem, panie Lawrence.
— Pani jest dziewczyną — odparł, i jakoś w jego ustach zabrzmiało to mocniej niż szpieg czy kłamczuch. — Dziewczyną, i będzie pani się kręcić, żeby złapać na haczyk chłopczyka. Niech pani mnie z tego rejestru wykreśli, zrozumiane?

W jednej chwili postanowiła dać mu dobrą nauczkę, choćby miano ją za to wyprosić z domu. Uniosła rękę i uderzyła go w twarz.
— Niech pan biegnie i poskarży się mamie — powiedziała. Chwilę stał dygocząc, białe ślady jej palców powoli znikały mu z policzka. Raptem schwycił ją mocno za rękę.
— Powinienem nauczyć panią moresu! — krzyknął. — Powinienem wziąć panią w garść i... i...
Zachowywał się jak chłopczyk, który lada chwila rzuci się na podłogę, zacznie kopać i wrzeszczeć. Zabrakło mu słów, wyraźnie nie wiedział, co ma dalej zrobić, kiedy schwycił jej rękę. Stykała się z wieloma małymi chłopcami i na ogół umiała się z nimi obchodzić.
— Oboje się wygłupiamy, co? — powiedziała spokojnym głosem. — Żałuję, że dałam panu po twarzy, ale pan sam się o to prosił. Pański uścisk to nie przelewki. Siłacz z pana, no.
Spojrzał na swoją rękę zaciśniętą na jej przegubie. Rozluźnił palce.
— Tak — powiedział z nutką zadowolenia w głosie. — Silny jestem. Potrafię podnieść dwieście funtów nad głową.
Zupełnie chłopięca gadanina; czuła się coraz bardziej pewna siebie.
— O, to sporo. Nie przypuszczam, żeby przeciętny mężczyzna mógł podnieść połowę tego.
Pociągnął łyk ze szklanki i otarł usta rękawem.
— Siłaczy jest kupa, ale brak im wytrzymałości — powiedział. — Mogę cały dzień nie zsiadać z konia i wcale się nie zmęczyć. Ostatniej zimy w Afryce odwalałem codziennie dziesiątki mil, jakeśmy się wypuścili na safari. Miałem za przewodnika jednego z białych myśliwych, który polował z Teddym Rooseveltem. Z początku myślał, że ma do czynienia z pętakiem. Zanim żeśmy się wykończyli, pokazałem mu klasę. Może mi pani nie wierzy?

— Naturalnie, że wierzę. Na co pan polował?
— Och, na lwy, nosorożce i cały ten kram. Dopadłem bawołu, z rekordową parą rogów. Zraniłem go pierwszym strzałem i musiałem zapuścić się w głębokie zarośla, żeby go dostać. Mój biały przewodnik mało nie skonał na serce. Bawół myśli prawie jak człowiek i kombinuje jakby tu faceta przygwoździć.
Kasia spojrzała na niego ciekawie.
— Słyszałam, że pan choruje... Ale nie wygląda pan na to. Połapała się od razu, że nieopatrznie poruszyła ten temat.
Powieki opadły mu na oczy, spozierał spod nich bacznie jak zwierzę z nory.
— Napada mnie to od czasu do czasu — powiedział. — Jedyne lekarstwo, które mi pomaga, to wyjazd.
— Jak słyszę, wybiera się pan na lato do Maine.
— Matka to pani powiedziała, co? Świetnie się tam obozuje. Świetnie łowi ryby. Tamtejszy klimat mi służy.
— Życzę przyjemnych wywczasów. Niech pan coś dla mnie złowi, dobrze? Zawsze marzyłam, żeby się wybrać na ryby.
Pociągnął ostatni łyk ze szklanki.
— Podejrzewałem, że pani będzie mnie namawiać, żebym przyjechał do was nad morze.
— Z jakiej racji? Ma pan prawo sam układać swoje życie.
— Niech pani to powie matce — odparł. — Ona woli układać każdemu życie wedle swojego gustu. — Zachwiał się i przybliżył do niej. — Zdradzę pani pewną tajemnicę — szepnął. — Ona chce założyć w Filadelfii potężną jak cholera dynastię. Ale wie pani co? Żeby dynastia się rozwijała, potrzeba następcy tronu. A temu z kolei udzielnej księżniczki. I wie pani co? Ona ma w garści tylko następcę tronu i na tym będzie musiała poprzestać.

Chichocząc odwrócił się od niej, jakby już nie istniała, i wyszedł z pokoju. Nie słyszała jego kroków na dywanach, tylko upiorny chichot niosący się przez hall, a potem w górę po schodach.

15

Późnym rankiem następnego dnia Stearns-Knight, przetransportowany promem do Camden na drugi brzeg Delaware, ujechał spory szmat drogi Szlakiem Białego Konia. Pogoda dopisywała, więc mknęli z opuszczoną budą. Pani Lawrence z Kasią siedziały w tyle, ubrane w luźne prochowce. Woalki miały nasunięte na kapelusze i związane pod brodą. Była to dziwnie milcząca jazda. Pani Lawrence prawie się nie odzywała, pytała tylko co pięć minut Bledsoe'a, czy nie zmylił trasy. Resztę czasu siedziała naburmuszona.

— Znowu zbliżamy się do miasta, Bledsoe — powiedziała. — Znasz dalej drogę?

— Tak, proszę jaśnie pani. „Przewodnik Turystyczny" powiada, że na dwudziestej piątej mili skręcamy ostro w lewo na bitą szosę obok białego drewnianego domu, a szlak odchyla się w prawo nad jeziorem.

— Masz właśnie jezioro i biały budynek, Bledsoe.

— Tak, proszę jaśnie pani. Powinniśmy tutaj skręcić.

Stearns-Knight zamaszyście wziął zakręt na bitą szosę i gładka nawierzchnia szlaku ustąpiła ciągłym wstrząsom i wybojom. Za nimi wznosił się kurz długim brunatnym welonem.

Pani Lawrence przez kilka minut siedziała w milczeniu, a potem odezwała się ściszonym głosem:

— Głęboko się rozczarowałam, Kasiu.

— Czym? Drogą? — spytała dziewczyna nieśmiało. — Chyba trochę wyboista, ale co za rozkosz tak podróżować.

— Nie drogą. Na tobie się zawiodłam.

— Ależ, proszę pani, cóż ja takiego zrobiłam?
— Syn mi powiedział, że spotkał ciebie ostatniego wieczoru.
— Naprawdę, proszę pani, to całkiem przypadkowe spotkanie w bibliotece, i choć bez przyzwoitki, zachowaliśmy się zupełnie poprawnie.
Mówiąc tak ryzykowała, ale nie mogła uwierzyć, aby młody Lawrence przyznał się do policzka.
— Poprawnie — prychnęła pani Lawrence. — Nie masz za grosz rozumu, Kasiu? Siedzisz sam na sam tyle czasu z młodym mężczyzną, który wstydzi się nawet parę sekund zostać z innymi dziewczętami, i o niczym innym nie myślisz, tylko o tym, żeby się zachować poprawnie. Och, żeby mi przyszło do głowy, że ty możesz się z nim spotkać, już bym to inaczej zaaranżowała. On okropnie stroni od dziewcząt. W najlepszym razie spodziewałam sie, że spotkasz go po wakacjach, do tego czasu poznałabyś się trochę na toalecie i strojach. A tyś go przywitała w zwykłej, mało szykownej sukience, co ma mankiety i kołnierz skrojone prawie po mesku. Mógł nawet nie poznać, że jesteś dziewczyną. A teraz z kolei wróci z Maine, znów mu się pogorszy, pójdzie do łóżka, az mu jakiś kretyński doktor zaleci następną podróż dla zdrowia. O czym żeś ty z nim rozmawiała?
— Strasznie mi przykro. Widzi pani, nie wiedziałam, że jest wstydliwy. Opowiadał mi fantastyczne rzeczy o polowaniach w Afryce.
— Boże święty! O polowaniach! W Afryce! Nie miałaś jeszcze żadnych przygód z mężczyznami? Nie wykorzystywałaś kobiecych powabów?
— W istocie, proszę pani, robił na mnie wrażenie chłopczyka, który chce porozmawiać o grze, w jakiej brał udział. Widzi pani, z tej racji, że tatuś jest profesorem łaciny w Akademii Franklina, stykałam się z mnóstwem małych chłopców i wszyscy są bardzo do siebie podobni. Chowają się po kątach, dopóki się nie wpadnie na to, co ich interesuje, i nie porozmawia z nimi o tym.

— Masz nadzwyczaj dziecięce wyobrażenia, Kasiu. Mój syn to nie chłopczyk. Liczy sobie dwadzieścia siedem lat i najwyższy czas, żeby się ożenił. Choć nic takiego nie postało mi w głowie, jeśli idzie o moje faworytki, to jednak żywiłam nadzieję, że przynajmniej jedna z nich wywabi go ze skorupy i rozbudzi zainteresowanie dla naszej płci. Och, jakże się zawiodłam.
Kasia powiedziała potulnie:
— Postaram się lepiej spisać następnym razem.
— Przepadło. To się już nie powtórzy. Nie... Samochód przechylił się na bok i zaczął stukać ciężko jednym kołem. Bledsoe zjechał na bok szosy i zahamował.
— Najmocniej przepraszam, jaśnie pani — powiedział — ale nawaliła nam pierwsza kicha.
— Nie życzę sobie — odparła ze złością pani Lawrence — żebyś się w ten sposób wyrażał. Jak mówisz „pierwsza kicha", stwarzasz wrażenie, że z chęcią powitasz następne. A teraz chyba się uprzesz, żebyśmy wysiadły.
— Kiedy ktoś jest w wozie, proszę pani, gwałtowny ruch może zrzucić wóz z lewarka.
— Dobrze już, dobrze — zamruczała pani Lawrence dźwigając się z siedzenia.
Bledsoe odkręcił z tyłu zapasowe koło, podniósł tylną lewą oś na lewarku i zaczął zdejmować koło z nawaloną kichą. W oponie siedział gwóźdź; pani Lawrence powiedziała, że to na pewno farmerzy rozrzucają gwoździe po drogach, żeby się odegrać na automobilistach za kurz i przejechane kurczaki. Przeszła się kawałek w górę i w dół drogi rozglądając się za farmą i za winowajcą. Jednakże zawiodła się w swoich poszukiwaniach, bo znalazły się już w sosnowym lesie, a szosa w obu kierunkach wciąż była pusta.
Bledsoe zdążył prawie umocować zapasowe koło, kiedy pojawił się pierwszy znak nowego auta na drodze. Z tyłu dobiegał ich wciąż rosnący pomruk i o jakąś milę

wypadł zza zakrętu samochód. Wzbijały się za nim kłęby kurzu. Pomruk zamieniał się w głębokie wycie.

Pani Lawrence złowrogo wpatrywała się w drogę.

— To przez takich kierowców, jak ten szaleniec, zarabiamy wszyscy u farmerów na złą markę — powiedziała. W głosie jej zabrzmiała nutka zadowolenia, kiedy wreszcie miała na kogo zwalić winę za ich przedziurawione koło. — Łap się za chusteczkę, Kasiu, żeby zakryć nos. Kurz będzie straszny.

— Kiedy głowę daję, że on zwalnia — powiedziała Kasia.

— Bzdura. Tacy kierowcy nigdy nie zwalniają. Pędzą zaw... Boże święty, Bledsoe, czy to nie szary Marmon? Dwuosobowy?

Bledsoe zerknął na samochód, który wyraźnie zwalniał.

— Wydaje mi się, że pani ma rację.

— Zupełnie niemożliwe. A jednak... a jednak...

Kasia nie miała pojęcia, o czym oni mówią. Samochód znajdował się już blisko i wyraźnie zamierzał się zatrzymać. Był to wyścigowy wóz o wysmukłej szarej karoserii, bez budy. Kierowca miał na sobie hełm, skafander i ciężkie, ochronne okulary. Dłoń w skórzanej rękawicy sięgnęła na zewnątrz samochodu i szarpnęła do tyłu wysunięty drążek hamulca. Samochód zatrzymał się przy nich, z warczącym motorem.

— Boże święty, Bill! — krzyknęła pani Lawrence. — Czy to pożar w domu wybuchł? Cóż ty tu robisz, u Boga Ojca?

Młody Lawrence otworzył niziutkie drzwiczki i wysiadł zsuwając na czoło okulary. Kasię zaskoczyła odmiana, jaka w nim zaszła od ostatniego wieczoru. Jakaś szorstkość i stanowczość kryła się w każdym jego ruchu. Ostre białe zmarszczki rozchodziły mu się od oczu przez powłokę kurzu, wargi miały mocny wyraz, bez dziecięcego grymasu.

— Serwus, mamo — powiedział. — Dzień dobry pani. Czołem, Bledsoe, pomóc ci z tą kichą?
— Dzięki, paniczu, mam tylko dokręcić mutry.
— Wsadzę na miejsce nawalone koło — powiedział podnosząc je niedbale jedną ręką i umieszczając na bagażniku.
— Nie odpowiedziałeś mi, Bill — poskarżyła się pani Lawrence. — Pytałam, czy pożar nie wybuchł w domu albo nie stało się co złego.
— Nic się nie stało, mamo.
— Ależ, Bill, gnałeś w szalonym pędzie. Nie możesz temu zaprzeczyć.
— Tylko przez parę minut, żeby motor się rozgrzał, mamo. A resztę w żółwim tempie. Podoba się pani mój samochód?
— Śliczny — powiedziała dotykając go niemal z szacunkiem. — Jaką rozwija szybkość?
— Robi osiemdziesiąt mil. Ale — zerknął na matkę — nie wyciągam na nim aż tyle.
— Przyznaj się — powiedziała matka — w jakim czasie dogoniłeś nas?
— Chwileczkę. Wyjechałem z domu w pół godziny po was. Więc będzie dwie godziny drogi.
Kasia powiedziała ściszonym głosem, tak żeby pani Lawrence nie dosłyszała:
— Głowę daję, że machnął pan z Camden tutaj w czterdzieści minut.
— Tak, co najmniej dwie godziny — powtórzył głośno młody Lawrence.
Półgębkiem mruknął do Kasi: — W trzydzieści jeden minut.
— Cóż to musi być za przyjemność siedzieć za kierownicą w takim wozie — powiedziała Kasia. — Nie wiem, czemu ludzie uważają, że dziewczęta nie powinny prowadzić.
— To głupota, żeby się pani nie miała nauczyć — odparł. Sam mógłbym się panią zająć. To jest, jeśli zostanę nad morzem dłużej niż parę dni.

— Jedziesz nad morze? — wykrztusiła matka. — A ja sądziłam... no i lekarz mówił... że w Maine...

— Pomyślałem sobie, że przynajmniej pomogę wam zadomowić się nad morzem, zanim wypuszczę się dalej. No, kiedy się już usadowicie, ruszę w drogę. Do zobaczenia, mamo.

Gwiżdż na kichę, Bledsoe. Spotkamy się w naszym domku, proszę pani.

Nałożył ochronne okulary i wsiadł do wyścigówki. Dłoń w rękawicy pomachała im, warkot wzmógł się i samochód ruszył. Obserwowali, jak toczy się statecznie po szosie, prawie nie kurząc. O kilkaset jardów dalej minął zakręt i raptem motor zagrzmiał, a kurz wzbił się nad czubki sosen.

Bledsoe dokręcił ostatnią mutrę i podszedł do skrzynki na narzędzia stojącej na stopniu. Mijając Kasię szepnął:

— Moim zdaniem wyciąga co najmniej dziewięćdziesiątkę.

— Nigdy z tego nie ochłonę — powiedziała pani Lawrence. — On rzeczywiście jedzie nad morze.

Popatrzyła na Kasię obejmując spojrzeniem wszystko od czubków jej zakurzonych butów i niezgrabnego prochowca aż po kosmyki włosów wymykających się spod kapelusza.

— Muszę przyznać — powiedziała — że ostatecznie nie zawiodłam się na tobie, moja droga. Widocznie kobiece powaby to było od początku złe lekarstwo.

Lato wyglądało jak każde lato nad morzem. Trafiały się upalne, błękitne dni albo musujące jak szampan. Niektóre staczały się po pijanemu w grzmoty i burze, dobywając ze słońca ostre błyski jak z mosiężnego czynela. Kiedy indziej wpadały północno-wschodnie wiatry, czyste i silne, szorowały plażę i morze, jak gdyby natura brała kąpiel. Lato było jak każde lato, ale stanowiło nowość dla Kasi. W odległej Filadelfii przyroda nie narzucała się tak człowiekowi. Pukała nieśmiało do kuchennych drzwi jak domokrążca z kapeluszem w ręce.

„W Filadelfii — myślała Kasia — również dla uczuć przeznaczono kuchenne wejście. A tutaj nie". Po raz pierwszy została wciągnięta powoli i boleśnie głęboko w życie i troski dwojga innych osób. Sztormy i cisze, blaski i cienie, nawiedzające tę granicę ziemi i morza, znajdowały odbicie w jej osobistym życiu.

Młody Lawrence nie pojechał do Maine. Najpierw miał zatrzymać się na wybrzeżu tylko parę dni, potem postanowił zaokrąglić ten czas do tygodnia, wreszcie zaplanował, że spędzi lipiec na miejscu w Beach Haven, a sierpień w Maine. Ale na długo przed końcem lipca przestał wspominać o Maine i osiadł na lato w dużym wiktoriańskim domu, który pani Lawrence nazywała „ich domkiem".

Kasia wprędce uświadomiła sobie, że jakoś udało jej się doprowadzić do delikatnej równowagi w stosunkach między matką a synem. Bez niej szala przechyliłaby się gwałtownie w jedną lub drugą stronę i młody Lawrence popadłby zapewne w którąś ze swoich dziwnych chorób albo wyrwał się w nową podróż dla podreperowania zdrowia. Nawet teraz równowaga nie była idealna. Trafiały się dnie, kiedy siedział okutany w koce na werandzie, nie odzywając się ni słowem, z oczyma pustymi jak muszle. Kiedy indziej znowu z wściekłością wypadał z domu, wskakiwał do swojej wyścigowki i znikał na całe godziny. Pewnego dnia, kiedy dął północno-wschodni wiatr, wybiegł na plażę i skoczył w falę strasznego przyboju, który wstrząsał całym domem.

Po tych zrywach wracał blady i zmęczony, ale dziwnie podniecony, jak gdyby ruch działał na niego niczym środek pobudzający. W dzień lub dwa narkotyk tracił moc i dalsze wypadki zależały od tego, jak kształtował się stopień równowagi w rodzinie Lawrence'ow.

Kasia wiedziała, naturalnie, na czym polega konflikt. Dla pani Lawrence istniały na świecie tylko dwie kategorie rzeczy: ta, którą pragnęła posiadać, i ta, na którą nie miała ochoty. Ludzi dzieliła podobnie. A kiedy chciała coś mieć dla siebie, domagała się własności absolutnej. Młody Lawrence wzrósł w walce z tymi

zakusami, poddając się im i znowu podnosząc głowę albo chroniąc się pod osłonę rozejmu — swojej choroby. Ale o wiele łatwiej było dostrzec przyczyny konfliktu, aniżeli wiedzieć, co z nim samym zrobić.

Początkowo jej uczucia nie wchodziły w grę. Pochlebiało jej, że Bill przyjechał nad morze na kilka dni, bez wątpienia po to, żeby ją zobaczyć, i dla zabawy próbowała go zatrzymać, bo to było ciekawe. Ale stopniowo igraszka przerodziła się w coś poważniejszego. Kasia zrozumiała, że może zapobiec wielu jego melancholijnym albo gwałtownym humorom, wyciągając go na spytki o sukcesach myśliwskich, rybackich, jeździeckich i automobilowych. Przechwalał się zawsze jak chłopczyk, ale mówił prawdę. Wystarczyło raz się z nim przejechać wozem wyścigowym i zobaczyć, jak bierze zakręty na szosie, żeby się o tym przekonać. Mógł pływać godzinami we wzburzonym morzu nurzając się w falach jak foka, ze złocistą głową i brunatnymi, gładkimi ramionami. Raz, kiedy pożeglowali daleko w zatokę Barnegat, uderzył na nich szkwał. Bill zamiast zwinąć żagle i zakotwiczyć, złapał w nie pełny wiatr i łódź pomknęła jak mewa pod opieką jego rąk. W takich chwilach, kiedy mu się coś świetnie udawało, a ona to widziała, jego radość ściskała ją za gardło i napadała ją chęć, żeby wyciągnąć rękę i musnąć jego włosy albo skórę. Nie ulegała jednak tym porywom. Jeśli otarli się o siebie przypadkiem, kiedy ją uczył kierować, pływać czy żeglować, nie zwracał chyba na to uwagi. Ale cofał się przed świadomym zbliżeniem, tak jak nieoswojony zwierzak umyka przed ręką wyciągniętą do pieszczoty.

Przeminęły więc sztormy i cisze, blaski i cienie lata i nadszedł świąteczny weekend po wakacjach. Kasia nie bardzo rozumiała, gdzie się podziało lato, ale wiedziała, że wraz z nim przepadła zrównoważona i praktyczna panienka, która niegdyś wybrała się do Wierzbowego Gaju i sprawdzała na zimno, jak dalece zależy jej na mężczyźnie. Teraz, z tym drugim, bała się poddać próbie swoje uczucia.

W świąteczny poniedziałkowy wieczór siedziała na werandzie „ich domku". Czytała przedtem w salonie, ale wiersze magazynu zaczęły się zlewać. Wyszła na powietrze, żeby oczy odpoczęły. Za drogą i łukiem piaszczystej wydmy czarny ocean przystroił się w migocący woal światła księżyca. Oddychała głęboko, zdawało jej się, że jakiś odległy zakątek płuc odczuwa głód powietrza. Nie mogła odetchnąć pełną piersią. Jutro wrócą do Filadelfii i zaczną poważne przygotowania do jej debiutu. Niegdyś była to podniecająca perspektywa. Teraz zamieniła się w coś, co trzeba będzie zrobić, bo podobno wyjdzie jej to na dobre, tak jak trzymanie pleców prosto czy uczenie się łaciny.

Drzwi domu otworzyły się i ktoś wyszedł do niej na werandę.

— Tuś się skryła, moja droga — powiedziała pani Lawrence sadowiąc się w bujaku obok niej. — Cudowna noc. Przykro ci, Kasiu, że lato się skończyło?

— Nie wiem — odparła. — Mam takie jakieś mieszane uczucia.

— Dziewczęta w twoim wieku często je miewają. Chciałam trochę z tobą porozmawiać. Powiedz mi, Kasiu, szczerze, czy czułabyś się oszukana, gdybyś nie miała debiutu?

W mroku twarz pani Lawrence stanowiła zwartą bryłę cienia i Kasia nie mogła dostrzec jej wyrazu. Przed sześcioma tygodniami po takim pytaniu ogarnąłby ją popłoch ze strachu, że naraziła się czymś pani Lawrence. Teraz, kiedy debiut niewiele dla niej znaczył, stała się tylko czujna i ostrożna. Zazwyczaj pani Lawrence zmierzała prosto do rzeczy. Ale kiedy zaczynała boczkiem przybliżać się do jakiegoś tematu, który miała poruszyć, dobrze było sobie przypomnieć, jak rybak otacza ławicę, zanim zamknie sieć. Kasia powiedziała ostrożnie:

— Nie mogłabym czuć się oszukana, proszę pani, bo od nikogo debiut mi się nie należał.

— Bardzo rozsądna odpowiedź, moja droga, ale raczej nie o to mi chodziło. Chyba lepiej powiem od razu, że w niczym nie sprawiłaś mi zawodu. Wprost przeciwnie. Znasz zasadniczy cel debiutu, nieprawdaż?
— Naturalnie. Poznać panów z towarzystwa, a potem wyjść za któregoś za mąż. Przyjęcie i tańce to tylko przygrywka.
— Właśnie. Bardzo praktyczna z ciebie osóbka. A zatem, jeśli podstawowy cel debiutu można osiągnąć bez przygrywek, czy nie rozsądniej odrzucić je wraz z debiutem, jak myślisz?
Sieć rzeczywiście się zamykała i myśli Kasi miotały się jak wystraszone piskorze.
— Zapewne pani ma rację — odparła — ale nie mogę sobie wyobrazić, co to ma ze mną wspólnego. Ja...
— Pomyśl trochę, moja droga — powiedziała dobrotliwie pani Lawrence i poklepała ją po ramieniu.
— Na... naprawdę boję się.
— Z tą skromnością najbardziej ci do twarzy, Kasiu. Któż by pomyślał w czerwcu, kiedy przyszłaś tak nieśmiało w tej sukienczynie, z kołnierzem i mankietami skrojonymi po męsku, że w niecałe trzy miesiące staniesz się niemalże członkiem rodziny.
Płucom zabrakło powietrza na werandzie.
— Jak to ładnie z pani strony, że traktowała mnie pani jak kogoś z rodziny — szepnęła słabym głosem.
— Słuchaj, Kasiu — powiedziała pani Lawrence z odrobiną zniecierpliwienia. — Fechtujesz się ze mną, a ja nie lubię, żeby mnie wyzywano na szpady. Używam określenia: „członek rodziny"nie grzecznościowo, ale w najbardziej praktycznym i legalnym sensie. Ty wiesz, co mam na myśli.
Nie było po co dalej miotać się i wywijać. Sieć zamknęła się szczelnie.

— Chce pani — powiedziała, z wysiłkiem dobywając głosu — żebym wyszła za Billa?
— Faktycznie, moja droga. Nie chodzi o to, że ja tak chcę, choć naturalnie spodziewam się, że moje życzenia zostałyby wzięte w rachubę. Chodzi o to, że ty chcesz wyjść za Billa, a Bill chce się z tobą ożenić. Tak szczęśliwie się składa, że wszyscy troje czujemy jednakowo.
— Ale ja sama nie wiem, co czuję! — krzyknęła Kasia. — Owszem, myślałam o Billu, ale nie znam go jeszcze zbyt dobrze. Ogromnie go lubię. Cieszę się będąc z nim. Ale tyle w nim jeszcze rzeczy obcych i dalekich, do których dotrzeć nie mogę. Gdyby nas nikt nie ponaglał, gdybyśmy mogli być ze sobą jeszcze rok, czy nawet pół roku, wtedy ja...
— Wiele dziewcząt nieraz czuje to samo wobec mężczyzn, za których mają wyjść za mąż.
— Ale jak mogę wyjść za człowieka, który wciąż jest mi częściowo obcy?
— Wstydziłabyś się! Ja prawie wcale nie znałam DeWitta, kiedyśmy się pobrali. Ojciec mój był pastorem i pochodził z dobrej starej rodziny, ale takiej, co nigdy nie zyskała należnego sobie uznania. Byliśmy goli jak myszy kościelne. DeWitt należał do naszej parafii, zawsze dawał na tacę dwadzieścia dolarów i chciał, żeby wszyscy o tym wiedzieli. Przekroczył trzydziestkę, ale już organizował małe przedsiębiorstwa tramwajów konnych w większą spółkę. Uważałam go po trosze za krzykacza i bufona i w gruncie rzeczy miałam rację. Zaczął się starać o mnie jak o przedsiębiorstwo tramwajowe, żeby je czym prędzej złapać, bez zbytniego hałasu i zachodu. Kosztowało mnie sporo wysiłku, aby pójść z nim do ołtarza, a potem jeszcze więcej, aby go przerobić. Ale wszystko wyszło na dobre. Widzisz więc, moja droga, że masz nade mną dużą przewagę. Bo Bill już ci się bardzo podoba.
Impet słów przewalił się nad Kasią jak łamiąca się fala. Oszołomiona powiedziała:

— Naprawdę nie wiem. Naprawdę nie wiem. A co Bill na to? Pani z nim rozmawiała?
— Wspomniałam mu o tym przed chwilą.
— Cóż on powiedział, proszę pani? Nie widzi pani, że w tym cała rzecz. Co powiedział?
— Znasz Billa. Ruszył grdyką, coś tam wybełkotał i wsadził nos w książkę.
— Nie wypadł z domu? Nie schwycił za kierownicę?
— Nie. Nic nie zrobił. Wiesz, jaki on jest wstydliwy. Powiedziałam, że zamierzam porozmawiać z tobą o tym od razu, i chyba ulżyło mu, że biorę na siebie... powiedzmy, przełamanie lodów. Myślę, że powinniśmy zaplanować wesele na początek października, co da nam miesiąc czasu, żeby się przygotować.
Kasia zebrała się w sobie i zamknęła oczy, tak jak zawsze, kiedy miała skoczyć z trampoliny.
— Nie będę gotowa za miesiąc — powiedziała. — Ani za sześć miesięcy, ani za rok, ani za pięć lat. Dopóki Bill mnie nie przekona, że sam jest gotów.
— Masz ci los — zachłysnęła się pani Lawrence. Potem zamilkła i oddychała ciężko kilka chwil. Powiedziała wreszcie: — Przypuszczam, że ostatecznie twój punkt widzenia jest rozsądny. Jeśli zostaniesz na werandzie, Kasiu, przyślę tu Billa.
Wstała i poszła do domu stwarzając jakoś wrażenie, że Kasia posunęła rozsądek niemal za daleko. Dziewczyna zacisnęła pięści i zwarła je razem. Głowę miała jak kipiący czajnik, myśli uciekały jak para.
Nowe kroki przemierzyły werandę i dziwny, przygnębiony głos powiedział:
— Dowiaduję się, że się zgodziłaś wyjść za mnie za mąż. Potrząsnęła głową nie mogąc dobyć głosu.
— Możesz wyświadczyć mi tę uprzejmość i podzielić się ze mną tą samą wiadomością, co z moją matką.

Trzymał się z dala i nie patrzył na nią. Profil miał tak zimny i obcy jak gipsowa statua greckiego atlety o zamkniętych, martwych oczach, którą szkicowała na lekcjach rysunków.

— Nie zgodziłam się wyjść za ciebie za mąż — szepnęła. — Powiedziałam, że nie wiem.

— Czego nie wiesz? — spytał ostro.

— Bill, twoja matka narzuciła nam małżeństwo bez ostrzeżenia. Znamy siebie tylko od jednej strony. Przepadam za tym, co w tobie znam, ale to jeszcze nie wszystko. Lubię przebywać z tobą. Lubię razem z tobą jeździć autem, pływać, żeglować, tańczyć. Chciałabym, żebyśmy jeszcze trochę tak ze sobą pobyli i przekonali się, czy... czy... Widzę, że mętnie to tłumaczę.

Zimny profil zwrócił się w jej stronę.

— To się nie pokrywa z tym, co matka mi powiedziała.

— Nie stercz taki oziębły i przejęty pogardą! — krzyknęła. — Chcesz, to palnę mocniej. Pójdę i powiem jej, że nigdy, przenigdy nie wyjdę za ciebie za mąż. Lepiej ci teraz?

— Wierzę, że byś jej to palnęła — powiedział ze strachem w głosie. — Masz sporo odwagi.

— Ani trochę. Boję się jak diabli.

— To cholerna historia — mruknął — kiedy matka załatwia za chłopa takie rzeczy. Naturalnie, można mieć wątpliwości, czy w ogóle jestem mężczyzną.

— Nie wolno ci tak mówić. Widziałam, jak robiłeś niejedną rzecz, która wymaga odwagi.

— Tak, staram się ze wszystkich sił, żeby udowodnić, że jestem mężczyzną, no nie? Jeżdżę jak wariat, poluję, uprawiam każdy ryzykowny sport. Udowadniam i udowadniam, ale na całkiem nieistotne sposoby. Tylko nie potrafię stanąć okoniem. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

— W tym wypadku nie musisz się o to starać. Już ja stanę okoniem za ciebie.
Chwilę milczał, a potem rzekł:
— Śmieszne, ale nie jestem pewien, czy tego od ciebie chcę.
— Bill, ty mi tego nie zrobisz — powiedziała zdławionym głosem. — Masz się zdecydować.
— Niby dlaczego? Tyś się też nie zdecydowała. Chcę, żeby zostało między nami po staremu, tak jak i ty.
— Dobra. No, to o co chodzi? Nic innego nie mamy do roboty, tylko powiedzieć jej, żeśmy się jeszcze nie namyślili.
— Kasiu, ty nie znasz matki. Nie próbowałaś dotąd z nią walczyć. Jak ty wystąpisz przeciwko niej, z miejsca odeśle cię do domu. A jak wystąpię ja, uprze się, żeby ci wyprawić debiut, i wypuści na ciebie krocie przystojnych facetów, jakich tylko uda jej się złapać. Potem spocznie sobie, żeby popatrzyć, jak się męczę.
— Chcesz powiedzieć, że to by cię obeszło? Ukląkł i oparł głowę na jej kolanach.
— Doprowadziłoby mnie do szału — wymamrotał — i ona o tym wie. Przedtem nie cierpiałem dziewcząt. Dla żadnej nie miałem czasu, dopóki ty się nie zjawiłaś. Nie mogę ciebie stracić, rozumiesz?
Musnęła mu włosy i czuła, jak zadrżał, ale nie cofnął się.
— Czemu miałbyś mnie stracić? — spytała. — Gdybym wróciła do domu, mógłbyś mnie przecież odwiedzać.
— Zamknęłaby chałupę na cztery spusty i uparła się, żeby mnie zabrać ze sobą w podróż. Choćbym powiedział „nie", wątpię, czybym się wymigał. Skończyłbym chyba w łóżku. Znasz ten mój nałóg. Zaczął się chyba od spłatania figla, kiedy byłem szczeniakiem, ale teraz nie mam nad nim władzy.
— Bill, przypuśćmy, że ty byś się jej przeciwstawił, a ja po jej myśli dałabym sobie wyprawić debiut. Cóż by w tym było złego? Moglibyśmy wciąż się spotykać, choćby nasłała na mnie nie wiem ilu mężczyzn.

—- Nie potrafiłbym nigdy konkurować o ciebie — powiedział ochrypłym głosem.
— Zobaczyłbym, że tylu ich się koło ciebie kręci, i zaraz zachciałoby mi się uciec gdzieś samemu. Po jakimś czasie poczułabyś się dotknięta i przepadłbym w twoich oczach.
— Bill, myślę teraz niezbyt jasno. Ale czyś ty nie zamknął wszystkich dróg wyjścia? Cóż my zrobimy?
Wpił palce w jej kolana, aż ją zabolało.
— Dzięki, żeś mnie zapytała — powiedział. — Sądzę, że to mi daje akurat dość odwagi. Kasiu, wyjdziesz za mnie w październiku?
— Nie! Nie zgadzam się tak. Ja...
Poderwał się nagle, schwycił ją za ręce i szarpnął do góry.
— Musisz się zgodzić. Właśnie tak — powiedział gwałtownie. — Musisz na mnie postawić. Jeśli w ogóle mam stać się mężczyzną, to tylko z tobą. Słyszysz mnie? Słyszysz?
Potrząsnął nią brutalnie. Poczuła się dziwnie bezsilna, jak szmaciana lalka, i zaczęła płakać. Ogarnął ją ramionami i przycisnął do siebie. Wstrząsały nim szalone dreszcze. Schylił się i pocałował ją. Takiego pocałunku nigdy jeszcze nie zaznała.
Obchodził się z nią jak z wyścigówką, którą miał kierować, albo jak ze zwierzęciem, które miał zabić, albo jak z łodzią, którą miał przeprowadzić przez sztorm. Wyprostował się i rzekł:
— Wychodzisz za mnie czy nie? Brzmiało to bardziej jak rozkaz niż pytanie.
— Tak — szepnęła. Puścił ją i odstąpił o krok.
— Pójdę powiedzieć matce.
Opadła na krzesło i zaniosła się ciężkim suchym szlochem, który niemal rozsadzał jej żebra. Okropna była ta niewiedza, czy w jego pocałunku kryła się miłość, czy nienawiść.

17

Wsparta na ramieniu ojca szła główną nawą kościoła, stąpając w nielitościwy takt marsza weselnego. Na próbie wyglądało to łatwo, ale teraz przypominało spacer na linie. Wśród ludzi w zatłoczonych ławkach trafiali się ci, z którymi kojarzyły się fragmenty jej życia. Chłopiec, co pociągał ją za warkoczyki, kiedy miała osiem lat. To znów parę rzędów koleżanek z ekskluzywnej szkoły panny Rogers; te, które pomijały ją przy zaproszeniach na zabawy przed laty, gdy odezwał się w nich pociąg do chłopców, też starały się jej przypodobać. Postąpiła jeszcze dwa kroki i przeniosła się w miniony czerwiec, do Wierzbowego Gaju, dostrzegła bowiem Michasia Callahana.

Postarał się z nią zobaczyć, jak tylko zawiadomienia o ślubie ukazały się w gazetach.

— Nie wejdę ci w paradę, Kasiu — powiedział. — Wyglądałoby to nieuczciwie. Chciałem tylko życzyć ci szczęścia.

Rozmawiali przez kilka minut omijając istotne sprawy w poszukiwaniu nieistotnych tematów. Powiedział jej, że burzenie kamienic na rogu Dwunastej i Kasztanowej idzie mu świetnie, jak się patrzy, i że sypia w małej szopie z desek wprost na terenie robót, żeby wszystko móc mieć na oku. Śmiesznie to wygląda, powiedział, biwakować tak w samym sercu miasta.

Wreszcie powłócząc wielkimi stopami wyszedł na ganek i powiedział:

— Zrobisz mi łaskę, Kasiu? Przyślij mi zaproszenie na ślub. Chciałbym zobaczyć, jak taki uroczysty ślub wygląda.

Więc był teraz na uroczystym ślubie i przypatrywał się, jak ona stąpa po linie przez rozległą nawę ku czekającej w oddali postaci. W programie cyrkowym akrobata na drugim krańcu liny oznaczał koniec próby. A tutaj zaledwie początek.

Na moment zrobiło jej się słabo, ojciec wolną ręką zakreślił łuk i poklepał ją po ramieniu. Jemu uroczyste śluby odpowiadały.
— Stanowią one — wyjaśniał — ukłon złożony wiekom tradycji. Panna młoda, na przykład, wspiera się na lewym ramieniu ojca, aby miał prawą rękę wolną, gdyby przyszło mu dobyć miecza w jej obronie.
„Tatusiu kochany — myślała — chyba byś się sam skaleczył, gdybyś musiał dobywać miecza". Raz zaczął jej opowiadać, że obrzucanie ryżem albo innym ziarnem to prastary zwyczaj, znany jeszcze starożytnym Rzymianom, rytuał płodności. Potem się zająknął i zmieszał spostrzegłszy, że płodność to niezbyt właściwy temat w rozmowie z panną młodą.
W pierwszej ławce po lewej stronie zobaczyła matkę. Stała sztywno wbrew pokusie, aby się obrócić i sprawdzić, czy Kasia nie potyka się o długą atłasową suknię, czy idzie zgrabnie i dotrzymuje taktu organom. Zaraz za nią stała babka O'Donnell zerkając w koło, aby przypadkiem niczego nie przegapić. Miała niezadowoloną minę na starczej twarzy, jak gdyby szukała skaz w całej ceremonii i nie znalazła ich tyle, ile się spodziewała. Babce nie przypadła do gustu pani Lawrence. „Nowobogacka — powiadała. — Tyle ma ogłady, co świnia w błocie. A tego chłopaka, co za niego idziesz, na mój nos nie uda ci się oderwać od maminej spódnicy". Babka O'Donnell wygadywała tak od chwili, kiedy projekt sukni ślubnej wedle jej pomysłu został odrzucony przez panią Lawrence, która się uparła, aby powierzyć zamówienie swojej krawcowej.
Jeszcze parę kroków doprowadziło Kasię do końca liny i raptem zabrakło przy niej ojca, a na jego miejsce wstępował obcy, nazwiskiem William DeWitt Lawrence. W ostatnich tygodniach rzadko go widywała mając na głowie, prócz krawcowej, tyle przygotowań. Może i lepiej. Przy nielicznych okazjach, kiedy byli sami, próbowali wspominać lato i spostrzegli, że temat ten wysechł i przeminął z wiatrem jak jesienne liście. Nie mogli zupełnie rozmawiać o przyszłości, gdyż

żadne z nich nie oswoiło się z myślą, że mają żyć wspólnie. Tak to wyglądało, jak gdyby mężczyzna i kobieta zawarli ze sobą miłą przyjaźń i raptem znaleźli się zamknięci nago we wspólnym pokoju.
I ma się rozumieć, tak się naprawdę miało stać w bardzo krótkim czasie.
Wygnała tę myśl z głowy i trzymała się od niej z daleka, kiedy ślub, powitanie i obiad weselny przemijały w gwarze rozmów, muzyki i śmiechu. Potem wreszcie oboje uciekli z domu Lawrence'ow do samochodu, a ziarnka ryżu sypały się na nich. Z chęcią wypuściłaby się na dłuższą przejażdżkę w chłodną październikową noc, gdyż miałaby czas odpocząć. Ale jechali tylko o cztery skrzyżowania dalej i zatrzymali się na noc w „Bellevue". To było upokarzające zajeżdżać potulnie przed hotel w dwie minuty po wyruszeniu w podróż poślubną, ale pani Lawrence tak tę rzecz zaaranżowała.
Zwróciła uwagę na to, że będą zmęczeni i powinni się zatrzymać w pierwszym dogodnym miejscu. Nazajutrz wsiadali w pociąg do Nowego Jorku, a pani Lawrence miała ich stamtąd odprowadzić w podróż po Europie. Zwiedzą wszystkie zakątki Europy, które zdaniem pani Lawrence warto było zobaczyć.
Jechali w górę lśniącą hotelową windą starając się nie patrzeć na nowiuteńki bagaż, który ich dekonspirował jako nowożeńców. Gdy winda zatrzymała się, poszli za boyem przez wyłożony wiśniowym dywanem hall do apartamentów, które pani Lawrence dla nich zamówiła.
— Poleciłam kierownikowi — wyznała Kasi — żeby dopilnował, abyście mieli dwa osobne łóżka. Nie podoba mi się ta nowa moda na wspólne łóżka, która niewątpliwie przyczynia się do wzrostu rozwodów.
Po wyjściu boya Bill zdjął płaszcz i strząsnął ziarnka ryżu na dywan.
— Dlaczego się obrzuca ryżem na weselach? — zagadnął.
— To taki bardzo stary zwyczaj — odparła Kasia. — Znali go jeszcze starożytni Rzymianie. Rytuał płodności czy coś w tym guście.

Jak tylko to palnęła, pożałowała od razu, że się z tym wyrwała.
— Bardzo ciekawe — odparł takim tonem, jakby ktoś przeciągnął laską po sztachetach. — No, to odwalajmy, dobra?
— Co mamy odwalać, Bill?
— Rytuał płodności.
Zabrzmiało to okropnie grubiańsko, ale naturalnie wcale nie chciał tego. Twarz miał napiętą i bladą, jak gdyby porządnie się zmordował i był bliski załamania.
— Nie ma powodu, żeby akurat dzisiaj — powiedziała cichym, zmieszanym głosem. — Jesteś strasznie zmęczony. I może powinniśmy znowu ze sobą się zaprzyjaźnić, skoro wreszcie mamy okazję.
— Jesteś moją żoną — powiedział ochryple. — Właź tam i rozbieraj się.
Czując taki ciężar w nogach, jakby wspinała się pod górę, poszła wolno do sypialni i zamknęła drzwi. Ręka wydawała się lodowata, gdy przeciągnęła nią po twarzy. Zwykle lubiła wyłuskiwać się z ubrania, ale dziś trzeba było zrobić to szybko i niemal po kryjomu. Zgasiła światło, weszła do łóżka i czekała. Serce głośno i uroczyście odmierzało czas, jak wielki zegar na podeście lawrence'owskich schodów, i wystukało chyba połowę życia, zanim wreszcie wszedł jej mąż.

18

Zjeżdżała na dół z tym samym windziarzem, który przed dwoma zaledwie godzinami wiózł ją i Billa, i nowiuteńki bagaż, na górę. Niewątpliwie dziwił się, choć nie dawał tego poznać po sobie. Można by pomyśleć, że tę twarz, wymuskaną i sztywną, nakłada co dzień wraz z uniformem. Gdy zjechała do hallu, boy, który ich odprowadzał na górę, powitał ją miłym uśmiechem, jak gdyby najnaturalniej w świecie pan młody powinien najpierw pędem wypaść z hotelu, a panna młoda z kolei wypuścić się o północy na przechadzkę.

W istocie Kasia nie interesowała się tym, co obsługa hotelu sobie sądzi czy nie sądzi, ale powstrzymywało ją to od przymusu myślenia o sobie samej. Trochę później zacznie o tym myśleć, ale nie teraz. Nie teraz, kiedy nerwy miała stargane jak struny rozstrojonych skrzypiec, a ciało takie, jak gdyby ubierając się zapomniała wejść we własną skórę. Wyszła na ulicę Szeroką. Zegar na wieży magistratu wisiał nad ulicą niby mały żółty księżyc i mówił, że jest za kwadrans dwunasta. Wedle bajki o Kopciuszku nie odmierzono jej sprawiedliwej miary; złota karoca nie powinna była zmienić się w dynię, zanim wybije północ.
O jedną przecznicę na południe i kawałek na wschód leżała Akademia Franklina, gdzie uczył jej ojciec. O dwie przecznice na południe i dwie na zachód stał dom, w którym spędziła wszystkie swoje lata. O cztery przecznice na zachód mieściła się rezydencja DeWitt Lawrence'ow na placu Rittena. Dziwne to było; znajdowała się w pobliżu najlepiej znanych sobie miejsc, a jednak nie wiedziała, dokąd ma iść. Poszła przed siebie wybierając trasę omijającą z dala kamienie graniczne jej życia. Noc była spokojna i kroki odbijały się echem w wąwozach ulic. O dwie przecznice dalej trolejbus przepłynął przez skrzyżowanie — oświetlony statek na pustym, czarnym oceanie. Gdzieś daleko trąbka samochodowa odkaszlnęła chrypę. Wstrząsnął nią dreszcz. Gdzieś jeszcze dalej szara wyścigówka wyjąc gnała w noc, z jej mężem, który za kierownicą próbował dowieść, że jest mężczyzną.
Podniosła oczy i zobaczyła, że idzie obok solidnego płotu, który ogradza jakieś rusztowania. Na zielonym tle ogrodzenia widniały wielkie białe litery: Michał Callahan. Roboty Miejskie. Widocznie, gdzie by się nie obróciła, nie da się jej łatwo uciec od minionych lat. Znalazła się na rogu Dwunastej i Kasztanowej, gdzie Michaś grał va banque o swój majątek. Nie szła chyba tak bez celu, jak się jej wydawało, teraz bowiem, kiedy tu stała, nic jej nie nagliło do ucieczki. W płocie wycięto furtkę. Tkwił w niej skobel, ale była lekko uchylona. Pchnęła ją. Kamienice zostały już prawie zrównane z ziemią, prócz kawałka ściany na

zapleczu ulicy Sansoma; niemal cały teren zawalały kupy cegieł i połamanych desek. Na lewo, w narożniku przy płocie, stała szopa tak maleńka, że ledwie się można było w niej poruszać. W okienku się świeciło. Przeszła po gruzach i zajrzała. W środku znajdował się stolik, na którym paliła się lampa, dalej skrzynka do siedzenia i tapczan. Michasia nie było. Wróciła do furtki w płocie i raptem przystanęła drżąc.

Ktoś nadchodził od Targowej zawodząc piosenkę o irlandzkich oczach. Brzmiało to jak kocia muzyka. Dwa inne głosy, męski i kobiecy, przekrzykiwały się ze śpiewakiem.

— Słuchaj no, Michaś — użalał się mężczyzna — nie miałbym nic przeciwko maleńkiej rozrywce, ale ty nieboszczyków pobudzisz.

Śpiewak urwał i powiedział wesołym, bełkotliwym głosem:

— O jakich nieboszczyków ci chodzi, OToole? O tych, co są pochowani, czy o tych, co łażą jeszcze po Filadelfii?

— Ech, Michaś — odezwała się kobieta — przestań użerać się z gliną.

— A na dodatek — ciągnął trzeźwy głos — dlaczego ściągasz taką dziubdzię w samo centrum miasta, akurat na mój obchód? A jakby pan Wanamaker przejeżdżał właśnie i zobaczył, co się wyprawia o dwa kroki od jego luksusowej firmy?

— To poważny argument, pan Wanamaker — powiedział Michaś. — Wystarczy, aby na całe życie wyrzec się kieliszka. Ale chwileczkę. Przed sądem można się wyrzec tylko picia, no nie? Dzięki Bogu, rasa ludzka nie kazała jeszcze nikomu wyrzekać się czego innego. A więc...

— Michaś, o nic nie proszę, tylko o trochę spokoju.

Cała trójka weszła w syczący, siny blask lampy łukowej na rogu. Z melonikiem zsuniętym na czubek rudych włosów Michaś stąpał pomiędzy policjantem i kobietą, którzy trzymali go pod ręce. Kobieta nosiła spódnicę po kostki, szyty na

miarę żakiet i bluzkę zebraną w pasie, z której tryskała fontanna brudnych marszczonych koronek. Na szyi miała boa z piór i szarpała je nerwowo wolną ręką.
— Nieczęsto spotykam przyzwoitego glinę — powiedziała — ale jak spotkam, to nie lubię mu dokuczać. Uspokój się, Michaś, zrób to dla gliny.
— Dobra — odparł Michaś. — Przegłosowano mnie. Stój tu, OToole, i patrz, a serce ci urośnie na widok mojego spokojnego zachowania. — Puścił ramię policjanta, schwycił mocno kobietę i na palcach przeszedł na drugą stronę ulicy. — Jak ci się podoba? — ryknął.
Policjant wzdrygnął się i odszedł szybko ulicą.
Kasia przesunęła się bokiem i przywarła do płotu. Stukot serca uderzał jak młotek wbijający w deski gwoździe. Światło latarni nie sięgało daleko, jeśli Michaś i kobieta wejdą przez furtkę i skierują się wprost do szopy, nie zauważą jej. Kroki ich zaszurały na chodniku, Michaś pchnął furtkę w płocie i wszedł.
— Jesteśmy na miejscu — powiedział. — Powinienem może przenieść cię przez próg.
— Cóż ty mi pokazujesz? — odezwała się kobieta ostrym, podniesionym głosem.
— Rupieciarnię miejską? Gdzie ten dom, o którym żeś gadał?
— Oto on — odparł Michaś. — Pałac Callahanów. Wolny od wszelkich domowych niewygód. Żadnych kranów do reperowania. Żadnych wyziewów z kuchni. Żadnych kłopotów z paleniem w piecach. Żadnych...
— Na głowę upadłeś, jak ci się wydaje, że ja tu wejdę! — krzyknęła kobieta. — Myślałam sobie, że to dżentelmen jaki czy co, a ten mi paskudzi całą noc i ciągnie do takiej dziury.
— Daj mi się zrehabilitować — powiedział Michaś. — Zostań tu i poczekaj, a ja wejdę i podkręcę lampę, wtedy zobaczysz, jak tu ładnie. Nie uciekaj. Zaraz wracam.

Zostawił kobietę za płotem na trotuarze i potykając się poszedł do szopy. Próbował otworzyć drzwi i narzekał, że ktoś zapodział klamkę, a potem cofnął się o krok i kopniakiem wywalił drzwi. Jego wielki cień zamigotał w oknie i raptem szopa zapadła w mrok.

— Ajaj, podkręciłem, cholera, nie w tę stronę — oznajmił. — No, i gdzie się podziały zapałki?

Kasia opuściła kryjówkę, pomknęła do furtki i wyszła na trotuar. Kobieta pisnęła na jej widok.

— Zamknij się — powiedziała Kasia. — Zamknij się i zmykaj.

Kobieta otrząsnęła się ze strachu i zbliżyła się lustrując Kasię od stóp do głów.

— A to ładna historia, co? — powiedziała. — Pani wraca z panem do jego mieszkania, a tu raptem inna chce jej go sprzątnąć sprzed nosa. Na co lecisz, kiciu?

— Chcę, żebyś się wyniosła — odparła Kasia napiętym głosem.

— Chwileczkę, kiciu, chwileczkę. Nie z dobrego serca łażę po nocy z zawianą irlandzką pałą. Muszę zarobić na życie, tak jak i ty.

Kasia sięgnęła do torebki, znalazła banknot i podała jej.

— W porządku — powiedziała. — A teraz wynoś się. Kobieta zerknęła na nią chytrze.

— To tylko dolar, kiciu. A gdzie drugi?

— Dziesięć dolarów, wiesz o tym dobrze.

— Dobra, dobra, wiem. Widzi mi się, że ten gość to złoty interes, a mnie się zdawało, że tylko próbował zapomnieć o jakiejś dziumdzi, co puściła go kantem dla nadzianego faceta. Może lepiej zostanę.

— Wynoś się — szepnęła Kasia. Wyrwała z kapelusza długą stalową szpilkę. — Wynoś się, inaczej rzucę się z tym na ciebie.

Zrobiła krok naprzód, wściekłość drżała w niej jak pies usiłujący skoczyć do gardła.

— Dobra, dobra — wykrztusiła, cofając się, kobieta. — Idę sobie.
Umykała niemalże biegnąc, zanim skręciła za róg.
Kasia odetchnęła, spojrzała na szpilkę ze zgrozą i rzuciła ją na bruk. Nie wiedziała, że w ciemnym zaułku jej mózgu kryły się mordercze myśli. Weszła przez otwór w płocie i zamknęła furtkę. Namacała na gwoździu drewniany skobel i przekręciła go. W szopie wciąż było ciemno, a Michaś gderając głośno szedł po omacku przy płocie w jej stronę. Czekała, nogi się pod nią uginały, kiedy podszedł bliżej. Ręka jego dotknęła jej ciała.
— Toś ty furtka? — powiedział. — Taka miękka? — Obmacywał ją podejrzliwie, a potem rzekł: — Aha, przypominam sobie. Ty jesteś tamta. Za cholerę nie mogę znaleźć zapałek. Wszystko jedno, chodź. Trochę mroku nie zawadzi. Pomoże nawet, hę? Jak się dobierze szantrapa z szantrapą.
Schwycił ją za rękę i zataczając się pociągnął za sobą do szopy. Próbował kopniakiem zamknąć drzwi, ale były nadłamane, więc wreszcie czymś je podparł. Odnalazł ją znowu w ciemnościach i zaczął zdejmować z niej ubranie manipulując w powolnym skupieniu.
— Chłopaki mówią, że żadna ładna dziwka nie lubi, żeby ją całkiem rozbierać — powiedział. — Ale może ty nie jesteś ładna, co?
Nie mogła mu odpowiedzieć. Stojąc zaciskała powieki, mimo że ciemno było choć oko wykol. Czuła, jak łagodne ciepło przenika jej ciało i roztapia kawał lodu w piersiach. Klęczał teraz szarpiąc jej buty i ściągając pończochy. Podźwignął się chwytając oburącz za jej nagą talię i przyciągnął mocno do siebie.
— Jakaś ty delikatna — powiedział ochryple. — Jak czysto pachniesz. Nie spodziewałem się, że będziesz taka. Aż mógłbym sobie wyobrazić, że jesteś... że jesteś... rzuć to w diabły, Callahan. Bierz, co ci dają, i zapomnij o niej.
Przeniósł ją na tapczan. Oddechy ich zmieszały się ciepłymi falami. Tak jak przypuszczała niegdyś w Wierzbowym Gaju, Michaś mógł podziałać na nią bardzo

głęboko, jeśliby mu kiedyś na to pozwoliła. A tej nocy chciała mu pozwolić. Niech ją za to potępia, ale dzięki temu stawała się na powrót kobietą.
Spał, kiedy się ubrała i wyszła z szopy. Otworzyła furtkę w płocie, wymknęła się na ulicę i starała się sprawdzić, czy przyzwoicie wygląda. Nie uszłaby może kobiecym oczom, ale przy odrobinie szczęścia żadnej kobiety o tej porze nocy nie spotka. Wróciła do hotelu i widziała, jak jej powrót poderwał na równe nogi portiera i dyżurnego, i boya, i windziarza. Jednak po kilku mrugnięciach przywdziali od razu swoje sztywne twarze. Weszła do pustej komnaty ślubnej, pieczołowicie rozwiesiła ubranie, nałożyła nocną koszulę, której żaden pan młody nie zobaczy, i położyła się do łóżka.
Spała długo i nie trapił jej żeden sen, nastała bowiem króciutka przerwa między dwoma okresami jej życia i nie było po co żałować tego, co przeszło, ani rwać się ku temu, co miało nadejść. Zbliżało się południe, kiedy obudził ją głośny łomot do drzwi. Narzuciła szlafrok i przeszła do salonu.
— Tak? — zawołała. — Co tam?
— Pani Lawrence — odezwał się męski głos — tu kierownik. Okropnie mi przykro. Muszę niestety zakomunikować pani tragiczną wiadomość.
Zatrzymała się chwilę. Wstrząsnęło nią, że ją nazwał panią Lawrence. W istocie nigdy nią nie była. Przekręciła klucz i lekko uchyliła drzwi.
— Co się stało? — spytała.
Kierownik przełknął ślinę, zwilżył wargi i powiedział:
— Próbowaliśmy odszukać pani teściową, ale wyjechała właśnie do Nowego Jorku, pomyślałem więc, że lepiej powiadomić panią bez dalszej zwłoki. Proszę pani, zdarzył się wypadek. Mąż pani. Ostatniej nocy na szosie do Lancasteru. Samochód przekoziołkował parę razy. Mąż nie wiedział nawet, co się stało. Proszę pani, lekarz hotelowy jest ze mną. Życzy pani, żeby wszedł, i... i...

— Dziękuję panu bardzo — powiedziała. Był pan bardzo uprzejmy. Nie potrzebuję lekarza. Chcę tylko na chwilę zostać sama.
Delikatnie zamknęła drzwi. „Mąż nie wiedział nawet, co się stało". To była nieprawda. Wiedział, co się stanie, zanim ją opuścił. I może ona też wiedziała, ale nie miała wówczas siły wyjść śmiało naprzeciw tej myśli.

19

Siedziała w różowym pokoju w domu Lawrence'ów przypatrując się, jak synek zaciekle przypina się do piersi. Pomrukując żuł twardymi dziąsłami, a jego rączki rozpostarte jak różowe rozgwiazdy trącały ją i poszturchiwały. Z wysiłku spociła mu się główka; dzień był ciepły, sierpniowy. Przed miesiącem, kiedy się urodził, miał rzadkie czarne włoski, które w świetle wpadały w odcień rudawy, ale się wytarły i pozostał tylko leciutki puch. Antoni Judson Lawrence nie należał do tych niemowląt, co podczas filadelfijskich upałów chudły i grymasiły. Sześć razy na dobę wydawał gniewny okrzyk i jeśli go się zaraz nakarmiło, nie miał nic więcej do powiedzenia światu. Żądał tego, co mu się należało, ni mniej, ni więcej. Posiadanie Antoniego wielce odmieniło jej życie. Przed rokiem w Beach Haven starała się gorliwie dopasować do świata dwojga innych ludzi. Teraz wszystko się dopełniało w zasięgu krzesła, na którym siedziała. Gwar i zgiełk ludzki stał się odległy jak bzykanie much tłukących o siatkę w oknie. Daleko w Europie wybuchła wojna, ale nie wiedziała nawet, kto z kim walczy. Odkąd dziecko po raz pierwszy poruszyło się w jej ciele, żyła wciąż w zamkniętym i magicznym kręgu. Rozległo się ostre pukanie do drzwi i ktoś wszedł nie czekając na odpowiedź. Pani Lawrence — to znaczy, starsza pani Lawrence — nadfruwała, aby pobrzęczeć dokoła magicznego kręgu. Kasi się wydawało, że pani Lawrence od śmierci syna pomaleńku usycha. Może się myliła. W każdym razie jeżące się na jej głowie

czako siwych włosów wyglądało ciężko przy mizernej twarzy, a jej grenadierski sposób bycia stał się nerwowy i porywczy.
— Jak się masz, Kasiu? — zagadnęła. — Nie wiem, po co wpuszczasz do pokoju tyle słońca. Mój wnuczek dostanie jeszcze od tego wysypki.
— Uważam, że trochę słońca nie zaszkodzi — odparła Kasia. — Pozwalam mu codziennie kwadrans baraszkować w słońcu w samych majteczkach.
— To niezdrowo. Trzeba go dobrze ubierać. Kupiłam całe stosy koszulek i ubranek, a tyś nawet połowy nie obejrzała. I jeszcze jedna sprawa, Kasiu. Rozmawiałam z lekarzem o karmieniu piersią. Zgadza się ze mną, że to niewłaściwe. Więc zdobyłam przepis, który od razu możemy zacząć stosować.
Takiego brzęczenia jeszcze nie słyszała, przedostawało się ono w jej zaklęty krąg. Mięśnie jej napięły się i przeniknął ją dreszczyk gniewu. Dziecko przy piersi wydało zduszony pomruk, jak gdyby coś przerwało dopływ pokarmu. Mały zaczął ją trącać
i gnieść mocniej niż kiedykolwiek. Kasia uśmiechnęła się do niego i doznała odprężenia. Nic nie naruszy zaklętego kręgu, chyba że sama na to pozwoli.
— Ma pani jeszcze jakieś pomysły? — spytała.
— Z całą pewnością. Naprawdę, Kasiu, w ostatnich miesiącach całkiem przewróciło ci się w głowie, czas już, żebyś zdała sobie sprawę ze swoich powinności. Nie tylko wobec mnie, ale i wobec mojego wnuka. Kazałam przebudować tylne pomieszczenie na tym piętrze na pokój dziecięcy i najęłam doskonalą niańkę. Przeniesiemy Antoniego do tego pokoju. Nie liczyłam, że w moim wieku będę miała szczęście zająć się takim problemem, ale widzę, że to jest konieczne.
— Ten problem — powiedziała Kasia — to wychowanie Antoniego?
— Tak, naturalnie. To znaczy podjąć od początku dzieło, które niegdyś uważałam za skończone.

„Ciekawe — myślała Kasia — że tak spokojnie to przyjmuję". Dawno temu rozważyła tę kwestię i wiedziała dokładnie, co musi zrobić.

— Doceniam pani propozycję — powiedziała — ale jest zbyteczna.

— Propozycję? Propozycję? Ja ci, Kasiu, niczego nie proponuję. Ja wyjaśniam, co mam zamiar zrobić.

— Liczyłam, że do tego nie dojdzie, proszę pani. Ale chyba musiało dojść. Niechże i ja wyjaśnię, co mam zamiar zrobić. Mam zamiar wychować swoje dziecko wedle własnego gustu. Mam zamiar sama go niańczyć i trzymać go przy sobie.

— Mówisz jak szalona. Kasiu, ty się źle czujesz.

— Czuję się na tyle dobrze, żeby sama decydować i żyć po swojemu.

— Żyć po swojemu, proszę! Może teraz żyjesz po swojemu? A w czyim to domu mieszkasz? Czyje ubranie nosisz? Kto za wszystko płaci? Jaka ty jesteś śmieszna!

Kasia odpowiedziała łagodnie:

— Myli pani rzeczy, które da się kupić, z tymi, których kupić się nie da, proszę pani. Tylko w dwojaki sposób można zapłacić za dziecko. Najpierw je urodzić. A potem je wychować. Zapłaciłam pierwszą cenę i zamierzam zapłacić drugą.

— Ach tak! — zachłysnęła się pani Lawrence. — Gotowam uwierzyć, że próbujesz mnie pouczać. Wiem wszystko o cenie, jaką matka płaci za dziecko. Płaciłam ją wiele razy za mojego syna. Ja...

— Ale nie dała mu pani wybrnąć z tego długu. Antoniego to nigdy nie spotka.

Twarz pani Lawrence powlókł rumieniec.

— Czekałam na to! — krzyknęła. — Odkąd mój syn zginął, czekałam tylko, kiedy zechcesz zrzucić na mnie winę. Przyszłaś najpierw do tego domu potulna jak baranek. Tak, proszę pani, nie, proszę pani, co tylko pani sobie życzy. Powinnam była wiedzieć, że cichaczem kombinujesz, jak by tu postawić na swoim i wygrać mojego syna przeciwko mnie. A potem w noc poślubną zrobiłaś z nim coś

okropnego i wygnałaś go i... masz śmiałość się przyznać, co między wami zaszło tej nocy? Masz? Masz?

— Niech pani nie przeciąga struny — szepnęła Kasia. — Bo się pani dowie. Naprawdę chce pani wiedzieć?

— Boże broń! Miej to na swoim sumieniu, nie próbuj obarczać mojego. Tyle tylko mam do powiedzenia: pod moim dachem będziesz się stosowała do moich życzeń. Rozumiesz?

— Rozumiem doskonale, proszę szanownej pani. — Zawahała się na moment, a potem powiedziała wyraźnie: — Za godzinę się stąd wyniosę.

Teściowa zatrzymała się przed nią wlepiając w nią w milczeniu okrągłe oczy.

— Nie bierzesz tego serio — powiedziała wreszcie.

— Mam gdzie się podziać, mam drugi dom.

— Nie udawaj, Kasiu. To się nie uda. Nie cofnę nic z tego, co powiedziałam.

— Nie mam złudzeń, proszę pani.

— Nie myśl, że złapiesz dwie sroki za ogon. Nie dostaniesz ode mnie złamanego grosza. Twój syn też nic nigdy nie dostanie, jeśli mnie nie posłuchasz.

— Dziwne — powiedziała Kasia. — Chyba pierwszy raz nazwała go pani moim synem. Dotychczas zawsze był pani wnukiem.

— Jeśli opuści ten dom, nie będzie moim wnukiem. Nie myśl sobie, że wynajmiesz adwokata albo że coś wskórasz. Wiem więcej, niźli dałam poznać po sobie. Czy ci się wydaje, że przyjęłam do wiadomości to, co się stało tamtej nocy, nie zaglądając pod podszewkę? W ciągu dwudziestu czterech godzin miałam już ludzi na swoich usługach. Rozmawiali z windziarzami w hotelu, z boyami i z portierami. Wyszłaś z hotelu za kwadrans dwunasta, w dwadzieścia pięć minut po moim synu. Widziano cię, jak szłaś na północ Szeroką i skręciłaś na wschód w Kasztanową. Niestety twój ślad tutaj się gubi. Ale sam fakt, że nikt cię nie widział do chwili twojego powrotu, prawie w dwie godziny później, dowodzi, że nie

mogłaś cały ten czas przebywać na dworze, spacerując. Policjant znalazł się na rogu Dwunastej i Kasztanowej niemalże w tym czasie, w którym powinnaś tamtędy przechodzić. Zbliżając się od strony Targowej nie widział żywej duszy na skrzyżowaniu Dwunastej i Kasztanowej. Ani też nikogo na samej Kasztanowej, kiedy doszedł wreszcie do rogu. Pamięta to świetnie, bo akurat starał się uciszyć znajomego, który sobie podpił. Mam ci dośpiewać resztę?

— Jeśli pani potrafi — powiedziała Kasia. — Nie przypuszczałam, że jest pani tak dociekliwa.

— Znajomy nazywał się Michał Callahan. Nic ci to nie przypomina?

Kasia odparła chłodno:

— Znam go od najmłodszych lat.

— Tak, zdaję sobie z tego sprawę. Twój przyjaciel Michaś ciągał się z ulicznicą. Policjant odszedł. A twój przyjaciel Michaś, który był naturalnie pijany, starał się zawlec ją do szopy na parceli, którą odgruzowywał na rogu Dwunastej i Kasztanowej. Ale ona się ociągała, więc sam poszedł przodem. Na to inna kobieta wystąpiła z cienia i dała jej w łapę, żeby sobie poszła. Ulicznica słabo pamięta tę panią, co jej zapłaciła, bo było ciemno. Ale za odpowiednią sumkę na pewno sobie przypomni. Z przykrością muszę przyznać, że nie udało się pociągnąć za język twojego przyjaciela Michasia.

— Bo i nie było po co.

— Ten twój Michaś Callahan to zupełny brutal. Zbił pięściami mojego człowieka.

— Brawo, Michaś!

— Przyjmujesz to bardzo spokojnie.

— A pani przyjmuje to inaczej? Odkąd to, od dziesięciu miesięcy? Cały ten czas zachodziła pani w głowę, czy Antoni jest pani wnukiem, czy nie.

— Wcale nie zachodziłam w głowę. Dopóki zostaje tutaj, pod moją pieczą, jest moim wnukiem. Jeśli nie zostanie, nie jest. Nie zamierzam wykorzystywać swoich

informacji, chyba że zabierzesz stąd Antoniego, a potem zechcesz dochodzić roszczeń na drodze prawnej. Więc wybieraj.
Kasia nie odpowiedziała od razu. Znała odpowiedź, ale musiała rozważyć, co ona oznacza dla syna. Jeśli go zabierze, syn jej straci wszelkie widoki na odziedziczenie fortuny Lawrence'ow; pani Lawrence prędzej zmieni charakter niż własne zdanie. A z drugiej strony, cóż z tego przyszło Billowi, że był przyszłym dziedzicem tejże fortuny?
— Cóż, wybrałam — powiedziała Kasia. — Odchodzę i zabieram Antoniego.
— Zdajesz sobie sprawę, że mój syn nie miał własnych pieniędzy? Że niewiele się możesz spodziewać po jego majątku? Że będę z tobą walczyć we wszystkich sądach w kraju, jeśli wniesiesz do mnie pretensje?
— To byłby dopiero skandal, no nie?
— Zniosłabym go — odparła pani Lawrence.
— Nie zamierzam wnosić żadnych pretensji, proszę pani. Przykro mi, że musi się to tak skończyć.
— Hm — mruknęła pani Lawrence dziwnie zmieszanym tonem — Otóż to. Powinnam chyba krzyczeć ze złości. A raptem widzę, że mało mnie to obchodzi.
Stała tak przez chwile i nie było już wątpliwości, że pani Lawrence zwiędła i mocno się postarzała. Ogień w niej wygasł. Ociężale wyszła z pokoju.
Kasia spojrzała na dziecko. Antoni już się najadł. Osunął ciężką główkę na jej ramię, westchnął raz i pogrążył się w sen. Naiwny chłopiec, zajmował się swoimi sprawami nie bacząc na burzę, która nad nim przeszła. To dobrze. Sprawami życia będzie musiał się zajmować w taki sam sposób.

20

Był październikowy dzień, niebo jak zaśniedziała cyna i w powietrzu posmak wilgotnego śniegu. Kasia szła żwawo przez plac Rittena, raz tylko rzuciwszy

okiem na zamknięte okiennice rezydencji Lawrence'ow. Nie do wiary, że mieszkała tam przed czterema miesiącami. Pani Lawrence wyjechała na Florydę do miejscowości zwanej Palm Beach, która stawała się modna wśród zamożnych filadelfijczyków; rozeszły się pogłoski, że nie zamierza otwierać więcej domu na placu Rittena. Kasię niewiele to obchodziło. Były to rzeczy minione, zdążyła już zacząć budować sobie nowe życie. Wypuściła się na dziarski spacer w niedzielne popołudnie, prawie marząc o burzy, żeby się z nią popróbować.

Zawracając do domu skręciła w Jodłową i zobaczyła dryblasa zmierzającego jej naprzeciw. Miał na sobie luźny płaszcz a la Chesterfield i buty na grubych podeszwach, a wyglądał w tym tak niedorzecznie jak sterta cegieł pod aksamitem. Nie mógł to być nikt inny tylko Michaś Callahan. Policzki ją nagle zapiekły, a serce w piersiach jakby się całkiem rozkołysało. Zobaczyła go pierwszy raz od chwili... od chwili... zacisnęła zęby i powiedziała sobie, że pierwszy raz od chwili, kiedy szła nawą kościelną do ślubu.

— No, jeśli to nie jest Kasia — powiedział. — Nie myślałem, że los się do mnie uśmiechnie w taki paskudny dzień. Mniejsza z tym. Jak się miewasz?

Pomyślała sobie, że to nie tyle los, ile świadomy zamiar przywiódł Michasia na niedzielny spacer w okolice jej domu.

— Zawsze mi miło z tobą się spotkać — powiedziała. — A cóż za płaszcz i buty! Michaś, robisz karierę.

— Nie narzekam. Mogę cię odprowadzić, Kasiu?

— Naturalnie. Zdobyłeś jakieś nowe zamówienia?

— Jeszcze dwie rozbiórki i parę małych, ale ładnych robótek budowlanych. Pcham się naprzód, Kasiu. Wiesz, ile wyciągnąłem przed rokiem z tej pierwszej rozbiórki na rogu Dwunastej i Kasztanowej? Siedem tysięcy dolarów z okładem.

— Och, Michaś! To cały majątek!

— Nikt nie przypuszczał, że pobiję normę o sześć miesięcy, z premią za każdy uzyskany dzień. Więcej już mi się nie trafi taka gratka, bo teraz już wiedzą, co ja mogę. Ale dostaję większe roboty. A propos, obiło mi się o uszy, że ty pracujesz w sklepie?

— Gdzieś ty to słyszał?

— Wpadłem na kogoś na ulicy. Ciężko mi sobie przypomnieć, kto to był.

— A może — powiedziała Kasia zerkając na niego podejrzliwie — to moja babka?

— Pamiętałbym przecież, jakby to była ona, no nie?

— Och, zaciekawiło mnie tylko. Bo ostatnio wspominała cię kilka razy.

— Zresztą ona wcale nie rusza się z domu, no nie?

— Owszem. Nie wpadłeś na nią przypadkiem u nas w domu?

— No jakże, tego bym przecież nie zapomniał, prawda? — Odchrząknął z takim hałasem jak parowa koparka podnosząca kamienie, nim powiedział: — Co za pomysł z tą pracą w sklepie, kiedy rodzina Lawrence'ow ma takie ciężkie pieniądze?

Doszli do ganku przed domem i przypomniała sobie, jak stali tu przed jej ślubem i silili się na banalne uwagi. Tym razem Michaś miał coś do powiedzenia.

— Pani Lawrence zapatruje się inaczej na wychowanie dziecka niż ja, Michasiu. Więc nie kwapi się z pomocą ani ja jej o to nie proszę. Mój mąż nie miał własnych pieniędzy.

— Cóż, może to i lepiej. Kasiu, chciałbym zobaczyć twojego chłopaczka. Mogę?

Przyjrzała się uważnie jego dużej czerstwej twarzy, ale nic z niej nie wyczytała.

— Naturalnie — powiedziała. — Choć niestety na krótko. Przychodzi fotograf, żeby zrobić zdjęcie rodzinne, i będę musiała się przygotować.

Kiedy prowadziła go na górę do sypialni, serce jej biło mocniej niż z winy stromych schodów i ciężko było wmawiać w siebie, że ostatni raz widziała Michasia na ślubie. Antoni leżał na plecach próbując wetknąć do buzi duży palec u

nogi. To go o wiele więcej absorbowało niż gość. Jego oczka o wielkich ciemnoniebieskich tęczówkach spojrzały krótko na mężczyznę schylonego nad kołyską, a potem skupiły się znów na niesfornym palcu.

— Kawał chłopaka — powiedział Michaś ochrypłym głosem.

— Zdrowy jest bardzo — rzuciła Kasia.

Nie bez wstrząsu ujrzała ich twarze tak blisko siebie. Choć dziecięco pulchny, podbródek Antoniego wysuwał się mocno jak u Michasia. Budowę szerokich ramion i sposób zaciskania rąk mieli całkiem podobny.

— Włosków ma mało — powiedział Michaś.

— Niemowlęta rzadko mają więcej. Nawet jak się rodzą z włoskami, to zwykle się one wycierają. Antoni urodził się z czarną czupryną. Sam widzisz, jaki ma teraz ciemny puch na głowie.

— Kto był rudy w twojej rodzinie?

— Co ty mówisz? Nie ma rudych.

— Ten puszek ma rudy odcień.

— Jego babka była brunetką — powiedziała Kasia martwiejąc. — To jest... moja babka, babka O'Donnell. A u Irlandek czasem czarne włosy miewają rudy odcień. No, i naturalnie nie wiem, jak tam było po stronie rodziny Billa. U nich...

Michaś odwrócił się od kołyski i schwycił ją za przegub.

— Nie zawracaj mi głowy tamtą stroną rodziny — powiedział.

— Nie wiem, co ty sobie myślisz. Puść mnie! Przyciągnął ją do siebie, patrzył z góry w jej twarz.

— Dobra — warknął — więc zalałem się porządnie tamtej nocy. Ciemno było. Żadnego światła w szopie. Ale nawet przy tym wiedziałem, że coś jest mocno nie tak, jak się spodziewałem. Może wziąłbym to za sen, taki sen, co przytrafia się chłopakowi, kiedy szaleje za dziewczyną i buja siebie, że ją znalazł. Tylko teraz nie myślę, że to sen. Co na to powiesz?

— Michaś, mówisz jak szalony! Wcale cię nie rozumiem.
— Przed rokiem w październiku przypałętał się jakiś fagas, żeby coś przewąchać. Pozwoliłem mu pytać, póki sam nie dowiedziałem się sporo. Potem dałem mu trochę po mordzie i wywaliłem na ulicę. Wiesz, o czym mówię. Ta twoja teściowa musiała ci tym wykluwać oczy.
Wyrwała przegub z uścisku, na skórze odcisnęły się białe ślady palców.
— Zmuszasz mnie, żybym wyprosiła cię za drzwi — powiedziała rozdygotanym głosem.
— To jest mój chłopak — odparł ciskając w nią słowo za słowem, jakby to były kamienie.
Stał przed nią ogromny, zawzięty, czerwony na twarzy, z zaciśniętymi pięściami, gotów do walki z każdym, kto mu się sprzeciwi. Ale teraz, kiedy postawił sprawę jasno, odzyskała pewność siebie.
— Nie, Michaś — powiedziała. — Mylisz się.
Nie był przygotowany na spokojne zaprzeczenie. Zamrugał oczami i wyrżnął parę razy pięścią o dłoń. Chciał sprowadzić kwestię do czegoś, co da się rozstrzygnąć z pomocą muskułów i gniewu, ale nie miał na co się zamierzyć.
— Niech to szlag trafi — powiedział. — Niech to szlag. Nie wiem, Kasiu, jak się do tego zabrać. Zawsze ciebie chciałem. A teraz chcę tak jak nigdy. I chłopaczka mojego też chcę. Nie wolno mi, powiedz?
— Michaś — powiedziała łagodnie — cudny chłopiec z ciebie, tak uważam. Wolno ci, wolno ci chcieć wszystkiego w świecie. Gdybym nie miała dziecka, myślę, że w jednej chwili za ciebie bym wyszła. Ale nie wyjdę nigdy, rozumiesz mnie?
— Nie, skądże. Gdzie powód?
— W kołysce, Michaś. Ty myślisz, że on jest twój. Nikt mnie nigdy nie zmusi, żebym się do tego przyznała. Przypuśćmy, że się pobierzemy i on wyrośnie, będzie

miał brodę i oczy, i bary, i ręce twoje, i rudawe przebłyski we włosach. Nie ty jeden będziesz się upierał, że to twój syn. Masa ludzi to samo powie. Będzie musiał dźwigać na sobie to brzemię przez całe życie.

— Połamię kości każdemu! Wybiję...

— To kobiety rozpuszczą języki. A ich nie powstrzymasz.

— A jakbym cię stąd gdzieś zabrał? Zaczął jeszcze raz od nowa. Nikt nie musi znać daty naszego ślubu ani czegokolwiek.

— Nigdzie się stąd nie ruszę — powiedziała Kasia. — Pomyślisz chyba, że to głupie. Ale od trzech pokoleń mieszkamy tutaj i próbujemy pchać się naprzód. Może miasto potrafi wejść komuś w krew, nie wiem. A może właśnie myśl, żeby nie zrezygnować z walki, która się wciąż toczy od tylu lat. A może tylko człowiek tak przywykł do tutejszych spraw, aż czuje, że gdzie indziej nic go nigdy nie zadowoli.

— To po prostu zatwardziałe miasto, tak jak i ty.

— Nie wyobrażam sobie, żebyś mógł je czy mnie zmienić.

— Dobra — powiedział. — Dobra. Nie myśl, że nie popróbuję. Wynalazłem sposób, jak rozbijać w tym mieście mury. Wynajdę też coś i na ciebie.

Wyszedł z pokoju nie powiedziawszy więcej ni słowa; słyszała, jak stare wysłużone schody trzeszczą pod jego ciężkimi krokami. Żal jej go było. Filadelfijczyk zaledwie z drugiego pokolenia. Nie uświadomił sobie jeszcze, że zwyczaje miasta trwalsze są nad cegłę i beton.

Przebrała się, żeby się przygotować do rodzinnej fotografii, a potem zaczęła ubierać Antoniego. W trakcie tego zajęcia weszła babka i przyglądała się jasnymi oczami, bez zmrużenia powiek, jak świergotliwy ptaszek zapatrzony rankiem w murawę.

— Kiepsko rośnie — powiedziała.

— Antoni? Skąd, ślicznie mu przybyło na wadze.

— Zęby mu się nie pokazują.
— Ależ on ma ledwie pięć miesięcy. Pierwsze ząbki wykluwają się między szóstym a dziewiątym miesiącem.
— Przeciętnie, a to ma być dziecko nieprzeciętne. Nie siada nawet.
Kasia odpowiedziała cierpliwie:
— Nic mu nie brak i chyba nie będzie jeszcze siadał przez miesiąc czy dwa.
— Zgoda, dam mu trochę czasu. Nie wątpię, że się wykaraska. — Przysiadła na brzegu łóżka, zapatrzyła się w przestrzeń i mamrotała: — Dobra w tobie krew, chłopcze, bez dwóch zdań. Najpierw idzie gorąca po zakutej Irlandce, a to...
Kasię zajmowało ubieranie dziecka, a głos babki przeszedł w ciche pomrukiwania i Kasia niezbyt uważnie słuchała. Jej świadomość podchwytywała tylko niektóre słowa i odkładała w pamięci na wypadek, gdyby się miały przydać. Nałożyła Antoniemu długie białe pończoszki i ubrała go w odświętne białe ubranko. Sięgnęła po miękkie białe buciczki i raptem połapała się, że babka od początku mówi coś bardzo ważnego. Przypomniała sobie tok jej wywodów i przestudiowała słowo po słowie. Był to zadziwiający katalog.
— Najpierw idzie krew gorąca po zakutej Irlandce — tak zaczęła swoją mowę babka. — A to dobry, mocny początek, że sama tak powiem. Potem idzie krew Claytonów. Kapinkę chłodna może, ale za to rasowa. Weźmiesz rozum, maniery i nos do tego, co słuszne, a co niesłuszne, po Claytonach. Nie lecę znowu tak bardzo na krew Judsonów, bo rzec można, że to popłuczka po krwi Claytonów, ale powiem ci, chłopcze, że Judsonowie to też ludzie, na których czasami można popatrzeć z szacunkiem, a czasem z żalem, i nie zaszkodzi, że masz tego odrobinę w sobie. Krew Lawrence'ow to z całkiem innej beczki. Gdzieś się popsuła po drodze, ciągle to na jaw wychodzi i dziękuj Bogu, żeś jej nie zakosztował. Czeka cię ciężka walka, nim się czego dochrapiesz, i nowy zastrzyk gorącej irlandzkiej

krwi akurat się przyda takiemu chłopakowi jak ty, więc nie usłyszysz ode mnie marnego słowa za to, coś wziął po Callahanie.

Kasia jak fryga obróciła się do babki.

— Przestań! — krzyknęła.

Babka podniosła oczy i powoli oprzytomniała.

— Co takiego, Kasieńko kochana?

— Babciu, sama nie wiesz, coś ty mówiła!

— Mruczy sobie stara baba pod nosem, bo coś jej się tam przypomina.

— Takie coś, jak krew Claytonów w naszej rodzinie.

— Czyżby? E, chyba się przejęzyczyłam, język mi się plącze na starość.

— Plącze ci się, plącze — powiedziała Kasia ponuro. — Z Callahanem też się przejęzyczyłaś?

Jasne stare oczy zerknęły na nią.

— Tak mi się wszystko pomieszało dzisiaj, że lepiej za grosz nie wierzyć temu, co gadam.

— Lepiej się więcej nie przejęzyczaj.

— Będę się pilnowała. Nigdy przedtem to mi się nie przytrafiało, Kasieńko. Tylko że ni stąd, ni zowąd pomyślało mi się o nas obu jak o jednej i tej samej osobie, co dwa razy przeżyła tę samą historię, tyle że tu i ówdzie wyszło to trochę dziwniej i trochę inaczej.

— Babciu, z chęcią zapomnę, coś ty powiedziała.

— Niech więc będzie, że nigdy tego nie powiedziałam, nigdy.

— I jeszcze jedna sprawa. Widywałaś się z Michasiem, prawda? I może zachęcałaś go nawet, żeby się tu pokazywał?

— A zaglądał kuchennymi drzwiami i pytał, jak się miewasz, to i troszkę żeśmy sobie gawędzili dla zabicia czasu. Pewno, bo i zasługiwał na to, żeby mieć u ciebie szanse, mizerne, jak się okazuje, skoro go dzisiaj, kiedy wychodził, irlandzka krew

zalała. Obawiałam się, że zdobędzie cię od razu i stanie ci na drodze, ale teraz widzę, że wpierw postara się wybić, a ty masz syna, a syn nazwisko nie najgorsze, i może zrobisz gorszy wybór, nie biorąc kiedyś Callahana.
Kasia powiedziała z rozmysłem:
— Nie widziałaś razem ich twarzy, Michasia i Antoniego, bo inaczej byś tego nie mówiła.
Babka zaglądnęła do kołyski.
— Psiakość — zamruczała — a to by była kłopotliwa historia, no nie? Że też ja tego nigdy nie spostrzegłam. Ale jakby byli razem, ślepy by się poznał. Zgoda, Kasieńko, więcej ode mnie ciepłego słowa nie usłyszy.
— Dobrze — odparła Kasia. — Bo się tu na pewno pokaże, żeby je wycyganić. No, teraz lepiej skończę ubierać Antoniego do fotografii...
W pół godziny potem pozowali do zdjęcia. Najpierw Kasia usiadła na krześle, trzymając Antoniego, a za nią stanęły matka i babka. Fotograf umocował wielkie pudło na statywie, a potem nurknął pod płachtę, żeby nastawić soczewkę. Wytknął głowę, wziął metalowy przyrząd w kształcie litery T i po wierzchu posypał go szarym proszkiem.
— Patrzymy na obiektyw i uśmiechamy się, bardzo proszę — powiedział wesoło.
Kasia przypomniała sobie raptem, że nie ma z nimi ojca. Trzeba go wziąć do następnego zdjęcia, bo inaczej ludzie sobie kiedyś pomyślą, że mężczyźni odegrali podrzędną rolę w życiu Małgorzaty O'Donnell, Marii O'Donnell Judson i Katarzyny Judson Lawrence. W tejże chwili fotograf nacisnął migawkę i szary proszek rzucił na nich oślepiające światło.
— Nie, nie, nie — sarkał fotograf. — W ostatnim momencie panie popatrzyły na dziecko i nikt się nie uśmiechał. Cóż, zrobimy drugie, lepsze. Mają panie dzielnego dzieciaka. Zazwyczaj dzieci drą się przy błysku.
Założył nową kliszę i podniósł do góry flesz.

Wściekły wrzask przewiercił pokój. To Antoni tak się darł, że ledwie go było widać za rozdziawioną od krzyku buzią. Kasia uspokoiła go i spróbowali od nowa. Nic z tego nie wyszło. Jak tylko fotograf podnosił flesz, Antoni darł się wniebogłosy. Więc ostatecznie skończyło się na jednym zdjęciu. Tak jakby Antoni dawał się naciągnąć raz, ale nie więcej.

ANTONI 1921—1956

1

Antoniemu pozostało niewiele osobistych wspomnień po prababce Małgorzacie O'Donnell. Zmarła podczas epidemii grypy po pierwszej wojnie światowej. Miał wtedy pięć lat, ale przypominał sobie, jak go zaprowadzono do jej sypialni, gdzie babka spoczywała wsparta o poduszkę i wyglądała jak cienka przezroczysta muszelka ludzka, porzucona przez kogoś, kto wyrósł z niej.

Wpatrywała się w niego wyblakłymi niebieskimi oczyma i mówiła: „Spodziewam się, Antoni, że wiesz, co masz zrobić. Na ciebie właśnie czekałyśmy, wszystkie trzy, a lata wlokły się jak bezsenne noce". Nie słowa, lecz odpryski szkła przebijały przez miękką irlandzką wymowę, której nigdy nie potrafiła się wyzbyć.

Palce matki zacisnęły się na jego ramieniu i odpowiedział tak, jak go nauczyła: „O tak, wiem." Nie miał pojęcia, czemu tego odeń wymagała ani też, co takiego

powinien wiedzieć i zrobić. Prababka Małgorzata O'Donnell skinęła głową i przymknęła oczy. Niedługo potem umarła spokojnie, jak gdyby tylko dotąd trzymała się życia, dopóki nie usłyszała z jego własnych ust tego zapewnienia.
W dwa lata później po raz pierwszy poznał jedną z tych swoich powinności. Nie było to szczęśliwe odkrycie. Zanim do tego doszło, żył w typowo dziecięcym świecie, zamieszkanym przez trzy rodzaje stworzeń. Najpierw przez chłopców w swoim wieku; w jednej chwili dobrze się z nimi bawić, w drugiej lecą z wrzaskiem do domu albo biorą się do bitki. Następnie przez starszych chłopaków; przeważnie udają, że ciebie nie dostrzegają, a jak się uprzesz, że jesteś, to szorstko odepchną na bok. Wreszcie przez wielkie, wszechwiedzące stworzenia, zwane dorosłymi. Dorośli po to znaleźli się na świecie, żeby dawać cukierki i podtykać kalosze, zabierać na cudowne wycieczki i zmuszać do odrabiania lekcji, kochać i sprawiać lanie. Dobrze, że nie brakowało dorosłych,chociaż czasami stawali się dokuczliwi. Nie mieli swoich spraw na głowie, więc zawsze chętnie wtykali nos w cudze.
To przeraźliwa chwila, kiedy się odkryje, że jednak mają swoje sprawy i że musi się im pomóc. Po czymś takim nie ma już powrotu w dziecięcy świat.
Chwila ta nadeszła dlań w roku 1921. Choć nie zdawał sobie wówczas z tego sprawy, panował akurat powojenny zastój gospodarczy. Wiedział o tym tylko tyle, że matka została w domu, zamiast iść co dzień do miejsca zwanego „biurem", i że ucieszna, tłusta Mulatka przestała u nich sprzątać i gotować. Chodził do klasy pierwszej „A" w Akademii Franklina. Niezbyt mu się to podobało. Panowie nauczyciele uważali, że powinien robić lepsze postępy, bo jego dziadek tam uczył. Chłopcy z pierwszej „A" nie dopuszczali go do swoich zabaw, bo jego dziadek uczył w szkole i Antoni uchodził za profesorskie oczko w głowie. Po lekcjach powinien był zostawać na boisku szkolnym i brać udział w grach, ale z wiosną przekonał się, że może przeleźć przez tylną bramę i wcześniej czmychnąć do domu. Jeśli się prześliznął kuchennymi drzwiami, mógł się dostać do swojego

pokoju na drugim piętrze i czytać sobie „Zieloną księgę baśni" albo „Opowieści Tanglewooda", a matka nie wiedziała, że wrócił.
W ów szczególny dzień, kiedy właśnie pomykał w podskokach przez Akacjową uważając, by nie stąpnąć na żadną szczelinę w chodniku, spostrzegł, że przed domem czeka znany Buick. Radosnym długim skokiem wziął aż dwie płyty chodnika. Buick oznaczał, że wujek Michaś znowu ich odwiedził. Nie był to prawdziwy wujek, ale za to dobry. Lubił mierzwić Antoniemu włosy i czasem zmagać się z nim, podarował mu kij hokejowy i prawdziwą piłkę do baseballu, a nie tanią szmaciankę, co zaraz się wycierała. Tej soboty miał zabrać Antoniego do Parku Zabaw na piracką wyprawę kajakiem, jeśli nie będzie deszczu. Gdyby padało, Antoni zamierzał cały tydzień nie wspominać imienia Bożego w modlitwach, żeby dać Panu Bogu nauczkę. Chociaż wujek Michaś był chyba tak samo silny jak Bóg, bo mówił, że nie pozwoli, żeby padało.
Myślał, czyby nie wejść frontowymi drzwiami i rzucić się znienacka na wujka Michasia, ale chyba lepiej tego nie robić, bo matka zaraz chciałaby wiedzieć, dlaczego tak wcześnie wrócił ze szkoły. Zaszedł więc uliczką od tyłu i przekradł się do kuchni, skąd prowadziły drzwi do hallu. Chciał się tędy przemknąć na schody, ale mijając kuchnię usłyszał głos matki. Głos ten brzmiał bardzo dziwnie. Antoni leciutko uchylił wahadłowe drzwi do jadalni i zerknął przez szparę. Matka i wujek Michaś stali blisko siebie, wujek obejmował ją ramionami. I całował. Nie raz, tak jak czasem ludzie się całowali na powitanie, ale wiele, wiele razy. Dziwna rzecz, żeby ktoś tak robił. Antoni nie mógł rozstrzygnąć, czy matce to się podoba, czy nie.
Mówiła właśnie takim głosem, jakby się paskudnie przeziębiła: — Nie, Michaś, nie. Przestań już. Nie chcę. Słyszysz? — Choć nie robiła nic, żeby przestał. Może to była jakaś gra, w którą dorośli się bawią.

— Dawno powinienem to zrobić — powiedział wujek Michaś. — Tak żyłaś swoimi myślami, aż zapomniałaś, że jesteś z krwi i kości.
— To niełądnie! — krzyknęła matka i wreszcie odepchnęła wujka Michasia. Gorączkowymi ruchami poprawiała włosy, ale nie mogła ich ułożyć. — Nie powinnam była pozwalać ci przychodzić. Czekałeś tylko na taką chwilę, kiedy poczuję się słaba i zniechęcona.
— Do diabła, pewno, że czekałem — powiedział wujek Michaś i zrobił marsową minę. — Zawsze myślałaś, że we wszystkim poradzisz sobie sama. Ciułałaś, skąpiłaś i udawałaś, że świetnie ci się powodzi. Wpędzasz siebie do grobu, słyszysz? A teraz po tej powszechnej plajcie nie masz pracy. Czas już, żebym się tym zajął.
— Praca się trafi lada chwila — powiedziała matka wzburzona. — Właśnie instruktorka w Lidze Młodzieżowej mówiła mi, że chyba przyda jej się pomoc. Ja...
— Ty wyjdziesz za mnie za mąż, Kasiu.
Jeśli się pobiorą, myślał Antoni, to wujek Michaś zmieni się w jego ojca. Nie miał nic przeciwko temu. Choć nie przestanie nazywać go dalej wujkiem.
— Wiesz, że nie mogę — odparła matka. — Nic się pod tym względem nie zmieniło od czasu, kiedyśmy pierwszy raz o tym rozmawiali.
— Słuchaj, co ci powiem. Zostawmy to jeszcze na jakiś czas. Ale pod warunkiem, że mi pozwolisz wyciągnąć cię z tarapatów. U diabła, kto większe ma do tego prawo, żeby ci pomóc?
— Szkoda gadać — powiedziała matka. — Za dobrze cię znam. Popadnę w zależność od ciebie, pomału osłabnę i zmięknę
— Przestańże tyle myśleć o sobie — odparł wujek Michaś. —. Co z Antonim? Chłopak potrzebuje ojca. Patrz, jak się do mnie garnie.

— Przekupujesz go stale prezentami i wszystkim — powiedziała matka ze złością.
— Nadskakujesz mu, żeby za tobą przepadał.
— A co to szkodzi? Klawy z niego chłopak. Spróbuj tylko zapytać go, co myśli o tym, żebyśmy się pobrali.
— Niech sobie myśli, mało mnie to wzrusza.
— Mało, taaak? O której on wychodzi ze szkoły? Złapię go, przywiozę do domu i zapytam na twoich oczach. Wtedy zobaczymy, czy mało cię to wzrusza, co on myśli.
— Ani mi się waż! — krzyknęła matka. — Michaś, wiesz, że bym tego nie zniosła! Ja...
— Świetnie — powiedział wujek Michaś. — Niedługo z nim wracam.
Wyszedł w pośpiechu frontowymi drzwiami.
Matka stała wydając takie dźwięki, jakby się czymś zakrztusiła. Potem podeszła do kanapy, usiadła i zaczęła płakać. Na widok, że dorośli płaczą — zwłaszcza matka — chwyciło go przerażenie. Skóra na nim ścierpła, zrobiło mu się gorąco. Głowił się, co by jej tu dać, żeby przestała płakać. Miał u siebie kij hokejowy i piłkę baseballową, i trochę landrynek, ale żadna matka nie grała w baseball ani w hokeja, a landrynki nieco się przybrudziły. Kiedy niósł je do domu, torebka pękła i wysypały się na ziemię.
Pchnął drzwi, podszedł do niej i powiedział dość bezradnie:
— Nie płacz, mamo. Podskoczyła i spojrzała na niego.
— Antoni! — zachłysnęła się. — Co ty tu robisz o tej porze? Dawno tu jesteś?
Wybrał łatwiejsze pytanie do odpowiedzi.
— Od paru minut. Chcesz cukierków, mamo? Mam na górze. Trochę się pobrudziły, ale mogę opłukać.
— Och, Antoni — powiedziała słabiutkim głosem. — Och, Antoni.
— Wściekasz się na wujka Michasia? — spytał.

— Antoni, słyszałeś wszystko, cośmy mówili?

— Słyszałem wszystko, coście mówili, odkąd się tu znalazłem- On powiedział, że wyjdziesz za niego, a ty powiedziałaś, że nie wyjdziesz, a potem coś tam, czego nie zrozumiałem, i teraz pojechał do szkoły, żeby mnie złapać. Ma mnie spytać, co ja o tym myślę, a ja myślę, że dobra, ale chyba nie przestanę go nazywać wujkiem, bo dla mnie to on jest wujek.

— Antoni, czy myśmy coś wspominali o... o... nie, teraz sobie przypominam, że nie. Więc wszystko w porządku. Bardzo ładnie, żeś chciał mnie poczęstować cukierkiem. Czy dlatego, żebym przestała płakać?

— Nie lubię słuchać, jak ty płaczesz. Trochę niedobrze mi się
robi.

— Chodź no — powiedziała biorąc go za rękę i przyciągając do siebie na kanapę.

— Już nie płaczę. — Ogarnęła go ramieniem i pozwoliła mu wtulić się w ciepło i w czysty, miły zapach. — Antoni — powiedziała cicho — wujek Michaś rzeczywiście chce się ze mną ożenić. Ale ja się nie zgodzę.

— Trudno, jeśli go nie lubisz.

— Całkiem nie o to chodzi — odparła. — Bardzo go lubię. Ale pobrać się nie możemy.

— Cóż, naprawdę na to nie liczyłem, mamo. W każdym razie nie myślałem o tym do tej pory.

— Rzecz w tym, synku, lubię wujka Michasia tak bardzo, że jeśli dalej będzie dla nas dobry, coraz trudniej i trudniej będzie mi powiedzieć nie.

— No — mruknął z zadowoleniem — to wtedy po prostu za niego wyjdziesz.

Znowu zaczęła płakać.

— Nie wolno mi, nie wolno — szlochała. — Nie rozumiesz... nie zdajesz sobie sprawy... nie mogę nawet spróbować wytłumaczyć ci tego. Bo widzisz... poczekaj. Może to ci wyjaśni. Jesteśmy anglikanami, wiesz o tym.

— O, tak — odparł. Wcale mu się nie podobało, że byli anglikanami. Anglikanie kazali mu oddawać pięć centów z kieszonkowego na tacę na niedzielnym szkolnym nabożeństwie. Wolałby, gdyby się dało, zostać kimś innym, kto nie płaci pięciu centów co niedzielę.

— Antoni — powiedziała — wujek Michaś jest katolikiem! Po jej tonie mógł poznać, że to coś bardzo niedobrego.

— Może to nie jego wina — mruknął.

— Wprost nie wypada, żeby się anglikanka i katolik ze sobą pobierali. Ale jeśli wujek Michaś dalej będzie dla nas dobry to boję się, że stracę głowę i powiem, że za niego wyjdę. Po prostu sama nie mam dosyć siły. Pomożesz mi, Antoni, żebym była silna?

Wiercił się niespokojnie w zasięgu jej ramienia. Często bawił się sam w siłacza, mocniejszego od innych chłopaków, ale wiedział, że to tylko na niby. Tamci byli silniejsi.

— Jak potrafię... — powiedział z powątpiewaniem. Odwróciła się tak, żeby patrzeć mu prosto w oczy.

— Chcę, żebyś pobiegł do szkoły, odszukał wujka Michasia i udał, że nie ruszałeś się stamtąd całe popołudnie. Nie wspominaj nic o tym, żeś tu był, słyszał, cośmy mówili, i rozmawiał ze mną. Wujek Michaś podwiezie cię do domu swoim samochodem. Chcę, żebyś udawał, że nic a nic go nie lubisz i że nie chcesz wybrać się z nim na kajak w sobotę i w ogóle. Pojmujesz to wszystko?

Gdy mówiła, czuł, jak coś go ściska w żołądku, aż mu się zrobiło niedobrze.

— Kiedy ja go lubię — powiedział zdławionym głosem. — I w sobotę miało nie być deszczu, i...

— Antoni, to okropne, że proszę ciebie, żebyś to dla mnie zrobił. Brzydko z tobą postępuję. Zachowuję się jak tchórz. Ale jeśli możesz to zrobić, okażesz mi wielką pomoc. Myślisz, że możesz?

Przed oczami miał gorącą, wilgotną mgłę. Parę razy przedtem doświadczał podobnych uczuć, kiedy chłopcy w szkole potrącali go i wyzywali do bitki. Za każdym razem brał nogi za pas. Teraz też mógł uciec. Ale opuściłby matkę samą i przestraszoną. Nie posądzał nikogo w świecie o tchórzostwo. Jeśli matka się do tego przyznawała, wiedział, jak musi się czuć. To niewielka przyjemność.

— Dobrze — szepnął. — Wrócę do szkoły i będę udawał, tak jak mówiłaś.

Chciała go pocałować, ale zabolałoby go, gdyby ktoś go dotknął; pędem wybiegł z domu i pognał mijając parę przecznic do szkoły. Przelazł przez tylną bramę i przeszedł przez główny budynek. Na dziedzińcu gromada chłopców grała w hokeja i w palanta, a kilku wychowawców pilnowało porządku. Wujek Michas rozmawiał z jednym z nich i rozglądał się. A więc zaczął się wałęsać po dziedzińcu, jakby cały czas tam był. Wujek Michaś pomachał ręką i zawołał:

— Serwus, Antoś!

Innym razem puściłby się pędem do wujka Michasia, a ten złapałby go i okręcił dokoła, ażby mu oddech zapierało w piersiach. Dziś się nie poruszył.

— Serwus — wymamrotał.

— Ważniaka dziś strugasz, co? — zagadnął wujek Michaś, podszedł wielkimi krokami i jednak zakręcił nim w kółko.

— Puść mnie, puść mnie — zaskomlał Antoni. — Mam tego dosyć.

Nie musiał udawać pisku, bo czuł, jak mu coś gorącego i gorzkiego podchodzi do gardła, a nie chciał pojechać do rygi na oczach wszystkich.

— Dobra — powiedział wujek Michaś stawiając go na ziemię. — Źle się czujesz?

— Wcale nie.

— Może byśmy tak razem pojechali do domu, co ty na to?

— Mam jechać koniecznie? — zapytał markotnie. — Tak się dobrze bawiłem.

— Owszem, widzę to. Ale chciałem pogadać z tobą o czymś ważnym.

Kusiło go, żeby odmówić i nie pójść z wujkiem Michasiem, wtedy nie musiałby już więcej udawać. Ale i nie pomógłby matce.

— Mogę pójść, czemu nie, jeśli poprosisz pana Ansleya — powiedział. — To ten przy głównej bramie.

Pan Ansley wyraził zgodę i Antoni z wujkiem Michasiem poszedł do dużego sportowego Buicka stojącego przy krawężniku. Wsiedli i wolno pojechali Akacjową.

— No — powiedział radośnie wujek Michaś — zamówiłem już słoneczny dzień na sobotę. Wiesz ty co? Na naszej rzece jest wysepka, tam sobie przybijemy i zjemy obiad. Mówili mi, że jakiś pirat, chyba kapitan Kidd, zakopał tam trochę skarbów. Naturalnie, ludzie od lat ich poszukują. Ale mam przeczucie, że jak się postaramy, to uda nam się wykopać dzban ze srebrnymi monetami.

Antoniego coś mocno ściskało za gardło, jak wtedy, kiedy połknął całą landrynkę i utknęła mu po drodze.

— Nie mam ochoty — powiedział słabiutkim głosem.

— Nie masz ochoty! Co ci się stało, Antoś?

— Nic. Zwyczajnie nie mam ochoty.

— Może wolałbyś pójść do kina? Grają klawy film z Douglasem Fairbanksem. Mówię ci, jak on skacze i bije się na szable z całą chmarą napastników, zobaczyłbyś. A potem zamówilibyśmy sobie lody czekoladowe z wodą sodową.

Antoni nie znosił, jak mu oczy same zaczynały zezować do bólu.

— Nie mam ochoty — zapiszczał.

Samochód zjechał przedtem w prawo na Szesnastą i skręcił teraz w Jodłową. Wujek Michaś zahamował przed ich domem i powiedział.

— Coś cię gnębi, no nie, Antoś? Jazda. Powiedz mi bez ogródek.

Musiał wrzasnąć i wściec się, bo inaczej by nie wytrzymał.

— Wcale nie chcesz brać mnie na kajak ani do kina! — krzyknął. — Robisz tak tylko, żeby się zbliżyć do mojej matki. Ty...

Ogromna ręka ścisnęła go za ramię. Wujek Michaś z wysuniętą do przodu szczęką wpatrywał się w niego i potrząsnął nim trochę.

— Słuchaj no — powiedział ochryple. — Własnego syna bardziej bym nie lubił.

— Nie jestem twoim własnym synem! Nie jestem twoim własnym synem!

To chyba zabolało wujka Michasia.

— Może wkrótce nim zostaniesz — powiedział. — Chcę ożenić się z twoją matką. Wtedy będziesz moim synem. Wtedy...

Raptem Antoni spostrzegł, że tłucze z całej siły wolną ręką w pierś wujka Michasia.

— Nie chcę, żebyś się z nią żenił — wrzeszczał. — Nie chcę być twoim synem. Nie lubię cię więcej. Puszczaj mnie!

Ręka wujka Michasia opadła, a twarz stała się taka martwa i pusta jak dom, w którym spuszczono w oknach wszystkie zasłony. Antoni wykręcił się, szarpnął drzwiczki i pognał po schodkach do domu. Matka akurat spieszyła do drzwi i Antoni przypadł do niej szlochając.

Słyszał, jak za jego plecami wujek Michaś mówi zgnębionym głosem:

— Coś się popsuło. Okazuje się, że naprawdę nigdy go sobie nie pozyskałem. Żegnaj, Kasiu.

Samochód cicho odjechał ulicą.

Matka szepnęła:

— Nigdy sobie nie daruję tego, co ci zrobiłam, synku. Powinnam była mieć dość odwagi, żeby mu sama to wszystko powiedzieć. A tak zraniłam was obu, zamiast zranić tylko Michasia.

Podniósł głowę i wrzasnął:

— Nic złego nie zrobiłem! Powiedziałem mu tylko, że go więcej nie lubię, bo i prawda. Nie lubię go! Nie lubię go!
Wyrwał się matce i wbiegł po schodach do swojego pokoju. Piłka baseballowa, którą dostał od wujka Muchasia, leżała na biurku czekając na tę chwilę, kiedy chłopaki wpuszczą go wreszcie na boisko i wniesie ją dumnie do gry. Porwał ją i cisnął jak najdalej przez otwarte okno. Kij od hokeja stał w kącie. Schwycił go za koniec i dotąd skakał po kiju, póki nie pękł. Wtedy rzucił się na łóżko.
Matka musiała chyba wiedzieć, że potrzebował samotności, bo zapadł zmrok, nim wreszcie przyszła przynosząc tacę z kolacją. Nie był jednak głodny. Miał pod poduszką torebkę landrynek i machinalnie wkładał je do ust jedną po drugiej przez całe popołudnie, aż zjadł je wszystkie nie wiedząc o tym.

2

Na przestrzeni lat dwudziestych — jak sobie później uświadomił — matka dokładała wszelkich starań, żeby zarobić na życie i zachować jaką taką pozycję w filadelfijskich sferach. Gdyby poprzestała na jednym, zapewne by się jej powiodło, ale chwytając się dwóch rzeczy naraz, nie popisała się w żadnej. Zajmowała skromne posadki w Lidze Młodzieżowej, w klubie rozrywkowym i w teatrze muzycznym. Gorliwie poświęcała się komitetom dobroczynności, ale nigdy nie poproszono jej na przewodniczącą, komitety zaś, w których uczestniczyła, należały zawsze do tych, co mają najwięcej pracy, a najmniej znaczenia. Przypuszczalnie zginęłaby z oczu i ześliznęła się z powrotem do niższych sfer, gdyby nie fakt, że była w miarę użyteczna. W familii filadelfijskiej socjety znajdowała się na prawach trochę nudnej ciotki, która czasem przydaje się do pilnowania dzieci.

Można jej od czasu do czasu odstąpić jedno ze swoich miejsc w filharmonii, ale nie zabierze się jej nigdy na otwarcie sezonu operowego.
Na szczęście, gdy wchodziły w rachubę pieniądze, nie musiała płacić za naukę Antoniego w Akademii Franklina. Ponieważ dziadek był w gronie profesorskim, Antoniemu przyznano stypendium.
Raz tylko zrobił się szum z końcem roku 1928. Pewna pani nazwiskiem DeWitt Lawrence zmarła we Francji, gdzie od wielu lat zamieszkiwała. Depesze prasowe wskazywały na nią jako na byłą obywatelkę Filadelfii i dziennikarze z „Głosu", „Wiadomości", „Przeglądu" i obu „Dzwonów" przekopali się przez archiwum wycinków, aby stwierdzić, że była ona wdową po milionerze kolejowym i że żyje jeszcze jej synowa, pani Williamowa DeWitt Lawrence, Jodłowa róg Szesnastej (adresem tym od dawna nie ma się co chwalić), oraz jej wnuk, Antoni Judson Lawrence. Przez dwa dni Antoni robił w szkole furorę, a w pewnych kręgach mówiło się, że wypada poprosić panią Williamowa DeWitt Lawrence na przewodniczącą komitetów organizujących doroczny pokaz koni i lokalną zabawę ludową.
Ale potem depesze prasowe z Francji podały treść testamentu pani DeWitt Lawrence, Antoni przestał robić furorę i nikt się nie zająknął na temat komitetów. Testament ledwie wspominał synową i wnuka, mimochodem, na wypadek nieuzasadnionych roszczeń, a następnie przeznaczał siedemnaście milionów dolarów na założenie przy muzeum filadelfijskim galerii imienia DeWitt Lawrence'a i otwarcie na terenie miasta szkoły inżynieryjnej tegoż imienia. Zawierał również pomniejsze zapisy dla służby, między innymi zapis na dwa tysiące pięćset dolarów dla szofera nazwiskiem Bledsoe. Testament wywołał masę przychylnych komentarzy w całym mieście, dowodząc niezbicie, że człowiek w głębi serca pozostaje filadelfijczykiem, choćby go los na długo rzucił w inne strony.

Epizod ten pociągnął za sobą jeden ważny, choć uboczny skutek. Przypomniał ludziom, że pani Williamowa DeWitt Lawrence, z domu Judson, istotnie wspięła się niegdyś na pierwsze szczeble drabiny społecznej. Wśród tych, którzy ten fakt odnotowali, znalazła się niejaka pani Hoyt Phelps. Wdowa po lekarzu, z dwojgiem małych dzieci. Starała się utrzymać siebie i rodzinę dzięki tym samym zajęciom, jakim oddawała się matka Antoniego. Jednak w przeciwieństwie do niej nie miała wygórowanych aspiracji. Chciała zwyczajnie zarobić dobrze na życie. Zapoznała się dokładnie ze strukturą filadelfijskiego świata. Zauważyła, że wśród niższych warstw wielu ludzi usiłuje wdrapać się na górę, a w warstwie średniej jeszcze większa ilość chce się dostać do najwyższych sfer. Z jej punktu widzenia obie te grupy miały dwie rozkoszne cechy wspólne: brakło im wprawy we wspinaczce, ale nie brakło pieniędzy. Pani Phelps chciała zastosować proceder, który podniósłby ich estymę, a trochę uszczuplił kieszeń.

W późniejszych latach naturalnie stała się sławna jako wyrocznia w dziedzinie towarzyskiego awansu. Prowadziła kartotekę panien i kawalerów z dobrych domów, organizowała przyjęcia i wesela swoim klientom. Można było zapłacić pani Phelps za wyprawienie pierwszego balu dla córki słoną sumę piętnastu tysięcy, chociaż na ogół bal kosztował około dziesięciu, ale nikt nie narzekał; dodatkowe koszta zapewniały obecność innych ambitnych debiutantek i kawalerów, którzy przynajmniej wywodzili się z najlepszych szkół, jeśli nie z najlepszych rodzin. Nikt też z jej klientów nie miał tego za złe, że śmietanka filadelfijskiej socjety nie posyła swoich dzieci na te zabawy. W istocie jej klienci nie wiedzieli, kto należy do owych najstarszych rodzin, gdyż tak niechętnie udzielały się one towarzysko. Filadelfijskim nowobogackim nigdy nie przychodziło do głowy, że jeśli w Filadelfii ktoś ma utrwaloną pozycję, nie musi na dowód tego wydawać przyjęć.

Ale te sukcesy czekały ją dopiero począwszy od tego wiosennego dnia 1928 roku, kiedy to pani Hoyt Phelps pomyślała sobie o pani Williamowej DeWitt Lawrence. Pani Phelps myślała też o popołudniowej, piątkowej szkole tańca, która mieściła się w Hotelu Bellevue i od kilku lat powoli dogorywała. Pani Phelps wiedziała, że starszawa dama, która prowadziła tę szkołę, z chęcią odsprzedałaby swój udział. Zaproponowała więc pani Williamowej DeWitt Lawrence, że obie tę imprezę przejmą. Matka Antoniego była przerażona rozmiarami finansowego ryzyka, ale pani Phelps już wówczas zdradzała talent przekupki na wielką skalę, więc namówiła ją, żeby spróbować.

Pani Phelps orientowała się dokładnie, które rodziny ze średnich i trochę niższych warstw społecznych mają podrastające dzieci i którym rodzinom zaimponuje Hotel Bellevue, pięknie drukowane zaproszenia i opłata w wysokości dwustu dolarów. Zaproszenia oznajmiały dostojną czcionką, że:

Pani Williamowa DeWitt Lawrence i pani Hoyt Phelps zawiadamiają, iż Piątkowa Popołudniowa Szkoła Tańca w Hotelu Bellevue dysponuje ograniczoną liczbą miejsc w sezonie zimowym 1928—29

Dalej następowały: „Prosimy o łaskawą odpowiedź", adres i numer telefonu pani Phelps. Pani Phelps w niczyje ręce nie chciała powierzyć delikatnej kwestii opłat (sto dolarów wpisowe, sto dolarów honorarium w trakcie kursu) i jeszcze delikatniejszej kwestii — rozstrzygnięcia, którzy z kandydatów nie powinni zostać przyjęci. W jej planach odgrywali oni ważniejszą rolę niż ci, którzy mieli zostać przyjęci. Zdawała sobie sprawę z tego, że impreza nabiera ekskluzywnego charakteru nie dzięki tym, co w niej biorą udział, lecz dzięki tym, których do niej nie dopuszczono.

Tak więc w listopadzie 1928 roku siedemdziesiąt jeden dziewcząt w wieku trzynastu, czternastu i piętnastu lat oraz czterdziestu jeden chłopców w takimż wieku zaczęło uczęszczać do Piątkowej Popołudniowej Szkoły Tańca. Wśród nich

znajdował się Antoni. Był to dowód zręczności pani Phelps, że potrafiła nawet matce Antoniego zaimponować poziomem i ekskluzywnością imprezy. Pani Phelps przyjęła Antoniego tylko za połowę normalnych opłat.

W listopadzie i grudniu kurs rozwijał się świetnie, jednakże w styczniu obie kierowniczki wyczuły, że szykuje się coś niedobrego. Matka zdradzała taką rozterkę, że nawet Antoni to zauważył, chociaż jako czternastolatek nie zwracał na ogół uwagi na to, co się przytrafiało bliźnim.

Kiedy szli do Bellevue w mroźny styczniowy wieczór 1929 roku, matka zagadnęła:

— Antoni, czy ty często tańczysz z Polą Vandeventer?

— Hę? — mruknął. Przebywał w tej chwili myślami daleko; gnał z piłką do bramki przeciwników i doping grzmiący mu w uszach zagłuszył słowa matki. Zły był, że go ściągnęła na ziemię, bo tylko w marzeniach spotykał się z aplauzem.

— Mówię o Poli Vandeventer. Ona cię lubi. Czy starasz się o to, żeby z nią zawsze zatańczyć?

— Zaraza — odparł prosto i zwięźle.

— Ale czy z nią tańczysz?

— Raz na jakiś czas.

Pola miała chudą, brzydką twarz i ondulowane włosy, co sterczały jak miotełka z piór. Robiła zawsze uszczypliwe żarty, na które nigdy nie umiał odpowiedzieć, a ilekroć z nią tańczył, pchała się na niego wstrętnym brzuchem.

— Życzę sobie, żebyś z nią tańczył przynajmniej raz w każdy piątek. I zobacz, czy ci się nie uda nakłonić kolegów, żeby z nią też tańczyli, dobrze?

— Aj, mamo. Po licha?

— Boję się, że jeśli się nie zapobiegnie, ona nie wróci na drugą połowę kursu.

— Wiwat!

— Wiem, co myślisz — powiedziała matka — ale wytłumaczę ci, co mnie martwi. Niektóre dziewczęta i ich matki są niezadowolone. Wszystko sprowadza się do tego, że brakuje nam chłopców. W każdej szkole tańca ich brak. Prawie trzy dziewczynki wypadają u nas na dwóch chłopców, a czasem wydaje się, że chłopców jest jeszcze mniej. Chyba się nie ulatniają, bo liczę ich, kiedy przychodzą, ale zdaje się, że nigdy nie ma ich pod ręką wszystkich naraz.
— Są, są — powiedział Antoni. — Wszyscy są, mamo. Śledził jej twarz i spostrzegł, że zgodziła się z jego opinią.
— Cóż, część dziewczynek dogadała się między sobą i poskarżyła się matkom. Sądzimy z panią Phelps, że to sprawka Poli Vandeventer. To urodzony prowodyr w spódnicy, lepszego nie znajdziesz, przynajmniej gdy trzeba coś zbroić. W dodatku jej rodzice mają tyle pieniędzy, że inne dziewczęta jej się podlizują za namową własnych matek.
— Jeśli mają tyle pieniędzy, to niech jej zafundują nową gębę — powiedział Antoni. Spodobała mu się ta uwaga. Powinna pobudzić Edzia Eakinsa do śmiechu, kiedy mu to powie.
— Antoni, jak ona odejdzie ze szkoły, to może za sobą pociągnąć z piętnaście albo dwadzieścia dziewczynek.
— Cóż, sama mówiłaś, że ich jest za dużo.
— Nie wyraziłam tego w ten sposób. Mówiłam, że chłopców jest za mało. Antoni, przykro mi poruszać z tobą takie sprawy, ale obie z panią Phelps ogromnie liczymy na dobrą frekwencję w drugiej połowie kursu. Nie zarobiłyśmy dużo w pierwszej połowie, bo musiałyśmy spłacić tę panią, która przedtem prowadziła szkołę. Teraz nie mamy już długów. Jeśli wszyscy wrócą na kurs, pójdzie nam świetnie. Żeby pokryć koszta sali balowej, orkiestry, przekąsek i innych rzeczy, potrzeba nam siedemdziesięciu uczestników. Każdy następny to czysty zarobek. „Jeśli stracimy dwadzieścia dziewcząt, dwie piąte dochodów przepada. I Bóg jeden

raczy wiedzieć, co się stanie, jeśli cała dwudziestka odpadnie. Może inne sobie pomyślą, że szkoła jest do niczego, i też się wycofają.
— Dobra — burknął. — Będę z nią tańczył.
— I zrób to dla mnie, postaraj się być miły, dobrze? Prawie zawsze pałętasz się z taką zdegustowaną twarzą, że aż każdy by pomyślał, że umierasz z nudów.
— A co mam robić, szczerzyć do niej zęby jak kretyn?
— Zwyczajnie, bądź dla niej miły. I postaraj się skłonić kolegów, na przykład Edzia Eakinsa, żeby się przyjemnie do niej odnosili.
— No, Edzio będzie zachwycony — powiedział ponuro. — Poproszę go, ale wiem, co mi odpowie.
Tegoż popołudnia, tuż przed pierwszym tańcem, podszedł do Poli Vandeventer. Ukłonił się w pas, tak jak ich przyuczono, i powiedział:
— Czy mogę mieć zaszczyt za... tego, zatańczyć z panią, panno Vandeventer?
Podskoczyła jak sprężynowa lalka.
— Serwus, chłopie — powiedziała. — Przypomniałeś sobie o swojej maleńkiej, czas już, czas. Jak się prowadzisz? Nic nie mów. Sama widzę, że na wskroś przyzwoicie.
Taki miała sposób mówienia, w plątaninie uwag i pytań, na które sama odpowiedziała.
— Co u ciebie? — mruknął.
— Chciałbyś wiedzieć, a figę — powiedziała szelmowsko, potrząsając swoją pierzastą czupryną. — Co oni chcą brzdąkać? Serenadę? Dać by ognistego perkusistę i dobry saksofon tym grajkom. Och, słuchaj. Zaczynają „Tylko miłość dać ci mogę, kochanie". Co oni z tego robią, marsz pogrzebowy? Wiesz, jak się tańczy hasanego?
— Nie.

— Wszystko jedno i tak nam tutaj nie pozwolą. Bo oni... Gadała tak w kółko, kiedy wodził ją powoli i mozolnie po parkiecie. Z innymi dziewczynami tańczyło mu się całkiem znośnie, tylko nie z Polą. Wierciła się w podrygach na wszystkie strony. Odskakiwała na odległość ręki, a za chwilę przypadała do niego kościstym ciałem. Nie mógł utrzymać rytmu przez ten jej taniec. Na dodatek dłoń miała zawsze chłodną i trochę wilgotną i co chwila ściskała go nerwowo za rękę.
Nad jej ramieniem uchwycił spojrzenie Edzia Eakinsa, który tańczył z inną dziewczyną. Zdjął rękę z pleców Poli i odwrócił otwartą dłoń w stronę Edzia. Edzio skinął głową, wysunął palec i zrobił nim młynka. Antoni dał znak, że rozumie, i podniósł do góry kciuk. Był to szyfr ich zakonspirowanego klubu. Edzio raz jeszcze skinął głową i z partnerką w objęciach odpłynął dalej w poszukiwaniu innego członka klubu, żeby mu przekazać znaki. Edzio był prezesem klubu i facetem, przed którym czuło się mores, bo Edzio zawsze znał wynik gry. „Czy znam wynik? — zapytywał nieraz. — Słuchaj, synku, ja ustalam wyniki". Edzio naturalnie nie miał na myśli futbolu, bo w szkole nie przepadał za piłką. Gdyby mu się tylko chciało, jak powiadał, mógłby wejść do reprezentacji, ale za dużo z tym było zachodu.
Z Edzia był naprawdę elegancki chłopak. Kasztanowate włosy czesał z przedziałkiem i smarował brylantyną, zawsze pierwszy wiedział, jaka jest moda na uniwersytetach, i przeszczepiał ją na teren szkoły. W tym roku szkolnym Edzio nosił granatowe marynarki, szare flanelowe spodnie i brudnobiałe pantofle z owczej skóry, bo to był właśnie ostatni krzyk mody. Chodzili obaj do czwartej klasy w Akademii Franklina, co się równało pierwszej gimnazjalnej. Edzio miał piętnaście, a Antoni czternaście lat. Przyjaźń z Edziem spowodowała wielką zmianę w jego życiu, bo dotychczas naprawdę nie pozyskał sobie przyjaciół w szkole. Stał temu na przeszkodzie fakt, że miał dziadka profesora, że niczym się

nie wyróżniał, nawet w sporcie, i że nie śmierdział groszem, gdy inni w forsę opływali.
— Czy ty nigdy nic więcej nie mówisz, tylko mhm i hm? — spytała Pola przytulając się w tańcu do niego.
— Tak, owszem — odparł otrząsając się z zadumy.
— „Tylko miłość dać ci mogę, kochanie" — zanuciła zerkając nań i przechylając swoją chudą, sprytną twarz. — Założę się, że nie wiesz, co to miłość. Na pewno myślisz, że to zabawa w telefon albo w ciuciubabkę. W moim rozumieniu jesteś chłopak do rzeczy. Nikt ci jeszcze nie powiedział, że jesteś przystojny? Podoba mi się, jak w tej twojej czarnej czuprynie pełgają czasem takie komiczne rude błyski.
Nie lubił, kiedy mówiła w ten sposób i ocierała się o niego biodrami. Robiło mu się gorąco i nieprzyjemnie.
— Nie mogę dać sobie rady — powiedział. — Zawsze mi staje dęba.
Zaniosła się chichotliwym śmieszkiem i szturchnęła go brzuchem raz i drugi.
— Mówię o swojej czuprynie — powiedział wściekły.
— Akurat... — odparła. — Antoś, Antoś, paskudny chłopcze, mówisz świństwa maleńkiej Poli. Wstydź się.
— Przestanę tańczyć, jeśli tak dalej będziesz mówiła.
— Och, pożartowałam sobie trochę. Widzisz, taniec już się kończy. Wymknijmy się na dach i zakurzymy papierosa. Nikt nas nie będzie widział.
— Szkoda gadać — mruknął. — Muszę iść do toalety. Zobaczymy się jeszcze.
Odwrócił się i czmychnął czując, że jej bystre czarne oczy śledzą go, jak umyka przez salę.
Sala balowa, zwana różową, znajdowała się na najwyższym piętrze hotelu. Otaczało ją mnóstwo innych salek tanecznych i bankietowych, kręte korytarze biegły na wszystkie strony mijając chytrze porozmieszczane drzwi. Pomieszczenia te stały puste w godzinach kursu tańca, i kto znał te zakamarki, mógł łatwo zniknąć

z oczu. Zwykle nie wymykał się z sali różowej głównymi drzwiami, gdyż zawsze groziło niebezpieczeństwo, jeśli zbyt wielu członków klubu czmychało tą samą drogą. Ale tym razem, pod okiem Poli, musiał wyjśćgłównymi drzwiami, bo tędy szło się do toalety. Od razu zaczął kluczyć, nim zatrzymał się przy windach. Zaczekał tam minutkę, żeby chłopcy zmierzający głównym korytarzem do toalety zeszli mu z oczu, kiedy zechce cichaczem się przemknąć.

Skoro tylko wywąchał, że droga wolna, wrócił na główny korytarz, przebiegł obok toalety i skręcił w pustą galerię zastawioną dekoracyjnymi palmami. Zaczynał już oddychać swobodnie, kiedy ktoś wyskoczył nań zza palmy i zawołał: — Mam cię! To ta cholerna Pola.

— Hej — odezwał się. — Co to za pomysł, tak się znienacka na kogoś rzucać?

Uśmiechała się słabo.

— Wiedziałam, że szukasz swojej maleńkiej — powiedziała. — Więc pomyślałam, że nie będę podła i przestanę się chować.

— Wiesz, że szedłem do toalety.

— Nie tędy, Antosiu, nie tędy — powiedziała podśpiewując. — Biedny Antoś się zgubił? Pola weźmie go za rączkę i zaprowadzi.

— Sam trafię. Zamyśliłem się trochę i zmyliłem drogę. Zobaczymy się jeszcze.

Odwrócił się na pięcie i pognał galerią, choć Pola ze złością wołała, żeby zaczekał, bo chce z nim pogadać. Przeleciał obok toalety zerkając za siebie, żeby się upewnić, czy go nie goni. Tym razem nie miał po co czekać przy windach, a potem próbować tej samej drogi, gdyż znów mógł się natknąć na Połę. Skręcił w lewo do pustej sali bankietowej, minął ją, przeciął korytarz i następny pusty apartament. Za rzędem złoconych krzeseł znajdowało się kilkoro drzwi. Otworzył jedne, przeszedł przez trzecią salę bankietową i zatrzymał się przed wejściem do szatni. Zamykały je ciekawie zbudowane drzwi, w których można było otwierać górną bądź dolną połowę albo obie naraz. Kałuża światła rozlewała się pod nimi i dochodził zza nich

pomruk głosów. Zapukał trzy razy, potem dwa i znowu dwa. Był to jego tajemny sygnał. Każdy z nich miał swój własny sygnał. Klucz przekręcił się w zamku. Dolna połowa drzwi otworzyła się do środka, schylił się i wszedł.

W obszernej szatni znajdowało się pięciu członków klubu: Edzio Eakins, Bill Holley, Józko McAllister z Akademii Franklina, Bill Gillespie od Haverforda i Krzyś Engleman od św. Łukasza. Wnieśli tu krzesła z sali bankietowej i korzystali ze stolika, który na co dzień stał w szatni. Edzio, obaj Bille i Krzyś grali w oczko zapałkami zamiast sztonów. Józko rozwalił się w jednym krześle, na drugim trzymał nogi, popijał piwko i palił wytwornego papierosa ze złoconym ustnikiem.

— Czegoś się tak guzdrał? — zagadnął Edzio.

— A bo ta Pola Vandeventer szwendała się po korytarzu, żeby mnie nakryć.

— No, no, no — powiedział Krzyś. — Nakryć? Żebyś ty ją pokrył, chciałaby na pewno.

— Wyniuchała coś o nas? — spytał Edzio. Zaciągał się camelem, gdyż był to, jego zdaniem, prawdziwy papieros ludzi pracy.

— Nie wydaje mi się — powiedział Antoni. — Zwyczajnie się wścieka, bo mało z nią tańczymy. Moja matka powiada, że ona może nie wrócić na drugą połowę kursu. No, i matka chciałaby wiedzieć, Edziu, czy mógłbyś okazać Poli trochę więcej względów.

— Mógłbym — powiedział Edzio wyjmując grzebień i przeczesując lśniące włosy — mógłbym, ale wyrzucić ją przez okno.

— Przy takiej forsie, jaką ma jej rodzina — wtrącił Antoni — powinni jej zafundować nową gębę.

Edzio spojrzał na niego i przytaknął z powagą.

— Niezła myśl, Antoś. Zafunduj jej nową gębę.

Ciepła fala szczęścia ogarnęła Antoniego. Edzio nieczęsto wyrażał swoje uznanie chłopakom. Cudownie było należeć do czegoś takiego jak klub.

— Tak mi się to nasunęło — powiedział skromnie.
— Chcesz się dosiąść? — zagadnął Edzio. — Zapałka po cencie. Krzysiowi jesteś winien dziesiątaka za piwo.
— Nie, poprzyglądam się trochę — odparł Antoni. Wyjął paczkę cameli, taką samą jak Edzia, i zapalił jednego. Pierwszy dym z papierosa jak zwykle trochę go oszołomił. — Marsh i Fats tańczą teraz w sali balowej? — spytał.
— Tak, trwają dzielnie na stanowisku — powiedział Edzio. — Za dziesięć minut zmiana warty, kolej na Billa Gillespie i Krzysia.
Antoni skinął głową. Mieli pierwszorzędny system. Od czasu do czasu zbierali się całą ósemką, kiedy trzeba było coś przegłosować, ale zazwyczaj tylko szóstka wymykała się za jednym razem. Co piątku, z chwilą rozpoczęcia kursu, Edzio dawał znaki tym członkom klubu, którzy mieli się urwać po pierwszym tańcu. Pojedynczo znikali z parkietu i każdy odmienną drogą zdążał do szatni. Dwaj pozostali członkowie klubu, którym polecono zostać w sali balowej i tańczyć, dbali o to, żeby ich widziała pani Phelps i matka Antoniego. Po kilku tańcach wracali dwaj następni, żeby ich zastąpić. I tak dalej przez całe popołudnie. Tym sposobem, gdy
tylko ktoś mógłby zacząć się zastanawiać, co się z jednym z nich stało, gość już był na parkiecie, tańczył jak szalony i uśmiechał się do obu pań.
Przełomowym momentem stało się na początku kursu znalezienie klucza w drzwiach szatni. Gwizdnęli go, żeby móc zawsze wejść do szatni i zamykać się od środka. Ale jeszcze lepiej, bo szatnia miała również tylne drzwi i ten sam klucz do nich pasował. Jeśliby niepożądany gość zapukał do drzwi i nie znając właściwego sygnału starał się dostać do środka, wówczas mogli się wymknąć drugimi drzwiami. A ponieważ każdy z nich miał swój własny tajemny sygnał, nikt obcy nie mógł go podsłuchać, powtórzyć i wejść. Wystarczyło tylko rozejrzeć się i sprawdzić, czy tajemny sygnał nie należy do kogoś, kto właśnie siedzi w szatni;

jeśli należał, znaczyło to, że puka szpieg. Nic takiego jeszcze się nie zdarzyło, ale co pewien czas, bez ostrzeżenia, Edzio urządzał fałszywe alarmy. Polecał któremuś z nich, żeby zmylił sygnał, i wszyscy cichaczem czmychali drugimi drzwiami. Przypominało to ćwiczenia wojskowe, tylko że było bardziej podniecające.
Jeśliby więc Poli, myślał Antoni, udało się wyśledzić go i podsłuchać jego sygnał — trzy kropki, dwie kropki, dwie kropki — nic by jej z tego nie przyszło, gdyby w ten sposób zastukała. Gdyż on już siedział w środku.
To zgaga ta Pola. Zastanawiał się, czy ona się czegoś nie domyśla. Niedobry znak, że czatowała na galerii za toaletą. Widocznie musiała ich obserwować przedtem i wytropić, aż do tamtego miejsca. Gdyby miała naprawdę jakieś podejrzenia, pasowało to do niej, że zaraz wypaple jego matce albo pani Phelps. Pomyślał o tym i ogarnął go niepokój.
— Hej, Edziu — powiedział. Edzio oglądał swoje karty.
— No?
— Chyba lepiej pójdę zobaczyć, co ta Pola knuje. Nie podoba mi się, że czatowała na mnie w galerii. Może zacząć węszyć po wszystkich salach.
— Wal, Antoś, dobra myśl — powiedział Edzio. — Marshowi daj znak, niech się urywa przy pierwszej okazji. Za jakieś dwa tańce wyślę Krzysia, żeby się z tobą spiknął. Jeśli wszystko w porządku, pokaż mu cztery palce. Klawo?
— Klawo, Edziu.
Antoni uchylił drzwi i wyjrzał. Nikogo nie było w sąsiedniej sali, więc wyślizgnął się i słyszał, jak tamci zamknęli za nim na klucz drzwi od szatni. Popędził z powrotem do sali balowej i niedaleko wejścia zauważył Połę, która trajkotała z koleżanką. Podszedł i poprosił Polę do tańca. Uśmiechnęła się do niego i liznęła językiem kąciki ust jak kocica po mleku.
Zaczęła z nim tańczyć, ale prawie natychmiast powiedziała: — Chodź, wyrywajmy na dach.

— Nie chcę palić — odparł. — Rzuciłem papierosy. Źle ci tańczyć ze mną?
— Chcę z tobą pogadać. Chodź, wyrywamy.
Nie powiedziała tego na swój zwykły przewrotny sposób, ale tak, jakby mu doradzała, żeby się lepiej jej posłuchał. Może i racja. Wymknęli się na dach, chociaż pani Phelps i matka patrzyły na to zawsze krzywym okiem. Antoni czekał, co Pola ma do powiedzenia. Patrzyła na niego w komiczny sposób, jakby myślała, że ma go w ręku czy co.
Powiedziała drwiącym głosem:
— Pozwolę ci się pocałować.
— Co ty sobie myślisz? — zagadnął z trwogą. — Nie obcałowuję dziewczyn po kątach.
— A dokądżeś się skradał galerią, jak cię przyłapałam?
— Mówiłem ci! Zamyśliłem się trochę i minąłem toaletę, i...
— E, daj spokój. Alboś się tamtędy przekradał, żeby zrobić coś, czego nie powinieneś, albo żeś zobaczył, że tam poszłam, i chciałeś mnie złapać i pocałować. Ciekawa jestem, o którym z tych zamiarów twoja matka sobie pomyśli, jeśli jej to powiem? Czy nie lepiej będzie mnie pocałować i nie pytać jej, co myśli?
Był taki wściekły, że mógłby jej dać po gębie, ale zarazem strach ściskał go w dołku.
— Nie znam się na całowaniu — wybełkotał.
— Robi się to tak — powiedziała.
Zarzuciła mu ręce na szyję i przycisnęła się do niego. Wargi miała lepkie i wąskie. I jej język — tak, jej język, brr! — wysunął się i wepchnął w jego usta. Zrobiło mu się nieprzyjemnie, ale i gorąco, serce zaczęło uderzać mocniej.
Odsunęła się i powiedziała:
— Któż to starał się mi wmówić, że rzucił papierosy? Przed chwilą paliłeś. Poznaję po zapachu.

— Dobra. No, i co z tego? Ziewnęła delikatnie, zasłaniając usta.
— Komu dasz teraz znaki, żeby się urwał, jak tylko znajdziesz się na parkiecie? Marshallowi czy temu grubasowi, jak on się tam nazywa?
Przełknął z wrażenia ślinę i wlepił w nią oczy.
— O czym ty mówisz?
— O waszym klubie, któryście założyli. Ty i Marshall, i grubas, i Edzio Eakins, i Bill Holley, i Bill Gillespie, i Józko McAllister, i ten wredny Krzyś Engleman.
Przeraził się teraz na dobre.
— Nie założyliśmy żadnego klubu. Skąd ci to przyszło do głowy?
Schwyciła go za ramię i wpiła się w nie palcami, aż go zabolało.
— Słuchaj no, Antek — powiedziała nikczemnie. — My wiemy wszystko. Nie myśl sobie, że możecie stale ulatniać się w ósemkę, żeby nikt tego nie zauważył. My też mamy klub, piętnastoosobowy, tylko że nie założyłyśmy go po to, żeby się ulatniać, kurzyć papierosy i wyprawiać różne paskudztwa. Nasz klub powstał, żeby śledzić waszą paczkę. Mogę ci powtórzyć wszystkie znaki, jakimi się posługuje wasza ferajna, kiedy wywołujecie gości z parkietu. Jednego tylko nie wiem, dokąd się wykradacie. Boziuńciu, jak się twoja matka i pani Phelps ucieszy, jeśli się o tym dowiedzą!
Nogi się pod nim trzęsły i język skołowaciał. Ale przynajmniej nie wiedziała o najważniejszej rzeczy.
— Kłamstwo! — krzyknął. — Nie mamy żadnego klubu, nic nie mamy. I nie możesz tego udowodnić.
— Przypuśćmy, że nie potrafię przekonać twojej matki i pani Phelps. Ale na pewno potrafię przekonać swoją. I koleżanki też potrafią. Powiemy wszystkie naszym matkom, że połowa chłopców na kursie ulatnia się za każdym razem, żeby palić papierosy i robić zapewne brzydkie rzeczy. Powiemy, że nie chce nam się wracać na kurs, bo brakuje chłopców do tańca. I cóż pan na to, panie Antoś?

— A niby z jakiej racji mam się przejmować tym, co ty zrobisz?
— Z jakiej racji? — zanuciła słodko. — Z jakiej racji? To maleńki Antoś nie wie, że jego mamusia potrzebuje pieniążków, które od nas bierze? To Antosiowi nie będzie smutno, kiedy mamusia zbankrutuje?
Jak śmiała mówić takie okropne rzeczy. Co prawda, matka prawie to samo mówiła, kiedy szli dziś oboje na kurs, ale wtedy jakoś go to nie obeszło. Usłyszawszy to z obcych ust nie tylko palił się ze wstydu, ale i najadł się strachu. Jeśli obcy ludzie mówią o tym, że matka potrzebuje pieniędzy, to chyba musi być bardzo krucho. Nie potrafi sobie nawet wyobrazić, jaki los czeka bankruta. Może idzie do więzienia, może musi spać na ulicy, albo jeszcze co gorszego.
— Słuchaj — powiedział słabym głosem. — Więcej nie będę się ulatniał. Będę z tobą tańczył za każdym razem, jeśli tylko zechcesz. Będę...
Posłała mu powłóczyste spojrzenie.
— Prawda, że mnie lubisz? — zagruchala.
— No, pewno.
— Myślisz, że jestem piękna, i masz ochotę mnie pocałować, Antosiu? Chcesz zaraz?
— Tak — powiedział i zaciskając powieki chciał ją objąć. Ale jej nie znalazł. Otworzył oczy i zobaczył, że cofnęła się o krok i uśmiecha się do niego drwiąco.
— Cóż ci to? — powiedział przymilnie. — Nie chcesz, żebym cię pocałował?
— Gdzie się zbiera wasz klub?
— Pola, nie mogę ci tego powiedzieć. Och, daj spokój i chodź...
— Panie ten, nie próbuj mnie pan brać pod bajer. Wiesz, co masz zrobić? Masz wrócić prosto do sali balowej, podejść do matki i pani Phelps i powiedzieć im wszystko o waszym klubie.
— Oszalałaś?! Z jakiej racji? Przecież wyszedłbym na... na... zdrajcę czy coś takiego!

— Co wolisz... zdradzić waszą paczkę czy zdradzić swoją matkę? Albo zrobisz zaraz to, co mówię, albo z Piątkowej Szkoły Tańca śladu nie zostanie. I twoja matka zrobi plajtę. A ja się będę śmiała!...

Śmiała się prawie i teraz. Skręcała się z podniecenia, wąski uśmieszek przecinał jej twarz, czarne oczy migotały.

— Och, Pola...

— Decyduj się pan, panie Lawrence. Masz pan minutę czasu.

Zamknął oczy i obserwował, jak czarne i jasne fale migają mu pod powiekami.

— Powiem im — rzekł bezbarwnym głosem.

Wzięła go mocno za rękę, zaciągnęła na dół i przeprowadziła przez parkiet. Kiepsko widział i obijał się wciąż o tańczące pary. Matka z panią Phelps siedziały przy małym stoliku niedaleko głównego wejścia. Matka podniosła oczy i uśmiechnęła się, pani Phelps natomiast obrzuciła ich tylko szybkim, chłodnym spojrzeniem i pochyliła się z powrotem nad jakimiś papierami. Pani Phelps zawsze sympatycznie się do niego odnosiła, ale trudno było odgadnąć, na ile kogoś lubi, taka była wiecznie zajęta i zaaferowana.

Pola trąciła go łokciem i oznajmiła:

— Antoś ma paniom coś do powiedzenia.

— Słucham, mój drogi? — zagadnęła matka.

Pani Phelps spojrzała na niego przelotnie i wróciła do swoich papierów. Ale już po pierwszych jego słowach zamieniła się w słuch. Wyklepał to, co miał do powiedzenia, jak zadany w szkole wiersz, zgnębionym głosem, połykając sylaby.

— Ośmiu z nas założyło klub — mówił. — Każdego piątku wymykaliśmy się po sześciu naraz. Zamykamy się w szatni po drugiej stronie budynku, palimy papierosy, gramy w karty, gadamy i pijemy piwo. Widzę, że drażni to niektóre dziewczynki, bo brak im partnerów do tańca. Wynikła stąd szkoda dla kursu i bardzo mi przykro.

— Och, Antoś — powiedziała matka łagodnie. — A myśmy się tak napracowały, żeby coś z tego wyszło.
— Nie miałam złudzeń — odezwała się pani Phelps swym oziębłym głosem. — Ale nic nie mogłam wskórać, bo tak się sprytnie pourządzali. No, myślę, że to rozwiązuje sprawę i dziewczynki będą zadowolone.
— Nie jestem taka pewna — powiedziała wyniośle Pola. — Nie wiem, czy ja i moje koleżanki zechcemy zostać.
— E, nie rozśmieszaj mnie — odparła pani Phelps. — Jak się z nimi rozprawię, będziecie miały ośmiu chłopców pod pantoflem. O ile znam dziewczynki, dla nich to będzie raj; nawet siłą was stąd nie przegonię. Gdzie jest ta szatnia, Antoś?
— Chyba się nie uprzesz — wtrąciła matka — żeby ich tam złapać? Może Antoś szepnąłby tylko słówko, że my wiemy i...
— Potrzebny mi dowód prawdy — przerwała pani Phelps. Muszę to zobaczyć na własne oczy. Za twoim pozwoleniem Kasiu, chcę zająć się tym sama. Gdzie ta szatnia, Antoś?
Zaczął wyjaśniać, którędy się tam idzie, i wszystko mu się pomieszało, i bąkał coś o tym, że trzeba znać sygnał, bo inaczej wszyscy drugimi drzwiami pouciekają, aż wreszcie pani Phelps powiedziała niecierpliwie, że ma tam z nią pójść i użyć sygnału.
— Nie możesz takiej rzeczy od niego wymagać — sprzeciwiła się matka. — Nigdy mu ręki nie podadzą.
— Kasiu, przecież dowiedzą się i tak. Chodźmy, młody człowieku.
— Ja też chcę iść! — krzyknęła Pola. — Ja właśnie wszystko wykryłam. Chcę ich zobaczyć w chwili, kiedy pani wejdzie.
— Wybacz — powiedziała pani Phelps. — Zostajesz tutaj. Nie mam wątpliwości, że osiągasz wszystko, na czym ci zależy.
Antoni spojrzał na matkę i wymamrotał: — Przykro mi.

— Mnie też — odparła i dodała stanowczo: — Choćby nas to nie wiem ile kosztowało, nie powinieneś był skarżyć na swoich kolegów.
Nie liczył na żadną nagrodę, ale też nie spodziewał się, że zostanie bardziej skarcony za to, że powiedział, niż za to, że należał do klubu. Zwiesił głowę i powlókł się za panią Phelps. Czerwony chodnik uciekał mu sprzed oczu nie kończącą się taśmą z korytarza w korytarz. Pani Phelps przez całą drogę tylko raz się odezwała. Spojrzała na niego ciekawie i zagadnęła: „Zadurzyłeś się w tej Vandeventerownie czy co? Jeśli tak, to radzę ci, żebyś sobie poszukał kogoś, kto bardziej do ciebie pasuje. Z tym ziółkiem nie dasz sobie rady". Nie liczyła chyba na odpowiedź, więc też nie starał się odpowiadać. Przeprowadził ją przez ostatnią salę bankietową i zapukał do drzwi szatni. Klucz zachrobotał i drzwi się otworzyły. Pani Phelps schyliła się i dała susa jak kot spadający na mysz.
— Serwus, chłopcy — powiedziała. — Jak się bawicie? Widzę, że świetnie. Papierosy, karcięta i Bóg wie co. Wielka szkoda, że dziewczęta też się nie bawią, ale nie mają z kim tańczyć. Edziu, ciekawa jestem, co twoja matka powie, jak ją poinformuję? Tak liczyła, że spotkasz tu trochę miłych panienek. Krzysiu, a jak twój ojciec się dowie, że ty palisz, cóż to będzie za uciecha! Bill...
Przejechała się po nich po kolei. W głowie się nie mieściło, że wie tyle o ich rodzicach. Zwłaszcza zaś o tym, na co sami rodzice byli najbardziej czuli. Pani Phelps pchnęła górną połowę drzwi i Antoni zobaczył całą paczkę z takimi minami, jakby siedzieli w poczekalni u dentysty.
— No dobra — powiedziała na koniec pani Phelps głosem dodającym otuchy. — Zostaje to między nami. Naturalnie, spodziewam się, że odtąd każdy z was będzie okazywał dziewczętom trochę szczerego zainteresowania. No, to wracamy na salę, zgoda? I nie przejmujcie się znowu za bardzo. Gdybyście wiedzieli, jak te ślicznotki wprost tęsknią za wami, moi panowie, to od razu ciepło by się wam zrobiło na sercu i z chęcią byście się nimi zajęli. No, dobrze. Idziemy.

Ostatnie słowa musiały podnieść całą paczkę na duchu, bo wyszli z szatni jakby zaczerwieniem, ale szczerząc zęby i poszturchując się nawzajem. Twarze ich jednak spochmurniały, kiedy go mijali, a Krzyś usiłował kopnąć go w kostkę. Antoni pomyślał, że nie ma już więcej przyjaciół.

Powlókł się za nimi do sali balowej. Znalazła się tylko odrobina pociechy w tym paskudnym interesie. Wyglądało na to, że zrobił na dziewczynie wrażenie obrotnego chłopaka. Ma się rozumieć, że sam na taką dziewczynę jak Pola nigdy by nie poleciał, ale chyba mało było chłopaków, którym dziewczyna złamała życie tylko dlatego, że pomyślała sobie, iż chce zatrzymać dla siebie tego sprytnego chłopaka. Kiedy wrócił do sali balowej, rozejrzał się za Połą. Stała w rogu rozmawiając z Edziem Eakinsem. Żadną miarą nie mógł się nie spotkać z Edziem w szkole, więc teraz nie miał co przed nim ukrywać. Podszedł do nich i poprosił Połę do tańca.

Pola zmierzyła go zimnym spojrzeniem.

— Myślisz, Edziu, że mam z nim zatańczyć?

— Nie wydaje mi się — odparł Edzio.

— A poza tym — powiedziała Pola przysuwając się do niego — lubię wytwornych chłopców. Jesteś w moim typie.

Edzio domyślnie uniósł brew.

— „Tylko miłość dać ci mogę, kochanie" — zanucił. — A może pokażemy im, jak się tańczy, co?

Odpłynęli patrząc sobie w oczy i odnajdując w nich coś, czego oboje szukali.

3

W dniach wielkiej migracji na przedmieścia, w roku 1924 sprzedano stare budynki Akademii w centrum miasta i Rada Opiekuńcza zakupiła posiadłość w Wynnewood przy głównej szosie. Na jej terenie stała budowla wzniesiona w latach

dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku przez właściciela wielkiej huty, który zapałał entuzjazmem do modnego wówczas stylu średniowiecznego. W rezultacie jego wysiłków urosło zwalisko bastionów, strzelnic, wieżyczek i szkarp przypominające wydźwignięte z ziemi kamieniołomy. Rzecz wprost wymarzona do stawiania oporu albo najeźdźcom w wiekach średnich, albo sztubakom w naszych czasach.

Ten radykalny krok, jakim było przeniesienie Akademii na peryferie miasta, zachęcił panów opiekunów do śmiałych posunięć. Zwolnili od obowiązków doktora Luthera Hay Whitneya, który dobiegał siedemdziesiątki, i przyznali mu tytuł dyrektora emeryta. W poszukiwaniu nowego dyrektora wyszli nie tylko poza duchowieństwo, ale nawet poza Filadelfię, i sprowadzili jegomościa z Nowej Anglii. Nazywał się Lowell McClintic, a dyplom naukowy zdobył w Harvardzie. Choć miał zaledwie trzydzieści pięć lat, zyskał już sobie reputację w szkolnictwie średnim — w Nowej Anglii.

Kilku sędziwszych członków Rady Opiekuńczej martwiło się bostońskim pochodzeniem nowego dyrektora, jako że Boston w owych dniach roił się od „czerwonych", choćby jak te łobuzy Sacco i Vanzetti, sam diabeł nie wie, kogo dotknęła ta zaraza. Jednak mądrzejsze głowy wskazały na to, że Boston wydał również prezydenta Coolidge'a, z którego był całkiem pewny gość. Więc ostatecznie McClintic został dyrektorem. Brakowało mu doktoratu, ale usunięto ten brak w ciągu roku; panowie opiekunowie spenetrowali swoje macierzyste uczelnie i wynaleźli jedną, która pragnęła nadać tytuł doktora honoris causa nowemu dyrektorowi, za zasługi literackie, jako że w istocie był autorem bardzo przyjemnej książeczki, zatytułowanej „Procedura i pryktyka przyjęć na wyższe studia w uniwersytetach Andower i Exeter". Panowie opiekunowie poczuli się raźniej i pewniej, odkąd mogli się zwracać do nowego dyrektora per doktorze McClintic.

Mimo tego przewrotu jedna rzecz nie uległa zmianie. Profesorowie w czasie tej przeprowadzki na nowy teren wyrzucili sporo starych gratów i parę wytartych ideałów, ale zabrali ze sobą wysłużony zielony dywanik. I położyli go z pietyzmem przed biurkiem nowego dyrektora. Widok tego dywanika nieco nim wstrząsnął, kiedy obejmował swoje stanowisko. Przy rzeźbionych dębowych meblach i wykładanych ścianach jego gabinetu dywanik wyglądał tak niestosownie, jak wyświechtany szapoklak włożony na posiedzenie Rady Ministrów.

Kiedy zagadnął, co to znaczy, chuderlawy stary łacinnik, doktor Henryk Judson, powiedział swoim grzmiącym głosem:

— Na pańskim miejscu, panie dyrektorze, nie ruszałbym tego dywanika. Na nim właśnie stają uczniowie, kiedy zechce pan z nimi mówić. Znają dobrze ten zielony dywanik.

Nowy dyrektor był nie w ciemię bity. Wiedział, że dyscyplina w szkole zależy od wielu delikatnych czynników, do których z powodzeniem mógł należeć stary zielony dywanik. Więc go nie ruszył. Z rozpoczęciem roku, spowodowane zmianą miejsca i władz szkolnych, wybuchło wśród uczniów podniecenie, szerzyły się wybryki. Wielu z nich myślało, że świta im nowa era wolności. Kolejno, jeden po drugim, stawiali się tej jesieni w gabinecie dyrektora, żeby odpowiadać za swoje przewinienia. Jedni wchodzili z ponurymi minami, inni z zamiarem osadzenia dyrektora na miejscu, jeszcze inni w charakterze skrzywdzonych niewiniątek. Raptem wzrok ich padał na stary zielony dywan, wyświechtany do cna przez orszaki niespokojnych stóp. Ulatniała się gdzieś gburowatość, fanfaronada i urażona niewinność. Stali na dywaniku przestępując w męce z nogi na nogę i powtarzali: „Tak, panie dyrektorze", „Nie, panie dyrektorze" i „Postaramy się poprawić, panie dyrektorze".

Kiedy później panowie opiekunowie gratulowali mu, że tak gładko rozwiązał problem dyscypliny, dyrektor zdobył sobie miano skromnego człowieka mówiąc: „To tylko kwestia ściągnięcia uczniów na dywanik, szanowni panowie".

W czerwcu 1929 roku Antoni Lawrence stał na wysłużonym zielonym dywaniku przed dębowym biurkiem doktora McClintica. „Clincy" nie wskazał mu krzesła, gdzie się siadało z okazji miłych okoliczności. Przeciwnie, kazał mu stać na dywanie, a każdy wiedział, czym to pachnie. Antoni wzruszył ramionami. Było mu wszystko jedno, że jeszcze ktoś chce się do niego przyczepić. Tylko dlaczego Clincy nie zaczynał wreszcie?

Po latach dopiero Antoni uświadomił sobie, że poczynania doktora McClintica były tak doskonale wypracowane i wyreżyserowane jak gra kutego na cztery nogi aktora na Broadwayu. A więc dramatyczna pauza, parę scenicznych efektów (takich jak szelest papierów i skrzypienie pióra), świetne wyczucie nastroju sali i zdolność przerzucania słuchacza od łez do strachu i do niespodziewanej ulgi. Wówczas jednak Antoni wiedział tylko tyle, że zaczął od wzruszania ramionami, a skończył drżąc na całym ciele. Najpierw Clincy obrzucił go tak szybkim i ostrym spojrzeniem, aż Antoni nurknął prawie, żeby przed nim uciec. Potem dyro zaczął skrobać piórem po papierach, które szeleściły nieprzyjemnie w ciszy gabinetu. Łagodnie zabrzęczał telefon, jakby sam się bał dyra, który podniósł słuchawkę i rzucił szorstko: „Słucham... Nie... później". Antoni przestępował z nogi na nogę. Mięśnie nóg zaczęły go boleć, a pot spływał świerzbiącym ciurkiem spod pach. Złapał się na tym, że myśli: „No, zacznijże już, Clincy. Błagam pana, panie dyrektorze..."

Dyrektor odsunął papiery i oparł się wygodnie w swoim obrotowym fotelu.

— No tak, Antoni... — powiedział.

Dźwięk zwykłego, ludzkiego głosu przełamał urok. Przecież dyro przystępował chyba do rzeczy? Antoniemu było wszystko jedno, co Clincy chce powiedzieć.

Tylko że dyro wcale się nie śpieszył. Spokojnie wyciągnął fajkę. Kiedy zanurzał ją w kap-ciuchu, napełniał i nabijał, cisza stawała się coraz bardziej dojmująca. Zapalił fajkę, pykał i przypatrzył się chłopakowi spoza złowieszczego kłębu niebieskiego dymu.

— No tak, Antoni — powtórzył, lecz głos jego nie brzmiał już zwykle, po ludzku. — Przykro mi, że się spotykamy w takich okolicznościach. Zawsze miałem o tobie dobre wyobrażenie. Spodziewałem się, że będę cię tu wzywał tylko po to, żeby ci pogratulować osiągnięć na takim czy innym polu.

Antoni obmyślił sobie sporo usprawiedliwień wobec ewentualnych zarzutów dyra. W tej chwili, niestety, żadne z nich nie pasowało.

— Tak, panie dyrektorze — wymamrotał.

— Antoni, czy możesz zacytować dewizę naszej Akademii?

— Uch, tak, panie dyrektorze. Mens sana in corpore sano.

— A to znaczy?

— W zdrowym ciele zdrowy duch, prawda, panie dyrektorze?

— Zgadza się — powiedział, po czym zerknął na kartkę papieru. — Gdybyś równie dobrze tłumaczył Cezara na końcowym egzaminie, nie zarobiłbyś tylko trzydziestu siedmiu punktów.

— Stąd wniosek, że chyba oblałem łacinę?

— Boję się, że to słuszny wniosek. Mam tutaj twoje świadectwo. Możesz zgadnąć, ile przedmiotów zdałeś?

W istocie nie myślał o swoich stopniach. Zastanawianie się nad tym, jak wypadną, sprawiało mu przykrość, więc pomijał tę kwestię. Teraz, kiedy nie dawała się już ominąć, przyszła mu do głowy wstrząsająca myśl.

— Chyba... — powiedział przełykając ślinę — zdałem tylko jeden albo dwa.

Doktor McClintic odparł łagodnie:

— Nie zdałeś żadnego.

Żadnego. Trudno było z miejsca przyswoić sobie tę myśl. To tak, jakby się człowiek obudził i spostrzegł raptem, że leci w jakąś czarną otchłań i nie wie, dokąd leci ani na co się nadzieje.

— W wypadku innych chłopców — powiedział doktor McClintic — będziemy mieli problem, jak zawiadomić ich rodziców. Ale że dziedek twój jest tu profesorem, twoja rodzina już wie naturalnie.

— Nic mi o tym nie powiedzieli.

— Bo poprosiłem ich, żeby nie mówili, dopóki sam się z tobą nie rozmówię. W zdrowym ciele zdrowy duch... Niewiele zrobiłeś dla ducha, prawda?

— Tak, panie dyrektorze.

— A dla ciała? Do jakich drużyn należałeś w tym roku, Antoni?

Dlaczego dyro go o to pyta? Przecież sam musiał znać odpowiedź. Nie nadawał się do żadnej drużyny, bo w ostatnim roku coś dziwnego działo się z jego ciałem. Wyciągnęło się i wychudło. Zaczęło żyć własnym życiem, obijać się o kanty. Zaraziło go też słabością. Ostatniej zimy na gimnastyce nie potrafił ani razu podnieść się na rękach, a podczas ćwiczeń na drążkach zamiast wspinać się, dyndał rozpaczliwie, aż cała klasa rżała ze śmiechu.

— Uch — wymamrotał — nie mogłem się dostać do żadnej drużyny seniorów.

— We wszystkich dyscyplinach sportowych mamy też zespoły juniorów, Antoni. Mogłeś popróbować sił w drużynie futbolu amerykańskiego, w drużynie zapaśniczej twojej wagi, w koszy, kówce, lekkoatletyce czy baseballu. Chyba nie zwracali się do ciebie, co?

— Och, nie, panie dyrektorze.

— Wprowadziliśmy zwyczaj dobrowolnej pracy uczniów na cele szkolne. Każdy poświęca po parę godzin, a ty ile poświęciłeś w tym roku?

— Chyba ani jednej, panie dyrektorze.

Doktor McClintic oparł się w fotelu i przyjrzał mu się uważnie. Jak sobie Antoni z czasem uświadomił, był to początek ostrożnych badań. Ich program przewidywał, że najpierw trzeba się przedrzeć przez mgły i rafy młodości, spenetrować, co się w nim dobrego kryje, a potem wykorzystać te zdrowe elementy do skierowania go na właściwą drogę.

— Masz u nas stypendium — powiedział doktor McClintic. — Po naszych stypendystach spodziewamy się więcej niż po innych uczniach. Spodziewaliśmy się dużo i po tobie. Ale ty przyniosłeś naszej szkole paskudny wstyd.

„A cóż on znowu zawdzięczał starej budzie?"

— Owszem, panie dyrektorze — odparł bez przejęcia.

— Jednym z najświetniejszych członków ciała profesorskiego jest twój dziadek. Przejął się tym okropnie, żebyś wiedział, Antoś.

Dziadek. „Stary O'Włos", jak nazywali go chłopcy. Pochodzenie tego przezwiska przepadło w niepamięć, z wyjątkiem pogłoski, że kiedyś przed wieloma laty dziadek o mały włos nie został dyrektorem. Niektórzy nawet wymawiali je tak, jakby lubili dziadka. Antoni nie żywił do niego żadnych określonych uczuć. Zwykły zgarbiony starzec, który wałęsał się po domu i po szkole i gadał po łacinie, jak gdyby lubował się w dudniącym brzmieniu własnego głosu. Na Antoniego dziadek na ogół nie zwracał uwagi. A jeśli czasem mu się to przytrafiło, wówczas mrugał oczami, wyciągał pomarszczoną indyczą szyję i przyglądał mu się przez chwilę, jakby zachodząc w głowę, skąd się ten chłopak wziął.

— Tak... — odparł Antoni. — Dziadkowi chyba nie jest zbyt miło.

— Na pewno ciężko ci będzie — powiedział doktor McClintic — zostać na drugi rok, kiedy wszyscy twoi koledzy przejdą do wyższej klasy.

„Koledzy! Śmiechu warte. Jacy koledzy?"

— Nie zależy mi zbytnio na chłopakach z mojej klasy — burknął.

— Wszelako — powiedział dyrektor z ożywieniem — nie idzie

o moją zgodę, żebyś ty powtarzał rok. Mógłbym na to pozwolić zwyczajnemu uczniowi, ale nie stypendyście. W tej chwili, Antoni, nie rozważamy kwestii twojego zostania na drugi rok, tylko możliwość opuszczenia przez ciebie szkoły.
To nim trochę wstrząsnęło. Cholerna stara buda, ale przesiedział w niej dziewięć lat i chyba się do niej przywiązał.
— O rany — mruknął — jak tu nie wrócę, to gdzie się podzieję?
— Jest w mieście gimnazjum, nie tak daleko od twojego domu. Musiałeś o nim słyszeć. Gimnazjum Centralne. Ci, co znają szkoły prywatne, mogą to gimnazjum przedstawić ci w niezbyt zachęcającym świetle, ale ja nie podzielam ich zdania. Po naszych małych klasach poczujesz się chyba trochę zagubiony w ogromnych salach. Nauczyciele nie będą ci okazywać osobistego zainteresowania, tak jak tutaj, chyba że będziesz się bardzo o to starał. Chłopcy, których tam spotkasz, będą zapewne różnić się od naszych, ale wyobrażam sobie, że znajdziesz w całej talii parę mocnych asów.
Antoni zmarszczył się. Kogo to dyro chce nabrać? Tylko matoł by się nie połapał, że Clincy uważa to gimnazjum za nędzę.
I ten kawałek o mocnych asach. Czasem mijał bandy z Centralnego w mieście i dyro przynajmniej w połowie miał rację. Asy nie asy, ale na pewno jak cholera mocne w pięściach. Czego by się nie wygadywało na Akademię, to przynajmniej nie pozwalano w niej starszym tłuc pętaków. Oczywiście, szczeniakom z pierwszych klas należał się czasem zgrabny kopniak w zadek.
— Nie sądzę, żeby mi się w Centralnym specjalnie podobało — powiedział.
— No cóż... możliwe. — Doktor McClintic zamilkł, zaciągnął się fajką i spojrzał przenikliwie przez kłęby dymu. — Wydaje mi się — podjął łagodnie — że i twoja matka nie ucieszy się specjalnie tą perspektywą. Pokłada w tobie ogromne nadzieje, Antoni. Pracowała bardzo ciężko, żeby ci dać rzeczywistą szansę wybicia się.

Antoni starał się zachować kamienny wyraz twarzy, ale mięśnie same mu dygotały. Dyro wcale nie musiał wciągać w to matki.
— I... istotnie — wybełkotał.
— Parę razy zdarzyło mi się z nią spotkać, kiedy jeszcze mogłem mówić pochlebnie o twoich świadectwach. Oczy jej wprost się śmieją, skoro słyszy dobre słowo o tobie. Na nikim w świecie tak jej nie zależy.
Jakiś głos krzyczał w nim, żeby Clincy nie tykał jego matki i żeby natychmiast się zamknął.
— Och, nie wiem — mruknął.
— Ale ja wiem. Jest z ciebie bardzo dumna, Antoni.
Nie była dumna, kiedy poskarżył na kolegów z ich klubu w szkole tańca. Nie mogła być dumna teraz. Możliwe, że już nigdy więcej nie będzie z niego dumna. Człowiek za biurkiem ciągnął nieustępliwie, łagodnym głosem: — Przyniosłeś jej wstyd, Antoni.
Nie mógł więcej tego słuchać. Dygotał na całym ciele, łzy cisnęły mu się do oczu, bał się, że się zaraz rozbeczy. Chciał rzucić się na krzesło przy biurku i wyznać z płaczem wszystkie swoje porażki, opowiedzieć o szkole tańca, o pogardzie ze strony matki, o tym, że nie ma przyjaciół, o tym, że na gimnastyce dyndał na drążkach, aż cała klasa ryczała, i w ogóle o wszystkim. W ciągu ostatnich kilku miesięcy udawało mu się nie myśleć o tym. Zamykał się w sobie i trzymał z dala od poważniejszych zmartwień. Ale teraz człowiek za biurkiem wyciągnął go z kryjówki. Jeśli się załamie i wypaple wszystko, na pewno znienawidzi dyra. Ale jakże ciężko było zatrzymać to w sobie. Jakże...
Człowiek za biurkiem zerwał się nagle, podszedł do okna i stanął odwrócony plecami.
— No, Antoś — powiedział — masz jakieś propozycje? Antoni zaczerpnął głęboki, przejmujący oddech, jakby nabierał mroźnego powietrza w płuca.

— Może poszedłbym na jakieś letnie kursy albo coś takiego? — podsunął błagalnie. — Pan dyrektor pozwoliłby mi zdawać przed samym zaczęciem roku, tak jak czasami innym chłopcom.
— To by znaczyło, że musiałbyś zrezygnować z letniego obozu, na który się wybierałeś.
— Zrezygnowałbym bez bólu. Daję słowo! Wiem, że Akademia nie prowadzi letnich kursów dokształcających, ale może trafi mi się coś w mieście... — mówił w szalonym pośpiechu, bo doktor McClintic nie był chyba całkiem zdecydowany, czy ma go wylać. — A może poprosiłbym dziadka, żeby mi pomógł. Prawda, że oszczędziłbym w ten sposób pieniądze? Och, i właśnie mi się przypomniało... Babka uczyła kiedyś w szkole. Świetnie znała literaturę angielską i inne przedmioty. Chyba mi pomoże, jeśli ją poproszę.
— Będziesz miał sześć przedmiotów do nadrobienia. To sporo.
— Dam sobie radę, panie dyrektorze. Wiem, że dam sobie radę.
Doktor McClintic obrócił się powoli.
— Podoba mi się twój zapał — powiedział. — Jestem skłonny dać ci szansę. Ale pozostaje jeszcze coś, do czego musiałbyś się przyłożyć. Nie jestem pewny, czy zechcesz.
— Proszę mi przynajmniej powiedzieć, co to takiego, panie dyrektorze — nalegał skwapliwie. — Skąd pan dyrektor może wiedzieć, że nie zechcę, dopóki mi pan nie powie?
— Posłuchaj, miałeś w tym roku stypendium. To znaczy, że szkoła za ciebie płaciła. Ale w zamian nie otrzymała od ciebie nic, boś się nie wywiązał z obowiązków ani nie angażował do prac. Więc żeby zasłużyć sobie na powtórne przyjęcie, musiałbyś zrewanżować się szkole. Możesz to zrobić pracując tutaj część dnia przez całe lato. Zakładamy nową bieżnię wokół boiska, trzeba położyć kilka chodników i usunąć trochę starych drzew. Pewien przedsiębiorca podjął się

tej pracy, ale tylko po to, żeby dać zarobić w sezonie letnim dwóm zawodnikom z reprezentacji naszego stanu. Przyda im się ktoś na posyłki i do pomocy. Robota przeciągnie się od dwudziestego czerwca do dwudziestego sierpnia, kiedy to obaj wyjadą na treningi przed sezonem. Musiałbyś pracować tu od dziewiątej rano aż do trzeciej po południu. Za całe wynagrodzenie otrzymasz tylko bezpłatne przejazdy i obiad. Czekałaby cię prawie całodzienna praca na świeżym powietrzu, a nauka po nocach. Nie jestem pewny, czy zechcesz się tego podjąć.

To będzie ciężkie, zgoda. Ale zarazem to będzie tak, jakby się zobaczyło przed sobą długą prostą trasę, kiedy ma się ochotę do biegu.

— Dam radę — powiedział szybko. — Pozwoli mi pan spróbować?

— Zgoda — odparł doktor McClintic. — Dobiliśmy targu, Antoś. Bierz się i próbuj. — Uśmiechnął się i dodał, jakby pod przymusem: — Psiakość, może nawet ci się uda!

Okazało się, że nie było to wcale kiepskie lato. Dziadek i babka z chęcią udzielili mu pomocy i poznał ich o wiele lepiej. Dziadek znał łacinę wszechstronniej od samego Cezara i umiał zainteresować słuchacza przedmiotem, jeśli ten świadomie się nie opierał. Od czasu do czasu urządzali sobie wspólną grę przy kolacji, kiedy kolejno stawiało się pytania po łacinie, a każdy miał dać rozsądną odpowiedź po angielsku. Kto pierwszy dał trzy złe odpowiedzi, musiał zmywać naczynia, z tym że dziadek nie miał ani jednej bonifikaty. Na początku Antoni nacinał się często, ale już mniej pod koniec lata, a w pewien cudowny wieczór przyłapali dziadka i omal nie skonali ze śmiechu.

Z paroma przedmiotami — z religią, matematyką i fizyką — mógł poradzić sobie sam, skoro raz postanowił się nauczyć. Matematyka po bliższym poznaniu stanowiła przyjemną rozrywkę, można było szeregować cyfry i komenderować nimi jak żołnierzami na musztrze.

Babka świetnie znała literaturę angielską i historię. Nigdy z nią przedtem dużo nie rozmawiał, gdyż zwykle mówiła tylko o tym, czy nałożył kalosze i co wziął na katar, a na te tematy z pewnością nie warto było gadać. Ale kiedy czytała wiersze, miała głos, aż przyjemnie posłuchać, trochę chropawy i miękki, jakby ktoś improwizował w niskiej tonacji na szkolnych organach. Uczyli się wierszy na pamięć i przesłuchiwali się nawzajem, a potem dyskutowali nad ich treścią. Pewnego wieczoru w salonie babka tak powiedziała wiersz, że Antoni dostał gęsiej skórki. Zawierał on zwrotkę, która brzmiała: „Idzie w piękności swej ozdobie, jak noc gwiaździsta bez obłoku; czar, który blask i mrok ma w sobie, w jej twarzy zlewa się i oku". Dziadek musiał też zauważyć, jak cudnie to brzmi, bo jakoś chrząknął dziwnie, upuścił czytaną książkę, podszedł niespodziewanie i pocałował babkę. Przez chwilę patrzyli na siebie tak, jakby się przenieśli w inny świat.
Zawsze miał trudności z historią, gdyż daty historyczne kłębiły mu się w głowie jak mydli.iy w wannie. Ale babka temu zaradziła. Okazało się, że to całkiem łatwe, jak się zna sposób. Wystarczy tylko uprzytomnić sobie, co się działo w danym czasie w Filadelfii, i powiązać z tym inne daty. Na przykład rzecz zwana Rewolucją Francuską zaczęła się w roku 1789. Któż by zapamiętał taką datę bujającą sobie swobodnie bez uwięzi? Ale któż by zapomniał, że Konstytucja Stanów Zjednoczonych powstała w Filadelfii w roku 1787, a Rewolucja Francuska zaczęła się zaledwie w dwa lata potem. Co za szczęście, że tyle wypadków historycznych działo się na miejscu w Filadelfii, bo człowiek miał pod ręką kupę dat, żeby inne z nimi wiązać.
Z łatwością poznawało się historię Filadelfii, ponieważ była taka ważna i w pewnym sensie stanowiła własność osobistą. Matka i babka zabierały go tego lata na weekendy, żeby mu pokazać miejsca, gdzie rozgrywało się wiele historycznych wydarzeń. Matka miała nowiusieńkiego Forda, gdyż szkoła tańca pięknie prosperowała, więc mogli wypuszczać się na wycieczki historyczne we wszystkie

strony. Raz wybrali się aż do Waszyngtonu, dokąd przeniósł się rząd, kiedy go Filadelfia wykierowała na solidną instytucję między rokiem 1790 a 1800. Tego lata masa ludzi z całego kraju urządzała sobie wycieczki historyczne. Niektórzy rzeczywiście mało wiedzieli o Filadelfii.

Jak ta paniusia, która podeszła do nich przed Kapitolem w Waszyngtonie i powiedziała:

— Witajcie, ludzie. Pochodzę z Ohio. Po waszym numerze widzę, że wy z Pensylwanii.

Zanim babka czy matka zdążyły odpowiedzieć, Antoni odparł szybko: — Nie, my z Filadelfii.

Paniusia zrobiła wielkie oczy i powiedziała:

— A czyżby ją kto przeniósł z Pensylwanii?

Babka i matka zaśmiały się grzecznie, żeby się nie speszyła swoją ignorancją, gdyż oczywiście Filadelfia leży w Pensylwanii, ale nie pochodziło się z Pensylwanii, tylko z Filadelfii. Możliwe, że w Ohio — wykombinował sobie Antoni — nie ma takich miast, którymi można by się poszczycić, więc z konieczności ludzie mówią, że pochodzą zwyczajnie z Ohio.

Tak więc nauka szła mu całkiem dobrze tego lata, a praca na Akademii nawet jeszcze lepiej.

Dwaj gracze z reprezentacji, którym przypadła robota: bieżnia na ćwierć mili, chodniki i drzewa do ścięcia — nazywali się Józko Krakowicz i Al Horder. Potężne chłopaki, aż trudno było uwierzyć, że można mieć mięśnie takie, jak oni. Pracowali bez koszul śmiejąc się często i wygłupiając. Z miejsca zaczęli nazywać go Antoś i wygłupiać się z nim jak z równym, pozwalali mu też wykonywać cięższe prace, nie tylko biegać na posyłki. Pierwszego dnia, kiedy o trzeciej skończyli robotę, Józko wyniósł piłkę od rugby i cisnął ją do Ala. Antoni właśnie szedł do szatni, żeby się przebrać przed pójściem do domu, kiedy Al ryknął: „Stój

no, Antoś!", i posłał mu piłkę. Antoni nie chciał psuć im zabawy, ale się uparli, żeby został i ćwiczył z nimi podania i strzały, więc naturalnie nie wymawiał się i użył sobie wspaniale. Od tego czasu każdego popołudnia po robocie ciskali i kopali piłkę.

W początkach lipca, kiedy właśnie grali na boisku, otoczonym przygotowywaną przez nich bieżnią, nadjechał śliczny wóz, Pierce-Arrow, i zatrzymał się przy bieżni. Wysiadł z niego ogromny rudzielec i podszedł do nich.

— Czołem, Józku. Czołem, Al — powiedział. — Jak wam idzie?

— Pirsza klasa, panie Callahan — odparł Józko. — Jak się panu widzi?

— Machnęliśmy paręset yardów bieżni, oczyszczone pięknie i wysypane tłuczką — powiedział Al. — Patrz pan, mamy pomocnika, panie Callahan, dzielnie nam chłopak pomaga. Chodzi tu do szkoły. Hej, Antoś, chodź no tu na chwilę.

Antoni od razu rozpoznał człowieka, którego niegdyś nazywał „wujkiem Michasiem", kiedy ten tylko wysiadł z wozu. Czmychnął od nich pomaleńku, licząc, że wujek Michaś go nie spostrzeże. Nie pamiętał dokładnie, co zaszło między nimi przed wieloma laty, ale wiedział, że coś nieprzyjemnego. Miał jakieś pretensje, że wujek przychodzi do matki czy coś w tym rodzaju. Nie widział go od tego czasu, a pamięć o całej chryi wyblakła, jak wspomnienie o bólu zębów. Kiedy Al go zawołał, Antoni podszedł powłócząc nogami i patrząc w ziemię.

— To jest Antoś Lawrence, panie Callahan — powiedział Al. — Szkoła poleciła mu, żeby nam pomagał.

Twarz wujka Michasia rozjaśniła się.

— Cóż, Antoś — powiedział wyciągając ogromną dłoń. — Tak wyrosłeś, że nie poznałbym cię. Al, znałem kiedyś tego młodego człowieka, kiedy był pędrakiem. Miło mi cię spotkać, Antoś.

Antoni podniósł oczy, uśmiechnął się trochę i podał mu rękę. Wujek Michaś odzywał się w zwyczajny sposób, więc może też zapomniał o całej tamtej chryi.

Rozmawiali przez parę chwil, wujek spytał, jak się miewa matka, Antoni odparł, że dobrze. Odetchnął, kiedy wujek uznał to chyba za wyczerpującą odpowiedź, bo odwrócił się do Józka i Ala, żeby spytać o robotę. Oprowadzili go po terenie i pokazali, jak się przedstawia bieżnia. Widocznie wujek Michaś był tym przedsiębiorcą, który podjął się tej pracy.

— Wszystko bardzo pięknie — powiedział wujek Michaś — ale co ma znaczyć to latanie po boisku i przerzucanie się piłką?

— No, mówił pan, żebyśmy schodzili z roboty o trzeciej i przeprowadzali trening piłkarski — odparł Al. — Jest wpół do czwartej, proszę pana.

— Pewno, że mówiłem — powiedział wujek Michaś. — Ale cóż to za trening? Chcecie się byczyć na linii bramkowej na jesieni?

Al i Józko wyszczerzyli zęby i skrępowani zaszurali nogami, tak jak Antoni przed chwilą. Wujek Michaś zwrócił się do niego:

— Te dwa typy, Antoś, to najlepsi obrońcy, jakich ma nasza reprezentacja. Trenerzy mnie zabiją, jak pozwolę na to, żeby para czołowych obrońców zamieniła się w zasmarkanych facetów od podawania piłek. Słuchaj no, Antoś. Mianuję cię kierownikiem tej drużyny. Musisz wiedzieć, gdzie tu trzymają kukłę treningową. Masz ją codziennie zawieszać, żeby ci dwaj porządnie poćwiczyli atak i chwyty. Przyślę wam furę trocin do wysypania ringu, żebyście sobie nie połamali kości. Chyba uda mi się znaleźć maszynę treningową i też wam ją przyślę. Obejmiesz nad tym wszystkim kierownictwo?

Antoni wyraził zgodę i wujek niebawem odjechał. Dumny był z odpowiedzialności, ale zarazem żałował, że skończyło się przerzucanie piłką. Teraz nie będzie miał nic innego do roboty, tylko stać na uboczu i przypatrywać się, jak oni ćwiczą.

— Za dobrze nam się powodziło — powiedział ponuro Józko Krakowicz. — A teraz haruj, bracie, haruj...

— Te, Polak, przecież lubisz tę harówkę — powiedział Al. — Zresztą nie narzekaj, bo kierownik słyszy.

— Ha! — wykrzyknął Józko dając Antoniemu sójkę w bok. — On myśli, że będzie se stał i komenderował... Smichu warte! Na jakiej pozycji grasz w szkolnej drużynie, Antoś?

— O, do licha — powiedział Antoni. — Wcale nie gram.

— Jak?? — zdumiał się Józko. — A to czemu?

— No, dopiero niedługo kończę piętnaście lat i ważę ledwie pięćdziesiąt osiem kilo, i...

— Ha, weźmiemy się za ciebie, będziesz szastał przeciwników na prawo i na lewo — powiedział Józko. — Co ty na to, Al? On — kierownik, a my — trenerzy. Na jakiej pozycji nauczymy go grać, hę?

— Wszystkie mikrusy lubią latać z piłką — powiedział Al. — Powinien zagrać na pomocy czy coś takiego.

— Na pomocy!? — prychnął.Józko. — Masz okazję, żeby ze szczeniaka zrobić kawał chłopa, a ty się upierasz, żeby został szczeniakiem! — Te, Antoś, słuchaj no, mężczyźni grają w ataku. Na pomocy same pętaki. Napastnikom zawsze walą brawa. Szlusuj do mężczyzn, do ataku.

— Poczekaj, poczekaj — powiedział Al. — Słyszałeś pewno, Antoś, co mówią o obrońcach? Że to zwykli gracze, tylko w móżdżek kopani. Stale leżą pod kupą. Jak ci zaaplikujemy ćwiczenia tą maszyną treningową i całą suchą zaprawę do napastnika, to muskuły ci tak urosną, że się nadasz do ataku. I skończysz, jak zwyczajny kretyn-obrońca, też pod całą kupą.

— Chciałbym grać na obronie — powiedział nieśmiało Antoni. To wszystko było na żarty, bo przecież nigdy go nie przyjmą do drużyny szkolnej, ale dlaczego nie poudawać, skoro to przyjemne, że się jest — jak Józko i Al — obrońcą?

Następnego dnia Al i Józko powyciągali kostiumy piłkarskie. Stary pedel, pan Callahan (który oczywiście był ojcem wujka Michasia, chociaż Antoni wolał sobie tego nie kojarzyć), przewrócił do góry nogami magazyn i powynajdował stare watowane naramienniki, spodnie, hełm, sznurowane buty i inne części rugbiarskiego stroju, które pasowały na Antoniego. Zaczęli więc trenować po pracy. Okazało się, że to świetna rozrywka. Kiedy się człowiek nauczył, jak dobrze zaatakować kukłę — z rozpędu wyrżnąć ją bokiem, chwycić i ciągnąć drobiąc nogami — to zupełnie nic nie bolało. Czasem wychodził mu całkiem prawidłowy atak i kukła zlatywała z haka. Józko i Al strącali ją za każdym razem. Maszyna treningowa miała ochraniacze jak na nogach graczy, nadstawiało się pod nie bary, człowiek zapierał się nogami i usiłował przepchać maszynę.

Blokowanie przypominało atak, tylko bez posługiwania się rękami; poza tym nie blokowało się przeciwnika od tyłu, bo to były kleszcze i gość mógł sobie połamać nogi. We trójkę ćwiczyli na kukle zarówno atak, jak i blokowanie.

— Powiadają, że to są podstawy rugby — mówił Al. — Ale to pestka w porównaniu z prawdziwą grą. Weź choćby atak. Kukła wisi sobie i czeka tylko, żebyś ją wykopyrtnął. Ale przeciwnik z piłką albo runie na ciebie, albo spróbuje cię wykiwać. Uda, że schyla się w jedną stronę, a skoczy w drugą. Nadstawi ci nogę i jak się rzucisz, zdąży cofnąć. Więc nigdy nie pędź pełnym gazem na przeciwnika z piłką. Jak się do niego zbliżasz, skracaj krok, przyjmuj wygodną postawę, żebyś mógł skoczyć na obie strony. Obserwuj jego tricki i sam staraj się go wykiwać.

Ćwiczyli na sobie te zagrania, ale Józko i Al starali się, żeby go ostro nie atakować. Trenowali też atak z pozycji dwóch na jednego i chociaż grali łagodnie, Antoniego parę razy porządnie zatkało. Pokazali mu, jak ma się posługiwać rękami na obronie, żeby przerwać linię napadu. Pokazali mu, jak wywabiać napastników z

pozycji i zbijać ich z nóg, a także, jak kulić się w biegu i roztrącać wszystkich, kiedy suną na obrońcę ławą.

— Dobry napastnik — mówił Al — pędem wymija kłębowisko i zajmuje pozycję, dopóki nie przyuważy piłki. Wtedy do niej startuje.

Tak więc przeważnie bez ciężkiej pracy przeszło lato. Antoniemu zrobiło się smutno, kiedy nadszedł dwudziesty sierpnia i Józko z Alem wykańczali robotę. To było fantastyczne lato, ale jedna rzecz leżała mu na sumieniu. Al i Józko liczyli na pewniaka, że on wejdzie do drużyny szkolnej, tymczasem choćby chciał, nigdy tego nie dokona. Widział w tym nieuczciwość, że udawał przez całe lato, jakby się z nimi zgadzał. Chciał powiedzieć im prawdę, zanim wyjadą. Okazja nadarzyła się pod koniec tego pożegnalnego dnia, kiedy wzięli już prysznic i właśnie kończyli się ubierać.

— Cóż, Antoś — powiedział Al — dobre mieliśmy lato. Wybierz się kiedy w sobotę i zobacz nas na boisku. Przyślemy ci bilety. Z chęcią popatrzylibyśmy, jak ty grasz, ale nikt nas nie zwolni z treningów.

— Muszę wam coś powiedzieć — zaczął Antoni. — Wygłupiłem się tylko, że wejdę do drużyny. Nie warto nawet próbować.

— A cóż to znowu za gadanie?! — ryknął Józko.

— Wi... widzicie — bąknął Antoni. — Wy chyba nie zdajecie sobie sprawy, że ja... że zwykłe chuchro ze mnie. Nie potrafię nawet podciągnąć się na rękach.

— E, nie chrzań — powiedział z niesmakiem Józko. Podszedł do niego, schwycił pod pachy i podniósł do rury biegnącej u sufitu. — Łap się za nią — rzucił.

Antoni złapał się za rurę i zadyndał żałośnie.

— Na co czekasz? — powiedział Józko. — Podnoś się.

Za nic nie chciałby im zademonstrować, jaki jest słaby, ale wszystko jedno — spróbuje. Napiął muskuły. Raptem stało się coś niesamowitego. Poleciał w górę i rąbnął głową w sufit.

— Wyszło mi! — wrzasnął wspierając się na rurze i dotykając głową sufitu. — Wyszło!
— Dopiero raz — powiedział Józko. — Teraz dalej. Opuścił się na rękach, napiął muskuły i poszedł znów w górę i w dół, a Józko zaczął liczyć wolno: trzy... cztery... pięć... a potem trochę mu się zamgliło przed oczami i obudził się, kiedy Al podnosił go z podłogi, a różowa mgła wolno się przecierała.
— Próbowałeś zamordować szczeniaka, co? — powiedział Al do Józka.
— Nic mi nie jest — wydyszał Antoni. — Ale machnąłem pięć razy, co?
— Akurat — powiedział Al. — Machnąłeś dziesięć, a ten zakuty Polak jeszcze by liczył, gdybyś nie upadł. — Postawił Antoniego na nogi i wrzepił mu klapsa. — Dasz sobie radę, Antoś.
W wiele lat potem Antoniemu coś zaświtało w głowie. Zastanawiał się, w jakim stopniu i przez kogo wypadki owego lata zostały wyreżyserowane. Może maczała w tym palce matka albo doktor McClintic. Może wujek Michaś wyciągnął szkolne ploteczki od swojego ojca pedla i po cichutku rzecz całą aranżował. A może działali wszyscy pospołu. W każdym razie nie można było tego nazwać dziełem przypadku. Ale żaden z aktorów maleńkiego przedstawienia, które rozegrało się owego lata, nie wysypał się nigdy ni słówkiem. Z pewnością Józko Krakowicz i Al Horder odegrali swoje role do końca, gdy pomachawszy mu ręką na pożegnanie wyszli z szatni nie domyślając się — a może się domyślali? — że kiedy znikną mu z oczu, piętnastoletni chłopiec usiądzie i zapłacze pierwszymi łzami szczęścia w życiu.

4

Treningi szkolne zaczęły się na tydzień przed początkiem roku. Antoni przyszedł na boisko, ubrany w ochraniacze, hełm, koszulę, buty i piłkarskie spodnie, które nosił tak często w ciągu lata. Powinien był przyzwyczaić się do tego stroju, ale

teraz czuł się w nim głupio jak na maskaradzie. Co innego było bawić się w gracza z Józkiem i Alem wiedząc, że nie połamią mu kości, co innego spróbować naprawdę nim zostać. Chłopcy ze starszych klas, którzy wyglądali zwyczajnie, kiedy się ich spotykało na korytarzach, teraz w czarnych hełmach i grubych naramiennikach mieli wygląd dziwny i złowieszczy. Nie wydawało mu się, że mógłby im zaimponować tym, że dziesięć razy podniósł się na rękach.

Na pierwszym treningu jakiś czas robili gimnastykę i ćwiczyli biegi. Antoni nie mógł się rozruszać, ciało miał rozlazłe i miękkie jak stara treningowa kukła. Usiłował wmówić sobie, że to tylko ze zdenerwowania tym, jak wypadną poprawkowe egzaminy, które zdawał przed południem. Ale sam w to nie wierzył. O ich wynik był całkiem spokojny. Na ogół można było przewidzieć, jak człowiek zda, zależnie od tego, czy robiło mu się niedobrze na widok pytań, czy korciło go od razu do pisania odpowiedzi. A tym razem właśnie go korciło, ilekroć przejrzał pytania do każdego przedmiotu. Tylko na widok piłki robiło mu się niedobrze.

Trener zaczął dobierać chłopaków na poszczególne pozycje. Podszedł do Antoniego, przechylił na bok głowę i spytał:

— Nazywasz się Lawrence, prawda?

— Tak, proszę pana — odparł Antoni.

— Grałeś kiedy w rugby? Albo w co innego?

— Nnnie, proszę pana.

— Co cię ciągnie do drużyny, Lawrence?

— Chyba... zwyczajnie chce mi się grać, proszę pana.

— Ile ważysz?

— W ciągu lata przybyło mi cztery kilogramy — odparł Antoni. — Ważę blisko sześćdziesiąt dwa kilo. Chciałbym grać na obronie.

— A to niespodzianka — powiedział trener. — Ktoś chce grać na obronie! Lawrence, to ciężka pozycja. Na obronie zbiera się porządne guzy. Masz w tym trochę wprawy?

Szczerze mówiąc nie miał wprawy w zbieraniu guzów. Trącał butem murawę boiska i potrząsnął głową.

— No, to sprawdźmy, czy jesteś wytrzymały — powiedział trener. — Trochę to brzydko, że biorę cię od razu na pierwszy ogień, ale po co czekać. Hej Creighton, Arnold! Chodźcie tu na chwilę.

Nadbiegło dwóch graczy z reprezentacji szkolnej. Obaj byli maturzystami. W zeszłym roku jeden grał na obronie, a drugi w ataku. Wzrostem nie górowali już tak nad Antonim, jak ubiegłymi laty, ale wciąż wyglądali potężnie.

— Macie tu kolegę z piątej klasy, nazywa się Lawrence — powiedział trener. — Zachciało mu się grać na obronie. Dotychczas nie grał w nic. Zademonstrujcie mu parę ataków z pozycji dwóch na jednego, a on niech stara się przedrzeć. Popatrz, Lawrence, bierzesz się do tego tak...

Trener pokazał mu, jak przyjmować obronną postawę i jak rzucać się na napastników, żeby ich rozdzielić, tak jakby miał grać na obronie. Oczywiście, przerabiał te sztuczki całe lato z Józkiem i Alem.

— Będę liczyć raz, dwa, trzy... wio — powiedział trener — i na „wio" atakujcie. No, to jazda.

Creighton i Arnold poprawili hełmy, ich twarze przybrały wyraz zacięty i zimny. Antoni stanął w rozkroku naprzeciwko nich. Ich bary w naramiennikach przypominały błotniki ciężarówek. Al Horder i Józko Krakowicz wyglądali jeszcze potężniej, ale zawsze uśmiechali się do niego, i wiedział, że nie uderzą nań nigdy pełnym gazem. Creighton i Arnold mocno zapierali się w ziemię, z zaciśniętymi zębami, zwęziwszy oczy.

— Raz... dwa... trzy... Wio!

Stało się coś strasznego. Jakaś potężna siła, zupełnie jak eksplozja, zbiła go z nóg, przewaliła się nad nim i leżał jak długi z hełmem nasadzonym na twarz.
Trener podniósł go z ziemi.
— Żyjesz, Lawrence?
— Tak, proszę pana — wydyszał. — Kiepsko mi poszło, prawda? Powinienem lepiej się spisać.
— Dobra — powiedział trener. — Próbuj jeszcze raz.
Za drugim razem roznieśli go, zwalili z nóg, coś trzasnęło go w twarz, aż mu cała ścierpła. Podniósł się wolno i przeciągnął ręką po twarzy. Na dłoni została czerwona smuga. Przyjrzał się jej. Przecież to krew! Jego własna krew, okropnie jasna i czerwona. Trener obejrzał go.
— Nos ci krwawi, Lawrence. Groźnie to nie wygląda, ale może na dzisiaj wystarczy, co?
— Nie wystarczy — wybełkotał Antoni. Na ich oczach wykrwawi się na śmierć na boisku i odprawią za jego duszę specjalne nabożeństwo w szkolnej kaplicy, wtedy dopiero wszyscy będą zgrzytać zębami.
Znów spróbowali ataku z pozycji dwóch na jednego. Creighton i Arnold nie poszli na niego tak ostro tym razem, ale jednak zepchnęli go parę metrów do tyłu. Po tej próbie poczuł się lepiej. Przestał być jak worek z trocinami i zrozumiał, gdzie tkwi błąd. Dawał przecież walić w siebie jak w kukłę, zamiast samemu iść do ataku. Poprosił o jeszcze jedną próbę i trener się zgodził pod warunkiem, że to będzie ostatnia.
Przygotowując się do odparcia ostatniego ataku Antoni zaczął przypominać sobie niektóre pouczenia Ala i Józka. Kiedy dwaj idą na jednego, nie trzeba pędzić na nich prosto, ale zastosować parę różnych chwytów, żeby ich rozdzielić. Czekał napinając mięśnie.
— Raz... dwa... trzy... Wio!

Zerwał się o ułamek sekundy szybciej niż Creighton i Arnold. Ruszył na nich trochę z ukosa, Creightona dźgnął ramieniem, Arnolda pchnął rękami, z podskoku odtrącił Creightona i bokiem natarł na Arnolda, zapierając się w ziemię i robiąc młynek. Poszło to szybciej, niż da się pomyśleć, buch-buch-buch i przedarł się przez nich, i zwalniał już kroku, rozstawiał szeroko nogi wypatrując przeciwnika z piłką, którego oczywiście tym razem nie było.

— Dobra! — zawołał trener. — Prawidłowo.

— Panie trenerze... — odezwał się Creighton. — Nie szliśmy na całego. Pan pozwoli spróbować jeszcze raz.

— Zgódź się pan, panie trenerze — dorzucił Arnold. — Żaden piątoklasista nie będzie mi w kaszę dmuchał...

— Co myślisz, Lawrence? — powiedział trener.

Antoni przyjrzał się im. Nie będą zbyt zadowoleni, jeśli teraz odejdzie. Z drugiej strony, nie poradzi sobie z nimi tak łatwo następnym razem. Nie pozwolą mu się wykpić tą sztuczką, którą zastosował, rozprawiając się z każdym z osobna.

— Jestem gotów — powiedział. Może uda się inna sztuczka, której się nauczył od Ala i Józka.

Zajęli pozycje. Antoni ustawił się tak, jakby zamierzał powtórzyć to samo zagranie. Przy ich ustawieniu nadziałby się tylko na twardą zaporę ramion. Ale kiedy tylko padł sygnał: „Wio!", Antoni w pędzie pochylił się do samej ziemi i nurknął pomiędzy nich. Wynurzył się zarzucając im ręce na plecy, a nogi same wypchnęły go z kolosalną siłą. Tamci pokatulali się na obie strony, zbici z nóg siłą własnego rozpędu.

Antoni odwrócił się na pięcie i zobaczył, jak Creighton podnosi się powoli, Arnold zaś leży zwinięty w kłębek.

— O rany — zawołał podbiegając do Arnolda — co ci się stało? O rany, nie chciałem nikomu zrobić krzywdy.

— Nic... dech... mi... zatkało — wykrztusił Arnold. Pozbierał się z trudem. — Kto powiedział — mruknął ponuro — że żaden piątoklasista nie napluje mi w kaszę.
Creighton klepnął Antoniego w plecy.
— Dobry jesteś, Lawrence. Panie trener, chyba trafił się panu obrońca.
— O rany — powiedział Antoni wlepiając wielkie oczy w trenera — naprawdę zostanę przyjęty do drużyny?
Trener wyszczerzył zęby w uśmiechu.
— Nie trzeba aż rozkładać moich graczy, żeby się dostać do drużyny. Dostałeś się już wtedy, kiedy stanąłeś jeszcze raz z tym rozbitym nosem. No, dobra, chłopaki. Przelećcie się raz dokoła boiska, a potem walcie pod prysznic.
W dwa dni później doktor McClintic wezwał go do gabinetu, wskazał mu krzesło i powiedział, że Antoni zdał poprawkowe egzaminy i że przywrócono mu stypendium.
— A propos — dorzucił — doszły mnie słuchy, że dałeś Arnoldowi i Creightonowi maleńką nauczkę. — Zachichotał i dodał: — Żałuję, że mnie przy tym nie było. Atakuj tak dalej, Antoś, a będą z ciebie ludzie.
Tej jesieni poczuł po raz pierwszy, że koledzy się do niego przyznają, chociaż Edzio Eakins z całą paczką nadal go nie dostrzegali. Nie obchodziło go teraz, co sobie Edzio myśli. Paru innych piątoklasistów należało do drużyny i z nimi się zaprzyjaźnił. Grał jakiś czas w drugiej drużynie, aż obrońca seniorów rozkwasił sobie kolano i raptem Antoni znalazł się w reprezentacji, ramię w ramię z Arnoldem i Creightonem. Oczywiście, spisywał się nie najlepiej. Zaczął rozgrywki z dużą przewagą, bo całe lato przygotowywał sobie kondycję, lecz kiedy z biegiem czasu inni chłopcy doszli do formy, przestał błyszczeć. Ale że Creighton i Arnold mieli na niego oko podczas meczów, nie popełnił żadnych paskudnych błędów i nikt nie pomieszał im szyków na obronie. Więc nawet dostał dyplom.

Następnej jesieni był już szóstoklasistą i ważył ponad sześćdziesiąt pięć kilo. Na początku treningów trener odwołał go na bok.

— Antoś — zaczął — w tym roku bardzo na ciebie liczę. Jesteś jedynym regularnym graczem z całej dawnej drużyny. Chcę ci coś zaproponować. Mogę wysunąć cię do przodu, żebyś wspierał atak i obronę, albo wycofać cię tylko na obronę. Co wolisz?

— Chyba — powiedział Antoni — nie robi mi różnicy. Zagram tam, gdzie pan chce.

Trener potarł grubą ręką twarz i widocznie wahał się. Wreszcie powiedział zrezygnowanym tonem:

— Dobra, Antoś, grajmy w otwarte karty. Chcę, żebyś wspierał atak i obronę. Środek mamy okropnie słaby, sami niedoświadczeni gracze. Jak będziesz ich wspierał, to przeciwnicy tak łatwo się nie przedrą. Ale muszę cię ostrzec, że na tej pozycji nie błyśniesz. Bo po części będziesz musiał zastępować dwóch sąsiednich graczy. Właściwie zostaniesz gościem od leżenia pod kupą, tylko że kupa nie będzie niższa niż dwa metry.

— Nieraz się już kładłem, panie trenerze.

— Owszem. Popatrzmy teraz na drugą stronę medalu. Jak poślę cię na tył, to wszystkim wpadniesz w oko przy każdej akcji przeciwników, bo jesteś świetnym obrońcą, doskonale kiwasz. I będziesz miał sporo okazji, żeby się popisać. Na pewno zastosujesz parę ataków i przechwycisz parę niecelnych piłek. Nie zdziwię się, jak cię za to wybiorą w przyszłym roku kapitanem.

Antoni zamrugał oczami.

— Ja się popiszę, ale cała drużyna nie, tak? O to panu chodzi?

— Mniej więcej.

Nie myślał nigdy o zostaniu kapitanem, więc naprawdę nietrudno przyszło mu zrezygnować.

— Pal licho, panie trenerze — powiedział szczerząc zęby. — Nie wiedziałbym, co robić na świeżym powietrzu. Wrócę lepiej pod kupę.
— A będzie ich w tym roku niemało — powiedział ponuro trener. — Dobra, Antoś, dzięki.
I rzeczywiście trener nie bujał. Przyszedł paskudny sezon, zabrakło w drużynie takich chłopaków jak Creighton i Arnold. Nieraz mecz zamieniał się w mordownię, Antoni pamiętał tylko, że rzucał się pod fale napastników, odczuwał tępe ciosy, zwalał się pod kłębowisko ciał, ledwie dźwigał się na nogi i powtarzał od początku to samo. Wygrali pięć meczów, przegrali trzy i zajęli drugie miejsce w Lidze. Kiedy już było po wszystkim, drużyna wybrała kapitanem na przyszły rok Billa Klepnera z tej samej klasy co Antoni. Przyjemny facet, grał na pomocy. Tylko na chwilę Antoni przypomniał sobie to, co mu proponował trener, i pomyślał, czy nie wyszedł na durnia.
Następny sezon piłkarski, kiedy Antoni był już maturzystą, wyglądał zupełnie inaczej. Drużyna okrzepła, chłopcy wyrośli i nabrali sił. Atak tylko był nie najlepszy, więc żeby zdobyć punkt, grali na przebój, a potem przechodzili do obrony. W pierwszym meczu ponieśli porażkę, w następnych trzech zwyciężyli i mozolnie wspinali się w górę tabeli zdobywając po jednym czy dwóch punktach, aż doszli do rozgrywki finałowej o tytuł mistrzowski w Lidze Międzyszkolnej z drużyną najstarszego gimnazjum Pensylwanii, skrótowo zwanego „Pengim".
Był to taki mecz, gdzie nikt nie może nic wskórać, ataki drużyn się załamywały, każdy czekał na przebój, ale nikomu przebój nie wyszedł, i pod koniec meczu, w ostatniej ćwiartce, wynik brzmiał zero.zero. Pengim miał twardą obronę i Anto-niego zawsze blokowało dwóch graczy, ilekroć przeciwnik wybijał piłkę. Chciał się przedrzeć przy którymś wybiciu, bo może by wyszedł ten upragniony przebój, ale obrona Pengimu też o tym wiedziała. Od początku drugiej połowy Antoni zaczął stosować ciągle to samo zagranie, kiedy Pengim miał wykop. Ustawiał się

naprzeciwko dwóch obstawiających go graczy i stale atakował tego samego. Dwakroć omal się nie przedarł i obrońca, który osłaniał wybijającego, za każdym razem trochę się przesuwał, żeby móc zablokować Antoniego, gdyby się przedarł. Przyszła wreszcie końcowa ćwiartka i Pengim miał wybijać ze swojego boiska. Antoni ustawił się naprzeciwko obstawiających go graczy i kątem oka obserwował piłkę. Przejął ją środkowy. Tym razem Antoni zagrał tak, jak niegdyś z Arnoldem i Creightonem, dał nurka między dwóch przeciwników, wydźwignął się, roztrącił ich na boki i przecwałował na drugą stronę. Obrońca, przesunięty o krok na lewo, nie zdążył mu przeszkodzić i Antoni wpadł w uliczkę, zobaczył lecącą piłkę, wyciągnął się w powietrzu i poczuł, jak piłka grzmoci go odbijając się od piersi. Poleciała naprzód kręcąc się jak opętana. Antoni pognał za nią sprintem, z otwartymi ustami, pracując rękoma. Przez trzy lata ani razu nie wpadła mu w ręce wolna piłka, poza paroma chwytami w kłębowiskach. Nigdy nie miał okazji zdobyć punktu. Ale teraz wreszcie będzie ją miał. Wirując opętańczo, toczyła się przed nim jego własna piłka. Jego...

Jednakże jeszcze nie jego. Obrońca, który nie zdążył go zablokować, gonił jak wariat z jednej strony, a dalej mknął na pomoc Antoniemu lewoskrzydłowy, Billy Edwards, chłopak szybki jak strzała. Antoniemu może się uda dopaść piłki na krok przed nimi. A co potem? Złapać ją i dać się zaatakować obrońcy? Podbijać? Kiwać? Akurat... wszyscy kibice powiedzą, że drużyna miała okazję wygrać spotkanie, ale zakuty obrońca Lawrence pierwszy dopadł do piłki i nie wiedział, co ma z nią zrobić.

Myśli te piorunem przeleciały mu przez głowę, Antoni okręcił się i w pędzie wykonał najtwardszą w swoim życiu blokadę na nadbiegającym obrońcy z Pengimu. Runęli obaj na ziemię i potoczyli się na łeb na szyję. Machnąwszy ostatniego kozła Antoni podniósł głowę i... udało się. Ujrzał, jak Billy w biegu

podrywa piłkę i smali na linię punktową po zwycięstwo, a on sam, tak jak przystało, leży rozciągnięty na ziemi.
Wybili piłkę na znak zdobytego gola i zwycięskim truchtem zawrócili na swoją część boiska. Raptem Antoni uświadomił sobie, że ktoś wykrzykuje jego nazwisko. Nie ktoś, tylko wiele głosów. Trybuny kibiców Akademii urządzały mu „lokomotywę", a od niepamiętnych czasów urządzano ją wyłącznie na cześć drużyny. Nie mógł się oprzeć i zerknął na trybuny. Oto doktor McClintic darł się wniebogłosy, oto dziadek dzielnie mu wtórował. A tam dalej — niepodobna — z ustami otwartymi w końcowym wiwacie „LAWRENCE-LAWRENCE-LAWRENCE!" zerwał się z miejsca Edzio Eakins. Antoni uśmiechnął się. Pomyślał sobie, że się opłaciło.

5

Na ogół wiedziało się, co należy sądzić prawie o każdym z profesorów Akademii. Najpierw szli ci, którzy przepracowali w szkole dwadzieścia pięć, trzydzieści, a nawet czterdzieści lat. Cięgi, jakie znieśli od paru pokoleń wychowanków, mocno ich nadszarpnęły. Lekcje prowadzili cichutko i nie wypadało nawet urządzać im wściekłych kawałków. Nie pogrążali się w smutku, kiedy dobry uczeń oblał z ich przedmiotów, ani nie wybuchali radością, kiedy kiepski uczeń podciągnął się i zdał. Od czasu do czasu trafiał im się chłopak o wyjątkowych zdolnościach w danym przedmiocie i wtedy trzęśli się nad nim jak poszukiwacze złota nad swoją działką, kiedy wreszcie trafią na żyłę. Poza tym nic nie podniecało sędziwych pedagogów, z wyjątkiem rozgrywek ligowych i uroczystych spotkań z dawnymi wychowankami.
Potem szli profesorowie, którzy wykładali ponad pięć lat, ale mniej niż dwadzieścia. Ci tryskali energią. Szczycili się, że znają wszystkie uczniowskie psikusy, więc wielu chłopców brało sobie za punkt honoru, żeby wymyślić im

nowego figla. Oblanie ich przedmiotu traktowali jak obrazę osobistą. Natomiast wysiłek ze strony ucznia bardzo sobie cenili.

Wreszcie szli świeżo upieczeni wykładowcy, których Akademia jeszcze nie ugniotła i na swój wzór nie ukształtowała. Niektórzy z nich zabierali się do nauczania jak wściekli drwale do rąbania okropnie sękatych polan. Inni brali się do tego jak czułe matki zaniepokojone o zdrowie swoich synów. Paru niosło pochodnię wiedzy ze świetlistym okiem, które — w tych warunkach — czasem musiało się załzawić.

Pan Glenmor był nowym profesorem, który nie pasował do żadnego z rozpoznanych gatunków. Nigdy się nie denerwował i nigdy się nie peszył. Zdawało się, że nie dba o to, czy ktoś zda, czy nie zda z angielskiego, który to przedmiot wykładał. Potrafił prowadzić lekcje swobodnie i nawet największe urwisy, zamiast dokazywać,

czekały na figle, które pan Glenmor sam płatał. Nie czuło się zupełnie, że stara się nauczyć chłopaków angielskiego. Pan Glenmor jak aktor urządzał przedstawienia na katedrze i człowiek siedział raczej na widowni niż w klasie. Sporo starszych uczniów, nie wyłączając Antoniego, zaczęło naśladować jego sposób cedzenia słów i ów glenmorowski porozumiewawczy krzywy uśmieszek.

Wczesnym majowym popołudniem Antoni siedział na wysłużonym fotelu w pokoju profesorskim obserwując, jak pan Glenmor czyta mowę, którą Antoni napisał i miał wygłosić na uroczystości maturalnej. Tego profesora wyznaczono mu jako doradcę i opiekuna. W trakcie lektury wypełzł panu Glenmorowi na twarz porozumiewawczy krzywy uśmieszek. Czasem uśmiech ów stwarzał uczucie, że się uczestniczy w wesołym spisku, a czasem dawał do zrozumienia, że ktoś postępuje jak dziecko. Tym razem uśmieszek zaniepokoił Antoniego.

— Źle wypada, panie profesorze? — zagadnął.

— Wypada — odparł pan Glenmor — dosłownie tak, jak na życzenie Akademii, nie inaczej.
— Więc dobrze, panie profesorze?
— Ba — odparł pan Glenmor głosem, który nic nie mówił. Takie właśnie dokuczliwe historie urządzał stale. Powiedział przed chwilą, że mowa wypada dosłownie tak, jak na życzenie Akademii, więc człowiek myśli, że dobrze. Bo jeśli niedobrze, to... to i ze szkołą musi być coś niedobrze. Czyżby to właśnie pan Glenmor podsuwał? Czy to możliwe, żeby szkoła w czymkolwiek pobłądziła? Ta wielce niepokojąca myśl nigdy jeszcze nie przyszła mu do głowy. Pan Glenmor miał talent do zaszczepiania nowych myśli.
— Zdaje mi się, że panu się nie podoba — mruknął Antoni.
— Przypuszczam, że nauczyłeś się jej na pamięć — rzekł pan Glenmor. — Niech posłucham, jak ją mówisz albo, powiedzmy raczej... deklamujesz.
Antoni wstał z fotela. Nawet w najlepszych okolicznościach czułby się skrępowany w pokoju profesorskim. Unosił się tu zapaszek tytoniu, zakazany w calutkiej szkole z wyjątkiem gabinetu dyrektora. Czuło się, że człowiek trafił do świątyni, gdzie zbierają się ludzie, aby zapomnieć, iż w ogóle istnieją sztubacy. Tego już by było dosyć, a tu jeszcze jak na złość pan Glenmor przyglądał mu się jak żukowi w gablotce, wbitemu na szpilkę. Odchrząknął i zaczął:
— Przed wieloma wiekami, w rycerskich czasach — mówił — giermek, którego miano pasować na rycerza, oczekiwał tej chwili doznając zarazem uczucia radości i strachu.
Kiedy napisał to pierwsze zdanie, brzmiało mu ono w uszach jak dźwięk bębnów i trąb. Teraz, nie wiadomo dlaczego, przypominało kwik.
— Było to doniosłe wydarzenie — ciągnął. — Świadectwo wysiłku dyscypliny wewnętrznej i pełnej poświęcenia służby. Z podobnymi uczuciami oczekiwaliśmy

i my na dzień wręczenia dyplomów. Dla nas bowiem... och... dla nas bowiem... jak jest dalej, panie profesorze?

Pan Glenmor zanurzył się głębiej w fotelu i wlepił oczy w sufit. Bez zaglądania w tekst wygłosił parę następnych wierszy.

— Dla nas bowiem — recytował z ironią — wydarzenie to jest równie doniosłe. Tak samo oznacza świadectwo wysiłku. I tak jak umysł młodego rycerza żył myślą o wielkich zdobyczach, a wyobraźnia płonęła żądzą rycerskich czynów, tak też i nam pali się w głowach od ambitnych postanowień i radosnych przewidywań.

Zamilkł, spojrzał na Antoniego i poczęstował go swoim krzywym uśmieszkiem. Ten dowcip był do niego podobny, żeby raz przeczytać tekst, a potem wyrecytować go z pamięci. A jego głos to też nie bagatelka. Zabrzmiał jak grająca pianissimo Orkiestra Filadelfijska. A jednak... a jednak dziwny dysonans wkradał się w niektóre partie, jak gdyby maleńki flecik wyrwał się na własną rękę i pokazywał całej orkiestrze język.

— Mam mówić dalej? — spytał Antoni.

— Och, proszę cię bardzo.

— Mmm... mmm... a tak. Już mam. Ostatnia mila naszego szlaku dobiega tu końca. Przyszliśmy oto na rozgałęzienie dróg, gdzie hufiec nasz zatrzyma się na kilka krótkich godzin, zanim rozwieje go i rozniesie po świecie wicher przeznaczenia. Rozstanie to, zerwanie czułych więzów, napawa nas smutkiem i żalem. A jednak radość zwycięża, radość przyświeca tej chwili, i w takim duchu radujemy się waszą na tej sali obecnością. Witajcie nam... Panie i panowie.

— Tak... — mruknął pan Glenmor. — Widzę, że mówisz to całkiem dobrze. Z dużym wyczuciem przy słowach: radujemy się. A może... ależ na pewno... mówiąc: „Witajcie", zrób piękny gest.

Antoniemu paskudnie ścierpła skóra. Przecież pan Glenmor cały czas się z niego nabijał!

— Bełkot, prawda? — spytał zgnębiony.
— Zależy, jak na to popatrzymy, Antoś. Takiej właśnie mowy szkoła się po tobie spodziewa. Bezpieczna, mocna i- nic zupełnie nie znaczy. Wiesz cokolwiek o rycerstwie?
— Cóż, no... powstało w epoce rycerskiej. Rycerz przechodził szereg prób, przysięgał, że będzie bronić słabych, że...
— Klasa szósta, historia średniowiecza — ziewnął pan Glenmor.
— No, więc... czym było rycerstwo, panie profesorze?
— Jak wszystkie instytucje wychowujące młodzież, stanowiło system powstrzymywania młodych od samodzielnego myślenia. Ilekroć młodzi myślą samodzielnie, powstaje groźne niebezpieczeństwo, bo mogą uświadomić sobie, że są silniejsi od starych. Myśl ta doprowadziłaby ich do oślepiającej prawdy, że wystarczy tylko wyrzucić starych i samemu zająć ich miejsce, tak jak młody byk atakuje starego, zwycięża go i obejmuje przewodnictwo w stadzie. Więc starzy wprowadzają instytucje, które powinny udobruchać młodych, w myśl zasady: pomalutku, pomalutku, a dostaniecie swoje. Innymi słowy — bądź łaskaw poczekać, młody człowieku, aż ja umrę, a potem obejmiesz po mnie władzę. I proszę cię, nie przyspieszaj tego procesu zdzieleniem mnie po łbie.
— Niech to licho, rozumiem, do czego pan zmierza — powiedział skwapliwie Antoni. — Przysięgając, że będzie bronić słabych przed silnymi, młody rycerz właściwie przysięgał, że będzie bronił słabych starców, stojących na czele, przed swoimi... to jest przed młodymi rycerzami.
— Antoni... zaczynam wierzyć w ciebie. Chłopiec spłonął z radości.
— Naprawdę, panie profesorze? Chyba nieczęsto popisywałem się rozumem.
— Masz głowę na karku. Tylko nie umiałeś z tego korzystać. Weźmy teraz pod uwagę ów zwrot o pełnej poświęcenia służbie. Ilu z twoich kolegów miało z nią cokolwiek wspólnego?

— O psiakość, jeśli pan profesor tak stawia kwestię, to trudno powiedzieć.
— „I tak jak umysł młodego rycerza żył myślą o wielkich zdobyczach"... może sprawdzisz ten punkt przebiegając w pamięci listę swoich kolegów? Wybiorę paru na chybił trafił. McKane Edwards. O jakich to wielkich zdobyczach marzy?
— O dziewczynkach chyba. O niczym innym nie gada.
— Connell?
— Chce zostać, tak jak ojciec, lekarzem. Powiada, że na tym można zrobić grubą forsę, jeśli się obierze właściwą specjalizację. Choroby gardła, nosa, uszu, bo na laryngologów jest największy popyt w Filadelfii.
— Hetherington?
— Chwileczkę... Nie idzie na uniwersytet. Jego stary ma wielki zakład instalacyjny i będzie tam pracował. Rozumiem, co pan chce powiedzieć... Moje myśli o wielkich zdobyczach też nie wyglądają najlepiej. Liczę na stypendium w Princeton.
— A co potem zamierzasz?
Antoni zawahał się. Wiedział świetnie, czego się po nim spodziewano. Mógłby w tej chwili zamknąć oczy i zobaczyć prababkę, jak spoczywa w łóżku, chudziutka aż przezroczysta, usłyszeć jej głos, który mówił: „Spodziewam się, Antoni, że wiesz, co masz zrobić. Na ciebie właśnie żeśmy czekały, wszystkie trzy..." Trudno było wyrazić w słowach to, czego się po nim spodziewano, ale przecież rozumiał doskonale. Nawet przed panem Glenmorem tego nie zdradzi.
— Nie wiem jeszcze — odparł.
— Cóż, nie będę nalegał. Nie brak ci polotu i inteligencji. Możesz naprawdę zacząć marzyć o wielkich zdobyczach prędzej niż cała reszta. Mnie chodzi tylko o to, żeby cię trochę skłonić do myślenia. A gdybyśmy tak dla kawału zobaczyli, jaką to mowę ty byś napisał, gdybyś włożył w to odrobinę naprawdę rzetelnej myśli. Spróbujemy?

Tym razem uśmiech pana Glenmora stwarzał uczucie, że się uczestniczyło z nim w wesołym spisku.

— Tak jest, panie profesorze! — zawołał radośnie i zasiadł z nim do opracowania tematu.

Pisali i dyskutowali, dopóki nie zabrzmiał dzwonek po ostatniej lekcji i profesorowie nie zaczęli napływać do pokoju. Pan Glenmor zrobił do niego oko mówiąc, że chyba to by była uciecha, gdyby tak nad tym jeszcze popracować na następnej konsultacji.

Za każdym razem, kiedy się spotykali, żeby przesłuchać rzeczywistą mowę, poświęcali trochę czasu tej drugiej, pisanej dla żartu. Antoni cieszył się z tego, że dzieli z panem Glenmorem taki sekret i że uczy się czegoś przy tej okazji. Praca nad ich mową powitalną otworzyła mu oczy na wiele spraw, których przedtem nie dostrzegał. Aż pan Glenmor napomknął, że ubawiliby się, gdyby Antoni wygłosił tę sekretną mowę, kiedy nikogo nie będzie w pokoju, i chłopiec wykuł ją na pamięć.

Na następnym spotkaniu w pokoju profesorskim — tak się złożyło, że ostatnim przed uroczystością rozdania świadectw — Antoni wstał i wygłosił wobec pana Glenmora ich mowę.

— Panie i panowie — mówił. — Jak wszyscy wiemy, młody samiec z gatunku homo sapiens przychodzi na świat jako wrzaskliwe szczenię, dążące do tego, żeby zrobić wszystko po swojemu. Gdyby ten młody dzikus wzrastał bez nadzoru i bez opieki, życie całych społeczeństw stałoby się nie tylko niewygodne, ale wręcz niebezpieczne. Wszystkie przeto społeczności ludzkie wypracowały środki, dzięki którym można ukrócić dzikusa, zanim nie będzie za późno, bo dzikus rośnie i nabiera sił. Najrozmaitsze metody ukrócania, w niektórych krajach znane pod nazwą edukacji, służą zawsze przystosowaniu młodego człowieka do istniejącego porządku rzeczy, tak aby porządek ów nie został naruszony. Celem ich jest

urobienie takiego ideału, który wejdzie w społeczność dorosłych nie myśląc ani o zdeptaniu ich samych, ani o obaleniu ich zasad. Jeśli nieraz wyrastają dzięki temu młodzi ludzie, którzy idą przez życie w ogóle o niczym nie myśląc, to żałosne, ale nie da się tego uniknąć.

Widzicie przed sobą na tym podium chłopców, którzy niebawem otrzymają świadectwo dojrzałości jako maturzyści Akademii Franklina z roku 1932. Zatem przez sporo lat szkoła pracowała na to, żebyśmy weszli ociosani w waszą społeczność. Ufamy, że zadanie to wykonała z właściwym sobie powodzeniem. Zostaliśmy wychowani, aby robić rzeczy właściwe, albo przynajmniej przyznawać się do tego, jeśli robimy rzeczy niewłaściwe. Wniesiemy swój wkład w postaci adwokatów, lekarzy, inżynierów czy biznesmenów i nikt z nas nie sprawi wam przykrości stając się nagle poetą czy buntownikiem.

Nauczyliśmy się tutaj sporo, samych właściwych i słusznych rzeczy. Przestudiowaliśmy dzieła Komisji Elekcyjnej, a nie tknęliśmy dzieł ducha ludzkiego. Znamy ważne postaci Wojny Rewolucyjnej, o takiej sławie, jak Patrick Henry: „Dajcie mi wolność lub dajcie śmierć", a nie pamiętamy o drugorzędnych postaciach Rewolucji jak Tom Paine. Umiemy na pamięć „Szarżę Lekkiej Brygady", a oszczędzono nam nauczenia się choć linijki z niejakiego Karola Marksa.

Wiemy, że Filadelfia nie jest powszechnie uznawana za pępek świata, ale wiemy też, że to tylko przez ciasnotę poglądów ludzi, którzy mieszkają gdzie indziej. Zdajemy sobie sprawę z tego, że istnieją również inne części Stanów Zjednoczonych, a zwłaszcza wybrzeże i Princeton na wschodzie, Poconos i Maine na północy — gdzieś tam jest Harvard po drodze — Floryda na południu, mamy obszar zwany Środkowym Zachodem, który zaczyna się niedaleko od granicy naszego stanu.

Uświadamiamy sobie oczywiście, że nasza edukacja nie jest ukończona. Prawie wszystkich nas czeka uniwersytet. Możemy się nadziać na niespodziewane i przewrotne idee na uniwersytecie, ale nasza postawa została tak ugruntowana, że nie damy się wytrącić z równowagi.

Możecie liczyć na nas, że odpowiemy automatycznie na pewne bodźce: zapłoniemy patriotyzmem, gdy w grę wejdzie Sztandar, Naród i zwycięstwo nad Pengimem; ustosunkujemy się z należną powagą do takich pojęć, jak obowiązek, honor i prawo własności; zjeżymy sierść na widok wszystkiego, co da się podciągnąć pod miano rzeczy radykalnych, zdradzieckich albo w złym guście. Przyjęliśmy jako naszą dewizę te oto słowa: „Co sobie ludzie pomyślą?", i rozumiemy przez to, co sobie wy, rodzice nasi i przyjaciele, pomyślicie. Ufamy, że będziecie zawsze mieli o nas tak wysokie mniemanie, jakie zapewne żywicie w tej chwili. Witamy was... Panie i panowie.

Kiedy skończył, zapadła w pokoju zupełna cisza, i bał się spojrzeć na pana Glenmora ze strachu, że mowa nie wypadła nadzwyczajnie.

— Cudownie — powiedział pan Glenmor cichym głosem. — Cudownie.

Oczy mu płonęły. I gdyby pan Glenmor był młodym rycerzem, a sytuacja temu odpowiadała, można by powiedzieć, że mu się objawił poszukiwany skarb.

— Och — westchnął Antoni — uważa pan, że nieźle?

— To chyba najlepszy i najuczciwszy kawałek mowy, jaki kiedykolwiek napisano. Antoś, jestem z ciebie dumny.

Usłyszeć takie słowa z ust pana Glenmora to tak, jakby otrzymać świadectwo dojrzałości, tylko że wszystkie świadectwa służyły metodzie ukracania młodych dzikusów. W każdym razie poczuł się wspaniale.

— A najważniejsze — powiedział pan Glenmor — że sam to wypracowałeś. Pierwszy raz w życiu wziąłeś się trochę do myślenia.

— Dzięki, panie profesorze. Ale czy ja naprawdę dużo myślałem? Wiem, że omawialiśmy wszystko szczegółowo i...
— Podsunąłem ci ledwie parę sugestii. Otworzyłem ci tylko parę furtek w mózgu.
— Czy ja przypadkiem czegoś nie opuściłem, panie profesorze, i nie potknąłem się ani razu?
— Wygłosiłeś ją pięknie. No, nasza uroczystość odbędzie się jutro wieczorem. Chyba więc musimy skończyć z zabawą. Ale ubawiliśmy się świetnie, prawda?
— Fantastycznie, panie profesorze. Pisanie na niby sprawiało mi piekielną przyjemność.
Pan Glenmor zagłębił się w fotelu i przez skrzyżowane palce spojrzał na Antoniego. Wyglądał, jak szczwana małpa zerkająca przez pręty klatki.
— No — powiedział niedbale — którą mowę wygłosisz jutro? Antoni wybałuszył oczy.
— Pan chyba... — wykrztusił — kpi ze mnie, panie profesorze.
— Myślisz?
— Ro... robiliśmy to przecież dla żartu.
— Owszem, możliwe. Prawdę nieraz wyraża się żartem.
— Wiem, ale... panie profesorze, co sobie...
— Ludzie pomyślą — wtrącił pan Glenmor z krzywym uśmieszkiem. —Jak to tam idzie? „Przyjęliśmy jako naszą dewizę te oto słowa: Co sobie ludzie pomyślą?" Dobra, Antoś, powiem ci, co. Przynajmniej połowa sali nic nie zrozumie, bo to nie na jej Poziom. Niektórym zrobi się niewyraźnie, choć nie będą wiedzieli dlaczego. Niektórzy się zdenerwują. A paru może zacząć myśleć jasno i uczciwie, tak jak ty właśnie. Wyrządzisz tym nielicznym ogromną przysługę, bo może więcej nikt by nie dał im okazji do myślenia.
— Z tego... z tego wynika całkiem poważna rzecz.

— Bo to jest, Antoś, rzecz poważna. Przekazać wiedzę czy jej nie przekazać — to najistotniejszy wybór, przed jakim człowiek staje.
Antoni poczuł się prawie jak w kościele słysząc, co pan Glenmor do niego mówi z taką powagą.
— Chyba całkiem nieświadomie wdepnąłem w jakąś wielką sprawę, panie profesorze?
— Być może, Antoś. — Pan Glenmor wstał i położył mu dłoń na ramieniu. — Nie mam zamiaru wpływać na twoją decyzję — powiedział z wyjątkowym u niego szerokim uśmiechem. — Obie mowy znasz równie dobrze. Możesz wygłosić jedną lub drugą. To bardzo prosty wybór, między uczciwością a hipokryzją. Będę czekał na sali, żeby poznać twoją decyzję. Powodzenia, Antoś.
Odwrócił się i wyszedł z pokoju. Dopiero po paru chwilach Antoni wolno ruszył za nim. Co pewien czas, kiedy zdawało się, że wszystko idzie gładko, życie zastawiało sidła, żeby poddać człowieka paskudnej próbie. Tak cudownie było dyskutować na żarty z panem Glenmorem i zdobywać sobie jego szacunek. A raz go zdobywszy, człowiek chciał walczyć o to, żeby go zachować. Co pan Glenmor pomyśli, jeśli Antoni wygłosi starą załganą mowę o giermkach, rycerzach i całym tałatajstwie? Oczywiście, pan Glenmor nie powie o tym nigdy ni słowa, ale będzie siedział na sali z krzywym uśmieszkiem, a on, Antoni, weźmie na siebie brzemię wstydu na całe życie.
Tak jak powiedział, był to prosty wybór. Wygłosi naturalnie nową, uczciwą mowę powitalną...
Uroczystość zaczęła się następnego wieczoru. Antoni wkroczył do sali gimnastycznej wraz z kolegami, maszerując poważnie i trochę nie do taktu szkolnej orkiestry, która grała marsz Elgara „Kraina Nadziei i Chwały". Weszli po schodkach na podium, zrobili zwrot i zobaczyli w dole tysiąc podniesionych ku

nim, pałających dumą twarzy. Marsz się skończył, odmówili modlitwę i zaczęli śpiewać hymn.
Antoni poruszał ustami, ale żaden dźwięk nie wydobywał się z jego zaschniętej krtani. Kiedy hymn się skończy, przyjdzie kolej na jego mowę powitalną. Po lewej ręce w głębi szeregu, wystrojonego w błękitne, wełniane marynarki i białe, flanelowe spodnie, stał McKane Edwards. Mac zdębiałby na taką mowę. „O czym ten Antoś chrzani?" — zastanawiałby się. W głębi szeregu po prawej stał Edzio Eakins, tak wymuskany i pewny siebie, że nikt by się nie domyślił, iż ledwo przepchał się do matury. Co sobie Edzio myśli, czy nie myśli, od dawna mało Antoniego obchodziło, ale Edzio przypuszczalnie szturchnie kolegę w bok i szepnie: „Zgrywa się facet".
Na sali widział rozpromienioną twarz matki. Usiłowała w żenujący sposób, tak jak i inne matki, uchwycić jego spojrzenie i wymienić z nim dumny uśmiech. Obok niej stała babka mrugając oczami, jak gdyby trudno jej przychodziło patrzeć na odległość. Mowa powitalna bardzo je chyba zmartwi, bo obie okropnie ciężko pracowały, żeby mu pomóc skończyć szkołę, a on tu żarty sobie stroi z Akademii.
W pierwszym rzędzie wraz z wykładowcami stał dziadek. Profesorowie zawsze znali swoje przezwiska i dziadek musiał wiedzieć cały czas, że chłopcy nazywali go Stary 0'Włos. Jeśli wierzyć pogłoskom, że dziadkowi przypadł ten przydomek, kiedy o mały włos nie został dyrektorem, to musiano przypiąć mu go dla kpiny. Ale dziadek nosił go cierpliwie przez całe lata, aż przydomek ów stał się w pojęciu wszystkich czymś na kształt zaszczytnego godła. Akademia stanowiła wszystko dla Starego O'Wlosa. Taka mowa zaboli go mocno.
W tym samym rzędzie stał też ich trener. Antoni mógł wyobrazić sobie, jak trener go słucha, marszczy się i zdumiewa, co się z nim stało. „Pomyślcie tylko — mógłby powiedzieć potem — jeden z najlepszych naszych obrońców stał na podium i kpił sobie ze zwycięstwa nad Pengimem. Nie pojmuję tego".

Wreszcie znajdował się na sali pan Glenmor, który przechwytując jego spojrzenie mrugnął doń okiem. Z czego wynikało całkiem jasno: „Stajemy we dwóch przeciwko całemu światu, Antoś". I tak też naturalnie było. Niewielu ludzi wierzy w mówienie i wysłuchiwanie prawdy. Wszyscy mogą się oburzyć na to, co on dzisiaj powie, ale pan Glenmor przynajmniej będzie z niego dumny.
Przebrzmiało głośne „Amen" na koniec hymnu i zaszurały składane krzesełka, kiedy ludzie siadali. Nadszedł czas na mowę powitalną i cisza skradała się do Antoniego przez wielką salę jak tygrys. Wyszedł na chwiejnych nogach na środek podium powtarzając pod nosem pierwsze słowa powitania: „Panie i panowie, jak wszyscy wiemy, młody osobnik z gatunku homo sapiens przychodzi na świat jako..."
Zamilkł ze zdumienia. Jak to, przecież to nie były wcale jego słowa! Przeciwnie, słowa pana Glenmora, tak jak wszystkie myśli w całej mowie powitalnej. Pan Glenmor udawał, że to on, Antoni, ją napisał, ale cała sprawa wyglądała inaczej. Od początku do końca to była mowa pana Glenmora, a nie Antoniego. Nie wiedział, czy myśli w niej zawarte wyrażają prawdę, czy nie, ale jeśli wyrażały, to prawdę pana Glenmora, a nie Antoniego, nie jego rodziny, nie jego szkoły.
Rozprostował ramiona, spojrzał na salę i powiedział:
— Panie i panowie, przed wieloma wiekami, w rycerskich czasach, giermek, którego miano pasować na rycerza, oczekiwał tej chwili doznając zarazem uczucia radości i strachu.
Przerwał, by zaczerpnąć tchu. Słyszał znów dźwięk bębnów i trąb, tak jak wówczas, kiedy to pisał. Ufnie podjął dalej. Pod koniec pozwolił sobie zerknąć na pana Glenmora. Żaden uśmiech nie gościł na jego twarzy, i Antoni odniósł wrażenie, iż pan Glenmor liczy, że on się zatnie i zacznie stękać żałośnie przed całą salą. Antoni wcale nie miał zamiaru. Spostrzegł nagle, że przestał lubić pana Glenmora, i żeby to podkreślić, uwypuklił słowa „radość" i „radujemy się", kiedy

wygłaszał końcowe zdanie. „A jednak radość zwycięża, radość przyświeca tej chwili, i w takim duchu radujemy się waszą na tej sali obecnością. Witajcie nam... Panie i panowie". I dla efektu, mówiąc „Witajcie", zrobił piękny gest. Pan Glenmor żachnął się.

Antoni usiadł, a w uszach przyjemnie grzmiały mu oklaski.

Kiedy skończyła się część oficjalna, doktor McClintic oderwał się od jakichś rodziców i odciągnął Antoniego na bok.

— Antoś — powiedział — mam dla ciebie prezent maturalny. Princeton przyzna ci stypendium.

Antoni ścierpł z radości. Przecież to tak, jakby dano mu zbroję i pasowano na rycerza.

— Nie śmiem wierzyć, panie dyrektorze. Sam nie wiem, jak mam panu dziękować.

— Należy ci się to, Antoś. Oczywiście, nie możemy ci przyznać stypendium, dopóki nie nadejdą wyniki twojego konkursowego egzaminu. Ale o to jestem spokojny. Możesz czuć się jak student. Zostawiam ci przyjemność poinformowania o tym twoich bliskich. Aha, żebym nie zapomniał: ładna robota ta twoja mowa powitalna. Dobrze, uczciwie napisana i wygłoszona pięknie. Antoni przypomniał sobie o rdzawej plamce na swojej zbroi.

— W sprawie mowy powitalnej — zaczął z wahaniem — powinienem coś panu powiedzieć, tylko że ktoś drugi jest w to wmieszany.

— A tak — powiedział z uśmiechem dyrektor. — Pan Glenmor. Znam całą tę historię.

— O Boże, naprawdę? Wie pan o tym, że napisałem drugą mowę, i o wszystkim? Ależ tylko my dwaj o tym wiedzieliśmy, a ja nie pisnąłem ani słówka.

— Ale pan Glenmor pisnął. Powiedział mi o tym. Ma doskonałą pamięć i wyrecytował całą mowę, której tyś nie wygłosił.

— Nie pojmuję — powiedział Antoni. — Przecież mówiąc to panu, panie dyrektorze, on się chyba narażał? To jest, ryzykował swoją posadę?
Doktor McClintic wyciągnął fajkę i zaczął powoli ją nabijać.
— Być może poznanie tej historii wzbogaci trochę twoją wiedzę o świecie — rzekł. — Zacznijmy więc od tego, że pan Glenmor nie wraca do nas na przyszły rok. Ta decyzja zapadła, zanim zabraliście się do tej mowy. Nie pasuje do naszej szkoły. Angażując go popełniłem błąd, jak mi się to czasem zdarza. Niczego więc nie ryzykował namawiając cię do przygotowania tej drugiej mowy.
— Chce pan powiedzieć, że pragnął się odgryźć? Ale w takim razie, dlaczego panu powiedział? Pan dyrektor przecież mógł mnie wezwać i przywołać do porządku albo oddać mowę komu innemu.
— To nie było takie proste. Pod pewnymi względami pan Glenmor ma dość subtelny umysł. Przedstawił to tak, że rzucił mi rękawicę. Właściwie nie jedną, lecz dwie. Po pierwsze, czy ośmielę się zostawić decyzję tobie samemu. Po wtóre, co z tego wyniknie. Innymi słowy — czy ośmielę się polegać na wychowaniu, które ci szkoła dała, czy też nie? Czyli że wyzwał na pojedynek naszą pedagogikę przeciwko swojej. Pan Glenmor miał dwie szanse na wygraną. Wygrywał, jeśli ja nie zgadzałem się dać ci swobody, wygrywał, jeśli ty wygłaszałeś jego mowę. To ciekawa postać, Antoś. Nie naszego pokroju, ale jednak ciekawa. Co o nim sądzisz?
— Przypuszczam, że ma w sobie coś z buntownika, panie dyrektorze.
— Owszem, ale nie typowego. Nie zobaczysz go nigdy, jak wiedzie tłum na barykady. Będzie przez szparę przyglądał się z boczku i myślał, co za idioci sterczą po obu jej stronach. Byłby niebezpieczny, gdyby naprawdę w coś wierzył, ale tak przypomina diabła, któremu się nie chce zawracać sobie głowy robotą w piekle.

— Chyba dostałem nauczkę, żeby zbytnio nie ufać ludziom, dopóki ich się dobrze nie pozna, panie dyrektorze. Jak to... przecież pan dyrektor cofnąłby poparcie dla mojego stypendium w Princeton, gdybym wygłosił tę mowę! Prawda, panie dyrektorze?

Doktor McClintic roześmiał się.

— Nigdy mi to nie zaświtało w głowie, Antoś. Wyjawię ci tajemnicę: pan Glenmor od początku nie miał szans na wygranie tej maleńkiej potyczki. No, biegnij teraz i powiedz swoim bliskim o stypendium.

Poklepał Antoniego po ramieniu i odszedł, żeby pogratulować zebranym na sali rodzicom. Antoni śledził go przez chwilę, zastanawiając się, czy to prawda, że pan Glenmor nigdy nie miał szans na wygranie. Przecież dosłownie w ostatniej chwili Antoni powziął decyzję. Czyżby nieświadomie zapadła ona dużo wcześniej? Czyżby w ogóle nie było o czym rozstrzygać? Nie miał odpowiedzi na te pytania.

6

Pod wieloma względami czteroletni pobyt Antoniego w Princeton przypominał stałe leżenie pod kupą graczy na boisku.

W Akademii Franklina wystarczyło trochę się przyłożyć, żeby zostać jednym z pierwszych uczniów w klasie. Ale w Princeton dodatkowa praca prawie nie miała znaczenia. Na każdym roku znalazło się zwykle dwudziestu lub trzydziestu chłopaków z zacięciem na geniuszy, którzy radzili sobie z nauką jak świetni gracze z łatwą piłką. Chłopcy ci, jak się przekonał, tak go wyprzedzali, że nawet nie nadawał się do noszenia im książek. W tych warunkach potrafił tylko utrzymać się w średniej grupie, żeby nie stracić stypendium.

Z grą było jeszcze gorzej. W normalnych warunkach zostałby dobrym obrońcą o wadze osiemdziesięciu pięciu kilo, który próbuje prześcignąć dobrych obrońców o wadze dziewięćdziesięciu pięciu kilo. W najlepszym razie wszedłby do drugiej

reprezentacji. Ale trafił w Princeton na zły dla siebie okres. Po raz pierwszy w swojej historii wszechnica przymknęła oczy na to, że drużyny dokonywały na boczku cichutkiej rekrutacji. I tak na pierwszym roku po trzy, cztery miejsca na każdej pozycji obsadzali kapitanowie drużyn gimnazjalnych albo gracze z kadry stanowej. Drużyna ta w ciągu czteroletniego okresu studiów przegrała tylko jeden mecz, a Princeton cały czas zajmował czołowe miejsca w tabeli krajowej. Antoni miał szczęście, że dostał się do zapasowej drużyny. Nie otrzymał nawet pod koniec honorowego dyplomu, gdy nadarzyła się okazja zagrać parę razy przeciwko reprezentacji Yale, bo miał już wtedy przetrącone kolano i usunął się na dobre.
Naturalnie, istniały inne sposoby wybicia się w Princeton niż nauka i piłka. Jeśli ktoś pochodził ze znamienitej rodziny i skończył ekskluzywne gimnazjum albo nawet mniej ekskluzywne, a na dodatek odznaczał się dobrą prezencją i nie pysznił się swoimi przewagami, automatycznie zostawał znakomitością w studenckim światku. I mógł śmiało liczyć na zaproszenie do jednego z dwóch najwytworniejszych klubów studenckich, kiedy kooptowały nowych członków. Albo ktoś mógł wziąć „Almanach Nowicjuszy" i wkuć na pamięć przezwiska siedmiuset studentów z pierwszego roku, popisywać się na wyrywki swoją wiedzą, a zapewne zostałby wybrany do zarządu roku i otrzymał zaproszenie do klubu „Biret i Toga".
Wreszcie ktoś mógł obrócić całą energię na pracę w „Gazecie Wszechnicy" albo zaciągnąć się w szeregi organizatorów imprez sportowych i jeśli się dochrapał, lądował na samym szczycie pośród asów piłkarskich, dandysów i działaczy politycznych.
Antoni nie miał ani dobrego pochodzenia, ani pamięci do przydomków, ani wolnego czasu i sił, żeby się wybić którymś z tych sposobów. Stypendium ledwie wystarczało na opłaty administracyjne. Resztę musiał dorobić podając do stołu w stołówce akademickiej albo chwytając się dorywczych prac na terenie uczelni.

Dochrapanie się paru dolarów w owych latach kryzysu to była syzyfowa praca. Nie starczało mu energii na to, żeby po zajęciach zarobkowych, nauce i grze w rugby zdobywać jeszcze pozycję w uczelnianym światku. Takich jak on było więcej — nieznanych, zaganianych chłopaków, na których widok czasem powiadano: „A cóż to, u diabła, za jeden?"

Pod koniec drugiego roku Antoni dostał się do klubu rozrywkowego, gdzie należała większość jego kolegów. Nie był to najwytworniejszy klub i Antoni nie otrzymał doń pierwszego zaproszenia, tylko powtórne, ale i tak dopisało mu fantastyczne szczęście. Każdy klub miał prawo przyjąć jednego członka, który nie płacił za uczestnictwo i posiłki w zamian za pomoc w prowadzeniu imprezy. Te klubowe „stypendia" wykorzystywano na ogół jako przynętę dla znakomitych osobistości, które inaczej mogłyby się przenieść do bardziej dystyngowanych klubów. W przeddzień zakończenia kooptacji członków pod koniec drugiego roku ów klub połapał się, że stracił obu swoich kandydatów na stypendium na rzecz innych klubów. Trzeciego kandydata nie wysunięto. A było już za późno, żeby zacząć rozglądać się za nowym. W rozpaczy komitet organizacyjny zjawił się u kierownika Biura Zatrudnienia Studentów i spytał go ze smutkiem, czy widzi jakiegoś studenta drugiego roku, który jest elegancki, inteligentny, pracowity, zna się na cocktailach, jednym słowem, czy widzi pod każdym względem równego faceta, któremu można by ofiarować stypendium. Kierownik wyciągnął ankiety i fotografie sześciu kandydatów. Żaden z nich nie zrobił na komitecie wrażenia, a już na pewno nie student nazwiskiem Antoni Lawrence, który skończył jakieś nieciekawe filadelfijskie gimnazjum i niczym się nie wsławił w akademickim światku.

— A może choć jeden z tych facetów czymś się wyróżnia? zagadnął przewodniczący komitetu.

Kierownik biura pomyślał chwilkę i zachichotał.

— Nie dacie wiary — powiedział — ale ten gość, Lawrence, ma jakieś chody, ilekroć trafi się bal w Filadelfii. Powiedział mi raz, że mógłby wprowadzić tuzin chłopaków prawie na każdy bal debiutancki, tylko że nie ma czasu zebrać odpowiednich kolegów. Uważacie, że to wystarczy?
— Bujasz! — podskoczył przewodniczący komitetu. W kwadrans potem Antoni znalazł się w klubie. Komitet musiał przyjąć tę historię na wiarę, ale opłaciło mu się to stokrotnie. Piątkowa Szkoła Tańca nie przetrwała kryzysu, ale nim ostatecznie upadla, pani Hoyt Phelps zdążyła sobie wyrobić markę jako wyrocznia w sprawach towarzyskich. Na swoją pomocnicę w udzielaniu porad zaangażowała matkę Antoniego, gdyż lubiła ją i miała do niej zaufanie, że nie odejdzie z połową interesu i nie zacznie pracować na własną rękę. Pani Phelps potrzebowała chłopaków do tańca — eleganckich, z dobrych uczelni i w jak największej ilości. Kryzys nie kryzys, ale ludzie wydawali bale debiutanckie dla swoich córek („Popatrz, ile to zachodu stwarza dla takich, jak my, biedaków, moja droga") i coraz częściej sukces tych balów zależał od obstawy chłopaków. Każda debiutantka liczyła na bal, gdzie wypadnie przynajmniej dwóch mężczyzn na jedną dziewczynę. Jeśli się zbytnio nie raczono szampanem, ta proporcja gwarantowała przyzwoitą nadwyżkę tancerzy na parkiecie. Pani Phelps z przyjemnością korzystała z dostaw, jakimi jej służył Antoni.
Tak więc klub był bardzo z niego zadowolony. W istocie poszedł mocno w górę, odkąd dzięki Antoniemu studenci się zwiedzieli, że klub ma takie względy na balach w Filadelfii.
Antoni wiedział, że szczęście mu dopisało. Dzięki klubowemu stypendium mógł poniechać roboty w stołówce i innych dziwacznych zajęć. I kiedy na ostatnim roku został wiceprezesem klubu i otrzymał pomocnika, miał wreszcie trochę czasu dla siebie. Wolny czas posiadał swoją wagę, w październiku bowiem na ostatnim roku studiów Antoni zainteresował się Joanną Dickinson.

Zaczęło się od tego, że natknął się na nią na zabawie, wydanej przez kogoś w klubie sportowym. Obdarzyła poprzedniego partnera połówką promiennego uśmiechu mówiąc: „Żegnaj, Princeton", i przeszła w ramiona Antoniego obdarzając go drugą połówką i mówiąc: „Witaj, Princeton".
Tak się złożyło, że Antoni znał jegomościa, z którym przed chwilą tańczyła, wiedział, że studiuje gdzie indziej i nazywa się Allison, więc uraziła go nonszalancja, z jaką panienka pomiata nazwą jego wszechnicy.
— Przepraszam — powiedział — ale jestem z Instytutu Animaloterapii.
— O Boże — westchnęła. — Nie mogę spamiętać nazwisk ani nazw wszechnic, więc nazywam każdego po prostu „Princeton" i na ogoł wszystkim się to podoba, z wyjątkiem chłopaków z Yale. Jak to cudnie spotkać kogoś z Instytutu Animaloterapii! Co się tam studiuje?
— Propedeutykę pogłowia — odparł. — Moja główna specjalność to choroby pyska i racic, a dodatkowa — schorzenia wymion.
— Fantastyczne! — zawołała podnosząc nań wielkie, piwne oczy. — Tylu ludzi chodzi na studia tylko dla zabicia czasu. To prawdziwa przyjemność poznać kogoś, kto trzeźwo myśli i wie, co chce robić w życiu. Czy macie drużynę rugby w Instytucie Animaloterapii? Zapewne świetną.
— Nie, madame. Ale mamy doskonałą drużynę dojarską, która...
— Och, musi mi pan wszystko opowiedzieć — zaszczebiotała. — Jak pan tam trafił i jakich ma pan kolegów, i w ogóle wszystko!
Zaczął wymyślać niestworzone rzeczy o domniemanym instytucie i domniemanych kolegach, doznając ponurej satysfakcji na widok, jak ona to gładko połyka. Toż to zbrodnia, co się wyprawia z tymi dziewczętami, pozwalając im dbać tylko o ciało, a nic o umysł. Ta dziewczyna chyba więcej czasu spędziła nad polerowaniem paznokci niż nad książką. Miała uroczą buzię, połyskliwe,

kasztanowate włosy, uczesane na pazia, i gibką figurę, która cudnie poddawała się w tańcu. Ale w jej główce sroki chyba sobie gniazdo uwiły.
Nie zdążył roztoczyć przed nią cudownego obrazu instytutu, bo ktoś mu ją odbił po chwili. Mówiąc: „Dziękuję, panie Lawrence", podzieliła promienny uśmiech między Antoniego i nowego partnera. Antoni wrócił już prawie pod ścianę, nim mu się przypomniało, że przecież nie powiedział jej swego nazwiska. Obejrzał się za nią z groźną miną. Ktoś inny prosił ją właśnie do tańca, więc Antoni odczekał parę chwil, a potem odbił partnerowi.
— Och, miły — powiedziała. — Wraca pan zapewne, żeby mnie zaprosić na sianokosy?
— Struga pani ze mnie wariata — odparł.
— Ależ, panie Lawrence, to chyba było na odwrót, pan strugał ze mnie... dojarkę, jeśli tak można powiedzieć.
— Skąd pani zna moje nazwisko? Nie mówiłem pani.
— Och, Boże. To długa historia i zanim ją zacznę, ktoś znów nam przerwie, a pan przecież nie wyjdzie ze mną na werandę, bo to by się sprzeciwiało pańskiemu poczuciu obowiązku. Uważa pan, że skoro zaproszono pana na zabawę, powinien pan okazać swoją wdzięczność gospodarzom nie ruszając się z parkietu. Racja?
Ta dziewczyna mogła zapędzić człowieka w kozi róg.
— Owszem — odparł — zgadza się. Ale skąd pani wie?
— Uczęszczam do Instytutu dla Krnąbrnych Dziewcząt, specjalizuję się w odgadywaniu myśli i polowaniu na mężczyzn.
— Może wyszlibyśmy na werandę pogadać?
— Chwileczkę, niech odczytam pańskie myśli — przyjrzała mu się i skinęła głową. — Zgoda. Pańskie intencje są na wskroś konwersacyjne. Chodźmy.
Wyszli na wielki, kryty taras klubu sportowego. Poprosiła o papierosa. Kiedy schylała się po ogień, wieczorowa suknia odsłoniła głęboki dekolt. Miała śliczne

ciało: smukłe, toczone ramiona, mocne piersi. Zerknęła nań, spostrzegła, gdzie zagląda, i parsknęła śmiechem.
— Przepraszam — mruknął czerwieniąc się. — Niech pani na moment się wstrzyma od czytania w myślach.
— Nie musi pan tłumaczyć się z tego, że jest pan mężczyzną — odparła. — Ostatecznie, jeśli nie cierpię takich rzeczy, mogę nosić obcisłą halkę.
— Więc cóż to za historia z tą wszechwiedzą? Moje nazwisko...
— Ależ, znam wszystkich po nazwisku, wiem, co kto lubi i czego nie lubi.
— Bujda. Przy takim powodzeniu, jakie pani ma, spotyka pani pięciuset facetów co miesiąc i prawie każdy częstuje panią tym samym komplementem, a pani na każdego mówi „Princeton", gdyż nie ma pani zielonego pojęcia, co to — u Boga Ojca — za facet.
— Aż wreszcie — westchnęła — trafiam na pana Antoniego Lawrence'a, który rzeczywiście jest z Princeton i okazuje się, że spostponowałam czcigodną Alma Mater.
— Może kiedyś w tańcu nadepnąłem pani na odcisk i zadała pani sobie trochę trudu, żeby się dowiedzieć, co to za cymbał tak sobie poczyna.
— No, proszę. To pan spotyka tyle dziewcząt, aż trudno się Panu połapać. Zapomniał pan o naszej chwili namiętności, panie Lawrence. Przepraszam. O mojej chwili namiętności. Bo pan niemal prychnął mi w nos.
Chciał porwać tego ulizanego pazia i potrząsnąć nim z całej siły.
— Hola — burknął. — Pani jest Joanna Dickinson. Pani pierwszy bal wypadł w czerwcu i ja byłem wtedy na sali. Odtąd widziałem panią może na dwudziestu zabawach i na każdej przetańczyłem z panią po parę taktów, nim pani ktoś mnie nie odbił. W sumie byliśmy ze sobą minutę i dwadzieścia siedem sekund, nie więcej, głowę daję. Więc skąd ten passus o chwili namiętności?

Z ukosa, w wystudiowanej pozie, rzuciła mu spojrzenie: „Jak być wyzywającą. Lekcja piąta".

— Za siódmym razem, kiedy tańczyliśmy — powiedziała — wydało mi się, że skądś pana znam. Za dziesiątym spostrzegłam, że nigdy pan się nie upija. Gdzieś koło dwunastego uświadomiłam sobie, że nie poczyna pan z partnerką tak jak inni, żeby w dziesięć sekund wytrząść dziewczynę jak galaretę. Poczułam się lekko urażona. Więc dowiedziałam się, kim pan jest. Potem odbił mnie pan raz partnerowi, kiedy właśnie otarłam sobie palec u prawej nogi i chciałam wyjść na dwór, żeby zdjąć pantofel. Poprosiłam pana, żebyśmy wyszli, a pan poczęstował mnie tą wzniosłą myślą o obowiązku wobec gospodarzy, który to obowiązek pana zatrzymuje. Boże święty, pan sobie chyba pomyślał, że miałam zamiar pana zgwałcić.

Nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

— Gdyby pani miała takie zamiary, z chęcią bym na nie przystał.

— Nie wierzę. Chyba że pani domu dałaby panu najpierw pozwolenie. Skąd się bierze to pańskie zamiłowanie do tańca?

Sam nie wiedząc dlaczego, zaczął jej opowiadać historię Piątkowej Szkoły Tańca, kiedy to zachował się zdradziecko wobec Edzia Eakinsa i całego klubu. Wcale nie zamierzał opowiadać jej wszystkiego, zresztą nie zwierzał się z tego nikomu, ale Joanna szachowała go pytaniami i chciwie słuchała. W świetle minionego czasu zrobiła się z tego raczej zabawna historia ze szczenięcych lat.

— Tak więc — powiedział — skończyła się moja przestępcza kariera.

Joanna zaczęła się krztusić, wyciągnęła rękę mówiąc: — Chusteczkę, prędko!

Nie chciał, żeby się tak bardzo z niego śmiała. Dał jej chusteczkę i powiedział ze złością: — Z czegóż to boki zrywać?

— Głupi — zaszlochała. — Rozbeczałam się przez ciebie, idioto.

Zdumiał się; naprawdę płakała. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie ogarnąć jej ramieniem. Przytuliła się do niego drżąc i pociągając nosem, poklepał ją na pocieszenie, powiedział, że mu przykro i żeby przestała płakać.
Odsunęła się wreszcie, wytarła nos i powiedziała: — Nie wolno ci robić ze mną takich rzeczy. Wyglądam na pewno jak czupiradło. Och, zabiłabym tamtą dziewczynę.
— Jaką dziewczynę?
— No, tę z tej cholernej szkoły tańca, co zaczęła całą awanturę.
Nigdy nie wiadomo, jakimi drogami chodzą dziewczęce myśli.
— Przecież ona wyświadczyła mi przysługę — odparł. — Gdy potem napytałem sobie biedy w gimnazjum i...
— Och, zamknij się... — powiedziała gniewnie. — Na dzisiaj mam dość żałosnych historii. Jesteś taki głupi, cudny i naiwny, aż nie mogę tego wytrzymać. Chciałabym, żebyś mnie pocałował.
Próbował się rozejrzeć, czy na tarasie nikt ich nie obserwuje, ale nie zdążył, bo objęła go za szyję, mówiąc: „A cóż to mnie wzrusza, że ktoś na nas patrzy?", wspięła się na palce i pocałowała go. Był to dziwny pocałunek, łagodny, drżący i słonawy od łez, zarazem przyjacielski i namiętny. Okrutnie na niego podziałał. Kiedy odsunęła się, powiedział ochrypłym głosem: — Chyba nie zdajesz sobie sprawy, co ty ze mną robisz?
— Naturalnie, że nie. Wiem tylko, co próbuję zrobić.
— Nigdy nie miałem dziewczyny. Wolałbym, żebyś nie igrała ze mną.
Zaśmiała się nieporadnie.
— Nie potrzebujesz mi mówić. Widać po tobie z daleka, że nigdy nie miałeś dziewczyny. Chyba staram się o to, żeby ci to zrekompensować. Co robisz w czasie ferii Bożego Narodzenia?
— Jak zwykle, bawię się w fordansera. Chodzę solo na przyjęcia.

— Szkoda gadać. Tym razem będziesz chodził ze mną.
— Ależ słuchaj... ferie zaczynają się lada dzień. Jesteś na pewno poumawiana i masz zajęte wszystkie popołudnia i wieczory na całe miesiące naprzód. Przecież wiem, jak to jest z panienkami w okresie debiutanckim: nie mają ni chwili wolnej.
— Wyobraź sobie, że zgubiłam notes z zaproszeniami.
— Wolałbym ugryźć się w język, ale nie mam pieniędzy ani samochodu, ani w ogóle nic.
— Boże święty — powiedziała. — Chłopak przepycha się przez Princeton sprzedając gazety. Słuchaj. Wykupię całą prenumeratę. Mam samochód. Komu potrzebne pieniądze, żeby chodzić na przyjęcia?
— Jesteś zmęczona, podenerwowana i wytrąciłem cię z równowagi dokuczliwą historyjką. Czemu się nad tym nie zastanowisz?
— Słuchaj no, gdybyś nie był taki cudny, pokazałabym ci, gdzie raki zimują, panie Antoś! Wiesz, co zrobię? Pójdę do tej twojej opatrznościowej pani Hoyt Phelps i powiem, żeby cię skreśliła z listy tancerzy. Ja jej...
— Niech mnie diabli, jeśli w to wątpię.
— Tak, tylko ona naturalnie się nie zgodzi. Nikomu nie pozwala wtrącać się do swojego interesu. W każdym razie, Antoś, ja nie przyjmuję odmownej odpowiedzi.
Ni stąd, ni zowąd poczuł się lekki, beztroski i szczęśliwy.
— Panno Dickinson — powiedział — czy mogę mieć przyjemność asystowania pani?
Wzięła go pod rękę i powiedziała wesoło:
— Przekonał mnie pan, ma pan dar perswazji. Teraz pozwól, że wpadnę do toalety, żeby się umalować, zaczekaj na mnie, a potem oboje zmykamy stąd. Mam tu samochód.
— A co będzie z facetem, który cię tu przyprowadził?

— Nie bądź taki wielkoduszny i przestań robić na tym karierę. Przyjechaliśmy tu całą paczką wprost z przyjęcia i mój adorator od godziny leży bez zmysłów. No, to jazda, zanim znów nie odezwie się w tobie głos obowiązku.

Znaleźli nocną restaurację, gdzie zasiedli do jajecznicy, grzanek z masłem i kawy, opowiadając nawzajem o sobie. Życie Joanny na ogół układało się gładko, tak jak zwykle dziewczętom, które cieszą się dobrym zdrowiem, urodą i zamożną rodziną. W czerwcu zdała maturę, nie chciała iść na studia, nie miała żadnych wygórowanych ambicji. Mówiła, że jest staroświecką panną, która po prostu chce szybko wyjść za mąż i jak najprędzej mieć czworo dzieci, dwóch chłopców i dwie dziewczynki.

— Od lat mam dla nich wybrane imiona — powiedziała zerkając na niego z ukosa. — Artur, Jonatan, Helena i Betsy. Ale teraz, skoro cię spotkałam, dochodzę do wniosku, że możesz wybrać imię jednemu chłopcu i jednej dziewczynce.

Na widok jego przerażonej twarzy wybuchnęła chichotem. Zrozumiał, że to był tylko żart, ale dla pewności zaznaczył mimochodem, że na przyszły rok zapisuje się na prawo, co oznacza naturalnie dalsze trzy lata studiów, a potem jeszcze parę lat, nim nabierze doświadczenia jako prawnik.

— Dlaczego na prawo? — zapytała.

Wyjaśnił, że w Filadelfii, aby coś zdziałać, trzeba mieć pieniądze, a on nie zamierza całego życia poświecić na dorabianie się. W bankach albo w wielkich towarzystwach akcyjnych przez dwadzieścia lat można się dochrapać posadki zastępcy wicedyrektora pośledniejszego resortu. Naturalnie, jeśli się okaże, że ktoś jest geniuszem od organizacji, może piorunem zrobić karierę, ale on nie zdradza takich talentów. Nie miał szczególnych zdolności do techniki ani do architektury, ani też drygu do wymyślania reklam. Nie posiadał wpływowej rodziny i zasobów pieniędzy, które pozwalają szybko się wybić w branży ubezpieczeń czy inwestycji.

— Pozostaje więc prawo — mówił. — Tu też ważne są znajomości, ale to jednak dziedzina, gdzie wciąż można się wybić, jeśli ktoś zna się na rzeczy i nadarzy mu się parę sprzyjających okazji. Jeśli w ogóle mam jakiś talent, to chyba tylko prawniczy. Lubię wszechstronnie badać kwestię, analizować, co na niej zaciążyło, i wydawać opinię w świetle wszystkich przepisów i precedensów.
— O, Boże — westchnęła Joanna. — Błagam cię, nie traktuj mnie nigdy jak kwestię do zbadania.
— W twoim wypadku — odparł poważnie — żadne przepisy i precedensy mi nie pomogą.
— Dobrze. Podchodź do mnie zwyczajnie, z uczuciem. Bardzo cię proszę. Masz zamiar praktykować w Filadelfii?
— Tak, i to jeszcze jeden powód, dla którego lubię prawo. Towarzystwo akcyjne mogłoby mnie wysłać na koniec świata.
A ja chcę zostać w Filadelfii. Gdzie indziej czułbym się jak wygnaniec.
— Chyba nie wiesz, że tatuś jest adwokatem. I to całkiem niezłym.
— Adwokatem? Dickinson? Ach, tak. Dickinson i Dawes, pamiętam.
Nie była to wielka kancelaria prawnicza, ale sędzia Dawes piastował urząd dyrektora Kolei Pensylwańskiej i kuratora uniwersytetu, a nie zdobywa się takich rzeczy dłubiąc w nosie i stukając palcem o palec. Nagle poczuł się nieswojo. Pan Dickinson może sobie pomyśleć, że przyszły prawnik, który lata za Joanną, dybie na ich firmę.
— No, i zrobiła się z ciebie kwestia — mruknął.
— Znów czytałam ci w myślach i proszę cię, nie bądź nudny. Nie widziałeś jeszcze tatusia na oczy. Teraz możesz mnie odwieźć do domu, zanim ci się jako kwestia nie skomplikuję.
Dickinsonowie mieszkali na peryferiach Filadelfii w dzielnicy zwanej Doliną Pensylwanii. Mieli willę zbudowaną z końcem lat dwudziestych, kiedy ludzie

namiętnie gromadzili antyki, poszukiwali antenatów i życzyli sobie mieszkać w takich domostwach, które by świadczyły, że ich właściciele są co najmniej od wieku osiadłą tu szlachtą. Nikt by nie uwierzył, że angielskie zamki, francuskie pałacyki i włoskie wille od dawna stoją w okolicach Filadelfii, więc architekci wpadli na pomysł wiejskiego domu w ludowym stylu pensylwańskim. Dom Dickinsonów stanowił niską, rozrzuconą budowlę z polnego kamienia i bierwion, która niemal stwarzała wrażenie, że sam Waszyngton zatrzymał się tu niegdyś na popas.

Antoni podprowadził wóz Joanny przed dom zastanawiając się, czy będzie wyglądało, że się wprasza, jeśli powie, że chciałby zadzwonić po taksówkę.

— Jutro na prywatnej herbatce — powiedziała Joanna. — Zjaw się po mnie o drugiej albo coś koło tego.

Otworzyła drzwiczki.

— Poczekaj. Gdzie stawiasz samochód? Złapię taksówkę,

ale...

— Bierz wóz ze sobą. Książeczka jest w bocznej kieszeni.

— Nie mogę pożyczać twojego samochodu. Co ty... Przechyliła się i pocałowała go.

— Dopóki masz mój samochód, wiem, że tu wrócisz, żeby go oddać — powiedziała spokojnie. — Wolę z tobą nie ryzykować.

Pomachała mu ręką i weszła do domu. Siedział przez chwilę naburmuszony. Nie odpowiadało mu pożyczanie od niej samochodu. Nie chciał jej na razie pozwolić, żeby zyskiwała do niego zbyt wiele praw, na dodatek ludzie zawsze robili oczy, kiedy gość zamieniał się w utrzymanka. Tak czy owak, jeśli człowiek nie ma forsy, a chce się zadawać z taką dziewczyną jak Joanna, musi przyjąć jej warunki. Takie nie polecą na wesołą przejażdżkę trolejbusem i podwójną porcję lodów z kremem. Zapuścił motor i pojechał do domu.

Jego romans z Joanną należał do tych niebywałych historii, które powinny się skończyć po tygodniu; Joanna zwyczajnie powinna się przerzucić na innego chłopaka, tak jak na inny lakier do paznokci. Ale rzecz wzięła odmienny obrót. W czasie ferii Bożego Narodzenia przebywał z nią prawie codziennie. Asystowanie pannie dawało inne prawa niż bawienie się w fordansera. Człowiek dostawał się na prywatne obiadki przed zabawą, na przyjęcia w operze i teatrze, spotykał ludzi częściej w ich domach niż w wielkich salach balowych. Zaczęto go traktować jak gościa, a nie jak fragment wyposażenia sali tanecznej. Naturalnie, akceptowano go na bardzo szczególnej zasadzie. Po tygodniu udzielania się z Joanną zauważył, że nie przedstawiano go jako „pana Lawrence'a", tylko formułką: „To chłopiec Joanny, Antoś". Nie od razu przyzwyczaił się do tej etykietki.

Po dziesięciu dniach jej rodzina zaczęła mu się uważnie przyglądać. Kiedy czekał na Joannę, zadawano mu pytania tyczące jego pochodzenia. Wiedział, że nie zadowolił jej rodziców, i podejrzewał, że od czasu do czasu przypominali Joannie, żeby się zbyt poważnie nie angażowała i pamiętała, że są inni mężczyźni na świecie. A jednak polubił jej rodziców i wiedział, że oni też czują do niego sympatię, może nie zamierzoną, lecz prawdziwą. Do ferii wiosennych pani Dickinson zmiękła na tyle, że zaczęła mu opowiadać o antykach, jakie kolekcjonuje, a pan Dickinson narzekał nieraz przed nim na New Deal i tego jegomościa z Białego Domu.

Po feriach widywał Joannę w czasie każdego weekendu i paradował z nią na dwu wielkich zabawach uniwersyteckich. Zajęła bardzo ważne miejsce w jego życiu. Starał się temu zapobiec; jego przyszły związek z Joanną stanowił problem, którego nie umiał rozwiązać, a jeśli nie może poradzić sobie z kwestią, lepiej zostawić sobie otwartą furtkę. Ale takie sztuczki nie udawały się z Joanną, jeśli nie chciał jej człowiek stracić. Spróbował jej raz wyjaśnić, że nie powinni angażować się tak poważnie, bo lata całe upłyną, nim będzie mógł pomyśleć o ożenku.

— Nie bądź taki strasznie rozsądny — powiedziała.
— Czasem — odparł — mam wrażenie, że muszę być rozsądny za nas oboje.
— Hmm — mruknęła Joanna.
Siedzieli właśnie w samochodzie Joanny, który zatrzymali nad jeziorem Carnegie w Princeton. Była późna wiosna, noc, powietrze tak łagodne, jak kwiecie jabłoni. Mówiąc „hmm" Joanna wtuliła się w jego ramiona, pocałowała go i zaczęły się dziać szalone rzeczy. Zawsze utrzymywała ich pieszczoty w pewnych granicach: mógł ją całować, kiedy chciał; mógł jej po przyjacielsku położyć rękę na kolanie, byle nie agresywnie; jeśli poczynał sobie ostrożnie i usłyszał, że zaczyna szybko oddychać, mógł wsunął jej rękę za dekolt, dotknąć jej piersi i naprężonych sutek. Ale tej nocy stało się inaczej. Nie tylko zachęcała go do śmiałych pieszczot, ale sama zaczęła go pieścić w niepojęty sposób. Zanim uświadomił sobie, co się dzieje, już usiłował ją rozebrać i błagał, żeby wysiadła z samochodu i położyła się z nim na kocu.
Jak za pociśnięciem guziczka, jej oddech się uspokoił, wyswobodziła się z jego ramion, powiedziała „nie" i zaczęła poprawiać sukienkę. Gdy nadal prosił, poklepała go po policzku i mruknęła:
— Czasem mam wrażenie, że muszę być rozsądna za nas oboje.
Nie wiedział, czy zrobiła to, żeby mu udowodnić, iż wcale nie jest taki rozsądny, czy też żeby go ukarać za nudziarstwo. Jeśli ten drugi cel miała na względzie, to jej się powiodło. Podniecony, a potem powstrzymany bezwzględnie, poczuł się tak, jakby go na boisku kopnięto w lędźwie. Nigdy więcej nie próbował uczyć jej rozsądku.
Podświadomie zdawał sobie chyba sprawę, że jego romans z Joanną zbliża się do krytycznego punktu i że chwila ta nadejdzie prędzej, nim zdąży się do niej przygotować. Ponieważ kwestia była zbyt trudna do rozwiązania, więc ją

zignorował. Na dzień przed otrzymaniem dyplomu z Princeton spostrzegł, że jednak będzie musiał ją rozwiązać.

Kończył właśnie śniadanie w klubie, kiedy weszła Joanna; wyglądała, jakby wyszła wprost z salonu piękności, gdzie nadano dodatkowy połysk jej włosom i szczególny blask oczom. Zaprosił ją wprawdzie, ale dopiero na jutrzejszą uroczystość.

Poderwał się i powiedział:

— Cóż za miła niespodzianka. Co cię tu sprowadza?

— Powiedziałabym, że ktoś nazwiskiem Antoś Lawrence — odparła — ale nie pozwalam mężczyznom, żeby byli zbyt pewni siebie.

— Nie mogę być zbyt pewny ciebie. Nie wiem, jak by to wyrazić, ale jest w tobie coś pierwotnego, jak w nadejściu wiosny. Facet może oczekiwać wiosny, ale nie może czuć, że ją posiada.

— Jak cudownie! Czuję się, jakby mnie przed chwilą wybrano Miss Wiosną na rok 1936. Przychodzę teraz, bo jutro znajdziesz się w towarzystwie matki i dziadków, a ja będę się czuła jak piąte koło u wozu. Postanowiłam więc, że będę cię mieć dzisiaj wyłącznie dla siebie. Napiję się kawy, jeśli mnie poczęstujesz.

Usiedli i zamówili kawę. Pociągnęła parę łyków i przyjrzała mu się znad filiżanki.

— Trzymaj się — powiedziała. — Dam ci dowód, że możesz być mnie pewny jak samego siebie.

— No? — zagadnął czując, że robi mu się nieswojo.

— Miasteczko Elkton, w stanie Maryland, leży niecałe sto mil stąd. Antoś, na pierwszą możemy tam być. Zezwolenie na małżeństwo dostaniemy na poczekaniu. O drugiej możemy wziąć ślub przed sędzią pokoju, a o piątej wrócić do Trenton, gdzie zarezerwowałam pokój w hotelu dla państwa Lawrence'ow. Walizki mam spakowane w samochodzie.

Kiedy mówiła, zaczęły nim targać zimne i gorące dreszcze.

— Mój Boże — westchnął.
— Powinieneś upaść mi do stóp i bełkotać z wdzięczności.
— Niczego innego nie pragnę, ale, Joanno...
— Mogę ci wymienić wszystkie „ale" — odparła. — Co powie moja rodzina? Jak sobie poradzisz z dalszymi studiami? Skąd weźmiesz na moje utrzymanie? Czy nie lepiej zaczekać?
Antoś, mam odpowiedzi na każde z tych pytań, ale dziś nic nie ma znaczenia poza tym, żebyśmy się pobrali.
— Twoja rodzina się wścieknie.
— Naturalnie. Jestem ich marnotrawną córeczką, co poleciała na pierwszego mężczyznę, jaki się jej nawinął. No i co z tego? Przyzwyczają się.
— Ale wychodzić za faceta, który ma przed sobą trzy lata prawniczych studiów...
— A cóż za różnica, czy będziesz szedł co rano do biura, czy na wykłady?
— Ale bez grosza przy duszy...
— Antoś, dziadek zostawił mi w spadku po dwieście dolarów miesięcznie. W dodatku rodzinka nam na pewno pomoże. Niby z jakiej racji mieliby nie pomóc? Ja się nie zrujnuję i nie masz się co martwić. Jeśli chcesz, możesz na to patrzeć jak na pożyczkę, którą spłacisz, kiedy staniesz na nogi, zupełnie jak na swoje stypendium z Princeton, które zwrócisz, gdy będziesz mógł.
— Za ładnie to brzmi w twoich ustach — mruknął. — Wiem, że muszą się w tym kryć jakieś skazy. Psiakrew, musisz mi dać choć parę minut do namysłu.
— Nie ma co się zastanawiać? Mam dziewiętnaście lat, ty prawie dwadzieścia dwa. Przed stu laty ludzie młodsi od nas jechali krytymi furgonami na zachód, mieli rodziny i zakładali domy. A dlaczegóż to my nie mamy spróbować, kiedy jesteśmy młodzi? Co nam przeszkadza?
— Nic, drobiazg. Tak się złożyło, że to nie kryty furgon zaparkowałaś przed klubem, tylko najnowszy model Cadillaca.

— Dobra. Wracajmy do naszych czasów. Kto będzie twoim patronem?
Zaskoczyło go trochę, że ona wie o patronach. Żeby się dostać na prawo, trzeba było mieć poparcie opiekuna spośród palestry filadelfijskiej. Opiekun zgadzał się udzielać rad studentowi, a potem przyjąć go przynajmniej na rok na aplikanturę.
— Nie mam jeszcze patrona — powiedział. — Zamierzałem obgadać tę sprawę z moim dyrektorem licząc, że wysunie jakieś sugestie. Znajdę go na pewno, ale zabierze mi to trochę czasu. Cała bieda, że brak mi znajomości.
— Antoś, w tydzień po naszym ślubie ojciec sam się zaofiaruje, żeby zostać twoim patronem.
— Nie byłbym taki pewny. Jak się wścieknie, nie da siebie wodzić za nos.
— Żadna dziewczyna z olejem w głowie nie będzie wodzić mężczyzn za nos, nawet własnego ojca. Pogłaska go tylko trochę. I nie widzisz, Antoś, co to znaczy? Tu się otwiera dla ciebie kariera. Sędzia Dawes ma syna, ale tatuś nie ma. Skończy się na tym, że będzie tak z ciebie dumny, jak z własnego syna. Zobaczysz...
Ktoś dotknął Antoniego, usłyszał głos czarnego portiera.
— Pan wybaczy, panie Lawrence. Jakiś jegomość chce się z panem widzieć.
Antoni spojrzał. Przed salą jadalną w hallu stał mężczyzna w średnim wieku, słońce załamywało się na jego stalowosiwych włosach i ostrym profilu. Antoniemu serce zaczęło łomotać.
— Może weźmiesz się trochę do głaskania — mruknął. — Tam czeka twój ojciec.
Joanna wyjęła puderniczkę i przejrzała się w lusterku: tradycyjne posunięcie kobiety przed rozstrzygającym momentem.
— Nie denerwuj się — powiedziała. — Chyba wywąchał, co się święci, ale to nie musi nas zbić z tropu, jeśli nie stracisz głowy. Zapamiętaj sobie tylko jedno: on jest adwokatem i będzie próbował wygrać sprawę. A jeśli wygra, my przegramy.
Poszli do hallu, Joanna spokojnie pocałowała ojca, a Antoś uścisnął mu dłoń.
— Chyba nie musimy o nic pytać, prawda, tatusiu? Powiedz, jak się wysypałam?

Uśmiechnął się i poklepał Joannę po ramieniu.
— Szuflady w twoim pokoju, kochanie. Wyglądały tak, jakby huragan w nich buszował. Przyzwyczailiśmy się już do tego, że pakując się rozrzucasz wszystko na prawo i lewo. A nie powiedziałaś ni słowa, że nie wracasz na noc. Można powiedzieć, że oboje z matką utrzymywaliśmy coś w rodzaju ostrego pogotowia licząc się z podobnym wypadkiem.
— Cholera — powiedziała Joanna. — Mogliście mnie przynajmniej nauczyć porządku. Żeby od razu postawić sprawę jasno, tatusiu, jestem już pełnoletnia.
— Nie, moja droga. Wedle ustaw pensylwańskich wymaga się dwudziestu jeden lat.
— Ale w tej chwili jesteśmy w stanie New Jersey, tatusiu. A tutaj dziewczętom starcza osiemnaście lat.
— Poznać córkę prawnika — powiedział chichocząc. — Mylisz się, jeśli myślisz, że mam zamiar spierać się z tobą. Chcę tylko parę minut pogadać z Antosiem i zobaczyć, jak on się zapatruje na proponowane uprowadzenie. Nie przybywam tu wcale w charakterze srogiego ojca. Idzie mi tylko o przyjacielską wymianę poglądów.
— Antoś — powiedziała Joanna — nie wierz żadnemu słowu. Gdyby tatuś nie był adwokatem, ale prokuratorem okręgowym, w tenże sam sposób domagałby się kary śmierci.
— Antoś — rzekł pan Dickinson — trafiają się wypadki, kiedy człowiek powinien sam za siebie decydować. Spodziewam się, że nie zrobi ci różnicy, jeśli sprawę omówisz ze mną. I chciałbym, Joanno, porozmawiać z nim na osobności. Ostatecznie, ty wykorzystałaś swoją szansę dziś rano. Wypadałoby przez zwykłą przyzwoitość nie odmawiać jej i mnie.
— Nie zależy mi na przyzwoitości — odparła Joanna. — Zależy mi tylko na tym, żeby wyjść za mąż. Ale niech będzie, pójdę na pół godziny na górę. I, Antoś —

spojrzała na niego mocno, a potem przymknęła wilgotne oczy — nie zapominaj, że masz do czynienia z fachowcem...
Przy ostatnich słowach głos jej się załamał, odwróciła się na pięcie i uciekła po schodach.
Po latach Antoni pamiętał dokładnie, co to znaczy mieć do czynienia z fachowcem, i sam zaczął stosować poznaną wówczas taktykę. Zawodowy adwokat, tak jak pan Dickinson, najpierw badał skrupulatnie wszystkie słabe i mocne strony przeciwnika. Potem stosował parę drobnych chwytów, żeby go ustawić w niedogodnej psychicznie sytuacji. Naciskał pomaleńku i spokojnie, tak żeby nie wystraszyć oponenta, i zachęcał go do zrobienia fałszywego kroku. A wtedy z gładkim wdziękiem jak zapaśnik dżudo obracał siłę przeciwnika na jego własną zgubę.
Ale tego ranka Antoni nie był świadom, że za każdym posunięciem pana Dickinsona kryje się wprawna technika. Pan Dickinson zaproponował, żeby przeszli do klubowego salonu, całkiem pustego o tej porze. Był to duży pokój w stylu angielskich dworów, o belkowanym suficie, mlecznych, oprawionych w ołów szybkach i ze sporym, rzeźbionym w kamieniu kominkiem w głębi. Normalnie Antoni powinien był się czuć w swoim klubie o wiele pewniej i swobodniej niż gość na obcym gruncie. Ale pan Dickinson szybko odwrócił tę sytuację.
— Proszę cię, siadaj, Antoś — powiedział żywo, stając się od razu gospodarzem i zamieniając role.
Mówiąc to usiadł w wygodnym, obitym skórą fotelu pod oknem. Antoni stał przez chwilę, niejasno sobie przypominając zielony dywanik przed biurkiem dyrektora w Akademii Franklina. Nie znalazł pod ręką żadnego fotela, żeby usiąść, a nie chciał go ciągnąć przez pół pokoju spod drugiej ściany, więc wziął sobie zwykłe krzesło. W rezultacie, kiedy przystąpili do rozmowy, pan Dickinson spoczywał w wygodnym fotelu, Antoś zaś wiercił się na twardym krześle.

— Muszę cię przeprosić, że ci zakłóciłem spokój — powiedział pan Dickinson. — Naprawdę nie mam zwyczaju rzucać wszystkiego i ścigać Joanny po domach i klubach jej przyjaciół, tak jak teraz.

Antoni pomyślał, jak przewidziano w programie, że tylko wyjątkowo subtelny i rozumny człowiek mógł spojrzeć na sprawę pod kątem tego, o ile pan Dickinson zakłóca spokój pana Lawrence'a. Wedle wszelkich danych spokój pana Dickinsona został o wiele poważniej zakłócony. Antoni chciał to wyjaśnić panu Dickinsonowi i ugrzązł w zalewie przeprosin.

— Och, nie wspominajmy o tym — powiedział pan Dickinson. — Nie w tym rzecz, czy żona i ja znaleźliśmy się w kłopotliwej sytuacji, lecz w tym, jakie jest najlepsze wyjście dla was. Nie musisz mi mówić, Antoś, że darzysz Joannę poważnym uczuciem i że ona się ogromnie do ciebie przywiązała, gdyż to jest oczywiste. Ani nie potrzebujesz mnie przekonywać, że jesteś uroczym młodym człowiekiem, który ma przyszłość przed sobą. W gruncie rzeczy, Antoś, gdybym miał syna, chciałbym, żeby był podobny do ciebie.

Antoni poczuł się zarazem rozbrojony i skrępowany tym argumentem. Zapałał chęcią, żeby sprostać tak pięknemu mniemaniu.

— Dziękuję panu — powiedział gorliwie. — Postaram się o to, aby pan nigdy nie zmienił zdania.

— Jestem pewny, że nie zmienię, Antoś. Tak... przypuszczam, że oboje z Joanną odbyliście dziś rozmowę w tej sprawie. Byłoby mi na rękę, gdybym wiedział, jak się zapatrujecie na szereg związanych z nią kwestii.

Antoni zrozumiał, że ciężko mu będzie mówić o tym z panem Dickinsonem, ale musiał spróbować.

— Chyba podstawowy problem polega na tym, że mam zamiar studiować prawo i jestem bez grosza — powiedział. -Joanna uważa, że można by temu zaradzić w ten czy inny sposób

— Och, naturalnie — powiedział pogodnie pan Dickinson. -Ma własny skromny dochód. Coś chyba ponad dwa tysiące rocznie. Poza tym oczywiście spodziewa się od nas pomocy. Jak ci się to wszystko podoba?
— Cóż, tak jak Joanna to przedstawiła, przypominałoby to moje uniwersyteckie stypendium. Pewien rodzaj pożyczki, którą mógłbym spłacić, kiedy stanę na nogi.
— My obaj, Antoś — powiedział pan Dickinson pochylając się z poufałością — pod wieloma względami jesteśmy do siebie podobni. Ciekaw jestem, czy twoja reakcja na to przypominała po trosze moją. Czy nie wydawało ci się to odrobinę za gładkie i za łatwe?
— Uff, tak, proszę pana, chyba tak. Nie pamiętam dokładnie, ale powiedziałem coś na ten temat Joannie, że muszą się w tym kryć jakieś skazy, których na razie nie potrafię dostrzec.
— Cóż, Antoś, zobaczymy, czy są. Akurat pamiętam waszą pierwszą randkę. Zapamiętałem ten wieczór, bo następnego ranka spostrzegłem w garażu brak wozu Joanny i zapytałem ją, co się z nim stało. Powiedziała mi, że pożyczyła go tobie, żebyś miał czym wrócić do domu. Aha, i roześmiała się dodając, że to dobry na ciebie sposób, żebyś jeszcze raz ją odwiedził. Czy to pożyczenie samochodu wywołało w tobie jakąś szczególną reakcję, Antoś?
— Trochę dziwnie się poczułem. Tak jakbym nie chciał jej od razu przyznawać do siebie zbyt wielu praw. No, i naturalnie wyczuwałem, że niezbyt przyzwoicie korzystam z jej łask.
— A mówiłem, że jesteśmy do siebie podobni — rzekł pan Dickinson promieniejąc. — Oto reakcja człowieka, który się nie zadowoli, dopóki nie stanie na własnych nogach. Nie przeczę, że jest moc młodych ludzi, co tylko polują na posag i którym to uczucie pozostanie obce. A więc, skoro tak zareagowałeś na pożyczenie samochodu, jak się poczujesz, kiedy Joanna zamiast kluczyków od wozu podrzuci ci mieszkanko, nowy garnitur co parę miesięcy i od czasu do czasu

po dwadzieścia dolarów, żebyś mógł wpaść do Klubu Princetoriczyków i zabawić się z kolegami? Czy nie zareagujesz tak samo?

— Nie wiem — mruknął Antoni. — Po ślubie to może być co innego.

— Albo może nie być. Racja, Antoś?

— Tak, proszę pana, albo może nie być.

— A teraz spójrzmy na to od strony Joanny. W tej chwili jesteś ponętnym absolwentem. To pozycja pełna uroku. Poza tym tańczysz świetnie. Na randkach z Joanną jesteście oboje podekscytowani i żyjecie w pogoni za tym, żeby jak najcudowniej spędzić czas. A tu raptem cały urok pryska. Z szykownego absolwenta, który zabierał ją na zabawy, zostaje student prawa, który wraca zmordowany z wykładów do domu i zakopuje się na pół nocy w książki. Żąda się od rozbawionej panienki wielkiej przemiany. Przed chwilą oznaczałeś dla niej przygodę, a teraz oznaczasz obowiązki, gospodarstwo i trzymanie się na uboczu, kiedy kujesz po nocach. Jak ona to przyjmie?

— No dobrze, panie Dickinson, ale prawie każdą dziewczynę czeka taka przemiana, kiedy wychodzi za mąż.

— Istotnie, mój drogi. Ale większość z nich ma nad Joanną wielką przewagę. Może tracą beztroskiego chłopca i poczucie przygody, ale zyskują męża, który zarabia na chleb. A ty, Antoś, nawet okruchów nie przyniesiesz do domu.

— W porządku — mruknął Antoni. — Wiem, że to ryzyko.

— Jak powiadam, Antoś, jesteśmy do siebie bardzo podobni. Nie dbam o wielkie ryzyko. Może się wam udać. Ale może też skończyć się na tym, że skoczycie sobie do oczu. A gdzież wzajemny szacunek, który jest podstawą każdego udanego małżeństwa? Czy chcesz wystawić na hazard życie Joanny i swoje?

— Wiem, co pan ma na myśli — powiedział zgnębiony Antoni. — Ludzie nie powinni się puszczać na taki hazard. Gdybym widział inne wyjście...

— Chłopcze, jestem z ciebie dumny. Podchodzisz do sprawy jasno i uczciwie. Zatem zamiast hazardu chciałbym ci zaproponować coś, co nazwałbym pewną wygraną. Antoś, chciałbym zostać twoim patronem i wprowadzić cię na studia. Chciałbym, żebyś w wolnych chwilach pracował jako aplikant w kancelarii „Dickinson i Dawes". Jak tylko skończysz prawo, chciałbym, żebyś ożenił się z Joanną i wszedł do firmy. Gwarantuję ci pensję, która zapewni wam przyzwoite utrzymanie. Jak ci się to podoba?

Przez dwadzieścia minut Antoni dał się prowadzić pomaleńku i ostrożnie przez Pawilon Strachów, raptem na dalekim końcu drzwi się otworzyły i błysnęło słońce.

— Jestem zachwycony — powiedział poważnie. — Pragnąłbym tylko sprostać tej szansie, jaką mi pan daje.

Pan Dickinson wstał szybko: adwokat, który wie, że kiedy przekonał sąd, musi natychmiast kończyć sprawę, zanim przez jakiś nieopatrzny jego gest czy słowo sąd nie zmieni zdania.

— Wiem, że sprostasz — powiedział. — Własnego syna bardziej nie byłbym pewny. No, teraz uciekam, mój chłopcze. Z Joanną będziesz miał nieco trudną przeprawę, ale pora, żebyś zaczął się uczyć, jak ją ugłaskać. Powodzenia, Antoś. Wpadnij do mnie do kancelarii, jak tylko znajdziesz się w mieście, a zajmiemy się sprawą twoich studiów i zapoznamy cię z sędzią Dawesem.

Żwawo podał mu rękę i wyszedł. Antoni w susach pognał na drugie piętro, wołając Joannę. Stała przy jednym ze stołów w sali bilardowej układając bile w najrozmaitsze desenie.

Podniosła oczy, kiedy wpadł do sali, i zasłoniła się ręką, żeby nie mógł jej porwać w ramiona.

— Niedobrze — powiedziała. — Jesteś zbyt szczęśliwy.

— Ależ Joanno! — zawołał. — Twój ojciec zachował się wspaniale. Wyobraź sobie...

— Wiem, że wspaniale. Widziałam, jak zabiera się do ludzi. Wciąga ich w sieć, a stwarza wrażenie, że wypuścił ich z klatki. W co ciebie wplątał, Antoś?
— Ależ w nic, jak Boga kocham, Joanno. Przeciwnie, rozprostował mi skrzydła. Wszystko nam się świetnie powiedzie, zobaczysz...
— Wcale nie — odparła. — Liczyłam, że wrócisz blady, z zaciśniętymi zębami i wściekły jak wszyscy diabli. To by świadczyło, że zwyciężyłeś. Czym cię skusił?
Antoni wyłuszczył, o czym rozmawiali, podkreślił wspaniałą ofertę, z jaką jej ojciec wystąpił, w przeciwnym wypadku ryzykowaliby życie, czyż ona tego nie widzi?
— Naturalnie, że wiedziałam — powiedziała. — I pragnęłam ponieść ryzyko. Och, Antoś, po co ja usiłowałam gadaniem skłonić cię do małżeństwa! Trzeba było skusić cię na przejażdżkę i zamiast argumentów posłużyć się własnym ciałem. Nie rozumiesz, co się stało? Mieliśmy bardzo prostą kwestię do rozstrzygnięcia. Chciałam dzisiaj wyjść za ciebie, a tatuś nie chciał, żebym dzisiaj za ciebie wyszła. No, i wygrał. Może powinnam jeszcze raz spróbować cię przekonać, ale myślę, że nie mam szans. Zresztą, nie mam więcej ochoty. Tak więc tatuś wygrał, ty myślisz, że wygrałeś, a ja wiem, że przegrałam.
— Wolałbym, żebyś tego w ten sposób nie przyjmowała. Zaczęła pomaleńku zstępować ze schodów.
— Jeśli pozwolisz, Antoś, nie zostanę dziś tutaj. Wrócę jutro, żeby zobaczyć twoją promocję.
Odprowadził ją do samochodu, zapewniając szczerze, jak bardzo ją kocha i że dołoży wszelkich sił, żeby była z niego dumna. Rozpogodziła się trochę i odparła, że naturalnie ona też go kocha i może trzy lata szybko miną. Ale kiedy zapuszczała motor, Antoni spostrzegł, że Joanna spogląda nieprzytomnie w przestrzeń, a jej wargi powtarzają wciąż te same słowa.
— Cóż ty mówisz do siebie? — spytał.

Zdumiała się, a potem uśmiechnęła blado i odparła: — Nie uświadamiałam sobie, że poruszam wargami. Och, coś mi strzeliło do głowy. Powtarzałam: Artur, Jonatan, Helena i Betsy. Pamiętasz? To imiona, które wybrałam dla czworga swoich dzieciaków. Raptem coś mnie podkusiło, żeby je parę razy powtórzyć, abym ich nie zapomniała przez najbliższe trzy lata.

Antoni zadumał się nad tym, kiedy odjechała. Obudziło się w nim podejrzenie, że pan Dickinson naciągnął go na kiepski interes. Ryzykował żeniąc się natychmiast z Joanną, ale jeszcze bardziej ryzykował licząc, że dziewczyna, która chciała mieć czworo dzieci i wybrała już dla nich imiona, będzie czekać cierpliwie przez trzy lata, choćby nie wiadomo na kogo.

7

Kiedy po latach spojrzał na tę pierwszą fazę swego życia, wydało mu się, że można by ją nazwać okresem niemowlęcym. Do tej chwili zawsze ktoś na niego uważał, żeby nie ponabijał sobie guzów i nie wypadł z kołyski. Nawet w Princeton, gdzie pozwolono im się bawić w dorosłych, uczelnia dbała o to, żeby przy tej zabawie nie pokaleczyli się i nie zrobili sobie krzywdy.

Ale kiedy opuścił Princeton, opieka się skończyła. Z jednej strony — Instytut Prawa różnił się znacznie od wszechnicy. Profesorowie zwalali materiał na głowę studenta i wychodzili z Sali nie bacząc, czy student zdążył się połapać. Z drugiej strony — w domu zaszły zmiany.

Całe lata dziadek trzymał się Akademii Franklina nie chcąc słyszeć o przejściu na emeryturę. Dawno zastąpiono by go jako kierownika katedry łaciny, gdyby nie to, że katedra sama przestawała istnieć; nie tylko dlatego, że łacina stanowiła martwy język, ale i zainteresowanie nią obumierało. Henryk Judson ciężko pracował, żeby je podtrzymać, wyszukując uczniów na swoje nieliczne już lekcje, tak jak trener dobiera graczy.

Pewnego dnia na jesieni, w pierwszym roku studiów prawniczych Antoniego, dziadek wrócił ze szkoły paskudnie przeziębiony. Następnego dnia pogorszyło mu się i Henryk Judson musiał zostać w domu, gdzie wygłaszał mowy przeciwko swojej dolegliwości jak Cycero piorunujący w rzymskim senacie. Powoli z przeziębienia wywiązało się zapalenie płuc i dudniący grzmot jego głosu zamienił się w mamrotanie. Przez dwa dni cicho leżał w łóżku. Potem nastąpił gwałtowny i ostateczny wybuch energii. Odpychając podtrzymujące go ręce dziadek usiadł i wygłosił ostatnią mowę. Słowa jego zaćmiła wszakże maligna. Być może urągał zarazkom, które osaczyły go, aby dokonać bezlitosnego dzieła. A może był Horacjuszem broniącym mostu sublicjańskiego przed wodzem Etrusków, Larsem Porseną. A może tylko zagrzewał jedenastkę od Franklina do zwycięstwa nad Pengimem. Oracja zakończyła się triumfalnym okrzykiem „Ave atque vale!", po czym Henryk Judson opadł na poduszki i zmarł. Byłby zadowolony, gdyby wiedział, że jego ostatnie słowa zostały wypowiedziane po łacinie.

Na pogrzebie babka była spokojna, blada i drżąca, a matka trzymała się blisko niej w pogotowiu.

— Nie bój się tak, moja droga — powiedziała babka cichym głosem. — Nie padnę bez czucia. Zawsze mi się wydawało, że umieranie na pogrzebie nie należy do dobrego tonu. Zostawmy ten zwyczaj żonom Hindusów i innym uczuciowym narodom. Mnie nie zależy na dramatycznych gestach.

Babka dotrzymała obietnicy. Odczekała pełne dwa miesiące, a potem pewnego wieczoru w salonie domu na Jodłowej zmarła, osuwając się spokojnie w starym bujaku, w którym przez tyle lat zasiadała do haftowania. W jej odejściu nie kryło się nic dramatycznego, chyba że kogoś zastanowiła leżąca na jej kolanach otwarta książka. Zawierała wiersze i widocznie babka przed chwilą podkreśliła w niej strofę Byrona, zaczynającą się od słów: „Idzie w piękności swej ozdobie, jak noc..." Ani Antoni, ani matka nie wiedzieli, czy za tym wierszem coś się kryje.

„Prawdopodobnie nic takiego — pomyśleli sobie — co miałoby posmak dramatyczny".

Dom opustoszał, stał się zimny i ogromny, więc matka sprzedała go i wynajęła mieszkanie na Orzechowej, zaraz za placem Rittena. Prawie w tym samym czasie w ekskluzywnej szkole panny Rogers, do której matka kiedyś uczęszczała, zabrakło dyrektorki i szkoła zaproponowała matce tę posadę. Matka przyjęła ją zadowolona, że może się uwolnić od despotycznej pani Hoyt Phelps i wysługiwania się w jej przedsiębiorstwie porad towarzyskich. Ale nowa praca zajmowała jej o wiele więcej czasu i przyniosła zainteresowania, w których Antoni nie miał udziału.

Tak w krótkim czasie życie jego uległo dużej zmianie. Z początku miał wrażenie, że został z korzeniami wyrwany z ziemi i że wszystkie więzy łączące go z przeszłością zostały zerwane. Ale w końcu uświadomił sobie, że tak myśli tylko dziecko. Nie sprzedawało się wspomnień wraz z domem ani nie grzebało się ich wraz z trumną. Cząstka jego wciąż żyła w starym, drewnianym domu na Jodłowej, pośród ciężkich mebli z orzecha, ścian zawieszonych obrazami Galahada w pełnej zbroi, greckich i rzymskich ruin, gdzie dudnił głos jego dziadka i padały napomnienia babki, żeby włożył kalosze. Cokolwiek zrobi w przyszłości, będzie to uwarunkowane w jakimś stopniu cząstką jego umysłu zakotwiczoną w minionym czasie.

Nastąpiła w jego życiu jeszcze inna zmiana. W ciągu pierwszego roku studiów on i Joanna pomaleńku zaczęli się od siebie oddalać. Coraz rzadziej się widywali, przez pewien czas każde z nich poczuwało się do winy i przepraszali się nawzajem, że się nie odwiedzają. Ale z biegiem miesięcy Antoni uświadomił sobie — i podejrzewał, że Joanna też o tym wiedziała — iż los ich romansu został przesądzony pewnego czerwcowego dnia w Princeton, tuż przed promocją. I teraz tylko szli jego śladem.

Ale można jakiś fakt przewidywać, a jednocześnie odczuć go boleśnie, kiedy nastąpi. W wolnych chwilach Antoni pracował jako aplikant u pana Dickinsona i pewnego dnia późną wiosną szef wezwał go do gabinetu.

— Mam ci coś zakomunikować, Antoś — powiedział. A potem spoglądając w okno dodał: — W przyszłym miesiącu Joanna wychodzi za mąż.

Antoni uczuł dojmujący ból, nie nagły i ostry, ale powolny i pulsujący, jakby odnowiła się dawna rana, którą otrzymał w czerwcu.

— Cóż — powiedział — chyba się tego spodziewałem.

— Mam nadzieję, że nie potępisz Joanny — powiedział pan Dickinson. Wciąż wyglądał oknem i Antoni wiedział, że pan Dickinson właściwie prosi, żeby jego nie potępiać. — Chce mieć własny dom i rodzinę. To całkiem naturalne.

— Artur, Jonatan, Helena i Betsy... — powtórzył cichym głosem Antoni.

— Cóż to znowu?

— Myślałem, że pan wie. Dawno wybrała te imiona dla czworga swoich dzieci.

— Mam nadzieję, że nie zechce tak ściśle się tego trzymać. Czworo dzieci to prawie nieprzyzwoita ilość. Więc powiadasz, że miała wybrane imiona?

— Tak, proszę pana.

To było głupie z jego strony, ale poczuł zadowolenie, że pan Dickinson nic nie wiedział o imionach. Widocznie nie łączyły go bliskie stosunki z córką i mało ją znał. Być może przed rokiem pan Dickinson mylił się rozumując, że małżeństwo Antoniego z Joanną pociągnęłoby za sobą wielkie ryzyko.

— Niech pan mi powie, za kogo wychodzi?

— Za bardzo przyjemnego chłopaka. Nazywa się Carter Henry — pan Dickinson obrócił się, spojrzał mu w oczy i podjął: — Chcę, żebyś wiedział, Antoś, że w moim rozumieniu wytrzymujesz porównanie z nim. Za parę lat, kiedy skończysz prawo, byłbym uradowany, gdyby wszystko wyszło tak, jak mówiliśmy. Ale Carter Henry może ożenić się już dzisiaj. Jest mniej więcej w twoim wieku, rok po

studiach, pracuje u ojca. Stary Henry jest właścicielem wielkiej fabryki urządzeń elektrycznych, interes, który przynosi rocznie chyba ponad piętnaście milionów dolarów. Chłopak za parę lat zostanie wicedyrektorem.

— Mam nadzieję, że będzie bardzo szczęśliwa.

Była to na wskroś konwencjonalna uwaga, ale pan Dickinson podchwycił ją jako wyraz najszlachetniejszych uczuć nie notowany od czasów Nathana Hale'a, który ubolewał, że może tylko jedno życie oddać za ojczyznę. Widocznie pan Dickinson miał bardzo niespokojne sumienie.

— Wspaniale to przyjąłeś — powiedział ciepło. — Spodziewałem się, chłopcze, że zareagujesz w ten sposób. Przynosi ci to wielką chlubę. Powtórzę twoje słowa Joannie i wiem, że dla niej będzie to miało ogromne znaczenie. Czuła się tak paskudnie, aż powiedziała mi, że nie może spojrzeć ci w twarz, i błagała mnie, żebym ja ci przekazał wiadomość. Mogę ci powiedzieć, że nie było to przyjemne zadanie.

— Był pan bardzo troskliwy i rozważny, panie Dickinson. Doceniam to.

— Dziękuję ci, mój drogi. Dziękuję. A zatem — powiedział żywo — chciałbym cię zapewnić, że to w najmniejszym stopniu nie zakłóca naszych osobistych stosunków. Z chęcią pozostaję twoim patronem i cieszę się na tę chwilę, kiedy po skończeniu prawa przystąpisz do naszej firmy.

Antoni podziękował mu, powiedział, jak bardzo to docenia, i na tym rozmowa się skończyła. Ale zrozumiał jaśniej niż kiedykolwiek, że owego czerwcowego dnia w Princeton zachował się jeszcze jak dzieciak. Słuchał z wielkimi oczyma tego, co mu powie dorosły pan Dickinson. Od dziś będzie wglądał uważniej w pobudki kryjące się za słowami i badał je skrupulatnie jak ekspert bankowy, gdy wpadnie mu w ręce podejrzanie wyglądający czek.

Maleńka analiza wskazywała teraz, że w firmie „Dickinson i Dawes" nie czeka go zbyt różowa przyszłość. Pan Dickinson miał niespokojne sumienie. A ludzie tego

nie lubią. Z czasem nabierze niechęci do tego, kto mu zakłóca spokój sumienia. Będzie mądrze, pomyślał Antoni, zabezpieczyć się na ten dzień.
Nie starał się zetknąć z Joanną. Nie miał jej nic do powiedzenia poza tym, że okazał się idiotą, o czym ona sama zapewne wiedziała. Posłał jej najlepszy prezent ślubny, na jaki było go stać, ale nie poszedł na uroczystość ani na przyjęcie. Stopniowo rana się zagoiła i odzywała się tylko wtedy, gdy się ją z uporem naciskało, jak kontuzjowane przy piłce kolano dowodzi, że nie wszystko zagoiło się gładko.
Na szczęście dla jego samopoczucia w tym okresie studia szły mu świetnie. Klasyczny proceder studiów prawniczych z pokolenia na pokolenie przewidywał, że na pierwszym roku pobudza się studenta do śmiertelnego strachu, na drugim — do śmiertelnego wysiłku, a na trzecim do śmiertelnych nudów. Ale Antoni znajdywał we wszystkim przyjemność. Przemawiała do niego gruntowność cechująca naukę prawa. Kiedy człowiek natknął się na problem, szedł do biblioteki, szukał podobnych precedensów i wyroków, a potem wypracowywał własny sąd w świetle postanowień, które inni ludzie uznali przed nim za słuszne. Uczenie się, jak zostać prawnikiem, przypominało bardzo uczenie się, jak zostać filadelfijczykiem. Niektórzy studenci z jego roku — Żydzi walczący o łakomy tytuł fachowców, Włosi pragnący odegrać rolę w polityce — przejawiali taką błyskotliwość, że nie miał co marzyć, by ją posiąść. Żydzi traktowali prawo jak wielki turniej szachowy; chcieli być mistrzami, co wynajdują nowe gambity. Włosi brali się do tego z uczuciem, tak prowadząc proces, jakby śpiewali arię z „Rigoletta". Ku swemu zdumieniu Antoni, który lubił prawo dla samego prawa, spostrzegł, że może im dorównać w wynikach studiów, jeśli nie w błyskotliwości. Pod koniec roku znalazł się w pierwszej dziesiątce i jako jeden z nielicznych został zaproszony do współpracy w „Przeglądzie Prawniczym".

Na drugim roku powiodło mu się jeszcze lepiej i doszły go słuchy, że ma zostać mianowany naczelnym redaktorem „Przeglądu" na następny i ostatni rok. Kiedy napisał końcowy egzamin i złożył tekst, woźny powiedział mu, że dziekan chce go widzieć. Zgłosił się do sekretarki, która poprosiła go, aby zaczekał, i weszła do gabinetu. Po chwili wyszedł doń sam dziekan.

— A, witaj, Lawrence — powiedział. — Jak ci poszedł egzamin?

— Chyba dobrze, panie dziekanie — odparł Antoni. — Ale nie jestem całkiem zadowolony ze swojego zreferowania okoliczności łagodzących. Chciałem zacytować opinię sądu w analogicznej sprawie, Commonwealth contra Webster w stanie Massachusetts, lecz nie mogłem jej sobie przypomnieć tak dokładnie, jak powinienem.

— No, no, jestem pewny, że spisałeś się świetnie. Chciałbym, żebyś się zobaczył z pewnym jegomościem, który czeka w moim gabinecie. Niejaki pan Wharton, właściwie Jan Marshall Wharton. Z syndykatu „Morris, Clayton, Biddle i Wharton".

Dziekan wypowiedział te nazwiska z namaszczeniem, niemal jak psalm w kościele. I tak też należało to zrobić. Firma „Morris, Clayton, Biddle i Wharton" stanowiła jedną z wielkich firm prawniczych. Ale to jeszcze nie wszystko. Kiedy ktoś mówił: Morris, Clayton, Biddle i Wharton, to tak, jakby odwracał karty dziejów Filadelfii.

Protoplasta rodu Morrisów, Antoni, piastował urząd drugiego z kolei burmistrza grodu. Syn jego również został burmistrzem — oczywiście działo się to w zamierzchłych czasach, jeszcze pod panowaniem brytyjskim, kiedy urząd ten przynosił zaszczyt. W trzecim pokoleniu ród wydał kapitana Sama Morrisa, który jako założyciel klubu łowieckiego z zamiłowaniem polował na lisy, a jako dowódca filadelfijskiego pułku lekkiej kawalerii w czasie wojny o niepodległość z zamiłowaniem polował na Brytyjczyków. Claytonowie znowuż byli

spowinowaceni po kądzieli z kilkoma burmistrzami z okresu kolonialnego; niejaki pan Logan Clayton był jednym z wielkich dziewiętnastowiecznych bankierów, a jego syn Glendenning — znakomitym znawcą prawa konstytucyjnego. Z kolei Biddle'owie stanowili niemalże symbol Filadelfii na równi z ciastkami drożdżowymi, złotośledziem i tygodnikiem satyrycznym „Figle"; sławna anegdota mówiła o wybaczalnej pomyłce księcia Walii (tego, co potem został księciem Windsoru), któremu pomieszały się „Figle" i Biddle i, zamiast znakomite „Figle", powiedział znakomite „Biggle". Whartonowie wydali spośród siebie plejadę bankierów, burmistrzów, prawników i Bóg jeden wie, kogo jeszcze. Poza tym na przestrzeni całej historii Filadelfii spekulowali na nieruchomościach, chociaż ich system polegał na tym, żeby nie puszczać posiadłości na rynek, dopóki nie odsiedzieli na niej ze sto lat.

A zatem, kiedy członek firmy „Morris, Clayton, Biddle i Wharton" schodził na ziemię i chciał się spotkać ze zwykłym śmiertelnikiem, był to tak niecodzienny wypadek, jak gdyby temuż śmiertelnikowi z wieży ratusza pokłonił się dostojnie posąg Williama Penna.

— Jestem wielce zaszczycony — powiedział Antoni.

— Pan Wharton — rzekł dziekan — chce z tobą na pewien temat pomówić. Uprzedzam tę rozmowę, bo chciałbym ci powiedzieć, że decyzja, której on zażąda, spoczywa wyłącznie w twoich rękach. Ma swoje dobre i złe strony. Ale naprawdę nie chciałbym ci doradzać, czy masz jego propozycję przyjąć, czy odrzucić. No, to chodźmy, dobra?

Pan Jan Marshall Wharton był wysokim, szczupłym mężczyzną pod sześćdziesiątkę, o srebrnych, falistych włosach, które nadawałyby mu wygląd wirtuoza, gdyby im pozwolił wyrosnąć o cal ponad miarę, ale naturalnie pan Wharton przycinał je o ćwierć cala poniżej miary. Przez kilka minut prowadził z Antonim miłą, towarzyską rozmowę, a potem rzekł:

— W moim wieku prawnicy na ogół odczuwają pokusę, żeby zasiąść na fotelu sędziowskim albo napisać książkę. Ja zdradzam tę drugą słabość. Chcę napisać rozprawę o ewolucji antytrustowej ustawy Shermana w świetle orzeczeń sądowych. Potrzebuję bystrego młodego człowieka do pomocy w zbieraniu materiałów.

— Tak, proszę pana — powiedział rozważnie Antoni. Okazywanie innych uczuć niż rozwaga było jeszcze stanowczo przedwczesne. Nazwano go bystrym młodym człowiekiem i mógł tę opinię potwierdzić, nie łasząc się z miejsca jak piesek.

Pan Wharton skinął, pochwalając chyba tę roztropność.

— Pomyślałem sobie — podjął — że tego rodzaju zajęcie może przypaść do gustu studentowi prawa, który wybija się w nauce, ma za sobą współpracę w „Przeglądzie Prawniczym" i nie pogardzi skromnym zarobkiem. Pan dziekan mówił mi, że pan właśnie posiada te warunki.

— Bardzo się cieszę — odparł Antoni odrobinę cieplejszym głosem i z ukłonem w stronę dziekana dodał: — Dziękuję panu.

— Podejrzewam — powiedział z uśmieszkiem pan Wharton — że zanim pan tu wszedł, pan dziekan szepnął panu, że sprawa ma swoje dobre i złe strony.

Dziekan poczerwieniał trochę i zachichotał. Antoni wyszczerzył zęby.

— Nad plusami chyba nie muszę się rozwodzić — rzekł pan Wharton dając w ten sposób do zrozumienia, iż przypuszcza, że Antoni jest obeznany z historią Filadelfii. — Z chęcią będę panu wypłacał pięćdziesiąt dolarów tygodniowo, poczynając od tego lata. Na okres letni wyjadę do swojego domku w Maine, gdzie opracuję główny zarys książki. Spodziewam się, że pan na lato zostanie tutaj i wyszpera po archiwach i bibliotekach wszystkie materiały i wyroki, jakie zapadły w oparciu o antytrustową ustawę Shermana. Od jesieni zaczniemy pracę nad książką i wiem, że zajmie ona panu niemal wszystek wolny czas. Liczę, że uda mi się ją skończyć w ciągu roku.

_ Trudno mi powiedzieć — rzekł Antoni — czy minusy zdołają przeważyć plusy, proszę pana.
— Główny szkopuł — odparł pan Wharton — oczywiście polega na tym, że będzie pan musiał poświęcić sporo czasu. Może nie więcej, niż pan poświęca „Przeglądowi", ale nie będzie pan mógł pogodzić obu tych obowiązków. A to nie bagatelka. W gruncie rzeczy, o ile mi wiadomo, wygląda na to, że będzie pan musiał zrezygnować z perspektywy zostania naczelnym redaktorem w „Przeglądzie". Obaj wiemy dobrze, co to znaczy z uwagi na prestiż.
Antoni uświadomił sobie, że czeka go ryzykowna decyzja. Redaktor „Przeglądu" mógł śmiało liczyć, że zostanie zaproszony do współpracy w poważnej firmie prawniczej. Z drugiej strony ten prestiż szybko się wyczerpywał. W parę lat po wyjściu z uczelni nikt nie dbał o to, czy facet był, czy nie był redaktorem „Przeglądu". Natomiast zasługę, którą można by zdobyć pomagając panu Whartonowi w napisaniu podstawowego podręcznika, ludzie będą długo pamiętać. Z kolei nasuwał się jeszcze jeden wniosek. Obie strony rozumiały znakomicie, choć o tym nie napomknięto, że jeśli Antoni dobrze się spisze, może zostać przyjęty do syndykatu „Morris, Clayton, Biddle i Wharton".
Antoni spojrzał na dziekana licząc, że mu dopomoże, ale dziekan uśmiechnął się tylko i wzruszył ramionami. W założeniu krył się również fakt, że jeśli Antoni nie sprosta wymaganiom pana Whartona, nie zostanie przyjęty do syndykatu i poświęci prestiż redaktora „Przeglądu" w zamian za nic.
— Jest jeszcze inna kwestia — powiedział Antoni — którą powinienem rozważyć. W wolnych chwilach pracuję jako aplikant u „Dickinsona i Dawesa".
— Wiem o tym — odparł pan Wharton. — Obawiam się, że będzie pan musiał z tego też zrezygnować. Z chęcią odwiedziłbym pana Dickinsona i wyjaśniłbym tę sprawę. Oczywiście, nie chciałbym ogołacać mu kancelarii bez jego zgody. Jestem pewny, że na to przystanie, choć może z nie największą ochotą. Więc widzi pan —

dodał z niespodziewanie ujmującym uśmiechem — wymagam od pana wielu wyrzeczeń. Ale egoizm mi każe brać tylko rzeczy najwartościowsze. A wartościowy człowiek ma zawsze wiele innych zobowiązań, tak jak pan właśnie.
Pan Wharton zagrał bardzo zręcznie i rozbrajająco, przyznając się do egoizmu, gdyż w istocie egoizm nim kierował.
— Kariera w Filadelfii
Wymagał przecież, by Antoni zaryzykował pewną kartę — „Przegląd Prawniczy" — dla pięćdziesięciu dolarów tygodniowo i nadziei. Pan Wharton myślał też, że wymaga od Antoniego, by zaryzykował swoją przyszłość u „Dickinsona i Dawesa" dla tychże pięćdziesięciu dolarów i nadziei, ale sprawa miała się inaczej. W ciągu minionego roku, jak Antoni przewidywał, sympatia pana Dickinsona wygasła. Zlecano Antoniemu coraz mniej prac; do firmy przystąpił syn sędziego Dawesa wraz z kolegą szkolnym z Harvardu. Pan Dickinson nie śmiał złamać obietnicy danej Antoniemu, że go po studiach zaangażuje do firmy, ale mógł ją przekształcić w znak zapytania.
— Chciałby pan mieć czas na zastanowienie się? — zagadnął pan Wharton.
Przed dwoma laty Antoni dał się zastraszyć przed podjęciem ryzyka i kiepsko na tym wyszedł.
— Nie trzeba mi więcej czasu, proszę pana — odparł. — Możliwość pracy z panem poczytuję sobie za wielki zaszczyt.
— Świetnie — powiedział pan Wharton. — Jestem przekonany, że obaj uświadamiamy sobie jasno wszystkie pro i contra, i mam nadzieję, że żaden z nas nie pożałuje swojego wyboru.
Uśmiechnęli się i uścisnęli sobie ręce, nie przypuszczając, że przyszłość przyniesie takie pro i contra, o których nie było mowy, ale — jak się okaże — znacznie ważniejsze niż wszystkie plusy i minusy razem wzięte.

Przez całe lato Antoni obcował tak namiętnie z antytrustową ustawą Shermana, że cały świat poza tym zaczął mu się wydawać nierzeczywisty. Pan Wharton wrócił z Maine w początkach września i jak karabin maszynowy wypuścił w niego serię pytań, mających na celu wysondowanie wiedzy Antoniego o sławnych antytrustowych procesach, takich jak proces Standard Oil z roku 1911. Antoni zaczął odpowiadać.

Pan Wharton słuchał przez dziesięć minut, a potem roześmiał się i zrobił ręką obronny gest.

— Dobra — powiedział. — Chciałem tylko sprawdzić, czy pan pracował przez lato. A pan niemalże zdążył mnie przekonać, że sam opracowywał większość tych słynnych wyroków. Świetnie. Teraz możemy się zabrać do roboty.

Początkowo pracowali po parę wieczorów na tydzień w klubie albo w kancelarii pana Whartona. Potem pan Wharton zaczął przyjeżdżać na niedziele. Wreszcie zaprosił Antoniego do siebie na weekend, żeby wykorzystać wszystek czas na prace. I tu się zaczął całkiem nowy rozdział w życiu Antoniego.

Rezydencja Whartonów stanowiła jeden z najstarszych zabytków Filadelfii, choć leżała daleko za miastem. Sześć pokoleń wstecz, w roku 1790, któryś Wharton wybudował ją, uciekając przed epidemią żółtej febry, jaka wówczas wybuchła w mieście. Pałacyk był w stylu klasycystycznym i z biegiem lat blady kamień wchłonął w siebie soczystość słońca. Zdawało się, że lekko unosi się nad ziemią, jak gdyby płynął po zielonej tafli trawników, Wewnątrz cały jaśniał łagodnie bursztynową poświatą mahoniowych i wiśniowych mebli, niebieskawymi płomieniami sędziwych sreber, głębokim połyskiem zabytkowej ceramiki i kryształów. „Zamieszkując w nim — myślał Antoni — człowiek czuje się chyba tak, jakby sobie urządzał majówkę w muzeum". Ale pan Wharton naturalnie był do tego przyzwyczajony.

Podczas pierwszej wizyty w pałacu zaprowadził go do gabinetu i powiedział:

— Niech pan bierze krzesło i zaczynamy.
Antoni przyciągnął sobie pierwsze z brzegu i już chciał usiąść, ale podskoczył jak oparzony. Wygląd krzesła nie pozostawiał złudzeń: oparcie w kształcie liry z motywem muszli u szczytu, wygięte nogi zakończone szponem.
— O co chodzi? — spytał dość niecierpliwie pan Wharton.
— Lepiej wezmę sobie inne krzesło, proszę pana. To jest Chippendale, prawda?
— Chyba że mojego pra-pra-pradziadka oszukali. Prawdopodobnie będzie to robota Williama Savery albo Jonatana Gostelowe, czy jakiegoś innego gościa z filadelfijskiej szkoły Chippendale'a. Brak mu czegoś? Nogi się chyba nie chyboczą?
Antoni nie mógł powstrzymać uśmiechu.
— Nie, proszę pana. Po prostu pomyślałem, że to krzesło musi być warte przynajmniej kilka tysięcy dolarów.
— Całkiem możliwe. Fiske Kimball wybrał się tu kiedyś i mało mnie nie zamordował chcąc odkupić dwa dla swojego cholernego muzeum.
— Wygodniej mi będzie na innym krześle.
— Bzdura. Krzesła są po to, żeby na nich siedzieć. Jazda, bierzmy się do roboty.
Pan Wharton nie miał dzieci. Ożenił się dopiero grubo po czterdziestce; krach w 1907 roku nadszarpnął mocno fortunę Whartonów i Jan Marshall Wharton, odkładając wszystko inne, zawziął się, żeby ją odrestaurować. Pani Wharton była znacznie od niego młodsza. Antoni myślał, że chyba nawet o kilka lat młodsza niż matka, co w jego oczach wcale nie oznaczało, że pani Wharton nie zasługuje na miano osoby w średnim wieku. Przekroczyła zapewne czterdziestkę.
Najpierw zapadła mu w świadomość jako smukły, wdzięczny cień poruszający się po domu, absolutnie niedokuczliwy, jak płomień świecy. Później nieraz przyłapywał się na tym, że przy obiedzie obserwuje jej profil; siedziała po prawej stronie, przeważnie patrząc na męża na drugim końcu długiego mahoniowego

stołu. Profil miała czysty i zimny jak ślad wycięty na lodzie przez wirtuoza-łyżwiarza. Ciemne włosy obcinała krótko i zaczesywała w czarne skrzydła od skroni. Tu i ówdzie lekko się srebrzyły. Przypadek czy też geniusz fryzjera sprawił, że siwe pasemka były odrobinę dłuższe od czarnych, co dawało wspaniały efekt, jak gdyby na ciemnych włosach osiadł leciutki szron.

Od czasu do czasu, kiedy mąż perorował przy obiedzie o antytrustowej ustawie Shermana, udawało jej się wtrącić błagalną uwagę czy pytanie na temat sztuki, muzyki lub nowych powieści. Antoni doszedł do wniosku, że równie dobrze mogła powstrzymać walec parowy sypiąc mu kwiaty na drogę. Ale profil pani Wharton nigdy nie zmieniał wyrazu, kiedy mąż na Shermanie toczył się naprzód i wgniatał w ziemię jej próbki podjęcia rozmowy.

Miesiąc z górą upłynął od czasu, kiedy zaczął przyjeżdżać na weekendy, zanim rzeczywiście porozmawiał z panią Wharton. Potem pewnej niedzieli z rana, nim Whartonowie zeszli na dół, Antoni postanowił zbadać ogromną bibliotekę w zachodnim skrzydle pałacu. Zapełniały ją książki w przewspaniałych oprawach z koźlej marokańskiej skóry i innych nie mniej pięknych, których nie znał. Początkowo szukał podejrzliwie nie rozciętych kartek, o jakie łatwo w dużych prywatnych księgozbiorach. Ale naturalnie ich nie znalazł. Whartonowie kupowali rzeczy do użytku, nie na pokaz. Jan Marshall Wharton nie należał jednak do pożeraczy książek, więc niewątpliwie biblioteka stanowiła dzieło minionych pokoleń Whartonów.

Przeglądał właśnie wczesne wydanie „Robinsona Cruzoe", kiedy weszła pani Wharton.

— Proszę mi wybaczyć — powiedziała. — Nie wiedziałam, że pana tu zastanę.

— Podziwiam tylko — odparł. — Cóż to za biblioteka, prawda?

Zamknął „Robinsona" i odstawił na półkę.

— Owszem, ładna. Co prawda, niezbyt nowa. Ojciec męża i dziadek kochali się w książkach, ale mąż nigdy za tym nie przepadał.
Mówiąc to, widocznie całkiem nieświadomie sięgnęła ręką i obróciła „Robinsona" na półce grzbietem do góry. Antoniemu przypomniało się, że książka tak właśnie dziwnie stała, kiedy brał ją stamtąd. W istocie — teraz, kiedy to spostrzegł — przynajmniej setka z licznych tomów w bibliotece spoczywała na półkach obrócona grzbietami do góry.
— Wybaczy mi pani ciekawość? — zapytał. — Dlaczego obróciła pani tę książkę? I dlaczego tyle innych stoi grzbietem do góry?
— Cóż, o ile wiem — powiedziała — gdzieś około roku tysiąc dziewięćset dziesiątego ojciec męża zrobił skrupulatny przegląd biblioteki. Brakowało mu miejsca na półkach i miał zamiar pozbyć się podwójnych egzemplarzy i tych książek, które przestały go interesować. Więc poobracał te, które przeznaczał do rozdania. Lecz nad tym, czy je rozdać, medytował przez kilka lat, a potem zmarł. Naturalnie, nikt nie naruszył układu książek na półkach, choć ciężko było przyuczyć nową służbę, żeby ich nie przestawiała.
Jej ton wskazywał, że była to bardzo poważna sprawa, i Antoni wiedział, że powinien ją przyjąć w tenże sposób. Lecz w istocie uderzyła go śmieszność tej historii. Usiłował zachować poważną minę, ale się nie udało i uśmiech wykrzywił mu twarz. Pani Wharton spojrzała na niego zgorszona i zdumiona, aż raptem parsknęła śmiechem. Zrobiła to tak rozkosznie, wyzwalając się z ciasnego pancerza chłodu, że Antoni nie wytrzymał i parsknął. Pani Wharton też zaczęła się śmiać i po chwili oboje zanosili się niemal histerycznym śmiechem.
— O Boże, o Boże — wykrztusiła wreszcie pani Wharton ocierając oczy. — Od lat tak się nie uśmiałam. Och, cóż to za przekomiczna historia...
— Cudowna... Głowę daję, że coś takiego mogło się zdarzyć jedynie w Filadelfii.

— Pomyśleć tylko, że one tak stoją od tysiąc dziewięćset dziesiątego roku... — i znów zaniosła się śmiechem.
Nie ochłonęli jeszcze, kiedy wszedł pan Wharton; wyglądał z lekka urażony.
— Cóż to za wrzawa od samego rana, jak w domu wariatów — wymamrotał. — Z czego tyle śmiechu?
Antoni wolał nic nie mówić, żeby znów nie popaść w histerię; na szczęście pani Wharton wśród napadów śmiechu i płaczu odpowiedziała mężowi.
— Skoro mój ojciec uważał, że to dobry pomysł — odparł pan Wharton — nie mogę pojąć, co w tym śmiesznego. Moim zda... — urwał; wbrew rozpaczliwym wysiłkom uśmiech wykrzywił mu usta. — Właściwie — powiedział — to jest zabawne. To... — Zrobił głupią minę i raptem wyrwał mu się z piersi dudniący śmiech. We trójkę zaczęli ryczeć jak szaleni. Pan Wharton dusząc się wymamrotał:
— Zróbmy z tą bzdurą porządek — rzucili się dziko i radośnie ustawiać książki.
Poczuli się potem trochę zażenowani tym niepowściągliwym zachowaniem i woleli unikać swoich spojrzeń. Śniadanie upłynęło w milczeniu, przy każdym nakryciu czekała niedzielna gazeta. Pan Wharton czytał wstępniaki w „New York Timesie", pani Wharton przeglądała dział mody, Antoni zaś udawał, że pochłania wiadomości sportowe, choć rozumiał tylko piąte przez dziesiąte. W bibliotece wydarzył się zadziwiający wypadek, który zapewne wywoła zmianę w ich stosunkach. Antoni nie wiedział jaką, więc wolał zachowywać się ostrożnie, dopóki państwo Wharton nie zdradzą się ze swoim nastawieniem.
Nie czekał na to zbyt długo. Po południu siedział z panem Whartonem w gabinecie, dokąd przynoszono im lunch, po którym zwykle pracowali aż do wieczora. Ale kiedy rozległo się pukanie, do gabinetu zamiast pokojówki weszła z tacą pani Wharton.
— Zdecydowałam się na stanowczy krok — powiedziała ujmująco.

— Tak, kochanie? — zagadnął zdawkowo pan Wharton robiąc kolejną notatkę na temat procesu, który przed chwilą z Antonim omawiali.
Nic do ciebie nie dotarło — powiedziała — ale nie dam się zbyć. Janie, przemęczasz tego chłopca. Jestem pewna, że od całych miesięcy nie miał ani chwili rozrywki czy wypoczynku. Przyznaj się, młodzieńcze.
— Cóż — powiedział Antoni — miałem sporo zajęć i...
— Widzisz, Janie? Narzucasz sobie ostre tempo i znosisz je świetnie. Ale pan poza tym, że za tobą nadąża, musi znieść tempo, jakie narzucają mu studia. Dlaczego obaj nie oderwiecie się na chwilę od roboty, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza i rozerwać się trochę? Przecież posunęliście książkę daleko ponad plan.
— Chyba masz rację — powiedział pan Wharton. — Schudłeś nieco, chłopcze, i robisz się blady. Nie mogę na to pozwolić. Nie mam pojęcia, jak bym sobie poradził z książką, gdybyś mi zachorował. Dobra, co proponujesz, Karolo?
— Może byśmy trochę pocwałowali? Jeździ pan konno, panie Antoni?
— Lubię jeździć — odparł Antoni — ale wątpię, czy będzie ze mnie pociecha. Na uczelni mieliśmy przysposobienie wojskowe, ćwiczenia z zakresu artylerii polowej i musieliśmy nauczyć się jeździć, ale konie były paskudnie narowiste.
— Wybierz się z nim na przejażdżkę, Janie.
— Boję się trochę łupania w krzyżach, moja droga.
— Słusznie, zapomniałam — westchnęła. — Wie pan, mamy w stajni dwa cudne wierzchowce, które wprost wspaniale biorą przeszkody. Należeliśmy oboje do klubu jeździeckiego, ale rok temu mąż mój wyleciał z siodła i nadwerężył sobie kręgosłup. Od tej pory konie prawie nie zakosztowały galopu. Wyprowadzam je codziennie na spacer, jednego biorę pod siodło, a drugiego prowadzę, ale to niewielka przyjemność tak dla nich, jak i dla mnie. Właściwie powinno się je sprzedać, tylko że zachodzi tu podobny wypadek, co z książkami w bibliotece. Robimy coś, bo kierują nami pewne motywy, i choć z czasem zanikają, my nadal

robimy to samo, bo zdążyliśmy ulec tradycji. Mamy więc tradycję trzymania koni, choćbyśmy nawet na nich nie jeździli.
— A dlaczego ty nie miałabyś się wybrać z Antosiem? powiedział pan Wharton.
— Ostry galop dobrze by wam zrobił.
— Czemu nie, mogłabym... — powiedziała spoglądając niepewnie na Antoniego.
Gdyby zaproszenie spotkało go przed wypadkiem w bibliotece, Antoni czmychnąłby, gdzie pieprz rośnie, gdyż pani Wharton przerażała go jak lodowiec swoim chłodem. Teraz jednak uśmiechnął się i rzekł:
— Przejechałbym się z przyjemnością.
Odszukali więc bryczesy i buty pana Whartona, które nieźle na Antoniego pasowały, i zeszli oboje do stajni. Oba wierzchowce, kasztan i kary, z których jeden nazywał się Topaz, a drugi Kapitan, zarżały i zaczęły tańczyć w boksach. Osiodłali je i pojechali stępa ścieżką wśród zagajników. Było rześkie popołudnie, początek grudnia. Konie niecierpliwie rwały się do biegu prychając obłoczkami pary. Jadąc na Kapitanie, Antoni uświadomił sobie, że ma pod sobą ogień w końskiej skórze, a nie narowiste bydlę z polowej artylerii. Zdawało mu się, że siedzi na pocisku rakietowym, który chce wyrwać w przestrzeń. Na przedzie pani Wharton kołysała się wdzięcznie na kasztanku i odwracała głowę, żeby mu przesłać uśmiech. Nigdy jeszcze nie widział na jej twarzy takich ślicznych rumieńców.
Po kwadransie stopniowo puściła konia w kłus i pomknęli przyjemnie ścieżką, aż wreszcie wyjechali na skraj rozległych terenów jeździeckich. Leżały przed nimi brunatne łąki, niskie, kamienne murki i ogrodzenia z belek.
— Ma pan ochotę? — zawołała pani Wharton.
Trochę ćwiczył skoki na poligonie w Princeton, ale zawsze nad poprzeczką, która spadała, jeśli bydlę zaczepiło kopytem. Murki i ogrodzenia nie będą takie łaskawe.

Liczył, że dynamit w końskiej skórze, który miał pod sobą, lepiej od niego zna się na braniu przeszkód.

— Jazda! — odkrzyknął.

Kasztanek zerwał się do biegu niczym wystraszony kot, a kary drżał i tańczył. Antoni lekko pochylił się do przodu. Kary na to tylko czekał. Ziemia uciekała w tył i pęd smagał twarz Antoniego, kiedy mknęli przez pierwsze pole. O pięćdziesiąt jardów przed nimi kasztanek pani Wharton pięknym susem wziął kamienny murek. Antoni wciągnął głęboko oddech. Na poligonie w Princeton człowiek pochylał się do przodu, nie ściągał wodzy i jeśli miał szczęście, konisko artyleryjskie przewalało się na drugą stronę telepiąc jak ciężarówka z przyczepą. Murek pędził im naprzeciw, kary napiął mięśnie i przepłynęli nad nim. Zupełnie jakby się człowiek kiwał na bujaku, tylko że kręciło się w głowie.

Galopowali bez ustanku przez rozległe tereny jeździeckie. Kary dognał kasztanka i szedł z nim nos w nos. Nad dwiema przeszkodami oba przemknęły równocześnie, jakby jeden był odbiciem drugiego. Wreszcie pani Wharton podniosła dłoń. Ściągnęli uzdy, konie przeszły w stępa i pojechali strzemię w strzemię.

— Och, jakże sobie pohasały! — zawołała. — Zupełnie jak urwisy wypuszczone ze szkoły. Tak dawno nie miały uciechy. Ja zresztą też. — Wyciągnęła rękę i lekko dotknęła jego ramienia. — Jestem tak niesłychanie wdzięczna!

Roześmiał się.

— To ja powinienem być wdzięczny. Z jakiej racji pani?

— Ponieważ dzisiaj albo mi pan dodał, albo ujął dziesięć lat, sama nie wiem.

Spojrzał na nią ciekawie. Policzki miała różowe, zdjęła dżokejkę i jej czarne, oszronione włosy rozsypały się okalając twarz. Podniecona jazdą oddychała szybko, piersi jej prężyły się pod kurtką. Pasek bryczesów podkreślał jej smukłą talię. Pierwszy raz zobaczył, że ma zgrabną figurę. Zaskoczyło go, że w ten sposób spogląda na starszą panią, ale nic nie mógł poradzić. Powiedział bez namysłu:

— Wygląda pani na osiemnaście lat. Jej różowe policzki spurpurowiały.
— Nie zależało mi na komplementach — powiedziała. — I nie miałam na myśli tylko tej przejażdżki. Wszystko się zaczęło od tego wspaniałego, szalonego śmiechu w bibliotece dziś rano. Czy czuł się pan kiedy jak kawałek kryształu, co wibruje i wibruje coraz bliższy pęknięcia? Ja od miesięcy zbliżałam się do tego momentu. Czułam się jak jedna z tych głupich książek, odwróconych na półce od roku dziewięćset dziesiątego, nasiąkających martwą tradycją.
Kryły się w tym subtelności, których nie rozumiał. Co więcej — nie chciał rozumieć. Zachodził w głowę, co by tu powiedzieć, i przez pewien czas jechali bez słowa, słychać było skrzypienie siodeł, stukot kopyt i sapanie koni.
— Wybacz, młodzieńcze — powiedziała. — Boję się, że cię zgorszyłam.
— Nie — odparł — tego nie odczułem. Jeśli zaniemówiłem, to głównie z tej przyczyny, że nagle stała się pani kimś rzeczywistym, kto ma, rozumie pani, swoje problemy. Do tej pory dostrzegałem tylko połysk na powierzchni tego kryształu, o którym pani wspomniała.
— Pan też był nierzeczywisty.
— Ja?
— Nie człowiek, a ideał w garniturze. Klasyczny wzór zdolnego młodzieńca odbity w jednym egzemplarzu. Och, po cóż ja to powiedziałam!
Antoni zachichotał.
— Należy mi się. Tak wsadziłem nos we własne sprawy, że nikt mnie nie obchodził. Domyślam się, że ta pisanina musiała panią nudzić śmiertelnie.
— Jestem bardzo za tym, żeby Jan napisał książkę, naprawdę, niech mi pan wierzy. Widzi pan, poświęcił prawie całe życie na łatanie rodzinnej fortuny. Liczył sobie czterdzieści pięć lat, kiedyśmy się pobrali, i nie udało nam się już mieć dziecka. Jan nigdy nie miał czasu na to, żeby zyskać sobie w sądownictwie

naprawdę trwałe imię, a teraz przekroczył sześćdziesiątkę i chce zostawić po sobie jakiś pomnik czy coś w tym guście. Ta właśnie książka odgrywa swoją rolę.
— Zapowiada się na dobrą rzecz. Będą go dzięki niej długo pamiętać. Ale odsunęła panią mocno na ubocze, prawda?
— Po prostu przyszła w złym dla mnie okresie. Właśnie kiedy Jan zaczął rezygnować ze wspólnych naszych rozrywek, jeździectwa, wycieczek... W dodatku przedtem działałam w najrozmaitszych komitetach, ale w ostatnim roku zaczęły mnie piekielnie nudzić. Nie chcę, żeby pan sobie pomyślał, że jestem nielojalna wobec męża. Nikt dla mnie nie znaczył tyle, co Jan. Przyznaję, że wyszłam za niego z rozsądku. Miałam dwadzieścia pięć lat i nikt w mojej rodzinie od pół wieku nie zarobił ni grosza, a wszyscy lubiliśmy ładne rzeczy, i wkrótce zabrakłoby pieniędzy, więc... ale Jan to wspaniały człowiek. Naprawdę przepadam za nim i zimny rozsądek nie ma tu już nic do powiedzenia.
— Głupio bym się czuł, gdyby pani na nim nie zależało. Ogromnie go cenię.
— Mam nadzieję, młody człowieku, że nie popełnisz tego błędu, co on.
— A jakiż to błąd?
— On usiłował uratować pozycję swojej rodziny, a pan usiłuje ją stworzyć. Nie daj się wciągnąć do tego stopnia, że ci stuknie czterdzieści pięć lat, zanim się ożenisz.
— Postaram się to sobie zapamiętać.
— Nie wspominasz nigdy o dziewczętach, zresztą nie wiem, skąd mógłbyś mieć na nie czas. Miał pan kiedy sympatię, panie Antoni?
Uśmiechnął się blado.
— Owszem, ale mi ją wyperswadowano.
— Powie mi pan o niej i jak to się stało?
Nie doznawał przykrości zwierzając się przed starszą panią, raczej przyjemność, gdyż wyczuwał w niej zrozumienie. Przyłapał się na tym, że pierwszy raz opowiada komuś o swoim romansie z Joanną Dickinson. Wcale nie zamierzał jej

opowiadać całej długiej historii, ale ciągle wtrącała pytania i chciwie słuchała. Wspomnienie nie raniło zbyt boleśnie, kiedy patrzał na to jak na rzecz, która przytrafiła się studenciakowi kiedyś tam, przed dwoma laty.

— Tak więc — powiedział wreszcie — skończył się mój maleńki romans.

Spojrzał na nią, uśmiechnął się i spostrzegł, że ona cicho płacze. Przypomniał sobie, że podobna scena zdarzyła się już owego wieczora, kiedy opowiedział Joannie o swojej chłopięcej tragedii w szkole tańca. Joanna się rozpłakała i tak się zaczął ich romans; być może, gdyby jej nie opowiedział tej historii, nigdy by się nim na serio nie zainteresowała. Widocznie kobiety reagowały dość silnie na smutne historyjki, i na przyszłość chyba warto zapamiętać, żeby ostrożniej dobierać młode słuchaczki, jeśli się nie chce, żeby się w człowieku zakochały. Na szczęście nie trzeba się tym martwić w wypadku starszej pani.

— Popłakałam sobie — powiedziała pani Wharton. — Miałam dziś dwie okazje, do płaczu i do śmiechu. To był wielki dzień. Może puścimy trochę konie kłusem, a potem przejedziemy stępa ostatnie pół mili.

Od tego dnia ustalił się niepisany zwyczaj, że co sobotę i niedzielę po południu Antoni z panią Wharton wyjeżdża na spacer. Nie kolidowało to wcale z pracą nad książką, która szła świetnie. Antoni chwalił sobie te przejażdżki nie tylko dla świeżego powietrza, ale i dla satysfakcji, jaką czerpał z nowego przeżycia — platonicznej przyjaźni z kobietą.

Zima minęła spokojnie, nadeszła wiosna i pewnego wieczoru w sobotę pan Wharton wcześniej niż zwykle odsunął na bok manuskrypt. Podszedł do okna, otworzył je i pociągnął nosem.

— Dzika wiśnia i fiołki — powiedział. — Chyba nie mają jeszcze zapachu, ale ja je czuję. W tym wieku wiosna nie powinna na mnie działać, ale dziś nie mam już chęci do roboty. Wyciągam cię siłą na spacer. Zmienię ubranie, a ty może skocz do Karoli i zobacz, czy ona się nie wybierze?

Antoni wyszedł na korytarz. Z pierwszego piętra dolatywała muzyka. Schodząc na dół rozpoznał walc „Nad pięknym modrym Dunajem" w wykonaniu Orkiestry Filadelfijskiej; w salonie grał adapter. Antoni podszedł do drzwi i stanął zdumiony. Pani Wharton tańczyła sama w wielkim pokoju wirując jak liść kołysany łagodnym powiewem. Miała na sobie suknię utkaną jakby ze światła księżyca. Odrzuciła głowę i przymknęła rozmarzone oczy. Antoni czuł się tak, jakby podglądał dziewczynę w kąpieli, i już miał się wycofać, kiedy w kolejnym piruecie spostrzegła go. Nie zmienił się rozmarzony wyraz jej twarzy. Wyciągnęła ręce, jakby od dawna spodziewała się partnera, i — nie wiedząc, jakim cudem się to stało — Antoni spostrzegł, że z nią tańczy.

Kilka chwil czuł się zażenowany, że tańczy ze starszą panią, na dodatek żoną pana Whartona. Potem pomaleńku i nie bez wstrząsu uświadomił sobie, że wcale nie ma do czynienia ze starszą panią, sądząc po jej ciele. Nie opancerzały jej żadne wymyślne i elastyczne gorsety, służące dzielnie damom w walce z lustrem o zgrabną linię. Dłoń jego przytulona do jej pleców wyczuwała przez cieniutki materiał każde drgnienie. Delikatny rowek wśród smukłych mięśni wyginał się w tańcu jak wiklina. Zafascynowany chciał popieścić jej plecy.

Krew uderzała mu do twarzy i usiłował zapomnieć o plecach pani Wharton. Popełnił błąd, gdyż uwaga natychmiast skupiła się na dotyku jej piersi, łagodnym zbliżeniu ocierających się o niego bioder i nóg. Rozpaczliwie starał się przywołać obraz starszej pani, choć nie sposób udowodnić, że wiosna jest stara. Żywy płomień lgnął do jego ciała, coraz trudniej było mu oddychać.

Spojrzał na nią i zobaczył, że nie ma już marząco przymkniętych powiek. Napotkał wielkie, ciemne i pytające oczy, gotowe przyjąć od niego każdą odpowiedź. Płyta się skończyła.

Odstąpił o krok, zmusił się do śmiechu i niedbałej uwagi:

— Mało brakowało, żebym zapomniał, jak się tańczy. A faktycznie zapomniałem przekazać pani słówko od pana Whartona. Wybiera się na spacer i chciałby wiedzieć, czy pani też nie miałaby ochoty się przejść.
Wlepiła w niego ledwie przytomne oczy, ale raptem pojawił się w nich błysk, spojrzenie jej przemknęło ponad jego ramieniem i powiedziała:
— Z chęcią. Zaczekasz, Janie, aż się przebiorę? Antoniemu udało się obrócić powoli, aby nie dać poznać po sobie, że się spłoszył. W drzwiach stał pan Wharton.
— Naturalnie, poczekam — odparł. Ustąpił na bok, żeby przepuścić żonę, i popatrzył za nią z lekka zasępiony. Odwrócił się do Antoniego, jakby bacznie mu się przyglądał, i nagle zajaśniał na jego twarzy nieczęsty, ujmujący uśmiech. — Przyglądałem się z wielką przyjemnością — powiedział. — Szkoda, że już nie mogę tańczyć.
Przez następnych kilka tygodni Antoni strzegł się, żeby do podobnej sytuacji więcej nie dopuścić. Ale dużo łatwiej mu przychodziło uciec od niej ciałem aniżeli myślą. Stał się wyczulony na każde jej poruszenie, na stukot obcasów, gdy wchodziła do pokoju, na ostre i głuche nutki w brzmieniu jej głosu, na gibkie linie jej ciała. Pochłonięty jej osobą, w każdym drobiazgu usiłował doszukać się ukrytego znaczenia. Gdy jechali konno strzemię w strzemię, czy otarła się o niego kolanem przez przypadek, czy świadomie? Jeśli pomagał jej zsiadać z konia, czy nie przetrzymała jego rąk dłużej niż potrzeba? A ów uśmiech, co miał oznaczać — przyjaźń czy zachętę?
Sam się wplątał w tę kabałę. Oparł swój stosunek do niej na idiotycznej przesłance: starsza pani, a starsze panie nie działają na człowieka podniecająco, przeto może go ze starszą panią łączyć wygodna przyjaźń. Kiedy jego własny temperament sprzeciwił się niespodziewanie tej przesłance, nie miał obronnych

argumentów pod ręką. Naturalnie, nawet w tej sytuacji był bezpieczny, jeśli w dotyku kolan, uścisku palców i uśmiechu nie kryła się zachęta.
Odkąd wiedział, że musi trzymać w karbach temperament, mógł nad sobą zapanować. Ale wolał nie wypróbowywać tej dyscypliny równocześnie na sobie i na pani Wharton.
W jej sposobie bycia zaszła jedna zasadnicza zmiana. Zazwyczaj chłodna i zrównoważona we wszystkich poczynaniach, zdradzała teraz z tygodnia na tydzień coraz liczniejsze oznaki napięcia. Upuszczała z rąk przedmioty. Popadała w zadumę. Śmiała się odrobinę za ostro. Jeździła na krewkim kasztanku z każdym dniem coraz bardziej zuchwale.
Pewnej soboty w maju, kiedy już z pół godziny galopowali po polach, rozmyślnie rzuciła kasztanka w bok od wyłomu w murze i skierowała go na paskudny kawałek, w dodatku osłonięty krzakami. Kasztanek wziął przeszkodę, ale Antoni usłyszał szurgot strąconych z muru kamieni. Pchnął karego na wyłom i dogonił ją w pełnym galopie.
— Niech pani lepiej nie szarżuje — zawołał. — Topaz zawadził o tamten mur.
— Kochany Antoś — odkrzyknęła. — Zawsze unika ryzyka. Gońmy się! Kto pierwszy do tamtego drzewa na wzgórzu.
Nie podobał mu się dziki ton jej głosu, pchnął karego w jej stronę, żeby pochwycić kasztanka za uzdę.
— Jestem zmęczony — krzyknął. — Niechże pani zwolni!
— Nie jesteś zmęczony. Boisz się tylko. Jak chcesz mnie zatrzymać, to najpierw mnie złap.
Nie zdążył schwycić jej konia za uzdę. Ścisnęła kasztanka obcasami i wysforowała się ostro naprzód. Zaklął i pchnął karego w pogoń za nią. Nie miał szans, gdyż jeździła znacznie lepiej od niego i znacznie odważniej. Z każdą chwilą zwiększała przewagę, wzięła kolejny murek, gnała stokiem nad strumień, przeskoczyła go i

mknęła przez płaską łąkę wprost na wysokie ogrodzenie. Powodowała kasztankiem za ostro. Nie dawała mu czasu na odmierzenie skoków; dźgała go po wariacku zmuszając do śmiertelnego galopu i licząc, że skoki wyjdą same. A może wcale się z tym nie liczyła. Antoni wrzeszczał za nią, ale pęd wciskał mu słowa do gardła. Zobaczył dokładnie, co się stanie na najbliższej przeszkodzie. Skok będzie źle odmierzony. Kasztanek też to wyczuł. W ostatniej chwili w pełnym biegu rozpaczliwie zaparł się nogami i amazonka wyrzucona z siodła koziołkując poleciała na ziemię.

Zdawało mu się, że galopuje całe godziny, nim dotarł do miejsca, gdzie nieruchomy i dziwacznie poskręcany kształt znaczył jej upadek. Dopadł tam wreszcie, zeskoczył z karego, zarzucił lejce na słupek i przesadził płot. Leżała twarzą do ziemi. Czapka ze zgniecionym daszkiem poleciała na bok, włosy rozsypały sie wokoł jej głowy czarnym okwiatem. Narzuciła mu się wariacko gdzieś wyczytana przestroga: nie obeznanym nie wolno ruszać z miejsca osoby, która uległa wypadkowi, ponieważ mogą pogorszyć jej stan. Szkoda, żeby jeszcze miał ją tu zostawić, jechać dwie mile po doktora i wrócić z nim po dwóch godzinach. Jeszcze trochę, a zacznie się martwić tym, że depcze cudzą łąkę.

Przyjrzał się położeniu jej ciała i doszedł do wniosku, że nie mogła sobie połamać ani poprzetrącać rąk i nóg. Nie wiedział, co z karkiem. Nie skręciła go sobie, ale choć nie było widać, mógł być złamany. Uderzyła głową, i nie umiał rozpoznać, o ile czapka złagodziła wstrząs. Chwytał się kurczowo drobnych, praktycznych spostrzeżeń, byleby tylko powstrzymać lament myśli, które rwały się do wspomnień; byleby tylko nie pamiętać jej śmiechu w ów dzień w bibliotece, jej rumieńców, kiedy pierwszy raz wyjechali na spacer konno, jej postaci płynącej w samotnym tańcu w salonie. Ostrożnie ułożył jej ręce i nogi, przyklęknął i odwrócił ją na wznak, podkładając ramię pod głowę.

Oddychała, wygląd jej twarzy nie budził obaw. Miała rysę na czole, ale pod nią maleńkie tylko zgrubienie; nie wyczuł na jej czaszce żadnych guzów, które mogłyby świadczyć o złamaniu albo poważnym wstrząsie. Kołnierzyk bluzki i krawat zacisnął jej się mocno pod szyją. Antoni rozwiązał go i rozpiął u góry bluzkę. Westchnęła, odetchnęła głęboko, otworzyła oczy i spojrzała na niego.
— Och, Antoś — szepnęła. — Byłam taka niedobra...
Nie mógł zapobiec temu, co się stało. Wyglądała wdzięcznie, młodo, bezbronnie. Schylił się i pocałował ją. Chwilę spoczywała osłabła w jego ramionach. Raptem wyprężyła się, przylgnęła doń, obejmując go za szyję. Ogarniał ją lewym ramieniem, jego prawa ręka niespodziewanie zaczęła sama wędrować po jej ciele, chciał ją cofnąć, ale nie miał nad nią władzy, żyła samoistnie. Palce mknęły po łuku jej biodra, zagłębiły się w miękką kotlinę kibici, powoli badały łagodny wzgórek jej piersi. Zadrżała. Gwałtownym ruchem szarpnęła bluzkę, odsłoniła pierś i przyciągnęła do niej jego głowę.
Sutkę przebiegło drżenie, wyprężyła się jak pąk na powitanie wiosny. Udało mu się odzyskać odrobinę rozsądku. Wyzwolił się z jej objęć, usiadł i dygoczącymi palcami zaczął zapinać jej bluzkę.
Spojrzała na niego, bliska łez, i powiedziała:
— Nie traktuj mnie jak smarkulę, która nie wie, co robi. Chciał wyjaśnić, że traktuje ją jak panią Janową Wharton.
Ale to by brzmiało sztucznie, a poza tym kto wie, czy ona nie postanowiłaby dowieść, że nic jej z tą panią nie łączy.
— Słuchaj — powiedział — możesz mieć złamany obojczyk i parę przetrąconych żeber, o ile się nie mylę.
— Nic mi nie jest. Wściekłość mnie rozsadza i to przez ciebie. Naprawdę jesteś taki zimny czy tylko udawałeś przez cały miesiąc?
— Przedstawię ci wykaz nie przespanych nocy, jeśli sobie życzysz.

— Naprawdę pocałowałeś mnie z własnej woli?
— Bałem się, że zabraknie mi powodów do bezsenności. Więc postarałem się o nowy.
— Czasem bierze mnie ochota, żeby ci skręcić ten sztywny kark. Myślisz, że dałby się jeszcze raz nagiąć?
Musiał jakimś sposobem wybić jej to z głowy. Nie poskutkują ani wzniosłe słowa odwołujące się do jej szlachetności, ani trzeźwe wzmianki o lekarzu mające na względzie jej zdrowie, gdyż w tej chwili nie zależało jej ani na jednym, ani na drugim. Może pomóc tylko trafna, brutalna uwaga; nie gustowała chyba w grubiaństwach.
— Możliwości są minimalne — powiedział. — Nawet para akrobatów nie potrafiłaby zgrzeszyć w bryczesach i w butach do konnej jazdy.
— Antoś! — krzyknęła oburzona. Spłonęła rumieńcem, odskoczyła od niego i usiadła. — Jak podprowadzisz konie, mogę wracać.
Jechali do domu bez słowa. Ilekroć spojrzał na nią, patrzyła prosto przed siebie, profil miała tak zimny i daleki jak wyryty w srebrze monety. Podejrzewał jednak, że czasem spod długich rzęs kryjących jej oczy potajemnie i bacznie mu się przyglądała. Gdybyż wiedział, co ma robić... Podręczniki prawa nie mówiły, jak sobie poradzić z tego typu sytuacją, wskazywały tylko na rozliczne prawne konsekwencje w wypadku, gdy ktoś nie umiał nad nią zapanować. Jeśli chciał poradzić się książki, lepiej żeby sam ją napisał, i to jak najprędzej.
Gdy wrócili do domu, pani Wharton udała się do swojego pokoju, mówiąc, że nie potrzeba jej lekarza, tylko trochę wypoczynku. Zjedli obiad we dwóch i pracowali parę godzin nad końcowym rozdziałem książki. Wyobraźnia podszeptywała Antoniemu, że pan Wharton cały czas ukradkiem mu się przygląda, tak jak niedawno jego żona. Pracę skończyli wcześnie, gdyż pan Wharton powiedział, że

jest zmęczony. Antoni wziął rękopis do swojego pokoju i starał się go trochę wyszlifo-wać, ale nie potrafił skupić uwagi na Shermanie ani na trustach. Umysł jego skrupulatnie badał wszystkie aspekty sprawy Lawrence contra Wharton. Zdawało się, że ma do wyboru tylko trzy kierunki postępowania. Mógł udać, że go niespodziewanie wezwano do domu, a potem pod takim czy innym pretekstem nie pokazywać się więcej Whartonom na oczy. Pan Wharton jednak nie był głupi i zapewne domyśliłby się, czym zostało spowodowane tak nagłe zerwanie stosunków. Uraziłby więc pana Whartona i, oczywiście, zaprzepaścił szansę wejścia do syndykatu „Morris, Clayton, Biddle i Wharton". Co więcej — i w tym cały problem — uraziłby też panią Wharton. Drugie rozwiązanie — to pójść za głosem własnego ciała i mieć z nią romans; byłaby to szaleńcza, nieodpowiedzialna historia, po której wszyscy troje nie pozbieraliby się jak szpargały miotane wiatrem po ulicy. Trzecie rozwiązanie sprowadzało się do powiedzenia przed panią Wharton wzniosie: „Azaliż popełnić mogę tak wielką niegodziwość?" Człek imieniem Józef posłużył się niegdyś owym zwrotem wobec niejakiej pani Putyfarowej i, jak się okazało, biedny Józio kiepsko na tym wyszedł. Powinien być jeszcze jakiś czwarty sposób, ale dotychczas nie umiał go znaleźć. Przydałby mu się bardzo, gdyż właśnie ktoś leciutko pukał do drzwi, i możliwe, że sprawa Lawrence contra Wharton za chwilę miała stanąć na wokandzie. Otworzył i ujrzał ją w drzwiach. Przez moment miał szczerą ochotę przegrać sprawę. Była w lekkim, powiewnym szlafroczku na czarnej nocnej koszuli. Krucze, oszronione włosy zaczesała ślicznie do tyłu. Wargi jej niemal pąsowe posłały mu lekki, drżący uśmiech. Powiedziała słabiutkim głosem:

— Pomyślałam sobie, że może się martwisz o mnie. Powiedz?

— Martwię się o ciebie od paru miesięcy — mruknął. Wśliznęła się do pokoju i cicho zamknęła drzwi. „Kobiety są niesamowite" — pomyślał; chyba nigdy w życiu

nie miała potajemnych przygód, a oto wkrada się do jego pokoju niemal z zawodową wprawą.
— Antoś — powiedziała — to okropne, co ja robię, prawda? Ale nie mogłam się powstrzymać. Musisz stać tak i patrzeć na mnie jak sędzia?
— Staram się myśleć. Sta...
— Nie chcę, żebyś myślał! — powiedziała z gniewem. Zbliżyła się, łagodnie przytuliła się do niego, muskając policzkiem jego pierś, mówiła cichym głosem: — Powiedziałeś okropną rzecz na łące, gdy spadłam z konia. O butach do konnej jazdy i bryczesach. Ale nie mogłam o tym zapomnieć. Ja... wolałabym nie mieć ich na sobie.
Nie miał co pouczać jej o kwestiach moralnych i prawnych, które wchodziły w grę. O takie rzeczy kobiety nigdy specjalnie nie dbały; w zasadzie akceptowały tylko te normy i zasady postępowania, które wspierały je w tym, co właśnie chciały zrobić. W tej chwili pani Wharton chciała pójść z nim do łóżka. Jeśli zamierzał ją powstrzymać bez nawarzenia sobie piwa z putyfarowej beczki, to musiał wykryć coś takiego, na czym bardziej jej zależało niż na łóżku. Jak wszystkie kobiety, pani Wharton była zapobiegliwa i wysoko ceniła dostatnie życie. Przyznała przecież, że wyszła za mąż z rozsądku. Była też rdzenną filadelfijką, a najznakomitsi obywatele miasta, o ile się nie mylił, po raz ostatni rzucili na szalę swój dostatek w roku 1776. I chyba nawet wówczas większość z nich walczyła w imię bardziej dostatniego życia. Zastanawiał się, co będzie, jeśli poprosi panią Wharton, żeby przefrymarczyła swój dostatek w zamian za pohulanie sobie w łóżku. Warto by było zobaczyć. Cokolwiek się stanie, sprawy i tak zbytnio nie pogorszy.
— O co ci chodzi? — powiedział chrapliwie. — O maleńki romansik? O nie, ja się tym nie zadowolę.
Podniosła na niego oczy i nadąsała się trochę.
— Dlaczego mamy teraz o tym myśleć?

— Bo mnie to gnębi. Dla mnie to nie jest przelotny romansik. Uciekniesz ze mną? Dzisiaj? Na dobre?

Ściskał ją teraz mocno. Oparła się rękami o jego pierś i odepchnęła lekko.

— Antoś! Czegoś ty taki w gorącej wodzie kąpany? Tyle rzeczy musimy wziąć pod uwagę.

— Pod uwagę mamy wziąć tylko rozwód.

— Ależ, Antoś, kochanie, nie możemy zachowywać się jak szaleńcy. Bądźmy przynajmniej cywilizowani i pomyślmy o sytuacji Jana i naszej własnej. Kończysz prawo dopiero za miesiąc, a potem masz egzamin dyplomowy i...

— Jakoś damy sobie radę. Diabli z prawem. Mogę wziąć się za coś innego. Wiem, że nic nie mam ci do ofiarowania, ale możemy wynająć małe mieszkanko i wybrnąć. Zdaję sobie sprawę z tego, że wymagam od ciebie, żebyś zrezygnowała z wielu rzeczy, ze swojej pozycji, męża, domu i wszystkiego. Wiem, że ludzie będą szydzić z nas, że nas nie zrozumieją. Ale...

Położyła mu dłoń na ustach.

— Nie wiesz, co mówisz, kochany. Zapomnij o tym na chwilę. Dlaczego nie możemy po prostu spędzić razem tej nocy, a potem się zastanawiać, co będzie dla nas najlepsze?

Było mu bardzo trudno zapanować nad sobą, kiedy tulili się tak do siebie całym ciałem. Chcąc się od niej oderwać, osunął się na kolana, podniósł oczy ku jej pobladłej twarzy i powiedział gorąco:

— Zbyt cię kocham. Jeśli w ogóle mam cię posiąść, musisz należeć do mnie całkowicie. Namęczyłem się okropnie przez ostatnie miesiące, a jednak zniosłem to. Ale żeby dziś cię mieć, a jutro odejść — takich historii nie zniosę.

Urwał, ukrył twarz w fałdach jej szlafroka i czekał. Sekundy mijały powolnym, utykającym szeregiem. Aż wreszcie dłoń jej łagodnie musnęła go po włosach i dotknęła jego gorącego policzka.

— Jaki z ciebie cudny chłopiec — powiedziała stłumionym głosem.
Spojrzał na nią. Uśmiechała się — ślicznym, spokojnym uśmiechem, w którym kryła się satysfakcja.
— Nie mężczyzna, tylko chłopiec, tak? To masz na myśli? Poklepała go po policzku.
— Naturalnie... A ja byłam samolubna i głupia. Powinnam pamiętać o tym, co będzie dla ciebie najlepsze, Antoś, a zapomniałam zupełnie. Masz przyszłość przed sobą i nie mam zamiaru łamać ci życia ani kariery. A teraz wstań grzecznie i popatrz chwilkę na mnie.
Wstał czując, że nogi mu dygoczą, jak gdyby mięśnie miał z gumy.
— Jakaś ty śliczna — wybełkotał.
Jej śmiech zadźwięczał czysto jak kryształ.
— Sama świadomość, że ty tak myślisz, już mi wystarcza — powiedziała.— A teraz nie wyciągaj rąk i nie dotykaj mnie, bo nie chcę cię podniecać. — Przechyliła głowę i pocałowała go delikatnie. — Daruj mi, że byłam taka zła i bezmyślna. Mam nadzieję, że będę nadal w tobie wzbudzała sympatię, ale resztę zachowaj dla tej wspaniałej dziewczyny, z którą się kiedyś ożenisz. Dobranoc, Antoś.
Jeszcze raz dotknęła jego policzka i wyszła z pokoju.
Słyszał, jak cicho skrzypnęła klamka, a potem podszedł do łóżka i rzucił się twarzą na poduszki. Józef powinien był tak postąpić z żoną Putyfara. Tylko że poznałby wtedy, co to za męka, kiedy drzwi się za nią zamknęły...
W dwa tygodnie później skończyli pracę nad książką i pan Wharton powiedział uszczęśliwiony:
— No, dopięliśmy swego, co? Dzielnie się spisałeś, chłopcze.
— Dziękuję, panie mecenasie.
— Jak ci się książka podoba, mój drogi?

Antoni uśmiechnął się cokolwiek ponuro. Książka nie wzbudzała w nim nic prócz uczucia ulgi, że wreszcie pisanie się skończyło i że może się wynieść na cztery wiatry. Przez dziwną przewrotność ludzkiej natury, odkąd zmusił panią Wharton, żeby go zostawiła w spokoju, zaczął pożądać jej do szaleństwa. A nie miał najmniejszych szans, żeby ją zdobyć. Pani Wharton bowiem tuliła teraz do siebie dom, męża i pozycję społeczną, jak kotka, co przed chwilą odnalazła zagubione kocięta. A ciepłem i zadowoleniem, jak spodeczek mleka, napełniała ją świadomość, że jest urocza i pociągająca, i że poświęciła się dla dobra Antoniego. Nikt jej z tych rozkosznych rzeczy nie ograbi. Rad był, że tak dobrze na tym wyszła, ale nie chciał włóczyć się za nią skomląc o łaskę.

— Sądzę, że dokonał pan pożytecznego dzieła — powiedział Whartonowi. — Żaden syndykat prawniczy i żaden uniwersytet bez tej książki się nie obejdzie.

— To bardzo pochlebne zdanie, chłopcze. I naturalnie masz w tym sporą zasługę. Skoro mamy to za sobą, chciałbym wyrazić swoją wdzięczność w praktyczny sposób. Może nasunęła ci się kiedyś myśl o wstąpieniu do syndykatu „Morris, Clayton, Biddle i Wharton"?

Ach, więc i jego czeka jednak osłoda — spodeczek mleka.

— Cóż, naturalnie, że myślałem o tym — powiedział ostrożnie. — Ale zdaję sobie sprawę, że ma pan mnóstwo ludzi do wyboru.

— Wybrałem już — powiedział pan Wharton. — Mój wybór padł na ciebie, Antoś, jeśli go przyjmiesz. Naturalnie, pan Dickinson był twoim patronem i teoretycznie on powinien mieć pierwszeństwo. Sądzę jednak, że zgodzi się z nami, iż jego zainteresowanie tobą nie jest już tak żywe jak przed laty. Nie stanie nam na przeszkodzie. Ale chciałbym ci wyjaśnić, na jakich warunkach wszedłbyś do syndykatu. Zapewne parę z nich sam potrafisz wymienić.

— Owszem, panie mecenasie, tak mi się wydaje. Panowie mają wielką firmę. A więc — albo wypłyniesz, człowieku, albo utoniesz.

— Zgadza się. Będziesz zdany na własne siły. Zrobię dla ciebie, co się da, ale niewiele ci z tego przyjdzie. Za rok czy dwa mam zamiar wycofać się na emeryturę i zamierzam trochę podróżować z żoną. Będzie to grubo za wcześnie, żebym mógł ci przekazać swoich klientów. Na to trzeba by może dziesięciu lat. Więc za rok czy dwa będziesz musiał radzić sobie na własną rękę w wielkim i zimnym kombinacie prawniczym. Masz chęć zaryzykować?
— Tak jak ja na to patrzę — powiedział Antoni — w wielkiej firmie ciężko dostać się na szczyt, ale jak ktoś już tego dokona, ma stamtąd fantastyczny widok. Nie chcę pchać się na małe górki, żeby się przekonać, że wciąż nic nie widzę nad tłumem. Spróbuję zdobyć wielką górę.
— Będę obserwował twoją wspinaczkę z uwagą. Uważam, że czeka cię w końcu fantastyczny widok.
— Dziękuję, panie mecenasie. To mi dodaje otuchy.
— A mówię to dlatego — powiedział pan Wharton badając spojrzeniem sufit — że zdradzasz nieprzeciętne zdolności w po stępowaniu z ludźmi, a praktyka prawnicza to w dziewięćdziesięciu procentach ludzie, a w dziesięciu samo prawo. Nie jestem bynajmniej nieświadomy tego, że nasza znajomość kryła w sobie pewne niuanse. Żaden z nas na pewno nie ma chęci w nie się zagłębiać. Chcę tylko powiedzieć, że pokierowałeś sobą tak jak należy.
Antoni poważnie skinął głową. Pan Wharton również zdradzał nieprzeciętne zdolności w postępowaniu z ludźmi. Najpierw ofiarował mu spodeczek mleka, a potem dał po nosie. Może to był sentymentalizm, ale Antoni bardzo cenił go za tę nauczkę.
Skończył studia w czerwcu, w lipcu zdawał dyplomowy egzamin, a w cztery miesiące później z kolumn „Informatora" dowiedział się, że został przyjęty w poczet prawników. Działo się to w lecie i na jesieni 1939 roku. W tymże czasie zaczęły się dziać w Europie brzydkie rzeczy. Stało się jasne, że ludzie pokroju

podporucznika Antoniego J. Lawrence'a, oficera rezerwy artylerii polowej, niebawem nie będą mogli nadal się poświęcać karierze prawniczej. Musiał przeczekać ten czas w syndykacie bez żadnych szans na to, żeby coś zdziałać. Pan Wharton podsunął mu myśl, żeby zaciągnął się jako radca prawny do jednego z biur mobilizacyjnych, które powstawały w Waszyngtonie jak grzyby po deszczu. Ale obaj zdawali sobie sprawę, że byłoby to tylko połowiczne wyjście, prędzej czy później zostanie powołany do służby czynnej. Antoni rozstrzygnął, że skoro i tak ma pójść, lepiej niech pójdzie wcześniej. Poza tym wydawało mu się, że to niełądnie — najpierw dać się wyćwiczyć na wypadek wojny, a potem czmychać przed wojskiem, kiedy tylko wojna się zdarzy. Pod koniec 1940 roku otrzymał depeszę:

STAWI SIĘ PAN DNIA 10 GRUDNIA W FORCIE BRAGG, W PÓŁNOCNEJ KAROLINIE, I ZAMELDUJE KOMENDANTOWI OŚRODKA REZERWY ARTYLERII POLOWEJ CELEM PODJĘCIA SŁUŻBY.

Wyjeżdżając czuł się po trosze jak bohater, gdyż niebawem powierzą mu baterię, którą powiedzie galopując dzielnie po akcji. Okazało się jednak, że w artylerii polowej już się nie galopuje, a i bateria na niego nie czeka. Gdy nadszedł Pearl Harbour, Antoni siedział na zachodnim wybrzeżu opiekując się stadem balonów zaporowych nie opodal San Francisco, galony zaporowe to takie bydlęta, które można by uzyskać ze skrzyżowania wieloryba z dzikim koniem meksykańskim. Na samotnym posterunku miał z nimi ciężką i niewdzięczną robotę. Oficerowie z jego rocznika wyjeżdżali za morza, na front. Ci, którym spryt i szczęście dopisze, wrócą z awansem, piersią upstrzoną odznaczeniami, i w pierwszych latach po wojnie wszyscy będą im podsuwać co lukratywniejsze stanowiska. Prawnicy, o kilka lat od niego starsi, odpływali do najrozmaitszych zarządów przemysłu zbrojeniowego w Waszyngtonie. Będą zawierać transakcje z wielkimi przedsiębiorstwami,

zyskają sobie zaufanie znamienitych przemysłowców i jak wojna się skończy, znajdą się u Pana Boga za piecem.
On natomiast, gdy wojna się skończy, znajdzie się na lodzie. Wszystkie jego plany flaczały pomaleńku na wzór balonów zaporowych, z których ulatywał gaz. Balony miały to do siebie, że kiedy już umocowało się je pięknie na linach, nie zaprzątały zbytnio człowiekowi głowy; z nudów więc Antoni zaczął studiować regulaminy wojskowe. W wojsku wszystkiemu patronował regulamin, tak jak poniekąd w Filadelfii. Chociaż tam nikt nie musiał przenosić go na papier, gdyż formacja miejska była stara i trwała, kadry zmieniały się powoli i rekrut mógł się otrzaskać dzięki przykładom z góry i pouczeniom. W wojsku natomiast regulamin musiał być na papierze, gdyż kadry stanowiły zbieraninę z całego świata i zmieniały się w piorunującym tempie. Rezultat był ten sam w wojsku, co i w Filadelfii — karne szeregi, które rzadko robiły fałszywy krok, a czasem nie robiły ni kroku.
W Dowództwie Obrony Wybrzeża kilku ludzi usłyszało o podporuczniku z balonów zaporowych, który dla przyjemności czytuje sobie regulamin. Początkowo chyba się z tego nabijali. Potem ktoś odkrył, że ów podporucznik jest prawnikiem. Gdzieś od marca 1942 co pewien czas odkomenderowywano Antoniego do dowództwa, żeby występował jako obrońca w sądach polowych. Zawodowi oficerowie stronili od tej funkcji; bali się, ze jeśli jakaś sprawa ich pociągnie, w ferworze obrony mogą nadepnąć na odcisk wyższym oficerom. Powołani natomiast oficerowie rezerwy okazywali się często niekompetentni, gdyż albo nie znali się na regulaminie, albo kompromitowali się jako kuci na cztery nogi adwokaci, którzy za wszelką cenę chcą wygrać sprawę, jak gdyby mieli do czynienia ze zwykłym sądem.
Z wojskowego punktu widzenia podporucznik Antoni J. Lawrence stanowił wzór obrońcy. Regulamin miał w małym palcu. Zdawał sobie sprawę, że sąd wojenny w

niczym nie przypomina sądu cywilnego. Posiadał fenomenalny talent do tego, żeby każdego oficera za stołem sędziowskim wprawiać we wręcz generalskie samopoczucie, a zarazem wywalczył zdumiewającą ilość uniewinnień. Zyskał sobie dzięki temu sławę człowieka, który nie tylko świetnie zna regulamin, ale — co ważniejsze — tak samo świetnie zna się na tym, jak go obejść. W sierpniu 1942 roku awansował na porucznika i został przeniesiony do sztabu.

W dwa miesiące później spadł jak burza na San Francisco świeżo mianowany dowódca korpusu, który w drodze z Waszyngtonu na front japoński na łapu capu kompletował sobie sztab. Przez parę dni grabił na prawo i lewo. W dowództwie ponoć siedzi młody prawnik, co zna się na tym, jak obejść przepisy, prawda to? Psiakrew, taki gość to większy majątek niż cała bateria! Łap faceta. Zapakuj go do kadr, niech czeka, póki nie będzie nam potrzebny. Walmy dalej piorunem. Wojna jest, do ciężkiej cholery. Kto powiedział, że mi nie wolno dobierać oficerów imiennie? Chcecie, żebym wam spuścił na łeb Marshalla?

Zaterkotały maszyny do pisania, rozkazy posypały się przez powielacz i porucznik Antoni Judson Lawrence znalazł się w drodze do Portu Moresby na Nowej Gwinei. Nowym dowódcą korpusu był generał major Buckley D. „Chwat" Brimmer, jak go nazywano. Antoni spokojnie pracował w sztabie tegoż XIX Korpusu, podczas gdy na północnym wybrzeżu Nowej Gwinei toczyły się zaciekłe boje. Nikt mu nie wyjaśnił, dlaczego gwałtem ściągnięto go do zamorskiej służby, toteż zdumiał się mocno, gdy pewnego dnia w styczniu 1943 roku otrzymał wezwanie na konferencję do generała Brimmera. Stary siedział w swoim zakamuflowanym domku za drewnianym stołem polowym i patrzył spode łba na rozsypane papiery, jakby przypominały mu rekrutów, co źle oddają honory. Mocno zbudowany, grywał kiedyś w reprezentacji West Point na obronie, miał rumianą twarz, która oparła się żółtym plamom, jakich wszyscy podostawali po atabrinie. W domku nie

było nikogo więcej poza adiutantem, chuderlawym majorem Tomaszem Strangiem, który skończył West Point w 1936 roku.

— Lawrence, melduję posłusznie — powiedział Antoni. — Pan generał mnie wzywał.

Generał Brimmer rzucił nań okiem i odwrócił się do adiutanta.

— Jesteś pewny, że to ten?

— Tak, panie generale — odparł major Strang. — To właśnie w San Francisco pan generał...

— Nie potrzebujesz mi przypominać — przerwał mu generał. — O tych rzeczach zawsze świetnie pamiętam. Ktoś wtedy powiedział, że w Dowództwie Obrony Wybrzeża mają porucznika, co zna się na tym, jak obejść wszystkie przepisy, a ja na to rzekłem: łap go, zapakuj do kadr, niech czeka, póki nie będzie nam potrzebny. Ciekawi mnie tylko, czy to ten?

— Tak jest, panie generale, tenże sam.

— Dobra. Nie traćmy czasu. Weźcie sobie krzesło i siadajcie, Lawrence. Z majorem Strangiem znacie się? Mój adiutant. A więc jako się rzekło, złapałem was, bo ktoś mi powiedział, że wiecie, jak obejść przepisy wojskowe. Mam dla was zadanie. Co wiecie o generale majorze Oliphancie?

To były karkołomne regiony i Antoni uznał, że lepiej będzie mieć się na baczności. Jeśli dowódca korpusu wypytuje porucznika o dowódcę dywizji, to pakuje mu do ręki granat z wyrwaną zatyczką. W istocie wiedział sporo o generale majorze Oliphancie, podobnie jak o generale Brimmerze i majorze Strangu. Lubił dowiadywać się, czego tylko mógł, o ludziach i pobudkach ich postępowania. Pomyślał sobie jednak, że będzie ostrożny i spróbuje podrzucić ten granat staremu.

— Cóż, panie generale — zaczął — generał Oliphant jest dowódcą tak zwanej Dywizji Gromobitnej, która zdobyła sobie ów przydomek jeszcze za pierwszej wojny światowej. I oczywiście wchodzi w skład Gwardii Narodowej. Wydaje mi

się, że dywizja została zmobilizowana z końcem 1940 roku, jednocześnie z generałem Oliphantem. Generał jest wielką szyszką w swoim rodzinnym stanie, a Gwardia Narodowa to jego konik. Doznał chyba spełnienia najskrytszych marzeń, kiedy z chwilą mobilizacji znalazł się pod znakiem ukochanej Gwardii na czele dywizji, rekrutującej się z jego rodzinnych stron. Oczywiście, w tej chwili w jednostce jest sporo elementów napływowych, ale wciąż w pięćdziesięciu procentach utrzymuje się rdzenny element. To prawie wszystko, panie generale.
Generał Brimmer spojrzał na adiutanta, wskazał kciukiem na Antoniego i wyburczał:
— Facet wie dużo, a gada cholernie mało.
— Generale — powiedział Strang patrząc z niechęcią na porucznika — nie mam zaufania do ostrożniaków.
— Dobra jest — odezwał się generał. — Gość uważa, żeby sobie karku nie skręcić, i wcale nie mam o to do niego pretensji. A więc słuchajcie, Lawrence, nic z tego, co tutaj mówimy, nie wyjdzie poza te cztery ściany. Teraz pytanie. Jak byście się pozbyli generała Oliphanta, będąc na moim miejscu?
Antoni pozwolił sobie na uśmieszek. Poniekąd posuwał się za daleko, ale udowadniał zarazem, że nie jest przesadnie ostrożny.
— Generale — podjął niemal poufałym tonem — spodziewa się pan, że zrobię wielkie oczy i zapytam, dlaczego zwyczajnie nie odwoła pan Oliphanta?
— Spodziewałem się, owszem — odparł generał. — I jakbyś mi z tą dyrdymałką wyskoczył na serio, od jutra siedziałbyś w pralni pułkowej na wyspie Snafu. No, jedź dalej. Zabieraj się śmiało i bez rękawiczek.
— Chciałbym trochę wybadać grunt, panie generale. Zorientować się szybko w tym, co pan już zapewne przemyślał. Czy Kwatera Główna nie miałaby na niego ochoty? To jest, czy generał MacArthur nie zechce powierzyć mu okropnie ważnej

misji, na przykład wysłać go do Brisbane, żeby pozacieśniał trochę nasz sojusz z Australijczykami?
— Taaak, Mac by mi tego nie odmówił.
— Ale pan już próbował, prawda, generale? I okazało się, że generał Oliphant się wymigał?
— Tak, cholera z tym. Co masz dalej?
— Panie generale, klimat na Nowej Gwinei jest bardzo niezdrowy. Człowieka czepiają się najrozmaitsze choroby i nawet nie wie o tym, a tymczasem podupada na zdrowiu nie zdając sobie i tego sprawy. Załóżmy, że generał Oliphant wybiera się tu na konferencję, a pański lekarz sztabowy przypadkiem dostrzega jakąś dziwną zmianę w jego oczach i całkiem naturalnie domaga się, aby generał natychmiast poddał się oględzinom. Po czym, skoro odkryje jakieś bardzo poważne niedomagania, będzie pan zmuszony, najwyraźniej wbrew swojej woli, odesłać generała Oliphanta do domu na rekonwalescencję.
— Nie da rady — mruknął generał. — Zabezpieczył się przed tą sztuczką. Jakby tego nie zrobił, dawno by mu Gromobitną wyciągnęli spod tyłka, jeszcze na manewrach w Luizjanie. Ma sukinsyn w swojej dywizji renomowanego lekarza, ten go stale bada i wystawia mu ciągle nejlepsze świadectwa. Jeślibym skorzystał z twojego pomysłu, skończyłoby się to tylko na kłótni między lekarzami. Co masz jeszcze?
— Generale, każe mi pan nie tylko igrać z ogniem, ale na dodatek robić to po ciemku. Mogłoby mi coś prędzej przyjść do głowy, gdyby mi pan zechciał najpierw odsłonić kulisy.
Major Strang spytał niespodziewanie:
— Jesteście z Gwardii Narodowej, Lawrence?
— Nie, panie majorze. Rezerwa.

— Mnie się mogłeś spytać, Tom — powiedział generał. — Odczep się od porucznika. Całkiem nieźle daje sobie radę. Dobra, Lawrence, odsłaniam ci kulisy. — Pchnął plik papierów przez stół. — Nie czytaj całej tej fury, tylko tyle, żeby się zorientować.

Antoni w pośpiechu zbadał dokumenty.

— Ho, ho! — wykrzyknął.

— Tak, ho, ho — powiedział zgryźliwie generał. — Przygotowałem rozkazy zwalniające go ze służby za niesubordynację, za spartaczenie natarcia, Bóg jeden wie za co. Jeśli się odwoła do sądu polowego, mam dokumenty pod ręką. W porządku, znasz kulisy.

— Jeśli pan generał daruje mi pytanie — odezwał się Antoni — czy może pan udowodnić te zarzuty?

— Niech mnie piorun strzeli, jeżeli nie. Oliphant trzęsie się nad tą swoją dywizją jak nad jedynaczką. Miękki jest dla nich. To chłopaki z jego rodzinnych stron i nie chce, żeby mu ich zabijali. Cholerny świat, ludzie giną na wojnie. Im bardziej miękną, tym więcej ich tłuką. Oliphant miał odwalić robotę nad rzeką Lona. Nie docisnął do reszty natarcia, bo mu chłopcy ginęli pchając się na japońskie bunkry. Naraził się więc na paskudne straty i wcale nie sforsował rzeki, dopiero Australczyki musiały to zrobić za nas i nigdy nam tego nie zapomną. Och, mam ja dowody, mam.

— Na nieszczęście, panie generale — powiedział Antoni — pociągnie pan do odpowiedzialności nie generała Oliphanta, tylko całą Gwardię Narodową.

— Ty mi to mówisz!

— Plus, panie generale, calusieńki stan. O ile się orientuję, kręci się tu trzech korespondentów wojennych z rodzinnych stron generała Oliphanta. Generał traktuje ich po królewsku, a oni przepadają za nim.

— Pies ich trącał, Lawrence. Wiem o tym. Nie wzywałem cię tu po to, żebyśmy mogli wspólnie z żalu się popłakać.
— Panie generale, próbuję tylko oczyścić teren, żebyśmy mieli wolne pole do gry. Generał Oliphant jest również jednym z nielicznych dowódców dywizji, którzy zabiegają o swoją renomę. W żadnej dywizji nie siedzą tak wyborowi faceci od propagandy jak u niego. Wysyłają całe fury opowiastek, robionych pod lokalny patriotyzm, do czasopism w swoim stanie. Niech tylko szeregowiec dostanie awans na starszego strzelca, a już wieść o tym mknie w jego rodzinne strony, aby sąsiedzi dowiedzieli się z gazety, że generał major Artur C. Oliphant podał dziś do wiadomości, iż szeregowy Elmer H. Caskie z Midland City, ul. Klonowa 223, został awansowany do stopnia starszego strzelca. Starszy strzelec Caskie jest żołnierzem naszej sławnej Dywizji Gromobitnej, walczącej obecnie w południowo-zachodnim rejonie Pacyfiku pod wodzą generała Oliphanta... Generale, stanowczo odradzam sąd wojenny. Rodacy Oliphanta podniosą niesłychany wrzask, a Pentagon zapyta pana grzecznie, jaki gatunek stryczka najbardziej by panu odpowiadał.
— Lawrence, doszedłeś właśnie do punktu, w którym ja stanąłem, nim kazałem posłać po ciebie. Dobra, nie śmiem pozbyć się faceta w żaden zwyczajny sposób, z żadnego paragrafu. Więc jeśli jesteś kuty na cztery nogi, a tak mówiono o tobie w San Francisco, powiedz mi, jak obejść wszystkie paragrafy.
Antoni grzebał w pamięci. Nie dalej niż przed trzema laty zapędzono go podobnie w kozi róg. Niemalże słyszał znowu ciche pukanie pani Wharton do drzwi swojego pokoju i czuł, jak mu skóra cierpła z trwogi, kiedy rozważał pośpiesznie wszystkie zwyczajne środki postępowania.
— Generale — powiedział — kiedy chcemy się kogoś pozbyć, a zwyczajne środki zawodzą, można tak podejść tę osobę, żeby usunęła się sama.
— Hm. A jak?

— No cóż, Oliphantowi bardzo zależy na tym, żeby dowodzić Gromobitną. Musimy wyszukać coś takiego, na czym by mu jeszcze bardziej zależało. Nic się panu nie nasuwa?
— Czemu nie — burknął generał. — Chce być w domu gubernatorem. Sprzeda za to swoją dywizję.
— Wie pan, kiedy są wybory?
— Jesienią. Kampania zaczyna się na wiosnę.
— Generale, czemuż więc nie jedzie do domu kandydować na gubernatora?
Generał Brimmer podźwignął się i zaczął krążyć wokół ścian jak buldożer.
— Do stu tysięcy diabłów! — wypalił z wściekłością. —To była moja jedyna nadzieja i nic z tego nie wyszło. Siedzi tu, urodzony polityk, bożyszcze tłumów, gość, co wynalazł najoryginalniejszy sposób całowania dziatek, a żaden sukinkot z jego stanu nie poprosi go, żeby kandydował na gubernatora. Domyślam się, że im w to graj, bo facet jest tu uwiązany, nie przyjdzie i nie sprzątnie im gubernatorstwa sprzed nosa. Mam przyjaciół w Waszyngtonie. Badali tę sprawę. Ani słychu o tym, żeby wysunięto jego kandydaturę. No, dobra. Co teraz powiesz?
Antoni skupił się. Do tej chwili poszło mu dobrze. Udowodnił, że potrafi przemyśleć całą sprawę nie gorzej od generała Brimmera. Mógł teraz wzruszyć ramionami i wycofać się. Ale polubił tę rumianą twarz, barczystą postać, krążącą z chrzęstem po pokoju. Facet chciał robić dobrą robotę, a Oliphant mu w tym bruździł. Powinien więc spróbować mu pomóc. Przyszedł mu do głowy pomysł, który mógł się udać, i jednocześnie opadły go myśli o tym, co będzie, jeśli spróbuje, a pomysł okaże się niewypałem.
— Generale — powiedział — powinniśmy naprawić to przeoczenie ze strony polityków. Proponuję agitację pod hasłem: „Oliphant nie w wojsku, lecz gubernatorem!"
Generał Brimmer zatrzymał się gwałtownie, jakby najechał na minę.

— Rany boskie! — sapnął. — Sam nie wiesz, co mówisz!
— Wiem, panie generale. Znam wszystkie przepisy zabraniające oficerom angażowania się w politykę. I wszystkie sankcje.
— Właśnie. Jak sobie z tym poradzisz, Lawrence?
— Sądzi pan, panie generale, że powinien pan wiedzieć? Niech tylko coś nawali, będzie pan musiał ukręcić mi łeb. Im mniej jest pan w to wmieszany, tym lepiej.
— Ty na serio?...
— Tak, panie generale.
— Ile ci trzeba czasu?
— Generale, to albo wystrzeli albo nie wystrzeli wcale.
— W czym mogę ci pomóc?
— Wystarczą mi dwa rozkazy. Proszę mnie odkomenderować do zadań specjalnych i zezwolić na całkowitą swobodę ruchów.
Generał Brimmer zwrócił się do adiutanta.
— Tom, pozwól mu na wszystko, czego zechce. Tylko nie daj się wciągnąć w tę kabałę, bo stoisz za blisko mnie. Dobra, Lawrence. No, to pokaż, co potrafisz.
Antoni wyszedł z domku z majorem Strangiem i wyszykował rozkazy, które odkomenderowywały go do zadań specjalnych i dawały mu absolutne pierwszeństwo w korzystaniu z transportu lotniczego na całym obszarze wojennym. Strang podał mu papiery i powiedział:
— Darujcie, Lawrence, że przyciąłem wam parę razy. Nie poznałem się na was.
— Drobiazg, majorze.
— Stary to setny chłop — powiedział Strang. — Gdyby nie to, dawno bym się stąd wyrwał na front. Jakby mu przyszło ukręcić wam łeb, cholera by go brała z żalu.
— Podczas rozwieszania bielizny na wyspie Snafu — odparł Antoni — miło mi będzie o tym pamiętać.

Łazikiem podskoczył na polowe lotnisko i złapał pierwszy samolot do portu Moresby na południowym wybrzeżu Nowej Gwinei. Ludzi, z którymi chciał się zobaczyć, mógł tam nie zastać, ale rozsądek dyktował, aby tam właśnie zacząć się rozglądać, gdzie stacjonował najdalej wysunięty rzut Kwatery Głównej. Indagowania drogą radiową wolał nie próbować, żeby nie budzić ciekawości-
Wylądowawszy w Moresby powęszył w wydziale propaandy Kwatery Głównej i po cichu wydostał parę wiadomości, powiedział się, że jeden z korespondentów wojennych spod znaku Oliphanta znajduje się w Brisbane, a dwaj siedzą na miejscu, w Moresby. Tegoż wieczora, czatując na stosowną chwilę, kręcił się po kasynie, aż udało mu się wśliznąć na wolne miejsce obok Billa Cleamera, korespondenta wojennego z „Gońca Menapolis", czasopisma z rodzinnych stron generała Oliphanta. Przedstawił się i wdał się z Cleamerem w przygodną rozmowę.
— Pan tu od niedawna, co? — zagadnął Cleamer. — Pracuje pan jako cenzor czy coś w tym guście?
— Podróżuję sobie — odparł Antoni. — Jestem z G-l przy XIX Korpusie.
— Hm, G-l? To wywiad, nie?
— Nie. G-l to kadry. Wywiad to G-2.
— Och, nie znam się za dobrze na wojskowości. Co tam strategia, taktyka i reszta. Moje pismo nie wysłało mnie tutaj, żebym konkurował z Associated Press. Moje pismo chce mieć materiał żywy, spod serca. I jak powiadam, potrafiłeś, człowieku, pokazać ludzi na sali sądowej, potrafisz i na froncie.
— Istotnie, bardzo to słuszny pogląd. Mamy chyba waszą dywizję w XIX Korpusie, nieprawdaż? Gromobitną?
— Taaak. Bycza ferajna. Podłapałem kapitalny materiał spod serca o tym, jak chłopaki z Gromobitnej roznieśli Japońców nad rzeką Lona. Szykuje się coś teraz na północy?

— Wygląda na zastój — powiedział Antoni. — Ot, przeważnie oczyszczanie terenu. Ma się rozumieć, niewiele się mówi o operacjach u nas w kadrach. My tylko zajmujemy się ludźmi, tak jak i pan, od szeregowców aż po generałów jak Oliphant. No, dla ścisłości, niewiele możemy, kiedy dochodzi do generałów. Ostatniej nocy nadeszło pismo z Waszyngtonu w sprawie generała Oliphanta i cała nasza robota polegała na wsadzeniu odpisu do kartoteki. Oryginał poszedł do generała Brimmera. Słuchaj pan, czy pańskim zdaniem to sprawiedliwe zwalniać gościa z wojska, żeby mógł kandydować na gubernatora stanu, zwłaszcza gdy dowodzi dywizją?

Cleamer zakrztusił się nad talerzem. Potem rozglądnął się po kasynie, zapewne chcąc się przekonać, czy nie za blisko siedzi korespondent nazwiskiem Johns, z „Nowin Midlandzkich".

— No, to zależy — powiedział podejrzanie obojętnym głosem. — Mówi pan o generale Oliphancie?

— Owszem. Pan zapewne zna całą tę sprawę. Chodzi o ów cichy spisek w waszym stanie, który ma na celu wyciągnięcie Oliphanta z wojska, żeby mógł kandydować na gubernatora. Trzymają to pod korcem, bo przecież to drażliwa historia gadać głośno o tym, że chce się dowódcę dywizji z pola bitwy porwać na fotel gubernatorski. Pan musi go świetnie znać. Dobry byłby z niego gubernator?

— Rany boskie — powiedział Cleamer —jak się człowiek nad tym zastanowi, to z niego byłby fantastyczny gubernator. To jest, nie chcę przez to powiedzieć, że właśnie o tym pomyślałem, bo jak pan powiada, korespondent wojenny powinien znać się na tych sprawach, ale że właśnie wpadło mi to do głowy. Przecież jest możliwość, że generał wyjdzie z wojska. Sądzi pan, że się wyrwie?

— Skąd mógłbym o tym wiedzieć? Pismo było z samego Pentagonu. To sprawa na najwyższym szczeblu. Przypuszczam, że paru matadorów z waszego stanu wywierało nacisk na rząd, żeby Oliphantowi pozwolono wyrwać się z wojska i

kandydować na gubernatora. Sprawa oparła się o Pentagon i oto ministerstwo depeszuje do Kwatery Głównej z zapytaniem, co mają z tym fantem zrobić. Moim zdaniem, jeśli gość nie jest okropnie potrzebny w kraju, powinien trzymać się swojej roboty tutaj.

— Taaak, ale facet może służyć krajowi na wiele sposobów. Front narodowy też jest ważny. Ciekaw jestem, co też generał Oliphant sądzi o tej sprawie?

— On może nawet nie wiedzieć o tym — powiedział Antoni. — To pismo nie do niego było adresowane. W moim mniemaniu, skoro facet odwala świetną robotę dowodząc Gromobitną, nasi postarają się zatuszować całą historię w kraju, żeby go tutaj zatrzymać. A pan na miejscu głównodowodzącego nie zrobiłby tak samo?

— Trudno powiedzieć. Nie wie pan, hm... co oni zamierzają?

— Nie. To dla mnie za wysokie progi. Ale, ale, właśnie wpadło mi do głowy, że chyba nie powinienem był o tym panu opowiadać. Naturalnie, żaden z tego materiał dla prasy, ale nie powinienem paplać o wiadomościach, jakie przechodzą przez nasze ręce w G-l.W każdym razie przypuszczam, że wy korespondenci wojenni wiele rzeczy chowacie pod korcem, i wszystko, co powiedziałem, wpadnie jak kamień w wodę.

— Och, z pewnością — powiedział Cleamer. — Prawie każdy z nas więcej wie o tym, co się tutaj dzieje, niż wielu wysoko postawionych oficerów. No, zjeżdżam stąd, bo mam trochę roboty. Miło mi, że pana spotkałem, panie Lawrence.

Po wyjściu Cleamera Antoni odczekał parę minut, a potem ujrzał do pokoju prasowego. Zgadzało się: Cleamer siedział bębniąc żwawo na maszynie.

Teraz dowcip polegał na tym, jak się upewnić, że artykuł Cleamera przejdzie przez cenzurę. Dotychczas Antoni nie miał bezpośrednio do czynienia z propagandą, był to jednak całkiem interesujący wycinek administracji wojskowej i Antoni wiedział o nim tyle, ile tylko mógł. Na obszarze wojennym południowo-zachodniego Pacyfiku cenzura prasowa wchodziła w zakres obowiązków wydziału propagandy.

I w przeciwieństwie do wielu innych teatrów wojennych tutaj cenzura dbała równie dobrze o dokładność i kwestie polityczne, co o tajemnice wojskowe. Historyjka, którą Cleamer pisał, mogła zaniepokoić cenzora gdy wpadnie mu w ręce. A że zbraknie dyrektyw nakazujących konfiskatę tego typu historyjek, więc cenzor może pobiec z nią do głównego cenzora albo do sekretarza propagandy, albo do samego szefa. Antoni pomyślał, że lepiej będzie zaczepić o jedno ogniwo w tym łańcuszku.

Popytał tu i ówdzie i dowiedział się, że szef propagandy, pułkownik Thompson, siedzi w Moresby w kwaterze prasowej. Thompson ponoć był bystrym facetem, zawodowym oficerem, ma się rozumieć, ale nie z West Point. W takiej sprawie, jak ta, lepiej było nie mieć do czynienia z kimś z West Point, ponieważ wielu z nich uważało, że od propagandy jak od świerzbu trzeba trzymać się z daleka. Jak wieść niosła, Thompson walczył na Filipinach i MacArthur wysoko go cenił. Zatem warto było postawić na Thompsona, bo miał dane po temu, że potrafi wpaść na właściwy wniosek i nie zbraknie mu odwagi, żeby go wykonać.

Zaszedł do gabinetu pułkownika Tłibmpsona i przedstawił się. Thompson spytał, czym mu może służyć. To był dobry znak: przeciętnemu pułkownikowi nigdy nie przyszłoby do głowy takie pytanie wobec szarego porucznika.

Antoni zagadnął:

— Panie pułkowniku, jeśli któremuś z pańskich cenzorów wpadnie do rąk historyjka troszkę drażliwa politycznie, ale nie naruszająca w niczym tajemnic wojskowych, to co on z nią zrobi?

— Pokieruje się własnym rozeznaniem. Może ją puścić Może ją przynieść do mnie. Dlaczego pan pyta?

— Bo w najbliższym czasie jeden z pańskich cenzorów dostanie taką historyjkę. Liczę, że ją przepuści.

Pułkpwnik Thompson przypominał po trosze sprytnego ptaszka, ale bardziej sokoła niż kanarka. Wejrzenie jego bystrych, czarnych oczu mówiło, że umie pokazać szpony.

— Ciekawe, że mnie o tym mówicie, Lawrence — powiedział żywo. — Występujecie w imieniu własnym czy w czyimś innym?

— W pewnym sensie w swoim własnym, panie pułkowniku.

— To z was robi durnia, a na durnia nie wyglądacie, więc wam nie uwierzę. Powiadacie, że jesteście z G-l przy XIX Korpusie. Skąd wzięliście się w Moresby? Jakie macie przy sobie rozkazy?

Antoni wyciągnął swoje papiery.

— Cokolwiek ogólnikowe, panie pułkowniku — odparł. Thompson rzucił na nie okiem.

— Ogólnikowe, cholera. Możecie jeździć, gdzie chcecie, zatrzymywać się, gdzie chcecie i jak długo chcecie, na całym obszarze wojennym. Niczego sobie plenipotencje. O co ta gra?

— Panie pułkowniku, im mniej pan o tym wie, tym lepiej. Czy będzie to nie na miejscu, jeśli pana poproszę, żeby pan poprzestał na tym, chyba że ta historyjka trafi do pana?

Przez chwilę Thompson mierzył go złowrogim spojrzeniem, raptem zachichotał.

— Poruczniku — powiedział — pan mnie pobudza do szalonej czujności. W tejże chwili powinienem podnieść alarm. Ale zaryzykuję. Jeśli rzecz się prześliźnie przez moich chłopców, dobra. A jeśli ją tu przyniosą, to zobaczymy. Jak pan chce, może pan poczekać.

Antoni podziękował mu i zasiadł na czatach. Tu się zaczynał najtrudniejszy moment gry. Wrobić Cleamera w napisanie tej historyjki było całkiem łatwo; wystarczyło udać, że nieopatrznie puścił farbę. Ale nikt nie weźmie na plewy sokoła z propagandy. Czekał więc. Minął kwadrans, minęło dwadzieścia minut.

Potem wszedł wysoki czarnowłosy porucznik. Na kołnierzyku miał dwie skrzyżowane szable, na ramieniu dużą odznakę pierwszego pułku kawalerii. Wyglądał na junaka, który z chęcią by służył w dragonach pod imć generałem Custerem.

— Wpadła mi historyjka. Pan pułkownik zobaczy — powiedział wyciągając przed siebie dwie kartki maszynopisu.

Thompson szybko czytał artykuł. Wreszcie pchnął maszynopis przez stół do Antoniego.

— To to? — zapytał.

Antoni pochylił się nad tekstem. Z początku miał trochę kłopotu, bo depesza była napisana rąbanym żargonem kablogramu, którym posługiwali się korespondenci, żeby zmniejszyć koszta serwisu radiowego i kabla. Zaczynała się tak:

WAŻNIAK PUŚCIŁ FARBĘ STOP MATADORZY W DOMU NIUCHAJĄ SPRAWĘ GUBERNATORSTWA OLIPHANTA STOP Z NAJWYŻSZEGO SZCZEBLA WASZYNGTON PYTA STOP MOŻE HEROS SPOD LONY OPUŚCIĆ NAJBITNIEJSZĄ DYWIZJĘ...

Przypuszczalnie zostałoby to przetłumaczone tak: „Dowiedziano się dziś z poważnych źródeł, iż czołowi przywódcy polityczni z naszego stanu badają możliwość zwolnienia ze służby generała majora Artura C. Oliphanta, dowódcy Dywizji Gromo-bitnej, aby mógł kandydować w zbliżających się wyborach na stanowisko gubernatora. Koncepcja ta, jak daje się do zrozumienia, weszła w fazę rozmów na najwyższym szczeblu i indagacji ze strony Waszyngtonu tyczących się tego, czy generał Oliphant, bohater bitwy o rzekę Lona, mógłby osierocić naszą najwalecz-niejszą dywizję...

W tymże stylu przez bite dwie strony tekst obrastał w aluzje, spekulacje, domysły. A ponieważ nie mówił nic konkretnie, stwarzał wrażenie, że Departament Stanu, Marshall i MacArthur jak najpoważniej zastanawiają się nad tą sprawą, starając się

rozstrzygnąć, co przyniesie większy pożytek ojczyźnie. Depesza kończyła się wiązką dyrdymałek o tym, jak dywizja pod wodzą bohaterskiego generała Oliphanta rozgromiła żelazną zaporę japońską nad rzeką Lona, wydając całe północne wybrzeże Nowej Gwinei na łup dalszych zwycięstw wojsk alianckich.
— Tak, panie pułkowniku — powiedział Antoni z kamienną twarzą. — To właśnie to.
Pułkownik Thompson seria po serii bębnił palcami w biurko.
— Mógłbym zadepeszować do generała MacArthura z prośbą o wyjaśnienia — powiedział. — Z tekstu niedwuznacznie wynika, że generał jest wmieszany w tę sprawę, nieprawdaż?
— Tak, panie pułkowniku — odparł Antoni. — Ale nie jest to nigdzie powiedziane wprost. Osobiście nie namawiałbym pana na tę konfrontację.
— Panowie się nie znają — powiedział Thompson. — Nasz cenzor, porucznik John L. York, junior. Jack, przedstawiam ci porucznika Lawrence'a, z sekcji G-l przy XIX Korpusie. Tak się dziwnie składa, że pan porucznik czekał tu, bo właśnie chciał się przekonać, czy ta historyjka trafi do mnie.
— Czołem, Lawrence — powiedział York, po czym wyszczerzył zęby do Thompsona: — Choć raz byłem nie w ciemię bity, no nie, panie pułkowniku? Ten tekst mi śmierdział. Bill Cleamer siedział mi nad głową i starał się go przepchać.
Thompson skinął potakująco.
— Owszem, to byłby nie lada szlagier dla jego gazety. Słuchajcie, Lawrence, czy musiałbym bardzo daleko szukać, żeby znaleźć ów autorytet, owo poważne źródło, owego rzecznika sztabu występującego incognito, który podsunął Cleamerowi tę bajeczkę?
— Nie, panie pułkowniku — odparł Antoni. — Nie musiałby pan daleko szukać.
— Jack — powiedział pułkownik odwracając się do cenzora — nasz porucznik ma przy sobie cholernie ciekawe rozkazy. Dowództwo Korpusu pozwala mu poruszać

się swobodnie po całym obszarze wojennym, zatrzymywać się na jak długo zechce, w zadaniach poufnych, ale nie sprecyzowanych.
Młody porucznik kawalerii odezwał się ponuro:
— Chyba chcą się upewnić, żeby bohatera spod Lony nie ominął żaden zaszczyt. Muszę powiedzieć australijskim korespondentom, żeby przestali pisywać o tym, jak nadstawili za nas karku nad rzeką Lona.
— Jeśli generał Oliphant wróci do kraju — powiedział pułkownik z powagą— będzie to wielka strata dla naszego teatru. Proszę nie przekręcać moich słów. Mówię o teatrze wojennym południowo--zachodniego Pacyfiku, a nie o scenie teatralnej. Jednakże nasza strata stanie się zyskiem dla kraju, nie uważasz, Jack?
— Tak jest, panie pułkowniku. Od dawna to samo czułem. Pułkownik nasrożył brew.
— No wiec, na litość boską, przestańże biegać do mnie z każdą taką dyrdymałką. Pierwszy lepszy cenzor, cholera, powinien mieć dość oleju w głowie, żeby ją puścić. No, a jeśli o mnie chodzi, to zrób, co uważasz, i pamiętaj: nie pytałeś mnie o radę.
— Psiakrew — palnął York z niesmakiem. — To jest... psiakrew, panie pułkowniku. Dlaczego to zawsze porucznicy mają nadstawiać karku?
Wziął maszynopis i z kwaśną miną wyszedł z gabinetu.
— Guzik tu u nas, a nie dyscyplina — powiedział pułkownik Thompson. — Muszę wziąć się za to któregoś dnia. No cóż, poruczniku, czym jeszcze mogę panu służyć?
— Czy mogę się tu pokręcić parę dni, panie pułkowniku, poczekać, co z tego wyniknie? Zajdą chyba ciekawe wypadki.
— Oczywiście. Niech pan poprosi Jacka Yorka, żeby się panem zajął. Ja nie będę mógł panu pomóc. W gruncie rzeczy... nie ma mnie, wyjechałem do Brisbane przed paroma godzinami, więc nawet nie widziałem pana na oczy. Powodzenia,

Lawrence. Mam nadzieję, że niebawem dostarczymy nowego gubernatora na pożytek ojczyźnie.

Antoni zadomowił się w sztabie propagandy, oczekując, jak się sprawy potoczą. Okazało się, że potoczyły się żwawo. Antoni mógł śledzić ich przebieg, gdyż wojsko kontrolowało całą łączność prasową, a porucznik York przechwytywał do wglądu nadchodzące depesze i wychodzące korespondencje. Przy odrobinie przenikliwości można było wyrobić sobie dobre pojęcie o przebiegu wypadków.

Następnego ranka po wysłaniu artykułu do „Gońca Menapolis" Cleamer odleciał do sztabu Dywizji Gromobitnej. Wczesnym popołudniem nadeszła depesza z Midland City, rodzinnych stron generała Oliphanta, adresowana do Johnsa z „Nowin Midlandzkich". Depeszował naczelny redaktor „Nowin" takimi to gorzkimi słowy:

GONIEC MENAPOLIS TRĄBI W ARTYKULE CLEAMERA
O TAJNYM SPRZYSIĘŻENIU TYCZĄCYM GUBERNATORSTWA
OLIPHANTA STOP CZEMU I TY OKRYWASZ JE TAJEMNICĄ ZNAK
ZAPYTANIA WAL PIORUNEM ARTYKUŁ.

Johns pognał w te pędy na lotnisko i odleciał do sztabu Dywizji Gromobitnej. Z kolei dwie wielkie agencje prasowe, Associated Press i United Press, zaindagowały swoich korespondentów i znów wszczął się ruch na lotnisku. Potem przez krótkofalówki zaczęły napływać wiadomości ze sztabu Dywizji Gromobitnej. Najpierw generał Oliphant wyznał Cleamerowi z „Gońca Menapolis", że zaskakuje go ta wiadomość i że miejsce jego jest na polu walki, ale naturalnie czuje się zaszczycony, iż wzięto pod uwagę jego kandydaturę na najwyższy urząd w stanie.

Dalej nadeszła depesza Johnsa dla „Nowin Midlandzkich" zaczynająca się od słów:

OLIPHANT ZAPRZECZYŁ AMBICJOM UBIEGANIA SIĘ O URZĄD WYŁĄCZNY WYWIAD DLA WASZEGO KORESPONDENTA ALE PODDA SIĘ CHĘTNIE ŻĄDANIOM OGÓŁU...

Z kolei napłynęły na użytek obu wielkich agencji prasowych telegramy, w których generał Oliphant, jakkolwiek niechętnie, przyznawał, że występowano doń z pewnymi cichymi sugestiami, które on naturalnie odrzucał, ponieważ dopiero istotnie masowy ruch mógłby go przekonać, iż jego obowiązki z czymś innym niż z Gromobitną mogą być związane.

W tymże czasie, daleko na południu w Brisbane, trzeci korespondent z rodzinnych stron generała Oliphanta — Sundstrom z „Życia Nowego Oslo" — poczuł, że w paskudny sposób go wykiwano. Wiedząc, że nie zdąży na czas do Oliphanta i nie potrafi ubiec Cleamera, Johnsa i serwisu radiowego, z zapamiętaniem kropił artykuły z Kwatery Głównej. Nic więcej nie wyciągnął ze sztabu głównego niż kategoryczne zaprzeczenia pogłoskom o tym, jakoby Waszyngton wywierał nacisk w sprawie zwolnienia z wojska generała Oliphanta. Ale Sundstrom, który specjalizował się jako dziennikarz w dyplomacji, wiedział, jak wykroić materiał z kategorycznych zaprzeczeń, i udało mu się wywołać wrażenie, że Kwatera Główna wie o wiele więcej, niżby chciała się przyznać, i że nacisk rośnie z godziny na godzinę.

Antoni, oczywiście, nie mógł śledzić dokładnie tego, co się działo w rodzinnych stronach generała Oliphanta, ale na podstawie depesz od redakcji do korespondentów mógł sobie niejedno dośpiewać. Pierwsze wiadomości zbiły z pantałyku lokalnych przywódców politycznych. Oto powstało tajne sprzysiężenie zmierzające do zwolnienia ich stanowego bohatera od obowiązków wojskowych, a oni do niego nie weszli! Co gorsza, Oliphanta trudno będzie pobić w wyborach. Znalazła się jednak ostatnia deska ratunku. Sprzysiężenie powstało w takiej tajemnicy, że nikt dokładnie nie wiedział, kto w nim bierze udział. A więc

któż mógłby udowodnić kłamstwo temu, kto wystąpi publicznie z oświadczeniem, że to on właśnie był jednym z czołowych przywódców politycznych, którzy stworzyli ów tajny ruch? Na Boga, przecież można przechwycić tę inicjatywę, choćby sam diabeł ją wymyślił! Jak stan długi i szeroki owa odkrywcza myśl rozgorzała w umysłach przywódców partyjnych: aktualnego gubernatora, jednego z senatorów, sekretarza zgromadzenia stanowego, miejskich i okręgowych znakomitości. Opowiedzieli się gromko za Oliphantem, niemalże z żołnierską sprawnością i wigorem, zupełnie jak oddział na musztrze na komendę: „odlicz!" Potem spostrzegłszy z zaskoczeniem, jak liczna jest ich kompania, złamali szeregi i podnieśli dziki wrzask, aby dotarło do uszu Oliphanta, że każdy z osobna był faktycznym i najzagorzalszym orędownikiem jego sprawy.

Antoni spędził cały tydzień w Moresby przypatrując się, jak się to wszystko rozwija. Była to frapująca poglądowa lekcja polityki i z przyjemnością z niej korzystał. Uświadomił sobie oczywiście, że jego zasługa była w tym mizerna. To przypadek nagromadził stertę drewna i szczap, a on sam obszedł tylko stos i przytknął zapałkę we właściwym miejscu. Pożegnał porucznika kawalerii, wrócił do sztabu XIX Korpusu i zameldował się u majora Stranga.

— Panie majorze — powiedział — interes poszedł w ruch. Strang wypadł zza biurka, jak wystrzelony z moździerza, schwycił go za rękę i potrząsnął.

— Lawrence — wykrztusił. — Sto razy lepiej. Bomba wybuchła na Broadwayu i trafiła ich prosto w ciemię. Rzuć okiem na tę depeszę, nadeszła przed paroma godzinami.

Otóż to właśnie. Przed tygodniem udawał, że taka depesza istnieje, a teraz istniała naprawdę:

MARSHALL DO MACARTHURA DO BRIMMERA WZMAGA SIĘ OKROPNY NACISK W SPRAWIE ZWOLNIENIA GENERAŁA MAJORA

ARTURA C. OLIPHANTA ABY KANDYDOWAŁ NA GUBERNATORA W SWOIM STANIE
NIEODZOWNE WASZE REKOMENDACJE CO DO TEGO CZY MOŻNA GO ZWOLNIĆ ZE SŁUŻBY CZYNNEJ BEZ USZCZERBKU DLA ZADAŃ WOJENNYCH.
Major Strang powiedział wesoło:
— Do trzech razy sztuka. Proszę zgadnąć, jaka będzie ta rekomendacja?
— Liczę, że zagracie na zwłokę i każecie Oliphantowi żebrać o nią — odparł Antoni.
— Faktycznie, każemy. Generał Brimmer ćwiczy właśnie udar serca.
W dwa tygodnie później Antoniemu pozwolono asystować podczas małej uroczystości w sztabie korpusu, kiedy to generał Brimmer nadał Distinguished Service Medal generałowi majorowi Oliphantowi i życzył mu wszelkiej pomyślności po powrocie do Stanów. Gdy ceremonia się skończyła i generał Oliphant odjechał, major Strang schwycił Antoniego pod ramię.
— Nie uciekaj — powiedział. — Czeka nas inna mała uroczystość.
Zaprowadził go do gabinetu generała Brimmera. Po paru chwilach wszedł generał i zwrócił się do adiutanta:
— Dobra, Tom. Odczytaj.
Major Strang wyjął dokument i czytał:
— „O nadaniu Bronze Star Medal. Porucznik Antoni J. Lawrence, żołnierz Armii Stanów Zjednoczonych. Za chwalebny czyn mający związek z operacjami wojskowymi przeciwko nieprzyjacielowi na froncie południowo-zachodniego Pacyfiku w dniach od 28 października 1942 do 19 stycznia 1943 roku. Jako oficer przydzielony do sekcji G-l XIX Korpusu porucznik Lawrence otrzymał zadanie personalne wielkiej wagi. Dzięki swoim wyjątkowym zdolnościom, rozległej

znajomości ludzkiej natury i trafnemu osądowi porucznika Lawrence przyczynił się niezmiernie do powodzenia operacji bojowych na odcinku XIX Korpusu."
Generał Brimmer wystąpił naprzód, przypiął Antoniemu do bluzy Bronze Star Medal i uścisnął mu dłoń.
— Gratuluję, kapitanie — powiedział. Antoni zachłysnął się.
— Powiedział pan: kapitanie, panie generale?
— Chyba. Strang ma rozkaz awansujący pana. No, to pięknie, rzecz skończona. Jest mi tylko przykro z jednego powodu.
Tom, wiesz, o czym mówię?
Major Strang wyszczerzył zęby.
— Tak jest, panie generale. Komu innemu należał się Distinguished Service Medal.

9

Dotychczas Antoni nie miał naprawdę bliskiego przyjaciela w swoim wieku. Kiedyś, w szkole tańca, liczył na Edzia Eakinsa. Potem zbliżył się z Creightonem i Arnoldem, gdy grywali razem w rugby w Akademii Franklina. Podczas studiów prawniczych przestawał z kolegą z ubogiej dzielnicy Filadelfii, który się nazywał Ludwik Donetti. Ani wychowaniem, ani temperamentem do siebie nie pasowali, dzieliły ich we wszystkim różnice poglądów i dopiero w chwili ukończenia studiów uświadomili sobie, że właściwie, zamiast zostać wrogami, byli przyjaciółmi. Ale żadna z tych przyjaźni nie była głęboka.
Dopiero na Pacyfiku Antoni zaprzyjaźnił się serdecznie z majorem Strangiem. Uczucie, które ich łączyło, mogło powstać tylko w specyficznych warunkach, w wyłącznie męskiej społeczności, w ogniu zajęć, co pochłaniają każdą myśl, tak jak wojna. Wczoraj byli sobie zupełnie obcy, dzisiaj — po wspólnej rozgrywce z Oliphantem — jeden drugiemu stał się bratem. Zaczęli polować na siebie w

kasynie. Zamieszkali razem w jednej kwaterze. Rżnęli zaciekle w oczko, przegrywając do siebie koszule, puszki z piwem i sporadycznie gorzałkę, którą w prezencie dla wojska przywoził z Australii samolot, powszechnie zwany „dobrą pszczółką". Razem wybrali się na urlop i stwierdzili, że australijskie dziewczęta są rzeczywiście tak łaskawe i chętne, jak głosiła fama; wyjeżdżali z Brisbane ze złamanym sercem, ale wszystko poszło w niepamięć, kiedy zasiedli do oczka w samolocie.

Antoniemu łatwo przychodziło utrzymywać tę przyjaźń, ponieważ zawsze wiedział dokładnie, jak Tom Strang zareaguje na to czy na tamto. Akademia Wojskowa w West Point wypuszczała w świat trzy kategorie oficerów: mądrych, rzutkich i niemrawych — ci ostatni żywili tylko jedną ambicję, żeby się nie narażać. Trafiały się rozmaite połączenia tych kategorii i rozmaite stopnie intensywności; w kategorii niemrawych — brak intensywności. Tom Strang należał do rzutkich w całym tego słowa znaczeniu. Dążył do celu szybko i prosto jak kula wystrzelona z karabinu. Zyskać u niego szacunek mógł tylko ten, kto potrafił działać równie dobrze czy lepiej niż on, albo ten, kto dowiódł, że zalicza się do „mądrych". Po historii z Oliphantem Tom spoglądał na Antoniego takimi oczami, jak indiański wojownik na plemiennego czarownika.

Zrazu Antoni dziwił się, dlaczego generał Brimmer trzyma w sztabie tego typu faceta, co Tom, zamiast puścić go na front. Dostał na to odpowiedź, kiedy generał Brimmer mianował Toma podpułkownikiem i szefem operacyjnym XIX Korpusu, Antoniego zaś wziął sobie na adiutanta.

— Tom dziurę mi w brzuchu wierci, żeby go przerzucić na front — powiedział Antoniemu generał Brimmer. — Może to go trochę usadzi na jakiś czas. Jeśli uda mi się kiedyś wbić mu do głowy, że wojna polega nie tylko na prowadzeniu natarcia, to będzie mógł zajść daleko. Nie zrobi się z niego nigdy wszechstronny strateg, ale może z niego wyrosnąć drugi Georgie Patton. Wojsku przyda się

więcej facetów tego pokroju, co nasz Georgie. Może nie wkurzył im zdrowo na Sycylii? Tomowi nie piśnij ani słówka, rozumiesz? Ale przy każdej okazji bajeruj go, że musi się lepiej otrzaskać z robotą sztabową.

Antoni i Tom z każdym dniem stawali się coraz bardziej nierozłączni, XIX Korpus żabimi skokami zagarniał północne wybrzeże Nowej Gwinei — i tak minął im rok 1943.

W styczniu nadeszła z Waszyngtonu dyrektywa, z której każdy oficer na Pacyfiku mógł wywnioskować, że Waszyngton stawia na Marynarkę Wojenną i że Naczelnemu Dowództwu bardziej zależy na tym, żeby utemperować MacArthura, aniżeli pobić Japończyków. Dowództwo zakreśliło linię na mapie na północ od Nowej Gwinei. Powyżej tej kreski działać mogły tylko jednostki pod wodzą admirała Nimitza, głównodowodzącego na środkowym Pacyfiku. Poniżej — armia MacArthura mogła sobie do woli toczyć podjazdowe utarczki, raz na zawsze odcięta od Japonii i Filipin. W sztabie XIX Korpusu przyjęły tę dyrektywę tak ponure miny, jak gdyby przed chwilą cała armia została odsprzedana Piechocie Morskiej.

W parę dni później sztab zebrał się w kwaterze generała Brimmera, aby się zastanowić nad kolejnym żabim skokiem. Tom Strang, jako szef operacyjny, narzucił szkic operacji na mapę północnego wybrzeża Nowej Gwinei. Miał to być kolejny desant, jctóry ich podciągnie o jakieś sto mil wzdłuż wybrzeża do Sala-nandy. I skubnie Japończykom dziesięć czy piętnaście tysięcy ludzi. Strang naniósł trasę konwoju, wetknął niebieskie symbole jednostek w natarciu i czerwone symbole jednostek nieprzyjaciela. Potem wykropkował przypuszczalny kierunek japońskich nalotów, których należało się spodziewać z Wysp Książęcych, archipelagu pomniejszych wysepek, leżącego o dwieście mil na północ od Salanandy. Wszyscy w sztabie dobrze poznali te wysepki na własnej skórze: stamtąd gryzły dokuczliwe, lekkie bombowce japońskie.

— Nie możemy rozpieprzyć tego cholernego lotniska? — zagadnął ze złością generał Brimmer. — Przecież jedno tylko mają na Wyspach Książęcych, co?
— Owszem, panie generale, jedno — odparł Tom. — Piąta Flota Powietrzna co tydzień rzuca tam parę eskadr, ale żadną miarą nie możemy na dobre unieszkodliwić lotniska tym sposobem. Wywiad lotniczy powiada, że Japończycy nie trzymają na nim samolotów. Grupują je tylko przed akcją, a potem wycofują. Więc na ogół niczego tam nie można rąbnąć prócz pasa startowego i zbiorników z paliwem. Dziury załatają w parę godzin, a zbiorniki z paliwem są poutykane po zagajnikach palmowych dokoła lotniska.
— Nic im nie zrobimy, dopóki się go nie zdobędzie, generale — powiedział szef kadr. — Jak pan wie, Marynarka ma uderzyć latem na Wyspy Książęce.
— Ma, ma — burknął generał Brimmer. — Cała flota Pacyfiku, dwie dywizje piechoty morskiej i jedna zwykła dywizja. A tymczasem niech nas grzeją przez pięć miesięcy, ile wlezie, bo my to zniesiemy cierpliwie. Cóż, chyba nic nam innego nie pozostaje. Co do desantu na Salanandę, Tom, nie mam zastrzeżeń. Co powiesz o Dywizji Gromobitnej, poradzi sobie?
— Tak, panie generale. Od pewnego czasu wyszło na jaw, że tęgie z nich zabijaki.
Generał Brimmer przez chwilę posępnie wpatrywał się w mapę, gdy wszyscy czekali na jego decyzję.
— Psiakrew — mruknął. — Do czego się to wszystko sprowadza? Zamknęli nas jak w kotle przez tę cholerną dyrektywę. Gdzie się ruszyć, nigdzie nie wolno. Został kawałek Nowej Gwinei. Dalej na zachód nie wolno, bo to już front azjatycki. Na północ nie wolno, bo rozsiadł się tam Nimitz i to już jego nienaruszalne terytoria. Więc gdzie wolno? Boże, gdybyśmy tak mogli rąbnąć te cholerne Wyspy Książęce.
— To już obszar środkowego Pacyfiku, generale — powiedział Tom.
— Wiem, szlag niech to trafi.

Antoni uczestniczył w naradzie jako adiutant generała Brimmera. Do tej pory nie odzywał się ni słowem, ale teraz zaczęła mu dokuczać pewna myśl. W wojsku nieraz pakuje się ludzi do pieskich zajęć albo wsadza im się na łeb kagańce. Jego też kiedyś zapakowali na amen do durnej roboty przy balonach zaporowych. Wydostał się stamtąd przypadkiem: najpierw dzięki lekturze regulaminów, potem dzięki występowaniu w roli obrońcy w sądach polowych, wreszcie dzięki wyrobieniu sobie reputacji faceta, który zna się na tym, jak obejść regulamin. Dopiął swego nie prędko, ale krok po kroczku. W wojsku właśnie w ten sposób można było czasem wybrnąć z paskudnych sytuacji; inaczej — jak się ktoś rzucał, od razu dostawał po łbie. W tej chwili całą armię południowo-zachodniego Pacyfiku usadzono na tyłku nie gorzej niż przy balonach zaporowych. Zastanawiał się, czy nie udałoby się im wymknąć z tej pułapki krok po kroczku.
Odchrząknął i powiedział:
— Generale, czy wolno mi zrobić parę uwag?
Generał spojrzał na niego spode łba, zapewne myśląc, że adiutanci są od tego, żeby ich widzieć, ale nie słyszeć na odprawach sztabowych.
— No? — zagadnął niecierpliwie. — O co chodzi?
— Generale — powiedział Antoni — dyrektywa nie zabrania panu posłać zwiadu na Wyspy Książęce.
— Co ty opowiadasz? — obruszył się generał. — Mało żeśmy zwiadów tam wysłali?
— Tak, ale lotniczych, generale. A ja mam na myśli rekonesans piechoty. Poszedłby pan na to?
— Cóż, mógłbym tam wysłać pluton czy dwa. Ale co to nam daje?
— Generale, jeśli wolno panu w ogóle wysyłać zwiad, to ani z regulaminu, ani z przepisów bojowych nie wynika, że nie wolno panu wysłać zwiadu o dużej sile. Powiedzmy takiego, żeby mógł napaść na lotnisko i zniszczyć zbiorniki z paliwem.

Lotnisko jest oddalone o pięć mil od zatoki, ale tylko o milę od małej zatoczki z drugiej strony wyspy. Jeśli tam właśnie pchnie pan batalion po cichutku, żeby nie ostrzegać Japończyków bombardowaniem z morza i z powietrza, to batalion ma szansę przedrzeć się na lotnisko. Wiemy dobrze, że Japończycy nie znoszą zaskoczenia, tracą głowę.

Generał nie spuszczał teraz z niego wzroku, a oczy paliły mu się ogniem.

— No, no — rzucił — mów dalej.

— A więc, panie generale, jeśli batalion rzeczywiście przez zaskoczenie zdobędzie lotnisko, czy go pan stamtąd wycofa? To lotnisko stanowi jedyny ważny strategicznie punkt na całych Wyspach Książęcych.

— Słuchaj pan, kapitanie — wtrącił ze złością szef kadr — meldunki wskazują, że na Wyspach Książęcych siedzi co najmniej dwadzieścia tysięcy Japończyków. Chce pan rzucić przeciwko nim jeden batalion?

— Połowa siedzi na całym archipelagu — odparł Antoni — no więc jak się dostanie na główną wyspę, skoro my już tam będziemy mając pod ręką łodzie desantowe i kontrtorpedowce?

— To i tak zostaje panu jeden batalion na dziesięć tysięcy Japończyków.

— Ale z początku Japończycy będą w rozsypce — powiedział Antoni. — Zrobi się u nich paskudny bałagan. Wszyscy wiemy, że łączność im zawsze nawala, a główna stacja nadawcza mieści się zapewne na lotnisku. Jeśli ją przechwycimy, nie uda im się wcześniej niż w dwadzieścia cztery godziny zmontować większego natarcia.

— A wtedy — powiedział szef kadr — pożegnaj się pan z batalionem.

— Niby dla jakiej cholery — palnął Antoni — ma generał Brimmer dać sobie sprawić taką łaźnię? Tego nawet sam admirał Nimitz nie może od niego wymagać. W chwili kiedy generał wysyła rekonesans na Wyspy Książęce, jest zarazem gotów do desantu na Salanandę. Cała Dywizja Gromobitną płynie uzbrojona po

dziurki od nosa. Generałowi nie pozostaje nic innego, tylko w pewnej chwili skierować konwój na północ w stronę Wysp Książęcych.
W pokoju zapadła grobowa cisza. Oficerowie spoglądali na siebie i zaraz odwracali oczy. Za stołem polowym generał Brimmer tarł dłonią policzki. Nie trzeba było nic dodawać. W świetle dyrektywy rzecz równała się całkowitemu wystawieniu do wiatru Naczelnego Dowództwa. Była to jedna z tych sytuacji, które mogą się przydarzyć raz czy dwa razy w karierze oficera. Jeśli ją zgrabnie wykorzysta, ma zapewnioną karierę. A jeśli powinie mu się noga prędzej przeniosą go w stan spoczynku, niż postawią przed sąd.
— Za pięć miesięcy — powiedział cichym głosem generał Brimmer — cała flota Pacyfiku, dwie desantowe dywizje piechoty morskiej i jedna dywizja armii mają uderzyć na Wyspy Książęce. A my mówimy o uderzeniu na nie bez przygotowania lotniczego, bez ostrzału artyleryjskiego, jednym zakichanym batalionem.
Nikt nic nie powiedział.
— A jeśliby się udało — mruknął generał — nie usłyszymy więcej o tym, że na północ ma prawo działać tylko Marynarka. Droga na Filipiny będzie otwarta.
Wszyscy milczeli.
— Jeden zakichany batalion — mruknął generał Brimmer. Tom Strang odwrócił się do mapy. Niebieską kredą zakreślił na szkicowniku łuk od ich obecnej bazy do Salanandy na wybrzeżu Nowej Gwinei. Niebieskie literki Dzień D wyskoczyły przy Salanandzie. Potem ołówek pomknął od ich bazy w kierunku Wysp Książęcych, szorstką grubą linią przecinając terytoria zastrzeżone dla Marynarki. Symbol D — 3 wyrósł przy małej zatoczce, u brzegów głównej wyspy archipelagu. Ołówek przytknął nagle, aż w cichym pokoju ciarki przeszły wszystkim po skórze. Generał Brimmer powiedział cicho:
— Ja to kupię.

Przez trzy tygodnie sztab XIX Korpusu pracował w najgłębszej tajemnicy, strzegąc dostępu do kwatery głównej przed Marynarką i Australijczykami, co najmniej jakby to byli Japończycy. Nikt nie miał prawa się wydalać poza generałem Brimmerem, który odbył podróż lotniczą do Moresby, gdzie przypuszczalnie spotkał się z MacArthurem. Dywizja Gromobitna zaczęła się przygotowywać do desantu na Salanandę. Tymczasem skompletowano grupę operacyjną pod kryptonimem X. Składała się ona z dwóch kompanii piechoty, dwóch plutonów cekaemów i moździerzy, plutonu komandosów, którzy byli wyszkoleni w nocnej walce wręcz, i drużyny płetwonurków do niszczenia urządzeń podwodnych. W cichym zakątku plaży zaczęli oni ćwiczyć natarcie z morza, w przekonaniu, że pójdą jako szpica desantu na Salanandę.

Tom Strang wraz ze sztabem wypracował plan operacji do najdrobniejszych szczegółów. Dzień D oznaczał desant na Salanandę, D — 3 desant na Wyspy Książęce. O zachodzie D — 4 miał nastąpić atak bombowy na lotnisko, wcale nie wielki, wcale nie podejrzany, zwykły cotygodniowy nalot, ale tak pomyślany, żeby Japończycy po zapadnięciu zmroku mieli pełne ręce roboty. Godzina H oznaczała świt na Wyspach Książęcych. O Godzinie H — 3 płetwonurkowie popłyną oczyścić wejście do zatoczki oddalonej o milę od lotniska. OH — 2 pluton komandosów wyląduje na łodziach gumowych. OH — 1 trzy stare kontrtorpedowce — gruchoty z pierwszej wojny światowej — położą ogień zaporowy o pięćdziesiąt jardów w głąb wyspy. W Godzinie H batalion uderzy na wybrzeże z łodzi desantowych. Nie zatrzymując się pod żadnym pozorem Grupa Operacyjna X przedrze się na odległe o milę lotnisko, tam się okopie i zorientuje, jak długo będzie mogła się utrzymać, nim piekło zwali się jej na głowę.

Tymczasem o świcie D — 3 wyruszy desant na Salanandę. Konwój, wiozący Dywizję Gromobitną, weźmie kurs o sto mil na północ od wybrzeża, żeby trzymać się z dala od japońskich punktów obserwacyjnych. O zachodzie D — 3 konwój

znajdzie się osiemdziesiąt mil na południe od Wysp Książęcych. Jeśli do tego czasu Grupa Operacyjna X zajmie lotnisko, nie da się wytłuc i zamelduje, że może utrzymać się przez noc, konwój skręci prosto na północ i o świcie D — 2 wpłynie do małej zatoczki i zwali Dywizję Gromobitną na brzeg.

Był to plan delikatny i dokładny jak mechanizm doskonałego zegarka. Oczywiście, doskonałe zegarki często niszczą się na wojnie.

Na trzy dni przed operacją Antoni siedział przy biurku, kiedy z gabinetu generała Brimmera wypadł Tom Strang, podbiegł do niego i zaczął go grzmocić po plecach.

— Udało mi się! — wołał. — Udało! Przedstawiłem sprawę staremu i stary uległ. Stary się zgodził.

— Zanim połamiesz mi kości, powiedz przynajmniej, co ci się udało?

— Dostałem Grupę Operacyjną X! — zawołał Tom. — Mam ją! Ja nią dowodzę! Wyniszczyłem generałowi, że już półtora roku nie byłem w akcji, że nikt nie zna planu działania lepiej ode mnie, że mnie się należy dowództwo. Uległ na koniec i wyraził zgodę.

— To bosko. Na tym ci od dawna zależało, nie?

— Wprost idealnie! I wiesz co, Antoś, chciałbym cię zabrać ze sobą. Nigdy nie widziałeś regularnej bitwy, zobaczysz, co to za frajda! Należy ci się to przecież, w czyjej głowie narodził się ów pomysł, jak nie w twojej?

Antoni uśmiechnął się szeroko. Szturm na wybrzeże z takim facetem jak Tom to będzie dopiero przeżycie! W życiu nie porywał się na tak szaloną eskapadę, warto choć raz postąpić po wariacku dla samej uciechy, zwłaszcza że ręka w rękę z Tomem.

— A na cóż ja się przydam? Cholera, co ze mnie za pociecha?

— O to niech cię głowa nie boli. Pewno, że się przydasz. Znasz operację prawie nie gorzej ode mnie. Po drodze będziemy nadawać kupę meldunków, to możesz

pomóc. A jak dostaniemy się na brzeg, przyda mi się facet, co orientuje się w grze i pomoże mi utrzymać inicjatywę w ręku. Co ty na to?
— Myślisz, że uda mi się wydębić zgodę u generała?
— Pewno, że tak. Wal do niego od razu, Antoś. I nie daj się zbić z tropu, choć z miejsca zacznie cię opieprzać.
— Nie bój się — powiedział Antoni.
Radośnie uścisnęli sobie dłonie i Antoni ruszył do gabinetu Brimmera. Generał siedział za stołem zaglądając do kosza na papiery jak myśliwy do lisiej nory. Spojrzał spode łba na Antoniego i powiedział:
— Odmawiam zgody.
— Ależ, panie generale — zaprotestował Antoni. — Nie powiedziałem jeszcze ni słowa.
— Ale powiesz. Chcesz mnie zapytać, czy wolno ci ruszyć z Tomem. Na pewno przed chwilą cię nakręcił. Dobrze wiedziałem, dokąd go poniosło, kiedy wyleciał stąd jak z procy. Szkoda gadać, ja ciebie nie puszczę.
— Generale, nawet nie daje mi pan poprosić! Toma to pan wysłuchał, jak przyszedł do pana, żeby dostać Grupę Operacyjną X. A dla mnie tego pan nie zrobi przez zwykłą choćby przyzwoitość?
— Toma wysłuchałem, bo jest oficerem zawodowym. Musi mieć zadania bojowe na swoim koncie. Nie sądzę, żeby akurat do tego zadania dorósł, ale nie mogę go wiecznie powściągać. A ty jesteś zasmarkanym cywilem w mundurze. I guzik mnie to obchodzi, czy masz, czy nie masz bitew na swoim koncie. Wcale nie muszę o to dbać. A Grupie Operacyjnej X przydałbyś się tyle, co dziura w moście.
— Ależ, generale, Tom powiada, że pomógłbym mu w nadawaniu meldunków. A jak wylądujemy, będę przy nim czymś w rodzaju konsultanta.
— Gadaj zdrów.
— Generale, to mój najlepszy przyjaciel.

Generał Brimmer naparł całym ciężarem na stół jak czołg zajmujący pozycję.
— Słuchaj no, Antoś — powiedział — możesz mi zalać sadła za skórę. Wiem, że to twój przyjaciel. Wiem, że jestem twoim dłużnikiem za Oliphanta i za naszą Operację X, jeśli się uda. Możesz doprowadzić do tego, że poczuję się jak świnia, i żeby nie czuć się jak świnia, w końcu wyrażę zgodę. Ale powiadam, na nic się nie przydasz w Grupie Operacyjnej X. A tutaj mamy z ciebie ogromną pociechę. Słuchaj, ze mnie jest stary, łysy koń, po wojnie pójdę na emeryturę, nikt więcej o mnie nie usłyszy i nie wymagam, żebyś widział we mnie przyjaciela. Ale chcę cię o coś poprosić, jak mężczyzna mężczyznę, jakbym nie nosił tych szlifów. Daj temu spokój, dobrze? Zrób mi łaskę i daj temu spokój.
Antoni wpatrywał się w czerstwą, poważną twarz za biurkiem. Z Brimmera był kawał zimnego drania, przynajmniej w stosunkach osobistych. Wywodził się, tak jak ojciec Joanny Dickinson czy Jan Marshall Wharton, z tych facetów, co potrafią wyczuć w człowieku słabe punkty i śmiało w nie uderzyć. Niech ręka boska strzeże od takiego przyjaciela; „Chwat" Brimmer sprzeda każdego bez zmrużenia powiek, jeśli mu to pomoże w wykonaniu żołnierskiego zadania. Ale człowiek musiał go za to szanować. Wcale nie udawał, że ma gołębie serce.
— Dobrze, panie generale — powiedział wolno Antoni. — Cofam prośbę.
— Brawo, synku — rzekł Brimmer niemal mimochodem. Nigdy nie tracił czasu, żeby się cieszyć ze zwycięstwa. — A propos — dodał z przelotnym uśmieszkiem — chyba cię zaciekawi, że nasz maleńki rekonesans został uzgodniony z admirałem Nimitzem, naturalnie tylko w bardzo luźnych zarysach. Maleńki zwiad, który zbada skutki wieczornego nalotu. Nimitz wyłączy się na ten czas, dopóki nasz zwiad nie wycofa się z wyspy. Grzeczniutko, hę? Jak nam się uda, to Nimitz nawet nie piśnie z braku podstaw.
Antoni zgodził się, że nie piśnie, wyszedł z gabinetu i wrócił do swojego biurka, gdzie czekał Tom. Spojrzał na Toma, potrząsnął głową i wbił wzrok w podłogę.

— Nie nawiązałeś ostrej walki — powiedział Tom ze złością. ~ Za krótko tam byłeś. Podsunął ci przynętę, że nie może się bez ciebie obejść, a tyś ją połknął. Może nie?

— Chyba tak — wymamrotał Antoni. Tom powiedział urażonym tonem:

— Zapewne nie zależało ci tak bardzo na tym, żeby wyruszyć ze mną.

Antoni podniósł oczy i usiłował się uśmiechnąć, ale twarz miał jak ściętą mrozem.

— Wybacz — powiedział.

Tom wlepił w niego oczy, jakby go nie poznawał. A potem uśmiechnął się i klepnął go po ramieniu.

— Nie martw się — powiedział. — Wiem, jak stary potrafi działać na ludzi. No, do zobaczenia.

Antoni wzrokiem odprowadził go do drzwi. Mimo uśmiechu i klepnięcia po ramieniu Antoni miał uczucie, że jedyna prawdziwa przyjaźń w jego życiu właśnie się skończyła.

Na godzinę przed świtem D — 3 Antoni siedział w zakamuflowanym domku operacyjnym, przyglądając się, jak dyżurny oficer nanosi na mapę kolejne fazy operacji na Wyspach Książęcych. Facet wyrysował, posługując się symbolami, że Grupa operacyjma X zbliża się właśnie do wybrzeża, wysyła płetwonurków i z kolei pluton komandosów. Naturalnie, nie miało to żadnego znaczenia. Zwykłe wróżenie z fusów, gdyż Grupa operacyjna X znajdowała się pod ciszą radiową od chwili opuszczenia Nowej Gwinei. Ostatni meldunek, cokolwiek wart, donosił, że bombowce dokonały umiarkowanego nalotu o zachodzie na lotnisko na Wyspach Książęcych. Od tej pory — nic.

Antoni wyśliznął się przez uszczelnione od światła drzwi i obserwował, jak niebo blednie na wschodzie, a szczyty Gór Owena wgryzają się w nie. Jeśli wszystko potoczyło się zgodnie z planem, a często się tak nie zdarza, łodzie desantowe zbliżają się w tej chwili do wybrzeża. Tom stoi obok sternika i spoza płyty

pancernej wpatruje się w ciemny ląd. A może wcale nie ciemny? Może świetlne pociski prują z gęstych gniazd karabinów maszynowych? Wzgórza mrugają ogniem artylerii? Łodzie suną w białych bryzgach wybuchów i raz po raz któraś z nich niknie w kłębie rdzawego dymu? Nie powinno się tak bronić małej zatoczki. Japończycy nie powinni przewidzieć desantu. A któż to może wiedzieć.
Radiotelegrafista przebiegł pędem do operacyjnego, Antoni ruszył za nim. Cisza w eterze została przerwana. Wśród trzasków nadleciało z północy jedno słowo. Był to zaszyfrowany meldunek od trzech starych kontrtorpedowców, który po odczytaniu brzmiał:
OPERACJA ROZWIJA SIĘ ZGODNIE Z PLANEM OTWIERAM OGIEŃ ZAPOROWY O H — 1.
Antoni się spocił. Naturalnie, wiadomość była dobra, ale już przestarzała. W tej właśnie sekundzie świt ogarnia Wyspy Książęce, batalion uderza na wybrzeże, a ogień artyleryjski przenosi się dalej na zagajniki palmowe w kierunku lotniska.
Minęła godzina. Nowy meldunek szyfrem:
GRUPA OPERACYJNA X PRZYBIŁA DO BRZEGU ZGODNIE Z PLANEM PRZENOSZĘ OGIEŃ W GŁĄB WYSPY.
Ale w tejże chwili Tom i blisko ośmiuset chłopaków — a może tylko resztka? — przedziera się szturmem na lotnisko. Płucom ich brak powietrza, są czarni od potu, a wokół Japończycy biegają jak mrówki. Tak, szturmują lotnisko, jeśli w ogóle udało im się wedrzeć w głąb wyspy. Te plany wyglądały gładko i czysto, kiedy Tom nanosił je na mapę, ale zasadniczo zmieniały charakter, gdy się spojrzało na nie od strony chłopaków, którzy pędzą naprzód, przypadają za miłosiernym drzewem i znów zmuszają się, żeby wstać i biec na kępy zarośli, wśród których może się kryją ryjki japońskich karabinów maszynowych.
Przez długi czas żadna wieść nie nadeszła od batalionu. W eterze zaczęły się krzyżować inne meldunki. Od kontrtorpedowców rąbiących, gdzie się dało. Od

kanonierek, które przetrząsały przesmyki archipelagu polując na japońskie barki. Od zaalarmowanego nagłą ruchawką Dowództwa Sił Lotniczych, które pchało do walki eskadrę za eskadrą. Natomiast od batalionu — nic.

Antoni wrócił do głównej kwatery. Generał Brimmer siedział za stołem, sprawdzał meldunki i oznaczał na mapie skręcający na północ, powolny kurs konwoju, którym Dywizja Gromobitną zmierzała do akcji pod Salanandą. Operacja X posiadała wiele drażliwych momentów, ale prawdziwy problem stanowić będzie decyzja, czy pchnąć Gromobitną ku Wyspom Książęcym, czy też nie. Można ją było podjąć ledwie na przestrzeni paru godzin przed zachodem słońca. Potem wielki konwój, pozostawiając za sobą Wyspy Książęce, skręci już na zachód i nie da się go zatrzymać na wodach Pacyfiku, żeby zaczekał, nim nadejdzie decyzja.

Japończycy przeszli teraz do akcji. Eskadry amerykańskie ścierały się z myśliwcami nieprzyjaciela nadlatującymi od Karolin. Zatoczka, w której lądował desant, została zaatakowana przez bombowce japońskie. Jeden z sędziwych kontrtorpedowców poważnie ucierpiał od bliskiej bomby. Kanonierki zatopiły cztery barki japońskie zmierzające z wysepek archipelagu ku głównej wyspie.

Przewlekło się południe. Godzina trzynasta, czternasta. O czternastej trzydzieści wszedł goniec z radiotelegrafu. Kontrtorpedowce przechwyciły sygnał od batalionu. Jedno zaszyfrowane słowo, które każdy mógł łatwo sam rozszyfrować, jeśli znał operację. Znaczyło ono, że batalion zajął lotnisko i okopał się wokół niego. Było to krótkie słowo, a brzmiał w nim dźwięk trąb: KOCIOŁ!

Generał Brimmer przełknął ślinę. Spojrzał na Antoniego, otarł twarz z potu i powiedział:

— Sukinsyny. Dali radę.

Potem od czasu do czasu nadchodziły krótkie meldunki od batalionu. Zlikwidowano gniazdo oporu. Atak w sile plutonu odparty. Znajdują się pod sporadycznym ogniem moździerzy. Nalot bombowców. Koncentryczny atak

dwóch plutonów odparty. Zlikwidowano pojedyncze gniazda oporu. Nalot bombowców. Nalot bombowców. Atak nieprzyjaciela w sile kompanii odparty.
Niebo na zachodzie powoli czerwieniało. O dwieście mil na północ, okopany na lotnisku na Wyspach Książęcych, batalion oczekiwał nocy i dzikich wrzasków idących do szturmu oddziałów japońskich. O sto dziesięć mil na północ konwój słał za sobą spieniony ślad na seledynowym morzu. Generałowi pozostawały dwie godziny na podjęcie decyzji.
W kwaterze zaciągano już ochronne zasłony na oknach. Zachód słońca i noc przychodzą szybko w krajach tropikalnych.
Wszedł goniec z radiotelegrafu. Kontrtorpedowce przejęły depeszę od batalionu i nie czekając, by ją zaszyfrować, nadały od razu do XIX Korpusu. Mówiła prosto: CHRYSTE JAPOŃCÓW TU DUŻO ALE MOŻEMY SIĘ UTRZYMAĆ DO JUTRA DO POŁUDNIA.
— Dobra, Antoś — powiedział generał Brimmer. — Podyktuję ci trzy depesze. Zaniesiesz je do radiotelegrafu, żeby zaszyfrowali i nadali. Pisz.
DO GŁÓWNODOWODZĄCEGO GRUPY OPERACYJNEJ X DYWIZJA GROMOBITNĄ PRZYBĘDZIE Z ODSIECZĄ O ŚWICIE. Koniec depeszy. DO DOWÓDCY KONWOJU W DRODZE KU SALANANDZIE OTWORZYĆ ZAPIECZĘTOWANE ROZKAZY I WYKONAĆ PLAN B POTWIERDZIĆ POWTÓRZYĆ POTWIERDZIĆ. Koniec depeszy. DO DOWÓDCY DYWIZJI GROMOBITNEJ NA POKŁADZIE KONWOJU SALANANDĄ OTWORZYĆ ZAPIECZĘTOWANE ROZKAZY I WYKONAĆ PLAN B POTWIERDZIĆ POWTÓRZYĆ POTWIERDZIĆ.
Koniec depeszy. To wszystko, Antoś.
Antoni wystukał je szybko na maszynie, pobiegł do radiotelegrafu i słuchał, jak pomknęły iskrówkami w eterze. Potwierdzenia nadeszły w przeciągu trzydziestu minut. O sto dwadzieścia mil na północ okręty konwoju Salanandą skręcały na

północ zamiast na zachód i Dywizja Gromobitną znajdowała się w drodze ku Wyspom Książęcym.
Całą noc nie zmrużył oka w oczekiwaniu na ostateczny meldunek, który nadszedł o dziesiątej rano D — 3 od dowódcy Dywizji Gromobitnej:
WYLĄDOWANO ZGODNIE Z PLANEM I ZLUZOWANO GRUPĘ OPERACYJNĄ X KTÓRA MA OSIEMDZIESIĄT PROCENT STRAT ALE UTRZYMAŁA W CIĄGU NOCY LOTNISKO WBREW ATAKOM NIEPRZYJACIELA KTÓREGO SIŁĘ SZACUJE SIĘ NA CZTERY TYSIĄCE LUDZI.
Stało się. Mieli lotnisko w swoich rękach i Japończycy nigdy go już nie odzyskają. Mieli klucz do Wysp Książęcych. Marynarka nie stanie już im na przeszkodzie, mieli drogę otwartą. Jeden batalion i trzy przestarzałe kontrtorpedowce dokonały tego, czego miały dokonać za pięć miesięcy trzy dywizje i cała Flota Pacyfiku. W Waszyngtonie Naczelne Dowództwo będzie sarkać, ale tylko w swoim gronie, bo któż by spierał się ze zwycięstwem?
Jedna tylko rzecz rzucała cień na to wszystko. Antoni spojrzał na generała Brimmera i powiedział:
— Osiemdziesiąt procent strat.
Zdawało mu się, że generał po tej nocy mocno się postarzał.
— Antoś — powiedział łagodnie — to niewysoka cena. Stracilibyśmy tyluż ludzi wskutek nalotów z Wysp Książęcych czy też przy desancie na Salanandę.
— Ciekaw jestem, jak Tom sobie poradził.
Generał Brimmer przechylił głowę do tyłu i wbił oczy w sufit.
— Zanim się rzecz zaczęła — powiedział — przestrzegłem radiotelegrafistów i oficera operacyjnego, że jeśli nadejdzie pewnego rodzaju depesza, nie wolno jej tobie pokazywać. Cóż zrobić, nadeszła. Tom dostał w czako.
Nie od razu pojął te słowa w całej pełni; pojmuje sie je dopiero z czasem.

— Wie pan, jak się to stało, generale?
— Owszem. Tom wyruszył z komandosami przed świtem. Nie miał prawa tego robić, ale jednak zrobił. Kiedy komandosi pracowali nożami, Tom z sierżantem wypuścił się na patrol w głąb wyspy. Obaj nie powinni byli tam się znaleźć. Dostali się w ogień zaporowy kontrtorpedowców. Pierwsza fala natarcia natknęła się na nich o sto metrów od brzegu, pocisk zmasakrował ich doszczętnie. Przykro mi, chłopcze.
— Zawsze chciał być na samym przedzie przed wszystkimi — powiedział posępnie Antoni. — Może gdybym ja tam był, to mógłbym...
— Cholerę mógłbyś! — przerwał ostro generał. — Facet był w gorącej wodzie kąpany, starałem się inaczej nim pokierować i nie mogłem. Polazłbyś tam razem z nim. A teraz chcę, żebyś sobie coś zapamiętał na zawsze. Tego dnia, kiedy prosiłeś, że pójdziesz z nim, ja cię poprosiłem, żebyś zrobił to dla mnie i nie szedł. Sam powziąłeś decyzję. I była to decyzja słuszna. Żebyś się zawsze liczył z tym faktem, rozumiesz?
— Tak, panie generale — powiedział Antoni. Naturalnie, była to słuszna decyzja, ale nigdy nie będzie miał spokojnego sumienia, że ją powziął.

10

Wrócił z Japonii w październiku 1945 roku, w mundurze majora, z Bronze Star i Legion of Merit, z piersią upstrzoną wstążeczkami odbytych kampanii i gwiazdkami bitew. Zaimponował tym całej firmie „Morris, Clayton, Biddle i Wharton", która z kolei przyznała mu zaszczytne wyróżnienie. Polegało ono na umieszczeniu jego nazwiska w nagłówku blankietu firmowego po prawej stronie, obok nazwisk jedenastu innych prawników. Zarazem otrzymał prawo do osobnego maleńkiego gabinetu. Przed wojną pracował na wspólnej sali wraz z młodymi prawnikami i, oczywiście, nie figurował w nagłówku.

Wypadało się z tego tylko cieszyć. Jednakże prawy margines nagłówka leżał znacznie dalej od lewego marginesu, niżby się na pozór wydawało. Po lewej stronie znajdowały się dwa słupki nazwisk. Najpierw szło pięciu seniorów firmy, potem następował dyskretny odstęp, a za nim — pięć nazwisk dokooptowanych członków zarządu. Człowiek mógł przeskoczyć z prawego marginesu do dolnego słupka po lewej stronie, jeśli zdobył sobie uznanie i potrafił wnieść z honorariów pięćdziesiąt tysięcy dolarów dochodu rocznie. Natomiast dostać się do górnego słupka tylko wtedy, jeśli nazwisko jego cieszyło się poważaniem w sferach Sądu Najwyższego albo wśród najlepszych rodzin w Filadelfii. Uważano, że drugi z tych warunków jest znacznie trudniejszy do spełnienia.

Człek mógł nieraz pracować w firmie całe życie nie uświadczywszy nawet okazji do przeskoczenia na lewą stronę nagłówka, którą szarzy pracownicy, bez szans wybicia się, zwali „Krainą szczęśliwych łowów". Antoni ani myślał trawić życia po gorszej stronie nagłówka. Stracił już i tak zbyt wiele czasu i musiał się spieszyć, żeby to nadrobić. Wojna zaskoczyła go w najbardziej nieodpowiedniej chwili. Przez nią musiał marnować czas w ciągu osiemnastu miesięcy po ukończeniu szkoły prawniczej. Zamknęła mu drogę do kariery na przeciąg pięciu lat. Teraz przekroczył już trzydziestkę i ledwie startował w swoim zawodzie. Nie zdobył jeszcze ani reputacji, ani pieniędzy, ani żony, która by mu pomogła się wybić. Nie miał nazwiska jako prawnik, nie miał też pieniędzy. Kiedy siedział w wojsku, wszystkie posażne panny, które znał, przez ten czas się powydawały. Przyszedł wprawdzie nowy rodzaj debiutantek i starszych panien do wzięcia, ale nie miał wśród nich żadnych znajomości. Niegdyś był przystojnym studentem i dobrym tancerzem, a więc łatwo mógł się podobać dziewczętom z towarzystwa. Ale kiedy człek przekroczył trzydziestkę, panny do wzięcia spodziewają się po nim solidniejszych walorów: pieniędzy, pozycji społecznej albo przynajmniej

poważnych perspektyw na przyszłość. Prawa strona w nagłówku firmy „Morris, Clayton, Biddle i Wharton" nie przyprawi ich chyba o zawrót głowy ze szczęścia. Matka starała się mu pomóc i wprowadzić znów do towarzystwa. Jako dyrektorka szkoły żeńskiej znała sporo dziewcząt z dobrych domów. Wygrzebała ich pół tuzina, ale dwie interesujące nim się nie interesowały, a pozostała czwórka wyglądała istotnie jak wygrzebana z lamusa.

Państwo Whartonowie otaczali go względami, które — choć wielce pochlebne — były mało korzystne. Pan Wharton zażywał spokojnej emerytury i ledwie mógł mu podrzucić parę drobniejszych spraw. Pani Wharton wyglądała tak uroczo, jak zwykle, chociaż srebrny szron mocno przyprószył jej włosy. Była szczęśliwa i zadowolona, aż zdawało się, że to nie siedem lat, ale wiek cały upłynął od owego szaleńczego galopu, gdy wypuścili się na ostatnią konną przejażdżkę. Robiła, co mogła, żeby go ożenić z odpowiednią dziewczyną, wciąż sporządzała listy kandydatek, a potem ze smutkiem skreślała ich nazwiska.

— Każda stanowi doskonałą partię dla ciebie, Antoś — powiadała. — Ale najpierw musimy ci zdobyć poważnego klienta albo coś takiego. Mój Boże, gdyby tak Jan zechciał się do tego przyłożyć.

Prawie wykluczone, myślał sobie Antoni, aby jej mąż mógł pozyskać dlań poważnego klienta, choćby nie wiadomo jak się o to starał. Do poważnych klientów zaliczał się ten, kto zapewniał adwokatowi stały dopływ intratnych spraw albo wypłacał mu poważne honorarium za to, że w razie potrzeby skorzysta z jego usług. Niewielu tego typu klientów znajdowało się pod ręką. Gdyby tak dodać razem wielkie przedsiębiorstwa handlowe i przemysłowe, banki, towarzystwa ubezpieczeniowe, posiadłości ziemskie i parę pomniejszych interesów, nie naliczyłoby się chyba w obrębie Filadelfii więcej niż tysiąc poważnych klientów. Łatwiej można by skłonić arystokratę filadelfijskiego, żeby się wyrzekł swoich przodków, niż firmę prawniczą, żeby się wyrzekła takiego klienta.

Poza tym nikt nie śmiał zwabiać cudzych klientów. Dawno temu mądrzy starcy ubezpieczyli się przed zgłodniałą młodzią prawniczą, żeby im nie podbierała tłustych kąsków ze spiżarni. Przyjęli normy postępowania, które wyklinały „zachowanie sprzeczne z etyką zawodową". A jednym z najgorszych przejawów takiego zachowania było wtrącanie się do cudzych klientów. Czekała za to kara, kładąca kres karierze prawniczej — skreślenie z listy adwokatów albo co najmniej zawieszenie na długi czas. Gdyby wielkie spółki akcyjne przyjęły podobny system dla kontrolowania konkurencji, nazwano by to zamachem na wolność handlu i prawnicy pierwsi wytoczyliby przeciwko nim ciężkie działa. Ale wcale nie zamierzali ich wytaczać przeciwko własnej prywatnej metodzie uśmierzania konkurencji. Młodego adwokata zachęcano do poszanowania zasad, które z kolei pomogą mu u zmierzchu jego kariery.

Antoni odczuwał brak poważnego klienta. Nie miał wpływowej rodziny, która by mu go podsunęła, ani nikogo, kto by mu go dał, ani też prawa do otwartej walki o niego. Nie pozostawało mu nic innego tylko rozłożyć swoje towary na targowisku i czekać na szczęśliwą chwilę.

Potrzebował wielce atrakcyjnych towarów i dobrze się nagłowił, nim dokonał wyboru. Przed paroma laty prawnicy czerpali duże zyski ze wspierania spółek akcyjnych w ich wzajemnych wojnach. Zadaniem adwokata było pomóc klientowi w zbijaniu forsy. Ostatnio jednakowoż zaczęła się rozwijać nowa dziedzina pracy prawniczej. Najrozmaitszego rodzaju podatki — dochodowe, obrotowe, spadkowe, od darowizn, od zysków z kapitałów, od własności osobistej, od ustąpienia praw i od wielu, wielu innych — rozrosły się niesamowicie pod wpływem New Dealu i podczas drugiej wojny światowej. Można było mieć bardzo duże dochody czy bardzo poważne zyski, a jednak zostać z małą sumką w garści po oskubaniu przez podatki. Najbardziej obiecującym zajęciem dla prawnika stawało się nie wspomaganie klienta w zbijaniu majątku, ale wskazywanie mu, jak ma ów majątek

zachować. Adwokaci zaczęli się specjalizować w poszczególnych gałęziach prawa podatkowego. Antoni jednak uważał, że to nie rozwiązuje problemu. Specjalista mógł zaoszczędzić pieniądze klienta w jednej dziedzinie, ale stracić je w drugiej. Brakowało adwokatów o wszechstronnej znajomości prawa podatkowego, którzy potrafią wykorzystać ustawy tak, aby się wzajemnie neutralizowały.

Postanowił, że sam zostanie tego typu adwokatem.

Na cały rok zagrzebał się w ustawach i orzecznictwie podatkowym: federalnym, stanowym, powiatowym, miejskim. A potem, w grudniu 1946 roku, pani J. Artur Allen weszła do jego gabinetu dając mu okazję, na którą cały czas czekał.

Tego roku Boże Narodzenie wypadło we środę, a we wtorek rano, na dzień przed świętami, Antoni siedział w swoim gabinecie nad niewielką pracą, którą mu zlecił jeden z seniorów firmy. W mieście zaczynały się koleżeńskie przyjęcia i wielu prawników wyszło już na dobre z biura. Antoni miał zaproszenia do paru miejsc, ale kiedy otrzymał polecenie od seniora firmy, wolał je szybko wykonać. Tego dnia był jednym z nielicznych członków zarządu, którzy jeszcze siedzieli przy biurkach. Sekretarka wiedziała o tym, mogła się więc do niego zwrócić, jeśli jakiś nudziarz przyjdzie po poradę.

Weszła do gabinetu i powiedziała:

— Przepraszam bardzo, że zawracam panu głowę, ale tak trudno dzisiaj znaleźć kogoś w biurze. Czeka u mnie starsza pani, która wygląda trochę na dziwaczkę, i chce koniecznie zobaczyć się z adwokatem.

— O co jej chodzi? — zagadnął Antoni.

— O Boże, wiedziałam, że pan o to zapyta, ale naprawdę niewiele udało mi się z niej wyciągnąć. Chce zrobić dla psa jakiś zapis w testamencie, jeśli można temu wierzyć. Powiedziałam jej, że trudno kogoś złapać na dzień przed świętami, a ona mi na to, kto jej zaręczy, że nie umrze w święta i co wtedy będzie z jej psem. Jeśli

ją tu wprowadzę, wiem, że straci pan resztę dnia. Może powiem jej, że nie ma nikogo?

Antoni spojrzał na robotę, która go jeszcze czekała, i westchnął. Najprawdopodobniej paniusia zacznie mu dziurę w brzuchu wiercić, a jeśli nawet nie zacznie, da mu paskudną robótkę na parę godzin, za którą człowiek wstydzi się policzyć więcej niż kilka dolarów. Jednakże przykro mu było zatrzasnąć kobiecie drzwi przed nosem w samą wigilię. Całe święta może się martwić o ten zapis. Ludzie latami odkładają myśli o testamencie, a potem coś im przyjdzie do głowy i chcą go mieć natychmiast, bo inaczej się nie uspokoją.

Antoni powiedział zrezygnowanym głosem:

— Niech mnie pani nazwie świętym Mikołajem, proszę dać tę panią tutaj.

— Pan jest po prostu bardzo uczynny — powiedziała sekretarka. — Któregoś dnia święty Mikołaj powinien odwiedzić pana na odmianę.

Wyszła i wróciła po chwili ze żwawą, drobną staruszką. Taką, jakich mnóstwo spotykało się w Filadelfii. Nosiły stroje modne przed trzydziestoma laty i kapelusze wyglądające jak zgniecione kubełki od węgla. Przyciskały do siebie wysłużone torebki, jakby spoczywał w nich milion dolarów. Widziało się je, jak zmykają sprzed kół trąbiących trolejbusów i z pochyloną głową nurkują między strumienie samochodów. Jakoś nie padały nigdy ofiarą wypadków ani nie padały trupem z przemęczenia. W człowieku budziło się niejasne podejrzenie, czy nie wylądowały przypadkiem w centrum miasta na miotle. Właśnie jedną z takich staruszek miał w gabinecie.

— Uszanowanie pani — powiedział Antoni. — Nazywam się Lawrence. Zechce pani usiąść i powiedzieć mi, w czym mogę pani pomóc.

— Aha — rzekła staruszka — to pan jest adwokatem. A ja już myślałam, że zabrakło prawników w Filadelfii. Cieszę się, że jeden się ostał. Chcę sporządzić

kodycyl do mojego testamentu. I zrobić to zaraz na miejscu. Zechce się pan tego podjąć?

— Czemu nie, owszem. Pani nazwisko...

— J. Artur Allen.

Druczkiem wypisał je powoli w notatniku. Czyżby mu się zdawało, że to nazwisko coś mu przypomina? Czy tylko wymówiła je tak, jakby powinno budzić szacunek? Założyłby się, że była wdową, tak jak większość staruszek w Filadelfii. Chociaż te po paru latach wracały do swoich chrzestnych imion. Pani Allen wciąż używała przed nazwiskiem imion męża i nie bez wyraźnej dumy. J. Artur Allen. J. Artur Allen. W mieście są chyba setki J. Arturów i cała masa Allenów. Samo w sobie to nazwisko nie zawiera nic szczególnego.

— W porządku, proszę pani — powiedział. — Może mi pani powie pokrótce, w czym rzecz.

— Widzi pan, kiedy wstałam dziś rano, moja suczka, nazywa się Piękna, żeby pan wiedział, co to za śliczny owczarek, przybiegła do mnie na przywitanie. I raptem pomyślałam sobie, co ta biedaczka zrobi, kiedy któregoś dnia nie znajdzie mnie w sypialni. Kto się nią zaopiekuje? Cóż, naturalnie przez jakiś czas służba się nią zajmie, ale co potem? Więc...

— Chwileczkę, proszę pani, chciałbym coś zanotować. Służba. Jej służba. Kto mógł sobie pozwolić w tych czasach na służbę? Nabazgrał na karteczce: „Proszę sprawdzić nazwisko J. Artur Allen w Rejestrze Towarzyskim i w Rejestrze Przemysłowców i Udziałowców, przynieść szybko odpowiedź na piśmie". Osobno zrobił jeszcze parę notatek, żeby nie dać poznać, że chodziło mu tylko o napisanie liściku.

— Słucham panią? — powiedział.

— Więc pomyślałam o swoim testamencie i uświadomiłam sobie, że nie ma w nim ani słowa o Pięknej. Przecież nie wiadomo, co się może stać z biedactwem,

gdybym tak za chwilę umarła. Panu może się wydawać, że to błaha sprawa, proszę pana, ale niech mi pan wierzy, że można się bardzo przywiązać do takiego psa jak Piękna i ja przepadam za nią.
— Niewątpliwie ma pani rację — powiedział serdecznie. Wsunął liścik do skrytki i nacisnął guziczek dzwonka, żeby wezwać stenotypistkę.
— Naturalnie, proszę pana, zdaję sobie sprawę, że nikt by nie zastrzelił Pięknej po mojej śmierci, skądże znowu, ale mogliby ją sprzedać albo oddać komuś, kto się na niej nie pozna. Pomyślałam, że musi się dostać we właściwe ręce, i przyszła mi na myśl moja wnuczka, Gracja, która na pewno ją polubi i zadba o nią jak należy. Chcę więc sporządzić kodycyl do mojego testamentu, zapisać Piękną Gracji. To oryginalne zestawienie, prawda? Zapisać Piękną Gracji. Niech pan uważa, młody człowieku, żeby nie pomieszać tych imion.
Antoni uśmiechnął się i powiedział, że się postara. W tej chwili weszła stenotypistka, Antoni wskazał palcem na skrytkę. Wyjęła z niej karteczkę i wyszła.
— No, i widzi pan — powiedziała pani Allen — wsiadłam w podmiejski pociąg i przyszłam tu na piechotę ze stacji, Boże święty, cóż to za przykry spacer w takie zimno! I niech pan sobie wyobrazi, raptem uświadomiłam sobie, że z nerwów nie zjadłam śniadania. Poszłam więc do automatu, gdzie nie zdzierają skóry tak jak po restauracjach, zjadłam śniadanie, no i przyszłam.
— Tutaj? — powiedział Antoni. — Mówi pani o naszym biurze? Czy któryś z członków naszej firmy prowadzi pani sprawy?
— Nie, nie. Poszłam do moich adwokatów. Ale nie zastałam nikogo, tylko jakąś głupią sekretarkę, która mnie nie znała, zupełnie straciła głowę i nie mogłam nic wskórać. Zeszłam więc na dół, do hallu, przejrzałam sobie rejestr prawników, żeby zobaczyć, czy potrafię wyłowić jakieś znane nazwisko. I natrafiłam na waszą firmę- Kto tylko zna Filadelfię, wie, że można polegać na takich nazwiskach, jak

Morris, Clayton, Biddle i Wharton, doszłam więc do wniosku, że wam śmiało mogę powierzyć swój kodycyl.

— Pozwoli pani zapytać, kto jest pani adwokatem?

— „Dickinson i Dawes". Może pan ich zna?

— Faktycznie. Pracowałem nawet u nich przez pewien czas, jeszcze jako student prawa. Czy życzy sobie pani, żebym zadzwonił do nich i wyjaśnił, że pani jest tutaj? Na pewno wytłumaczę pomyłkę ich sekretarce. Widzi pani, adwokatowi nie wypada porywać koledze klienta.

— Wcale mnie pan nie porywa, młody człowieku. Przyszłam tu z własnej woli i jeśli trochę zagram na nerwach panom Dickinson i Dawes, tym lepiej. Na drugi raz ich sekretarka będzie wiedziała, kto ja jestem.

— Dobrze, proszę pani. Ale pani rozumie, że podejmuję się tego tylko z poczucia koleżeńskości wobec Dickinsona i Dawesa, przychodzę z pomocą ich firmie.

— Jeśli jest pan inteligentny — powiedziała ostro — to niech pan przestanie się o nich martwić, a lepiej pomoże mnie.

— Z prawdziwą chęcią, proszę pani. A więc...

Stenotypistka weszła do gabinetu i położyła na biurku sporządzoną na maszynie notatkę. Zerknął na nią. Wcześniej już nasuwało mu się podejrzenie, ale mimo to jakby dostał pięścią między oczy. Nie zdumiałby się bardziej, gdyby pani Allen raptem zamieniła się w Miss Ameryka na rok 1946 w stroju kąpielowym. Notatka głosiła: „Pani J. Artur Allen figuruje w Rejestrze Towarzyskim. Mieszka w »Pałacu Kolumnowym«, w Haverford. Rejestr Przemysłowców podaje ją jako dyrektora i głównego właściciela Kompanii Naftowej Allena w Camden". Notatka nie potrzebowała mu mówić, że Kompania Naftowa Allena, choć nie tak duża jak Rafineria Atlantycka czy Sun Oil Company, stanowiła nie lada mająteczek. Główna właścicielka! Cieszył się, że zdążył zawczasu zaznaczyć swoją lojalność wobec Dickinsona i Dawesa. Po przeczytaniu notatki ciężko by mu to przyszło.

— A więc — powiedział — jeśli zechce mi pani podać datę testamentu, wezmę się od razu do kodycylu.

Wygrzebała z torby opasły maszynopis na bibułce i przerzuciła go z szelestem.

— Szósty czerwca, 1941 rok — powiedziała.

— I nazwisko pani wnuczki, Gracji, która ma otrzymać owczarka?

— Gracja Shippen.

To był nowy wstrząs. Człek nie zagrzał miejsca w Filadelfii, żeby nie usłyszeć albo nie przeczytać czegoś o Gracji Shippen. Nazywano ją „złotą dziewczyną". Była przyszłą dziedziczką trzech fortun. Jeden z jej przodków był spokrewniony z Peggy Shippen, która wyszła za Benedykta Arnolda. Platynowa blondynka, miała około dwudziestu pięciu lat. Stanowiła błogosławieństwo Boże dla fotoreporterów, gdyż w każdym świetle i w każdym ujęciu wychodziła spokojnie, czysto i ślicznie. W kronice towarzyskiej jej nazwisko pojawiało się stale z coraz to innym partnerem.

Wszystko to oszołomiło go trochę. Musi uważać, bo jeszcze popełni błąd, przed którym przestrzegała go pani Allen: zapisze i powierzy Grację Pięknej, zamiast na odwrót.

— Wezwę stenotypistkę i podyktuję kodycyl — powiedział. — Proszę mnie poprawiać w razie potrzeby.

Nacisnął guziczek i w tejże chwili zadzwonił telefon. Antoni podniósł słuchawkę i powiedział:

— Tu Lawrence. Słucham.

— Halo, Antoś — odezwał się ściszony głos w słuchawce. — Mówi Logan Clayton. Trzymaj dobrze słuchawkę przy uchu, żeby mój głos się nie rozchodził.

Logan Clayton był jednym z pięciu seniorów firmy.

— Dobrze, sir.

— Antoś, co ja słyszę, masz u siebie nie lada gościa. W całym biurze aż huczy.

— Zgadza się, panie mecenasie.
— Masz przed sobą od pięćdziesięciu do stu milionów dolarów. To dynamit, człowieku, jeśli się z nim sprawnie nie obchodzić. Musimy zachować rączki nieskazitelnie czyste. Niech nie padnie nawet cień podejrzenia, że naruszamy oficjalne stosunki między panią Allen a „Dickinsonem i Dawesem". Wiem, że musisz być oszczędny w słowach, więc sformułuję pytanie w ten sposób, żebyś mógł odpowiedzieć tylko tak lub nie. Czy zawiadomiłeś „Dickinsona i Dawesa", że ona jest u nas?
— Nie, sir.
— Czy wyraziłeś chęć zrobienia tego?
— Tak, sir.
— Cieszę się bardzo. Ale ona nie chciała z twojej oferty skorzystać?
— Zgadza się.
— Cóż, żeby uchronić nas absolutnie od wszelkich podejrzeń, postaram się skontaktować telefonicznie z Dickinsonem albo z sędzią Dawesem. Jeśli uda mi się któregoś z nich złapać, na łeb na szyję tu przybiegnie. Załatwiaj sprawę pomaleńku i zabawiaj panią Allen rozmową. To mi da więcej szans na odszukanie jej adwokatów. I pamiętaj, Antoś, że dobre imię firmy „Morris, Clayton, Biddle i Wharton" znaczy dla nas dużo więcej niż jakikolwiek nowy klient. Z czego nie wynika, że nie dalibyśmy na mszę, gdybyśmy zdobyli panią Allen. Zrozumiałeś?
— Owszem, sir.
— To do widzenia.
Odkładając słuchawkę Antoni czuł przypływ gniewu. Logan Clayton nie potrzebował go pouczać na temat etyki zawodowej. Takiemu Claytonowi łatwo być wspaniałomyślnym, kiedy ma zarobki do stu tysięcy rocznie. Nigdy nie był wygłodniałym młodym prawnikiem, tylko tłustym młodym prawnikiem, który ma za sobą poparcie całej wpływowej familii.

Stenotypistka już czekała. Antoni okręcił się i zaczął dyktować.

— Będzie to kodycyl do testamentu — powiedział. — Zrobimy oryginał i cztery kopie. Gotowe? Na wieczną rzeczy pamiątkę przecinek ja przecinek J. Artur Allen przecinek zamieszkała w cudzysłów Pałacu Kolumnowym zamknąć cudzysłów przecinek w Haverford przecinek stanie Pensylwania przecinek będąc zdrowa i przytomna na umyśle przecinek...

— Młody człowieku — wtrąciła pani Allen — skąd pan zna mój adres? Przyłapano go na gorącym uczynku, więc dlaczego nie miał się do tego przyznać.

— Posłałem kartkę sekretarce, żeby sprawdziła pani personalia — powiedział.

Pani Allen żywo potrząsnęła głową.

— Bystry jesteś, młody człowieku. Dobrze to o tobie świadczy. Proszę, może pan kontynuować.

— Będąc zdrowa i przytomna na umyśle przecinek nie pozbawiona pamięci i wyrozumienia przecinek.

— Rozumiem więcej, niż ludziom się wydaje — powiedziała pani Allen.

— Nie wątpię w to — odparł Antoni. — Zaraz, na czym żeśmy stanęli? Aha, wyrozumienia przecinek. Proszę dalej, dyktuję. Czynię powszechnie wiadomym przecinek oświadczam i zlecam przecinek jako z dużej litery Kodycyl do rozporządzenia mej ostatniej woli zawartej w treści mojego z dużej litery Testamentu przecinek z dnia 6 czerwca 1941 roku przecinek co następuje dwukropek od nowego wiersza.

— Lubię kodycyle — powiedziała pani Allen. — Panom Dickinsonowi i Dawesowi zawsze to nie w smak, kiedy robię nowy kodycyl. Ale co mnie to obchodzi. Mam do tego słuszne prawo, wolno mi, jeśli tylko zechcę. W dodatku moje siostrzenice, siostrzeńców i wnuczkę w ten sposób uczę moresu.

— Co więcej — dodał Antoni z uśmiechem — w ten sposób świetnie się pani bawi, prawda?

Pani Allen zrobiła najpierw zdumioną minę, a potem zachichotała.
— A wie pan, że istotnie. Pan pierwszy się na tym poznał. Na ogół wszyscy traktują kodycyle z taką śmiertelną powagą. Zawsze zachowują się tak, jak gdybym popełniała gafę, chcąc sporządzić nowy kodycyl.
Antoni uśmiechnął się do niej. Nie będzie na tyle głupi, żeby jej powiedzieć, niech wpadnie któregoś dnia, a zabawią się razem przy kodycylach. Wyleciałby za to z hukiem z palestry. Ale nikt go nie wykluczy za zachęcający uśmiech.
— Zobaczmy, gdzieśmy to stanęli — powiedział. — Proszę od nowego wiersza... W rzeczonym z dużej litery Testamencie dokonałam szczegółowych zapisów gotówkowych przecinek ale nie uczyniłam legatu na rzecz suczki owczarka zwanej Piękna kropka. Powierzam i zapisuję rzeczoną suczkę mojej wnuczce przecinek Gracji Shippen przecinek w nadziei i wierze przecinek iż rzeczona Gracja Shippen okaże rzeczonej suczce opiekę i uczucie przecinek do którego rzeczona suczka przywykła kropka. Jak pani to odpowiada?
— Wprost znakomicie — odparła pani Allen.
— A więc w porządku — powiedział Antoni i zwrócił się do sekretarki: — Proszę dodać normalny paragraf odnośnie akceptacji rzeczonego testamentu, niniejszego kodycylu oraz wszystkich poprzednio sporządzonych, dalej proszę dopisać jak zwykle: „sporządzono, odczytano, przyłożono pieczęć, podpisano", a potem przynieść mi tekst. Oboje poświadczymy autentyczność podpisu pani Allen.
Stenotypistka wyszła i Antoni został sam ze swoim gościem. Przed chwilą powziął wielkie postanowienie. Spróbuje podkraść panią J. Artur Allen i Kompanię Naftową Allena firmie prawniczej „Dickinson i Dawes". Każdy błąd grozi mu komisją dyscyplinarną, a każda drobna pomyłka — zwolnieniem z syndykatu „Morris, Clayton, Biddle i Wharton". Sytuacja przypominała tę, jaka miała miejsce na Pacyfiku, kiedy generał Brimmer machnął ręką na Naczelne Dowództwo i postanowił zdobyć Wyspy Książęce. Człek nie mógł atakować wprost. Przeciwnie

— musiał wywołać wrażenie, że szedł sobie tylko, niewinny jak dziecię, a Wyspy Książęce czy pani J. Artur Allen same wpadły mu do rąk. Gdyby wygrał, nie naruszając norm etyki zawodowej, karierę miał zapewnioną.

Najpierw musiał wyszukać czuły punkt dla skierowania ataku, taki, jak owa mała zatoczka na Wyspach Książęcych. Nie miał przy sobie szefa wywiadu, który by mu dostarczył danych. Mógł się oprzeć jedynie na materiale, jaki zdobył przez pół godziny przypatrując się i przysłuchując pani Allen. Zdążył już zrobić parę uwag, które jej przypadły do gustu, choćby tę o kodycylach. Ale urok osobisty nie wystarczy do wygrania tej bitwy. Pan Dickinson też wiedział, jak się nim posługiwać, i rozpłynie się w uprzejmościach, skoro tylko zobaczy, jak wielkie niebezpieczeństwo zagraża jego najpoważniejszej klientce.

Nie, sama sympatia, którą budzi w pani Allen, to stanowczo za mało, musi wzbudzić w niej przekonanie, że powinna zmienić adwokata dla rzeczowych i praktycznych powodów. Przemyślał sobie te szczegóły, jakie wyszły w trakcie ich rozmowy. Ma służbę, a więc nie jest skąpa. Ale szła w ostry mróz ze stacji do biura na piechotę, zamiast wziąć taksówkę. Śniadanie zjadła w automacie, gdyż gdzie indziej zdzierają skórę. Bez dwóch zdań — lubiła oszczędzać. Gdyby mógł wskazać jej te punkty, w których „Dickinson i Dawes" nie potrafili zaoszczędzić jej pieniędzy, a on sam potrafi, wówczas miałby mocną broń w ręku. Ale trzeba się do tego zabrać jak najdelikatniej, żeby nie stracić prawa do wykonywania zawodu albo — co najmniej — nie wylecieć z firmy „Morris, Clayton, Biddle i Wharton".

Wdał się z nią w pogawędkę czatując przy tym na okazję do podsunięcia swoich sugestii. Zaczął od pytania, czy z Pięknej jest mądry piesek. W odpowiedzi usłyszał długi i radosny monolog o suczce, jej figlach i inteligencji. Dowiedział się, że Piękna jest zarejestrowana przez Towarzystwo Kynologiczne, że jej przodkowie zdobywali nagrody, choć ona sama nie brała udziału w konkursach. Z kolei pani Allen przeszła do innych psów, które kiedyś miała, i do różnic w ich

hodowaniu. Antoniemu zaczęło się robić niedobrze. Stał w martwym punkcie. Jeśli tak dalej pójdzie, z powodzeniem mógł podkulić ogon i czmychnąć jak niepyszny. Po kwestiach hodowlanych pani Allen nawiązała do stwierdzenia, że pies jest najlepszym przyjacielem człowieka, choć człowiek nieraz nie umie obchodzić się z psem.

— Jak to dobrze — powiedziała — że mamy Towarzystwo Ochrony Zwierząt, które dba, aby psom i innym stworzeniom bożym nie wyrządzano krzywdy. Jestem gorącą zwolenniczką towarzystwa, wpłacam na jego rzecz tysiąc dolarów rocznie. Moim zdaniem...

Na taką właśnie okazję czekał jak na zbawienie. Rzucił się na nią jak zgłodniałe psisko na kość.

— Czy pani to wpłaca gotówką? — spytał.

— Ależ, naturalnie. A jakżeby inaczej?

— Nie chcę być wścibski, proszę pani, ale domyślam się, że posiada pani chyba sporo akcji najrozmaitszego rodzaju? Nie myślę o akcjach Kompanii Naftowej Allena, ale o General Electric, General Motors, tego typu towarzystwach.

— Owszem, posiadam, ale... nie widzę związku?

— Proszę pani — powiedział — chociaż mieliśmy w tym roku zastój na giełdzie, nie wątpię, że niektóre z pani udziałów przyniosły całkiem duże dochody. Nie może pani tych udziałów odsprzedać bez zapłacenia podatku od zysku z kapitałów. Ma więc pani związane ręce. Ale mogła pani przekazać część tych udziałów, o wartości tysiąca dolarów, na rzecz Towarzystwa Ochrony Zwierząt, nie płacąc ni grosza podatku. Towarzystwo z kolei mogło sprzedać te udział po pełnej cenie. Tę nadwyżkę — wedle obecnych cen rynkowych — przeznacza pani Towarzystwu w darze i wciąż zostaje pani na czysto tysiąc dolarów gotówką. Innymi słowy, wymija pani podatek od kapitałów bez żadnych kosztów własnych. Czy przyszło to kiedyś pani na myśl?

Przechyliła głowę na bok jak jasnooki ptak obserwujący garść okruszyn.
— Mój Boże — powiedziała — ależ to bardzo ciekawe. Strasznie mi się ten pomysł podoba. A czemuż to pan Dickinson czy sędzia Dawes nigdy mi tego nie wyjaśnił?
Czym prędzej musiał zatrzeć ślady. Powiedział słodko:
— Jestem przekonany, że uczyniliby to, gdyby ten temat wypłynął.
— Owszem, ale nie wypłynął. Nie zdradzają specjalnej ochoty, żeby usiąść ze mną i pogawędzić, tak jak pan. Gdyby ją zdradzali, może by ten temat wypłynął. Tacy są wiecznie zapracowani, a ja im chyba dokuczam i trochę się mnie boją, więc chcą się mnie pozbyć jak najszybciej. Mają zwyczaj...
Do gabinetu weszła sekretarka przynosząc przepisane na maszynie kopie kodycylu. Pani Allen przerwała swoją perorę, nałożyła binokle i przeczytała tekst słowo po słowie.
— Bardzo dobrze — powiedziała.
Podpisała kodycyl, po czym Antoni i stenotypistka złożyli swoje podpisy jako świadkowie. Antoni miał już zaproponować, aby przesłać kopię do „Dickinsona i Dawesa", kiedy spostrzegł, że stało się to zbyteczne. Z korytarza nadlatywał znajomy głos, który zapewniał sekretarkę, że wie dokładnie, jak trafić. Nie był tak głęboki i opanowany, jakim Antoni go pamiętał, lecz trochę podniesiony i zdyszany. Takim głosem na filmach o Dzikim Zachodzie przemawiali kapitanowie amerykańskiej kawalerii wysyłając na terytorium Indian swoich ludzi, aby uratowali od zguby furgon z osadnikami. Gnając korytarzem ojciec Joanny Dickinson przybywał na odsiecz stu milionom dolarów.
Pan Dickinson wpadł pędem do gabinetu i wysapał:
— Droga pani! Jakżeż strasznie się zdenerwowałem dowiedziawszy się o tym, co dziś zaszło w naszym biurze. Ach, gdyby nie świąteczny rozgardiasz i ta nowa sekretarka, zapewne by do tego nie doszło. Nigdy sobie tego nie darujemy.

Pani Allen zerknęła na niego spod oka. Na jej twarzy zamigotał łobuzerski uśmieszek, aż zdawało się, że ma osiem lat i przyłapała właśnie nauczyciela na błędzie.
— Ależ, cóż takiego macie sobie do wyrzucenia? — powiedziała przekornie. — Przecież zajął się mną wspaniale ten miły młody człowiek.
Pan Dickinson spojrzał na Antoniego takimi oczami, jakby chciał go pożreć,
— Witaj, Antoś! — powiedział. — Jakże mi miło znów cię spotkać. Znamy się z Antosiem od lat, proszę pani. W gruncie rzeczy to ja byłem jego patronem w czasie studiów. Więc żadna to dla mnie niespodzianka, że tak dobrze się spisał. Być może, po trosze i moja w tym zasługa. Antoś to świetny prawnik.
— Jeśli taki świetny — powiedziała pani Allen — to czemu go pan nie wziął do swojej firmy?
Antoni próbował ukryć uśmiech. Osadnicy strzelali do idącej z odsieczą amerykańskiej kawalerii. Chyba Indianie powinni osłonić kawalerię.
— Och, tak się właśnie złożyło — odezwał się Antoni. — Na ostatnim roku studiów pracowałem z panem Janem Whartonem nad książką, którą pisał, zaprzyjaźniliśmy się i stąd znalazłem się w firmie „Morris, Clayton, Biddle i Wharton". Ale pan Dickinson okazał mi wielką pomoc i nie wątpię, że nadal by ją okazywał, gdyby to było potrzebne.
Z miny pana Dickinsona dawało się poznać, że nie w smak mu taka wielkoduszność Indian. Jednak uśmiechnął się dzielnie i powiedział:
— Tak, nie mogłem odżałować, że straciłem Antosia. Wracając do naszych spraw, proszę pani, chodziło pani o kodycyl, prawda?
— Och, to już załatwione — powiedziała pani Allen. — I znakomicie, muszę dodać.
— Naturalnie, panie mecenasie — powiedział Antoni — miałem zamiar przesłać panu kopię.

— Tak, tak, oczywiście. Cóż, proszę pani, może przeszlibyśmy do mojego biura, ulokowali oryginał w safesie wraz z innymi pani papierami, żeby wszystko było w porządku.

Pani Allen westchnęła. Wyraźnie bawił ją ten incydent i nie miała chęci tak szybko go zakończyć.

— Pan Lawrence wyświadczył mi jeszcze inną przysługę — powiedziała. — Wspomniałam, że co roku przeznaczam tysiąc dolarów dla Towarzystwa Ochrony Zwierząt, i pan Lawrence podsunął mi myśl, żeby użyć do tego celu kilku udziałów, które przynoszą mi duże zyski, zamiast czystej gotówki. A to po to, żeby ominąć podatek od zysku z kapitałów.

— Wypłynęło to przypadkiem w trakcie rozmowy — powiedział Antoni. — Podkreśliłem, że panowie udzielilibyście pani tej samej rady, gdyby ta kwestia państwu się nasunęła.

— Ależ oczywiście — rzekł pan Dickinson. Po jego minie widać było, że kawaleria z rozkoszą oskalpowałaby paru Indian. — Dziękuję ci bardzo, Antoś. Pozwolisz sobie powiedzieć, że nie tylko wywiązałeś się świetnie ze swego zadania, ale i zachowałeś się nienagannie pod względem zawodowym?

— Dziękuję za uznanie, panie mecenasie. Pani Allen wstała powoli.

— Młody człowieku — powiedziała — mam nadzieję, że wyślesz panu Dickinsonowi słony rachuneczek za to, że —jak sam przyznaje — tak świetnie mną się zająłeś. Nie wątpię, że ze stałego honorarium da się to pokryć, prawda, panie mecenasie?

Pan Dickinson i osadników chciałby oskalpować.

— W rzeczy samej, proszę pani — odparł.

— A ponadto, młody człowieku, jeśli nasuną się panu inne pomysły zaoszczędzenia moich pieniędzy, mam nadzieję, że da mi pan znać.

Pan Dickinson wstrzymał oddech. Antoni wiedział, że nadeszła ogniowa próba. Musiał teraz powiedzieć coś absolutnie trafnego. Nie wejść w konflikt z etyką zawodową, a zarazem zostawić sobie furtkę otwartą. Musiał się posłużyć zawoalowanymi sformułowaniami, które będą straszyć pana Dickinsona i każą mu myśleć, że zarys krzaka w ciemnościach to przyczajony Indianin. Jeśli pan Dickinson dostatecznie się tym przejmie, może popełnić błąd usiłując przekonać panią Allen, że Indianina nie ma.

Antoni odezwał się, pieczołowicie dobierając słowa jak jubiler diamenty do naszyjnika:

— Proszę pani, jest pani klientką naszych dobrych przyjaciół, Dickinsona i Dawesa. Jestem przekonany, że dbają oni jak najstaranniej o pani sprawy. Postąpiłbym niezgodnie z etyką zawodową, gdybym suponował, że mógłbym zrobić dla pani coś, czego oni nie mogą.

Niechże pan Dickinson z panią Allen to sobie przemyślą. On sam ubezpieczył się całkowicie. A jednak, jeśli ktoś nad tym oświadczeniem się zastanowi, może doszukać się w nim aluzji, że chyba Antoni zna inne sposoby zaoszczędzenia pieniędzy pani Allen.

— Bardzo to szlachetnie z pana strony, bez wątpienia - powiedziała pani Allen nieco poirytowana.

— Dziękuję ci, Antoś — rzekł pan Dickinson z wyraźną troską w głosie. Już zaczynał badać groźne niuanse tych słów. Wziął panią Allen pod ramię i wyprowadził ją z gabinetu.

Następnego popołudnia Antoni złożył świąteczną wizytę państwu Whartonom. W trakcie rozmowy opowiedział im mimochodem o odwiedzinach pani Allen. Pan Wharton śmiał się serdecznie.

— Kapitalnie, Antoś — powiedział. — Wpadnę jutro specjalnie do Izby Adwokackiej na lunch, żeby opowiedzieć tę historię. Nazwę ją chyba: „Przypadek

z Psim Kodycylem". Wszyscy będą się trzymać za boki na myśl o tym, jakiego stracha musiał mieć Dickinson. Wiesz, że nie cieszy się zbytnią sympatią.
Pani Wharton oburzyła się.
— Nie widzę w tym nic śmiesznego! Uważasz, że biedny Antoś powinien tak wypuścić panią Allen z ręki, zamiast ją sobie skaptować? Kiedy tak mu brak poważnego klienta?
— Kochanie, nie znasz się na tych sprawach — odparł jej mąż. — Naturalnie, Antoś nie mógł tego zrobić. Pociągnęliby go do odpowiedzialności w Stowarzyszeniu Prawników. Ręczę, że Antoś rozprawił się z tą kwestią stanowczo. Racja?
— Owszem, stanowczo.
— Ech, ty wariacie, ty! — powiedziała pani Wharton. Pan Wharton spojrzał nań z lekkim uśmieszkiem.
— Mnie nie nabierzesz — rzekł. — W rzeczywistości na pewno przygotowałeś przynętę i zarzuciłeś gdzieś haczyk do wody, no nie?
— Naprawdę, Antoś? Naprawdę? — zawołała pani Wharton. — Proszę cię, powiedz nam.
— Na pewno opowie — rzekł pan Wharton. — W rzeczy samej, choć Antoś się stęsknił za nami, wierzę, że przyszedł dzisiaj po radę. No, przyznaj się, młodzieńcze, coś tam naszachrował? Duży ten haczyk?
— Malusieńki — odparł Antoni.
— Ale za to z przynętą jak się patrzy? Na co łowisz? Antoni wspomniał o Towarzystwie Ochrony Zwierząt, o radzie, jakiej w związku z tym udzielił, a potem powtórzył to, co mu pani Allen powiedziała na odchodnym, żeby się koniecznie do niej zgłosił, jeśli mu się nasuną inne pomysły zaoszczędzenia jej pieniędzy.

— Ciekawe — powiedział pan Wharton. — Dickinson był przy tym, prawda? Jak wyglądała twoja odpowiedź na sugestię pani Allen? Powtórz ją dokładnie, słowo w słowo, jeśli potrafisz sobie przypomnieć.

Antoni skupił się i wygrzebał ją z pamięci.

— Powiedziałem... „Proszę pani, jest pani klientką naszych dobrych przyjaciół, Dickinsona i Dawesa. Jestem przekonany, że dbają oni jak najstaranniej o pani sprawy. Postąpiłbym niezgodnie z etyką zawodową, gdybym suponował, że mógłbym zrobić dla pani coś, czego oni nie mogą".

— Wspaniale — powiedział pan Wharton.

— Jeśli w tym ma być haczyk — stwierdziła z żalem pani Wharton — to ja chyba jestem ślepa.

— Karolo — rzekł pan Wharton — nie tylko haczyk, ale wręcz, jak powiadają na wojnie, mina-niespodzianka. Jeśli Dickinson będzie próbował rozebrać tę rzecz na części, wówczas może mu wybuchnąć w twarz.

— Za mądre to dla mnie — powiedziała pani Wharton. I boję się, że dla pani Allen też.

— Cały smak polega na tym — rzekł pan Wharton — że Dickinson może popełnić błąd i usiłować wyjaśnić pani Allen sens oświadczenia Antosia. A jeśli to zrobi, doprowadzi do tego, że pani Allen spostrzeże ów haczyk.

— Myśli pan więc, że jestem kryty? — zagadnął Antoni.

— Och, z całą pewnością, mój chłopcze.

— A uważa pan, że powinienem rzucić całą historię i nie robić żadnych więcej posunięć? Chodzi mi o to, jeśli coś się złapie na haczyk, czy powinienem podciąć wędkę?

— Pytasz mnie, co sądzę o twoich zasadach, Antoś?

— Poniekąd.

Pan Wharton zachichotał.

— Zasady są po trosze łobuzerskie. Ale jak dotąd nikt nie może ci postawić zarzutu o naruszenie etyki zawodowej, chyba że sam zechcesz przyznać się do winy.
— Martwię się też o swoją pozycję w firmie, jeśli do czegoś dojdzie. Wczoraj Logan Clayton był paskudnie podenerwowany.
— A bo z niego zwykła stara baba — powiedział pan Wharton. — Za dużo mieli zasiedziałych bankierów w tej rodzinie. Martwi się tylko, jak uniknąć ryzyka i zbudować sobie reputację. Powinien zajmować się filadelfijską Kasą Oszczędności. Pójdę i pogadam jutro z Loganem. Chyba mogę ci obiecać, że jeśli równie dobrze zachowasz się w przyszłości, to Logan nie stanie ci na przeszkodzie.
— Gracja — szepnęła pani Wharton w zadumie. — Hm. Gracja.
— Mówisz po włosku, kochanie? — zagadnął ją mąż.
— Myślę, że muszę się zobaczyć z Gracją Shippen.
— Moja droga, proszę cię, nie wtrącaj się do tego.
— Gracja pracuje ze mną w Komitecie Opieki nad Szpitalami — zaprotestowała pani Wharton — i chyba mam prawo się z nią spotkać. A jeśli przy okazji opowiem jej o „Przypadku z Psim Kodycylem", o którym trąbi właśnie całe miasto, to niech wasze Stowarzyszenie Prawników zrobi ze mną, co zechce, proszę bardzo.
— Może i masz rację. Naturalnie, to sprzeczne z zasadami roztrząsać czyjś testament.
— Kobiety zasad nie mają — odparła pani Wharton. — Ten zbędny bagaż lubią dźwigać tylko mężczyźni. Gracja ma świetną głowę do pieniędzy, lepszą nawet niż jej babka. Już ja dopilnuję, żeby pani Allen dobrze zrozumiała to ostrożne oświadczenie Antosia.
Pan Wharton żachnął się.

— Bierzcie nogi za pas, bracia — powiedział. — Kobiety ruszyły do szturmu!
— Nigdy się nie zetknąłem z Gracją Shippen — powiedział Antoni. — Co pani o niej powie?
— Rozkoszne stworzenie — odparła pani Wharton. — Urocza, bogata i sprytna. Udziela się bardzo w pracy społecznej, dobra z niej sportsmenka. Ma przyjemne poczucie humoru, wesoło z nią przestawać. Zdradza tylko jedną wadę. Brak serca.
— Aleś ty zabawna! — powiedział pan Wharton. — Brak serca! Żaden brak, tylko że jej jeszcze nic mocno nie poruszyło.
— Cóż, nawet jeśli ma serce — odparła pani Wharton — to trzyma je zamknięte w kasie ogniotrwałej wraz z innymi kosztownościami. A trudno poruszyć coś, co się kryje za ścianami z chromu i stali. Mam nadzieję, że Antosiowi nie przypadnie do gustu.
— Jeśli przypomina swoją babkę — powiedział Antoni — będzie to miłość od pierwszego wejrzenia. Pani Allen jest cudowna.
— Ty lepiej zacznij — rzekł pan Wharton — kombinować sposoby zaoszczędzenia pieniędzy pani Allen. Chociaż, jak potrafisz to zrobić nie znając dokładnie jej interesów, nie mam pojęcia.
— A myśli pan, że ja mam? Ale muszę to zrobić. Od tego wszystko zależy.

11

Następnych dziesięć dni Antoni spędził na wyłapywaniu strzępów informacji na temat pani Allen i Kompanii Naftowej Allena. Szło mu to jak z kamienia. Lista udziałowców Kompanii nie została nigdzie oficjalnie opublikowana. Bardzo ograniczona liczba właścicieli trzymała te udziały pod korcem. Jednakże na koniec, studiując w archiwum miejskim testament J. Artura Allena, Antoni odkrył, że część udziałów przypadła dawnej sekretarce Allena. Dowiedział się, że jest obecnie na emeryturze, wytropił ją w jej prywatnym mieszkaniu w miejscowości

Haddonfield, w stanie New Jersey, powiedział jej, że zamierza zainwestować gdzieś pieniądze, i poprosił o opinię o wartości udziałów Kompanii. Jako staremu i wiernemu pracownikowi firmy sprawił jej tym wielką przyjemność. Udzieliła mu bardzo wielu informacji i zgodziła się pożyczyć odpisy dorocznych sprawozdań Kompanii za ubiegłych dziesięć lat.

Jednocześnie polował na wszystkie opublikowane wzmianki tyczące spraw finansowych pani Allen: przekazanie praw do nieruchomości, notatki dziennikarskie o jej darowiznach na ten czy ów cel, inwentaryzację majątku jej zmarłego męża i tak dalej. Oddałby nie wiadomo co za odpisy pokwitowań jej podatków dochodowych, ale nie miał szans ich zdobyć. Udało mu się jednak, okólną drogą, uzyskać trochę wiadomości o jej podatkach od własności osobistej. Żaden z tych materiałów nie dostarczył mu wyraźnych sposobów zaoszczędzenia jej pieniędzy. Inna rzecz, że wcale się tego nie spodziewał. „Dickinson i Dawes" mogli zajmować się jej sprawami po rutyniarsku, nie wysilając się specjalnie, stanowili jednak za dobrą firmę, żeby popełniać krzyczące błędy.

Nie był więc świetnie przygotowany, kiedy — w parę dni po Nowym Roku — spostrzegł, że przynęta poskutkowała i ryba połknęła haczyk głęboko. Zadzwonił telefon, Logan Clayton prosił go, żeby zeszedł do jego gabinetu. Kiedy otworzył drzwi, zobaczył pana Dickinsona, który czekał nań z najbardziej czarującym ze swoich uśmiechów. Przed laty dał się złapać na owe uśmiechy i zapłacił za to stratą Joanny Dickinson.

— Cieszę się, że cię znów spotykam, chłopcze — powiedział pan Dickinson, serdecznie ściskając mu rękę. — Jak się miewasz?

— Świetnie, dzięki. Pan chciał mnie widzieć? — zwrócił się do Claytona.

Logan Clayton zawsze zachowywał się tak, jak gdyby jego biurko było stołem sędziowskim. Poważnie skinął głową i rzekł:

— Tak, Antoś. Usiądź, dobrze? Pan Dickinson zwrócił się do nas z raczej poważną kwestią.
— Nie jest taka znowu poważna — odparł pan Dickinson. — W istocie ma nawet swoje zabawne strony. Pozostaje w związku z moją klientką panią J. Artur Allen. Urocza osoba, choć prawda, o dość wybujałej wyobraźni.
— Nigdy bym tego nie przypuszczał — powiedział Antoni. — Wydawało mi się, że ma bardzo trzeźwy umysł.
— No, to powiedzmy... przeczulona. Przypominasz sobie tę wzmiankę, jaką uczyniłeś odnośnie wpłat nie w gotówce, ale w udziałach na rzecz Towarzystwa Ochrony Zwierząt?
— Zanim pan przejdzie dalej — odezwał się Logan Clayton — czy ma pan coś przeciwko temu, że Lawrence wystąpił z tą sugestią? O ile wiem, pomysł wykluł się przypadkowo w trakcie towarzyskiej rozmowy.
— Och, nie zgłaszam żadnych sprzeciwów. Jednakże, zabawna rzecz... dlatego też mówiłem o wyobraźni i przeczuleniu... pani Allen rozbudowała tę maleńką wzmiankę do tego stopnia, że nabrała wrażenia, jakoby Antoś mógł zaoszczędzić jej pieniądze na inne sposoby.
— Z pewnością może jej pan to wybić z głowy — powiedział gładko Antoni.
— Mój drogi, sędziwe panie na ogół patrzą na podatki jak na obrazę osobistą. Każdy pomysł, żeby je przed obrazą uchronić, przyjmują z zapałem. Nie tak łatwo wybić im to z głowy. Ale nawet i w tym wypadku mogłoby mi się to udać, gdyby nie parę niefortunnych uwag, które padły z twoich ust pod koniec jej wizyty.
— Proszę łaskawie liczyć się ze słowami — odezwał się Logan Clayton. — Nie pozwolę, aby najdrobniejszy cień padł na dobre imię firmy. O jakich to niefortunnych uwagach mowa?
— Pani Allen na odchodnym poprosiła Antosia, aby dał jej znać, jeśli nasuną mu się jakieś inne pomysły zaoszczędzenia jej pieniędzy. On zaś odparł, sądzę, że

cytuję dosłownie: „Proszę pani, jest pani klientką naszych dobrych przyjaciół, Dickinsona i Dawesa. Postąpiłbym niezgodnie z etyką zawodową, gdybym suponował, że mógłbym zrobić dla pani coś, czego oni nie mogą". Pozornie brzmi to bardzo ładnie i godziwie. Ale proszę poczytać między wierszami, a okaże się, że to tylko pozory. W gruncie rzeczy oświadczenie pozostawia najszersze pole do domysłów, jakkolwiek jestem przekonany, że Antoś nie miał takiego zamiaru.
— Tak, wypowiedź była słabiutka — rzekł Logan Clayton. — Prawie gotów jestem się zgodzić, że można ją nazwać niefortunną.
Antoni uśmiechnął się.
— Boję się, że czytając między wierszami pan Dickinson przeoczył jedno sformułowanie, które się tam znajdowało. Mianowicie w środku owej deklaracji powiedziałem te słowa: „jestem przekonany, że dbają oni jak najstaranniej o pani sprawy".
— Kiedy się nad tym zastanowię, to istotnie tak powiedziałeś — rzekł pan Dickinson.
— No więc, łaskawy panie, czegóż więcej pan żąda? — sarknął Logan Clayton. — Chyba już bardziej Antoś nie mógł pójść panu na rękę. I tak skłonny jestem teraz uważać, że poszedł za daleko.
— My, prawnicy, lubimy spierać się o słowa, prawda? — powiedział łagodnie pan Dickinson. — Niemniej jednak i mimo wszystko pani Allen wyszła stąd żywiąc uczucie, że Antoni dał jej do zrozumienia, iż mógłby zaoszczędzić jej pieniądze, gdyby nie była klientką Dickinsona i Dawesa. Czy mogę określić tę sytuację jako godną pożałowania?
— Roztacza pan nadzwyczaj świetną perspektywę — mruknął Clayton.
— Nie tak świetną chyba, jeśli w grę wchodzi reputacja firmy „Morris, Clayton, Biddle i Wharton". Widzi pan, nie mogę zabronić pani Allen chodzić i opowiadać wszem wobec, że macie u siebie bystrego młodego człowieka, któremu zależy na

jej sprawach, gdyż dał do zrozumienia, że mógłby zaoszczędzić jej pieniądze na podatkach.
— Od tej strony — powiedział Logan Clayton — sytuacja wygląda na niezręczną. Ale nie mam pojęcia, co my możemy na to poradzić.
— Och, rzecz jest bardzo prosta — rzekł lekkim tonem pan Dickinson. — Wystarczy, żeby Antoś napisał maleńką karteczkę. Mianowicie, że ubolewa, iż mogą wyniknąć nieporozumienia, i prosi mnie, abym zapewnił panią Allen, że nie zna żadnych dalszych sposobów zaoszczędzenia jej pieniędzy. Przyjacielska maleńka notatka, stwierdzająca tylko fakty.
— Nie mam nic przeciwko temu — powiedział Logan Clayton ferując wyrok. — Co ty na to, chłopcze?
„Amerykańska kawaleria — pomyślał ponuro Antoni — dzielnie się dzisiaj spisuje. Naciera z zasadzki, i wygląda na to, że Indianie mają już dość. Ale to by była hańba pozwolić Dickinsonowi tak się podejść. Logan Clayton powinien powiedzieć facetowi, żeby sam sobie radził ze swoimi klientami i nie wymagał, by go w tym wyręczać. Ale Dickinson zażył go z mańki mówiąc, że w grę wchodzi reputacja firmy, a Logan Clayton hołdował dewizie: »Wierzę w Morrisa, Claytona, Biddle'a i Whartona Wszechmogącego«".
Jeśli Antoni zgodzi się napisać taki list, Dickinson posłuży się tym tekstem, aby odstręczyć od niego panią Allen. A jeśli się nie zgodzi, będzie musiał podać powody. Logan Clayton zapewne nie pozwoli mu skorzystać z prostej odpowiedzi: niechże pan Dickinson zmyka stąd i sam się zajmie swoimi klientami, bez cudzej pomocy. Pozostawał tylko jeden powód, który mógł podać. Ale wtenczas puszczał się na białogwardyjską ruletkę, z naganem przystawionym do skroni. Tylko że zamiast jednego naboju w sześciostrzałowym bębenku znajdzie się pięć naboi gotowych wypalić za pociśnięciem cyngla. Wpakował się w najpaskudniejszą

zasadzkę, podobnie jak przed laty był odrobinę za łatwowierny i prostoduszny wobec ojca Joanny Dickinson.

— Czy aby nie za długo się zastanawiasz, chłopcze? — zagadnął czule pan Dickinson.

— A po cóż to tyle namysłu? — dorzucił Logan Clayton. — pisz już, mój drogi, już.

— Nie myślę pisać takiego listu — powiedział Antoni.

— Ciekawe — mruknął pan Dickinson. Na jego twarzy pojawił się uśmiech cieniutki jak ostrze brzytwy.

— Obawiam się, że będziesz musiał wyjaśnić swoje stanowisko — rzekł Logan Clayton.

Cóż to szkodzi spróbować wykręcić się niegroźną odpowiedzią.

— Sir — podjął Antoni — sam pan przyznaje, że moja wypowiedź wobec pani Allen była aż nadmiernie przychylna i w gruncie rzeczy szła aż za daleko na rękę firmie „Dickinson i Dawes". Jeśli wynikły z tego nieporozumienia, chcę złożyć za nie winę na pana Dickinsona. Z jakiej racji mamy wyciągać go z kłopotów, których sam sobie nawarzył?

— Przyznaję — powiedział Logan Clayton z namysłem — że jest to dość wygórowana prośba. Ale kiedy reputacja firmy wchodzi w grę, choć bez naszej najmniejszej winy, wygórowane prośby przestają się liczyć. Antoś, w imieniu firmy proszę cię o napisanie tego listu.

W każdym razie próbował przedtem zrobić, co się da. A teraz kolej na białogwardyjską ruletkę. Istnieje szansa, że pan Dickinson się wystraszy, skoro Antoni podniesie nagan.

— Sir — powiedział oficjalnym tonem — firma nie będzie ode mnie wymagać napisania listu, który zawiera kłamstwo. Byłaby to nieprawda, gdybym powiedział, że nie znam innych sposobów zaoszczędzenia pieniędzy pani Allen.

— Boże święty! — westchnął Logan Clayton.

Co dalej, czy Dickinson skapituluje? Antoni wpatrywał się w niego i spostrzegł, że znów źle go oceniał.

Twarz pana Dickinsona rozgorzała. Powstał i wymierzył drżący palec w Antoniego.

— Udowodnisz mi to! A jeśli nie potrafisz, wytoczę ci sprawę przed Komisją Dyscyplinarną. Oskarżasz mnie o niekompetencję.

Ciekawa rzecz. Pan Dickinson miał jednak jakąś słabość. Był uczulony na punkcie własnej wartości. Jeśli ją podważano, tracił panowanie nad sobą. Ale choć wytrącony z równowagi, pan Dickinson był bardzo groźnym przeciwnikiem i zawczasu należało myśleć, jak się przed nim obronić. Gdybyż Antoni to wiedział! W tej właśnie chwili brakowało mu oręża, choć był przekonany, że taki oręż gdzieś istnieje wśród zawiłych spraw podatkowych panj Allen.

— Nie mówię, że jest pan niekompetentny — powiedział Antoni. — Tak się składa, że specjalizuję się w ustawodawstwie podatkowym. Znam się na tym lepiej od pana, tak jak pan zna się lepiej ode mnie na innych dziedzinach prawa.

— Nie zgodzę się na taką odpowiedź! — wybuchnął pan Dickinson. — Smarkacz będzie mi mówił, że zna się na czymś lepiej ode mnie. Udowodnisz mi swoją pretensję albo się nią udławisz.

Logan Clayton powiedział błagalnie:

— Antoni, przyznaj się, jaki znasz sposób zaoszczędzenia pieniędzy pani Allen?

— Nie jest ona moją klientką — odparł Antoni. — I nie pracuję u pana Dickinsona. Ani myślę zdradzać się przed nim po to, aby mógł wobec pani Allen mój pomysł przedstawić jako swój własny. Skoro życzy sobie pozwać mnie przed sąd koleżeński, odpowiem mu przed sądem.

— Ależ, panowie, nie dopuścimy chyba, aby ta... ta scysja przeniosła się na forum Stowarzyszenia Prawników — powiedział rozpaczliwie Logan Clayton. — Musi być jakieś inne wyjście. Jakaś...

Pan Dickinson przerwał mu zwracając się do Antoniego:

— Wzywam cię, abyś powtórzył swój sąd w obecności pani Allen i udowodnił go. A pana Claytona proszę na świadka.

Pan Dickinson poszedł bardzo daleko wysuwając tego typu propozycję. Naturalnie nie sądził, aby Antoni mógł coś zdziałać. Ale nawet w tym stanie rzeczy było to bezpośrednie wyzwanie do walki o jego klienta w niecodziennych, ale całkiem przyzwoitych warunkach.

— Gotów jestem każdej chwili — powiedział Antoni.

— Bujasz na potęgę, chłopcze. I posiekam cię na drobne kawałki, zanim się skwitujemy. Jeśli uda mi się sprawę zorganizować na jutro rano, czy ten termin ci odpowiada?

— Czemu nie? Jak najbardziej.

— W mojej kancelarii, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

— Owszem, mam — odparł Antoni. — Nie podejmę żadnych kroków, które mogą stworzyć wrażenie, jakobym natrętnie ubiegał się o cudzego klienta. Oczekuję pana w moim gabinecie, nigdzie indziej.

Nie da więcej wypróbowywać na sobie sztuczek ze światłem w oczy i sadzaniem na niewygodnym krześle. Będzie walczył na własnym terenie, który zapewni mu najwięcej pewności siebie.

— Gdzie się spotkamy, nie ma dla mnie znaczenia — odciął się pan Dickinson. — Dziękuję panu za uprzejmość, panie mecenasie — zwrócił się do Claytona. — Zawiadomię pana telefonicznie o naszym spotkaniu.

Po czym wielkim krokiem wyszedł z gabinetu.

— Antoś — powiedział Logan Clayton słabym głosem — wpadliśmy jak jasna cholera. Chyba że ty naprawdę możesz obronić swoje twierdzenie. A możesz?
— Niech się pan nie martwi — odparł Antoni. — Nie damy się.
Poszedł wolno do swojego gabinetu. Kawaleria dzisiaj tak się dawała we znaki, że wyobrażał sobie, jak musiał się czuć ów czerwonoskóry na malowidle zwanym „Ginący Amerykanin". Tylko, niech to diabli, nie miał zamiaru tak ginąć. Od tej chwili do jutra rana znajdzie to, co trzeba, wśród sterty danych o pani Allen, które nagromadził przez ten czas. Zamknął się w gabinecie, uporządkował biurko i wydobył opasłą teczkę z dokumentami.
Wczesnym popołudniem zjawił się Logan Clayton i powiedział, że spotkanie zostało wyznaczone jutro rano na dziesiątą. Antoni skinął głową: pan Dickinson nie da mu ani chwili drogiego czasu. Logan Clayton spojrzał na biurko zawalone papierami, chciał coś powiedzieć, przełknął z trudem ślinę i wyszedł. Zapewne bał się zapytać, czy te papierzyska świadczą, że nie wszystko się trzyma kupy.
O wpół do piątej zadzwoniła pani Wharton, głos jej chrypiał z podniecenia.
— Antoś — mówiła — przed chwilą dzwoniła do mnie Gracja Shippen. Powiada, że jutro o dziesiątej szykuje się walka na śmierć i życie między tobą a panem Dickinsonem, w obecności pani Allen. Jesteś do niej przygotowany?
— No pewnie — odparł. Wcale nie kłamał. Człowiek może być przygotowany na swój własny pogrzeb, no nie?
— Chciałam ci powiedzieć, że Gracja też się wybiera.
— Pochlebia mi to.
— Tyle słyszała o tobie, że nabrała ciekawości. Ale nie licz na żadną pomoc od niej. Jestem przekonana, że pani Allen będzie po twojej stronie. Gracja natomiast nigdy się nie angażuje. Wiwatuje tylko na cześć tego, kto zwycięży. Nie zadurz się w niej, Antoś.
„Droga pani, nieboszczyk rzadko się w kimś durzy".

— Będę mial inne sprawy na głowie — odparł.
— Modlę się za ciebie. Trzymaj się, Antoś.
Położył słuchawkę i wrócił do roboty. Później pobiegł na obiad i znów siedział w gabinecie. Z upływem godzin zaczęła ogarniać go rozpacz. Studiował dokumenty jeden po drugim i wciąż stał w martwym punkcie. A jednak musiały istnieć sposoby zaoszczędzenia pieniędzy pani Allen. W ciągu ostatnich dziesięciu lat ustawy podatkowe wcisnęły się jak sieć pajęcza w każdą szczelinę, w którą mógłby się zapuścić nieostrożny dolar. Mało który prawnik potrafił za nimi nadążyć, a już na pewno nie specjalista od wielkich przedsiębiorstw i nieruchomości jak „Dickinson i Dawes". Każdy, kto miał interesy tak wielkie i skomplikowane jak pani Allen, musiał tracić pieniądze gdzieś w pajęczej sieci. Cała bieda w tym, że Antoni posiadał jedynie strzępy informacji na temat jej interesów. Miał jedną szansę na tysiąc przy braku wielu kluczowych danych. Kiedy doszedł do tego beznadziejnego wniosku, przestał zajmować się każdym faktem z osobna. Zaczął natomiast żonglować nimi, zestawiał je, przymierzał, sprawdzał działanie jednego typu podatku na drugi, puścił w ruch wszystkie piłeczki.
I raptem udała mu się sztuka.
Jeden maleńki ruch ręki i dwa podatki wpadły na siebie. Odetchnął. Zdawało mu się, że widzi, jak wiatr rozwiewa chmury nad odległym szczytem. Odpowiedź wyłaniała się w całej swej prostocie i okazałości.
Był zbyt zmęczony, aby się cieszyć. Zgarnął papiery do szuflady i wyszedł powoli z gmachu, bardziej jak człowiek, który kończy karierę, aniżeli ten, kto przed chwilą ujrzał przed sobą perspektywę bez granic.
O dziewiątej rano następnego dnia kręcił się już po gabinecie przygotowując scenerię spotkania. Żeby wywrzeć jak najlepsze wrażenie na pani Allen, która nie

wyrzucała pieniędzy na zbytki, usunął z pokoju wazę z kwiatami, efektowny dzbanek na wodę i szklanki, oraz wszystko, co nie miało charakteru urzędowego. Otrzepał z kurzu podręczną bibliotekę. Na stoliczku przy drzwiach położył opasłą księgę traktującą o podatkach.

Z kolei — ponieważ pamiętał dobrze, jak to przed laty w Princeton pan Dickinson chytrze posłużył się krzesłami — poświęcił trochę czasu na dobieranie i ustawienie krzeseł. Głęboki fotel wybrał dla Logana Claytona, żeby mu było trudno unieść się i wtrącić do rozmowy. Dla pani Allen i Gracji Shippen dwa obite skórą krzesła z poręczami, aby obie siedziały dość wygodnie, ale czujnie. Panu Dickinsonowi natomiast przygotował twarde krzesło, żeby się wiercił na nim, i ustawił je tak, aby raziło go światło padające z okna.

Przed dziesiątą przyszedł Logan Clayton i zaczął krążyć po gabinecie jak człowiek zagubiony w obcym budynku i polujący na przybytek „dla panów". Antoni namówił go, żeby usiadł w głębokim fotelu, i przemawiał doń uspokajająco.

Wkrótce sekretarka zapowiedziała gości. Antoni wyszedł, aby ich powitać. Pani Allen miała na sobie inną trochę suknię, ale też modną przed trzydziestoma laty, i ten sam kapelusz przypominający zgnieciony kubełek od węgla. Poklepała go po ręce mówiąc, że spodziewa się, iż Antoni ma jej coś dobrego do powiedzenia. Tuż za nią zobaczył dziewczynę, w której miał się nie zadurzyć. A o cóż to było tyle krzyku? Wysoka, chłodna blondynka. Przecież nie Gracja Shippen pierwsza wynalazła ten typ urody. Dalej ujrzał pana Dickinsona, który poczęstował go morderczym spojrzeniem. Wprowadził ich do gabinetu i zadbał, żeby usiedli na właściwych miejscach.

Pan Dickinson z kopyta wykonał szarżę kawaleryjską.

— A więc, Antoś — rzekł — czy gotów jesteś przyznać, że rzecz zaszła dostatecznie daleko? Czasami entuzjazm młodości nazbyt ponosi człowieka. Myślę, że wszyscy z chęcią zapomnimy o tym i zakończymy całą sprawę.

Logan Clayton usiłował unieść się w głębokim fotelu, ale ciężko mu to szło, i nim otworzył usta, Antoni zdążył się odezwać.
— Czy mam rozumieć, że pan się poddaje? — zagadnął uprzejmie.
— Po prostu dawałem ci szansę wycofania się z honorem. Chyba nie zdajesz sobie sprawy, w co się wplątałeś.
— Proszę pana, to pan zaproponował to spotkanie. Nie ja pana, tylko pan mnie wyzwał. Pan sprowadził tu panią Allen. Trudno mi się wycofać z własnego gabinetu.
W głębiach fotelu Logan Clayton z aprobatą skinął głową.
— Wszystko to słowa, słowa, słowa — powiedział pan Dickinson. — Albo powiedz nam, jaki to szalony pomysł ci się przyśnił, jeśli w ogóle się przyśnił, albo przyznaj się od razu, że nabierałeś nas. Mogę cię zapewnić, że nie pozwolę ci się wykręcić żadnymi mglistymi obietnicami.
— Proszę pana, zechce pan powtórzyć dokładnie pani Allen, jakie to wyzwanie pan mi rzucił?
— Pani Allen wie już o twojej zabawnej przechwałce. Ale z chęcią powtórzę, co mówiłem. Wyzwałem cię, abyś obronił swój próżny sąd, że znasz nowe sposoby zaoszczędzenia jej pieniędzy. Wyzwałem cię, abyś to w jej obecności udowodnił.
— Mała poprawka, jeśli wolno — powiedział łagodnie Antoni. — To nie była przechwałka. Prosił mnie pan, abym napisał oświadczenie, że nie znam dalszych sposobów zaoszczędzenia pieniędzy pani Allen. Na co ja się nie zgodziłem. Nie mogłem się zgodzić, gdyż każde tego rodzaju oświadczenie byłoby nieprawdziwe.
— Dowiedź tego.
— Och tak — powiedziała skwapliwie pani Allen. — Niechże pan coś o tym powie.
Antoni uśmiechnął się do niej. I raptem spostrzegł, że uwagę jego — chyba przez kaprys oświetlenia — przyciągnęła Gracja Shippen. Zdawało się, że skupia wokół

siebie całe światło w pokoju, co najmniej jak aktorka uchwycona w reflektor na scenie. Ubrana była raczej skromnie, w ciemnoniebieską suknię z białym kołnierzykiem i mankietami, błękitny kapelusz z maleńkim jasnym rondem, białe rękawiczki. Miała śliczne nogi, siedząc skrzyżowała je z wdziękiem. Twarz jej wyrażała umiarkowane zainteresowanie. Przypomniał sobie, co dziadek opowiadał o westalkach, które spokojnie siedziały w Koloseum przyglądając się, jak gladiatorzy zmagają się na arenie. Gracja Shippen dobrze by do nich pasowała. Zaczerpnął głęboki oddech i uwolnił się od ubocznych myśli.

Zależało mu, aby w sposób efektowny doprowadzić do przedstawienia swojego pomysłu. Prawnik nie ma nic do sprzedania, prócz swoich myśli. Jeśli stwarza wrażenie, że przychodzą mu one zbyt łatwo, ludzie mają skłonność przypuszczać, że są mało warte. Zaczął więc od ogólnego wykładu o podatkach, wywodził, że istnieje ciągła batalia pomiędzy opornym podatnikiem a potrzebami władz państwowych wiecznie niesytych pieniędzy. Że prawnicy walczą po tej i po tamtej stronie: jedni usiłują wynaleźć nowe formy opodatkowania, drudzy — azyl dla pieniędzy. Jedni pomagają podatnikom z sieci się wymknąć, drudzy pomagają władzom państwowym ulepszyć sieć. W rezultacie powstała plątanina ustaw, rozporządzeń i orzeczeń, w której większość ludzi się gubi.

Pan Dickinson wiercił się na twardym krześle.

— Tą pogadanką nikomu nie oszczędzasz pieniędzy — powiedział. — Trwonisz tylko nasz czas.

— Staram się unaocznić pani Allen, jak skomplikowany jest problem podatków — odparł ponuro Antoni. — Nie chciałbym, aby myślała, że łatwo mi przyszedł konkretny pomysł zaoszczędzenia jej pieniędzy i że pan też był na niego wpadł.

— Nie zniżaj się do mnie, Antoś. Na razie nie pochwaliłeś się niczym.

— W przypadku pani Allen — podjął Antoni — mamy do czynienia z wielkim i zróżnicowanym majątkiem prześladowanym przez wielkie i zróżnicowane podatki.

Nie możemy zmagać się na ślepo z tymi podatkami i liczyć, że wygramy, ponieważ biją nas masą i siłą. Musimy przyjąć taktykę zapaśników dżudo i obrócić energię naszych oponentów przeciwko nim samym.
— Doprawdy, proszę pani — powiedział Dickinson — wstyd mi, żeby panią w coś takiego mieszać.
— Niechże pan, z łaski swojej, o mnie się nie martwi — odparła pani Allen z rozpromienionymi oczyma. — Nie rozumiem połowy z tego, co pan Lawrence mówi, ale mówi to tak ładnie...
Gracja Shippen pozwoliła sobie na przelotny uśmieszek. Jej spokojne czyste rysy przypominały kosztowną kameę. Ten rodzaj doskonałości miał swoich zwolenników, ale Antoniemu wydawał się bezkrwisty. W żaden sposób nie umiałby jej sobie wyobrazić z umorusaną twarzą. Podejrzewał, że rozumiała każde jego słowo, wiedziała, po co on to mówi, i wcale nie była przejęta. Szczęk oręża na arenie zupełnie do niej nie przemawiał. Ciekawił ją tylko śmiertelny cios. Nie miał pojęcia, dlaczego nią sobie zawraca głowę.
— Chciałbym, aby wszyscy państwo rozumieli — powiedział — że posługuję się wyłącznie powszechnie znanymi faktami z zakresu interesów pani Allen. Tylko te są mi dostępne. Zacznijmy od ogólnie przyjętej opinii, że udziały pani Allen w Kompanii Naftowej Allena sięgają wysokości pięćdziesięciu milionów dolarów. Może więcej, może mniej, ale posługujmy się tą cyfrą.
Pan Dickinson zmarszczył się i usiłował wygodniej usadowić się na twardym krześle. Stawał się już z lekka zaniepokojony. Być może spodziewał się, że pomysł Antoniego dotyczy jakichś zakopanych skarbów albo drobnych groszowych oszczędności. Nie podobał mu się dźwięk pięćdziesięciu milionów żywego srebra.
— Pani Allen mieszka w Haverford — ciągnął Antoni. — Powiatowy podatek od własności osobistej wynosi cztery dziesiąte centa na dolarze. Płaci ona ów powiatowy podatek od udziałów w Kompanii Naftowej Allena, wartości

pięćdziesięciu milionów dolarów. Podatek więc wynosi dwieście tysięcy dolarów rocznie. Niebłaha sumka, że tak powiem.

— Opanuj się, Antoś — uciął pan Dickinson. — Przestań sypać cyframi, tak jakby miały coś znaczyć.

— Owszem, dla mnie te cyfry coś znaczą — odparł Antoni. — Uważam, że pani Allen nie powinna płacić owych dwustu tysięcy rocznie.

— O, Boże! — wyrwało się pani Allen.

— Zwariowałeś? — zagadnął pan Dickinson. — Przecież musi płacić. Takie jest prawo.

— Naprawdę, wie pan — dodała pani Allen. — Poborca podatkowy to bardzo miły i przyjemny człowiek, ale nie da mi uszczknąć ni grosza.

— Załóżmy, że pani posiada trochę udziałów w General Electric — powiedział Antoni — za które nie płaci pani powiatowego podatku od własności osobistej.

— Nie wiesz nawet podstawowych rzeczy o interesach pani Allen — powiedział Dickinson. — General Electric ma swoją filię u nas, w Pensylwanii, i płaci nasze podatki jako obce przedsiębiorstwo. A więc jego udziały nie podlegają podatkowi od własności osobistej. Natomiast Kompania Naftowa Allena, z czego wyraźnie nie zdajesz sobie sprawy, należy jako przedsiębiorstwo do stanu New Jersey. Nie prowadzi tu żadnych interesów i nie płaci żadnych podatków. Zatem każdy mieszkaniec Pensylwanii, który ma w owym przedsiębiorstwie udziały, musi płacić z nich powiatowy podatek od własności osobistej.

— Faktycznie — powiedział Antoni. — A teraz zobaczmy, czy nie możemy radykalnie zmienić tej sytuacji. Czy słyszał pan kiedy o przedsiębiorstwie zwanym „J. Artur Allen i Spółka?"

Pan Dickinson zaczął się pocić. Nie wiedział jeszcze, gdzie oczekuje go stos, ale czuł już bijące od niego gorąco.

— Tak, oczywiście — odparł nerwowo. — „J. Artur Allen i Spółka" działa na terenie Pensylwanii. Posiada i użytkuje cysterny samochodowe u nas, a w New Jersey posiada i wydzierżawia stacje benzynowe. Kupuje materiały pędne i gaz od Kompanii Naftowej Allena, ale nie wchodzi w skład Kompanii.
— Lecz w jej posiadaniu znajdują się prawie wszystkie udziały przedsiębiorstwa.
— A cóż to za różnica? To jest odrębne przedsiębiorstwo!
— Nie takie znowuż odrębne — powiedział łagodnie Antoni. Kompania Allena sprawuje kontrolę nad wszystkimi jego posunięciami. I całkiem łatwo może przejąć interesy przedsiębiorstwa w Pensylwanii i działać na naszym terenie. Wówczas będzie płacić obecne podatki Kompanii Allena, płacić z tego samego majątku, tylko z różnej kieszeni. A to zaoszczędzi pani Allen dwieście tysięcy dolarów rocznie, gdyż nie będzie już musiała uiszczać powiatowego podatku od własności osobistej udziałów w Kompanii Naftowej Allena.
Pan Dickinson siedział paskudnie zaszokowany. Nic zresztą dziwnego, od lat prowadził interesy pani Allen w sposób stereotypowy, robił, co trzeba, ale nie wysilał się i nie przysparzał sobie kłopotów. Teraz musiał się gęsto tłumaczyć, a w istocie nie miał dobrych argumentów na swoją obronę.
Zerwał się z krzesła.
— Proszę pani — zawołał — to jest szalony i zuchwały pomysł! Jestem przekonany, że pani ufa kierownictwu Kompanii Naftowej Allena. Nie użyje pani swojego decydującego głosu, żeby zmusić dyrektorów do zrobienia idiotycznej machlojki. Rzecz nie wchodzi w kompetencje prawników, lecz dyrektorów pani przedsiębiorstwa. Gdyby to był słuszny krok, kierownictwo Kompanii Allena z pewnością dawno by go już powzięło.
— Nigdy im to nie przyszło do głowy — powiedział Antoni. — Cóż ich to martwi, że pani Allen traci rokrocznie tyle pieniędzy?

— Przyznam się, że nie mogę się połapać—wyznała w podnieceniu pani Allen. — Ach, jakbym chciała zaoszczędzić tyle pieniędzy. Orientowałam się w wypadku Towarzystwa Ochrony Zwierząt, ale z tym nie mogę sobie poradzić, to takie skomplikowane. A ty to rozumiesz, Gracjo? — zwróciła się do wnuczki.
— Tak, babciu. Rozumiem doskonale. Rzecz jest całkiem prosta, dziwię się, że pan Dickinson nigdy nie wpadł na to. Pan Lawrence wykorzystuje stanowy podatek od przedsiębiorstw, żeby zlikwidować powiatowy podatek od własności osobistej. Właśnie zaoczczędził ci dwieście tysięcy dolarów rocznie.
— Cudownie! — westchnęła z uniesieniem pani Allen.
— Dro... droga pani —jąkał się pan Dickinson. — Jeśli nawet okaże się, że ten pomysł posiada praktyczną wartość, mam nadzieję, iż nie posądzi pani naszej firmy o niedbalstwo. Staraliśmy się jak najlepiej zadbać o pani interesy. Pomysł ów wprowadza tak wiele elementów, które nie leżą w kompetencjach prawnika, i wymaga tak poważnej zmiany w polityce przedsiębiorstwa, że trudno nas potępiać, iż go nie wysunęliśmy. Z tego, że ktoś z boku się wtrącił i wpadł akurat na szczęśliwą myśl, której nie da się powtórzyć się, nie powinno się wyciągać argumentu przeciwko nam.
— Doprawdy... nie mam pojęcia — powiedziała pani Allen. — Ty się na tym wyznajesz, Gracjo. Jakie jest twoje zdanie?
Dziewczyna miała twarz bardzo spokojną. W takie chyba sposób westalki spoglądały na arenę, dając znak zguby opuszczenia kciuka. Niskim, miękkim głosem, w którym brzmiały muzyczne nutki, wniosła o śmierć dla pokonanego.
— Moim zdaniem — powiedziała — powinnaś sobie zmienić adwokata.
Być może, pan Dickinson mógł jeszcze coś uratować, gdyby się bardzo postarał. Ale znowu zdradził swoją słabość: poczucie własnej wartości. W tym punkcie zaatakowany, tracił panowanie nad sobą. Wyprostował się i rzucając Gracji złowrogie spojrzenie, powiedział:

— Najpierw smarkacz próbuje nauczyć mnie rozumu, a potem panienka pozwala sobie wyręczać mnie w prowadzeniu spraw mojej klientki. Jeśli pani — zwrócił się do pani Allen — w najmniejszej mierze podziela zdanie swojej wnuczki, firma „Dickinson i Dawes" odstąpi od prowadzenia pani interesów.
— Patrzcie państwo! — rozzłościła się pani Allen. — Gracja ma głowę na karku. Trudno mi uwierzyć, żeby mówiła bez kozery.
— Przekażemy pani sprawy komukolwiek, kogo pani wyznaczy — oświadczył pan Dickinson i wielkim krokiem wyszedł z pokoju.
— Patrzcie, państwo! pani Allen. - Cóż ten człowiek wyprawia.
Przestańmy, powiedział sobie Antoni, myśleć o panu Dickinsonie, a zacznijmy myśleć o owym młodym adwokacie, Antonim Lawrence, co położył niejakie zasługi.
— Przykro mi, że zostali państwo narażeni na tego typu scenę — powiedział. — Jednakże mam nadzieję, że przyjazd pań tutaj jakoś się opłacił.
— Opłacił? Mój Boże! Dwieście tysięcy dolarów! Nie mogę dostać zwrotu za ubiegłe lata, jak pan sądzi?
Antoni zachichotał.
— Rozkoszny pomysł! Dziękowałbym Bogu, gdyby pani mogła... Tak, jakkolwiek nie mam już prawa udzielać pani porad, powinienem wskazać, że nic jeszcze nie osiągnęliśmy. Powinna pani jak najprędzej zasadzić kogoś do roboty.
— Tak, oczywiście. Potrzeba mi nowego adwokata, prawda? W głębiach fotela Logan Clayton mocował się z kwestią natury etycznej. Uczciwe to czy nieuczciwe napomknąć w tej chwili o firmie „Morris, Clayton, Biddle i Wharton"? Zdusił tę kwestię podwójnym nelsonem i powiedział:
— Droga pani, naturalnie my...
— W panu Lawrence masz swojego adwokata — powiedziała spokojnie Gracja Shippen.

— Wierzę, że mam — odparła pani Allen uśmiechając się promiennie do niego. — Jest pan cokolwiek za młody, ale niewątpliwie zna się pan na rzeczy.
— I jeśli wolno mi tak powiedzieć — dorzucił Logan Clayton — za panem Lawrence staną wszystkie możliwości i całe doświadczenie firmy „Moris, Clayton, Biddle i Wharton", oddanej na pani usługi.
— Z prawdziwą dumą i radością przyjmę tę pracę — powiedział Antoni. — A teraz, proszę pani, jeśli mamy działać szybko, proponuję, żeby wezwać sekretarkę i może pani z miejsca wysłać list do „Dickinsona i Dawesa" z życzeniem, aby przekazali wszystkie pani sprawy na moje ręce.
Po raz pierwszy twarz Gracji Shippen nabrała życia. Dziewczyna roześmiała się, rozkoszne drobniutkie zmarszczki okoliły jej oczy i Antoni raptem pojął, dlaczego pani Wharton mówiła, że Gracja jest bardzo sympatyczna.
— Nie traci pan czasu, co? — zagadnęła. — Kujmy żelazo, póki gorące.
— Czas to pieniądz — odparł z uśmiechem. — A w tym wypadku czas to dwieście tysięcy dolarów.
Zaczynał się już zastanawiać, dlaczego pani Wharton przestrzegała go przed tą dziewczyną.
Wystosowali list, przy czym Antoni zadbał, aby wymieniono jego nazwisko, a nie tylko ogólnie nazwę firmy, a potem wraz z panem Claytonem odprowadził obie panie do windy. Gracja Shippen zwolniła nieco kroku i Antoni znalazł się z nią ramię w ramię.
— Była mi pani bardzo pomocna — powiedział. — Doceniam to.
— Lubię zwycięzców, proszę pana. A pan jest istotnie bardzo imponujący, Karola Wharton nic nie przesadziła. Ma o panu bardzo wysokie mniemanie.
— To wspaniała osoba.
— A teraz pana zaszokuję — powiedziała spoglądając na niego wielkimi niebieskimi oczami. — Czy pan nadal się w niej kocha?

Potrzebował chwili, żeby się otrząsnąć. A potem roześmiał się i powiedział:
— Pytanie w rodzaju, „czy nie bije już pan swojej żony?", na które trudno odpowiedzieć tak lub nie.
Czy pani często urządza ludziom takie kawały?
— Tylko wtedy, jeśli się nimi interesuję.
— Nie kocham się w nikim, jeśli to interesujące.
— Nikt pana nie omotał? Więc na swój nieśmiały sposób chcę panu zaproponować, żeby mnie pan zaprosił w sobotę na kolację.
— To najmilsze honorarium, jakie kiedykolwiek otrzymałem. Mieszka pani u swojej babki? Czy mam tam po panią przyjechać?
— Owszem. O wpół do siódmej, jeśli łaska.
W tejże chwili zrównali się z tamtymi. Gracja znikła w pudle czekającej windy, zdawało mu się, że zabrała ze sobą tyle światła, aż w korytarzu zrobiło się ciemniej. Wszystko zaczynało mu iść jak z płatka. Poważny klient. Kolacja z Gracją Shippen. A teraz pan, panie Clayton, jeśli łaska?
Pan Clayton nie zwlekał ni chwili.
— Świetna robota, Antoś — powiedział. — Mam jednak nadzieję, że uświadamiasz sobie, jaką rolę odegrała w tym firma, dzięki której nastręczyła ci się ta okazja i dzięki której mogłeś ją w pełni wykorzystać.
— Zdaję sobie z tego sprawę, sir. Pragnę pana zapewnić, że jestem absolutnie lojalny wobec firmy.
To właśnie pan Clayton chciał usłyszeć.
— Postaramy się, Antoś, o bardziej odpowiedni dla ciebie gabinet. Jestem przekonany, że seniorzy zgodzą się, aby cię dokooptować jako członka zarządu. Twój obecny gabinet nie odpowiada takiemu stanowisku.
Dostał się więc do „Krainy szczęśliwych łowów" przeskakując na lewą stronę nagłówka.

— Jestem wielce zobowiązany, sir.
— Nie obejdzie się chyba bez plotek na temat przejścia pani Allen od Dickinsona i Dawesa do nas. Ale poradzimy sobie z tym. Jakżeś ty nazwał ten moment, od którego wszystko się zaczęło?
— „Przypadek z Psim Kodycylem".
— Bajeczne. Posłużę się tym, ilekroć będzie mowa o sprawie. Każdy zarzut przeciwko nam utonie w huraganie śmiechu.
Poważny klient. Kolacja z Gracją Shippen. Członkostwo zarządu firmy „Morris, Clayton, Biddle i Wharton". Czy to już wszystko na razie?
W tydzień potem okazało się, że nie wszystko. Czekał go list, w którym rozpoznał dobrze mu niegdyś znany charakter pisma. List ów brzmiał:
„Drogi Antosiu. Oto odzywa się przeszłość. Usłyszałam właśnie o » Przypadku z Psim Kodycylem «. Sądzę, że zrewanżowałeś się Tatusiowi pięknym za nadobne. Wznoszę wiwat na Twoją cześć! Oddana Joanna Dickinson Henry".

12

Sporą część życia Antoni uwijał się w pobliżu filadelfijskiej socjety, z gorliwością zapasowego gracza, który pragnie dostać się do drużyny. Od czasu do czasu pozwalali mu wziąć udział w grze, klepali go po plecach i mówili, że dobrze się spisuje. Ale zaraz odsyłali go na ławkę dla rezerwowych. Wygodnie było mieć go pod ręką, ale nie nadawał się jeszcze do stałej gry.
Od chwili, kiedy pani J. Artur Allen została jego klientką, wszystko się zmieniło. W wielu rzeczach dostrzegał tę zmianę. Przejawiała się w postępowaniu seniorów firmy, którzy zapraszali go na partię golfa albo na lunch do klubu, albo do siebie na przyjęcie aby się zapoznał z bardzo sympatycznymi dziewczętami z doskonałych rodzin. Świadectwem tej zmiany były zaproszenia do prywatnych lóż na koncerty w Filharmonii, a najlepszym dowodem — nowa kategoria spraw, które

zaczęły doń napływać: najrozmaitsze kwestie spadkowe, honoraria od towarzystw ubezpieczeniowych i banków. W klubie princetończyków mówiło się o wybraniu go w ciągu najbliższych paru lat do Rady Opiekuńczej uczelni. Jeden z mniejszych banków próbował wybadać, czy Antoni nie zechce wejść do jego zarządu; Logan Clayton radził odrzucić ofertę, gdyż nadarzą się niebawem lepsze okazje.

Antoni wiedział oczywiście, że kryje się za tym coś więcej niż zwykłe powodzenie w interesach. Wielki świat filadelfijski miał specyficzny charakter. Różnił się od nowojorskiego, którego mury dawnymi laty z łatwością przebijał taran pieniądza, a obecne opłotki lekko przeskakiwał każdy, kto zyskał sobie rozgłos. Różnił się od detroickiego, który automatycznie przyjmował wielkie osobistości z przemysłu samochodowego. W Filadelfii natomiast pieniądz czy potęga nie wystarczały. A jeśli ktoś lubił krzykliwy blask reklamy prasowej, lepiej żeby się tam nie pchał, gdyż Filadelfia wolała łagodny krąg świecy.

— Nieraz popełnia się błąd porównując wielki świat Filadelfii do wielkiego świata Bostonu. Niegdyś, owszem, istniały pewne podobieństwa. Ale w Bostonie zapomniano o zażywaniu tranu. Zapomniano, że każda społeczność musi stać się anemiczna, jeśli nie nabiera nowych sił. Wielki świat Bostonu obwarował się przeciwko szturmującym Irlandczykom, Portugalczykom i Włochom, nie miał więc dopływu świeżej krwi. Stracił umiejętność robienia pieniędzy. Żył z procentów od fortun zgromadzonych przez ubiegłe pokolenia. Aby doń pasować, trzeba było się wywodzić ze starej rodziny i stosować się do szeregu zakazów, które, gdyby chodziło o dzikich, nazwano by wprost przesądami.

Socjeta filadelfijska przed wielu laty wypracowała procedurę przyjmowania nowych członków. Pieniądz i potęga miały swoją wagę, ale Filadelfia chciała wiedzieć, czy kandydata stać na takie dzieci i wnuki, które potrafią utrzymać ów pieniądz i potęgę. Właściwy ożenek grał swoją rolę, ale Filadelfia chciała wybadać, czy dobra krew będzie przechodzić z pokolenia na pokolenie.

Dowiodłeś, że jesteś człowiekiem statecznym, zrównoważonym i kulturalnym, to dobrze, ale czy twoje dzieci odziedziczą te cechy, czy też wyrosną na postrzeleńców i dziwaków? Socjeta filadelfijska nie honorowała ekscentryków. Wydała ich ledwie małą garstkę w ciągu dwustu pięćdziesięciu lat swego istnienia. Zresztą pozbywała się ich szybko i dyskretnie, tak jak kulturalny farmer, dumny ze swojej trzody, pozbywa się dwugłowego cielęcia.

Antoni wiedział, że jego wejście do wyższych sfer było rezultatem długiej serii prób, wśród których sprawa pani Allen stanowiła ledwie fragment końcowego egzaminu. Został przyjęty, ponieważ zyskał sobie uznanie Jana Marshalla Whartona i dyrektora Akademii Franklina. Ponieważ dorównywał kolegom w szkole i na uczelni. Ponieważ matka jego zdobyła sobie pozycję i wyszła niegdyś za mąż za Williama DeWitt Lawrence'a. Pomogła mu babka, pomogły te lata, które Henryk Judson spędził na nauczaniu łaciny. Pomogło to, że dawno temu młodziutka, śliczna Irlandka przyjechała do Filadelfii wiedziona żądzą wybicia się. Ludzie mogli śledzić dzieje jego rodziny niemal na przestrzeni stu lat i przekonać się, że pięła się ona wolno, ale coraz wyżej, napotykając przeszkody, ale nie załamując się, popadając w ciche kłopoty, ale nie robiąc głośnych skandalów. Miała w sobie dobrą krew — przechodzącą z pokolenia na pokolenie.

Wystarczyło teraz iść śmiało drogą, która się przed nim otwierała. Nie istniały już żadne okratowane bramy. Kiedy wybierze sobie za towarzyszkę jedną z uroczych, dobrze urodzonych panienek, z którymi spotykał się teraz tak łatwo — drzewo genealogiczne rodu O'Donnell-Judson-Lawrence zdobędzie mocny grunt w księdze towarzyskiej Filadelfii.

Nastręczała się tylko jedna trudność. Nie pragnął żadnej z owych panienek, pragnął Gracji Shippen i nie mógł jej zdobyć.

Nie w tym rzecz, aby go nie lubiła albo wolała kogo innego. Od początku było jasne, że stawiała go ponad innymi. Widywali się po kilka razy na tydzień, chociaż

z innymi poprzestawała zawsze na paru randkach. Tańczyli, grali w tenisa, pływali, jeździli konno, chodzili na wystawy, dyskutowali o książkach, malarstwie i muzyce.

Była wspaniałym kompanem: roześmiana, żywa, ciekawa wszystkiego. Od czasu do czasu całowała go w przyjemny i schludny sposób. Kiedy chodzili już ze sobą kilka miesięcy, poprosił, aby wyszła za niego. Poklepała go po policzku i powiedziała mu, że jest najmilszym w świecie człowiekiem, ale że sama nie myśli jeszcze o małżeństwie, choć prosi go, aby nie ustępował i nadal pytał. Więc nie ustępował. Z czasem traktował to jak ponury żart.

— Czy już czas, żebym cię znowu zapytał? — powiadał z posępną miną.

— Biedaku — odpowiadała z westchnieniem. — A może to nie ty jesteś biedny, tylko ja? Jakoś nie mogę się zdecydować.

Pewnego wieczoru w salonie Allenów ogarnął go szał, kiedy obdarzyła go jak zwykle chłodnym pocałunkiem. Porwał ją, całował w usta, w oczy, w szyję. Przez chwilę usiłowała się oswobodzić, a potem leżała spokojnie w jego ramionach. Miała na sobie suknię bez ramion, zapinaną na plecach na zamek błyskawiczny. Ściągnął go do dołu, wyłuskał ją z sukienki i przez pieszczoty i pocałunki starał sieją pobudzić. Chwilami obserwowała go szerokimi, zdziwionymi oczyma, chwilami zamykała je spoglądając chyba w głąb siebie. Ale oddech jej nie stawał się gorący, ciało — chętne pieszczotom.

Odepchnęła go wreszcie, usiadła i powiedziała:

— Przykro mi, Antoś. Nic z tego, prawda? Pocałowała go chłodno, pozbierała garderobę i odeszła— smukła, jasna boginka niknąca we wrotach świątyni. Nigdy więcej nie podjął podobnej próby.

Gdyby był rozsądny, zamieniłby ją na jedną z bardzo sympatycznych dziewcząt z doskonałych rodzin. Na nieszczęście w takich wypadkach rozsądek na ogół mężczyzn zawodzi. Dwie osobowości, dwa ciała, otarły się o siebie i w jednej z

nich, jak w alembiku, zaczęła bulgotać i dymić żądza. Nie wiedział, dlaczego musi ją mieć. Dlaczego ludzie czuli, że muszą zdobyć Mount Everest? Bo istniał. Dlaczego musiał mieć Grację Shippen? Bo była urocza, inteligentna, towarzyska, dziedziczyła trzy fortuny i stanowiła symbol tego, co najlepsze w Filadelfii? Bo istniała?

Wiedział teraz dobrze, dlaczego pani Wharton obawiała się, żeby się nie zadurzył w tej dziewczynie. Nie zgadzał się jednak z tym, że nie miała serca, ani z tym, że trzymała je w kasecie ogniotrwałej. Sądził, że zna odpowiedź za zagadkę jej osobowości, ale niewielki mu to przynosiło pożytek. Charakter Gracji Shippen — jak uważał — można było wyjaśnić prostą formułą: wszystko, czego pragnęła, znajdowało się już w jej posiadaniu.

W niedługi czas po dojściu do tego beznadziejnego wniosku upodobał sobie rozrywkę, która miała przynieść poważne i nieprzewidziane rezultaty. Polegała ona na spędzaniu godziny w jednym z sądów grodzkich parę razy na tydzień. Gmach sądu mieścił się przy komisariacie policji na rogu Dwunastej i Jodłowej, niedaleko jego biura. Któregoś ranka, kiedy wyszedł na spacer, żeby się przewietrzyć, przechodził obok tego gmachu i zawędrował do środka. Dziwna rzecz, miał do czynienia z prawem od lat, a dopiero teraz uświadomił sobie, że prawo to coś więcej niż fascunująca gra. Zobaczył ludzi —jak się pocą, jak kłamią, jak płaczą, jak się unoszą gniewem — w zaciętej walce z prawem. Prostytutki, narkomanii, pijacy. Oskarżeni o szalbierstwo, grabież, rozbój. Ludzie, którzy nawarzyli sobie wszelkiej biedy, jakiej tylko da się nawarzyć. Niektórym słusznie się to należało, ale innym — nie. Patrzył i słuchał, po czym wracał do swoich bezkrwawych potyczek z ustawami podatkowymi, czując się dziwnie rozgrzany i podniecony.

Po przysłuchaniu się kilku rozprawom zaczął studiować kryminalistykę. W Instytucie Prawa uczono jej po łebkach, a takie firmy, jak jego własna, strzegły się spraw karnych niczym ognia. Ale nudził się już po trosze swoją pracą, podobnie

jak niegdyś, gdy go przydzielono do balonów zaporowych. Zaczął wiec studiować kryminalistykę, tak jak swego czasu przepisy wojskowe. Dla ciekawości i dla rozrywki. Zaczynał rozumieć, co się na jego oczach dzieje, i spostrzegł, że dla jednych prawo było łaskawe, a dla drugich aż nadto srogie.

Rozmyślał nad tym pewnego dnia, zanim rozpoczęto rozprawy, gdy stojąca obok kobieta zaczęła płakać i zwierzać mu się ze swoich kłopotów. Wcale jej do tego nie zachęcał, ale kobiecina musiała się przed kimś wyżalić i akurat trafiła na niego. Właściciel podniósł czynsz za dwa pokoje, w których mieszkała z gromadą dzieciaków. Nie mogła tyle zapłacić. Chciano ją eksmitować, zabrać jej meble, więc zagroziła, że obleje właściciela wrzątkiem, i za to ją oskarżono, i co się z dziećmi stanie, jeśli ona pójdzie do więzienia? Wszystko to opowiedziała w potokach łez, wymachując rękami na wsze strony niczym wiatrak podczas wichury.

Nie namyślając się powiedział:

— Jestem adwokatem. Wezmę pani sprawę, jeśli pani zechce. Odskoczyła gwałtownie: dziki kot, co prycha na widok wyciągniętej ręki, bo nuż chcą mu się dobrać do skóry.

— Groszem nie śmierdzę — powiedziała posępnie.

— Biorę więc na własny rachunek — odparł. Kosztowało go to pięć minut, nim ją przekonał, że naprawdę zna się na rzeczy. W istocie o wiele szybciej wygrał sprawę, niż pozyskał jej zaufanie. Już po paru jej wstępnych uwagach stało się jasne, że właściciel — choć sama o tym nie wiedziała — kpi sobie z Ustawy o Kontroli Czynszów. Antoni spojrzał na nakaz eksmisji i stwierdził, że przedstawia wiele do życzenia pod względem prawnym. Więc kiedy doszło do rozprawy, wystarczyło parę ostrych pytań, żeby posiekać powoda na drobne kawałki. Tego dnia zasiadał za stołem dobry sędzia. Uniewinnił kobietę i pouczył ją, żeby zwróciła się do niego, jeśli właściciel nie obniży czynszu i nie zapłaci

odszkodowania. Najcięższą przeprawę miał Antoni z tym, żeby się później od niej odczepić. Koci instynkt podpowiadał jej, aby wskoczyć mu na kolana i mruczeć. Zostawiła go wreszcie i miał już wracać do biura, kiedy ktoś schwycił go za ramię i zawołał po imieniu. Antoni odwrócił się. Przez chwilę nie poznawał osoby, która go zatrzymała: tłusty jegomość, w pogniecionym szarym garniturze, mocno wyłysiały. Z kolei spostrzegł mądre, czarne oczy o ciężkich, rzeźbionych powiekach. Te się nie zmieniły.

— Niech mnie diabli — powiedział. — Przecież to Ludwik Donetti! Ostatni raz widzieliśmy się w Instytucie Prawa. Cóż ty tu porabiasz?

— Mam tu taką jedną sprawę, gdzie chcę wydusić z faceta potężną kaucję — odparł. — Może nie słyszałeś. Jestem podprokuratorem rejonowym. No, całkiem nieźleś się dziś spisywał.

— Dzięki. Sprawa była jasna jak złoto.

— Do czego zmierzasz, Antoś?

— Czy muszę zaraz do czegoś zmierzać?

— Cholerny świat. Wiem, że jesteś u bonzów. „Morris, Clayton, Biddle i Wharton" dawno już nie polują na sprawy odszkodowań. Zadajesz się z hołotą?

— Tego bym nie powiedział.

Mądre, czarne oczy przyjrzały mu się badawczo.

— To ci heca — rzekł Ludwik. — As cywilistyki toczy boje w sądzie grodzkim. Jeśli masz ochotę jeszcze trochę się spospolitować, to pozwól, że cię zaproszę któregoś dnia na obiad. Ciekawi mnie, do czego ty zmierzasz. No, lepiej wezmę teraz pod sąd swojego faceta. Zadzwonię do ciebie.

— Dobra, świetnie — odparł Antoni.

W parę dni później Ludwik zatelefonował, ale Antoni wytłumaczył się przepracowaniem i obiecał sam zadzwonić, kiedy trochę odetchnie. Naturalnie słowa nie dotrzymał. Pamiętał, jakie boje staczali ze sobą w Instytucie Prawa, i nie

chciał, żeby Ludwik dogrzebywał się racji, dla których Antoni przyszedł z pomocą owej kobiecie. W istocie sam nie zdawał sobie sprawy, co nim wówczas kierowało. A jeśli człek sam nie posiadał rozeznania, Ludwik potrafił mu wmówić, że nie posiada rozumu.

Odwiedzał nadal sądy grodzkie i zauważył, że stała się rzecz dziwna. Wyrósł na niewielką znakomitość. Nie miał pojęcia, czy zrobiła mu rozgłos owa kobieta, czy też Ludwik naopowiadał, co się dało, czy co? W każdym razie skutek był taki, że ludzie zaczynali zwracać się do niego o pomoc. Zawodowy pośrednik przysuwał się do niego i mruczał: „Tamten facet mógłby z pana skorzystać. Czysta sprawa, niech mnie". Sędzia wzywał go do stołu i powiadał: „Co pan powie o sprawie, która wchodzi na wokandę, nie podejmie się pan obrony? Samemu brak mi rozeznania". Telefon dzwonił w mieszkaniu czy biurze i odzywał się niski głos: „Tu sierżant dyżurny z komisariatu przy Dwunastej i Jodłowej. Żal mi się zrobiło trochę szczeniaka, którego nakryto dzisiaj w nocy". W żadnej z tych spraw nie kryło się nic sensacyjnego, po prostu mali ludzie w wielkiej biedzie i brak kogoś, kto by ich sprawiedliwie obronił.

Któregoś dnia jakiś reporter zadał mu parę pytań w rodzaju „co pan obecnie robi?", Antoni roześmiał się, odparł, że nic ważnego, i nie chciał rozmawiać na ten temat. Był więc ogromnie zaskoczony, gdy następnego dnia rano otworzył gazetę i na drugiej kolumnie zobaczył artykuł pod nagłówkiem, który głosił:

WYBITNY ADWOKAT BAWI SIĘ W ROBIN HOODA NA ROZPRAWACH W SĄDACH GRODZKICH

Początek artykułu obwieszczał: „Antoni J. Lawrence, członek wielkich firm, adwokat milionerów, ujawnił się dziś w postaci nowego Robin Hooda, nawiedza sądy grodzkie, gotów bronić ludzi, którzy nie mają grosza przy duszy".

— Boże święty... — westchnął Antoni.

Poszedł do biura zastanawiając się, w jakim tempie posypią się telefony. Nie czekał na odpowiedź zbyt długo. Pierwszy odezwał się wewnętrzny aparat.

— Hallo, Antoś? Tu Logan Clayton. Jak się dziś miewasz?

— Świetnie, sir. A pan?

— Dziękuję, nieźle. Właśnie czytam sobie gazetę.

— Ach, tak.

— Widziałeś chyba, co piszą o tobie?

— Niestety, tak.

— Antoś, to dla mnie zupełna niespodzianka. Nie miałem pojęcia, że mieszasz się do czegoś takiego.

— Ja też nie miałem pojęcia, że mieszam się do czegoś takiego, dopóki nie przeczytałem gazety. Zasadnicze fakty są prawdziwe, ale wnioski... cóż, sam siebie nie poznaję.

— Wychodzisz trochę zbyt malowniczo. Starałem się dociec, czy powinniśmy robić takie rzeczy. Tak czy nie? Co ty sądzisz?

— Cóż, sir, z mojego punktu widzenia wygląda to tak, jakby lekarz poświęcał za darmo trochę swojego czasu ubogim pacjentom w szpitalu.

Ten typ zawodowej argumentacji powinien przemówić do pana Claytona.

— Nie powiem, rozsądnie na to patrzysz. Cóż, wydaje mi się, że jeden artykuł nie robi szkody. Nie mogą przecież dwa razy cię opisać za to samo. I — ma się rozumieć — z tego wynika, że nasza firma nie stroni od życia, nieprawdaż? Zakładam, że nie przyłożysz ręki do żadnej śliskiej sprawy, jeśli taka stanie w sądzie.

— Ma pan zupełną rację, proszę pana.

— Dobra. Do zobaczenia.

Z kolei rozdzwonił się telefon z miasta. Odezwał się kobiecy głos, chłodny i głęboki.

— Prowadziłeś więc potajemne życie.
— Witaj, Gracjo. Czytałaś ten cholerny kawałek?
— Tak, kochanie. Co ma oznaczać ten twój strój pokutny i głowa posypana popiołem?
— Nic takiego, naprawdę. Dziennik to rozdmuchał do nieprzyzwoitych rozmiarów. A właściwie to jest po prostu tak, jak z twoją Ligą Młodzieżową, zwykła praca charytatywna. Takie przedstawienie sprawy powinno trafić do Gracji.
— Och. No, jeśli to wszystko... Radzę panu, trzymaj się pan z daleka od moich dziewcząt z Ligi Młodzieżowej, panie Lawrence. Niektóre z nich są nie w ciemię bite. Nie zachęcam pana do tego typu rywalizacji.
— Gdybym uważał, że rywalizacja na coś mi się przyda, urządziłbym u siebie w gabinecie konkurs na Miss Ameryki.
Doszedł go łagodny śmiech, jak dźwięki wiolonczeli trącanej rozleniwioną ręką.
— Rozkoszny jesteś. Nie zapominasz o dzisiejszym wieczorze?
— Zawsze możesz na mnie liczyć. W tym cała bieda.
— Kiedy pierwszy raz przeczytałam artykuł, zaczęłam się zastanawiać, czy rzeczywiście mogę. Ale teraz wszystko się wyjaśniło. Do widzenia, Antoś.
Dwa załatwione, a ile jeszcze? Przynajmniej z tymi dwoma, których najbardziej się bał, jakoś się uporał. Brzęczenie aparatu zapowiadało nowy telefon z miasta. Odezwał się matowy głos.
— Czołem, Robin Hoodzie.
— Kto mówi?
— To ja, Robinie... Little John.
Teraz się połapał. Takim zgrzytliwym tonem, jak pilnik po żelazie, posługiwał się w Instytucie Prawa Ludwik Donetti dla wyrażenia niesmaku.
— Stale drzesz ze mną koty, co, Ludek?

— Nie w tym celu dzwonię — odparł matowy głos. — Chciałem ci tylko pogratulować rozgłosu, człowieku.
Ludwik przeciągał każde słowo w irytujący sposób.
— Nie miałem nic wspólnego z tą cholerną historią.
— Jasne. Nakryli cię tylko z aureolą nad czołem, to wszystko. Nie doszło do naszego spotkania na obiedzie, gdzie miałeś mi powiedzieć, Antoś, do czego zmierzasz? To nie mój interes, ale zawsze braliśmy się za łby w szkole, a teraz obudziłeś we mnie ciekawość.
— Sam powiedziałeś, że to nie twój interes.
— Taak, ale martwisz mnie, bracie. Czytam ten artykuł i myślę sobie, co ten chłopak ma na celu — ubiegać się o miejsce w Senacie czy co? A może zwyczajnie — uciec od samego siebie? Jeśli zamierza ubiegać się o cokolwiek, to ja chcę o tym wiedzieć, bo tak akurat się składa, że param się brudną robotą, zwaną polityką. A jeśli zwyczajnie ucieka od samego siebie, to chcę mu dać pole do popisu.
— W twoich ustach prosta sprawa staje się skomplikowana.
— Jak cholera. Bo i jest skomplikowana, a ty wmawiasz sobie jak dzieciak, że prosta. Jeśli to jest równy facet, powiadam sobie, to może potrafię mu pomóc, żeby jeszcze bardziej się wyrobił. Mogę mu poradzić, żeby lepiej zmienił łuk i strzały na — powiedzmy — kaliber 38, ulubioną broń policji.
— Nie rozumiem, o czym ty gadasz, a nawet jakbym rozumiał, mało by mnie to obchodziło.
— Rozpatruję jeszcze parę innych aspektów, Antoś. Pytam siebie, czy ten facet to dobroczyńca? Nienawidzę tych byków, kapujesz? Chodzi taki, szlachetnie czyni, a każdy ma się szybko poprawić, żeby mu więcej nie przysparzać kłopotów. Dalej pytam siebie, a może ten facet to symulant? Lubię z symulantów wypruwać bebechy. Nic z nich nie zostaje, kiedy walka idzie na ostro.

— Czy ty mi przypadkiem nie ubliżasz, co?
— Owszem, Antoś, staram się. Bo wiesz, jak teraz wyglądasz? Jak właściciel majątku, co przynosi chłopom kosz z jałmużną, więc mogą odłożyć głodowanie do jutra.
— Mam przed sobą cały dzień roboty, Ludwik. Daj upust swojej wyobraźni gdzie indziej, jeśli łaska.
— Okey, Antoś, okey. Baw się dalej, a może któregoś dnia trafi mi się taka okazja, że będziesz musiał udowodnić, czy jesteś mydłek, czy nie. Bywaj, chłopie. Zaopatrz się w dobrą cięciwę.
Szum wokół artykułu szybko ucichł i wszystko układało się po dawnemu, aż do pewnego dnia we wrześniu 1948 roku. Poranna gazeta przynosiła zwyczajne wiadomości. Rosjanie brzydko się zachowywali. Truman wygłosił nową mowę, bujał samego siebie, że potrafi zwyciężyć Deweya. Kronika wypadków samochodowych i przestępstw. A jednak coś ciekawego: Jan C. M. Stearnes, miejscowy bankier, zabity wystrzałem z własnego rewolweru. Policja podejrzewa morderstwo i tropi tajemniczego gościa nazwiskiem Howard Jones, który — wedle relacji kamerdynera — znajdował się u Stearnesa, zanim padł strzał. Stearnes miał dużą posiadłość w Ithan, ale feralnego dnia przebywał w swojej miejskiej rezydencji przy ulicy Delanceya, gdzie często spędzał noce. Antoni zetknął się ze Stearnesem ledwie parę razy, ale — co ciekawe — Stearnes był przez małżeństwo krewnym Gracji Shippen. Nie ze strony jej matki, gdyż była jedynaczką, ale ze strony ojca.
Po śniadaniu Antoni wpadł na chwilę do komisariatu na rogu Dwunastej i Jodłowej. Policjanci uważali, że może go zaciekawi facet, którego przymknęli ubiegłej nocy. Nazywał się Chesley A. Gwynne, aresztowano go pod łącznym zarzutem pijaństwa, zakłócania spokoju, włamania. Sprawa miała parę dziwacznych momentów, które zaintrygowały policję. Antoni udał się do celi aresztanta. Nikt nie prezentował się dobrze, kiedy gliny zabrały mu krawat i pasek,

kiedy kazano mu spać w ubraniu i nie pozwolono się ogolić, ale ten wyglądał gorzej niż półtora nieszczęścia. Leżał na wyrku jak brudny worek wypełniony rupieciem.

— Nazywam się Lawrence — powiedział Antoni. — Jestem adwokatem. Chłopakom przyszło na myśl, że może trochę się panu przydam.

Być może facet wyglądał kiedyś przyzwoicie, ale teraz miał obrzękły nos pijaczyny i oczy, które pływały jak żółtka w sosie grzybowym.

— Zmykaj pan lepiej — powiedział przygnębionym głosem. — Groszem nie śmierdzę. Miałem trochę pieniędzy, ale musiałem je zgubić ostatniej nocy.

— Nazywa się pan Gwynne, prawda? Panie Gwynne, od czasu do czasu podejmuję się obrony zwyczajnie dla wprawy. Zechce pan odpowiedzieć na parę pytań?

— Oby tylko parę. Jestem zmęczony.

— Policjanci powiadają, że pan się upierał, jakoby mieszkał w tym domu, gdzie pana schwytano na włamaniu. Nie wiadomo dlaczego uwierzyli panu, choć jegomość, który tam obecnie mieszka, nigdy nie widział pana na oczy. To wszystko, co wiem. Jeśli pan taki zmęczony, że nie może opowiedzieć mi dokładnie, to dadzą panu chyba z rok i jeden dzień, żeby pan sobie dobrze wypoczął.

— Glinom wszystko się pokręciło. Albo może ja sam wprowadziłem ich w błąd, nie wiem. Miałem nieźle w czubie. Starałem się im wytłumaczyć tyle, że niegdyś mieszkałem w tym domu. I kiedy podgazowałem się zeszłej nocy, zapomniałem, że już tam nie mieszkam, chciałem wrócić do siebie, wykombinowałem, że zgubiłem gdzieś klucze, i zacząłem pchać się przez okno.

— Pod jakim adresem niegdyś pan mieszkał?

— Na Markleya. Maleńka, boczna uliczka.

— Nigdy o niej nie słyszałem — powiedział Antoni. — Dom, do którego usiłował pan się dostać, znajduje się pod numerem 1009 na ulicy Bendixa.

— Hm, nigdy nie słyszałem o takiej ulicy. I numer też się nie zgadza. Tamten był Markleya 1015. Słuchaj pan, po co miałbym to wszystko zmyślać?

— Kiedy pan się stamtąd wyprowadził?

— Chyba... niemal przed dwudziestoma laty.

— Gdzie pan teraz mieszka?

— Od lat w Los Angeles. Piękny tam kraj. Ciepło. I ludzie też są gorący. Nie to, co tutaj, zimno i ludzie oziębli.

Szalona historia, ale facet opowiadał ją pewnie i brzmiała dobrze.

— Dlaczego pan tutaj wrócił?

— Coś strzeliło mi do głowy. Pomyślałem sobie, że może odwiedzę paru dawnych znajomych.

— A jak się nazywają?

— A cóż to za różnica? Prawdopodobnie nie potrafię ich odszukać po tylu latach w książce telefonicznej, więc będę musiał chodzić i rozpytywać, żeby ich odnaleźć.

Tym razem odpowiedź nie brzmiała tak dobrze.

— Kiedy pan tu przyjechał?

— Pociągiem z Pittsburga, wczoraj późnym popołudniem. Wpadłem do jednego z barów przy stacji, opróżniłem parę kieliszków, wdałem się w pogawędkę z jakimiś dwoma facetami, popiliśmy i dalej pamiętam tyle, że gliny ciągnęły mnie po ulicy Markleya.

— Gdzie pana walizka?

— Czy miałem walizkę? Owszem, miałem. Chyba została w barze.

— Gdzie ten bar się mieści?

— Żebym ja to pamiętał.

Dziwne, ile to rzeczy pamiętał, a ilu utrzymuje, że nie pamięta.

— Cóż, nie mogę nic panu obiecać. Na razie mogę się tylko postarać o odroczenie rozprawy i wglądnąć w tę historię z ulicą Markleya. Co pan na to?

— A co mam do stracenia? — powiedział wzruszając ramionami.
Antoni opuścił celę, zgłosił u dyżurnego sierżanta swoje nazwisko jako obrońcy Gwynne'a, zgodził się z sierżantem i ze strażnikiem, że to dziwaczna sprawa. Kiedy weszła na wokandę, poprosił o odroczenie. Sędzia wyznaczył Gwynne'owi kaucję tysiąca dolarów do rozprawy, która miała się odbyć następnego dnia rano. Antoni wrócił do biura i zadzwonił do wydziału rozbudowy miasta. Odpowiedź na problem obu ulic była prosta. Istniała niegdyś ulica Markleya między Dziesiątą a Jedenastą. Ulica Bendixa w owym czasie urywała się przy Dziewiątej i zaczynała znów przy Dwunastej. W roku 1932 przebito i połączono ulicę Bendixa, która wchłonęła dawną Markleya, i domy otrzymały nową numerację. Antoni posłał swojego sekretarza w parę miejsc i do wieczora miał zebrane wszystkie niezbędne dowody.
Następnego ranka udał się do komisariatu trochę wcześniej i podzielił się z Gwynne'em dobrymi wiadomościami. Jakoś nie wpłynęło to na faceta pocieszająco. Był w chorobliwym nastroju. Utrzymywał, że w ciągu nocy gliny szeptały o nim po kątach i świeciły mu latarkami w twarz. Oczywiście nic, tylko halucynacje; zjawisko normalne u alkoholika, gdy organizm wypaca resztki alkoholu.
Antoni udał się na salę sądową i czekał na wywołanie swojej sprawy. Wszedł sędzia i zaczął się rozprawiać z normalną porcją zatrzymanych w nocy pijaków. Zrobił się szmer u wejścia do sali i ukazał się Ludwik Donetti wraz z grupą osób. Ludwik zauważył Antoniego i podszedł doń.
— Czołem, Antoś — powiedział. — Jak się miewa nędzny szeryf z Nottingham?
— Nudzi mnie już trochę ten dowcip — odparł Antoni.
— Nadepnąłem ci chyba na odcisk wtedy, jak dzwoniłem do ciebie, hę?
— Zapomnijmy o tym, dobrze?
— Przyglądasz się dzisiaj tylko, czy masz napiętą sprawę?

— Mam sprawę.
— Świetnie. Lubię cię oglądać przy robocie. No, zobaczymy się jeszcze. Mam do pogadania z facetem, który czeka na przesłuchanie.
Minęło dziesięć minut, wreszcie protokolant zawołał: „Chesley A. Gwynne".
Strażnik wprowadził Gwynne'a, Antoni przyłączył się do niego.
Policjant, który aresztował Gwynne'a, i jegomość, który mieszkał pod 1009 na ulicy Bendixa, występowali jako świadkowie. Protokolant odebrał od oskarżonego przysięgę, Gwynne przyznał się do zarzutu pijaństwa, nie przyznał się natomiast do zarzutu zakłócania spokoju i włamania. Z kolei wystąpił Antoni i zwrócił się do oskarżonego:
— Panie Gwynne, co doprowadziło do tego, że znalazł się pan na ulicy Bendixa?
— Chodzi panu o to, że byłem zawiany?
— Właśnie. Proszę opowiedzieć przed sądem.
— Więc, Wysoki Sądzie, przyjechałem owego popołudnia z Pittsburga, wpadłem do jednego z barów przy dworcu i pociągnąłem sobie chyba trochę za wiele. W każdym razie nie bardzo wiedziałem, co się potem ze mną działo.
— Mieszka pan w Filadelfii? — zapytał Antoni.
— Nie, w Los Angeles. Ale mieszkałem tutaj przed dwudziestoma laty.
— Jaki był pański adres w owym czasie?
— Markleya 1015.
Dziwne, jak on się denerwował. Coraz gorzej z każdą minutą.
— A kiedy już wypił pan sobie przy barze, czy nasunęły się panu jakieś myśli o dawnym domu?
— Owszem. Chciałem tam wrócić. Ale zapomniałem, że już dawno tam nie mieszkam, i myślałem zwyczajnie, że wracam do siebie. Przyszedłem tam, szukałem kluczy, myślałem, że mi się gdzieś zapodziały, i usiłowałem wejść przez boczne okno. Ów pan usłyszał, jak się dobijam, i wezwał policję.

— Powiedział pan właścicielowi, że pan tu mieszka, i wymienił pan adres?
— Tak, ale ów pan, tenże właśnie, odparł, że nigdy o mnie nie słyszał i nikt nic nie wiedział o Markleya 1015. Powiadali, że to jest Bendixa 1009.
— Ale w gruncie rzeczy było to naprawdę pana dawne mieszkanie?
— Święta racja.
— Wysoki Sądzie—powiedział Antoni obracając się do stołu sędziowskiego. — Przedstawiam jako dowody następujące dwa dokumenty. Pierwszy to oświadczenie złożone pod przysięgą przez głównego sekretarza Departamentu Robót Publicznych, który stwierdza, że do roku 1932 istniała ulica Markleya, włączona tegoż roku do ulicy Bendixa, którą wówczas przebito. Domy otrzymały wtedy nową numerację i dawna Markleya 1015 stała się Bendixa 1009. Drugi dokument to poświadczona notarialnie fotokopia stronicy z filadelfijskiej książki telefonicznej, wskazująca, że niejaka pani J. A. Gwynne posiadała w roku 1930 zarejestrowany pod swoim nazwiskiem telefon przy ulicy Markleya 1015. Zechce pan teraz, panie Gwynne, powiedzieć sądowi, co pana łączyło z panią J. A. Gwynne?
— Była moją ciotką, Wysoki Sądzie.
— I mieszkał tam pan razem z nią? — zapytał Antoni.
— Tak jest.
— Wysoki Sądzie — powiedział Antoni. — Pan Gwynne przyznaje się do zarzutu pijaństwa, ale odsiedział już w areszcie półtora dnia, co można uznać za wystarczającą karę, jeśli sąd nie ma nic przeciwko temu. Zakłócenie porządku publicznego złożyć trzeba na karb przykrego zdumienia, któremu uległ pan Gwynne sądząc, że odmawia mu się prawa wstępu do jego własnego domu. Co do włamania, powinna istnieć intencja popełnienia takiego czynu. A skądże może istnieć, skoro człowiek wierzy szczerze, że po prostu usiłuje się dostać do

własnego domu? Żywię nadzieję, że obecny lokator domu, w którym niegdyś pan Gwynne mieszkał, nie będzie w tych okolicznościach podtrzymywał oskarżenia.
Sędzia wezwał lokatora i zapytał go, czy chce trwać przy swojej skardze. Ów odparł, że nie uważa, aby to było konieczne. Sędzia spojrzał na komendanta komisariatu, ten wzruszył ramionami.
— Uniewinniam — orzekł sędzia.
Antoni wyprowadził Gwynne'a z ławy oskarżonych.
— Zabierz pan swoje manatki od dyżurnego sierżanta — powiedział. — Potem pomyślimy o tym, jakby pana wyprawić do Los Angeles albo gdziekolwiek pan zechce.
Gwynne wciąż jeszcze dygotał.
— To było fantastyczne, panie Lawrence — rzekł. — O, pewno, że chcę się stąd wyrwać.
Tuż obok odezwał się Ludwik matowym głosem:
— To prawdziwa przyjemność, Antoś, patrzyć, jak ty pracujesz. Śliczna, schludna robota. Czyście powiedzieli, że naprawdę chcecie się stąd wyrwać, Gwynne?
— Co to za jeden? — spytał Gwynne.
— Kolega — odparł Antoni. — Podprokurator rejonowy.
— Och — wyszeptał Gwynne. Ledwie się go słyszało.
— Tak prędko pan stąd nie wyjdzie — powiedział Ludwik. Zerknął na Antoniego spod ciężkich, nawisłych powiek. — Mam tu nakaz aresztowania Chesleya A. Gwynne'a, alias Howarda Jonesa, obwinionego o zamordowanie przedostatniej nocy Jana C. M. Stearnesa.
— Boże mój... — szepnął Gwynne.
W sali sądowej zrobiło się przeraźliwie cicho. Wokół nich skupiła się grupka policjantów, detektywów i reporterów. Ludwik Donetti nie patrzył na Gwynne'a. Obserwował Antoniego i uśmiechał się.

— Dobra, Robin Hoodzie — powiedział łagodnym tonem. — Czy mamy zejść ci z drogi i dać ci możność wycofania się z opresji? Bo zaczyna robić się gorąco.
Antoni poruszył ustami tak, aby Ludwik odczytał bezgłośne: „sukinsynu".
— Ile czasu przetrzymywałeś nakaz aresztowania? — spytał.
— Niedługo, Antoś, od ubiegłej nocy. Jak wiesz, podejrzanego o morderstwo na ostatku dopiero szuka się w więzieniu. A my szukaliśmy Howarda Jonesa.
— Musiałeś od razu dowiedzieć się, że jestem jego obrońcą. Mogłeś dać mi znać w nocy albo dziś rano.
— Widzisz, Antoś, oszczędziło nam to trochę kłopotu, że facet zeznał pod przysięgą, iż nazywa się Chesley A. Gwynne. A to z tego względu, że Chesley A. Gwynne jest bliskim krewnym denata. Mogliśmy dowieść jego tożsamości, ale — jak powiadam — oszczędziliśmy sobie kłopotu.
Antoni nachylił się do niego tak, aby nikt inny nie słyszał, i powiedział cicho:
— Łżesz jak cholera. Chciałeś mnie wrobić w paskudną sytuację.
— Paskudną tylko dla mydłka, bracie. Pamiętasz, mówiłem ci, że jeśli dalej będziesz się wygłupiał, któregoś dnia każę ci udowodnić, czy z ciebie mydłek, bracie, czy nie?
Antoni rzucił okiem na boki. Reporterzy nie mogli dosłyszeć tej cichej rozmowy, stali za daleko, ale i tak mieli dość materiału do sensacji. Antoni zastanawiał się nad faktem, o którym Ludwik wspomniał mimochodem: Chesley A. Gwynne był siostrzeńcem zamordowanego. A więc kuzynem Gracji Shippen, spokrewnionej ze Stearnesem; ponadto łączyły go zapewne więzy krwi z kilkoma spośród najznamienitszych rodzin Filadelfii. To nie będzie zwykła kryminalna sprawa. Nawarzy ona kłopotów najznakomitszym obywatelom miasta.
Przełknął z trudem, jakby połykał nie ślinę, ale szorstki kamień.

— Co ty wyprawiasz? — powiedział. — Starasz się zapewnić sobie łatwą wygraną? Napuścić na tę sprawę faceta, który nigdy nie brał udziału w procesach karnych?

— Pamiętam te lipne procesy, które urządzaliśmy w Instytucie Prawa — odparł Ludwik. — Nie dawałeś sobie wtedy dmuchać w kaszę. No, ale przyznaję, że facet może się zmienić z czasem, oklapnąć.

— Będę musiał się nad tym zastanowić. Ludwik gwałtownie odwrócił się do niego plecami.

— Dobra, chłopaki — powiedział. — Bierzcie Gwynne'a i odprowadźcie do ciupy.

Piskliwy, przerażony głos rozdarł powietrze.

— Panie Lawrence! — krzyczał Gwynne. — Niech pan mnie nie zostawia! Winien pan mi pomóc! Znam to miasto. Nikt inny mi nie pomoże. Zaszczują mnie, panie Lawrence, a Bóg mi świadkiem, nie zrobiłem tego!

Antoni podszedł do Gwynne'a wijącego się w uścisku dwóch detektywów.

— Słuchaj pan — powiedział. — Słuchaj dobrze. Nie przyznawaj się do niczego. Nie odpowiadaj na żadne pytania. Nic nie podpisuj. Będą starali się pana nakłonić, ale nie mają do tego żadnego prawa. Rozumiesz pan?

— Owszem, owszem, rozumiem — wydyszał Gwynne. — Więc pan mi pomoże? Będzie pan mnie bronił?

— Chcę, żeby zdał pan sobie jasno sprawę z jednej rzeczy. Jestem cywilistą, specem od kwestii podatkowych. Nigdy jeszcze nie broniłem w procesie karnym.

— Ależ ja nikogo lepszego nie znajdę, panie Lawrence! Weźmie mnie pan w obronę?

— Tak. Wezmę.

— Zabierzcie go — powiedział Ludwik.

Detektywi szarpnęli Gwynne'a i ruszyli przez tłum do wyjścia. Ludwik uśmiechnął się.

— Mój ty bohaterze — powiedział.
— Kiedy dasz go na przesłuchanie? — zapytał Antoni.
— Dobrze wypadniesz w opinii reporterów, pochwalą cię w gazetach — powiedział Ludwik. — Ale to dopiero początek. Tania sensacja, która szybko wygaśnie.
— Domagam się, żebyś dał go na przesłuchanie jutro rano.
— Nie denerwuj się, Antoś. I tak sprawa szybko da ci się we znaki.
— Jutro rano, albo siadam zaraz do pisania „habeas corpus".
— Masz, ja tu chcę być towarzyski, a ty nic tylko zimno i urzędowo. Mogę go trochę potrzymać, z trzy, cztery dni, przenosząc go z komisariatu do komisariatu.
— Nie w smak ci pójdą wypowiedzi, których udzielę prasie.
— Zawsze mnie ciekawiło — powiedział Ludwik serdecznym tonem —jak by wyglądała walka z tobą na ostro. Muszę przyznać, nieźle się spisujesz na początek. Ale pamiętaj, do trzech razy sztuka. Dam Gwynne'a na przesłuchanie jutro rano.
— Dzięki.
— Może do jutra ubędzie ci animuszu. Nie kupiłeś sobie, braciszku, grzecznego kota w worku. Tylko grzechotnika w dziurawym koszyku. Do zobaczenia, bohaterze.

13

Antoni wymknął się reporterom, odmawiając wszelkich wypowiedzi, pospieszył do biura i natychmiast zobaczył się z Loganem Claytonem. Opowiedział mu dokładnie, co zaszło. Claytonowi należało się pełne zaufanie: może zachowywał się jak stara baba, gdy drżał stale, że coś złego wyniknie, ale jeśli rzeczywiście wynikło, odzyskiwał męską siłę. Nie powiedział: „A ostrzegałem cię", „A mówiłem ci". Tylko słuchał Antoniego w skupieniu jak bokser przed walką w rogu ringu. Wreszcie odezwał się:

— Cóż, Antoś, padłeś ofiarą bardzo sprytnego podstępu.
— Na nieszczęście nie takiego — odparł Antoni — który nadawałby się do sądu.
— Nie mam złudzeń, że gazety zrobią z ciebie postać romantyczną i malowniczą. W tej sytuacji niezręcznie jest się wycofać. Ale możesz się jeszcze wyrwać na tej podstawie, że brak ci doświadczenia w sprawach karnych. Przeciętny czytelnik przyjmie to jako rzecz naturalną i uczciwą.
— Nie przejmuję się, co powie opinia publiczna — rzekł Antoni. — Martwię się, co sam o sobie pomyślę, jeśli się wycofam.
— Tak, zdaję sobie sprawę, że twój honor jest wystawiony na próbę.
— Martwię się też, co pan o mnie pomyśli. Nie powie pan zapewne ni słowa, ale czuję, że stracę coś w pańskich oczach.
— Nie przemyślałem jeszcze tego dokładnie. Moje zdanie może zależeć od jednej tylko rzeczy: czy dla oskarżonego będzie to z pożytkiem, czy ze szkodą, jeśli się wycofasz? W tej chwili skłonny jestem sądzić, że przyniesie mu to szkodę.
— Uważa pan, że mogę bronić Gwynne'a równie dobrze, jak wszyscy inni? Mimo braku doświadczenia?
— Może to głupio z mojej strony, że w tym wypadku biorę się do ferowania opinii — powiedział Clayton. — Ale obserwowałem cię, jak pracujesz. Niektórzy prawnicy znają się tylko na prawie, a między prawem cywilnym i karnym istnieją wielkie różnice. Inni zaś znają się na ludziach, a ludzie są ci sami, czy sprawa cywilna, czy karna. Ty pracujesz w oparciu o znajomość ludzi. Na mój węch, jeśli oddasz się temu całym sercem, nikt nie potrafi lepiej bronić Gwynne'a od ciebie.
— Nie wspomniał pan o tym, jak to się odbije na firmie.
— Może to być cholernie przykre. Ale dopóki będziesz postępował słusznie, cokolwiek by z tego wyszło, firma będzie cię popierać.
— Dziękuję z całego serca, sir. Pan Clayton westchnął.

— Gdybym wiedział, że inni udzielą ci takiego samego poparcia. Ale boję się, że znalazłeś się w krytycznym położeniu. Nacisk, jaki się zacznie, może być kolosalny. Przygotuj się na to.

Antoni wrócił do swojego gabinetu i poprosił sekretarza, żeby mu dostarczał, w miarę napływania, wszystkie ukazujące się gazety. Nie wiedział prawie nic o Gwynie, a prasa przyniosła mu sporo cennych informacji. Gwynne miał czterdzieści dwa lata. Był siostrzeńcem zabitego, Jana C. M. Stearnesa, a kuzynem Gracji Shippen, był spokrewniony z wieloma osobistościami. I był niewątpliwie czarną owcą, które od czasu do czasu pojawiały się w wyższych sferach Filadelfii. Usuwano go z kilku różnych szkół, wyrzucono z uczelni. Jego kariera przestępcza zaczęła się, kiedy miał lat szesnaście, od aresztowań za przekraczanie dozwolonej szybkości na jezdni. Zanim dobił dwudziestki, zamykano go kilka razy za pijaństwo, zakłócanie porządku publicznego i za burdy najrozmaitszego rodzaju. W tym czasie gazety trzymały już w pogotowiu stereotypowy nagłówek: „Chet Gwynne, enfant terrible filadelfijskiej socjety, został ponownie aresztowany za..."

W roku 1930 ukazała się o wiele poważniejsza wiadomość. Z domu pani J. A. Gwynne przy Markleya 1015 zostały ukradzione drogocenne antyki. Chesleya A. Gwynne'a aresztowano w Nowym Jorku, kiedy usiłował odsprzedać je antykwariuszowi. Ciotka jego, pani Gwynne, nie wniosła roszczeń i sprawa została umorzona.

Od tego momentu zasłona okryła dalsze losy Chesleya A. Gwynne'a, jak gdyby filadelfijskie wyższe sfery cichaczem pozbyły się dwugłowego cielęcia. Uniosła się dopiero we wrześniu 1948 roku, kiedy Jan C. M. Stearnes został zabity wystrzałem z własnego rewolweru, w czasie gdy odwiedzał go Gwynne w jego rezydencji na Delanceya. Gazety nie posiadały jeszcze żadnych nowych faktów w związku z domniemanym morderstwem. Wyszperały jednak, że Gwynne przebywał w Filadelfii przynajmniej od miesiąca i zatrzymał się w domu

noclegowym przy Jodłowej pod nazwiskiem Howarda Jonesa. A w czerwcu, w Los Angeles, aresztowano go pod zarzutem pobicia i znęcania się nad własną kochanką. Ta sprawa jeszcze się wlokła w sądzie.

Prasa wyrażała się z dużym uznaniem o Antonim J. Lawrence. Robin Hood wyruszył z łukiem i kołczanem, aby bronić maluczkich, a tu okazało się, że maluczcy posługują się bez pudła bronią palną. Robin Hood mimo wszystko szykował się do boju, zdecydowany dopilnować, aby sprawiedliwości stało się zadość, jakkolwiek nieco odosobniony w świecie, który używa prochu.

Późnym popołudniem rozpoczęło się stosowanie na nim psychicznego terroru. Odezwał się telefon, dzwoniła Gracja Shippen.

— Och, Antoś, biedaku kochany — mówiła. — Cóż oni tobie zrobili?

— Jeszcze nic — odparł, ciekaw, czy Gracja zrozumie, co miał na myśli. Nie zrozumiała.

— Spełniałeś taką pożyteczną prace i co za wstyd, że coś takiego się stało. Wycofasz się oczywiście.

— Czyżby?

— Nie mówię, że zaraz w tej minucie. Ale jak tylko sprawa trochę ostygnie.

— Rozważę to z całą powagą.

— To mój kuzyn, czyż to nie okropne? Dowiedziałbyś się chyba prędzej czy później, że zainteresowane rodziny wypłacały mu od lat stałą kwotę pod warunkiem, że na zawsze zmieni nazwisko i nie pokaże się więcej w naszym mieście. Antoś, rodzina z łatwością wynajdzie mu dobrego adwokata.

— A ja to nie jestem dobry?

— Och, Antoś, nie upieraj się. Jesteś cudownym adwokatem. Dlatego też chcę cię uchronić od wszelkich nieprzyjemności. Będziesz rozsądny, prawda?

— Co dla ciebie jest rozsądne, nie musi być dla mnie takie samo.

— Wiem, że jesteś w tej chwili zmęczony i podenerwowany, kochanie, nie chcę ci wiercić dziury w brzuchu. Do widzenia, Antoś.
— Umówiliśmy się na dzisiaj, prawda?
— Uważam, że powinieneś odpocząć, mój kochany. Darujmy sobie ten wieczór.
— Niech będzie, Gracjo. Do zobaczenia.
Odłożył słuchawkę nieco oszołomiony. Nie wyobrażał sobie, że nacisk będzie tak silny albo że przybierze taką formę. Nie powiedziawszy tego wprost, Gracja dała mu do zrozumienia, że jeśli chce się z nią nadal spotykać, lepiej niech poniecha tej sprawy.
W pół godziny później zadzwonił następny telefon. Tym razem od pani J. Artur Allen.
— Witaj, Antoni — powiedziała. — Wiesz, że nie należę do tych, co owijają rzeczy w bawełnę. Mam nadzieję, że uda ci się rzucić to gorące żelazo, które wpadło ci w ręce.
— Żebym to ja mógł, proszę pani, ale i tak uważam, że robię słusznie.
— Ten osobnik, Gwynne, nie jest żadnym moim krewnym. Nic mi na nim nie zależy. Nie przejmuję się też całą jego rodzinką. Martwię się tylko o Grację.
— Z Gracją ucięliśmy sobie rozmówkę i niedaleko zaszliśmy.
— Antoni, jesteś jednym z najmilszych młodych ludzi, jakich znam. Zawsze będę po twojej stronie. Ale Gracja jest mi bardzo bliska. Pomyśl nad tym, dobrze?
Tego popołudnia nie było już więcej telefonów. Ale wieczorem w klubie prezes poważnego banku przystanął, aby zamienić z Antonim parę słów. Antoni liczył, że któregoś dnia ów bank zaprosi go do zarządu. Prezes gawędził z nim parę minut o tym i o owym, nadmieniając mimochodem, że sędziwy Bill Brikenhoff odejdzie chyba na przyszły rok z zarządu, żeby zająć się poważnie rybołówstwem, szczęśliwy chłopak, a na koniec zrobił przypadkową uwagę, że przykro patrzeć, jak ci reporterzy podnoszą wrzawę wokół każdej sprawy, jak na przykład dzisiaj na

temat Antoniego. Po czym uśmiechnął się sympatycznie i odszedł. Mogło stąd coś wynikać albo nie wynikać, zależnie od tego, jak się człowiek czuł.
Kiedy zsumować telefony od Gracji i pani Allen oraz rozmowę z bankierem, wygląda na to, że grozi mu utrata dziewczyny, poważnej klientki, szans na wejście do zarządu potężnego banku — jeśli się uprze bronić Gwynne'a. A powiadali, że w Filadelfii wszystko odbywa się powoli. Akurat, przecież w mgnieniu oka... Lata całe pracował, żeby osiągnąć ten stopień kariery. A oni mogli mu ją rozbić w pięć minut i postarali się jeszcze o to, żeby mu to dobrze uświadomić.
Wrócił do swojego mieszkania obok placu Rittena, gdzie czekała nań już matka z plikiem gazet. Przekazał jej wszystkie wiadomości, których nie było w prasie.
— Co sądzisz? — spytał wreszcie. — Idiota ze mnie? Uśmiechnęła się doń i potrząsnęła głową. „Jaki ma cudny uśmiech", pomyślał. Na ogół człowiek nie dostrzega takich rzeczy u rodziców. Uśmiech, ładne piwne oczy, łagodny głos — stykał się z nimi na co dzień, więc nie doceniał ich. Pamiętał, że niegdyś miała kasztanowe włosy. Musiała być całkiem piękną dziewczyną.
— Czy powinienem podjąć się obrony? — rzekł.
— Nie mogę ci radzić, Antoś — powiedziała. — Mogę tylko coś ci powiedzieć, choć wcale nie myślę prawić ci morałów. Dawno, dawno temu, kiedy wybierałam się, aby spędzić lato z panią DeWitt Lawrence, twoja prababka powiedziała mi coś, czego nigdy nie zapomnę. Dbaj o swój honor, żeby był czysty jak ogień — mówiła — a ludzie tym bardziej będą cię za to szanować.
— I posłuchałaś?
— Myślę, że tak. Może wielu ludzi powie, że byłam głupia. Może i ty to powiesz. Gdybym się nie sprzeciwiła pani DeWitt Lawrence, mógłbyś odziedziczyć miliony. Ale mógłbyś też za nie zapłacić bardzo wysoką cenę.
— Rzadko wspominałaś mojego ojca. Przypuszczam, że był nieudany.

— Nie wolno ci tak myśleć, Antoś. Był to silny, dobry człowiek. Na pewno, hm... przypadlibyście sobie do gustu.
— Cieszę się, że mi to mówisz.
— Wspominałeś, Antoś, w związku z tą sprawą Gwynne'a o brudach i schowanych na strychu szkieletach. Nie znajdziesz takiej rodziny, która by nie miała kompromitujących sekretów. Gdybyś się dobrze przypatrzył, mógłbyś coś znaleźć i na naszym strychu. Nie potępiaj tak skwapliwie nikogo... Bo widzisz, ów szkielet, to niekoniecznie ofiara morderstwa, może tylko ślad zmarnowanej nadziei.
— Dzięki — powiedział wstając i całując ją. — Postaram się nie zmarnować nadziei.
Ludwik Donetti dotrzymał słowa i następnego dnia rano dostarczył Gwynne'a na przesłuchanie. Antoni poprosił z kolei o następne, żeby mieć możność zebrania materiału rzeczowego. Sędzia zatrzymał Gwynne'a bez kaucji do dalszego przesłuchania za dwa tygodnie. Antoni poprosił o widzenie się z klientem. Komendant dzielnicowego komisariatu porozumiał się w tej sprawie z Ludwikiem Donetti i dał znać Antoniemu, że może widzieć się z Gwynne'em dziś po południu.
Widzenie się z Gwynne'em sprawiło Antoniemu spory zawód. Facet wykręcał się. Albo nie odpowiadał na pytania, albo kłamał.
I ani trochę nie szedł mu na rękę. O ile Antoni miał fakty, posługiwał się nimi jak nożykiem do ostryg, żeby wyłuskać odpowiedź, ale odpowiedzi były całkiem mizerne, na przykład:
Co do młodzieńczych tarapatów w Filadelfii: „Chyba był ze mnie niesforny dzieciak. Gazety jak zwykle musiały zrobić z igły widły. Nie chcę do tych historii wracać".

Co do wyjazdu z miasta na stałe: „Rodzina wykombinowała sobie, że będzie mi lepiej gdzie indziej, że zacznę nowe życie. Siedziałem na Zachodnim Wybrzeżu od 1930 roku".
Co do zapomogi otrzymywanej od krewnych: „Powiedzieli panu o tym, co? Przez pewien czas dostawałem sto dolarów miesięcznie. W ostatnich ośmiu latach po dwieście. Owszem, zażądali, żebym zmienił nazwisko. Stąd ten Howard Jones. Tak adresowali wszystkie przekazy".
Co do powrotu do Filadelfii: „Przyjechałem w odwiedziny, nic więcej. Wolno chyba człowiekowi popatrzeć na swoje rodzinne miasto, no nie?"
Co do wizyty u Jana C. M. Stearnesa w ów wieczór: „To od niego dostawałem przekazy. Przekaz na wrzesień przesłano mi tutaj z Los Angeles. Ale nie mogłem go zrealizować bez stwierdzenia tożsamości, a jakże, u diabła, miałem to tutaj zrobić występując jako Howard Jones? Chciałem, żeby stary podjął za mnie pieniądze albo przynajmniej wyjaśnił rzecz w banku".
Co do wypadków poprzedzających strzał: „Nie mam zielonego pojęcia, co zaszło. Byłem zawiany. Pamiętam tylko, że rozmawiałem ze starym w gabinecie. A potem nie pamiętam nic aż do chwili, kiedy mnie capnęli na Markleya. Po co miałbym strzelać do starego i tracić zapomogę?"
To wszystko, co Antoni od niego wyciągnął. Nie otrzymał absolutnie żadnych podstaw do obrony przed sądem. Niejeden adwokat pomyślałby sobie, że ma prawo zerwać z tak opornym klientem. Ale jednak nie da się schować pod korcem zasadniczej kwestii spornej: czy istniała uzasadniona wątpliwość, że Gwynne nie jest winien morderstwa? Jak dotąd, Antoni żywił taką wątpliwość. Jakże więc rzucić klienta, samemu wątpiąc w jego winę?
Któregoś ranka, w tydzień po wstępnym przesłuchaniu, przyszedł do gabinetu Logan Clayton i zapytał, czy Antoni gotów byłby się z kimś spotkać tegoż popołudnia. Dzwonił mianowicie dr Shippen Stearnes. Chciał się wybrać ze swoją

wnuczką-bratanicą, Gracją Shippen, żeby przedyskutować rzecz całą z Antonim i Claytonem.

— Chyba wiesz, że ten stary przewodzi obu klanom: Shippenów i Stearnesów — powiedział Logan Clayton. — Będziemy musieli ich przyjąć, ale lepiej przygotuj się na jakiś niezwykły szantaż. Doktor Stearnes to ujmujący starszy jegomość i nie tak łatwo będzie mu odmówić. A co do Gracji Shippen, cóż, sam ją znasz.

— To nieprzyzwoite z ich strony, że zaczynają już wywierać nacisk na pana i na firmę, tak samo jak na mnie — powiedział Antoni.

— Zaczynają? Mój chłopcze, pojęcia nie masz, co z nami wyrabiali od dziesięciu dni.

— Lepiej będzie, jeśli podam się do dymisji. Logan Clayton zrobił marsową twarz.

— Zostanie z miejsca odrzucona — powiedział. Spotkanie zaczęło się bardzo spokojnie i przyjemnie, jak zwykle, gdy doktor Stearnes grał pierwsze skrzypce. Był to wspaniały starzec po osiemdziesiątce. Wart był grube miliony; życie swoje poświęcił badaniom nad wpływem dziedziczności i otoczenia na najrozmaitsze stworzenia boże. Praca jego przyniosła mu najwyższe odznaczenie Amerykańskiego Towarzystwa Rozwoju Nauk Ścisłych. Mimo swych lat trzymał się prosto i rześko, a umysł jego pracował ze ścisłością godną doświadczonego naukowca.

— Drodzy przyjaciele — powiedział uśmiechając się do nich — wszyscy przejęliśmy się tą straszną rzeczą, jaka się stała, i konsekwencjami, jakie przyjdzie zapłacić. Czy pozwolą panowie, abyśmy się nad nimi zastanowili wspólnie?

— Z przyjemnością — rzekł Logan Clayton. — Niech mi jednak wolno będzie, sir, wyjaśnić jedną rzecz na początek. Jeśli mamy nadal podlegać presji, to spotkanie będzie bezowocne. Okoliczności sprawiły że pan Lawrence znalazł się w bardzo nieszczęśliwej sytuacji. Robił to, co uczciwy człowiek powinien. Nasza firma nie odwróci się do niego plecami.

— Chciałbym podkreślić — powiedział łagodnie doktor Stearnes — że nacisk, jakiemu panowie podlegali, nie nastąpił w wyniku jakiejś zmowy. Ludzie działali na własną rękę, w najlepszej wierze, że chronią nasze wspólne interesy. Domyślam się, mój drogi młody panie, że był pan tym bardzo podenerwowany.
— Zdawało mi się, że wszystko, nad czym pracowałem, zostanie zaprzepaszczone za jednym zamachem.
— Więc może to pana ucieszy — powiedział doktor Stearnes promieniejąc jak święty Mikołaj w sierocińcu. — Mieliśmy formalną naradę zainteresowanych rodzin. Stawiam się tutaj, aby panu powiedzieć, że zgadzamy się całkowicie z tym faktem, iż pan występuje w charakterze obrońcy Cheta Gwynne'a.
Powiódł okiem dokoła, jakby spodziewał się ujrzeć krąg szczęśliwych, rozpromienionych twarzy. Antoni nie mógł widzieć własnego oblicza, ale widział, że Gracja niemal pożera go wzrokiem. Logan Clayton wsparł brodę na piersi, spozierając spode łba na doktora Stearnesa jak niedźwiedź obudzony ze snu.
— Zdumiewające — powiedział bezbarwnym głosem.
— Widzę, że rzecz wymaga bliższych wyjaśnień — powiedział doktor Stearnes szykując się do odwinięcia prezentu, aby mogli zobaczyć, jaki jest naprawdę śliczny. — Zacznijmy od tego, że nasze rodziny nie zamierzają hołdować zasadzie oko za oko, ząb za ząb, broń Boże. Nie da się temu zaprzeczyć, że Chet Gwynne to nasza krew. Najlepsze, co możemy zrobić, to stanąć na uboczu i niechaj dzieje się sprawiedliwość.
— Może on powędrować na elektryczne krzesło — powiedział Clayton bez ogródek.
— Słusznie. I jako ten, co zawsze podtrzymywał zasadę wpływu dziedziczności na środowisko, będę musiał przyznać, że na nasze rodziny spadnie hańba.
— A jeśli — powiedział Antoni, uważnie modelując pytanie — przypadkiem zostanie uniewinniony?...

— Przyjmiemy to w tym samym duchu, mój drogi młody panie. Sądzę jednak, że mogę panu obiecać, iż w tym wypadku nie odwrócimy się do Cheta plecami tak bezwzględnie, jak przed osiemnastoma laty. Przyjmiemy na siebie większą za niego odpowiedzialność. Jako alkoholik i człowiek o wątłym na ogół pionie moralnym nie powinien być puszczony w świat samopas. Maleńka miejscowość na prowincji będzie chyba dla niego najlepsza.

— Jakieś sanatorium?

— Niezupełnie, proszę pana. Odludne ustronie, gdzie będzie mógł sobie popróżniaczyć i nawet zaglądnąć do kieliszka. Pod dobrym nadzorem, oczywiście.

Antoni wzdrygnął się lekko. Brzmiało to jak katorga, tylko że z ładną srebrną zastawą.

— Cieszę się bardzo, że doszliście państwo do owego wniosku — powiedział. — Każdy ma prawo do obrony w sądzie. Jeśli ja bym się tego nie podjął, zrobiłby to kto inny.

— Otóż to. I bynajmniej nie jesteśmy nieświadomi tego, że drugi adwokat podszedłby do sprawy w wyraźnie odmiennym duchu niż pan. Jako że nie da się liczyć na poważny zarobek, inny adwokat prowadzący sprawę mógłby poszukać zapłaty w formie sensacji, nie oglądając się zbytnio na sprawiedliwość.

„To ciekawe", pomyślał Antoni. Zastanowiło go, czy doktor Stearnes odwoływał się do sprawiedliwości dla Gwynne'a, czy do sprawiedliwości dla familii, które reprezentował. Przypomniała mu się zmora, która dręczyła go niedawno. Czy familia miała jakieś brudy, których nie chciała prać publicznie? Czy się bali, że uda mu się przetrząsnąć szuflady i wykryć rzecz całą? Warto wybadać tę sprawę bardzo delikatnie.

— Tak — powiedział — potrafię dostrzec, co by groziło, gdyby inni adwokaci zajęli się sprawą. Zawsze można poprzekręcać fakty i dobre zamiary przedstawić w złym świetle.

Doktor Stearnes spojrzał na niego z uznaniem.
— Właśnie. Jesteśmy spokojni, że pan uczciwie potraktuje fakty. A propos, co to za człowiek ten podprokurator rejonowy, który będzie prowadził oskarżenie?
— Ludwik Donetti? O, Ludwik nie będzie się patyczkował.
— Badał tło sprawy bardzo dokładnie. W gruncie rzeczy bardziej, niż to wydaje się konieczne.
„Ach, więc o to chodzi", pomyślał Antoni. Ludwik i jego chłopcy musieli myszkować i zadawać cięte pytania. Familia się zaniepokoiła.
— Czy Donetti — spytał — badał bezpośrednie, czy też odległe tło sprawy?
— Jedno i drugie. A ostatecznie młodzieńcze występki Cheta nie mają nic wspólnego z dniem dzisiejszym. Niektórych z nas głęboko wzburzyło to wścibstwo. Donetti widocznie dostrzega w tej sprawie okazję do zrobienia kapitału politycznego.
— Czy orientuje się pan, czego się dowiedział?
— Od nas? — zdumiał się doktor Stearnes. — Mój drogi młody panie, nikt z nas nie jest wplątany w tę sprawę ani nie chce do niej się wtrącać. Od nas niczego się nie dowiedział. Nie mamy żadnych tajemnic. Ale sądząc po pytaniach, podejrzewam, że chciałby oddać pod sąd wraz z Chetem Gwynne'em filadelfijski styl życia.
— Sam nie może tego zrobić — powiedział Antoni. — Tylko obrona mogłaby mu dostarczyć do tego powodu.
Doktor Stearnes parę chwil wpatrywał się w niego bacznie, jowialna maska świętego Mikołaja zsunęła mu się z twarzy i wyjrzał zimny naukowiec. Oczy miał tak zimne i bezosobowe, jak gdyby przystępował do wiwisekcji w laboratorium.
— Dlatego też — powiedział wreszcie — chcielibyśmy, aby Cheta bronił adwokat, który będzie doszukiwał się sprawiedliwości raczej niż sensacji.
Trafiała się chyba okazja, żeby przetrząsnąć te sekretne szuflady.

— Młody Chet — zaczął Antoni — stanowił niewątpliwie poważny problem. Z jakich przyczyn tak często zmieniał szkoły?

— Nie uczył się. Dokazywał. Nic poważnego. Jego ciotka, a moja siostrzenica, była uroczą osobą, ale nie potrafiła sobie z nim dać rady. Nie żyje już, oczywiście. De mortuis nihil nisi bene, jeślim nie zapomniał łaciny. Nie będę jej krytykował, ale uwielbiała go i rozpaskudziła chłopaka.

— A kiedy wyrzucono go z uczelni?

— Nawarzył kłopotu dziewczynie. Niebrzydkiej nawet, ale mało wartej. I naturalnie była jeszcze chciwa teściowa na widowni. Dziewczynę przyłapano w jego pokoju i został za to wyrzucony. Chet chciał się z nią żenić, ale byłaby to tragiczna i niestosowna rzecz. Spłaciliśmy dziewczynę i jej matkę.

— Czy Chet zajął się potem jakąś pracą?

— Niech się zastanowię... Tak, kochany biedny Janek, wie pan, Jan C. M. Stearnes dał Chetowi zajęcie w swoim banku inwestycyjnym. Nic z tego nie wyszło. Chet zaczął za dużo pić. Hazardował się też mocno. Kiedy z banku przepadły pieniądze, kilka tysięcy dolarów czy coś, poszlaki wskazywały na Cheta. Więc wysłaliśmy go na wieś, żeby zajął się farmą mleczną, która — o ile się nie mylę — należała do twojego ojca, Gracjo. Liczyliśmy, że to poskutkuje. Ale gdzieżby on tam został. Nudziło mu się, rozumie pan. Wrócił do swojej ciotki na Markleya, chociaż ostrzegaliśmy go, że pożałuje, jeśli nas nie posłucha. Cóż, wie pan, jak się odpłacił swojej ciotce, bo gazety wygrzebały z lamusa tę historię o skradzionych antykach. Załamało ją to zupełnie. W tym momencie stało się konieczne ująć młodzieńca w karby. Kochany biedny Janek zorganizował dla niego miesięczną zapomogę i powiedział mu, żeby się wynosił i nie pokazywał nam więcej na oczy. Zapomoga się skończy, jeśli wróci do Filadelfii.

— Co do jego rodziców — powiedział Antoni. — Wnioskuję, że umarli młodo. Czy zostawili mu jakieś pieniądze?

— Niezupełnie. Chwileczkę... Jeden z jego dziadków tak, to będzie Edward, żył jeszcze i w jego posiadaniu znajdowała się większość majątku. Ojciec Cheta zmarł raczej młodo, nie zdążył wiele zarobić ani odziedziczyć, zostawił żonie skromną posiadłość. Kiedy ona zmarła, część majątku poszła na wychowanie i wykształcenie Cheta, ale i to się skończyło, zanim Chet doszedł do pełnoletności. Reszta przeszła na rzecz jego ciotki, która była bratową matki. Zamiar był ten, aby z czasem Chet to dostał, ale kiedy wyrósł na takie ziółko, stało się jasne, że pieniądze się tylko zmarnują, i ciotka cofnęła mu zapis w testamencie.

— Bardzo panu dziękuję — powiedział Antoni. — To wyjaśnia wszystko.

— Jakże się cieszę — rzekł doktor Stearnes. — I jestem zachwycony, że udało nam się załagodzić chwilową przykrość. Może pan za to podziękować mojej siostrzenicy. Stawała w pańskiej obronie jak lwica. Cóż, moi drodzy, tu się kończy moja misja.

— Antoś — powiedziała Gracja — czy mogłabym przed wyjściem porozmawiać z tobą chwileczkę na osobności?

Antoni zaprowadził Grację przez korytarz do swojego gabinetu. Kiedy tylko weszli, zamknęła drzwi i przytuliła się do niego.

— Antoś — powiedziała słabiutkim głosem — niładnie z tobą postąpiłam.

— Nie przejmuj się.

— Ale kiedy nie mogę — wybąkała. Objęła go za szyję i przycisnęła się do niego swoim smukłym ciałem. Jej pocałunek nie był taki chłodny i antyseptyczny jak zwykle. — Przebaczasz mi, Antoś?

— Nie mam co ci przebaczać. Zachowałaś się w całkiem naturalny sposób.

Zadrżała lekko.

— Morderstwo to taka brzydka rzecz. Nie cierpię brzydkich rzeczy. Antoś, czułam się taka dumna, kiedy nasi zgodzili się, że mogą na tobie polegać.

— Polegać w jakim sensie?

— Jak to, tak jak mówił wuj Ship, że dopilnujesz, aby sprawiedliwości stało się zadość.
— Postaram się — powiedział Antoni uważając, żeby nie zakląć.
— Wiem, kochany...
Pocałowała go znów, obdarzyła promiennym uśmiechem i wyszła.
Po dwóch minutach wszedł Logan Clayton. Jego zwykle rumiana twarz wprost gorzała z oburzenia.
— Ledwo się powstrzymywałem — powiedział. — Szlag mnie mało nie trafił. To jest najbezczelniejsza propozycja, jaką jeden domniemany dżentelmen zrobił drugiemu w mojej obecności. Wiesz, o czym mówię, Antoś?
— Chyba tak, sir.
— Musiałem dać staremu kredyt, przyjąć, że to ja się mylę, ale na Boga ciężko mi to przyszło. Tak się przejął nauką o dziedziczności, że patrzy na ludzi jak na chromosomy. Nie zwariowałem chyba, co, Antoś? Podsunął propozycję tak subtelnie i delikatnie, że trudno się do czegoś przyczepić. Jakie odniosłeś wrażenie?
— Identyczne — powiedział Antoni. — Ratuj go bez skandalu, jeśli możesz. W przeciwnym razie pozwól mu iść spokojnie na krzesło elektryczne, jeśli łaska.
— Da się go wybronić bez skandalu?
— Nie wiem jeszcze.
— No a jeśli trzeba będzie skandal wywołać, mój panie?
— Doktor Stearnes powiedział sporo ciekawych rzeczy. Z jego punktu widzenia familia działała uczciwie i w najlepszych zamiarach. Mój klient mógł na to patrzeć fałszywym okiem.
— Czy to jest przypuszczalna linia obrony?
— Tak, sir.
— Posłużysz się nią, Antoś?

— W tej chwili nie mogę na to odpowiedzieć. Logan Clayton potrząsnął mu pięścią przed nosem.
— Pamiętaj sobie — powiedział. — Jeśli twój klient zostanie skazany, a ty nie wyczerpiesz wszystkich dopuszczalnych środków obrony, wówczas przyjmiemy rezygnację, którą zgłosiłeś dziś rano.
Odwrócił się i sztywnym krokiem wyszedł z pokoju.
Antoni pokręcił głową. O tak, istniał prawdziwy mężczyzna w firmie „Morris, Clayton, Biddle i Wharton". Nie był pewien, czy jest ich dwóch, czy tylko jeden.
14
Siedział w celi więziennej z Chetem Gwyone'em i przyglądał mm się. Czas spędzony bez alkoholu przyniósł zmiany w wyglądzie Gwynne'a, lecz niekoniecznie na lepsze. Teraz, kiedy nie miał już przekrwionych oczu, widać było, jakie są wyblakłe i słabowite. A gdy obrzęk ustąpił z twarzy, przybrała ona wygląd rozmiękłej, szarej tektury. Ręce już mu się nie trzęsły, ale poruszając się podrygiwał niczym marionetka.
— Jak nasze sprawy stoją, panie Lawrence? — zagadnął. — Wyciągnie mnie pan z tarapatów?
— Jak się da, Chet.
— Słuchaj pan, jeśli facetowi wszystko ulotniło się z pamięci i nic nie może sobie przypomnieć, to jak mu udowodnią, że zamierzał kogoś zabić, poszedł i zrobił to?
— Przez poszlaki. Chwilowy zanik pamięci nie stanowi okoliczności łagodzącej, chyba że będzie to niepoczytalność. Pomówmy o tej pamięciowej luce, Chet.
— Ani myślę! Byłem pijany i nic nie pamiętam. Gwynne stał teraz, ciałem jego targały nerwowe drgawki.
Z rozmysłem czy bez, człowiek ten wymazał fragment owego wieczoru z pamięci.
Antoni wzruszył ramionami.

— Cofnijmy się do pierwszych chwil wieczoru — powiedział. — Rozmawiał pan ze Stearnesem o kłopotach, w jakie pan popadł w Los Angeles. O tej kobiecie, co oskarżyła pana przed sądem, że ją pan pobił. Mówił pan Stearnesowi, że to będzie trochę kosztowało...

— Nie ciągnij mnie pan za język — warknął Gwynne. — Nigdy panu nic takiego nie mówiłem. Mówiłem tylko, że chciałem, aby za mnie podjął pieniądze albo wyjaśnił rzecz w banku. Skończ pan z tym lepiej, nie dam się nabrać.

— Pomylił mnie pan z prokuratorem, mój panie — powiedział Antoni. — Jeśli nie wybadam pewnych rzeczy, mogą mi wybuchnąć jak bomba na procesie, i nie będę wiedział, jak sobie z nimi poradzić. — Podniósł się wolno. — Ale oczywiście, jeśli nie chce pan mi przyjść z pomocą, to lepiej niech pan weźmie innego adwokata.

Gwynne rozpaczliwie schwycił go za ramię.

— Chwileczkę, chwileczkę, panie Lawrence. Niech się pan nie obraża. Po prostu odwykłem od tego, że ktoś jest po mojej stronie. Wciąż mi się wydaje, że i pan jest przeciwko mnie.

— Moje zadanie sprowadza się do tego, żeby bronić pana jak najlepiej. Jeśli powie mi pan coś, co pana obciąża, to nie mam obowiązku wyciągać tego na procesie. Ale muszę być przygotowany, jeśli prokurator z tym wyskoczy.

— Tak, rozumiem, o co panu chodzi. Ta historia o kobiecie, z którą żyłem, była w gazetach, prawda? Więc przypuszczam, że wyciągną to na procesie. Cóż, dobrze się pan domyślał. O tym właśnie rozmawiałem ze starym. Pięć tysięcy dolarów zatkałoby jej gębę. Z tych nędznych dwustu, które mi co miesiąc przysyłali, nigdy bym tego nie oszczędził.

— Do owego wieczoru siedział pan cały miesiąc w Filadelfii. Dlaczego pan tak długo czekał, zanim poprosił go o pieniądze?

Spojrzenie Gwynne'a pomykało po celi, jak gdyby szukając dobrej odpowiedzi.

— Czyżby miesiąc? Rzeczywiście, siedziałem cały miesiąc. Cóż, kosztowało mnie to parę tygodni, żeby się odważyć przyjść do niego, bo zawsze mówił, że zapomoga się skończy, jeśli się tu pokażę. Potem kazał mi czekać coś z tydzień, nim żeśmy się spotkali. Może dowiadywał się, jak sprawa stoi w Los Angeles. Gwynne znalazł odpowiedź, ale nie najlepszą. Antoni postanowił wrócić do tego pytania później, od innej strony.

— Niektórzy pańscy krewni opowiadali mi trochę o pańskiej przeszłości — rzekł od niechcenia.

Gwynne zdrętwiał.

— Kto?

— Doktor Shippen Stearnes chociażby.

— Ten sukinsyn...

— Chet, słyszałem już ich wersję, chciałbym usłyszeć twoją. : — Co panu powiedzieli?

— Nawarzyłeś kłopotu dziewczynie i wyrzucono cię z uczelni. Rodzina wyciągnęła cię z tarapatów spłacając dziewczynę. Jan C. M. Stearnes dał ci pracę. Piłeś, hazardowałeś się i podciągnąłeś kilka tysięcy dolarów. Odesłali cię na wieś, żebyś prowadził farmę mleczną, ale ty nie chciałeś. Wywiozłeś jakieś wartościowe antyki z domu swojej ciotki, usiłowałeś opylić je w Nowym Jorku i przyłapano cię. To ją zupełnie załamało. Z tego powodu cofnęła ci zapis w testamencie.

Kiedy to mówił, Chet Gwynne zaczął dygotać na całym ciele. Teraz oczy mu się paliły. Ręce stwardniały jak szpony, oddech syczał niby para pod ciśnieniem.

— Skurwysyny — powiedział. — Och, Bogu ducha winne skurwysyny. Nawarzyłem dziewczynie kłopotu, tak? Nie należała do ich sfery, więc to nie mogła być miłość ani nic takiego, tylko zwykłe wpędzenie dziewczyny w kłopot, a to, że chciałem się z nią ożenić, nie miało najmniejszego znaczenia, tyle że zawsze

byłem krnąbrny i robiłem wszystkim na złość? O, opowiem panu o niej, opowiem. Pokażę panu cały mechanizm.

Chodził wielkim krokiem po celi, cztery kroki tam i cztery z powrotem, z rozpaczą zaciskając pięści. Antoni siedział bez ruchu. Tama zaczynała pękać, jeśli się nie poruszy ani nie przeszkodzi, zobaczy, ile nazbierało się za nią brudnej wody.

— Dobre z niej było dziecko — powiedział ochrypłym głosem. — Zgoda, pozwoliła mi się wpędzić w kłopoty. Ale to się zdarza przecież, a ja nie robię różnic między ludźmi. Nawarzyłem jej kłopotu i chciałem się z nią ożenić, ale jej matka to sprzątaczka, a ona sama pracuje w fabryce, więc rodzinka doszła do wniosku, że to większy skandal ożenić się z dziewczyną, niż wykorzystać ją. Powiadam panu, stanęlibyśmy na nogi, gdyby nam dano szansę. Ale pozwoliłem rodzinie zrobić świństwo, zmusić dziewczynę do przyjęcia pieniędzy, nędznych groszy. Błąd mój polegał nie na tym, że wpędziłem dziewczynę w kłopot, ale na tym, że dałem się rodzinie z tego kłopotu wyciągnąć.

Stary Stearnes dał mi zajęcie w swoim banku. Płacili mi tyle co nic, ale za to staraj się, jak możesz, i pokaż, co umiesz, chłopcze. Owszem, zacząłem trochę popijać. Może opuszczałem po parę dni od czasu do czasu, żeby zagrać na wyścigach konnych, oto ma pan cały hazard. Ale nie podebrałem tamtej forsy, żeby grać. Wciąż myślałem o dziewczynie, którą spłacili. Tak mnie to gnębiło, że wziąłem trochę pieniędzy, odnalazłem ją i usiłowałem ją odzyskać. Ale do tego czasu wyszła za mąż, plunęła mi w twarz i nie pozwoliła mi nawet popatrzeć na dzieciaka.

Poszedłem na całego, przehulałem pieniądze i stary wylał mnie z banku, a rodzinka odesłała za karę, żebym prowadził zawszoną farmę. Ma pan cholerną rację, że nie usiedziałem tam. Dostawałem kręćka. Wróciłem do ciotki, nie miałem złamanego szeląga, a oni zabronili ciotce dawać mi pieniądze. Zabrałem więc trochę antyków i przyłapali mnie na usiłowaniu sprzedaży. A wie pan, czyje to

były antyki? Mojej matki i ojca. Pewno, wszystko było zapisane na ciotkę, ale z tą myślą, że z czasem przejdzie na mnie. Wtenczas dopiero dobrali mi się do skóry. Dali do wyboru: albo pójdę do ciupy, albo wyniosę się z miasta przy parszywych stu dolarach miesięcznie. Ładny wybór, nie? Wyniosłem się.

Wyjechałem na Zachodnie Wybrzeże i została mi tylko jedna nadzieja. Miałem dostać trochę pieniędzy po śmierci dziadka i po śmierci ciotki. Ale rodzinka już o to zadbała. Wyobrażam sobie, jak musieli gnębić dziadka i ciotkę, żeby oboje cofnęli mi zapis w testamencie. Gdybym miał choć krztynę rozsądku, powinienem był wziąć sobie sprytnego adwokata i zaskarżyć oba testamenty, że zostały zrobione pod niedopuszczalną presją. Bo pieniądze mnie się należały. Wszyscy o tym wiedzieli. Ale w takich rodzinach, jak moja, nie daje się ni grosza do ręki temu, kto nie pasuje do ich cholernego szablonu. Zna pan wymagania. Staraj się, bądź cacy, ożeń się z taką, co nam się podoba, a dostaniesz w nagrodę wiele upominków. Odziedziczysz majątek. Przypadnie ci sporo ciepłych posadek — radcostwo, dyrektorstwo tego czy innego banku lub przedsiębiorstwa, na którym rodzinka położyła łapę. Facetowi z dobrej rodziny może się całkiem świetnie powodzić, choćby był bez mózgu, bez talentu, bez chęci do pracy, dopóki nie odbiega od ich cholernego szablonu. Ale puść się tylko samopas, tak jak ja, a podetną ci gardło w najwytworniejszy sposób.

Cóż, tak się to skończyło. Zabrali mi dziewczynę. Zabrali mi pieniądze. I żeby to ukoronować, wie pan, co zrobili? Wie pan? Wie? — Stał przed Antonim, twarz miał wykrzywioną, głos mu się łamał. — Zabrali mi nazwisko! — krzyknął. — Ukradli mi je. Ściągnęli je ze mnie jak płaszcz, którego nie mam prawa nosić. Wykopali mnie za drzwi i powiedzieli, że nie istnieje żaden Chet Gwynne, tylko że nazywam się Howard Jones. Któż to taki Howard Jones? Co to za wyskrobek? To kompletne zero. To wielkie nic. I oto czym musiałem zostać od tej pory. — Opadł na wyrko i wcisnął twarz w materac. Wstrząsało nim łkanie, ledwo można było

przechwycić zduszone słowa: — Ze wszystkich świństw, jakie mi zrobili, to było najgorsze. Odebrali mi nazwisko. Ukradli mi nazwisko.
W celi zapadła cisza, dobiegał tylko zduszony materacem oddech. „Jakież to dziwne — myślał Antoni. — Taki Gwynne nienawidzi rodziny i wszystkiego, co za nią stoi, a trzyma się kurczowo nazwiska, które nic nie znaczy, jeśli nie reprezentuje rodziny, jej zasad, jej statecznego sposobu życia".
Znał teraz obie strony medalu i co mu to dało? Liść spada z drzewa, jeden człowiek patrzy na to i myśli, jak to liście zaśmiecają trawnik. A drugi patrzy i wspomina cień, jaki liście dawały latem.
Zaczyna się od faktu. Spada liść. Chłopiec uwiódł dziewczynę. Ale potem każdy spogląda na liść albo na fakt w świetle własnej reakcji, i która reakcja jest prawdziwa? Czy jedna jest słuszna, a druga niesłuszna? Czy prawda leży gdzie indziej? A może o prawdzie decyduje głosowanie, tak jak w wyborach, ustala się, że to, co otrzyma największą ilość głosów, zostaje niniejszym wybrane Prawdą zgodnie z wolą ludu?
Na takie pytania nie umiał znaleźć odpowiedzi. Znał teraz obie strony medalu i co miał przed sobą — kilka liści, co spadają z drzewa.
— Chet — powiedział łagodnie — z takim nastawieniem nie mógł pan kilka tygodni zdobywać się na odwagę, żeby pójść do Stearnesa. Przyjechał pan tutaj gotów do walki. Co pan porabiał w ciągu tego miesiąca, zanim Stearnes został zastrzelony?
Gwynne podniósł głowę. Twarz miał zimną i bez wyrazu.
— Spryciarz z pana — powiedział. — Cieszę się, że nie jest pan prokuratorem. Dobrze znałem starego. Przy nim stal była miękka. Gdybym przyszedł do niego po dobremu, powiedziałby mi, żebym się wynosił na zbity pysk albo czeki przepadną. Ale wiedziałem o nim jedną rzecz. Lubił kobietki. Nie zdarzyło się, żeby nie miał coraz to nowej utrzymanki, o czym wszyscy wiedzieli prócz jego żony i

dzieciaków. Żadnej nic nie zmajstrował i nigdy nie wpadł na tym. Zabawiał się grzecznie i po cichu, jak kodeks rodzinny nakazuje. Spędziłem więc trzy tygodnie na obserwowaniu go. Pod koniec znałem już nazwisko jego najnowszej, wiedziałem, jak często bywa u niej, a ona u niego, no i w ogóle wszystko. Więc wreszcie zadzwoniłem do starego, że chcę się z nim zobaczyć. Powiedział mi, żebym się odwalił, i odłożył słuchawkę. Posłałem mu liścik z paroma aluzjami. Tym razem już nie odwieszał słuchawki, kiedy zadzwoniłem. Więc poszedłem się z nim zobaczyć, wyjaśniłem, czego mi trzeba, i powiedziałem, że jeśli tego nie dostanę, dam znać jego żonie i dzieciom, że ma utrzymankę. Chce pan to nazwać szantażem? Proszę bardzo. Ale daleko stąd do morderstwa. Czy podobne do szantażysty, żeby strzelał? Skąd, u diabła.

— Musiał pan z nim mieć potężną awanturę?

— Pojęcia nie mam — powiedział Gwynne z niechęcią. — Idąc do niego wziąłem ze sobą butelkę. Piłem na miejscu. Nie wiem, co się wydarzyło. Nigdy sobie nie przypomnę dla cudzego widzimisię. Bo nie jestem mordercą, rozumie pan?

— Dobra, Chet.

— Mówił pan, że nie posłuży pan się niczym na moją szkodę. Ta historia, którą panu opowiedziałem... Czy mi zaszkodzi?

— Zależy — odparł wolno Antoni —jak się ją przedstawi na procesie.

— Niech mi pan powie, panie Lawrence. Czy cała ta historia będzie argumentem dla obrony? Jeśli ją pan przedstawi właściwie?

— Myślę, że będzie.

— Jakżeż oni będą się wić ze wstydu! — mruknął Gwynne.— Kiedy zacznie się publiczne pranie brudów. Śmieszna rzecz. Zupełnie mnie to nie cieszy. Ale coś panu powiem. Nie cieszy mnie też perspektywa pójścia na krzesło elektryczne. Jeśli się okaże, że to jedyny kierunek obrony, jaki nam został, nie wahaj się pan i użyj go.

— Zobaczymy, co się wyłoni — powiedział Antoni wstając. Zawołał strażnika i wyszedł.

„To może być świetna obrona", myślał. Ławy przysięgłych decydowały w procesach o morderstwo, a ława przysięgłych składa się z ludzi, można niesłychanie wiele zrobić mając do czynienia z ludźmi. Już przedtem zarysowywał mu się mgliście ten kierunek obrony i Logan Clayton go widział, kiedy doktor Shippen Stearnes opowiadał im rodzinną wersję. Teraz, kiedy Gwynne opowiedział swoją, ten kierunek obrony aż się prosił. Stawia się Gwynne'a na ławie oskarżonych i pozwala mu się mówić o prześladowanym chłopaku, który chciał poślubić dziewczynę i został zmuszony do porzucenia jej. Pokazuje się, jak chłopaka niszczą pomaleńku, aż pozostaje niewiele prócz łuski, a potem pokazuje się, jak zdzierają z niego łuskę nazwiska, a resztę odrzucają precz. I ujawnia się, że owi ludzie nie są prawi i szlachetni, tak jak udają, ale że też mieli w swoim życiu brzydkie karty, które udało im się ukryć. Wreszcie pokazuje się człowieka, który został zmaltretowany, jak powraca do domu i podejmuje walkę w jedyny sposób, na jaki go stać — grożąc, że wydobędzie na jaw brudy.

Panowie sędziowie, kto sięgnął po rewolwer? Czy człowiek, który raz popełnił błąd i za to go zniszczono, wpadł w szał, porwał broń i strzelił? Czy też człowiek, który podawał się za cnotliwego, sięgnął po rewolwer i zagroził odwiedzającemu? Kto kogo chciał zastrzelić? A może ktoś widział czarną i pustą przyszłość przed sobą i usiłował popełnić samobójstwo? A może była walka? Kto wie? Kto może nazwać to morderstwem?

W porządku, to była obrona. Możliwe, że i zwycięska obrona. Naturalnie, paru ludzi przy tym przegra. Wśród nich — doktor Shippen Stearnes i Gracja Shippen, i ich krewni. Tudzież Morris, Clayton, Biddle i Wharton. Tudzież Antoni J. Lawrence. Czy było to sprawiedliwe, aby wszyscy przegrali po to, aby uratować jednego człowieka? Może i było, jeśli prawda znajdowała się po stronie Cheta

Gwynne'a. I tu się wracało do spadającego liścia, do kwestii, czy prawda leżała w tym, że liście zaśmiecają trawnik, czy w tym, że dają kojący cień.

15

W dwa dni później na kolejnym przesłuchaniu Ludwik Donetti nie wysilał się zbytnio i zrobił tylko to, co do niego należało. Powołał jako świadków: policjanta, którego wezwano na miejsce zbrodni, biegłego lekarza, który dokonał oględzin zwłok, oraz kamerdynera. Jan C. M. Stearnes został zabity kulą z własnego rewolweru, kaliber 32, która trafiła go w pierś i przeszyła serce. Strzał został oddany z bliskiej odległości, ale było mało prawdopodobne, żeby denat sam sobie zadał tę fatalną ranę. Gość podający się za Howarda Jonesa znajdował się w tym czasie w pokoju i kłócił się głośno z panem Stearnesem; rzeczony Howard Jones uciekł potem z pokoju, prawdopodobnie przez francuskie okno otwierające się na ogród. Donetti zapytał kamerdynera, czy widzi Howarda Jonesa na sali, a kamerdyner wskazał na Chesleya A. Gwynne'a.

Antoni zrezygnował z przysługującego mu prawa zadawania pytań policjantowi i biegłemu lekarzowi.

Zeznania kamerdynera stanowiły jądro przyszłego oskarżenia. Antoni badał świadka powoli, uważając, aby go sobie nie zrazić i niczym nie wystraszyć. Chciał wyciągnąć od niego jak najwięcej materiału, który mógłby przeanalizować w spokoju. Bo może coś się wyłoni. A jeśli tak, jeśli uda mu się przygotować pułapkę na procesie, chciał, aby kamerdyner nie podejrzewając niczego, wpadł w nią niespodziewanie.

Kamerdyner nazywał się Jerzy Archibald. Szczupły, średniego wzrostu, starannie zaczesywał włosy, aby kryły niewielką łysinę. Kiedy stanął na podium dla świadków, rozejrzał się po zatłoczonej salce i zmarszczył lekko, jakby ze zdumienia, skąd tylu ludzi może się tak niegustownie ubierać. Zeznał, że pracował

u Jana C. M. Stearnesa czternaście lat, trzy miesiące i dwa dni do owego feralnego wieczoru. Nie ulegało wątpliwości, że był bardzo oddany swemu chlebodawcy i niechętnie zechce się przyznać do czegoś, co by rzucało nań cień.

Zeznania Archibalda były przygniatające. Do owego feralnego wieczoru nic nie słyszał i nic nie wiedział o Chesleyu A. Gwynne, alias Howardzie Jones. Stearnes powiedział mu, że przychodzi w odwiedziny niejaki Howard Jones, dość nieprzyjemna osoba, więc żeby Archibald znajdował się pod ręką na wypadek jakichś przykrości. Archibald powitał gościa tuż po ósmej wieczorem i zaprowadził go, tak jak mu polecono, do gabinetu na parterze na tyłach domu. Stearnes ucinał na górze tradycyjną wieczorną drzemkę. Archibaldowi nie podobał się sposób, w jaki gość rozglądał się po gabinecie; był źle ubrany, jechał od niego alkohol, mógł nawet coś ukraść. Zanim wyszedł zawiadomić pana, Archibald starał się zapamiętać, gdzie stoją co cenniejsze przedmioty w gabinecie, żeby po powrocie wiedzieć, czy coś nie zginęło.

Powiadomił swego chlebodawcę, który powiedział, że zejdzie za pięć minut, i polecił mu, aby poczęstował gościa kieliszkiem. Archibald wrócił do gabinetu i zapytał, czego się pan napije. Gość wyciągnął do połowy opróżnioną płaską butelkę z lewej kieszeni marynarki, odparł, że Stearnes pija chyba herbatkę nie alkohol i że woli skorzystać z własnej żytniówki, prosi tylko o szklankę, bez lodu. Archibald przyniósł mu ją na tacy. Jednocześnie rozejrzał się, czy nic się w pokoju nie zmieniło. Zauważył, że środkowa szuflada biurka jest lekko otwarta, choć była zamknięta, kiedy wprowadzał gościa do gabinetu. W tej szufladzie pan Stearnes trzymał zwykle rewolwer. Archibald spostrzegł, że coś ciężkiego obciąga wewnętrzną kieszeń marynarki gościa. Kiedy ten pochylił się, aby sobie nalać wódki, marynarka się rozchyliła i Archibald ujrzał błysk metalu.

Poszedł więc na górę, ostrzegł swego chlebodawcę i zapytał, czy ma sprowadzić policję. Stearnes jakby się zastanowił i odparł, że jeszcze czas.

Po czym zeszedł na dół i spędził następne dwie godziny na rozmowie z gościem. Od czasu do czasu naciskał dzwonek. Za każdym razem po to, aby Archibald zabrał dwie puste szklanki na tacy; Stearnes cenił sobie czystość i nie lubił pić dwa razy z tej samej szklanki bez opłukania. W dodatku Stearnes nie lubił nawet, aby opróżnione szklanki stały w pokoju.

Niedługo po dziesiątej dzwonek znów się odezwał. Tym razem Stearnes zatrzymał Archibalda w drzwiach gabinetu i podał mu tackę z jedną tylko szklanką. Powiedział, że nie będzie go już więcej potrzebował tego wieczoru, i zamknął drzwi. Archibaldowi nie podobało się, że ma odejść, ale jakże mógł zostać w pobliżu, skoro mu wyraźnie powiedziano, że nie jest już potrzebny. Poszedł wiec do swojego pokoju na pierwszym piętrze od tyłu. W pół godziny później usłyszał głośne i gniewne głosy chlebodawcy i gościa. Rumor bijatyki i strzał. Zbiegł na dół po schodach, otworzył drzwi gabinetu i zastał Stearnesa leżącego na podłodze, a o pól metra od niego — rewolwer. Francuskie okno wychodzące na ogród za domem stało otworem. Stearnes wyglądał na martwego. Archibald zatelefonował po policję.

Tak brzmiała jego opowieść i brzmiała paskudnie.

Przesłuchując z kolei Archibalda, Antoni naprowadzał go z powrotem na najdrobniejsze szczegóły, nie bacząc na zniecierpliwienie sędziego i próby, jakie czynił Ludwik Donetti, żeby badanie przyspieszyć. Archibald prezentował sobą doskonałego świadka oskarżenia. Dawał wyczerpujące odpowiedzi i nigdy nie starał się omijać pytań. Miał znakomitą pamięć. Antoni wypróbował ją parę razy, zadając najpierw pytanie wymagające szczegółowej odpowiedzi, przechodząc z kolei na kilka minut do innej kwestii i wysuwając wreszcie pierwotne pytanie w innej formie. Za każdym razem Archibald potrafił powtórzyć wszystkie szczegóły swojej pierwszej odpowiedzi. Powtarzał je też nieco innymi słowami, co dowodziło, że nie wykuł swoich zeznań na pamięć. Archibald był bardzo

spostrzegawczy. Dokładnie opisał ubranie, jakie gość miał na sobie. Opisał urządzenie gabinetu do najdrobniejszych szczegółów; Antoni nie mógł tego sprawdzić na poczekaniu, ale wydawało się całkiem możliwe, że nazwał i rozmieścił prawidłowo każdy mebel i każdy drobiazg w gabinecie. Archibald wyraźnie się szczycił swoją zdolnością zapamiętywania szczegółów i lubił się nią popisywać. Odpowiedział na wiele pytań znacznie dokładniej niż trzeba.
Na przykład zapytany, ile tego wieczoru pan Jan C. M. Stearnes wypił, Archibald odparł:
— W czasie obecności gościa pan Stearnes wypił trzy szklaneczki. Przyjmuję, że za każdym razem brał uncję i ćwierć, bo taką miał miarę. Za pierwszym i drugim razem pił szkocką whisky, gatunku „Glen Murry", z wodą sodową. A za trzecim — też szkocką, ale znacznie mocniejszą, „Królewski Tartan" z wodą.
— Dlaczego — powiedział Antoni — pan przyjmuje, że brał uncję i ćwierć? Musiał pan wiedzieć dokładnie, skoro mu pan ją nalewał.
— Nie, sir, nie nalewałem. Pan Stearnes miał w gabinecie maleńki bar, gdzie trzymał butelkę „Glen Murry", butelkę „Królewskiego Tartana" i butelkę napoleońskiego koniaku. Zwykle, zanim uciął drzemkę, zaraz po podwieczorku wypijał uncję i ćwierć koniaku.
— Panie Archibald, skoro nie nalewał pan szklaneczek i nie było pana w pokoju, skąd pan wie tak dokładnie, co pan Stearnes pił za każdym razem?
— Mogłem to sprawdzić, sir, po szklaneczkach, których używał. Zapach obu szkockich jest specyficzny, tak jak napoleońskiego koniaku. Większość dobrych wódek ma swój charakterystyczny aromat. Złych też, w gruncie rzeczy, choć nie nazwę tego aromatem. Gość pana Stearnesa pił dość paskudną i tanią żytniówkę. Nie wiem, jak się ona nazywa, ale łatwo było odgadnąć, której szklanki używał pan Stearnes, a której jego gość.
— Wąchał pan każdą szklaneczkę, zanim ją pan umył? Czyż to nie dziwaczne?

— Był po temu praktyczny powód, sir. W ten sposób orientowałem się, z której butelki pan Stearnes czerpie, i mogłem na czas dostarczyć nową butelkę. Z końcem owego wieczoru moje obliczenia wskazywały, że zostały jeszcze cztery uncje „Glen Murry" i piętnaście uncji „Królewskiego Tartana". Orientując się w ten sposób w ubywaniu alkoholu, mogłem odnowić zapas, nie nagabując pana Stearnesa ani nie grzebiąc w barze, żeby zobaczyć, ile zostało.

— Domyślam się, że jest pan po trosze koneserem znakomitych wódek, panie Archibald.

— Cóż, owszem, sir. I, że tak powiem, nie tylko wódek. Aby oddawać właściwe usługi dżentelmenowi pokroju pana Stearnesa,trzeba mieć dość rozległą wiedzę z dziedziny gastronomii, smaku, elegancji i tak dalej.

— Czy pan sam używa alkoholu, panie Archibald?

— W ograniczonym stopniu. Pozwalam sobie na dwa kieliszki dziennie, po półtorej uncji każdy, zawsze wieczorem, kiedy już podam kolację. Zazwyczaj jeden o ósmej, a drugi o dziesiątej. Osobiście wolę lekki bourbon, bez domieszki i bez lodu. Uważam, że lód niszczy aromat.

— Naturalnie, wypił pan oba kieliszki owego wieczoru.

— Tak, sir. Pierwszy trochę później niż zwykle, bo akurat w tym czasie zjawił się gość, a drugi gdzieś o zwykłej porze. Nie lubię pić w pośpiechu, wolę się porozkoszować.

Antoni wysondował szczegóły końcowej wyprawy Archibalda do gabinetu w odpowiedzi na ostatni dzwonek. Kiedy Archibald nadszedł, drzwi były zamknięte. Zapukał. Stearnes uchylił je na tyle, żeby mu podać tackę zjedna pustą szklaneczką. Archibald tym razem rzeczywiście nie widział gościa, gdyż zasłaniały go drzwi. Szklaneczka na tacy należała do gościa, gdyż Archibald powąchał ją i poznał zapach taniej żytniówki, którą ten ze sobą przyniósł.

Antoni grzecznie przyjmował każdą odpowiedź i nie próbował przyciskać Archibalda do muru. Badanie zajęło mu dwie godziny. Potem oświadczył, że nie powołuje żadnego świadka obrony. Sędzia zatrzymał Chesleya A. Gwynne'a, alias Howarda Jonesa, bez kaucji do decyzji ławy przysięgłych.

W dwa tygodnie później, na sesji październikowej, ława przysięgłych zatwierdziła akt oskarżenia i Gwynne został pozwany przed sąd pod zarzutem morderstwa. Ludwik Donetti wyznaczył termin procesu na grudzień.

Czas poprzedzający rozprawę Antoni przeżył jak we śnie. Z jednej strony życie jego biegło normalnie: praca w firmie, sprawy podatkowe, Gracja Shippen. Z drugiej strony istniała sprawa Gwynne'a, ciągnąca się przez jego życie czarnym pasmem, barwiąca wszystko na swój kolor. Szantaż, jaki przedtem wobec niego stosowano, już nie istniał, ale pojawił się nowy i subtelny rodzaj presji. Nie pytano go wprost, jak będzie bronił sprawy, ale badano go delikatnie, co o niej sądzi. Czyż to nie okropne, że taka rzecz spotkała tak zacne rodziny jak Stearnesów i Shippenów? Czy sądzi, że proces potrwa długo? Jak Chet Gwynne to znosi? Czyż to nie hańba, że człowiek ten nie został na Zachodnim Wybrzeżu? Czy Antoni nie uważa, że rodziny zrobiły dla Cheta naprawdę wszystko, co tylko było można? Badali go bez przerwy. A w istocie chcieli tylko zapytać: „Nie wciągniesz znakomitych nazwisk w błoto? Możemy ci zaufać?"

Tymczasem dziwnym przemianom ulegał stosunek Cheta Gwynne'a do sprawy. Można tysiąc razy powtarzać oskarżonemu, żeby nie wywnętrzał się przed nikim, ale przeciętnie każdy po dłuższym pobycie w więzieniu, w oczekiwaniu na proces, zaczynał gadać. Trafiali się wyrozumiali strażnicy albo udający wyrozumiałość. Naczelnik więzienia czy jego zastępca zaglądał, żeby szepnąć pocieszające słowo. Istnieli inni więźniowie ciekawi rzeczy. Poczucie obcości powoli zanikało i więzień zazwyczaj przystosowywał się do nowej społeczności, która miała wiele cech wspólnych innym środowiskom. Na przykład społeczność więzienna mogła

żywić sympatię lub niechęć wobec towarzysza niedoli. Normalny więzień starał się pozyskać sobie sympatię, tak jak większość ludzi w każdym środowisku. Więc gadał, reagował na objawy współczucia i zainteresowania. Zwierzał się z tych momentów, które ukazywały go w dobrym świetle. Szukał rady i poparcia. Gwynne przystosował się do więziennej społeczności i zwierzał się, ile mógł. Pozyskiwał sobie sympatię. Z każdą wizytą Antoniego pojawiały się nowe oznaki zmian w nastawieniu Gwynne'a. Początkowo pozował na bezbrzeżnie zdumioną ofiarę zbiegu okoliczności. Potem przekształcił się w męczennika. Wreszcie maleńki krok — i znalazł sobie życiowe powołanie. Zamierzał nie tylko publicznie oczyścić się z winy, ale postawić pod pręgierz tych, którzy go prześladowali. Oczywiście, nie on tego chciał, ale taki był jego obowiązek. Jako ten, który znał ponurą prawdę
o wielu znakomitościach, musiał dać jej jawne świadectwo.
Więzienie więzieniem, lecz Antoni wiedział, że działała tu inspiracja Ludwika Donetti. W gruncie rzeczy podejrzewał, że Ludwik zaaranżował wokół więźnia atmosferę sympatii, poparcia i zaufania. Od czasu do czasu Gwynne robił uwagi, których bezpośrednim źródłem mógł być Donetti. Powiadał choćby, że może na tej rozprawie spłonie parę majątków ziemskich pod nieobecność posiadaczy. Naturalnie, podprokurator rejonowy nie widywał się z Gwynne'em, gdyż byłoby to trochę nieuczciwe przy pominięciu Antoniego. Ale z łatwością mógł prowadzić swoją
kampanię przez naczelnika i strażników oraz więźniów, którzy woleli nie mieć na pieńku z prokuraturą rejonową. Ludwik chciał przy okazji Gwynne'a wytoczyć proces filadelfijskim wyższym sferom.
I oto pytanie: jakim sposobem bronić Gwynne'a, jeśli nie tymże właśnie?

Był to drugi dzień procesu przeciwko Chesleyowi A. Gwynne, alias Howardowi Jones. Salę rozpraw zatłoczyli ludzie szepcząc, kaszląc i wiercąc się w oczekiwaniu na wejście sędziego. Chet Gwynne, siedząc za stołem obrony, otaksował obecnych i stwierdził z satysfakcją, że to dopiero jubel. Patrzył na przewód sądowy po trosze jak na widowisko, coś w rodzaju maskarady, w której grał główną rolę. Wyrażał się o wstąpieniu na podium dla świadków tak, jakby mu tam miano wręczyć mu nagrodę.

Antoni rozejrzał się po sali i doznał dziwnego wrażenia, że jego życie zaczyna się powtarzać. Czyż był to sąd, gdzie w niedługim czasie czeka go być może decyzja, która zaważy na dalszych jego losach? Czy też sala gimnastyczna Akademii Franklina, gdzie maturzysta, Antoni J. Lawrence, usiłował rozstrzygnąć, którą z mów powitalnych ma wygłosić? Oczywiście, zmieniły się twarze. Przed laty widział w tłumie Edzia Eakinsa, swojego dziadka i babkę, szkolnego trenera. Teraz miał przed oczyma Logana Claytona i państwa Wharton, Grację Shippen i doktora Shippen Stearnesa. Zamiast światoburczego wychowawcy, pana Glenmora, siedział za stołem prokuratorskim Ludwik Donetti. Tak jeden, jak i drugi pałał tą samą żądzą zniweczenia tradycyjnych wzorów filadelfijskiego życia. Tylko że pan Glenmor chciał burzyć dla samej przyjemności, Donetti zaś myślał, że wpierw musi zniszczyć, aby potem coś lepszego zbudować.

Jedyne ogniwo między dawnymi a nowymi laty stanowiła obecna na sali jego matka. Znów usiłowała, choć minął taki szmat czasu, przechwycić jego spojrzenie i zamienić z nim dumny uśmiech. Przed laty wprawiało go to w zakłopotanie, teraz odpowiedział uśmiechem na uśmiech. Mimo to wcale nie był pewny, że dzisiaj dostarczy jej powodów do dumy.

Tego właśnie dnia miał się przekonać, czy szybki ruch ręki wprowadzi w błąd bystre oczy Jerzego Archibalda, kamerdynera śp. Jana CM. Stearnesa. Wczoraj

Donetti skończył przesłuchiwanie Archibalda i dzisiaj Antoni mógł zadawać pytania.

Oskarżenie dostarczyło mocnych dowodów. Część ich pokrywała się z tym, co Donetti przedstawił podczas przesłuchania przed paroma miesiącami: świadectwa biegłego lekarza, policjanta, kamerdynera. Onegdaj Ludwik Donetti dobył też ukrytej broni, niemalże zabójczej. Stearnes należał do ludzi, którym szuflada w biurku zastępowała kosz na śmiecie. Przechowywał latami wszystkie listy od Gwynne'a oraz odpisy swoich krótkich i szorstkich odpowiedzi. Listów zachowało się dziesięć. Pierwszych dziewięć roiło się od pochlebstw, próśb, skomlenia o łaskę, i Gwynne wił się, gdy odczytywano je dla wpisania do protokołu. Dziesiąty natomiast — napisany na parę dni przed śmiertelnym wypadkiem — groził. Brzmiał, jak następuje:

„Jeśli nie jesteś w ciemię bity, to następnym razem, gdy zadzwonię, nie odłożysz słuachawki. Nie wiesz o tym, ale spędziłem tu już ponad trzy tygodnie śledząc cię bez przerwy. Czy już ci skóra cierpnie? Tym lepiej. Chcę się z tobą rozmówić. Na wybrzeżu nawarzyłem sobie piwa przez kobietę i potrzebuję pięciu tysięcy, żeby jej zamknąć gębę. Zawszone dwieście dolarów miesięcznie, które dostaję od naszej rodziny, nic nie znaczą. Tym razem ma być pięć tysięcy albo mocno tego pożałujesz".

List był pisany ręcznie i nosił podpis Cheta Gwynne'a.

Tak więc Ludwik Donetti przygotował oskarżenie mocne jak powróz w rękach kata. Czy też—jako że w Pensylwanii posługiwano się elektrycznym krzesłem — mocne jak prąd o wysokim napięciu.

Z powagą i w skupieniu weszli przysięgli, a za nimi sędzia. Jerzy Archibald został ponownie wezwany na podium dla świadków i zwrócił się w stronę Antoniego, gotów do przesłuchania. Antoni zaczął go przepytywać. Dał mu okazję udowodnić wobec sędziów i publiczności, jak wielką odznacza się spostrzegawczością i

pamięcią. Archibaldowi przypadło to do smaku; w istocie czuł się nawet chyba swobodniej niż wobec Ludwika Donetti. Antoni, ma się rozumieć, był dżentelmenem, który ubiera się gustownie i poważa kamerdynerów. Donetti zaś to Włoch z przedmieścia, w gar niturze obsypanym popiołem z cygar.
Antoni poświęcił sporo czasu pytaniom i odpowiedziom dotyczącym trzech kolejek, które Jan CM. Stearnes wypił owego wieczoru, oraz zręczności kamerdynera w rozróżnianiu gatunku alkoholu przez wąchanie szklaneczek. Wydobył wszystkie szczegóły ostatniej wyprawy Archibalda do gabinetu, kiedy to w drzwiach spotkał go Stearnes zjedna szklaneczką na tacce i powiedział, że nie będzie mu więcej potrzebny tego wieczoru. Ani razu w czasie zadawania pytań Antoni nie usiłował wprowadzić świadka w pułapkę. Za stołem sędzia robił zdumioną minę: w ten sposób nie broni się oskarżonego o morderstwo. Gwynne wyraźnie się nudził i trzymał się wyniośle. Tylko za stołem prokuratorskim Donetti siedział na brzeżku krzesła w napięciu węsząc jakiś podstęp.
— Zatem, panie Archibald — powiedział łagodnie Antoni — kiedy w odpowiedzi na dzwonek udał się pan do gabinetu po raz ostatni, zastał pan drzwi zamknięte?
— Owszem, to się zgadza — odparł Archibald. — Zapukałem do drzwi dwukrotnie, tak jak mam w zwyczaju. Pan Stearnes otworzył i podał mi tackę z jedną szklaneczką. Sądzę, że uchylił drzwi na niecałe pół metra, żeby mi podać tackę.
— I w rzeczywistości tym razem nie widział pan oskarżonego?
— Nie, sir. Krzesło, w którym właśnie siedział, nie znajdowało się po tej stronie, jaką mogłem widzieć przez częściowo uchylone drzwi.
— Czy jest to możliwe, że oskarżony wyszedł do tego czasu, a szklaneczkę, którą pan dostał na tacy, wypił właśnie pan Stearnes do poduszki?
— Ach, nie, sir. Zgodnie ze swoją zwykłą procedurą powąchałem pustą szklaneczkę. Bez dwóch zdań dawała zapach nędznej i taniej żytniówki, którą gość

pił przez cały wieczór. Nie miałbym najmniejszego kłopotu z rozpoznaniem whisky „Glen Murry" czy też nieco mocniejszego „Królewskiego Tartana", które pił pan Stearnes.
— Czy mógłby pan też rozpoznać koniak napoleoński, który — wedle pańskich słów — pan Stearnes trzymał również w gabinecie? '
— To by mi przyszło najłatwiej. Nie, sir, alkohol, jaki znajdował się w szklaneczce, stanowczo zdradzał zapach żytniówki, którą gosc ze sobą przyniósł.
Antoni odwrócił się do swojego stołu i dał znak człowiekowi, który tam spokojnie czekał. Człek ów wstał i rozłożył mały stoliczek przy podium dla świadków. Wyjął z teczki i postawił na nim trzy butelki apteczne z etykietami A, B i C oraz trzy zwykłe szklanki oznaczone identycznie.
— Panie Archibald — odezwał się Antoni przyjacielskim tonem — pańska zdolność poznawania po zapachu najrozmaitszych gatunków alkoholu jest interesująca. Ciekaw jestem, czy nie miałby pan nic przeciwko zademonstrowaniu jej wobec sądu przysięgłych.
Ludwik Donetti zerwał się z krzesła, jakby raptem poraził go prąd.
— Oponuję! — palnął. — Tego typu próba nie ma znaczenia i nic nie przynosi.
— Wysoki Sądzie — odparł Antoni z urazą w głosie — świadek zeznał, iż wierzy, że w danym czasie oskarżony znajdował się nadal w gabinecie, ponieważ szklaneczka, którą podał świadkowi pan Stearnes, zionęła oparami taniej żytniówki, jaką oskarżony podówczas pił. Utrzymuję, że próba ma znaczenie i zgłaszam wniosek o pozwolenie świadkowi na zademonstrowanie przed sądem jego zdolności rozpoznawania najrozmaitszych gatunków alkoholu.
— Wysoki Sądzie — powiedział z kolei Donetti — nie ma porównania między zdolnością świadka do rozróżniania gatunków alkoholu w normalnych warunkach, w miejscu jego pracy, a takąż zdolnością w nerwowych warunkach przewodu sądowego, gdy obrońca piekli się i znęca.

Być może Donetti w chwili, gdy to powiedział, połapał się, że nie powinien był użyć zwrotu „piekli się i znęca". Ale już było za późno. Trzymana w napięciu sala wybuchnęła śmiechem. Archibald pozwolił sobie na wesołe zmrużenie oczu. Nawet sam sędzia, uderzeniami młotka przywołując salę do porządku, powstrzymywał uśmiech.

Kiedy sala ucichła, sędzia powiedział:

— Niech mi wolno będzie rzec oskarżycielowi, że po raz pierwszy w mojej praktyce zdarza mi się widzieć obrońcę, który by z taką grzecznością i wyrozumieniem traktował głównego świadka oskarżenia. Zapytajmy samego świadka, czy czuje, że ktoś się nad nim znęca.

— Wysoki Sądzie — odparł Archibald — dżentelmen prowadzący obronę był dla mnie w najwyższym stopniu uprzejmy i wyrozumiały. Nie wątpię ani trochę w swoją zdolność dokonania próby, o którą mnie proszono.

— Opozycję prokuratora oddalam — powiedział sędzia.

— Wysoki Sądzie — rzekł Donetti — sprzeciwiam się potraktowaniu jako dowodów buteleczek niewiadomego pochodzenia zawierających tajemnicze płyny.

— Wysoki Sądzie — odparował Antoni — nie przedstawiłem zawartości buteleczek w księdze dowodów, bo może to nie być potrzebne. A we właściwym czasie z chęcią to zrobię, jeśli okaże się to konieczne; przedstawię też świadectwa mojego pomocnika, chemika, który zakupił butelkę „Glen Murry", butelkę „Królewskiego Tartana" i butelkę taniej żytniówki w państwowym sklepie spirytusowym, poddał ich zawartość analizie i od tego czasu trzyma te różnorakie alkohole pod swoją pieczą i kontrolą.

— Sprzeciwu prokuratora nie uwzględniam — powiedział sędzia.

Antoni zwrócił się do swojego pomocnika i poprosił go, aby kolejno z butelek A, B, C ponalewał po trochu do szklaneczek oznaczonych tymi samymi literami. Kiedy ten się tym zajmował, Antoni wrócił do swojego stołu.

Gwynne skinął na niego i szepnął:
— Czy już nie czas, żeby pan rąbnął w tego cholernego kamerdynera? Traktuje go pan tak, jakby pan chciał go sobie kupić.
— Może pan mnie pozwoli prowadzić sprawę — odparł Antoni.
— Czekasz pan, żebym się dostał na podium dla świadków i wygrał ją za pana, hę?
— Spokojnie — powiedział Antoni. — Mogę nawet spróbować wygrać ją bez pana.
Antoni odczekał, aż szklaneczki zostały napełnione, a jego pomocnik wrócił do stolika obrony. Wszystkie oczy skupiły się teraz na nim. Na stole sędziowskim stała szklanka i karafka z wodą. Antoni nalał sobie z niej pełną szklankę, pociągnął łyk i wrócił do Podium dla świadków. W zamyśleniu wziął ze sobą szklankę, Potem spostrzegł, że trzyma ją w ręce, i machinalnie odstawił na stoliczek, gdzie stały trzy szklanki z alkoholem. Po czym podniósł szklankę oznaczoną etykietą A.
— Panie Archibald — powiedział — proszę wypróbować aromat tego alkoholu swoim wspaniałym zmysłem węchu. Nie mam zamiaru pana ponaglać, więc niechaj pan nie próbuje mówić sądowi, co szklanka zawiera, dopóki obaj nie upewnimy się, że jest pan gotów.
Po czym podał szklankę Archibaldowi. Ten uśmiechnął się radośnie. Będzie to wielka chwila w jego życiu. Wściubił nos do szklanki i pomaleńku, delikatnie wąchał.
— Chyba jestem gotów — powiedział.
— Upewnijmy się jeszcze — rzekł Antoni. — Niech pan parę razy powącha, żeby próba wypadła jak najsolidniej.
Archibald pochylił się nad szklanką i kilkakroć pociągnął nosem. Wreszcie skinął głową.
— W porządku — powiedział Antoni. — Proszę powiedzieć sądowi, co to, pańskim zdaniem, za alkohol.

— Głowę dałbym sobie uciąć — rzekł Archibald. — Nie znam marki, ale jest to bez wątpienia jakaś żytniówka nawet dobrze nie przefermentowana. Taniocha, powiedziałbym.
— Dziękuję panu, panie Archibald — powiedział Antoni z zachęcającym uśmiechem. — Oto druga szklanka z etykietą B. Proszę zupełnie się nie spieszyć.
Archibald powąchał. Zrobił z lekka zdziwioną minę. Pochylił się nad szklanką i dłuższy czas pociągał nosem badając aromat. Stopniowo zdziwienie znikło z jego twarzy i zaczął się uśmiechać.
— Jestem całkiem gotów — powiedział. — Zwlekałem nie z tej przyczyny, żebym się zagubił, ale po prostu dlatego, że pan mnie prosił, aby się zupełnie nie spieszyć.
— I co pan powie o tym alkoholu?
— Jest to — rzekł triumfalnie Archibald — „Królewski Tartan". Absolutnie. Ciężki, bogaty bukiet zapachów z wyraźnym aromatem torfowego dymu.
Antoni wziął od niego szklankę i powiedział:
— Dziękuję panu, panie Archibald.
Odstawił ją nie patrząc na stoliczek i po omacku wziął nową szklankę.
— Teraz trzecia — powiedział podając ją Archibaldowi. Kamerdyner wściubił nos i zaczął wąchać. Raptem odrzucił głowę i z wyrzutem spojrzał na Antoniego.
— Boję się — powiedział — że tym razem dał mi pan swoją szklankę z wodą.
— Czyżby? — powiedział nerwowo Antoni. Rozejrzał się dokoła, całkiem zmieszany. — Jest pan pewny? Wąchał pan?
— Ależ panie Lawrence — rzekł Archibald z wyrzutem — poznaję wodę po wyglądzie. Próbowałem powąchać i, oczywiście, nie miała żadnego zapachu, tyle że zalatywała trochę chlorkiem jak zwykle woda w naszym mieście.
— Jestem przekonany — powiedział Antoni ze złością — że dałem panu właściwą szklankę. Niechże pan wącha i nie robi błędów.
Archibald wzruszył ramionami. Pochylił głowę, powąchał, podniósł oczy i rzekł:

— Bardzo mi przykro, sir, ale to jest woda. Wierzę, że nie chciał pan użyć wobec mnie podstępu, abym powiedział, że to alkohol.
— Jakże to może być woda? — uciął Antoni. — Sięgnąłem przecież po szklankę C i podałem ją panu.
— Zechce pan zauważyć — odparł grzecznie Archibald — że nie ma na niej etykiety C. Jest to pańska szklanka z wodą. Jeśli pan pozwoli, jako że w gardle mi trochę zaschło...
Podniósł szklankę do ust.
Antoni wstrzymał oddech. Zupełnie na to nie liczył. Raptem Archibald się zakrztusił. Zduszony okrzyk wyrwał mu się z gardła.
— To dżin! — zachłysnął się. — To dżin! Pan mnie oszukał! Antoni wyrwał mu szklankę z ręki i gdy na sali podniosła się wrzawa, szybkim ruchem wyciągnął przylepiec i przytknął do szklanki. Na przylepcu widniała wielka, czerwona litera D. Przez rozbuchany gwar przebijały szaleńcze protesty Ludwika Donetti. Młotek sędziowski stukał donośnie i wrzawa pomału ucichła.
— Wysoki Sądzie — krzyczał Donetti — wnoszę, aby cały ten jarmarczny popis usunąć z protokołu! Jest całkiem oczywiste, co obrońca zrobił. On...
Antoni wtrącił się ostro.
— Wysoki Sądzie, niedawno pan sędzia oddalił sprzeciw prokuratora wobec tej próby. To, że stała się ona bardziej dramatyczna, niż się spodziewałem, nie ma nic do rzeczy. Liczy się jej doniosłość.
— Oszukałeś go! — wrzeszczał Donetti. — Zatkałeś mu nos wyziewami tak, że już nic nie czuł. Nie podsunąłeś mu tej szklanki z dżinem przez przypadek. Podałeś mu ją z rozmysłem.
— Wysoki Sądzie — powiedział łagodnie Antoni —jeśli pan podprokurator rejonowy pragnie złożyć zeznania, niech stanie na podium dla świadków, a ja z chęcią będę go pytał.

Ogłuszające brawa zerwały się na sali. Sędzia wyrżnął młotkiem z całej siły.
— Jeśli jeszcze raz dojdzie do demonstracji na sali — powiedział — wyproszę publiczność za drzwi. Polecam, aby ostatnią wypowiedź prokuratora usunąć z protokołu, i pouczam przysięgłych, aby nie brali jej pod uwagę. Panie Donetti, jeśli zgłaszał pan sprzeciw, to takiej jego formy sąd nasz nie uznaje. Chyba że zechce pan go podać we właściwej formie, w przeciwnym razie głos ma obrona.
— Za pozwoleniem Wysokiego Sądu — powiedział Antoni — nie mam ochoty, żeby mnie później oskarżono o oszołomienie czy spojenie świadka. Czy oskarżyciel życzy sobie poprosić o przerwę?
Sędzia obrócił się do Archibalda i zapytał:
— Czy połknął pan sporą ilość tego... alkoholu?
— Nie wydaje mi się — powiedział kamerdyner słabym głosem. — Zacząłem się krztusić, kiedy pierwsze krople wpadły mi go gardła.
— Uznam wniosek o przerwę — orzekł sędzia — jeśli oskarżyciel zechce go wysunąć.
Ludwik Donetti rzucił szybkie spojrzenie na ławę przysięgłych. Wyraźnie starał się wyczuć, jak by przerwa na nich wpłynęła. „Na miejscu Ludwika — myślał Antoni — martwiłbym się, czy przerwa nie pokrzyżuje szyków oskarżycielowi i czy nie daje przysięgłym zbyt wiele czasu do zastanowienia się nad incydentem".
— Strona oskarżająca — powiedział Donetti — nie prosi o przerwę. Chciałbym jednak, aby zaprotokołowano mój wniosek sporny, że zdolność czy niezdolność świadka do zidentyfikowania dżinu po zapachu nie ma nic wspólnego z jego zdolnością rozpoznawania gatunków alkoholu, który wypito danego wieczoru. Utrzymuję, że incydent z dżinem nie jest dowodem rzeczowym i nic nie wnosi.
— Wysoki Sądzie — powiedział Antoni — zamierzam wykazać właśnie, że jest i wnosi znacznie więcej, niż najgorsze obawy prokuratora kazałyby mu podejrzewać.

— Oddalam sprzeciw prokuratora — orzekł sędzia. — Obrona może kontynuować przepytywanie świadka.
Ludwik Donetti ruszył ociężale w stronę swojego stołu. Przechodząc tuż obok Antoniego szepnął:
— Sukinsynu. Wiedziałem, że szykujesz na niego pułapkę.
— Trzymaj się — mruknął Antoni. — Bo teraz dopiero zobaczysz.
Sędzia zastukał młotkiem.
— Panowie oskarżyciel i obrońca — powiedział — zechcą robić swoje uwagi publicznie oraz w zgodzie z zasadami przewodu sądowego.
Ludwik posępnie skinął głową i powlókł się do swojego stołu.
Antoni przybliżył się do podium dla świadków i badawczym spojrzeniem obrzucił Archibalda. Świadek stracił humor i pewność siebie. Odsunął się z krzesłem, aby jak najdalej trzymać się od Antoniego.
— Panie Archibald — powiedział żywo Antoni — czy pan nie uważa, że wyziewy alkoholu z pierwszych dwóch szklanek nasyciły pański zmysł powonienia do tego stopnia, że wziął pan dżin za wodę?
— N-nie wiem — wybąkał Archibald. — Chyba... cóż, chyba tak właśnie było. Miałem trochę trudności w rozpoznaniu drugiej szklanki, a to chyba dlatego, że nawąchałem się przy pierwszej.
— Tego nam pan wówczas nie powiedział, panie Archibald. Jeśli pan sobie życzy, możemy poprosić o odczytanie pańskich słów ze stenogramu. Ale chyba pan się zgodzi, że w zasadzie powiedział pan, iż zwłoka w rozpoznaniu zawartości drugiej szklanki nie płynęła stąd, jakoby pan się zgubił, tylko stąd, że prosiłem pana, aby się zupełnie nie spieszyć. Zgadza się?
— Cóż, chyba tak.
— Zeznał pan uprzednio, że co wieczór pozwala pan sobie na dwa kieliszki, jeden zwykle około ósmej, a drugi około dziesiątej. Powiedział pan, że owego wieczoru

wypił pan pierwszy kieliszek nieco później niż zwykle, natomiast drugi o normalnej porze, to jest o dziesiątej. Potwierdza pan?
Archibald przestał dawać długie i pełne odpowiedzi. Chciał teraz jak najszybciej pozbyć się każdego pytania.
— Tak, sir.
— Zeznał pan, że lubi pan pić powoli, rozkoszując się trunkiem. Czy potwierdza się, że wdycha pan jego zapach w trakcie tej przyjemności?
— O... owszem, tak.
— Wypił pan drugi kieliszek, zgodnie z moimi obliczeniami, na chwilę przed dzwonkiem, który wezwał pana po raz ostatni do gabinetu. Zatem, jeśli wyziewy alkoholu neutralizują pański zmysł powonienia, zneutralizowały go i owego wieczoru, kiedy wąchał pan jedyną szklankę podaną panu z tacą przez pańskiego chlebodawcę. Nieprawdaż?
— Oponuję — powiedział Donetti. — Nie mamy żadnego świadectwa określającego, jak długo zmysł powonienia pozostaje pod wpływem wyziewów wypitego uprzednio alkoholu.
— Słusznie — odrzekł sędzia. — Pytanie obrońcy usunąć z protokołu. Sąd przysięgłych nie bierze go pod uwagę.
Antoni się nie speszył. Można sądowi przysięgłych powtarzać do rana, żeby nie brał czegoś pod uwagę, ale przysięgli będą wciąż pamiętali.
— Panie Archibald — powiedział — w świetle próby, której pan się niedawno poddał, czy pan nadal utrzymuje, że pusta szklanka na tacy zawierała kiepską i tanią żytniówkę? Proszę pamiętać, że to jest ważne jako znak wskazujący, czy oskarżony w czasie pańskiej ostatniej wyprawy pod drzwi gabinetu znajdował się tam czy nie.
— Do... doprawdy myślałem, że to była tania żytniówka — odparł Archibald z wahaniem. — Ale naturalnie mogłem, cóż... — Przerwał szukając wyjścia i sądził,

że je znalazł. — Kiedy on był w gabinecie! —zawołał triumfalnie. — Niech pan nie zapomina, że dużo później słyszałem jego głos!
Czyżby cichy jęk wyrwał się z piersi prokuratora? Czemu nie, był uzasadniony. Antoni z pasją natarł na świadka.
— Usiłuje pan powiedzieć sądowi — rzekł — że o dziesiątej dziesięć wiedział pan, że oskarżony znajduje się w gabinecie, ponieważ w pół godziny później zdawało się panu, że słyszy pan jego głos? Czy jest pan jasnowidzem, panie Archibald? A może ma pan magiczną kulę? Skąd pan potrafi o dziesiątej dziesięć wydawać sąd oparty na czymś, co się stanie o dziesiątej czterdzieści?
— Rozumiem, o co panu chodzi — powiedział Archibald zgnębiony. — Naturalnie, nie miałem do tego podstawy w owym czasie. Chyba później oba wypadki pomieszały mi się trochę.
— Przyznaje pan, że czasami myli się pan trochę w szczegółach?
— Tego nie chciałem powiedzieć.
— Więc mieszają się panu w pamięci?
— To... to też nie brzmi dobrze.
— Z pewnością — powiedział z przekąsem Antoni. — Zastanówmy się teraz, panie Archibald, nad głosem, który pan słyszał. Utrzymuje pan, że należał on do oskarżonego?
— Tak, sir, utrzymuję.
— W tym czasie był pan na górze, w swoim pokoju?
— Tak. Ale znajduje się on tuż nad gabinetem.
— Jaka warstwa drzewa i tynku dzieliła pana do owych głosów?
— Podłoga mojego pokoju i sufit na dole.
— W solidnym, dobrze zbudowanym domu?
— Och, tak. Całkiem solidnym.
— Mimo to twierdzi pan, że rozpoznał głos oskarżonego?

— Tak.

— Czy oskarżony krzyczał?

— Owszem. Nawet głośno.

— Ile to słów słyszał pan uprzednio z ust oskarżonego, zanim nastąpił ów incydent z krzykiem?

— Dokładnie nie pamiętam.

— Z pewnością nie wdawał się pan z nim w długą rozmowę, nieprawdaż?

— Tak, sir.

— Może słyszał pan z jego ust pięćdziesiąt słów?

— Chyba coś koło tego.

— A ile z tych pięćdziesięciu padło w formie krzyku?

— Ależ, ani jedno.

— A jednak na podstawie pięćdziesięciu słów wypowiedzianych normalnym tonem upiera się pan, że rozpoznał gniewne krzyki docierające przez sufit i podłogę mocno zbudowanego domu?

— Brzmiały jak jego głos.

— Chce pan, żebyśmy przeprowadzili próbę? — przyciął Antoni.

— Nie, sir — wzdrygnął się Archibald.

— Zatem nie jest pan stuprocentowo pewny, że potrafi rozpoznać jego głos?

— Zgłaszam sprzeciw — warknął Donetti. — Świadek nie jest w stanie poddać się takiej próbie. Tym razem chyba nie ma złudzeń, ze ktoś się nad nim pastwi i znęca.

— Podzielam zdanie prokuratora — orzekł sędzia. Antoni był zadowolony. Sąd przysięgłych i ten punkt sobie zapamięta.

— Parne Archibald—powiedział—wróćmy do próby, której pan sam się podjął, kiedy to, wedle pańskich słów, czuł się pan absolutnie pewny swoich możliwości. Widział pan, jak przy swoim stole nalewam płyn do szklanki z karafki na wodę. Czy pan się po tym czegoś domyślał?

— Ma się rozumieć — powiedział gorliwie Archibald widząc okazję do usprawiedliwienia siebie. — Naturalnie, domyślałem się, że to była woda. Pan nawet podniósł szklankę do ust.

— Ale pański domysł okazał się mylny, prawda?

— Cóż, tak.

— W swoich domysłach posunął się pan nawet tak daleko, że wywąchał pan chlorek, którym woda została skażona?

— Chyba tak.

— Ileż to fałszywych domysłów poczynił pan owej nocy, kiedy pan Stearnes zmarł?

— Nie... nie pojmuję, o co panu chodzi.

— Po przybyciu oskarżonego zaprowadził pan go do gabinetu. Utrzymuje pan, że sprawdził pan położenie wszystkich przenośnych rzeczy w gabinecie na wypadek, gdyby gość coś ukradł. Dalej, kiedy wrócił pan po jakimś czasie, utrzymuje pan, że środkowa szuflada biurka, w której pan Stearnes trzymał rewolwer, została lekko uchylona, choć mówi pan, że przedtem była zamknięta. Domyślił się pan po tym drobnym fakcie, że oskarżony ukradł rewolwer, tak?

— Och, ale proszę nie zapominać, że miał w wewnętrznej kieszeni jakiś ciężki przedmiot, który mu wypychał marynarkę.

— Skąd pan wie, że ciężki, a że nie lekki, tylko gruby?

— Spostrzegłem błysk metalu, kiedy się pochylił, aby nalać sobie z butelki.

— Iz takich drobiazgów, równie mało istotnych, co moje nalanie płynu z karafki na wodę, zdbudował pan przypuszczenie. W jednym wypadku domyślał się pan, że ukradziony rewolwer kryje się w kieszeni marynarki. W drugim domyślał się pan, że w szklance znajduje się woda. Któryż domysł jest bardziej sensowny?

— No, widzi pan, ja myślałem...

Antoni wymierzył w niego palec i krzyknął:

— Co pan ma w kieszeni? Archibald podskoczył. Sięgnął ręką.
— To... to... ja... och, to mój portfel, sir, naprawdę to mój portfel!
— Musiał pan sięgnąć, żeby stwierdzić, co? A co się tak błyszczy w pańskiej kieszeni? Widziałem, kiedy się pan pochylił. Jazda! Mów pan!
— Błyszczy? Doprawdy, sir, ja... ja... — Rozpaczliwie grzebał w wewnętrznej kieszeni i wreszcie odetchnął z ulgą. Drżącą ręką wydobył wieczne pióro i automatyczny ołówek. — To się błyszczało, sir. To przecież ma metaliczny połysk, prawda? Przeraził mnie pan tymi pytaniami.
— Oskarżony też mógł mieć w kieszeni portfel, pióro i automatyczny ołówek, nie mógł?
— Przypuszczam, że mógł — powiedział Archibald słabym głosem. Mrugał oczami i zdawało się, że zbiera mu się na płacz.
Antoni przyjrzał mu się badawczo. Spuścił temu człowiekowi tęgie lanie. Zapędził go przecież w kozi róg, waląc na prawo i na lewo. Archibald zaś nie stawiał oporu. Może jeśli mu się pokaże sposób wyjścia z honorem, to się skusi.
— Proszę pana — powiedział łagodniejszym tonem — czy nie jest możliwe, że popełnione błędy nie płynęły z pańskiej winy? Czy nie jest prawdopodobne, że choć może mieć pan rację, iż oskarżony otwierał szufladę biurka, to nie znalazł w niej rewolweru? Czyż to by się wyraźnie nie wiązało z faktem, że pan Stearnes nie wydawał się zbyt zaniepokojony, kiedy mu pan powiedział, że szuflada jest naruszona?
— Och, tak, sir — przytaknął Archibald z wdzięcznością. — Istotnie, tak mogło być.
— I czyż to nie wygląda nieprawdopodobnie, że pan Stearnes pije i rozmawia normalnie ze swoim gościem, wiedząc, że ten ukradł mu rewolwer?
— Tak, sir. To słuszny wniosek. Albo — powiedział Archibald z miną odkrywcy wielkiej prawdy — pan Stearnes mógł przekonać gościa, żeby ustąpił. Albo jakiś

włóczęga mógł się zakraść do gabinetu i spowodować bijatykę, którą słyszałem. Naprawdę istnieje cała masa możliwości, nie uważa pan, sir?
Antoni uśmiechnął się. Otworzył królikowi drogę do nory, królik z tego skorzystał.
— Istotnie, uważam — powiedział. — Dziękuję panu, panie Archibald. Poprzestańmy na tym, że istnieje cała masa możliwości. Nie mam pytań.
Wrócił do swojego stołu. Gwynne pochylił się w jego stronę i powiedział:
— Pan naprawdę wkurzył facetowi. Świetna robota, panie Lawrence.
Antoni skinął głową. Obserwował, jak Donetti bardzo znużony wlecze się w stronę podium, aby zacząć ponowne przepytywanie świadka. Antoni przysłuchiwał się, jak Ludwik usiłuje łatać sprawę. Nic z tego nie wychodziło. Królik siedział bezpiecznie w norze i nie chciał wyściubić nosa.
Wreszcie Ludwik zrezygnował i oświadczył, że nie ma już żadnych pytań. Antoni powiedział, że chce wnieść sprzeciw wobec oskarżenia ze względu na brak należytych dowodów winy. Wniosek został przedyskutowany — przysięgłych na ten czas poproszono o opuszczenie sali — i sędzia go odrzucił. Antoni poprosił, aby jego zarzut co do procedury został odnotowany i aby sędzia poinstruował przysięgłych, że była to zwykła kwestia proceduralna i że odrzucenie wniosku nic ich nie obchodzi.
Przysięgli wrócili na salę, sędzia ich pouczył, a potem powiedział:
— Jest teraz dwadzieścia po dwunastej. Czy obrona życzy sobie zabrać obecnie głos, czy też woli poprosić o przerwę, aby podjąć sprawę po obiedzie?
Antoni zerknął na Ludwika i spostrzegł, że ten coś knuje. Ludwik miewał też dobre pomysły.
— Wysoki Sądzie — powiedział Antoni pewnym siebie tonem — wraz z przesłuchaniem ostatniego świadka obrona uważa swoje wywody za udokumentowane. I nie ma już więcej pytań.
Szepty przemknęły po sali. Sędzia stuknął młotkiem i oświadczył:

— Sąd zbierze się ponownie o godzinie czternastej dla wysłuchania przemówień stron.
Gwynne wlepił w Antoniego wściekłe oczy.
— Cóż to za pomysł? — zapytał chrapliwie. — Co to znaczy, że obrona nie ma już więcej pytań? A ja? Kiedy ja stanę na podium dla świadków?
— Wcale pan nie stanie.
— Co znaczy, nie stanę? Przecież ja na to tylko czekałem!
— Może pan przestać czekać.
— Jedną chwileczkę, mój panie. Mam tu coś do powiedzenia.
— No, to niech pan powie innemu adwokatowi w takim razie. Chcę wygrać tę sprawę tylko raz. Nie mam zamiaru próbować dwa razy. Niech pan to sobie wbije do głowy, dobrze? Sprawa jest wygrana! Mało mnie obchodzi, co powiedzą przysięgli. Na podstawie tego, co jest w protokole, mogę przy apelacji rozbić skazujący wyrok na drobne kawałki. Więc nie będzie pan zeznawał, dopóki ja prowadzę sprawę. A jeśli pan weźmie innego adwokata i stanie do zeznań, to sam napyta pan sobie biedy. Pewno, że może pan wyciągnąć swoją łzawą historię. Ale wtedy Donetti posieka pana na miazgę. Widział pan, co zrobiłem z kamerdynerem. Będzie to dziecinna igraszka w porównaniu z tym, co Donetti zrobi z panem.
— Ale to była moja szansa — powiedział płaczliwie Gwynne. — Chociaż raz ludzie mieli zobaczyć, jak paskudnie mną poniewierano przez całe życie. Niechby patrząc na mnie mówili: to nie był wcale zły chłopak, gdyby mu tylko dali żyć. Niechby mnie żałowali.
— Wcale mi nie zależy, żeby ludzie litowali się nad panem — powiedział bez ogródek Antoni. — Wolę, żeby panu zazdrościli, że pan umknął spod szubienicy. Zobaczymy się po obiedzie.
Wstał i odszedł. Postąpił szybko i brutalnie, ale taki właśnie miał do sprawy stosunek.

Kiedy wrócił po obiedzie, w Gwynnie zaszła zmiana. Człowiek tonął wprost w litości dla samego siebie. Wpadł niemal w odrętwienie i można z nim było robić, co się tylko zechce, byle nie za ostro. Nie chciał nowego adwokata. Ufał Antoniemu. Antoni go wyciągnie, prawda? O nic więcej nie prosi. Przykro było patrzeć, że coś takiego dzieje się z mężczyzną, ale prawdę mówiąc trzeba by zacząć od tego, że niewiele w nim z mężczyzny pozostało.

Ludwik Donetti wygłosił swoje końcowe przemówienie. Przegrywał walcząc, ale niewiele mu ciosów pozostało. Wykorzystał, jak tylko mógł najlepiej, ów list z groźbami, świadectwo lekarza i policjanta oraz to, co potrafił ocalić z zeznań kamerdynera. Potem wrócił do swojego stołu jak oszołomiony bokser do narożnika.

Antoni zbudował swoją mowę tak, aby była krótka i łatwa do zapamiętania.

— Panie i panowie — zaczął. — Macie tylko jedną kwestię do rozstrzygnięcia. Czy oskarżony winien jest morderstwa bez żadnych wątpliwości? Zadaniem oskarżyciela jest dowieść tego absolutnie. Nie wystarczy sugerować, że oskarżony chciał to zrobić albo mógł to zrobić. Prokurator ma udowodnić, że morderstwo zostało popełnione, że dokonał go oskarżony i że nikt inny nie mógł tego uczynić poza nim. Musicie rozstrzygnąć, czy oskarżycielowi to się udało, czy też nie. Zbadajcie fakty i pozwólcie im mówić, o nic więcej was nie proszę.

Fakt pierwszy. Prokurator mocno wyeksponował ów dokument, który nazywa listem z groźbami. Chciałby on, abyście uwierzyli, że kryła się za tym groźba zamordowania. Ale jest to tylko przypuszczenie. Czyż równie rozsądnie nie można przypuszczać, że autor listu groził samobójstwem? Albo że ściągnie niesławę na rodzinę wskutek miłosnych tarapatów, w jakie wpadł na Zachodnim Wybrzeżu? Więc wszystko, co tu mamy, to kilka sprzecznych domysłów, a żaden nie znajduje całkowitego potwierdzenia.

Fakt drugi. Domniemana kradzież rewolweru. W czasie przepytywania słyszeliście, jak kamerdyner, Jerzy Archibald, cofnął swoje przypuszczenia, że szuflada została lekko otwarta i że wypchana kieszeń miała zdradzać, jakoby rewolwer został ukradziony.

Fakt trzeci. Jedyna szklaneczka na tacy początkowo stanowi rzekomy dowód, iż oskarżony znajduje się jeszcze w gabinecie. Widzieliście próbę, która dowiodła, że świadek może się mylić w rozpoznaniu zawartości szklanki. W swojej końcowej mowie, której przed chwilą wysłuchaliście, prokurator starał się ośmieszyć tę próbę jako operetkowe zagranie. Ale znaczy ona o wiele więcej. Dała bowiem jasny, prosty dowód, że świadek mógł wyciągnąć fałszywe wnioski z całego zestawu faktów. Po karafce domyślił się wody. Po szufladzie, o której myślał, że została naruszona, i po wypchanej kieszeni w marynarce domyślał się skradzionego rewolweru. Po szklaneczce na tacy domyślił się, że oskarżony jest w gabinecie.

Fakt czwarty. Po krzykach słyszanych przez podłogę i sufit solidnie zbudowanego domu świadek domyślał się obecności oskarżonego, chociaż przyznaje, że słyszał bezpośrednio z ust oskarżonego nie więcej niż pięćdziesiąt słów, a żadne nie było wypowiedziane podniesionym głosem. I znowu przypuszczenie, które wy jako ludzie rozsądni macie wszelkie prawo ocenić.

Panie i panowie sędziowie, na tym skończyły się fakty, które chciałem poddać pod waszą rozwagę. Pozostaje tylko główne przypuszczenie oskarżyciela sprowadzające się do tego, że morderstwo zostało popełnione i że popełnił je oskarżony. Proszę was, abyście rozważyli kilka innych przypuszczeń. Czy oskarżony usiłował popełnić samobójstwo, a Jan C. M. Stearnes usiłując mu w tym przeszkodzić nie został przypadkowo zastrzelony? Albo czy pan Stearnes, czymś zaalarmowany, nie porwał za rewolwer już to, aby się bronić, już to, aby zmusić oskarżonego do wyjścia, i czy ten ze swojej strony nie próbował się bronić i nie

wdał się w walkę, w czasie której pan Strearnes został zastrzelony? Albo, jak główny świadek oskarżenia sam zasugerował, czy jakiś włóczęga nie przekradł się do domu i nie wywołał starcia, w którym Jan C. M. Stearnes został zabity?
To już wszystkie sprawy, które zechcecie rozpatrzyć. Nie mogę zakończyć w lepszy sposób niż dosłownym cytatem z ust Jerzego Archibalda, kamerdynera Jana C. M. Stearnesa. Cytuję: „Istnieje cała masa możliwości, nie uważa pan?" Koniec cytatu. Panie i panowie sędziowie przysięgli, proszę was o uznanie oskarżonego niewinnym.
Z kolei sędzia udzielił swojego pouczenia ławie przysięgłych. Było ono jasne i zwięzłe i nie przyniosło żadnej pociechy oskarżeniu. Przysięgli naradzali się w odosobnieniu przez trzydzieści siedem minut i powrócili z wyrokiem uniewinniającym.
Odgłos wielu westchnień i szeptów przeszedł po sali. Tym razem obeszło się bez braw. Brawa przed południem stanowiły zachętę dla szczenięcia, dla niedoświadczonego adwokata, który raptem zaczął się odgryzać przebiegłemu oskarżycielowi. Potem okazało się, że to wilk dokazywał w skórze szczenięcia. Można podziwiać spryt wilka w ściganiu zdobyczy, ale trudno wiwatować, kiedy wilk zwycięży. I naturalnie nie było nic rozczulającego w widoku, że taki osobnik jak Gwynne unika stryczka. Więc publiczność wzdychała tylko i szeptała między sobą.
Istnieli jednak ludzie, którzy podziwiali zręczność, i oni to ruszyli całą procesją do Antoniego.
Logan Clayton potrząsał jego ręką i mówił z zapałem:
— Wspaniałe, mój drogi, wspaniale. Nigdy bym tego nie przypuścił, gdybym nie widział raz, jak poszatkowałeś na drobne kawałki pana Dickinsona. — Jeden głos za zręczność.

Oto szli państwo Whartonowie uśmiechając się dumnie do niego i mówiąc, że było to dla nich jedno z najdramatyczniejszych przeżyć. Nowe dwa głosy za zręcznością. Gratulowała mu matka, pobladła trochę i zmęczona, ale spadł jej kamień z serca, że tak świetnie z tego wybrnął. Nie można było tego nazwać głosem za zręcznością, gdyż była to zwykła pochwała matki dla syna, ale nawet ona sama chyba nie zdawała sobie sprawy z tego, co się stało.

Oto nadszedł doktor Shippen Stearnes, wspaniały starzec obnoszący swój wiek jak zaszczytne odznaczenie, i promieniejąc mówił:

— Mój chłopcze, nasze zaufanie do pana zostało po stokroć uzasadnione. Jesteśmy na zawsze pańskimi dłużnikami. Może pan o tym nie wiedzieć, że wdowa po Janie C. M. Stearnesie i obaj jej synowie znajdowali się na sali. Nie uważali za stosowne afiszować się teraz z oczywistych względów. Ale przynoszę panu ich najgorętsze podziękowania. Kiedyś w przyszłości pragną bardzo pana poznać. — Znów kilka głosów za zręcznością.

— Dziękuję, sir — powiedział Antoni. — Wysoko sobie to cenię. Dobrze, a co będzie z... — kiwnął głową w stronę Gwynne'a zwiotczałego na krześle.

— Ach, tak — powiedział doktor Stearnes z jasnym uśmiechem. Obszedł stół i położył Gwynne'owi dłoń na ramieniu. — Witaj, Chet — rzekł łagodnym głosem. — Jak się czujesz?

Mętne oczy podniosły się i po chwili ożyły.

— To... toż to wujek Ship, prawda? — odezwał się Gwynne. Głos jego mógł tak brzmieć przed laty, gdy jako chłopiec coś przeskrobał i przyłapano go na tym. — Przykro mi, że narobiłem wam tyle kłopotów, wujku Ship. Nie miałem takiego zamiaru.

— Teraz wszystko będzie dobrze, Chet — powiedział cichym głosem doktor Stearnes. — Tym razem nie odwrócimy się do ciebie plecami, mój chłopcze. Chcemy się tobą zaopiekować. Czyż to nie będzie miło?

Gwynne był okrutnie zmęczony.
— Będzie miło — powiedział.
— Nie chciałbyś pójść teraz ze mną, Chet?
Gwynne podniósł się powoli i aby się wesprzeć, objął ramieniem doktora Stearnesa: czterdziestoletni starzec znalazł podporę w osiemdziesięcioletnim młodzieócu.
— Naprawdę zaopiekujecie się mną? — spytał błagalnym tonem.
— Tak, Chet, postaramy się.
Doktor Stearnes spojrzał na Antoniego, uśmiechnął się i powoli wyprowadził Gwynne'a z sali sądowej. Antoni się wzdrygnął. Czy to dobry święty Mikołaj uśmiechał się do niego, czy chłodny, nieludzki naukowiec? W każdym razie oto Chet Gwynne schodził ze sceny życia w zaciszne odosobnienie na prowincji. Antoni pamiętał, że brzmiało to jak katorga, ale z ładną srebrną zastawą.
I oto wreszcie zjawiała się we własnej osobie złota dziewczyna, siejąc w ponurej sali blask jak sto kandelabrów albo jak dwieście milionów dolarów, albo jak ukochana — co kto woli.
— Antoś — powiedziała. — Mówić nie mogę z wrażenia. Kochany, to było wstrząsające. Czy jesteś okropnie zmęczony? Myślisz, że mógłbyś przyjechać dziś do mnie? Wieczorem? Bo może do tej pory ochłonę z wrażenia.
Nowy głos za zręczność.
— Przyjadę — powiedział.
Błysnęła uśmiechem, za którym przepadali fotoreporterzy, i odeszła.
Dziwne. Tak go wszyscy chwalili za zręczność, a nikt nie spojrzał głębiej, aby zadać zasadnicze pytanie, które powinno się nasunąć po każdym zakończonym procesie. Może nikogo to nie obchodziło, chyba że... chyba że... patrzył, jak Ludwik Donetti gramoli się do niego przez prawie pustą salę. Tłusty, łysiejący Ludwik w nie uprasowanym garniturze, marynarce obsypanej popiołem z cygar.

Czy on też odda swój głos za zręczność? Nie wydawało mu się. Będzie to nieprzyjemne, ale odświeżające usłyszeć opinię, jaka padnie z jego ust.

— Pomyślałem, że najgorsze wolisz sobie zostawić na koniec — powiedział tym swoim zgrzytliwym tonem jak dźwięk pilnika po żelazie. — Wiesz, że nie zamierzam ci gratulować.

— Wcale bym tego nie chciał.

— Ta sztuczka, którą zastosowałeś, nadaje się do książek.

— Już jest w książkach.

— Och. Wydawało mi się, że skądś to znam. Zawsze słynąłeś ze szperactwa, znajomości precedensów i wyszukiwania, jak pracowano w sądzie przed nami. W jakim procesie to odnalazłeś, Antoś?

— W jednym z tych, gdzie bronił Bill Fallon. Przed wielu laty, w Nowym Jorku. Czytałeś coś o Fallonie?

— Owszem. Adwokat-kryminalista. Sprytny jak zawsze. Jak się posłużył tą sztuczką?

— Bronił gościa oskarżonego o podłożenie ognia. Strażak zeznał, że przy pożarze czuł zapach nafty i że widział parę miejsc nią polanych. Na procesie Fallon go poprosił, żeby rozpoznał naftę po paru głębokich wdechach. Strażnik zatkał sobie nos i płuca wyziewami. Fallon podał mu szklankę z wodą. Strażak czuł już tylko naftę i tak też powiedział na wodę. Wyrok uniewinniający.

— W piękny sposób to wykorzystałeś. Twoi znamienici przyjaciele powinni ci się za to wspaniale odwdzięczyć.

— Myślisz?

— Cóż u diabła, Antoś. To imperatorowie z ostatnich dni Rzymu. Za gnuśni są, żeby osobiście walczyć. Gdzieś za bramami pałacu brudny i cuchnący plebs podniósł bunt, więc pretorianie wymaszerowali i dali draniom nauczkę. Ty jesteś wodzem pretorianów, chłopie. Muszą dbać o twoją lojalność. Możesz nawet

któregoś dnia zasiąść na tronie cezarów. Jeśli pamiętasz z historii, wielu wodzów tego dopięło.
— W twoim wydaniu, brzmi to zbyt romantycznie.
— Dla pretorianów zapewne też to nie było romantyczne. Wszystko da się zrobić, chłopie. A jak ty się z tym czujesz?
Antoni zmusił się do uśmiechu.
— Jak łajdak, dzięki.
— Nie przejmuj się za bardzo — powiedział Ludwik. — To w połowie moja wina. Straciłem z oczu istotę sprawy. Chciałem rozbić kilka witraży i wyciągnąć paru twoich przyjaciół na światło dzienne, żeby wszyscy zobaczyli, że to nie są takie katedralne posągi, jakby się wydawało. Ale żeby ich wywlec na dziedziniec, potrzebowałem twojej pomocy. Wiedziałem, że nie mam co o niej marzyć, dopóki będziesz widział jakieś inne wyjście. Więc przygotowałem cholerną sprawę za mało elastycznie. Wszystkie drzwi prócz jednych zabiłem młotkiem na głucho, żebyś nie miał gdzie palca wetknąć i musiał skorzystać z jedynych otwartych. Cóż, niektóre drzwi nie pasowały dobrze. Zamknąłem je na siłę. Pozwoliłem temu cholernemu kamerdynerowi, żeby próbował udowodnić za wiele. I to ci pozwoliło ściągnąć go w pułapkę. Straciłem z oczu
— Pozwól, że zapytam ze zwykłej ciekawości, co sądzisz o istocie sprawy?
— Istota polegała na tym, żeby się stało trochę sprawiedliwości.
— Myślisz, Ludwik, że on był winien?
— Nie wiem. Chyba i ty też nie wiesz. A to już wystarczy, więc puszczono go wolno. Może troszkę sprawiedliwości przekradło się tylnymi drzwiami. Ale nigdy nie zaprosiliśmy jej otwarcie. Nic innego nie robiliśmy, tylko staraliśmy się wzajem przechytrzyć i tobie się udało.
— Wiesz, Ludwik, że ryzykowałem piekielnie. Wypróbowałem tę sztuczkę na sobie i powiodła się. Ale nie było żadnej gwarancji, że się powiedzie z

kamerdynerem. Gdyby powiedział, że to dżin, zanim się go napił, dopiero zaczęłaby się zabawa. Sztukmistrze kiepsko wyglądają, kiedy im się numer nie uda.

Ludwik przyglądał mu się ciekawie.

— A jeśliby się nie udał, miałeś tylko jedną szansę obrony. Powiedz mi. Czy wódz pretorianów uderzyłby sam na pałac? Czy postawiłby Gwynne'a na podium dla świadków i szlag niech trafi znamienitych przyjaciół?

Antoni westchnął.

— Gdybym sam znał odpowiedź... — powiedział cicho. — Gdybym znał...

17

Kiedy tego wieczoru podjeżdżał do „Pałacu Kolumnowego" w Haverford, wszystkie latarnie wzdłuż wysypanego żwirem podjazdu jarzyły się, wysoki portyk kąpał się w świetle i wszystkie okna migotały. „Pałac Kolumnowy" iluminowany tylko z okazji wielkich wydarzeń: ślubu, urodzin, doniosłych rocznic albo na zakończenie wojny. Był to więc całkiem wyjątkowy wieczór. Ludwik Donetti powiedziałby zapewne, że nastąpił koniec wojny i pałac wita uroczyście powracających pretorianów.

Jedna z pokojówek otworzyła mu drzwi, zanim zdążył pociągnąć za dzwonek, i przejęła z jego rąk płaszcz i kapelusz tak jak zbroję. Pani Allen zeszła do hallu, aby go osobiście powitać.

— No, Antoni — powiedziała radośnie — mówiono mi, że siejesz w sądzie święty strach. Żałuję, że tego nie widziałam. Czy po drodze zauważyłeś iluminacje?

— Naturalnie. Przepiękne. Słyszałem, że to tradycja. Jakaż to uroczystość dzisiaj?

— To na twoją cześć. Wart tego jesteś, Antoni. Mamy z ciebie wielką pociechę. No, idę na górę i nie będę wam młodym przeszkadzać. Grację znajdziesz w salonie.

Antoni nieraz po ubiorze Gracji mógł odgadnąć, w jakim ona jest nastroju. Dzisiaj wygląd jej zdradzał nastrój dziewczęcy. Sandały, prosta biała suknia z powiewną spódnicą, cieniutki sznureczek pereł. Jasne włosy zaczesane do tyłu w koński ogon. Wyglądała tak, jakby się wybierała na swoją pierwszą zabawę taneczną i bała się, że nikt z nią nie zatańczy. Cichym głosem powiedziała:

— Witaj.

Uśmiechnął się do niej.

— A gdzież twoja starsza siostra ? Z nią właśnie przyjechałem się zobaczyć.

— Nie dokuczaj mi, Antoś. Wiem, że wyglądam jak mała dziewczynka. Bo i tak się też czuję.

— Czy to źle?

— Antoś, dopiero gdy proces się skończył i jak wyszłam, uświadomiłam sobie, jak strasznie się bałam.

— Czego się bałaś?

— Antoś, nie lubię się bać. Nie pamiętam nawet, żebym się kiedyś w ogóle bała. Masz podkrążone oczy, Antoś, Czy to było okropnie męczące?

— Trochę. Cała bieda, że moje uczucia wchodziły w grę. A adwokat nie powinien sobie na to pozwalać.

— Bałam się — powtórzyła. Spojrzała na niego, zamrugała powiekami i łzy puściły się jej z oczu. — Bałam się! — krzyknęła żałośnie i przypadła do niego łkając.

Nigdy jeszcze nie widział, żeby płakała. Aż trudno było uwierzyć, że cały jej spokój i urok mógł rozpłynąć się jak nadmiar szminki, spod której wyjrzała mała dziewczynka becząc, jakby przed chwilą spadła ze schodów. Podprowadził ją do kanapy i usiadł przy niej. Wsunęła się w jego objęcia i przytuliła się; pomaleńku gwałtowny płacz ucichał odzywając się tylko drżącym westchnieniem. Podniosła wilgotną twarz, jej dygoczące wargi przesuwały mu się po policzku, aż odnalazły

jego usta. Zupełnie jakby całował niemowlę. Głaskał jej połyskliwe włosy i powiedział łagodnie:

— Co cię tak gnębiło?

Spojrzała na niego oczami obudzonymi ze złego snu.

— To mogło być takie straszne — zachłysnęła się. — Wszyscy wiedzieliśmy, czego się można spodziewać po Checie, jeśli stanie na podium dla świadków. Kłamałby i kłamał, ale ludzie by mu wierzyli i nikt z nas nie uniknąłby zmieszania z błotem. I musielibyśmy ciebie znienawidzić, Antoś. Potępilibyśmy cię za to, jak gdybyś to ty zawinił, że Chet był słabym i złym człowiekiem. Usiłowalibyśmy ci zaszkodzić. A gdybyś nie dopuścił Cheta do zeznań i pozwolił, aby go skazano, odczulibyśmy ulgę, ale wtedy pogardzalibyśmy tobą. A ja nie chciałam ciebie nienawidzić! Nie chciałam tobą pogardzać! Chciałam ciebie kochać! Och, jakież to mogło być ponure i paskudne, a ja nie lubię ponurych i paskudnych rzeczy. Lubię, żeby wszystko było jasne i ładne. Rozumiesz coś z tego?

— Owszem. Rozumiem.

— Ale skończyło się dobrze, prawda, Antoś?

— Prawie wszyscy tak sobie pomyślą. Pociągnęła nosem i powiedziała:

— Naprawdę chcę ciebie kochać, Antoś.

— Za dużo słów w tym zdaniu. Brzmiałoby lepiej, gdybyś zwyczajnie powiedziała: kocham cię. Co ty na to?

Zadarła głowę i uśmiechnęła się jak przed obiektywem kroniki filmowej.

— Antoś — powiedziała — miesiącami nie bawiliśmy się w naszą zabawę „pytaj mnie jeszcze"!

— Chcesz powiedzieć, czas już, żebym cię znów zapytał, czy wyjdziesz za mnie? Czekaj, niech przybiorę posępny wyraz twarzy i przygotuję się na klepnięcie w policzek.

— No już, Antoś. Masz mnie zapytać.

— Kochasz mnie, Gracjo?

— To nie jest właściwe pytanie — nadąsała się.

— Daruj. Wyszedłem z wprawy. Zostaniesz moją żoną, Gracjo?

— Tak! — zawołała. — Och, tak, Antoś, zostanę! Zarzuciła mu ramiona ną szyję i przycisnęła się do niego,

Jakby nigdy nie miała go puścić.

„Doczekałeś się", jego umysł odnotował chłodno. Doczekałeś się pozycji społecznej, bogactwa, honorów i zaszczytów. Oto cała Filadelfia wpada ci w ręce. Cztery pokolenia, wliczając jego samego, pracowały na to, aby go wydźwignąć na ten absolutny szczyt. Okazało się, że jest to raczej chłodne i samotne miejsce. Uświadomił sobie, że nie powinien tak o tym myśleć. To tylko dziki splot szczęścia i przypadku sprawił, że znalazł się tutaj, ponieważ zakochał się w dziewczynie, która mogła — w normalnych okolicznościach — nigdy nie wyjść za mąż. Dawno temu obawiał się, że klucz do rozszyfrowania Gracji Shippen leży w prostym stwierdzeniu: ma wszystko, czego chce. A gdy mężczyźni wchodzili w grę, brak jej było towarzystwa człowieka, który by jej odpowiadał, niczego więcej. Ani miłości, ani małżeństwa, ani dzieci, niczego, co by naruszało promienny porządek jej życia.

Ale coś zakłóciło jej ład. Chet Gwynne wrócił do rodzinnego miasta, czarne i brzydkie zjawy zaczęły gnębić ją w snach. Za bramami pałacu brudny, cuchnący plebs podnosił bunt. Przez pewien czas jej czysty, wydestylowany świat zdawał się zagrożony. Ale człowiek, na którym zależało jej tylko jako na panu do towarzystwa, wysterylizował wszystko i przywrócił jej światu porządek. Więc wyjdzie za niego za mąż. Gotów był przyjąć ją na każdych warunkach, ale trudno mu było popadać w zachwyt. W istocie nie brała sobie męża. Brała sobie tylko polisę ubezpieczeniową.

A jednak miał z nią bardzo miłe życie. Musiał to Gracji przyznać. Mogła go sobie wziąć jako polisę ubezpieczeniową, ale nikt by nie zaprzeczył, że ponosiła koszty ochoczo i z radością. Pozostała nadal rozkosznym kompanem. Skłonna była przyznawać, że małżeństwo upoważnia męża od czasu do czasu do stosunku miłosnego z żoną. Osobiście nie przepadała za tego typu rozrywką, no ale mężowie na ogół lubią, aby żony towarzyszyły im w tym, tak jak w żeglowaniu, polowaniu, górskich wycieczkach i temu podobnych rzeczach — i po cóż im więc odmawiać? Naturalnie, igraszki miłosne mogły sprowadzić dość poważne skutki w postaci dzieci, ale to wchodziło w rachubę. W pierwszych czterech latach małżeństwa dała mu dwóch zdrowych synów i zrobiła to bez większego zamieszania.

Zamieszkali na stałe w „Pałacu Kolumnowym" i również zupełnie dobrze na tym wyszli. Gracja wyklarowała mu, że otrzyma pałac w spadku po babce, więc nie ma sensu kupować ani budować nic nowego. W innych okolicznościach mógł to być nie najszczęśliwszy pomysł, żeby wiązać się z rodziną żony, ale pani Allen nie była teściową, tylko babką, a „Pałac Kolumnowy" miał potężne rozmiary, więc nie deptano sobie nawzajem po piętach.

Jeśli współżycie z panią Allen kryło w sobie zarodek niesnasek, to ich żywot nie trwał długo. W dwa lata po ich ślubie z Gracją pani Allen zaczęła podupadać na zdrowiu. Oczywiście, nigdy się do tego nie przyznała. Zwalała wszystko na lekarzy, na klimat, bo sama przecież jest żwawa jak zwykle. Do samego końca przewlekłej choroby walczyła zażarcie z dolegliwościami, czepiając się zużytej tkaniny życia, jak gdyby była to jedna z owych staromodnych sukni, które z uporem nosiła. Zachowała jasność umysłu i miała jedno wielkie upodobanie: ciągłą zmianę zapisów w testamencie. Sporządzała swoje kodycyle i rozwijała je

jak bandery wojertne w walce z losem, i kiedy w końcu umarła, rozchylono jej kruche palce zaciśnięte na pliku bibułek zawierających jej ostatnią wolę.
Jednego tylko kodycylu nie zmieniła nigdy. Był to ów słynny zapis, w którym powierzała swoją suczkę Piękną Gracji. Był też i inny, o którym Antoni nic nie wiedział. Zapis ów przeznaczał mu pięćset tysięcy dolarów. Co do reszty, majątek został podzielony między Grację oraz bliższych i dalszych krewnych, Antoni zaś i bank zostali naznaczeni egzekutorami testamentu. Gracja otrzymała również „Pałac Kolumnowy". Większość udziałów w Kompanii Naftowej Allena poszła na fundację charytatywną, którą Antoni pomagał pani Allen zakładać. Pomogło to, naturalnie, uniknąć ogromnych podatków spadkowych i rzucania potężnych akcji na rynek. Oczywiście, Antoni pokierował sprawą w ten sposób, że udziały dające prawo głosu przeszły na rzecz krewnych, a więc nadzór nad Kompanią Naftową Allena pozostał w rękach rodziny.
W firmie szło mu wszystko bez wysiłku, tak jak podróż kolejką Podmiejską. Kariera jego jak pociąg biegła po wyznaczonych torach i człowiek nie tyle zwracał uwagę na stałe posuwanie się naprzód, co na chwilowe przestoje. Naturalnie, tuż po ślubie z Gracją nazwisko jego przefrunęło nad ową dwucentymetrową otchłanią po lewej stronie nagłówka firmy „Morris, Clayton, Biddle i Wharton". Któregoś dnia, jeśli okaże się pożądane, nagłówek ów będzie brzmieć: „Morris, Clayton, Biddle i Lawrence". Został dyrektorem jednego z najpoważniejszych banków w mieście i wszedł do zarządu znanego towarzystwa ubezpieczeń. Kiedy już osiągnęło się ten punkt, nowi klienci napływali sami, bez żadnych zachodów. Wśród nich znalazł się klient niecodzienny. Bez zapowiedzi wkroczył któregoś dnia do gabinetu. Potężny siwy mężczyzna odsunął na bok sekretarkę niczym buldożer małe drzewko.
— Boże święty — zawołał Antoni — wujek Michaś! Ileż to lat?

Trzeba było mieć kolosalną siłę, żeby wymienić uścisk dłoni z Michałem Callahanem.

— Policz sobie — powiedział wujek Michaś — od 1929 roku. Dwadzieścia trzy lata, jak ulał.

— Słusznie. Pracowałem wtedy przez lato w Akademii Franklina. Dwóch gości, których poleciłeś do reprezentacji, uczyło mnie grać w rugby. Zaraz, niech sobie przypomnę. Al Horder i Józko... Józko...

— Józko Krakowicz. Fajne chłopaki. Józko jest teraz inspektorem hutniczym. Al był w komandosach. Zginął na wojnie. Ale widziałem cię od tamtych czasów. W gruncie rzeczy wybrałem się parę razy, żeby zobaczyć, jak sobie radzisz na boisku w barwach Akademii. Spisywałeś się nieźle. Jeszcze z osiem kilo wagi, a zęby by na tobie łamali.

— Czyś to ty pomyślał o owym zajęciu dla mnie na lato? I o tym, żeby Józko i Al mieli mnie na oku? Nieraz zachodziłem w głowę...

— Kto? Ja? A po cóż bym to robił? Specjalnie się tobą nie interesowałem.

— No to po co, w takim razie, chodziłeś potem oglądać, jak gram?

— Bo zaciekawiłem się trochę, jak mi Józko i Al powiedzieli, że będą z ciebie ludzie. Cóż to takiego, śledztwo, czy co?

— Przepraszam — powiedział Antoni. — Śmieszna rzecz, nigdy się nie spotkaliśmy w ciągu ostatnich paru lat. A słyszę o tobie. I po całym mieście widzę ogromne tablice: Przedsiębiorstwo Budowlane Callahana.

— Cóż, nie chodzimy obaj tymi samymi drogami. Naniósłbym przecież błota do Filharmonii albo do waszego klubu, albo do innych dostojnych miejsc, gdzie ty się obracasz. Nawet teraz naniosłem ci błota. Widzisz? Nikt mnie porządnie nie wychował.

— A nanieś mi go na samo biurko, jeśli chcesz. Ma zdrowy zapach.

— Wiesz, skąd tym razem pochodzi? Rozwalamy w Filadelfii ostatni chiński mur. Stawiam na tym miejscu biurowiec. Potrzebna mi do tego osobna spółka akcyjna. Pomyślałem sobie, że mógłbyś załatwić mi formalności.
— To najmilszy zaszczyt, jaki mnie w mojej karierze spotyka. Michał Callahan sarknął.
— Uważasz? W takim razie spodziewam się, że odpowiednio obniżysz honorarium. No, rzecz polega na tym...
Od tego czasu widywał się z Michałem Callahanem dość często i pomaleńku większość interesów prawnych Przedsiębiorstwa Budowlanego Callahana znalazło drogę do firmy „Morris, Clayton, Biddle i Wharton".
Tak więc szły sprawy w domu i w biurze. Gładkie, udane życie nie kryło w sobie jednak nic szczególnie ważnego. Na szczęście miał co do roboty w mieście i to go absorbowało. Naturalnie, zaniechał zabawy w adwokata-kryminalistę, bo spostrzegł, do czego to może prowadzić. Ale znalazł sobie łatwo inne hobby. W całym mieście zaczynało się wielkie ożywienie. Wiele starych kamienic i starych przekonań szło na szmelc, a na ich miejscu wyrastały rzeczy nowe. Stowarzyszenie Sędziów i Izba Adwokacka postanowiły przeprowadzić pracę badawczą na terenie sądów grodzkich i Antoniego poproszono na przewodniczącego komisji. Grupa czołowych bu-sinessmenów zorganizowała akcje rozbudowy Filadelfii i zaczęła przygotowywać nową konstytucję miejską. Antoni pomagał w jej opracowaniu, a potem przepchnięciu. Trafiały się i inne zajęcia w sprawach koordynacji działań władz miejskich i okręgowych czy dystrybucji żywnościowej. Można było uczestniczyć w takich inicjatywach i nie zabrudzić sobie rąk; walki odbywały się tu na bardzo wysokim poziomie. Było więc to przyjemne życie i może nawet pożyteczne.
Z Ludwikiem Donetti w owych latach widywał się często. Ludwik poważnie się wybijał, zasiadał teraz w Radzie Miejskiej i pozyskał sobie sporo głosów w

okręgach wyborczych Filadelfii-Południe. Gdy inicjatywa obywatelska wymagała poparcia Rady, Ludwik bardzo się przydawał, gdyż poczynał sobie w polityce jak doświadczony gracz przy stole bilardowym. Antoni zyskiwał od niego nader owocną pomoc. Wiedział naturalnie, że Ludwik jako trzeźwy polityk zażąda któregoś dnia zapłaty, nie był przeto zaskoczony, gdy chwila ta nadeszła.
W kalendarzu Antoniego figurowała tego dnia zwykła notatka: „Donetti o jedenastej", domyślił się więc, że coś się szykuje, kiedy Donetti zjawił się nie sam, ale w towarzystwie Michała Callahana. Komplementowali go przez kilka minut, że świetnie wygląda, z czego wynikało, iż chcą go przygotować na mocny wstrząs.
— Dzieciaki zdrowe? — zagadnął Ludwik.
— O, jak rydze. Wierzyć się nie chce, ale mały Antoś na jesieni idzie już do szkoły.
— Siedem lat żonaty, a tylko dwoje dzieci — powiedział Michał. — Lepiej weź się do roboty.
— Patrzcie, kto to mówi! — rzekł Ludwik. — Dlaczego się nigdy nie ożeniłeś, Michał?
— Jakoś się nie składało. Chciałbym kiedyś zobaczyć twoich pętaków, Antoś.
— Przyjedź do nas na kolację. Co powiesz na najbliższy piątek?
— Poczekaj, aż się dowiesz, z czym przychodzimy. Bo może cofniesz zaproszenie.
— Nie zgadzam się — powiedział Ludwik. — Ta drobnostka, z którą przychodzimy, dotyczy mnie, Antoś. Nie zdenerwujesz się przecież tym, że twój stary druh, Ludwik, potrzebuje trochę pomocy.
— Rozczuliłeś mnie — rzekł Antoni. — Wyciągnij wreszcie tego kota z worka, a zobaczymy, co z tego wyniknie.
Ludwik uśmiechnął się jak cherubin na staroitalskim fresku.
— Obiło ci się chyba o uszy — powiedział — że siedzę trochę w polityce.
— Tylko po samą łysinę — dorzucił Michał.

— A jak facet robi w polityce, to lubi się wybijać. Wiesz tak jak i wszędzie.
— Dobra — powiedział Antoni. — Na co chcesz kandydować
— Nie to, że ja chce — odparł Ludwik jakoś zmieszany. ~ Tylko że niektórzy moi przyjaciele myślą, że powinienem.
— Strzeżcie się, chłopcy — rzekł Antoni. — Nadchodzi Donetti z niewinną miną.
— Mój zamiar może tobą trochę wstrząsnąć.
— Owszem, jeśli zamierzasz kandydować na biskupa.
— Zamierzam — rzekł Ludwik rozciągając słowa, jakby go ktoś do tego zmuszał
— kandydować na burmistrza.
— No masz... — wymamrotał Antoni.
— Co o tym sądzisz, Antoś? — zagadnął Michał niespokojnie.
— Chciałbym usłyszeć, co Ludwik o tym sądzi, bez głodnych kawałków, że robi to pod groźbą pistoletu. Co się za tym kryje, Ludwik?
— Z ciebie jest trzeźwo myślący facet — rzekł Donetti — więc powiem ci to bez osłonek. Jestem politykiem. Chcę się wybić. W innych czasach może zrobiłbym to samo, co niegdyś nasi wielcy. Zbudował maszynkę wyborczą. Przechwycił kandydaturę. Kupował głosy. Idźcie ze mną, a dostaniecie posady, przydział węgla i chleba. Dalej wydusiłbym z każdego ostatni grosz na kampanię wyborczą. Jeden i drugi szwindelek i szafa gra. Ale wiesz co? W naszych czasach to nie wychodzi. Zaproponujesz im przydział węgla i chleba? To cię wyśmieją. Mają odszkodowania dla bezrobotnych albo zapomogi. Zaofiarujesz im posady? Kiedy większość posad spoczywa w rękach państwa. Szwindle? Pewno, jeszcze można szwindlować. Ale w naszych czasach nie da się stworzyć niepokonanej maszynki wyborczej, więc skąd masz pewność, że uda ci się przejść w wyborach i zatuszować potem szwindelki? Więc, jak widzisz, zostaje nam droga prosta. Użyczyć tyle tylko łask i posad, aby agitatorów wyborczych nie zrazić, ale i nie zadowolić, a samemu puścić się na wolne wybory. To gwarantuje dobre rządy.

Taka jest właśnie platforma Donettiego, niezależnie od tego, czy się podoba, czy nie.

Antoni uśmiechnął się z przekąsem.

— Jesteś pewny, że tego twojego cynizmu nie zaraził paskudnie idealizm?

— Jeśli zaraził — powiedział Ludwik swoim zgrzytliwym tonem — to jak tylko złapię doktora, każę sobie wstrzyknąć Penicylinę.

Michał zagadnął:

— Co o nim sądzisz, Antoś?

— Sądzę, że byłby z niego dobry burmistrz.

— Ale jak oceniasz jego szanse na przejście w wyborach?

— Nigdy nie mieliśmy burmistrza o włoskim nazwisku.

— Wal kawę na ławę — powiedział Ludwik. — Uważasz, że nie mam szans.

— Dobra. Uważam, że nie masz co marzyć. Jesteś z partii republikańskiej. Republikanie dysponują u nas maszynką wyborczą wyciągniętą prosto z rupieciarni. Demokraci są przy władzy. Mają taką maszynkę, że o lepszą trudno w naszych czasach. Wypłynęli na programie reform. I poczynili reformy.

— To było dobre w ubiegłych czterech latach — powiedział Ludwik. — Teraz ich nimb w wielu oczach mocno wypłowiał. W Radzie Miejskiej o reformie brzydko się już wyrażają. Chciałbym widzieć, jak my, Republikanie, bierzemy się znów do władzy. Nawet gdybyśmy nie zwyciężyli, moglibyśmy chłopaków z Rady nauczyć trochę przyzwoitości. Nie mam nic przeciwko Demokratom. Po prostu lubię system dwupartyjny, nic więcej. A w tej chwili mamy system jednopartyjny, a to nie jest dobrze.

— Absolutnie się z tobą zgadzam — powiedział Antoni. — Ale dzięki temu nie staniesz się jeszcze burmistrzem. Nie obrażaj się, Ludwik, ale poza południową dzielnicą Filadelfii nikt o tobie nie słyszał.

— Doszedłem do tych samych wniosków — powiedział Ludwik. — Więc wykoncypowałem sobie, że najpierw będę kandydował na prokuratora dzielnicowego, a po czterech latach spróbuję na burmistrza.
— Prokurator dzielnicowy? Hm, to lepszy pomysł. Ale tak jak sprawy stoją, nadal wątpię w twoje szanse.
— Chcemy wiedzieć tyle — odezwał się Michał — czy nas poprzesz, jeśli Ludwik postawi swoją kandydaturę? Możesz coś zdziałać w świecie wielkiej finansjery. Możesz zgromadzić pieniądze. Zechcesz się tego podjąć? Czy uważasz, że Ludwik wart jest solidnego poparcia?
— Będę na jego rzecz pracował. No, a ty?
— Cóż u diabła — burknął Michał. — Co warta maszyna bez irlandzkiego przedsiębiorcy? Demokraci mają Kelly'ego i McCloskeya. Republikanom i Donettiemu potrzebny jest Callahan.
— Jestem z wami — powiedział Antoni. — Ale ciągle wątpię, czy się to uda.
— Uda się, uda — rzekł Ludwik. — Jest jeden drobiażdżek, o którym jeszcześmy nie mówili. Mamy pod ręką taki atucik, że wszystko pójdzie jak z płatka.
— Nie wierzę wam. Co to takiego?
— Ucieszysz się jak nigdy — powiedział słodziutko Ludwik. — Najpierw ty kandydujesz na prokuratora dzielnicowego. Najpierw ty kandydujesz na burmistrza. Śliczne, co?
Antoni zerwał się na równe nogi. Ciało go parzyło, jakby wyskoczył z pieca.
— Jak Boga kocham — powiedział ze złością — w taki sposób zastawiać na mnie pułapkę!
Ogromna, czerstwa twarz wyrosła mu przed oczami.
— Ty mi nie mów — warknął Michał — że zastawiliśmy na ciebie pułapkę.
Ludwik zachichotał i rzekł:

— Podobni jesteście jak dwie krople wody, kiedy tak patrzycie na siebie jak zbóje. Uspokójcie się, dobrze?
— Po prostu nie chcę, żeby źle sobie o nas myślał — powiedział Michał odwracając się i usiadł.
— Przepraszam was — powiedział Antoni. — Zaskoczyliście mnie tak obcesowo.
— Jeśli ktoś tu stawiał pułapki — rzekł łagodnie Ludwik — to ty sam, bracie. Przygotowywałeś sobie tę pułapkę od dziesięciu lat. Kandydowałeś na burmistrza już wtedy, kiedy zacząłeś się zabawiać w Robin Hooda po sądach grodzkich, i to nie nasza wina, żeś sobie wmówił, że idziesz tylko na majówkę. Byłeś jak ta dama na plaży, co dotyka nóżką wody i piszczy, żeby ją wszyscy widzieli. Dawaj nurka, psiakrew, dawaj nurka!
— Powariowaliście jeden z drugim.
— Wychowywaliśmy cię — powiedział Michał — wypróbowaliśmy cię i wprowadziliśmy cię w pracę społeczną od sześciu czy siedmiu lat. Nie możesz nas teraz zawieść.
— Ale skąd wam strzeliło do głowy, że mogę wygrać w wyborach?
— Boże święty — westchnął Ludwik. — Tego tylko brakowało, mamy go jeszcze uczyć polityki. Jesteś przystojny, bracie. Nie myśl sobie, że ludzie zapomnieli o sławie Robin Hooda. Maluczcy nigdy nie zapominają możnym, że chcieli im pomóc. Naciskamy tę sprężynkę we właściwym miejscu i Robin Hood dostaje sto pięćdziesiąt tysięcy głosów. Wykorzystujemy te zasługi, jakie położyłeś w pracy badawczej nad sądami grodzkimi i w innych komitetach, i mamy drugie sto pięćdziesiąt tysięcy głosów niezależnych. Michał, tak jak tu siedzi, pościska łapy kilkunastu wpływowym wyborcom i masz sto tysięcy zrzeszonych głosów. Ja ci przynoszę pięćdziesiąt tysięcy głosów z dzielnicy południowej. Masz stosunki wśród finansjery i wśród wyższych sfer, to ci daje pięć tysięcy głosów, i oto cały majątek, jakiego nam trzeba. W sumie czterysta pięćdziesiąt pięć tysięcy głosów,

bracie. Tylko siedemset siedem tysięcy głosów oddano w ostatnich wyborach na prokuratora dzielnicowego. Masz wygraną w kieszeni. A po czterech latach śmigasz na burmistrza.

Antoni w milczeniu przeszedł się kilka razy po gabinecie. Twarze gości —jedna wielka i czerwona, druga tłusta i ziemista — przyglądały mu się jak szydercze maski. Powiedział wreszcie:

— Strzeliło wam do głowy, że kandydowałem bez własnej wiedzy i że mam szanse w wyborach, niech będzie. Ale powiedzcie, czy istnieje choć jeden powód, dla którego naprawdę powinienem kandydować?

Michał rzekł: — Uznałeś powody, dla których Ludwik powinien kandydować, nieprawdaż?

— Tak, ale...

— No, wiec w twoim wypadku są one dwa razy mocniejsze.

— To był bluff z tą kandydaturą Ludwika?

— Żaden bluff — rzekł Ludwik. — Ale ja się nie nadaję do tego, żeby wysadzić Demokratów z siodła. A ty się nadajesz. Poprę cię w wyborach na prokuratora, a sam będę się znów ubiegał o fotel w Radzie Miejskiej. A kiedy ty wysuniesz swoją kandydaturę na burmistrza, to ja z kolei na prokuratora. Wreszcie kiedy opinia publiczna stwierdzi, że spisywałeś się dzielnie jako burmistrz i znienawidzi cię za to, a za karę wybierze cię jeszcze raz, jeśli to zniesiesz, to potem mały Ludwiczek wysunie swoją kandydaturę.

— W twoich ustach brzmi to całkiem zachęcająco.

— Zachęcająco? Dla kogo? Będziesz musiał zejść prosto między ludzi, bracie. Wielu z nich je czosnek i niezbyt często się myje. Szukają tylko własnych korzyści. Może wyświadczyłeś im przysługę w ubiegłym tygodniu, ale co, u diabła, zrobiłeś dla nieb dzisiaj? Nie zapraszamy cię do klubu towarzyskiego.

Prosimy cię, żebyś wziął w swoje ręce władzę nad ogromnym i trudnym miastem, i traktujemy to na serio.
— Kiedy ja nawet nie mieszkam w mieście — powiedział Antoni. — Tylko w Haverford.
— No, jak się chwyta takiej słomki, to znaczy, że zmiękł — wtrącił Michał.
— Sami wiemy, gdzie mieszkasz — rzekł Ludwik. — Nawet gdybyś tam mieszkał na stałe, byłoby to bez znaczenia, bo mógłbyś się tu przenieść w razie potrzeby. Ale Haverford nie jest twoim prawnym miejscem pobytu. Cały czas zachowywałeś w mieście mieszkanie, które zajmuje twoja matka. Tutaj też głosujesz. Czy mam cytować odpowiednią ustawę seniorowi firmy „Morris, Clayton, Biddle i Wharton"? Siedziba obywatela znajduje się tam, gdzie jego stałe miejsce pobytu. Nieobecność paromiesięczna czy wieloletnia nie gra roli, dopóki istnieje intencja powrotu. Nigdy od nas nie odszedłeś, bracie. Cały czas gdzieś tam żyła w tobie świadomość, że jesteś z tym miastem związany na zawsze. Ma się rozumieć, istotnie będziesz musiał się tu przeprowadzić.
— Gracja za żadne skarby nie przeniesie się do miasta. Nie macie pojęcia, co wy mi każecie poświęcić.
— Gdybyś nie musiał niczego poświęcać, nie warto byłoby wysuwać cię na urząd — rzekł Ludwik.
— Wielu ludzi — powiedział Michał cichym głosem — poświęcało się na to, żeby ci pomóc wydźwignąć się tam, gdzie teraz jesteś. Między innymi twoja matka.
Wpatrywał się w potężnego starca i obudziło się w nim dalekie wspomnienie. Kiedyś przed laty, gdy był małym chłopcem, uczynił coś, co stało w związku z matką i z wujkiem Michasiem. Jakiś bolesny postępek, który pamięć skryła w najciemniejszy kąt, aby go więcej nie gnębił. Nie chciał teraz wywlekać tego. Ale miał przeczucie, że gdyby to zrobił, wyszłoby na jaw, że Michał Callahan się nie myli.

— Muszę to sobie przemyśleć — wymamrotał. — Muszę porozumieć się z Gracją. Ile mi dacie czasu?
— Do jutra rana — rzekł z miejsca Ludwik.
— Nie dacie mi nawet odsapnąć, co?
— Słuchaj — powiedział Ludwik — od lat masz w głowie formowaną decyzję. Tylko że nie wiesz, w jakim idzie kierunku, Resztą my też nie wiemy. Ale jaka by była, ty już jej nie odmienisz.
Zmieniasz się bodaj tak łatwo, jak posąg Billa Penna na szczycie magistratu. Nie masz nic innego do roboty, tylko zbadać, w jakim kierunku zmierzasz przez całe życie, i poinformować nas o tym. Mógłbyś to zrobić w dwie godziny, ale masz prawo najpierw zobaczyć się z żoną. Więc do jutra rana. Albo dzwoń w nocy do Michała, obojętne, o której godzinie.
Nie popatrzywszy więcej na niego wstali i bez podania rąk wyszli wolnym krokiem z gabinetu.
Siedział z żoną przy kolacji starając się upatrzyć odpowiedni moment. Obaj chłopcy, mały Antoś i Ship, piorunem uwinęli się zjedzeniem i czmychnęli od stołu, żeby przed snem wyhasać resztę piekielnej energii. Nie miał co dłużej zwlekać. Ale i zacząć było mu trudno. Od siedmiu lat ta chłodna, wymuskana kobieta była jego żoną, ale pozostała mu równie daleka, jak w pierwszym dniu ich spotkania. Nigdy nie doczeka się odpowiedniej chwili do postawienia swojej sprawy.
— Odwiedziło mnie dziś dwóch ludzi — powiedział. — Michał Callahan, ten od Przedsiębiorstwa Budowlanego, i Ludwik Donetti. Pamiętasz Ludwika.
Wzdrygnęła się lekko.
— Aż za dobrze. Bardzo nieprzyjemny człowiek.
— Wcale taki nie jest, kiedy się go bliżej pozna.

— W mieście musisz się zadawać z najdziwaczniejszymi ludźmi, prawda, kochanie? Zwłaszcza w swojej pracy społecznej. Czasem zdaje mi się, że robisz więcej, niż przyzwoitość wymaga.
— A czego przyzwoitość wymaga?
— Chyba troszkę więcej niż mamy na to czasu. Tak się przynajmniej sprawa układa z moimi zajęciami w towarzystwie dobroczynności.
— Nie cierpię tego słowa. Nie lubię niczego robić z łaski.
— Ależ, kochanie, nazwij to, jak ci się podoba. Niech będzie, że z poczucia obowiązku obywatelskiego, jeśli ci to pomoże.
— Boję się, czy oboje nie robimy za mało.
— Biedaku. Coś cię dręczy, nieprawdaż? Przypomnij sobie tylko, że ty i ja, i ludzie z naszej sfery więcej się udzielają społecznie niż wszystkie inne warstwy.
— Udzielają. Tylko się udzielają. A ja ciekaw jestem, czy zamiast się udzielać, nie powinniśmy oddać się pracy. I to takiej, od której nie da się wykręcić, kiedy bieg spraw staje się gwałtowny albo kiedy ma się inne zajęcie.
Uśmiechnęła się do niego.
— Dobrze, kochanie. Czego pan Callahan i ów osobnik Donetti od ciebie chcieli?
Zaczerpnął powietrza.
— Chcą, żebym w najbliższych wyborach kandydował na prokuratora okręgowego, a po czterech latach na burmistrza.
Delikatny uśmiech zadrżał na jej wargach.
— Śmieszne — powiedziała lekkim tonem.
— Tak też im odparłem. Ale słuchać nie chcieli. Mieli w zapasie mnóstwo argumentów.
— Jakżeby inaczej.
— Skończyłem na tym, że chcę z tobą porozmawiać i dam im odpowiedź do jutra rana.

— Obszedłeś się z nimi bardzo taktownie, Antoś. Głęboki oddech nic mu nie pomógł, chyba żeby miał płuca jak miechy.
— Nie o to chodzi — powiedział. — Potrzebowałem czasu na podjęcie decyzji.
Uśmiech znikł z jej twarzy. Wlepiła w niego oczy, jakby zszedł na kolację nie ogolony, z brudem za paznokciami.
— Daj spokój — powiedziała karcąco. — Czas na decyzję! Cały pomysł jest niedorzeczny i sam wiesz o tym.
— Nie taki znowu niedorzeczny, jak ci się wydaje. Obaj wierzą, że mogę wygrać, i mają na to argumenty. Niech ci opowiem, jak do tego doprowadzili i dlaczego uważają, że powinienem kandydować. — Przedstawił jej całe tło sprawy i powiedział: — Więc rzecz nie jest ani śmieszna, ani niedorzeczna, nie uważasz?
Słuchała spokojnie nie odzywając się, tylko jej paznokcie stukały leciutko o stylowy stół.
— Mój kochany — powiedziała — moja opinia nie miała nic wspólnego z tym, czy wygrasz, czy nie. Z chęcią przyznaję, że byłbyś mocnym kandydatem. Ale to nie wchodzi w rachubę. Nie mają też znaczenia względy, dla których ludzie chcieliby wysunąć twoją kandydaturę. Sprawa jest niedorzeczna, bo po prostu nie pasuje do naszego trybu życia.
— Tak nam jest bardzo dobrze, prawda?
— No wiesz, Antoś! Stoi za tym dziesięć pokoleń, całe nasze wychowanie i kultura, a ty chcesz to kwestionować? I dla polityki chcesz to wszystko przefrymarczyć? Żebrać wśród najgorszych mętów, żeby na ciebie głosowały? Pozwolić szargać własne nazwisko? Przenieść się do miasta, do tego brudu, krzyku i zbrodni? Och, mój kochany, czy mam agitować za tobą po rogach, wyobrażasz sobie mnie w tej roli?! — Roześmiała się uroczo i wstała od stołu. — Idę po dzieciaki, żeby je położyć do łóżka. Od pewnego czasu czytam im do poduszki po

parę stron „Rodziny osadników". Więc pakuję chłopców do łóżka trochę wcześniej niż zwykle.
Uśmiechnęła się do niego i wyszła z pokoju, smukłe bóstwo — w domu, jak w świątyni, bardzo pewna siebie. Westchnął, wstał od stołu i przeszedł do salonu. Naturalnie, wiedli bardzo przyjemne życie. Schludne i higieniczne. Odizolowane od wulgarnej wrzawy. Urocza żona, dwóch rozkosznych brzdąców, intratny zawód i powszechny szacunek. Gracja miała mocne argumenty za sobą. Tylko że nie chciała z nim dyskutować, spokojnie wytrąciła mu decyzję z rąk. Jeszcze z nią o tym porozmawia.
Przeczytał „Kurier Wieczorny", przerzucił kilka ilustrowanych tygodników. Że też Gracja tak długo siedzi u dzieci, nawet jeśli im czyta „Rodzinę osadników". Widocznie uważa, że wolno dzieciom pozwolić na znajomość z tą rodziną, bo pierwsza osiadła na swojej wyspie. To nasi przodkowie, chociaż mieszkali w jaskiniach. Pierwsi filadelfijczycy po osiedleniu schronili się na całą zimę w jaskiniach nad Delaware. Więc jaskinia stanowi całkiem przyzwoity adres, pod warunkiem, że był on aktualny w dalekiej przeszłości.
„Gdzież, u diabła, ona się podziewa?"
Poszedł na górę i zajrzał do chłopców. Gracji nie zastał, a chłopcy spali. Na stole leżała otwarta „Rodzina osadników", na obrazku ktoś strzelał do niedźwiedzia. Niedźwiedzie to brudne i cuchnące stwory i należy do nich strzelać, zwłaszcza gdy chcą wtargnąć do najporządniejszych domów, przepraszam, jaskiń.
Poszedł korytarzem i zauważył światło pod drzwiami garderoby Gracji. Zapukał do drzwi i zawołał, odpowiedziała mu, żeby wszedł. Siedziała przy toalecie odwrócona do niego plecami.
Czesała się, a kiedy wchodził, zgasiła lampkę na toaletce. Zastanawiał się, czy oczy go nie zmyliły w tej sekundzie, zanim światło zgasło. Zmieniła sukienkę, którą miała przy kolacji, na czarny peniuar z szyfonu. Ale w błysku lampki

zdawało się, że nie tylko suknię zmieniła. Światło przenikając przez szyfon ukazało gładki zarys ramion, smukłe wcięcie talii i krągłość piersi.
Teraz, kiedy lampka zgasła, sam nie wiedział, czy mu się to przyśniło. Ale chyba tak. Miała skłonność do pruderii i nigdy nie pyszniła się nagością.
Ale nie przyśnił mu się czarny peniuar z szyfonu. Ofiarował go jej przed kilkoma laty. Miała go na sobie raz czy dwa i więcej go nie zobaczył. Potem dopiero dowiedział się, że peniuar nie podobał się jej, ponieważ był odrobinę za wulgarny. A tu włożyła go dzisiaj.
— Antoś — powiedziała dziwnym głosem — miałam cię zawołać za kilka minut.
— Co ty powiesz?
— Niełądnie się obeszłam z tobą przy kolacji. Później zdałam sobie sprawę. Odepchnęłam wszystko na bok bez zastanowienia, prawda?
Znajdował się tuż za nią i wytrzeszczył oczy. Oświetlenie było słabe; wciąż nie był pewien tego, co widział. Ale zdawało się, że na jej ciele leży tylko delikatny cień szyfonu.
— Byłaś trochę szorstka — powiedział. Pogłaskał jej połyskujące włosy, szyję i pomaleńku dotknął ramion. Palce mu ścierpły. Pod szyfonem nie miała nic.
— Zasłużyłeś sobie na to, żebym cię lepiej traktowała — rzekła drżąc pod dotykiem jego rąk. — Właściwie zasługujesz na więcej, niż ci dotychczas dałam. Pamiętasz, jak podarowałeś mi ten peniuar?
Wpił palce w jej ramiona.
— Przestań się ze mnie śmiać. Zerwała się i przybliżyła do niego.
— Słuchaj — powiedziała napiętym głosem — wiesz, że nigdy nie porzucę wszystkiego, żeby razem z tobą babrać się polityką. Wiesz o tym dobrze, prawda? Wiesz, że to oznacza separację, Antoś. Zostałabym tutaj i zatrzymałabym chłopców, a ty byś musiał iść sam swoją drogą. Ale ja do tego nie dopuszczę. Ja ciebie zatrzymam. Rozumiesz?

— Nie bardzo. Jeśli chcesz, żebym trzeźwo myślał, to lepiej się ubierz.
— Nie możesz przestać myśleć choć parę minut? Przeciągnął rękami po jej ramionach. Szyfon z szelestem uciekł mu spod palców, obnażając jej ramiona, ręce i ześliznął się po jej ciele jak cień migający w świetle księżyca. Nie chciał stracić panowania nad sobą, ale ciało miała urocze i nigdy jeszcze nie ofiarowywała mu go tak, jak tej nocy, z jakąś osobistą chęcią.
— Czy tak ci się podobam? — szepnęła.-— Czy tak kobieta zdobywa mężczyznę? Bo ja cię tu zatrzymam, Antoś, choćbym nie wiem co miała zrobić.
Wziął ją w ramiona. To już nie była chłodna boginka, która pozwalała, aby odprawiano nad jej ciałem pewne obrzędy o tradycyjnych porach roku. Tylko smukłe, błyskające bielą stworzenie, które dopadło go w mroku pokoju, wijąc się, drapiąc, gryząc, walcząc z nim razem i przeciwko niemu. Była to szalona historia. Cóż o niej myśleć — że wychowanie i kultura wpajane od dziesięciu pokoleń znikły w mgnieniu oka. Czy też — że krew dziesięciu pokoleń twardych ludzi walczy jak zwykle o prawo do posiadania. Albo dać spokój myśleniu i pogrążyć się całkowicie w purpurową ciemność.
Kiedy już było po wszystkim, wstał obolały i ubrał się, świadom tego, że ona leży na łóżku wpatrując się weń pytającymi oczami.
— Antoś — szepnęła w końcu — coś mi się dziś przytrafiło, coś takiego jak nigdy.
— Tak? — powiedział. — No co?
Głos mu chrypiał jak na starym fonografie.
— Antoś, po siedmiu latach małżeństwa, czy to nie głupio się w tobie zakochać?
Milczał.
— To jest różnica, prawda, Antoś? Nie mógłbyś mnie teraz porzucić, powiedz?
Podszedł do łóżka i pochylił się, żeby ją pocałować. Zdumiał się napotykając wargi tak łagodne, ciepłe i uległe. Okrył ją kocem.

— Tak, to jest różnica — powiedział. — O tyle trudniej będzie mi się zdecydować. Zejdę na dół i przemyślę rzecz całą.
Zamykając drzwi garderoby posłyszał za sobą płacz.

20

Zszedł wolno po schodach z sypialni czując, jak krew szaleńczo tętni mu pod czaszką. Wdrożył się jednak do tego, aby nigdy nie zdradzać się z tym, co go boli. Zachowywał więc uśmiech na twarzy schodząc do swojego gabinetu. Z westchnieniem ulgi zagłębił się w fotelu za biurkiem. Własne biurko zawsze pomaga człowiekowi. Jest jak twierdza chroniąca przed obcym i wrogim nieraz światem. W walce z przeciwnikiem zawsze popełnia się błąd podejmując atak w jego gabinecie. Należy go zwabić na swój własny teren, przed własne biurko, gdzie nie będzie się czuł tak pewny siebie.
Lecz tym razem nie miał do czynienia z mężczyzną. Przeciwnikiem jego była kobieta, a dla kobiety w walce z mężczyzną ani biurko, ani łóżko nie stanowi przeszkody.
Łomotanie w głowie oszołomiło go, przez chwilę myśli zawirowały rozpierzchłe jak jesienne liście na wichrze. Ciężko się napracował, żeby zmieść je z powrotem na schludne kupki. Nazywa się Antoni Lawrence, ma lat czterdzieści dwa. Znalazł się w gabinecie, aby powziąć decyzję. Podjął już wiele ważnych postanowień w życiu i sądząc po skutkach robił to rozważnie i dobrze. Ale ta właśnie będzie najistotniejsza ze wszystkich.
Adwokat nie pozwala sobie na pochopne decyzje. Sięga wpierw po kodeks, bada precedensy, które poprzedziły sprawę. Zrobi to teraz, zanim osądzi swoją sprawę i poweźmie postanowienie. Przez dziewięćdziesiąt dziewięć lat, od roku 1857 do roku 1956, gromadziły się owe precedensy, które należy zbadać. Na nich zbudował

całe swoje życie i sam wzbogacił ich rejestr. Odemknął szufladę biurka i wyjął fotografię w starej srebrnej ramce.

Otóż i one — trzy cudowne, choć budzące strach kobiety, które stworzyły niejeden z owych precedensów. Prababka i babka stoją za krzesłem wyprężone jak żołnierze na warcie. Matka siedzi trzymając małe dziecko na kolanach. Dość niezwykłe zdjęcie rodzinne, gdyż nikt nie patrzy w obiektyw. Spojrzenia kobiet skupiły się na dziecku, które spogląda wielkimi oczami, jak gdyby pytając, czego one od niego chcą. Dziecku na imię Antoni Judson Lawrence.

Oglądając teraz fotografię czuł, że krew tych kobiet tętni w jego żyłach, a ich przekonania żyją w jego umyśle. Dziwne —tak żywo odczuwał, a tak mało wiedział o nich. Rozumiał, za czym tęskniły i w co wierzyły, ale nie wiedział, co kształtowało ich nadzieję i wiarę. Zupełnie jakby czytał orzeczenie sądu, wiedząc, że musi się go trzymać, a zarazem nie mając możliwości przejrzenia dowodów, które poprzedziły wyrok. Żałował, że nie mógł się zapoznać ze świadectwem ich życia, ponieważ to by mu teraz pomogło.

Mógł jednak przyjrzeć się świadectwu własnego życia. Wielekroć stawał w obliczu ważkich decyzji. I jego wybór za każdym razem był w znacznej mierze przesądzony przez życie, nadzieje i wiarę trzech kobiet z fotografii. Mógł więc dowiedzieć się czegoś o nich i o sobie samym wertując katalog powziętych niegdyś decyzji.

Kolejno wydobywał je z pamięci i poddawał skrupulatnym oględzinom. Tym razem nie wypadało nic przed sobą taić, wygrzebał więc nawet najdrobniejsze szczegóły związane z pierwszą, jaką powziął, decyzją. Miał wówczas siedem lat, a jego bożyszczem był wujek Michaś. Matka chciała się uwolnić od wujka Michasia, a nie miała siły zrobić tego sama; ubłagała go, żeby udał, że nie znosi tego człowieka, za którym w istocie przepadał. Wiedział teraz, dlaczego tak bardzo chciał o tym zapomnieć: rana pozostała tak samo paskudna i bolesna jak niegdyś.

Przyjrzał się tej decyzji i odłożył ją na bok, nie zagłębiając się w kwestię, co wówczas matką kierowało. Jej motywy miały charakter osobisty i postanowił je uszanować.

Po tej pierwszej następował długi szereg decyzji, niektóre z nich były trudne, inne raczej łatwe, niektóre — gdy wspominał — sprawiały mu ból, inne napawały zadowoleniem. Waga ich polegała na tym, że każda odmienna decyzja pchnęłaby jego życie na inne tory. Nadał im formę pytań, wolno przesuwał je w umyśle badając problem moralny, jaki każda z nich zawierała:

Czy trzynastolatek powinien wysypać paczkę swoich przyjaciół, żeby pomóc matce?

Czy chłopak, któremu nie wiodło się w nauce, powinien raz jeszcze spróbować dojść do ładu ze szkołą po to, aby zrobić przyjemność rodzinie?

Czy powinno się zrezygnować z szansy błyszczenia na boisku, bo trener powiada, że to dopomoże drużynie?

Którą mowę powitalną wygłosisz — tę błyskotliwą i świato-burczą, czy tę nudną, ale bezpieczną?

Czy powinieneś prosić dziewczynę, żeby zaczekała z małżeństwem, choć tak bardzo pragnie dzieci, bo nie uważasz za stosowne, aby ktoś łożył na twoje utrzymanie?

Czy pozwolisz, aby namiętność zwyciężyła dobre obyczaje i doprowadziła cię do romansu z mężatką?

Czy nadstawisz głowy za generała, który osobiście nic cię nie obchodzi, tylko dlatego, że robi dobrą robotę i trzeba mu pomóc w paskudnej sytuacji?

Czy odrzucisz pierwszą głęboką męską przyjaźń w tym celu, aby nadal wspomagać tegoż generała?

Czy masz ochotę dla zrobienia kariery spróbować sprzątnąć poważnego klienta innemu adwokatowi, kiedy wiesz, że najdrobniejszy błąd pogrzebie na zawsze twoją wymarzoną karierę?
Czy zgodzisz się bronić chłystka, któremu na imię Chet Gwynne, choć to również może zniszczyć ci karierę?
Czy będziesz bronił Gwynne'a do absolutnych granic i postawisz własną warstwę społeczną przed sądem?
Cóż, podjął decyzję we wszystkich wypadkach z wyjątkiem ostatniego, kiedy udało mu się jej uniknąć, znaleźć inne wyjście. Ale chyba nie da się zawsze wykręcać od decyzji, bo oto powracała właśnie teraz, dzisiaj, w lekko tylko zmienionej formie. Czy człowiek, który osiągnął wszystko, o co walczył, obierze sobie inną drogę życia? Może nie tak trudno było na to odpowiedzieć, tylko że właśnie posiadł ostatnią rzecz, jakiej mu brakowało. Gracja zaczynała się w nim kochać.
Kiedy jednak sięgnąć do samego sedna — czy naprawdę czeka go wybór innej drogi życia, jeśli poświęci się karierze, którą Michał Callahan i Ludwik Donetti przed nim wytyczyli? Czy też będzie to ta sama droga, jaką zawsze postępował? Czyż nie będzie to jak powrót do starego, znanego domu, w którym tylko trochę pozmieniano meble? A czyż pozostanie z Gracją nie wygląda tak, jakby burzył dom, a meble zachował?
Teraz, kiedy sobie wszystko przemyślał, okazało się, że wcale nie musi osobiście podejmować decyzji. Złożyło się na nią w ciągu długich lat wielu ludzi, wyręczając go w tym. Decyzja już gotowa czekała na niego. Został starannie wyćwiczony i można było na nim polegać, że nie zawiedzie.
Podniósł słuchawkę telefonu i nakręcił numer. Minuta chyba upłynęła, nim nadleciał basowy pomruk Michała Callahana.
— Słucham? — mówił Michał. — Słucham?

— Tu Antoś.
— Tak, wiedziałem, kiedy podnosiłem słuchawkę.
— Jestem z wami, Michał.
W słuchawce nastała nieco przydługa cisza.
— Słyszałeś? — dopytywał się Antoni.
— Owszem — odparł Michał, głos mu jakby jeszcze bardziej ochrypł. — Słyszałem. Myślałem sobie tylko, że opłaciła się skórka za wyprawę.
— Co się opłaciło?
— Och, drobiazg, osobista historia. Dobra, Antoś, dzięki za telefon. Wpadniemy jutro do ciebie z Ludwikiem. Dobranoc.
— Dobranoc — powiedział Antoni i wolno odłożył słuchawkę.
Przy drzwiach odezwały się ciche kroki, weszła Gracja. Miała na sobie ciężki szlafrok zapięty szczelnie pod szyją, z kołnierza wychylała się jej blada twarz.
— Słyszałam, rozmawiałeś przez telefon — powiedziała. — Od dwóch godzin siedziałam pod drzwiami czekając, kiedy się zdecydujesz. Wiedziałam, że się zdecydujesz, i wiedziałam, co powiesz.
— Z tego wynika, że znasz mnie całkiem nieźle. Podeszła do okna, rozsunęła zasłony i wyjrzała.
— Prawda, że widać stąd łunę nad miastem? — rzekła. — Nie tak to sobie ludzie wyobrażają, kiedy mówią o światłach wielkiego miasta. Myślą o diamentach rozsypanych na czarnym aksamicie. A stąd nic innego nie widać, tylko wielką, brudną łunę, powstałą z drobinek pyłu i mgły, które pochłaniają blask elektryczności i feerię neonów. Aż trudno uwierzyć, żeby ktoś mógł mieć romans z miastem. A jednak niektórzy ludzie mają.
Nie wiedział, co to znaczy, więc nie odezwał się ni słowem. Odwróciła się i zaciągnęła za sobą zasłonę na oknie.

— Gdzie zamieszkamy? — zagadnęła. — Czy zostało choć trochę przyzwoitych adresów w mieście, Antoś?

Uśmiechnął się, wstał i podszedł do niej. Chyba i ona w gruncie rzeczy nie musiała podejmować decyzji. Chyba i ją wyręczyły w tym całe pokolenia. Na niej również można było polegać, że nie zawiedzie.